

A large, dark dragon with orange wings is flying over a city. The dragon's head is in the foreground, looking down. The city below is hazy and has a medieval or fantasy feel. The sky is a mix of white and orange, suggesting a sunset or sunrise.

MARK CHADBOURN

KONIEC
ŚWIATA

Wiek złych rządów, tom I

... i zaczyna się Czas Ciemności

Wydawnictwo Dolnośląskie



Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PROLOG

ROZDZIAŁ 1 PORANNA MGŁA NAD MOSTEM ALBERTA

ROZDZIAŁ 2 RÓŻNE WIDOKI Z TEGO SAMEGO OKNA

ROZDZIAŁ 3 W DRODZE

ROZDZIAŁ 4 OCZYSZCZAJĄCY OGIEŃ

ROZDZIAŁ 5 POGOŃ ZA CZARNYM PSEM

ROZDZIAŁ 6 SPOJRZENIE W CIEMNOŚĆ

ROZDZIAŁ 7 TU MIESZKAJĄ SMOKI

ROZDZIAŁ 8 WIECZNE ŚWIATŁO

ROZDZIAŁ 9 W SERCU BURZY

ROZDZIAŁ 10 DZIKA POGOŃ

ROZDZIAŁ 11 Z DAŁA OD ŚWIATŁA

ROZDZIAŁ 12 MI VIDA LOCA

ROZDZIAŁ 13 UKRYTA ŚCIEŻKA

ROZDZIAŁ 14 RZEŻ WRON

ROZDZIAŁ 15 DZIEŃ CICHY JAK NIEBO

ROZDZIAŁ 16 NAJCIEŹSZA PRÓBA

ROZDZIAŁ 17 WISZĄCE GŁOWY

ROZDZIAŁ 18 UŚMIECH REKINA

ROZDZIAŁ 19 UCIECZKA

ROZDZIAŁ 20 PRAWDA WYCHODZI NA JAW

ROZDZIAŁ 21 OSTATNIA LINIA OBRONY

ROZDZIAŁ 22 BALTANE

MARK CHADBOURN

KONIEC ŚWIATA

(Always Forever)

Wiek złych rządów (tom: I)

Przekład: Paweł Stachura



2006

PROLOG

A teraz świat powoli pogrąża się w mroku. Nie w dymie pożarów, bez huku dział i łoskotu czołgów, tylko przy cichych dźwiękach harfy – zmiany nastrojów, dziwnie przedłużone cienie, delikatne kroki niezauważonej inwazji. Najeźdźca pojawił się niespodziewanie i jest już pośród nas, niczego nieświadomych. Co rano, jak zwykle, słońce wschodzi nad plastikowym światem supermarketów i biurowców, hurtowni, fabryk i dudniących dieslami ciężarówek, miast uśpionych szeptem CD-romów, ludzi istniejących coraz bardziej cyfrowo. Ludzie wciąż czują się panami stworzenia, żyją tak, jakby ich królestwo miało trwać wiecznie. Za kilka tygodni zapadnie noc dziejów, ale życie toczy się jak gdyby nigdy nic, nieświadome końca wieku rozumu, myśli sokratejskiej i apollińskiej logiki.

Nikt nie zauważył końca świata. Ale już wkrótce, już niedługo...

ROZDZIAŁ 1

PORANNA MGŁA NAD MOSTEM ALBERTA

To było tuż przed świtem, kiedy ciemność jest najbardziej nieprzyjemna. Z Tamizy wypełzła nad Londyn gęsta, mroźna mgła, tłumiąca szum rzeki i nieśmiały śpiew ptaków, które na drzewach nad bulwarem oczekiwały rychłego wschodu słońca. Luty. Psia pogoda. Church nie zważał ani na pogodę, ani na porę, tylko włóczył się bez celu pogrążony w myślach, których gorycz, kiedyś niemiała, przyciągała go teraz obsesyjnie. Gdyby na pustej ulicy zobaczył go zablakany przechodzień, mógłby pomyśleć, że zobaczył ducha: wysoki, chudy, bladość skóry jeszcze podkreślona kruczoczarną czupryną i smutnym wyrazem twarzy. W ciągu ostatnich dwóch lat coraz częściej wyruszał na takie nocne włóczęgi. W zgiełku dnia potrafił zapomnieć o przeszłości, po zmierzchu jednak wspomnienia wracały ze zdwojoną siłą, zmuszając go do wyjścia z domu w nadziei, że krążąc po ulicach zdoła im uciec. Na to nie było jednak najmniejszych szans. Po powrocie do domu znów natrafi na jej rzeczy i miejsca, w których bywała. Był jak w matni: aby powrócić do normalnego życia musi o niej zapomnieć, a na to nie pozwalała jej tajemnica, zagadka, przez którą skazany był na życie w świecie mgły, deszczu i niewiedzy. Czuł, że dopóki nie

rozwiąże tej zagadki, nie będzie sobą.

Tej nocy jednak coś się zmieniło. Z domu wyгнаły go nie tylko wspomnienia, dołączył do nich jeszcze zły sen o Bogu, który uznał, że Jego dzieło, czyli nasz świat, ostatecznie się nie udało i nie można go już żadną miarą naprawić. Postanowił zniszczyć je i wszystko zacząć od nowa. Church zdziwił się, jak wielkie wrażenie zrobił na nim taki sen.

Usłyszał hałas pośród pobliskich kubłów na śmieci, to zapewne pies poszukujący jedzenia. Z ostrożności przystanął jednak i uważnie obserwował kubły, aż we mgle zamajaczył rdzawy kształt. Lis. Zwierzę zatrzymało się na chwilę, spojrzało nieufnie na Churcha, a potem jakby rozpoznało w nim pokrewną duszę, przeszło obok i znikło we mgle. Church poczuł w sercu dawno zapomniane ukłucie, które dopiero po dłuższej chwili rozpoznał – zachwyty. Wolne, nieoswojone zwierzę w królestwie betonu, asfaltu, spalin i przepisów. Jednak od czasu odejścia Marianny Church miał fatalistyczny pogląd na świat i w miejsce zachwyty szybko powróciła gorycz, a całe wydarzenie potwierdziło tylko wszechogarniającą beznadzieję. Być może ten sen jest proroczy. Nigdy nie był zbyt zachwycony współczesnością, być może właśnie dlatego w dzieciństwie pociągała go archeologia, a teraz wszystko wydawało się jeszcze gorsze. Jeśli istnieje Bóg, to na co Mu świat, w którym tak trudno o tak podstawową rzecz jak zachwyty? Większość znanych Churchowi ludzi wierzyła wprawdzie, że kiedyś świat był lepszy, a uczucia silniejsze. Teraz jednak wydawało mu się, że ci ludzie nie mieli nawet siły znienawidzić swojego własnego świata, tylko uginali się pod nim znużeni rutyną, regułami, oraz ciężką pracą nagradzaną tylko i wyłącznie pieniędzmi. Nic nie budziło już namiętności, w nic nie można było uwierzyć. Nawet na Boga nie

można już liczyć, kościoły różnych wyznań wydawały się upadać. Desperacko pozbywały się resztek wiary w cuda, rozmieniając ją na drobne przyjemności życia we wspólnocie, działalność charytatywną, wiarę w postęp, nudę. Church sam zresztą nie miał czasu na Boga. To ironiczne, ale wrócił do punktu wyjścia: Bóg zamierza zaraz skończyć ze światem, a sam nie istnieje.

Zaśmiał się pod nosem. We mgle usłyszał niesamowity odgłos ni to szczekania, ni to skomlenia lisa. Przez krótką chwilę rozważał, czy nie zacząć go gonić, przepędzić w bardziej odpowiednie dla zwierzęcia miejsce. Wiedział, że nie ma dość sił i brak mu zręczności, nogi są z ołowiu, a na ramionach spoczywa nieznośny ciężar.

Po myślach o Bogu przyszły, jakby nie było lepszego tematu, myśli o nim samym i przegranym życiu. Czy był dobrym człowiekiem? Optymistą? Czy miał uczucia? Raz, na pewno, ale to było, zanim Marianna odwróciła świat do góry nogami. Jak to możliwe, że jedno wydarzenie może zamienić całe życie w pasmo rozgoryczeń?

Przeszedł go dreszcz, wcale nie od zimna, ale owinął się ciaśniej płaszczem. Zastanawiał się czasem, co przyniesie przyszłość. Dwa lata temu serce przepełniała nadzieja, że wszystko pójdzie zgodnie z planem: jeszcze więcej artykułów w czasopismach naukowych, jakaś książka, w niej przenikliwe i błyskotliwe uwagi na temat kondycji ludzkiej, które spowodują cichą rewolucję w myśli archeologicznej.

Jako pierwszy w rodzinie ukończył wyższą uczelnię; w Oxfordzie bardzo dobrze się zapowiadał. Miał wielkie nadzieje, dwadzieścia sześć lat i wiedział o sobie wszystko. Teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, nie wiedział o sobie nic, po omacku

szukając drogi w obcym, bezsensownym świecie. Wyrzucił z pamięci wszystkie swoje przemyślenia na temat kondycji ludzkiej, a wygrzebywanie z ziemi starożytnego śmiecia nie wydawało się już tak pociągające jak na kursie archeologii. Wygrzebywanie śmieci – kiedy nie owija się w bawełnę, brzmi to żałośnie i tym bardziej upokarzająco. Nigdy w życiu nie był żaloszny; bywał silny, zabawny, inteligentny, pewny siebie, ale nigdy żaloszny. Miał duży potencjał, ambicje, marzenia, wszystkie te rzeczy wydawały się nieodłączną częścią jego życia, wydawało się, że nigdy ich nie straci, a teraz, proszę, nie zostało po nich ani śladu. Gdzież się podziały?

Teraz nie było go stać na nic więcej niż dorywczą pracę w redakcjach gazet, tłumaczenia instrukcji obsługi na prosty angielski albo pisanie tekstów reklamowych; to wystarczało na rachunki, ale nie miało przyszłości. A wszystko przez Mariannę. Czasem chciałby zamienić swoje uczucia w zgorzknienie, nienawiść, cokolwiek, byle móc żyć dalej; nie mógł się jednak na to zdobyć. Odebrała mu życie i pozostawiła samego na lodzie, z którego nie zdoła powrócić na brzeg.

Ucieszył się jak dziecko, kiedy plusk wody znad nierównego brzegu Tamizy zaburzył tok ponurych myśli. Church pomyślał najpierw, że to jakaś mewa w rzece, kolejna nachodząca go dziś przedstawicielka dzikiej natury, ale rozlegający się z przerwami hałas kazał się domyślać, że to coś większego. Pochylił się nad zimną, mokrą barierką i czekał cierpliwie, aż mgła pozwoli zobaczyć źródło odgłosów pluskania i rozchlapywania wody.

Odczekał kilka minut, ale niczego nie wypatrzył i dopiero kiedy miał odejść, mgła uniosła się jak kurtyna i jego oczom ukazała się otoczona białymi kłębam, przycupnięta sylwetka, podobna do ogromnej wrony. Postać pochyliła się nad wodą, a

potem, chwiejąc się, wstała i Church dostrzegł bladą, kościstą dłoń. Należała do starej kobiety w długiej czarnej sukni i szalu. Czarna dama prała, Church nie potrafił dostrzec co, ale cała scena przypominała mu fotografie kobiet z Bliskiego Wschodu, robiących pranie w błotnistych rzekach. Z początku nie czuł się zaskoczony widokiem kogoś nad ranem w lodowato zimnej wodzie, ale rósł w nim niepokój, w miarę jak coraz dłużej patrzył na powtarzające się czynności praczki. Niepokój przerodził się w końcu w panikę i Church odsunął się od barierki, żeby dłużej nie patrzeć na kobietę, która w tym momencie wstała, jakby wyczuła jego obecność, i odwróciła się. Miała straszną, bladą i wychudzoną twarz, oraz czarne, świdrujące spojrzeniem oczy. Jednak Church rzucił się do ucieczki dopiero wtedy, kiedy zauważył, co kobieta trzyma w rękach – zanim pobiegł ku mostowi Alberta, przez chwilę mignęła mu w oczach ludzka głowa, ociekająca krwią kapiącą w zimne nurty Tamizy. Głowa ta miała jego własną twarz.



Ruth Galagher słuchała w głowie piosenki; melodia znajoma, ale nie pamiętała, kto śpiewa. Może The Pogues? Zajęła się planowaniem letnich wakacji, które miała nadzieję spędzić na południu Francji, a chwilę później jej uwagę przykuła perłowa masa unoszącej się nad Tamizą mgły. Kiedy powróciła do rzeczywistości, Clive nie przestał jeszcze burczeć na nią.

— I jeszcze jedna rzecz; dlaczego musisz zawsze się tak wywyższać?

Clive gestykulował, jakby był ojcem pouczającym małe

dziecko; na Ruth nawet nie patrzył, zajęty przemową nie musiał już zwracać na nic uwagi.

— Wcale się nie wywyższam, ja po prostu jestem wyżej od ciebie – odrzekła. To nie była taktowna odpowiedź, ale Ruth nie mogła się oprzeć pokusie. Musiała powstrzymać uśmiech, kiedy z ust Clive'a wydobył się odgłos przypominający szum pary uchodzącej z kotła lokomotywy. Ruth, mierząca sobie dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, patrzyła na niego z góry, co jeszcze pogarszało sytuację, ale Clive przez cały wieczór traktował ją tak źle, że czuła się usprawiedliwiona w swojej złośliwości.

Kiedy spotkali się przed sześcioma tygodniami na towarzyskim zebraniu palestry, Ruth, jak zwykle na początku znajomości, przepełniała nadzieja i optymizm; to nie jej wina, że ten związek się rozpadnie. Co więcej, mając za sobą tyle nieudanych związków z mężczyznami, tym razem starała się być bardziej wyrozumiała. Clive okazał się jednak taki sam jak większość napotkanych ostatnio mężczyzn: był egocentrykiem, denerwowała go jej inteligencja, choć bał się do tego przyznać, a w dodatku poczuł się niepewnie, jak tylko zrozumiał, że Ruth nie zamierza desperacko trwać w związku, zgadzać się na każdą jego zachciankę i przymykać oko na jego liczne i nieznośne wady. Szybko zauważyła, że Clive utożsamiał jej delikatne rysy twarzy i czarne, kręcone włosy z jakimś przestarzałym obrazem kobiety, która poddałaby się jego władzy.

Jego zachowanie doprowadziłoby ją do furii, w nocy jednak zdała sobie sprawę, że są zupełnie sobie obcymi ludźmi i Clive nie będzie już dłużej wystawiać na próbę jej cierpliwości.

Kłęska związku z Clive'em była jednak objawem bardziej ogólnych kłopotów. Nic w jej życiu nie było trwałe, choć właśnie

trwałości pragnęła, dobiegając trzydziestki. Praca, spełnienie ambitnych marzeń snutych z ojcem jeszcze w dzieciństwie, przyniosła tylko wewnętrzną pustkę i zmęczenie; za późno było jednak, by się cofnąć i zacząć od początku. Nie podobało się jej również życie w Londynie, a swoje życie towarzyskie mogła opisać co najwyżej jako zadowalające. Czuła się, jakby, wstrzymawszy oddech, czekała, aż coś się stanie.

W głowie Ruth znowu rozległa się melodia piosenki The Pogues, a kiedy nie przypomniała sobie refrenu, zwróciła znów uwagę na mgłę i to, jak mocno tłumiała ich kroki. Już niedaleko, zaraz będę w domu, pomyślała z ulgą.

— I jeszcze jedna rzecz...

— Jeśli jeszcze raz to powiesz, Clive – przerwała Ruth spokojnym głosem – będę zmuszona wykonać na tobie doraźnego zabiegu nacięcia tchawicy. Myślę, że użyję w tym celu swojego pióra.

Clive załamał rękę.

— To koniec! Mam dość! Sama idź sobie do domu!

Odwrócił się i zniknął we mgle z głową zwieszoną jak u rozkapryszzonego dziecka, na które nakrzyczano.

— Dżentelmen w każdym calu – mruknęła.

Gdy ucichły jego kroki, Ruth poczuła się nieswojo. Szkoda, że nie wyszli z klubu wcześniej, albo że nie postawiła na swoim, kiedy Clive postanowił wyjść z taksówki i przespacerować ostatnie kilkaset metrów do jej mieszkania – chciał „spokojnie porozmawiać”. Londyn nocą to nie miejsce dla samotnej kobiety. W miarę jak przyśpieszała kroku, po ulicy rozchodziło się nerwowe stukanie obcasów, ale nawet ten dźwięk był lepszy od nieprzyjemnej ciszy. Dopiero zbliżywszy się do mostu Alberta usłyszała inne dźwięki: szamotanina, ciężkie oddechy, ciosy.

Ruth zatrzymała się. Instynkt nakazywał pobiec dalej, do domu, ale sumienie nie pozwalało jej zignorować kogoś, kto potrzebował pomocy. Poruszyła się dopiero wtedy, gdy usłyszała czyjś stłumiony krzyk dochodzący z ciemności pod mostem. Zapewne dwóch włóczęgów bije się o butelkę taniego wina, pomyślała, ale nie uspokoiła się. Widziała zbyt wiele raportów policyjnych, żeby zapomnieć o innych, bardziej poważnych i przerażających możliwościach. Znalazła schody prowadzące ku rzece i powoli zaczęła schodzić, pozostawiając za sobą światła zamglonego miasta.



Church, kiedy usłyszał odgłosy tej samej bójki, zdążył się już nieco uspokoić, choć nerwy wciąż miał rozkołatanane. Przerazająca twarz tajemniczej kobiety nie dawała się wymazać z pamięci, ale zdołał niemal zupełnie przekonać sam siebie, że tak naprawdę nie zobaczył w jej rękach nic strasznego. Zapewne były to jakieś brudne szmaty, do tego gra światła i mgła, ot i wszystko.

Zbliżał się do mostu Alberta z przeciwnej strony niż Ruth i odgłosy szamotaniny wydały mu się miłą odmianą po tym, co zobaczył wcześniej. Zszedł po niebezpiecznie śliskich schodkach ku rzece i znalazł się na biegnącej wzdłuż brzegu kamiennej ścieżce pokrytej cuchnącymi resztkami gnijących roślin. Ponad nim, we mgle, ledwie dostrzegalna zmiana światła zapowiadała zbliżający się świt, jednak ciemności pod mostem pozostawały nieprzeniknione.

Jego uszu dochodził teraz tylko szum Tamizy i Church zastanawiał się, czy odgłosy walki nie były tylko złudzeniem.

Przystanął, nasłuchując. Rozległ się cichy krzyk, natychmiast stłumiony. Church zrobił kilka ostrożnych kroków głębiej w ciemność.

Trzymając się blisko ściany nabrzeża tak, aby pozostać niewidzialnym, nasłuchiwał dalej: ciężkie buciory stąpające po kamieniach, jakby warknięcie, krztuszący się oddech. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i w niewyraźnych zarysach ujrzał, co działo się pod mostem.

Jakiś olbrzymi człowiek, stojący plecami do Churcha, trzymał za kłapy drugiego, mniejszego. Ofiara wydawała się słaba jak kot; był to chudy mężczyzna w okularach na poszarzałej twarzy, ubrany w ciemny garnitur. Obok niego leżała aktówka.

Napastnik, wysoki na co najmniej dwa metry, odwrócił się nagle, choć Church mógł być pewien, że nie zrobił najmniejszego hałasu. Wielkolud był łysy, zwierzęcą twarz wykrzywił gniew, a w ciemności wydawało się, że jego głęboko osadzone oczy jarzyły się zimnym, szarym ogniem. Church mimowolnie zadrżał, jakby opłynęła go jakaś przerażająca, czarna fala.

— Postaw go na ziemi! – rozległ się kobiecy głos.

Zaskoczony Church aż podskoczył. Po drugiej stronie mostu stała piękna, czarnowłosa kobieta o bladej twarzy; jej postać odcinała się na tle mlecznobiałej mgły.

Wielkolud parsknął jak koń; jego oddech zamienił się na zimnym powietrzu w pióropusz pary. Powoli zwracał nienawistny wzrok ku Churchowi i ku kobiecie, wciąż, jakby bez wysiłku, przytrzymując swoją podobną szmacianej lalce ofiarę. Church ponownie poczuł drżenie serca; w tej scenie też było coś przerażającego, nie dającego się ogarnąć rozumem.

— Jeśli go nie postawisz, wezwę policję – ponownie odezwała się kobieta. Jej głos był spokojny, ale stanowczy.

Churchowi zdało się przez chwilę, że ofiara wielkoluda nie żyje, ale mały człowieczek poruszył głową i zaczął mamrotać coś nieprzytomnym głosem. Wielkolud spojrział jeszcze na Churcha i nieznaną kobietę, tym razem z pogardą, i bez widocznego wysiłku podniósł swoją ofiarę z ziemi. Uczynił to z nadludzką siłą, jedną ręką, drugą trzymając na podbródku małego człowieczka, gotowy w każdej chwili skrócić mu kark.

— Przestań! – krzyknął Church i rzucił się ku wielkoludowi.

W tym momencie zdjął go ogromny, trudny do wytłumaczenia strach. Napastnik wpił w niego wzrok; wydawało się, że jego twarz zmienia kształt i kolor, jak plama oleju na wodzie. W pamięci powrócił obraz tajemniczej praczki i tego, co trzymała w rękach, a potem Church zupełnie utracił panowanie nad potokiem myśli. Desperacko próbował zrozumieć obraz twarzy wielkoluda, która zamieniała się w coś zupełnie innego; przez chwilę niemal zrozumiał, co się dzieje, ale w tym samym momencie każde, nawet najsłabsze wzrokowe doznanie było jak spojrzenie w sam środek słońca. Wszystko rozjaśniło się straszną bielą, a potem zgasło i Church padł nieprzytomny na ziemię.



Kiedy odzyskał przytomność, było już jasno; czyjeś troskliwe ręce próbowały go ułożyć w pozycji siedzącej. Churcha nie opuściło jeszcze przerażenie, wciąż wydawało mu się, że patrzy na zmieniającą kształt twarz wielkoluda, ale powoli zaczęła do niego docierać rzeczywistość: jego ubranie było mokre od leżenia na ziemi, a wokół biegali i krzyczeli ludzie starający się pomóc. Starał się zrozumieć, co się stało, ale w pamięci ziała dziura,

jakby ktoś wyciął wszystko, co stało się po upadku.

— Jak się pan czuje – zapytał kucający sanitariusz, świecąc mu w oko małą latarką. Gdy zgasła, Church ujrzał kręcących się pod mostem policjantów w mundurach i funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu.

— Widział pan, co tu się stało? – zapytał sanitariusz. Church nie mógł znaleźć słów.

— Ktoś się bił. A potem... – Church rozejrzał się ciekawie wokół siebie. – A potem chyba zemdlałem. Żałosne, prawda?

Sanitariusz pokiwał głową.

— Ona powiedziała to samo.

Trochę dalej leżała owinięta kocem kobieta, którą Church widział, zanim stracił przytomność. Badał ją inny sanitariusz, a policjanci starali się zrozumieć odpowiedzi na pytania, które jej zadawali. Kobieta spojrzała na Churcha. Kiedy ich oczy spotkały się, poczuł, że łączy ich coś więcej niż wspólnie przeżyte niebezpieczeństwo; byli parą pokrewnych dusz. Poczuł tak intymną bliskość z nieznaną, że zmieszany odwrócił wzrok.

— Czy mógłby pan nam odpowiedzieć na kilka pytań? – zapytał policjant, pomagając mu wstać. W panującym wokół zamieszaniu wydawał się niezwykle spokojny, ale skupione oczy zdradzały niepokój. Zrobili razem kilka kroków w kierunku wody i Church kątem oka zauważył fotografowanego właśnie trupa; ofiara miała złamany kark.

— Jak długo byłem nieprzytomny? – zapytał. Policjant wzruszył ramionami.

— Raczej niedługo. Jakiś listonosz usłyszał odgłosy bójki. Radiowóz dotarł tutaj w pięć minut po jego telefonie. Co pan zobaczył?

Church opowiedział, jak usłyszał hałas, a potem zauważył

wysokiego mężczyznę i jego ofiarę. Policjant przyglądał mu się badawczo, odrobinę podejrzliwie.

— A potem on pana zaatakował?

Church potrząsnął głową.

— Nie, chyba nie.

— Więc co się stało panu i tej pani?

Poczuł w głowie nieznośne mrowienie, kiedy próbował sobie przypomnieć, co zobaczył, a kiedy pamięć odmówiła posłuszeństwa, poczuł niemal ulgę.

— Byłem zmęczony, a ziemia wydawała się taka bezpieczna.

Policjant spojrzał na niego dziwnie.

— Skąd mam wiedzieć, co mi się stało? – Church starał się zmienić temat. – Gdzie jest jego aktówka?

— Nie znaleźliśmy żadnej aktówki – odpowiedział policjant, notując. Wydawał się uszczęśliwiony, jakby brak teczki wszystko wyjaśniał; to był zwykły napad rabunkowy.

Church spędził następną godzinę na komisariacie, bezskutecznie starając się wyrazić swoje obawy w sposób, który byłby do przyjęcia dla policji. Wychodząc z komisariatu, napotkał nieznaną spod mostu, która najwyraźniej miała za sobą podobną rozmowę.

— Może napijemy się razem kawy? Muszę porozmawiać o tym, co się stało – powiedziała bez żadnych wstępów. Przejechała ręką po włosach, a potem uśmiechnęła się. – Przepraszam. Ruth Gallagher. – Wyciągnęła rękę.

Church przyjął silny i pewny uścisk jej dłoni.

— Jack Churchill. Proszę mi mówić Church. Nie chcieli pani słuchać, prawda?

Ruth westchnęła.

— Nie ma się co dziwić. Jestem prawniczką, codziennie mam

podobne sprawy w sądzie. Szybko zorientowałam się, że policja zawsze uczepli się najprostszego wytłumaczenia. Chcą to wydarzenie zamknąć w aktach jako napad rabunkowy; nieważne, co powiem, i tak nie zmienią zdania.

— Napad rabunkowy, jasne. A Kennedy’ego w Dallas przypadkowo postrzelili. – Church uważnie przyglądał się Ruth, starając się odgadnąć jej myśli. Kobieta odwróciła wzrok, wydawała się zmartwiona i zdezorientowana.

Było w niej coś, czemu Church nie był w stanie się oprzeć. Weszli do małego baru wypełnionego parą z ekspresu i skwierczeniem tłuszczu, na którym smażyło się wczesne śniadanie dla rozmawiających głośno robotników. Usiedli na stoliku przy oknie i zaczęli rozmawiać; wkrótce zapomnieli o gwarze wokoło.

Ruth odezwała się pierwsza, ostrożnie wypiwszy łyk kawy.

— No więc, co widzieliśmy?

Church zgryzł wargi, starając się przypomnieć sobie to, o czym starał się wcześniej zapomnieć.

— Wydawało mi się, że jego twarz zmieniała kształt.

— To oczywiście niemożliwe – odrzekła niepewnym głosem Ruth. – Musi być racjonalne wytłumaczenie.

— Twarzy, która zmienia kształt?

— Może maska?

— A czy to wyglądało jak maska? – zapytał, stukając łyżeczką o spodek. Każda próba przypomnienia sobie tamtej sceny wytrącała go z równowagi. – Oto, co widziałem: bardzo wysoki mężczyzna podniósł kogoś z niezwykłą łatwością, jakby dysponował nadludzką siłą. Potem, kiedy zaczął na nas patrzeć, jego rysy rozmyły się, jakby twarz mu się topiła. A co kryło się pod nią – przełknął ślinę – nie mam pojęcia...

— Oboje wtedy zemdleliśmy, w tym samym momencie.

— Przez to, co zobaczyliśmy potem.

Ruth uśmiechnęła się zmieszana: — Raczej nie mam halucynacji w chwilach napięcia.

Church spojrział za okno, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie zagadki; zobaczył jednak tylko włóczęgę przypatrującego się im uważnie z drugiej strony ulicy. Utkwione w nich spojrzenie włóczęgi zbijało Churcha z tropu. Odwrócił wzrok ku filizance, a kiedy ponownie spojrział na ulicę, włóczęgi już nie było.

— To zdarzenie doprowadzi mnie chyba do szaleństwa – odezwał się. – Może nie powinniśmy już o tym myśleć, to nie nasza sprawa. Zapomnijmy o tym, czasem w życiu przydarzają się takie niewytłumaczalne rzeczy.

— Jak może pan tak mówić! – zawołała Ruth. – Przecież to działo się naprawdę! Staliśmy tam i patrzyliśmy, nie możemy teraz o tym zapomnieć. – Pochyliła się nad stołem, jakby chciała złapać Churcha za klapy. – Musi pan mieć w sobie choć trochę ciekawości świata.

— Ostatnimi czasy raczej nic mnie nie ciekawi – odpowiedział. Spojrzenie Ruth stało się badawcze, jakby była lekarką; Church poczuł, że nic nie zdoła przed nią ukryć.

— Proszę mi przynajmniej dać swój numer, na wypadek gdyby któremuś z nas przypomniał się jakiś szczegół – powiedziała głosem zbyt stanowczym, żeby potraktował to jak prośbę. Church napisał numer na serwetce, a od Ruth otrzymał wizytówkę z adresem kancelarii adwokackiej przy Lincoln Inn Fields; na odwrocie był jej numer domowy.

Kiedy wstał, zapytała jeszcze cichym głosem, jakby czekając na słowa otuchy.

— Bał się pan?

Church uśmiechnął się fałszywie i nic nie powiedział.



Mijały nudne, zimowe dni. Powoli zbliżała się wiosna, powietrze wciąż było mroźne i nawet centralne ogrzewanie w mieszkaniu Churcha nie pozwalało o tym zapomnieć. Tuż przed nadejściem wiosny nachodziła go zwykle chęć, by pobrudzić sobie ręce, wydobywając spod ziemi kawałki glinianych garnców albo zardzewiałe gwoździe. Wielu jego znajomych wykopaliska skłaniały do zadumy nad przemijaniem i krótkością żywota, ale Churcha przepełniała wtedy raczej wiara w potęgę ludzkości. Teraz jednak, kiedy starał się wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu i dokończyć instrukcję obsługi edytora tekstu, wiara w ludzkość wygasła w nim zupełnie. Pokonał ją straszliwy niepokój, odczuwany, jak to określał, „tamtej nocy”. Wyparte ze świadomości wspomnienie spoczywało gdzieś na dnie czaszki, jak guz, wywołując napady depresji i skłaniając do samobójczych myśli. W najgorszych dniach po odejściu Marianny nie było z nim tak źle jak teraz.

Church przyzwyczał się dzielić swoje życie na dwie części, tę sprzed Marianny i tę po jej odejściu. Dale był jednym z kilku przyjaciół, którzy pozostali mu z czasów przed Marianną. Był tak wstrząśnięty stanem, w jakim zastał Churcha, że próbował przemocą zaprowadzić go do lekarza. Po dłuższej i męczącej rozmowie Church przekonał Dale’a, że depresja minie, choć w skrytości ducha wiedział, że ani prozac ani nawet wstrząsy elektryczne nie pomogą mu powrócić do normalnego życia. Uda się tylko wtedy, kiedy natnie ukryty w głowie ropień, uwolni

wspomnienia. Jak miał to uczynić, skoro sama myśl o tym była już nieznośna?

— Musisz wychodzić z domu, rozumiesz? – pouczał go Dale, dotychczas będący najmniej odpowiedzialnym z jego przyjaciół. Church zdawał sobie sprawę, że jego okropny nastrój udziela się innym i dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia.

— To nie takie proste.

— Wiem, że to nie takie proste. Nie jestem przecież głupi – odparł rozdrażnionym głosem Dale. Pociągnął kilka wielkich łyków z butelki piwa, a potem podrzucił ją tak, że obróciła się w powietrzu i złapał, nie uroniwszy ani kropli. – Ej! Niezłe, co?

— Jesteś fenomenalny.

— Dobra, w ten weekend się rozerwiesz. Kupujemy skrzynkę piwa i jedziemy do Brighton. Wypijemy wszystko pod molo, zjemy kilka hamburgerów i dużo waty cukrowej, a potem jazda na plażę i zobaczymy, kto pierwszy zwymiotuje. Zobaczysz, dobrze ci to zrobi.

Church uśmiechnął się blado. Dwa lata temu nie uwierzyłyby, gdyby usłyszał, że to właśnie Dale nie zapomni o nim i będzie się starał go pocieszyć.

— Świetny pomysł, ale mam naprawdę dużo pracy. Jakiś program do planowania finansów, straszna robota. Muszę skończyć do poniedziałku.

Dale odpowiedział zrezygnowanym tonem.

— Pamiętasz, jak odwołałeś wakacje na Cyprze i wszyscy pojechaliśmy na dziesięć dni do Devon, żeby pocieszyć Luizę po śmierci ojca? To była spontaniczna decyzja!

— Na Cyprze i tak byłoby za gorąco – Church wzruszył ramionami.

— Nie nabieraj mnie, przecież szykowałeś się na te wakacje od

kilku miesięcy. Albo i lat, jeśli dobrze cię znam. I bez wahania zrezygnowałeś.

— No, jaki ja jestem dobry – odciął się Church. Uznał, że Dale rozmawia o tym, starając się odnaleźć przyjaciela z dawnych lat. – A pamiętasz, jak graliśmy w Oxfordzie? Wciąż mam twoje zdjęcie z tego koncertu.

Dale aż zbladł ze wstydu.

— Chyba nie to, na którym skaczę w publiczność i tracę spodnie?

— I bokserki. Boże, co to był za okropny widok.

— Myślałem, że mi wtedy pomożesz, a nie będziesz robić zdjęć! – oburzył się Dale. – Jak się dowiem, kto mi wtedy ściągnął gacie...

— Trzeba było sobie odpuścić skakanie w publiczność. My sobie po prostu graliśmy – odgryzał się Church.

— Ta, z ciebie to był prawdziwy muzyk, co nie? Jak jakiś komputer, wystarczyło podać tytuł i już umiałeś grać. Na gitarze i na bębnach, cholerny geniusz.

— Byłem wam potrzebny. Dostarczałem intelektualnych rozrywek, kiedy wy upijaliście się jak świnię.

Dale śmiał się, wspominając dawne czasy.

— Fajnie nam było, nie? Ja, ty, Pete, Kate, Luiza, Billy i... I Marianna.

— To było dawno temu – dokończył Church. Pete był wyraźnie zmieszany swoim *faux pas*.

— Słuchaj, gadam jak jakiś weteran wspominający wojnę – powiedział, siadając przy Churchu i spoglądając mu prosto w oczy. – Musimy o tym chyba porozmawiać, nie?

— Wszystko w porządku – bronił się Church. Nic nie poradzi, wspomnienia wracają i nic nie może ich powstrzymać. – Nie

zapłakuję się na śmierć, kiedy opuści mnie dziewczyna. Przecież to już dwa lata!

— Gadanie! Przecież to nie o to chodzi, że ona odeszła, tylko jak odeszła. I na co musiałeś patrzeć. Niejednemu by się we łbie od tego poprzewracało.

— Co, chcesz powiedzieć, że mam nierówno pod sufitem?

— A nie masz? – Dale upuścił piwo, które rozlało się po podłodze.

— Cholera jasna, popatrz, co przez ciebie robię.

— Nie ma sprawy.

Dale począł wcierać piwo butem w dywan.

— Nie powinienes się tym tak dręczyć. Przecież to nie była twoja wina.

— Słuchaj, dobry z ciebie chłop. Nie powtórzę tego przy świadkach, ale jesteś prawdopodobnie najbardziej przyzwoitym facetem, jakiego znam.

Dale zadumał się.

— Wiem o twoim doktoracie.

— Co? O czym ty gadasz? – Church odwrócił wzrok.

— O Billym. To palant, zawsze nim był. A ty dałeś mu pieniądze, na które pracowałeś dniami i nocami przez cały poprzedni rok. Oszczędzałeś na chesne, żeby zdobyć kwalifikacje. Jeszcze jako dzieciak chciałeś pracować w tym zawodzie. Nie zaprzeczaj, Church, Billy wszystko mi powiedział. Wiem, że twojej rodzinie się nie przelewa i musiałeś posyłać pieniądze do domu. A potem pomogłeś Billy’emu, kiedy miał kłopoty – spójrz na niego teraz, został grubą rybą w City. Wszystko dzięki tobie. Poświęciłeś marzenie swojego życia, chciałeś być doktorem od tego kopania w ziemi. To przecież nie robi na nikim wrażenia, ale wiem, jak bardzo ci na tym zależało. Nie dawaj więc sobie w

kość teraz z powodu Marianny, nie myśl o sobie źle.

Church potrząsnął głową sceptycznie. Dale nic nie rozumiał; jak miał rozumieć?

— Mówię ci to wszystko, bo jestem przyjacielem – Dale rozkręcił się, Church zauważył błysk w jego oczach. – Pamiętam, jaki kiedyś byłeś. Umiałeś cieszyć się życiem, zawsze, nawet kiedy my dawaliśmy za wygraną. Pamiętam, kiedyś padało i nie chcieli nas wpuścić do jakiegoś klubu, bo Billy znowu ubrał się w garnitur. Albo jak się kłócili Luiza i Pete, to im zawsze potrafiłeś powiedzieć coś miłego, pogodzić ich. I tyle czytałeś, oglądałeś tyle filmów i słuchałeś muzyki, więcej niż ktokolwiek inny. A teraz...

— A teraz nie.

— No właśnie. Teraz nic nie robisz. Straciłeś chęć do życia. Co się stało, już się nie odstanie. Musisz żyć dalej.

Church potakiwał tylko, co nie przekonało Dale'a; to nie pierwsza taka rozmowa. Dale poszedł w końcu, ale wiadomo było, że wróci i będzie próbował dalej. To dobrze, to mu się chwali. Nie można oczekiwać, że pojmie głębię udręki Churcha, który spędził wiele godzin, daremnie starając się zrozumieć powody swojego cierpienia. Gdyby istniało proste rozwiązanie, dawno by je znalazł. Najgorsze, że Dale też czuł się przez niego źle, i to od miesięcy. Nie potrafił jednak przemóc się i porozmawiać z nim o tym, co stało się pod mostem Alberta.

Przez resztę wieczoru starał się powrócić myślami do tej nocy, do ostatnich chwil przed utratą przytomności. Jednocześnie wracały wspomnienia o Mariannie: na brzegach Loch Ness, na jej urodzinach w Covent Garden, albo tego niedzielnego poranka, kiedy bez żadnej szczególnej okazji przyniosła mu do łóżka szampana, po prostu dlatego że go kochała. Wspomnienia przerwał w końcu sen.



— Ruth! Do mojego biura! Natychmiast!

Na dźwięk wykrzyczanej przez Milтона komendy Ruth upuściła na ziemię stos papierów i zakłęła bezgłośnie. Co się z nią dzieje?! Przecież nigdy nie była nerwowa, dopiero od poranka nad Tamizą przestała być do końca sobą, dawała się przestraszyć, stała się opryskliwa wobec koleżanek i kolegów w pracy. To praca była oazą spokoju w jej życiu i zawsze czuła się w niej bezpiecznie, ale ostatnio zaczęło się to zmieniać.

Zrzuciła papiery na biurko i pomaszerowała do odgradzonego szklanym przepierzeniem biura Milтона. Jeszcze zanim przekroczyła próg, wyczuła napiętą atmosferę; współnik patrzył wilkiem zza swojego biurka.

— Zamknij drzwi – mruknął, powstrzymując gniew, co uwypukliło jego szkocki akcent. To zawsze zły znak; Ruth czekała na wybuch.

— Co się z tobą dzieje Ruth? – zapytał. – Narkotyki? Alkohol?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, Ben.

Wskazał palcem na list, leżący na środku biurka.

— Sir Anthony jest wściekły. Pisze, że rzuciłaś mu wczoraj słuchawkę.

— To był przypadek – skłamała. Zawsze dawała sobie jakoś radę z pompatycznością i protekcyjnym tonem klienta – arystokraty, ale wczoraj z jakiegoś powodu straciła cierpliwość. Wiedziała, że będzie musiała ponownie do niego zadzwonić, ale nie mogła dłużej słuchać pogróżek.

— To nasz najważniejszy klient, do cholery! Czy wiesz, ile

pieniędzy od niego dostajemy? To był twój klient, bo byłaś najlepsza i można ci było zaufać.

Ruth nie podobały się te czasowniki w czasie przeszłym.

— To się już nigdy nie powtórzy, Ben.

— To nie jest jedyny problem. Jest jeszcze wiele innych. – Gniewnym ruchem otworzył jakąś teczkę. – W ciągu ostatnich dwóch tygodni policzyłaś za wysokie honorarium dla trzech klientów i za niskie dla dwóch. Dokumenty przekazane do sądu w sprawie Mendeki były tak nieudolnie przygotowane, że możesz sama trafić przed sąd. W piątek spóźniłaś się na rozprawę, która musiała zostać przeniesiona na inny termin. Dwa tygodnie i co najmniej trzy błędy, za które mógłbym cię wyrzucić. Czy ty zapomniałaś, dla jakiej firmy pracujesz, do cholery?! – Milton aż poczerwieniał z gniewu. – Jeśli mam być szczerzy, to nie obchodzą mnie twoje problemy, chcę tylko, żebyś je rozwiązała. Ruth, każdego innego już bym wyrzucił, ale tobie nigdy się takie rzeczy nie zdarzały. Mam nadzieję, że nie poczułaś się zbyt pewnie i nie spoczęłaś na laurach.

— Nie, Ben...

— Bo nawet nasza najlepsza współpracowniczka nie ma prawa denerwować najważniejszych klientów, dzięki którym ta firma jest tym, czym jest. Kiedy jesteś w formie, jesteś naszą kartą atutową, więc lepiej dowiedz się, jak odzyskać tę formę.

— Ben!

— Tymczasem daję ci urlop, oczywiście bezpłatny. Kiedy wrócisz, masz być tą dawną Ruth.

Milton pochylił się nad jakimś dokumentem, niegrzecznie udając, że nie zwraca już na nią uwagi. Ruth nigdy go nie lubiła, ale teraz miała ochotę złapać go za kłapy i uderzyć w twarz. Nie uczyniła tak tylko dlatego, że Milton miał od początku do końca

rację.

W toalecie z trudnością powstrzymała łzy bezsilnego gniewu i kopnęła drzwi kabiny z taką siłą, że nieomal wypadły z zawiasów; nienawidziła tej pracy i czuła się przez to jeszcze gorzej. Nigdy nie chciała tu pracować, ale ojciec tak się zapalił do tego pomysłu, że nie miała serca odmówić. Nie to było jednak przyczyną nagłego spadku formy; Ruth czuła się tak, jakby w jej głowie zamieszkała czarna, biegająca wkoło jaszczurka.

Nigdy przedtem nie potrafiła sobie wyobrazić, jak czują się ofiary gwałtów cierpiące latami od wypartych ze świadomości wspomnień. Cokolwiek wydarzyło się tego ranka pod mostem Alberta, zmieniło ją w zupełnie inną osobę: skłonną do depresji, pełną obaw, niepewną, niezdecydowaną, żalowaną.

Zasłoniła oczy dłońmi i próbowała powstrzymać emocje.



Church zdawał sobie sprawę, że po godzinach spędzonych w Internecie będzie musiał zapłacić ogromny rachunek telefoniczny, ale fale znajdowanej tam informacji działały niemal kojąco. To było jak medytacja zen, tylko w nowoczesnym wydaniu; za każdym razem, kiedy docierała do niego czyjaś ciekawa myśl, naciskał link i przeskakiwał na kolejną stronę hipnotyzujących słów i obrazów. Interesowało go wiele tematów – dawne seriale telewizyjne, muzyka, nauka, czasem nawet zaglądał na strony o archeologii. Kiedyś jednak znalazł się na takiej stronie i gorzko tego pożałował.

Wcześniej znał czasopismo, do którego należała strona. Był to magazyn zajmujący się zjawiskami nadprzyrodzonymi, od

zagadkowych kręgów w zbożu i UFO po współczesne przesady, niewyjaśnione zgony i dziwne zbiegi okoliczności, opisywane w „Fortean Times” inteligentnie i przenikliwie. W sklepach z prasą przeglądał to czasopismo, ale nigdy nie przemógł się i nie kupił go.

Na stronie głównej widniało krótkie doniesienie:

Od kilku tygodni świat jakby oszalał! Jak państwo wiedzą, bez przerwy zbieramy wszystkie doniesienia o dziwnych zjawiskach na całym świecie, żeby stwierdzić, czy ich liczba rośnie. Od świąt Bożego Narodzenia liczba ta wzrosła dwudziestokrotnie. Doniesienia na naszej grupie dyskusyjnej „balt.misc.forteanana” są coraz liczniejsze we wszystkich kategoriach, od tajemniczych głosów na taśmach magnetycznych, po doniesienia o dziwnych zwierzętach i UFO. Co się dzieje!?!

Church przeczytał tekst dwa razy, czując narastający i trudny do wytłumaczenia niepokój. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie uznać doniesienia za nieco szalony żart, nie potrafił jednak uniknąć narzucających się nieodparcie skojarzeń. Kliknął na link do grupy dyskusyjnej i uważnie zaczął przeglądać posty. Inżynier telewizyjny w Nottingham zarejestrował na taśmie dziwne chichoty, podczas gdy mikrofon powinien był ściągać jedynie biały szum z radia. Na wyżynach Szkocji spadł deszcz ryb. Nad jeziorem Ennerdale w Lake District zauważono dziwne światła. Kierowniczka poczty z przejęciem opowiada o rozmowie ze swoim zmarłym ojcem. Wydarzenia nie wiązały się ze sobą, ale przeglądając niekończącą się listę, Church był zaskoczony ich ogromną różnorodnością; pisali ludzie w różnym wieku, różnych

zawodów, z różnych części kraju. Doniesienia pisane były pełnym przejęcia tonem, co czyniło je jeszcze bardziej poruszającymi. Church poczuł, że odnalazł jakiś kontekst dla tego, co jemu samemu się przydarzyło.

Jego uwagę zwrócił krótki post z podpisem LauraDuS.

To wszystko jest ze sobą powiązane. Mam dowód. Kto chce się dowiedzieć więcej, niech do mnie napisze.

Po chwili wahania Church odpowiedział, prosząc o więcej informacji.

Dalej na liście znajdował się post Boba Rickarda z redakcji „Fortean Times”, wyjaśniający ogólną filozofię czasopisma. Pokonując skrepowanie, Church pokrótce opisał to, co przydarzyło się pod mostem Alberta i wysłał do Rickarda maila z prośbą o opinię. Potem powrócił do listy i dalej studiował wzbierającą falę dziwnych wydarzeń.

Kiedy o pierwszej w nocy wyłączył komputer, miał przekrwione oczy i czuł suchość w ustach; był podekscytowany, zaintrygowany i pełen niepokoju. Po dwóch latach hermetycznie zamkniętego życia nareszcie coś czuł i było to bardzo przyjemne.

Wstał od komputera i powróciła świadomość ukrytych w umyśle lęków i tragedii; nastrój błyskawicznie pogorszył się i Church zdał sobie sprawę, że nie dozna ulgi, jeśli nie poradzi sobie jakoś z tym okropnym wydarzeniem. Zatopiony w myślach, podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony i nie zauważył stojącej na ulicy postaci. Dopiero kiedy przejeżdżający samochód zwrócił jego uwagę na widok za oknem, zauważył ją i aż przeszedł go zimny dreszcz. Widoczność z pierwszego piętra nie była najlepsza i stojącą na ulicy postać zasłaniały gałęzie drzew,

jednak Church od razu rozpoznał tę szczególną postawę i sposób poruszania się. Znał go jak swoje własne odbicie w lustrze.

Sekundę później zbiegał już po schodach, czując przeszywające go dreszcze i wykrzywając twarz od mroźnego powietrza, które uderzyło jego pokrytą zimnym potem twarz. Rozpacz i niedowierzenie kazały mu przyspieszyć, ale zagadkowej postaci już tam nie było, choć przebiegł po sto metrów w obie strony ulicy. Zdesperowany, padł w końcu na kolana przed drzwiami swojego domu i złapał się za głowę, z trudem powstrzymując gonitwę myśli, zastanawiając się, czy oszalał. Oczy wypełniły się dawno wyschłymi łzami. To była Marianna, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Marianna nie żyła od dwóch lat.

ROZDZIAŁ 2

RÓŻNE WIDOKI Z TEGO SAMEGO OKNA

Ruth nie lubiła bezczynności i postanowiła wykorzystać dwa tygodnie przymusowego urlopu w pożyteczny sposób. Zdawała sobie sprawę, że uraz, jakiego doznała pod mostem Alberta, jest odpowiedzialny za kłopoty w pracy, ataki depresji i bezsenne noce. Postanowiła nie poddać się lękowi; to właśnie dzięki psychicznej wytrzymałości tak szybko awansowała w firmie.

W związku z wydarzeniem pod mostem Alberta nikogo nie aresztowano, choć w mediach ogłoszono rysopis sprawcy powstały w oparciu o zeznania Ruth i Churcha. Wielkolud był tak charakterystyczny, że Ruth nie mogła zrozumieć, dlaczego nie odnaleziono go zaraz po zajściu. Śledztwo napotykało na kolejne trudności i po kilku tygodniach stało się jasne, że spełzło na niczym. Pracując w kancelarii adwokackiej, Ruth miała bezpośredni dostęp do informacji londyńskiej policji, a znane jej tam osoby przymykały oko, kiedy okazyjnie sprawdzała coś w tajnych aktach. Pewnego ranka znalazła się więc w pustym pokoju, sam na sam z teczką leżącą na niewielkim biurku.

Ofiarą był Maurice Gibbons, niższy rangą urzędnik od wielu lat pracujący w Ministerstwie Obrony, przez co podejrzewano na

początku, że nie był to zwykły napad rabunkowy. Kiedy jednak okazało się, że Gibbons nie znał żadnych tajemnic i zajmował się dostawami mebli do biur ministerstwa, szpiegowski wątek śledztwa szybko zarzucono. Zamordowany urzędnik miał czterdzieści osiem lat i mieszkał z żoną w Crouch End; mieli dwoje dorosłych dzieci, które nie mieszkały już z nimi. Niejasne były powody, dla których Gibbons znalazł się nad ranem pod mostem Alberta. Wieczorem tego dnia powiedział żonie, że idzie do lokalnego pubu na piwo; położyła się spać sama i aż do rana nie wiedziała, że nie wrócił do domu. Nie pamiętała, żeby zabierał ze sobą aktówkę, ale możliwe, że wychodząc wziął ją z przedpokoju; nikt nie zastanawiał się, na co mu w pubie aktówka. Więcej informacji w teczce nie było. Gibbons nie miał wrogów, wszystko kazało uznać, że stał się przypadkową ofiarą. Ruth zapisała jego adres i telefon oraz nazwisko żony i wyszła dyskretnie z pokoju, uśmiechem dziękując czekającemu na zewnątrz policjantowi.

Istniało oczywiście racjonalne wyjaśnienie obecności Gibbonsa pod mostem o tej porze – romans, hetero lub homoseksualny – a zignorowanie tej możliwości wydało się młodej prawnicze błędem w prowadzeniu śledztwa. Uznała, że musi porozmawiać z żoną ofiary.

Decyzja o podjęciu działań w tej sprawie nieco poprawiła Ruth humor, ale wydawało się jej, że w domu wciąż oczekiwały depresja i rozpacz, nieznanne wcześniej uczucia, z którymi nie umiała sobie dać rady. Rozgoryczona, udała się do kuchni w nadziei, że mocna kawa odpędzi zły nastrój. Przechodząc obok automatycznej sekretarki, zauważyła, że ktoś zostawił wiadomość.

Był to Church.

— Musimy porozmawiać – powiedział jego głos.



Spotkali się w pubie Nag's Head w Covent Garden, na chwilę przed przerwą obiadową, kiedy trafiały tam tłumy urzędników. Church zamówił duże piwo, a Ruth wodę mineralną; usiedli przy stoliku w głębi lokalu, gdzie nikt nie miał im przeszkadzać. Church nie mógł się uspokoić, prawie nie spał od chwili, kiedy zobaczył – albo wydawało mu się, że zobaczył – Mariannę przed swoim domem. Starał się wyjaśnić sobie, że była to tylko halucynacja wywołana niepokojem i wypartym w podświadomość urazem psychicznym, ale i tak powiększyła ona tylko panujący w jego życiu chaos. Przyniosła jednak jeden dobry skutek: był tak wstrząśnięty, że nie mógł dłużej biernie zgadzać się na to, co się z nim działo.

— Nie sądziłam, że się pan jeszcze odezwie. Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, nie był pan tak skory do zwierzeń – zaczęła Ruth.

— Nie można bez końca chować głowy w piasek. Pani pewnie też nie jest łatwo, jeśli to wydarzenie miało na panią taki sam wpływ jak na mnie – odpowiedział Church, pokonując skrepowanie. Postukał się palcem w skroń. – Zupełnie nie pamiętam, co się wtedy stało, ale moja podświadomość wszystko widziała i świetnie pamięta. Teraz ten diabełek na dnie mojej głowy nie da mi spokoju, dopóki nie rozwiążę tej zagadki.

Ruth pokiwała głową.

— A więc – dodał bez entuzjazmu – chciałem powiedzieć, że miała pani rację.

— Zawsze lubię słuchać, jak ludzie mi to mówią – uśmiechnęła się Ruth. Instynktownie wyczuwała, że mogła temu człowiekowi zaufać, a nawet więcej; czuła, że mogłaby go nawet polubić, choć nie wiedziała, co takiego ją do niego ciągnęło. Było w nim coś, co kazało się domyślać głębi uczuć i mrocznego charakteru.

— Co chce pan zrobić?

Church pokazał jej pogniecioną kartkę z wydrukowanym listem od Boba Rickarda, redaktora „Fortean Times”.

— Zapytałem w internecie kilku osób, co można zrobić z wypartymi wspomnieniami.

— Zapewne cały czas się to komuś przydarza, prawda?

— To zaskakujące, ale tak. Podobno cierpią na to wszystkie bez wyjątku osoby porwane przez UFO. Budzą się rano z bólem w odbytnicy – czy to hemoroidy? Można się dowiedzieć, czy powodem nie było badanie przeprowadzone w nocy przez obcych. To się nazywa hipnoza regresywna. Powiem szczerze, że lekarz, z którym na ten temat korespondowałem, był nieco zbyt entuzjastycznie nastawiony do swojej metody. Są ludzie, którzy sądzą, że może ona przynieść więcej szkody niż pożytku. Istnieje coś takiego jak syndrom fałszywych wspomnień, który polega na umieszczeniu w pamięci czegoś, co jest tylko dziełem naszej wyobraźni albo pochodzi z lektur i wspomnień należących do innych ludzi, a umysł traktuje taką fantazję, jak prawdziwe wspomnienie. Ten psychiatra twierdzi również, że Królewska Izba Lekarska zakazała swoim członkom wykorzystywania hipnozy do odzyskiwania wspomnień. Wielu ekspertów twierdzi jednak, że ta metoda rzeczywiście działa.

— A czy jest alternatywa?

— Lata albo dziesiątki lat terapii.

Ruth westchnęła.

— Nie jestem pewna, czy pozwoliłabym, żeby ktoś z butami pchał się w najgłębsze obszary mojego umysłu.

Dlatego jest to metoda zarezerwowana tylko dla ludzi w desperacji, prawda? – Church powiedział coś, co wisiało w powietrzu od początku rozmowy. Odwrócił trzymaną w ręku kartkę i pokazał Ruth listę nazwisk. – Tutaj mam listę lekarzy, którzy posiadają odpowiednie kwalifikacje.

Ruth zamknęła oczy i wskazała palcem przypadkowe nazwisko.

— Podobno akt wiary potrafi czynić cuda.

— Niech pani nie miesza w to religii – odpowiedział Church, zaznaczając nazwisko wybranego lekarza. – I tak nie mogę spać. Brakuje jeszcze, żeby ktoś nam powiedział, że zobaczyliśmy diabła we własnej osobie.



Termin wizyty u psychiatry ustalili na trzy dni później. W miarę jak zbliżał się ten dzień, Churcha i Ruth ogarniał coraz większy niepokój, jakby ukryte w ich umysłach potwory wyczuły zbliżający się czas ich wyrzucenia z dotychczasowego mieszkania i walczyły o przedłużenie pobytu. Church odebrał tymczasem pierwszego maila. Pisała niejaka Laura DuSantiago, programistka z Bristolu, pracująca w firmie produkującej gry komputerowe. Nie wyjaśniła, co łączy tak liczne ostatnie niewyjaśnione wydarzenia, ale dała w liście do zrozumienia, że jakieś osobiste przeżycie dało jej klucz do zagadki. Doświadczenia Churcha wystarczyły, żeby uznać to za intrygujące i w wysłanej natychmiast odpowiedzi poprosił on o

więcej informacji.



Na Kensington High Street nastrój był ponury; kiedy Ruth i Church wyszli ze stacji metra, wiał przenikliwy, zimny wiatr, zacinał deszcz i trudno było uwierzyć, że zbliża się wiosna. Ulica malowała się w brudnych brązach i szarościach, tylko czasami odcinała się na ich tle jaskrawa czerwień znaków drogowych. Strugi deszczu nie pozwalały unieść się znad chodnika gęstym kłębowi spalin samochodów.

— Kiedy jest się dzieckiem, świat nigdy tak nie wygląda. Gdzie się podziała cała magia? – zapytał Church, kiedy przeciskali się pomiędzy stojącymi w korku samochodami, które bez widocznego powodu nie mogły ruszyć ani w jedną ani w drugą stronę.

— Myślałam, że zakazano jej prawnie. Odbierała ludziom pracę – odpowiedziała Ruth, biegnąc w kierunku daszku nad wejściem do jakiegoś sklepu, gdzie być może uda się im przeczekać najgorszą ulewę. Nie postali tam zbyt długo, jak najszybciej chcieli dostać się do gabinetu psychiatry; Ruth wybiegła spod daszku, trzymając nad głową egzemplarz „Marie Claire”.

Gabinet znajdował się na bocznej ulicy, tuż przy skrzyżowaniu z Kensington High Street. Zadzwonili do bramofonu, a kiedy otworzono im drzwi, wpadli z ulewnego deszczu na korytarz.

— Właśnie otwierają puby – zaproponował Church, a Ruth uśmiechnęła się blado. Przez chwilę rzeczywiście chciała odwrócić się i uciec.

W recepcji pachniało politurą i nowymi dywanami. Wystrój pomieszczenia był oszczędny i funkcjonalny; za niskim biurkiem uśmiechała się jasnowłosa asystentka. Psychiatra Stephen Delano pojawił się w głębi pokoju zaraz, jak weszli, jakby wyczekiwał ich nadejścia. Miał około czterdziestu lat, jasnobrązowe, zaczesane do tyłu włosy, a na twarzy uśmiech, niekoniecznie nieszczerzy, niemniej wprawiający Churcha w zakłopotanie. Psychiatra podszedł i obojgu uścisnął energicznie ręce.

— Miło państwa poznać, zapraszam do gabinetu.

Poprowadził ich do następnego pomieszczenia, gdzie panował półmrok i było cieplej niż w recepcji. Światła dostarczało kilka umiejętnie rozmieszczonych lamp; przy wygodnych fotelach znajdował się sprzęt muzyczny.

— Witam w łonie – odezwał się Delano. – Sądzę, że poczują się tutaj państwo bezpiecznie i miło. Muszą się państwo rozluźnić.

Ruth usiadła w fotelu, odchyliła głowę i zamknęła oczy.

— Proszę mnie obudzić, jak już będzie po wszystkim.

— Czy są państwo pewni, że chcą przez to przejść razem? – zapytał jeszcze Delano. – Sądzę, że lepiej dla państwa będzie odbyć tę terapię osobno, choćby po to, by jedno z państwa nie sugerowało się wypowiedziami drugiego. To nie jest operacja chirurgiczna; wspomnienia są delikatne i łatwo ulegają obcym wpływom.

— Chcemy być razem – stanowczo odpowiedział Church. Kiedy wcześniej rozmawiali o tym z Ruth, instynktownie doszli do wniosku, że tylko tak zdołają stawić czoła ukrytym wspomnieniom.

— Cóż. Nasz klient, nasz pan – Delano zatarł ręce, a następnie posadził Churcha na jednym z foteli obok Ruth i ustawił między nimi wielki, szpulowy magnetofon. – Potem będę mógł

przygotować dla państwa kasetę. Oryginał nagrania zatrzymam u siebie.

Pokrótkę wytłumaczył swoją metodę, pilotem jeszcze przyciemnił światła. Church oczekiwał, że w ciepłe i półmroku poczuje się senny, ale niepokój powodował tylko dreszcze, które zdawały się przechodzić przez całe ciało. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Ruth, w ciemności jej twarz wydała mu się blada. Uśmiechnęła się do niego, ale w jej oczach było widać ten sam niepokój. Delano przysunął sobie krzesło, usiadł naprzeciw nich i przemówił tak przyciszonym głosem, że Church z trudnością zdołał usłyszeć, co psychiatra mówi. Po kilku chwilach słowa zaczęły przetaczać się przez umysł Churcha jak gromy odległej burzy. Czas zatrzymał się.

Przez pewien czas, mogła to być minuta albo dziesięć minut, Churchowi wydawało się to przyjemne, ale potem poczuł się zaniepokojony. W nieodgadniony sposób wyczuwał, że nie są w tym pokoju sami. Chciał zawołać, ostrzec Ruth i Delano, ale usta odmówiły posłuszeństwa, podobnie jak mięśnie szyi, kiedy próbował się rozejrzeć wokoło. Był przekonany, że ktoś czai się w cieniu, ktoś, kto im zagraża, przygląda się złowrogo i czeka na odpowiedni moment, żeby zaatakować. W chwilę później uczucie to osłabło i Church zdołał się przekonać, że był to tylko uboczny efekt hipnozy; nie ustało jednak zupełnie.

— Jest wczesny ranek, siódmego lutego – spokojnym głosem intonował Delano. – Gdzie jesteś, Jack?

Church usłyszał swój głos, choć nie uczynił żadnego świadomego wysiłku, żeby coś powiedzieć.

— Nie mogę spać. Wyszedłem na spacer, żeby się zmęczyć i szybciej zasnąć. Mam złe sny. – Przełknął ślinę, czując, że ma zaciśnięte gardło. – Jest mgła, prawdziwe mleko. Nigdy nie

widziałem tak gęstej mgły, jak z powieści Dickensa. Widzę kobietę piorącą coś w rzece. – Przeszedł go nagły spazm – nie...

— W porządku, Jack. Odpocznij chwilę – szybko powiedział Delano. – Ruth, gdzie jesteś?

Ruth wyprężyła się cała i wzięła bardzo głęboki oddech.

— Byłam w klubie The Fridge, Clive zachowywał się okropnie. Zdał sobie właśnie sprawę, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. – Jej głos spontanicznie przeszedł w śpiewną tonację. – „Dlaczego nie robisz tego? Dlaczego nie robisz tamtego?”. Nie zależy mu tak naprawdę na mnie, tylko na wyobrażeniu, które o mnie ma. Jest coraz bardziej poirytowany... w końcu wybucha... idzie sobie, zostawia mnie. Trochę się boję, jest tak cicho, na ulicy żywej duszy, ale staram się nie okazywać strachu. Szybkim krokiem dojdę do domu w kilka minut. Potem słyszę hałas, jakby... bójka?... dochodzi spod mostu.

— Jack, czy słyszysz odgłosy bójki? – głos Delano wydawał się coraz bardziej odległy.

— Tak. Przestraszyłem się tej starej kobiety, ale kiedy usłyszałem szamotaninę, zapomniałem o niej. Mógłbym pójść dalej... nie zwrócić uwagi... ale tak nie wolno, może ktoś potrzebuje pomocy. Muszę sprawdzić.

— Czy boisz się o siebie?

— Trochę. Ale jeśli będę mógł pomóc, to muszę spróbować. Zbyt wielu ludzi udaje, że nic nie widzi. Znajduję schodki prowadzące w dół ku rzece. Są mokre... idę powoli, ostrożnie. Znowu słyszę odgłosy szamotaniny. Jakby warknięcie. Zastanawiam, czy na dole nie ma jakiegoś zwierzęcia, może psa albo... czegoś innego. Czuję zapach rzeki. Wszędzie mokro. Serce wali. Zbliżam się do mostu, trzymam się ściany... – Kolejny spazm. Church niemal coś zobaczył, coś w pokoju, czy w swojej

głowie?

— Odpocznij chwilę, Jack. Ruth?

— Jestem już u dołu schodów, gotowa w każdej chwili uciec. Ale nie, przecież mam wysokie obcasy. Będę musiała je zrzucić z nóg. Ale są drogie... Szkoda mi ich. Pod mostem jest ciemno. Podchodzę bliżej. Chyba ugryzłam się w wargę... czuję smak krwi. – Jeszcze jeden głęboki, drżący oddech. – Stoi tam dwóch mężczyzn. Z początku wyglądają jak para cieni. Jeden z nich jest wielki, największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałam. Trzęsie tym drugim. Zauważam jeszcze trzeciego mężczyznę, przygląda się bójce. Widzę, że przyszedł z drugiej strony mostu. Czuję ulgę... Nie jestem sama.

— Czy to Jack? – cicho zapyta! Delano.

— Tak, tak, to Church. Ma bardzo zdecydowany wyraz twarzy. Wygląda na dobrego człowieka. Czuję się przy nim bezpieczna. Oboje przypatrujemy się walczącym...

— Czy on żyje? – przerwał nagle Church głośnym głosem. – Boże, on chyba nie żyje! Nie, rusza się. Ale ten wielkolud go podnosi. Skąd ma taką siłę? Jedną ręką... co się dzieje?... zaraz przetrąci mu kark!

— Uspokój się – uciszył go Delano.

— Jeśli go nie postawisz, wezwę policję! – krzyknęła Ruth. Rzuciła się, próbując wstać z fotela, lecz opadła z powrotem.

— Spokojnie, spokojnie – odezwał się Delano. – Uspokój...

— Przestań! – Church rzucił się w fotelu. Delano położył mu rękę na ramieniu, ale Church odrzucił ją gwałtownie.

— Patrzy... – wyrzęziła Ruth, nie mogąc złapać oddechu.

— ...na nas! – skończył Church.

Delano z niepokojem spojrzał na jej pobladłą twarz.

— Chyba powinniśmy już skończyć – powiedział. – Zrobimy

przerwę. Później do tego wrócimy.

— Boże! Patrz na... – wykrztusił Church.

— Jego twarz! Zmienia się...

— Topnieje!

Oboje wili się teraz w swoich fotelach. Delano złapał każde z nich za nadgarstek, obawiając się, że traci kontrolę, że wszyscy tracą kontrolę. Wstał i wszedł pomiędzy ich fotele.

— Liczę do trzech.

— Nieludzkie!

— Jego oczy...

— Czerwone.

— Demon! – wykrztusiła Ruth. – Pokrzywiony... potworny... – Przechyliła się i zwymiotowała na podłogę.

— Raz!

— Jest zły! – krzyknął Jack. – Czuję bijące od niego zło! Patrzy na mnie!

— Dwa!

Ruth ponownie zwymiotowała, a potem zsunęła się na kolana.

— Nie mogę patrzeć na tę twarz!

— Trzy!

Przez jedną okropną sekundę Delano zaczął się bać, że nie uda mu się wydobyć ich z hipnozy, ale stopniowo powracali do rzeczywistości, jakby wydobywali się na powierzchnię wody. Church pochylił się w fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Czuł się cały rozpalony, lał się z niego pot. Ruth uniosła się na fotel i siedziała z zamkniętymi oczami.

Delano był wstrząśnięty. Jemu też wyszedł pot na czoło, a ręce drżały tak, że z trudnością zdołał wyłączyć magnetofon. Pośpiesznie sięgnął po pilota i przegnał zalegające w pokoju cienie.

— Tak, to było dla nas wszystkich niezwykle doświadczenie – bąknął niezręcznie. Przyniósł obojgu pacjentów wody, którą ci wypili w milczeniu. Wezwana asystentka zajęła się sprzątaniami dywanu. Ruth i Church dopiero po dziesięciu minutach przyszli do siebie.

— To było niewiarygodne – powiedział w końcu Church. Jego ochryply głos przeszył ciszę jak tępy nóż.

— Tak właśnie – odpowiedziała Ruth. – Bo to nieprawda.

— Co ty mówisz? – spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Przecież zobaczyliśmy to samo.

Ruth potrząsnęła stanowczo głową.

— Church, pomyśl tylko – zaczęła do niego mówić na ty. – Musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie. Wystarczy, że wykażemy się odrobiną intelektualnej dyscypliny; pierwsza odpowiedź nie zawsze jest najlepsza. Pan doktor powiedział nam już, że wspomnienia mogą ulec wpływom wyobraźni i innych czynników, prawda? – zwróciła się do Delano.

Ten skinął głową.

— Pamiętasz, jak w pubie powiedziałaś coś o tym, że zobaczyliśmy diabła i teraz właśnie go sobie przypomniał. Umieściłaś myśl o diable w swoim i moim umyśle, a nasza podświadomość uczyniła z niej wspomnienie czegoś realnego. To była samospełniająca się przepowiednia.

Spojrzała na Delano, oczekując poparcia.

— Państwa reakcje były ekstremalne, co wskazuje na bardzo silny ukryty uraz psychiczny. Wytłumaczeniem może być fakt, że byli państwo świadkami brutalnego morderstwa, mówili państwo o tym przez telefon – powiedział psychiatra. – To, co państwo sobie dziś przypomniał, to tak zwane wspomnienie-zasłona. Wytworzyli je państwo, by obronić umysł przed

kolejnym urazem. Tak, to co się działo, było przerażające, ale elementy fantastyczne pozwalają teraz uznać to wspomnienie za dzieło wyobraźni, przez co nie muszą się państwo go bać. Natomiast prawdziwe wspomnienie, które jest ukryte za tą zasłoną, jest źródłem znacznie większego lęku. Sądzę, że będziemy potrzebowali jeszcze kilku sesji, żeby do niego dotrzeć, jeśli mam być szczery. – Uśmiech na twarzy Delano kazał się domyślać, że sam czerpał otuchę ze swojego wytłumaczenia. – Muszę przyznać, że byłem nieco zaniepokojony. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z takim przypadkiem.

Church sceptycznie przyjął to wytłumaczenie.

— Mnie się to wydawało całkiem realne.

— Przepraszam za dywan – odezwała się z zażenowaniem Ruth. Churchowi zdało się, że jego znajoma zaraz parsknie nerwowym śmiechem.

— Proszę się tym nie przejmować – odpowiedział Delano. – Sprawdzę tylko nagranie i niezwłocznie przygotuję dla państwa kasetę.

Uklęknął przed magnetofonem i przewinął taśmę. W chwilę później, kiedy spróbował ją odtworzyć, rozległ się szum, a potem wybuch czyjegoś histerycznego śmiechu. Delano zmarszczył brwi, przewinął taśmę do przodu i spróbował jeszcze raz. Po kilku sekundach szumu dał się słyszeć ten sam śmiech, zanikający i pojawiający się znowu, jak źle nastawiona stacja radiowa. W miarę, jak śmiech przybierał na sile, Church czuł narastający niepokój i obrzydzenie. Skonsternowany Delano wyłączył wreszcie magnetofon.

— Bardzo państwa przepraszam. Nigdy mi się jeszcze coś takiego nie zdarzyło – powiedział głosem zdradzającym zmieszanie. – Magnetofon musiał odebrać jakieś zabłąkane

sygnały.

— Mam nadzieję, że nasze mózgi ich nie odebrały – odpowiedział Church.



Wyszli na ulicę zalaną mdłym światłem zimowego słońca, które wyrzało na chwilę zza burzowych chmur, ale nie zdołało przepędzić mrocznych wspomnień uwolnionych w czasie wizyty u psychiatry. Latały teraz jak szarańcza w głowach Ruth i Churcha, dezorientując i przyprawiając oboje o mdłości.

— Czuję się teraz znacznie lepiej, choć nie dowiedzieliśmy się, co się wtedy stało – powiedziała Ruth, starając się robić dobrą minę. Poklepała Churcha po ramieniu. – No, już nie przejmuj się tym. To był tylko zły sen, nic więcej.

Church przyglądał się oknom biur nad wystawami sklepowymi; miał nieodparte wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

— Muszę się czegoś napić.

— Zaraz znajdziemy odpowiednie miejsce.

Zabrała go na lunch do polskiej restauracji zwanej Wódka, ukrytej pośród drogich apartamentowców na południowej stronie Kensington High Street. Jedząc bliny ze śmietaną i popijając lodowatą wódką, Ruth i Church omawiali poranną wizytę u psychiatry i plany na najbliższą przyszłość. Churcha ujął zmysł praktyczny jego znajomej i poczucie humoru, dzięki któremu mogła śmiać się nawet z niedawnych przerażających wydarzeń.

— Wciąż wyglądasz tak, jakbyś myślał o czym innym – powiedziała Ruth, kiedy przełamali pierwsze lody i rozmowa

przyjęła bardziej osobisty charakter.

— Wiesz, jak to jest – ociągał się Church, sącząc mocną polską kawę. Ruth wydawała się nie dostrzegać jego zakłopotania.

— Chciałbyś mi coś powiedzieć, ale trudno ci zacząć, prawda?

— Nie chcę się narzucać ze zwierzeniami.

— Dalej, ja lubię słuchać. Poza tym, jesteśmy teraz bratnimi duszami. Musimy trzymać się razem.

Church z łatwością mógłby udzielić jakiejś wymijającej odpowiedzi, ale w Ruth było coś, jakieś ciepło i zrozumienie, które skłaniało go do zwierzeń. Wziął głęboki wdech.

— Miałem kiedyś dziewczynę, nazywała się Marianna Leedham. Była grafiką komputerową – czasopisma, okładki książek, takie rzeczy. Zaczęliśmy się spotykać wkrótce po tym, jak skończyła uniwersytet. Miałem wtedy okropne mieszkanie w Battersea, koło Lavender Hill, a Marianna mieszkała tuż za rogiem. Widywaliśmy się wcześniej w supermarkecie albo w sklepiku na naszej ulicy. Wiesz, czasem spotyka się kogoś przypadkowo i ma się pewność, że prędzej czy później będzie się z tą osobą razem, choć nie zamieniło się z nią jeszcze nawet jednego słowa.

Ruth skinęła głową, słuchając uważnie.

— Właśnie tak się czułem i wiedziałem, że ona też. W miejscowym pubie, Beaufoy Arms, urządzano raz do roku przejażdżkę statkiem po Tamizie. Trwało to całą noc, zawsze było dużo alkoholu, grill, tańce; statek płynął do tamy Thames Barrier i z powrotem. Pojawiłem się tam z przyjaciółmi, a Marianna ze swoimi. Oboje wiedzieliśmy, że tego wieczora stanie się coś szczególnego. Potem, tuż przed wschodem słońca, znaleźliśmy się sami na pokładzie; to nie był wcale przypadek. – Uśmiechnął się. – Chwilę porozmawialiśmy, potem zaczęliśmy się całować. To

było jak jakiś głupi romantyczny film.

Ruth spostrzegła, że uśmiech Churcha staje się smutny.

— Co się potem stało?

Westchnął głęboko.

— Wszystko zlewa mi się w pamięci. Spotykaliśmy się, zamieszkaliśmy razem. Trudno pewnie w to uwierzyć, ale nigdy się nie kłóciliśmy, ani razu. Było najlepiej, jak być mogło. Nie myśleliśmy jeszcze o małżeństwie, ale matka Marianny powoli traciła cierpliwość, jak to matka, i ogłosiliśmy w końcu zaręczyny. Wszystko układało się jak najlepiej, aż...

Głos zamarł Churchowi w gardle; słowa, które chciał wypowiedzieć, ciążyły jak kamienie, ale zmusił się w końcu, żeby mówić dalej.

— To było dwa lata temu. Musiałem wyjść wieczorem z domu. Kiedy wróciłem, panowała tam dziwna cisza, Marianna zawsze lubiła słuchać jakiejś muzyki. Od razu wiedziałem, że stało się coś niedobrego. W mieszkaniu panował dziwny zapach, do dziś nie wiem, co to było. Zawołałem ją; wiedziałem, że nie miała tego dnia nigdzie wychodzić, ale serce biło mi już jak oszalałe. Wiedziałem. Wiedziałem, rozumiesz? Znalazłem ją w kałuży krwi za drzwiami łazienki. Podcięła sobie żyły.

— O Boże, przepraszam – powiedziała Ruth zmieszana. – Nie powinnam była wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

— Nie, nie. W porządku. To wspomnienie nie sprawia mi już tak wielkiego bólu, żal minął, ale czasami czuję się trochę...

Znów zamilkł, ale jej pełen zrozumienia uśmiech mówił mu, że wie, co Church chce powiedzieć.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego popełniła samobójstwo. Nie daje mi to spokoju. Żadnego powodu. Nie miała depresji, nie kłóciliśmy się. Wydawało mi się, że nasze życie jest pod każdym

względem doskonałe. Potrafisz to sobie wyobrazić? Odkrywasz pewnego dnia, że najbliższa ci osoba miała drugie, pełne cierpienia życie, o którym nic nie wiedziałaś? Była tak zrozpaczona, że postanowiła się zabić. Jak to możliwe, że nic nie zauważyłem? Musiałem być tak zapatrzony w siebie...

Nie potrafił wyrazić tego, co czuł, co od dwóch lat niszczyło mu życie: nie żał, ale poczucie winy, bo musiał być w jakiś sposób winny jej śmierci.

Ruth doskonale rozumiała jego uczucia. Pochyliła się nad stołem i cichym głosem zaczęła go pocieszać.

— Mogło być tysiące powodów. Mogła to być nagła zmiana nastroju...

— Wiem, znam to na pamięć. Dokładnie przemyślałem każde możliwe wytłumaczenie, od dawna nie myślę przecież o niczym innym. Dlatego właśnie wydaję się nieobecny duchem. To najważniejsza rzecz w moim życiu.

— Przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam. Zachowałem się egoistycznie, przecież wszyscy mają jakieś problemy.

Spojrzał na deszczową ulicę za oknem. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiedzieć Ruth o niedawnym pojawieniu się Marianny przed jego domem, wtedy jednak musiałyby przyznać, że to stało się naprawdę i dać sobie radę. Uznał, że nie jest jeszcze gotowy na to wyznanie.

— Chciałbym wreszcie o tym zapomnieć, ale zagadka jej śmierci nie daje mi spokoju. Przecież jeszcze kilka godzin wcześniej robiła plany na nasze wesele.

Church znów zamilkł, bo pojawiła się kelnerka, żeby dolać im kawy. Widać było, że nie ma ochoty dalej o tym rozmawiać.

— Dziękuję za lunch, Ruth.

Ta uśmiechnęła się czule.

— Uważam, że dobre jedzenie pomaga w trudnych chwilach.

— A jednak świetnie trzymasz linię – odpowiedział z udawanym rozbawieniem. Przez chwilę kontynuowali rozmowę na lżejsze tematy, ale później nieuchronnie powrócili do zdarzenia, którego byli świadkami pod Mostem Alberta.

— Więc jak sądzisz, czyja twarz kryje się za tym diabłem? – zapytał Church.

Twarcz Ruth spochmurniała.

— Nie wiem. Dlaczego nasze reakcje w hipnozie były tak ekstremalne i tak podobne?

Church dobrze rozumiał jej dezorientację.

— Z drugiej strony, to dziwne, ale po raz pierwszy od miesiący czuję, że moje życie ma sens. Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby zrozumieć, co się wtedy stało.

Church z zaskoczeniem stwierdził, że czuje dokładnie to samo.

— Co za ironia. Czy naprawdę potrzebne jest aż brutalne morderstwo, żeby nadać naszemu życiu jakiś sens?

— Nie wiem. Ale jeśli teraz damy za wygraną, to wspomnienie na pewno pozostanie w nas jak niezagojona rana i będzie dalej niszczyć nam życie. Muszę temu zaradzić, w grę wchodzi moja kariera.

Ruth zapłaciła za lunch złotą kartą kredytową.

— I co teraz zrobimy, Holmesie? – zapytał Church.

— Ależ to oczywiste, mój drogi Watsonie – uśmiechnęła się.



Żona Maurice'a Gibbonsa mieszkała w trzypiętrowej

kamienicy przy wysadzanej drzewami alei; dzielnica, niezbyt bogata, ale wyglądała przyzwoicie – tylko niektórym domom przydałby się nowy tynk i malowanie. Kiedy Church i Ruth stanęli przed drzwiami budynku, w półmroku jarzyły się już pierwsze światła. Zapowiadała się kolejna mroźna noc i oboje drżeli z zimna. Popołudnie spędzili pijąc kawę w mieszkaniu Ruth i poprawiając sobie nastrój rozmową o rzeczach obojętnych, teraz niepokój powrócił. Pani Susan Gibbons była nieśmiała i wyglądała staro jak na swój wiek. Po jej bojaźliwym usposobieniu, podkrążonych oczach i bladej twarzy widać było, że jeszcze nie przeminął żal po zamordowanym mężu. Poprowadziła ich do salonu, gdzie na kominku wciąż stały kartki kondolencyjne. Ruth wyjaśniła, że przyszli zadać kilka pytań w sprawie morderstwa jej męża, ale pani Gibbons wpatrywała się w nich tylko spojrzeniem bez wyrazu, które pogłębiło niepokój Churcha, bo rozpoznawał w nim swój własny żal.

— Zdaję sobie sprawę, że przedtem musiała pani odpowiadać na te same pytania, ale musimy przez to przejść jeszcze raz, bo wcześniej ktoś mógł o czymś zapomnieć – zaczęła Ruth.

— Rozumiem – odrzekła pani Gibbons. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, świadczący, że była kiedyś niepozbawiona polotu i poczucia humoru.

— Czy pani mąż miał jakichś wrogów?

— Nie, żadnych. Maurice nie był, jakby to powiedzieć, zapalczywym człowiekiem. Lubił swoją pracę i dobrze dawał sobie w niej radę, ale nie marzył o awansie. Wszyscy o tym wiedzieli i zgadzali się na to. Maurice nikomu nie zagrażał. – Pani Gibbons zaciskała splecione dłonie, za każdym razem, kiedy wspominała imię męża.

— Wiemy, że tego wieczora powiedział pani, że wychodzi do

pubu. Dlaczego w takim razie doszedł aż na południowy brzeg Tamizy? Ma pani jakieś przypuszczenia?

— Nie.

Na twarzy pani Gibbons pojawił się nagle strach i Church szybko zmienił temat.

— Czy pani mąż zachowywał się dziwnie, czy zrobił coś niezwykłego na kilka dni albo tygodni przed śmiercią?

Zapanowała dłuższa cisza, podczas której pani Gibbons wydawała się nieobecna duchem.

— Teraz, kiedy pan pyta, to rzeczywiście wydaje mi się, że Maurice był trochę... jakby niespokojny. Łatwo było go przestraszyć – odpowiedziała wreszcie cichym głosem.

— Czy obawiał się czegoś? – naciskał Church.

— O, to za dużo powiedziane. Nie bał się, tylko... nie czuł się pewnie. – Pani Gibbons westchnęła głośno. – W niedzielę, na kilka dni przed śmiercią, poszedł do kościoła. Maurice nigdy tam nie zaglądał. Może przeczuwał coś i chciał się pogodzić z Bogiem?

— Możliwe, że tak było – odpowiedziała Ruth kojącym głosem. Churcha ujęła jej troska i sposób, w jaki swoim zachowaniem zdołała uspokoić panią Gibbons.

— Może zechcą państwo zobaczyć jego pokój? – zapytała. – Maurice miał tyle zainteresowań, że potrzebował własnego pokoju, w którym mógł poczytać i pomyśleć. Trzymał tam wszystkie swoje rzeczy. Może znajdą tam państwo coś ważnego. Bo ja to już naprawdę nic nie wiem.

Poprowadziła ich na piętro do klitki oświetlonej nagą żarówką. Panował tam idealny porządek i brakowało jakichkolwiek bibelotów: ot, tanie biurko i krzesło, szafa na akta i półka z książkami. W kącie zobaczyli parę kapci.

— Zostawię tu państwa. Zrobię herbaty, napiją się państwo,

prawda? – pani Gibbons wyszła szybko, zamykając za sobą drzwi.

— Dlaczego był niespokojny na kilka dni przed śmiercią, jak myślisz – zapytał Church, siadając za biurkiem i otwierając szufladę.

— Nie zadawaj tego rodzaju pytań, bo zgubisz się w gąszczu spiskowych teorii.

— Wiem, fakty i tylko fakty.

— Właśnie – odrzekła Ruth, przeglądając zawartość półki z książkami. – Sądzę, że jedno z nas powinno odwiedzić miejscowego pastora. Nigdy nie wiadomo, może Maurice uznał, że musi odsłonić przed nim swoją duszę.

— Wskazał mordercę w rozmowie z pastorem i wszystko się nagle wyjaśniło. To by było cudownie, prawda? – Church zaczął wyciągać, co znalazł w pustawej szufladzie. – Pióra, koperty, papier listowy. Popatrz no, typowy pedantyczny urzędnik – wielki plik rachunków, większość za taksówki.

— Nie ma nic złego w pedantyczności – odrzekła sucho Ruth.

— Pewnie chciał je sobie odliczyć od podatku – kontynuował Church. – O, notes.

— Wiele z tych książek jest nowych – zastanawiała się Ruth. – *UFO von Dänikena*, *Okultyzm Colina Wilsona*, *Więści od umarłych: Przewodnik spirytualistyczny*. Pewnie czytał ten magazyn, o którym opowiadałeś.

— Może to tylko zbieg okoliczności.

— Pewnie tak, cały czas do nich dochodzi. Jak tam notes?

— Pierwsze kilka stron ktoś wyrwał, został tylko numer telefonu do jakiegoś Barry Riggsa. Stowarzyszenie Badaczy UFO w Crouch End.

— No świetnie, porwały go małe zielone ludziki – z drwiącym

uśmiechem skwitowała Ruth. – Powinniśmy to jednak sprawdzić, nigdy nic nie wiadomo.

Wrócili do domów taksówką, Ruth wysiadła pierwsza. Church poczuł smutek powracający po spotkaniu z ogarniętą żalem panią Gibbons. Bojąc się nawrotu depresji, która zniszczyłaby świeżo odzyskaną, kruchą równowagę psychiczną, szybko włączył komputer i połączył się z internetem. W skrzynce pocztowej znalazł maila od Laury DuSantiago.

Cześć, człowieku o nazwisku Churchill!

(Mam nadzieję, że nie jesteś jego krewnym, nie chcę wyobrazić cię sobie grubego z wielkim cygarem).

Mam wrażenie po twoim mailu, że jestem trochę w gorącej wodzie kąpana, a ty jesteś za grzeczny, żeby mi to powiedzieć. Nie będę się z tobą bawić, bo jeszcze przestaniesz odpowiadać, zanim dowiesz się najważniejszego. Wszyscy, którzy odpowiedzieli na mojego posta wycofali się, zanim zdążyłam przejść do konkretów. Zresztą może skończę z żartami, bo się robią niesmaczne.

Więc tak: maniacy internetowi tego samego dnia zauważyli wzrost liczby niezwykłych wydarzeń. Tego samego dnia, czy to przypadek? Nie sądzę. Te rzeczy dzieją się na całym świecie, ale epicentrum jest w Wielkiej Brytanii – a większość ma miejsce w pobliżu miejsc związanych z pogańskimi bądź celtyckimi legendami. Wiem, że statystycznie rzecz biorąc nie ma w tym nic dziwnego, bo nasza wyspa jest mała, ale spójrz na obraz ogólny, nie na szczegóły. Mam nadzieję, że na razie nadążasz.

A teraz gwóźdź programu. Ja sama widziałam coś, co zmieniło całe moje życie. Ja, technokratka, zawsze stojąca twardo na ziemi Laura DuS. Widziałam coś, za co daliby się pokroić wszyscy ci gamonie szukający UFO i duchów. Nie byłam na prochach, ale

trzeźwa i to coś do mnie mówiło. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co usłyszałam, musisz spotkać mnie osobiście. Nie chcę o tym pisać w internecie, bo jeszcze mnie wezmą za kolejną wariatkę.

Ale dam ci dobrą radę: nie rób planów na następne tysiąclecie...

Twoja nowa najlepsza przyjaciółka, Laura

W liście było jeszcze coś, od czego Churchowi aż się włosy zjeżyły na głowie:

PS. Zanim się spotkamy, muszę wiedzieć, czy mówi ci coś imię Marianna.

Church przeczytał tę linijkę trzykrotnie, starając się stwierdzić, czy nie oszalał albo czy ktoś nie robi mu wstrętnego żartu. Może to kolejny zbieg okoliczności, ale ostatnio za dużo ich było i Church miał wrażenie, że jakaś ukryta siła pociąga ostatnio za wszystkie sznurki w jego życiu. Wyłączył komputer, przez jakąś godzinę zajął się porządkowaniem mieszkania i pracą, ale nie mógł zapomnieć o liście od Laury i nieuchronnie powrócił do komputera, żeby odpowiedzieć. Położył się spać, uważając, żeby nie wyjrzeć przypadkiem przez okno.



Ruth zjawiała się w kościele tuż po dziewiątej. Był orzeźwiający poranek, wiatr pędził białe chmury po błękitnym niebie. W blasku słońca, przymrużonymi oczami spoglądając na nagie drzewa, a nie na szare budynki, Ruth czuła się, jakby uciekła z Londynu, daleko od smogu, szumu samochodów i nieustającego zagrożenia. Czasami, tak jak teraz, nachodziła ją zażarta

nienawiść do nowoczesnego świata.

Pastora znalazła na przykościelnym cmentarzu, gdzie przycinał żywopłot. Mimo panującego zimna miał na sobie podkoszulek. Był wysoki, czerwony na twarzy – być może od wysiłku – a siwą czuprynę miał zaczesaną za uszy. Hałas elektrycznych nożyc zagłuszał głos Ruth, ale pastor zauważył ją wreszcie i wyłączył je.

— Sądziłam, że takie rzeczy robi za wielebnego ogrodnik – powiedziała.

— O, lubię sam czasem pobrudzić sobie ręce. Czym mogę służyć?

— Nazywam się Ruth Gallagher, jestem prawniczką. Zajmuję się sprawą morderstwa Maurice’a Gibbonsa. Powiedziano mi, że wielebny go znał. – Ruth wciąż była zaskoczona, jak ludzie nabierali do niej zaufania, kiedy dowiadywali się o jej zawodzie, jakby brali ją za oficera policji.

Pastor pokiwał smutno głową.

— Biedny Maurice. Wciąż nie macie podejrzanego, prawda?

— Jeszcze nie, ale cały czas szukamy. W śledztwie jest jeden wątek, o którym chciałabym z wielebnym porozmawiać. Być może to nieważne, ale pan Gibbons odwiedził kościół na kilka dni przed śmiercią, a zwykle tego nie robił.

— Było mu wtedy bardzo ciężko – przerwał jej pastor. – Przyszedł do mnie na plebanię po nabożeństwie. Nie mogę zdradzać treści rozmów z ludźmi, którzy... – przerwał, zastanawiając się, co uczynić. – Ale Maurice nie żyje i nie widzę przeszkód, szczególnie że dzięki temu dowie się pani, w jakim był wtedy stanie psychicznym. – Pastor mówił z założonymi rękami, wpatrując się w wieżę kościoła. – Maurice bardzo przejmował się kwestiami duchowymi. Rozmawialiśmy między

innymi o powrocie duchów zmarłych osób, oraz opętaniu przez demony. Chciał się dowiedzieć, czy w razie konieczności trudno jest wystarać się o egzorcyzmy. Powiedziałem mu, że na takie obrzędy musi wydać zgodę biskup.

— Sądził, że jest opętany? – zapytała niedowierzającym tonem Ruth.

— Nie, tak bym tego nie ujął. Mówił ogólnikami, ale wyczuwałem jego niepokój. Wydawało mu się, że obawia się prześladowań ze strony wrogich nam istot należących do świata duchowego.

Wspomnienie uwolnione przez psychiatrę z całą siłą powróciło do umysłu Ruth, która z trudem stłumiła w sobie dreszcz.

— Czy dobrze się pani czuje? – zapytał pastor, patrząc na nią zatroskanym wzrokiem.

— Nie, to tylko to zimno – uśmiechnęła się z trudem. Nie wierzyła w duchy, ale trudno jej było zignorować taki zbieg okoliczności.



Wiktoriański dom, przed którym znalazł się Church, mógłby wyglądać okazale, gdyby nie szpeczące go ulepszenia: tanie okna i drzwi z PCV, rynny z szarego plastiku i szkaradny aluminiowy komin do ogrzewania gazowego. Barry Riggs uśmiechał się szeroko, otwierając Churchowi drzwi, ale ten uśmiech wydawał się wymuszony i przestraszony. Riggs był nieco otyłym mężczyzną po czterdziestce, o ziemistej cerze i okrągłej twarzy. Na nosie miał trochę za duże okulary. Unosił się wokół niego

zapach taniej wody kolońskiej, tłumiący nieco odór niemytego od dawna ciała. W domu panował nieporządek, jakby trwał remont: oparte o ściany deski, pusta puszka po farbie w hallu, rozrzucone wszędzie pokrowce na meble i nowa muszla klozetowa w salonie. Gospodarz nie starał się wyjaśnić tego chaosu, nie brzmiały również żadne hałasy towarzyszące zwykłe remontowi.

— Wiem, czego pan tutaj szuka – zaczął Riggs konspiracyjnym szeptem, wskazując Churchowi miejsce na przykrytej pokrowcem sofie.

— Powiedziałem panu przecież przez telefon – odrzekł sucho Church.

— Nie, ja znam prawdziwy powód. Chodzi o coś znacznie więcej niż śmierć Maurice’a Gibbonsa – Riggs porozumiewawczo pokiwał głową.

— To niech pan powie, co to za powód – poprosił Church. Zaczynał wątpić, czy ta wizyta miała jakikolwiek sens. Riggs wydawał się bardziej wiarygodny w czasie rozmowy telefonicznej, kiedy przedstawił się jako „kierownik badań” Stowarzyszenia Badaczy UFO w Crouch End. W swoim naturalnym środowisku był natomiast żalosny.

— Maurice usłyszał plotki o moich badaniach – zaczął Riggs, usadziwszy się na sofie bardzo blisko Churcha. – Ludzie gadają. Media ignorują całą sprawę, ale można przekazywać wiedzę przez zwykłych ludzi, którzy rozumieją, jak ważna jest moja praca. Przecież to do mnie należy przyszłość, prawda? Nieważne, odszedłem od tematu. Maurice wiedział, że mam nieodparte dowody na to, że nasz rząd wie o zagrożeniu UFO. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, więc powiem tylko dwie rzeczy: tajna baza i St. Albans. Później mogę to dokładniej wyjaśnić.

— Po co Maurice do pana przyjechał?

— Bał się infiltracji obcych, to jasne. Maurice był urzędnikiem państwowym i wiedział, że jest potencjalnym celem. Bał się, proszę pana, bardzo się bał i przyjechał do mnie, żeby dowiedzieć się, jak się obronić. „Oni są wśród nas”, tak powiedział, dobrze pamiętam. Siedział dokładnie w tym samym miejscu, co pan, miał taką małą teczkę. W środku były jakieś tajne dokumenty, ale nie był jeszcze gotowy ich pokazać. Musieliśmy nabrać do siebie zaufania, ale oni dostali go, zanim zdążył mi ujawnić, co wiedział.

— Kto go dostał?

— Obcy! W przyszłości Maurice zostanie uznany za bohatera. Chciał wszcząć alarm, bo wiedział, że rząd sprzedaje nas obcym jako zwierzęta doświadczalne do eksperymentów.

Church patrzył na zachodzące za oknem zimowe słońce, żałując, że nie wybrał jednak wizyty u pastora.

— Czy to on panu powiedział? Że chcą go dostać obcy?

Riggs milczał przez chwilę.

— Nie wyraził się tak dokładnie. Ale chciał się jak najwięcej dowiedzieć o moich badaniach. Przestudiowaliśmy daty i godziny, w których dostrzeżono ostatnio UFO, relacje świadków, wszystko. Szczególnie interesowały go opisy różnych ras obcych, Szarych, Nordyków i innych. Warianty porwań przez UFO. Szczegółowe relacje porwanych. Dźwięki, światła na niebie. Mówię panu, siedział tutaj kilka godzin.

Church wstał szybko, niemal dusząc się od odoru, jaki unosił się wokół Riggsa.

— Dziękuję panu. Bardzo mi pan pomógł.

Riggs uśmiechnął się.

— Niech pan zapamięta, co powiedział Maurice. Ludzie muszą

się dowiedzieć, co się dzieje. Są nieświadomi nadciągającej katastrofy.



— No to mamy takie możliwości: albo Maurice oszalał, albo był przepracowany i dostał psychozy pod wpływem stresu. Każda z tych możliwości świetnie tłumaczy, dlaczego włóczył się nad ranem pod mostem Alberta. – Church siedział rozparty na sofie w mieszkaniu Ruth. Był wczesny wieczór, za oknem widać było światła miasta na tle gasnącego nieba.

— Aleś ty elokwentny – ironicznie uśmiechnęła się Ruth. Spędzili pół godziny nad zamówionym curry i butelką czerwonego wina, wymieniając informacje i nie mogąc się dogadać.

— To ty byłaś sceptyczna – odpowiedział Church. – Miało nam to pomóc pozbyć się wspomnień o tym diable spod mostu Alberta. A teraz jeden człowiek mówi nam, że Maurice’a prześladowały ufoludki, a drugi, że demony.

— Patrzysz tylko na powierzchnię zjawisk. Spójrz głębiej.

— Uwielbiam, jak traktujesz mnie protekcjonalnie. Powiedz coś jeszcze, chcę więcej.

Ruth zaśmiała się i dołała Churchowi wina.

— Ważne jest to, że Maurice Gibbons był przestraszony. Coś zaniepokoiło go na tyle, że postanowił szukać pomocy u pastora i tego szaleńca od UFO. Musiał coś wiedzieć.

— Albo oszalał.

— Był pedantycznym urzędnikiem, stał twardo na ziemi. Gdyby się czegoś bał, powiedziałby o tym komuś; po co miałyby to

ukrywać. Mógłby przecież porozmawiać z wieloma ludźmi, choćby ze swoją żoną.

— Być może czekał, aż będzie miał pewność. – Church pociągnął długi łyk i zniecierpliwiony zapytał. – Czy wierzysz w duchy?

— Dlaczego pytasz? – Ruth spojrzała na niego zaskoczona.

— Nieważne. Czego jeszcze możemy się dowiedzieć? Nie potrafię znaleźć żadnego punktu zaczepienia... Zaczekaj. – Church zamyślił się na chwilę, a potem strzelił palcami. – Mam! Zapomnieliśmy o jednej rzeczy.



W czterdzieści pięć minut później ponownie znaleźli się u pani Gibbons, którą wcześniej Church zapewnił przez telefon, że ich wizyta zajmie tylko kilka minut. W pokoju Maurice'a Church podszedł prosto do biurka i wyciągnął z szuflady plik rachunków za taksówki. Przejrzał je pośpiesznie: wszystkie były wystawione w poniedziałki wieczorem i opiewały na tę samą sumę.

— Dokąd mógł jeździć tak regularnie? – zapytał Church. Pani Gibbons nie miała pojęcia.

— Sądzę, że policjanci już zwrócili na to uwagę i niczego się nie dowiedzieli – powiedziała.

Church nie dawał za wygraną. Zadzwoił do firmy taksówkarskiej, gdzie telefonistka w ciągu kilku minut znalazła adres, pod który jeździł Gibbons.



Był to mały dom – bliźniak w High Barnet. Otynkowany tylko w połowie, miał okropne okna z PCV, a ogród pokrywała popękana warstwa betonu, przez którą przebijały żółte chwasty. Światło za okienkiem w drzwiach frontowych było tak silne, że aż raziło. Zadzwonili, natychmiast otworzyła kobieta o pofarbowanych na czarno włosach i ziemistej cerze. Zaciągała się papierosem, wpatrując się w nich podejrzliwie, podczas gdy Ruth wyjaśniała, dlaczego przyszli. Niechętnie zaprosiła do hallu, w którym unosił się zapach papierosowego dymu i smażonego boczku.

— Co tydzień przyjeżdżał odwiedzać mojego wujka – powiedziała, rzuciwszy okiem na fotografię, którą otrzymali od pani Gibbons. – Dziwny był, ale poprawiał staruszkowi nastrój. Wujek nie czuje się najlepiej, od tygodni nie wychodzi z łóżka. To ja mam go teraz na głowie. – Skrzywiła się, jakby z obrzydzenia czy irytacji.

— Czy moglibyśmy z nim porozmawiać? – zapytał Church. Kobieta skinęła głową, ale potem zreflektowała się.

— Ale ja zaraz wychodzę – powiedziała wojowniczym tonem.

— Nie szkodzi, sami znajdziemy drogę do drzwi, jak my będziemy wychodzić – rozbrajająco odrzekła Ruth. – Jak nazywa się pani wujek?

— Kraicow – rzuciła kobieta, jakby nie знаła jego imienia.

Poprowadziła ich na górę i otworzyła sypialnię, gdzie ujrzeli chorobliwie wychudzonego, siwowłosego staruszka ubranego w pasiastą piżamę. Staruszek zasłaniał ręką oczy.

— Czy można z nim rozmawiać? – zapytał Church.

— Tylko jedno z państwa. Nie nadąża, kiedy mówi do niego więcej ludzi. On jest artystą, rozumiecie państwo – dodała jeszcze

konfidencyjnie. – Kiedyś był dość znany, Kobieta zostawiła ich ze staruszką. Church usiadł przy jego łóżku, a Ruth pozostała przy drzwiach. Przez chwilę w milczeniu przypatrywali się, jak Kraicow szarpał się i jęczał zasłaniając oczy, w końcu staruszek spojrzał na Churcha przytomnym wzrokiem, jakby dobrze znał swojego gościa.

— Dobry wieczór, nazywam się Jack Churchill – powiedział cicho. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw; chciałbym porozmawiać.

Kraicow spojrzał w inną stronę i wymamrotał coś. Church zastanawiał się, czy zdołają się czegokolwiek dowiedzieć od staruszka, ale ten ponownie spojrzał na gościa i zaczął wyraźnie mówić głębkim głosem.

— Miło spojrzeć wreszcie na kogoś innego niż ten wstrętny babsztyl. Ona całymi dniami nie daje mi spokoju.

— Nie zna mnie pan – kontynuował Church – ale chciałbym zadać kilka pytań na temat Maurice’a Gibbonsa.

Church zastanawiał się, jak poinformować staruszkę o śmierci Gibbonsa, ale ten zapytał po prostu.

— On nie żyje, prawda?

Church skinął.

— Ostrzegalem go.

Zapanowała pełna napięcia cisza.

— O czym go pan ostrzegał?

Kraicow podniósł się na łokciach i spojrzał Churchowi prosto w twarz, jakby sprawdzając, czy może mu zaufać, a potem z bolesnym westchnieniem opadł na łóżko.

— Maurice był świadkiem mojego załamania nerwowego... czy raczej tego, co te bałwany w przychodni nazwały załamaniem. – Mówił tak cicho, że Church musiał pochylić się nad łóżkiem, żeby

go usłyszeć. – To było w Clerkenwell, gdzie pracowałem. Nie panowałem nad sobą, zacząłem krzyczeć na ulicy, ale trudno się dziwić po tym, co przeżyłem. Maurice usłyszał, o czym krzyczę, i od razu mi uwierzył, bo widział te same rzeczy.

— A co pan zobaczył? – wyszeptał Church. Kraicow oblizał wyschnięte usta.

— Zna się pan na dawnych mitach i legendach?

— To zależy których.

— Ostateczna bitwa pomiędzy Dobrem i Złem. Koniec tego cyklu dziejów i początek czegoś nowego.

Na dole trzasnęły drzwi. To siostrzenica Kraicowa wychodziła z domu.

— Ta legenda jest taka sama na całym świecie. Kres Czasu. – Kraicow schwycił z niespodziewaną siłą dłoń Churcha. – Wracają!

— Kto wraca? – Church tracił już nadzieję; rozmawia z kolejnym szaleńcem. – Obcy? Demony?

— Nie! – odparł Kraicow poirytowany. – Powiedziałem panu, dawne mity. Nie bajki, nie, nie folklor! – Wywrócił oczami tak, że Church widział tylko ich białka. – Te legendy są prawdziwe.

— Dobrze się pan czuje?

Kraicow ponownie zasłonił oczy ręką.

— Legendy mówią o ich powrocie. Stoczą z nami ostatnią bitwę. I to prawda! Czy pan myśli, że mamy przeciw nim jakiegokolwiek szansę?

— Proszę się uspokoić – powiedział kojącym głosem Church. – Po co pana odwiedzał Maurice?

— Wiedział o ich powrocie! Też ich widział. Wiedział, że na razie się przyczaili, ale wkrótce zaczną działać – nie będą czekać długo. Drzwi są otwarte!

— Czy Maurice mówił...

— Chciał wiedzieć, co robić! Był taki przerażony, taki przerażony. Wiedział, że nie dadzą mu długo pożyć z tą wiedzą... dostali go w końcu. Ale komu miał powiedzieć? Te bałwany wsadziły mnie tutaj!

Church poczuł rozczarowanie; nic z tej rozmowy nie wynikało. Czy Gibbons był równie szalony jak Kraicow, czy też odwiedzał staruszka z życzliwości? Spojrzał na Ruth i zaczął wstawać, kiedy Kraicow złapał go za rękaw i przyciągnął.

— Pamięta pan dawną legendę: „Gdy nadejdzie najczarniejsza godzina Anglii, zmartwychwstanie bohater”. Tak jest zapisane. – Wziął głęboki wdech i znów zaczął zachowywać się normalniej. – Pan mi nie wierzy, prawda?

— Przepraszam.

— Nie, nie. Wiem, to gadanie szaleńca. Za dużo się nawdychałem oparów farb w pracowni. – Zaśmiał się gardłowo. – Proszę zajrzeć do najwyższej szuflady.

Zaciekawiony Church otworzył wskazaną szufladę i znalazł kopertę z niewyraźnie napisanym adresem.

— To moja pracownia. Proszę tam pójść, jeśli ma pan ochotę. Zobaczy pan sam.

— Nie mogę.

— Znajdzie pan to, czego pan szuka. Spokój ducha. Sens życia. Dowie się pan, co przydarzyło się Maurice’owi. Sam pan zadecyduje. – Odepchnął Churcha brutalnie i odwrócił się do ściany. – Niech pan sobie idzie!

Church jeszcze raz spojrział na kopertę i zabrał ją niechętnie. Stojąca przy drzwiach Ruth chciała się dowiedzieć, o czym rozmawiał ze staruszką.

— Później – uciał Church.

Na dole panowała ciemność i Church poczuł się nieswojo, jakby ktoś go obserwował. Wiedział, że dom jest pusty, ale uspokoił się dopiero na zewnątrz, czekając, aż nadjedzie wezwana przez Ruth taksówka.



Pracownia Kraicowa znajdowała się na najwyższym piętrze dziewiętnastowiecznego magazynu na bocznej ulicy w Clerkenwell, zapadłej dzielnicy Londynu. Z zewnątrz budynek wydawał się opuszczony: brudne, wybite okna, ściany upstrzone graffiti i plakatami dawno nie istniejących grup rockowych. Na parterze wały się kadłuby bliżej nieokreślonych maszyn śmierdzących olejem i zaschniętym brudem, kiedy jednak wyszli z towarowej windy na najwyższym piętrze, pracownia Kraicowa uderzyła ich burzą kolorów i aromatem farb olejnych i terpentyny. Na środku było rozwieszona ogromne, niedokończone płótno; chaos kolorowych plam nie pozwalał się domyślić końcowego rezultatu. Różnych rozmiarów obrazy stały oparte o wszystkie ściany. Podłoga z gołych desek była czysta, a w jednym z kątów stało łóżko polowe, w którym artysta najwyraźniej odpoczywał, kiedy był tak zajęty, że nie wychodził z pracowni. Kolekcja tub z farbą, brudnych szmat, palet i słoików z pędzlami zajmowała całą powierzchnię nierównego stołu.

— Nie masz wrażenia, że marnujemy czas? – zapytała Ruth, rozglądając się po pracowni.

— To ty nalegałaś, że mamy zbadać każdy trop, nawet najmniej prawdopodobny – odrzekł Church. – Osobiście uważam, że za dużo czytałaś opowiadań o Sherlocku Holmesie.

Ruth zaczęła przeglądać oparte o ściany płótna.

— Czego szukamy?

— Bóg jeden wie – mruknął Church, zajęty przeszukiwaniem bałaganu na stole. Obok kupy szmat znalazł arkusz papieru ze szkicem podpisanym przez Kraicowa.

— *El sueno de razon produce monstruos* – odczytał Church na głos. – Wiesz, co to znaczy?

Ruth zatrzymała się, próbując szukając w pamięci tłumaczenia.

— „Gdy rozum śpi, budzą się potwory”. To tytuł...

— ...grafiki Goyi. Tak, przypomniało mi się.

Ruth pochyliła się nad obrazami i zamyśliła.

— To dziwne, prawda? Żyjemy, jakby świat był normalny, ale wokół nas jest tylu ludzi, dla których rzeczywistość jest zupełnie inna, pełna paranoidalnych fantazji.

— Czy pastor jest jednym z nich?

Ruth zaśmiała się.

— Raczej ten od UFO, Kraicow i Gibbons. Napędzali jeden drugiego. A pani Gibbons widocznie nie miała pojęcia, co dzieje się w głowie jej męża.

Church podszedł do grupy obrazów, najwyraźniej starszej, bo pokrytej grubą warstwą kurzu.

— Paranoja jest chyba jak pożar, szybko wymyka się spod kontroli. Normalny świat staje się dziwny, a chora wyobraźnia staje się normą.

— Już ty wiesz najlepiej – pokpiwała Ruth. Church nie odpowiedział.

Przez kolejne piętnaście minut przeszukiwali pracownię, co wydawało się coraz bardziej bezcelowe i daremne. Church w głębi duszy bał się przestać; nie chciał wracać do pustego domu i

przygnębiających wspomnień. Poszukiwanie sensu niedawnego przerażającego epizodu w swoim życiu, obudziły w sercu Churcha uczucia, z którymi nie chciał zostawać sam.

Ruth pozwoliła ostatniemu obrazowi przewrócić się na podłogę.

— Myślę, że na dzisiaj to już koniec – powiedziała. Church wyczuł w jej głosie nutę przygnębienia. – Nie sądzę, że zdołamy się czegokolwiek dowiedzieć – dodała po chwili ponurym tonem. – A jeśli nam się nie uda, to nigdy nie odzyskam równowagi psychicznej. To, co się wtedy wydarzyło, było dla mnie wielkim ciosem i zupełnie nie potrafię się od tego czasu pozbierać.

Podeszła od okna i uniosła roletę, żeby spojrzeć na panoramę miasta.

— Dobrze wiem, co czujesz – odpowiedział Church, czując powracające z dawną siłą wspomnienia o śmierci Marianny. – Czasami nie można odzyskać spokoju.

Spojrzał na ostatni obraz, surrealistyczny pejzaż w stylu Salvadora Dali.

— Nic nie znalazłem. Nie wiem, co Kraicow miał na myśli, przysyłając nas tutaj, zresztą czego się można spodziewać po radach szaleńca. Co robimy?

Ruth nie odpowiedziała. Church odwrócił się ku niej powoli. Stała przy oknie, nieruchoma jak pomnik.

— Słyszałaś, co mówiłem?

Milczała. Widział, że coś się stało; w głowie słyszał szum niepokoju narastający, w miarę jak zbliżał się do Ruth. Zanim przemierzył szerokość pracowni, usłyszał jej stłumiony, przestraszony głos.

— On miał rację.

Church poczuł serce podchodzące mu do gardła, gdzieś na dole

usłyszał otwierane drzwi.

Stanął za nią i zobaczył, co tak przykuło jej uwagę. Była to niewielka gipsowa rzeźba na parapecie, niedokończona, ale z bardzo szczegółowo przedstawioną głową o twarzy tak obrzydliwej i zdeformowanej, że ledwie mogli znieść jej widok.

Dokładnie tak wyglądał ten „diabeł”, którego przypomnieli sobie w czasie sesji u psychiatry Delano. Kraicow też go widział.

Istniał naprawdę.

ROZDZIAŁ 3

W DRODZE

Resztę nocy spędzili w mieszkaniu Ruth, rozmawiając szeptem jak ludzie pogrążeni w głębokiej żałobie. Nie wiedzieli, co robić po odkryciu tej ohydnej, wyrzeźbionej w pośpiechu figurki. Prześladowające ich cienie ożyły, a rzeczywistość oddaliła się i upodobniła do złudzenia.

— Co się dzieje, do cholery?! – zakłęła Ruth, wpatrzona w swój pusty kieliszek. Wypiła za dużo wina i czuła wstyd z tego powodu, ale nie mogła sobie poradzić z tym, co oznaczało odkrycie figurki. Pod mostem Alberta nie mieli przywidzeń, naprawdę zobaczyli diabła. Będąc osobą przyzwyczajoną do logicznego myślenia, Ruth nie mogła ani temu zaprzeczyć, ani w to uwierzyć; sprzeczność doprowadzała ją do pasji.

— Nie możemy teraz o tym zapomnieć – odrzekł Church, przecierając zmęczone oczy. Czuł się zagubiony i słaby.

— Wiem przecież – ucięta Ruth ostrym tonem. – Nigdy nie sądziłam, że jedna chwila może tak fundamentalnie zmienić całe życie.

Podeszła do okna i spojrzała na światła Londynu na tle pierwszego brzasku.

— Jesteśmy teraz sami. Nikt nie wie, co my wiemy. Przecież to śmieszne! Komu mamy powiedzieć? Skończymy tak jak ten Kraicow.

— A co tak właściwie wiemy? Że istnieje jakaś

nadprzyrodzona istota, która czasem wygląda jak człowiek, a czasem jest tak ohydna, że nie można na nią spojrzeć i pozostać przy zdrowych zmysłach?

— Wiemy – odrzekła ponurym głosem – że nic nie jest takie, jak się nam wydaje. Bo jeśli coś takiego istnieje, to wszystko jest możliwe. Więc jakie teraz są zasady, Church? Co się wokół nas dzieje?

Church milczał, nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Wypił resztę wina i zamyślony bawił się kieliszkiem.

— No, przynajmniej mamy siebie nawzajem – powiedział w końcu. Ruth odwróciła się do niego nagle i uśmiechnęła blado.

— Właśnie, ja i ty kontra reszta świata.

Church zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

— Kraicow musi wiedzieć więcej; zobaczył to samo co Gibbons.

— W takim razie – zabrzmiał jej energiczny głos – musimy złożyć mu kolejną wizytę.



Nie mogli po tej nocy zasnąć, pojawili się przed domem Kraicowa wcześniej rano i drzemiąc siedzieli w samochodzie Churcha, aż nadejdzie przyzwoita pora na odwiedzin. Otworzyła im jego siostrzenica i od razu, kiedy ich rozpoznała, uniosła się gniewem.

— To pewnie wasza wina, co? Co z nim zrobiliście? – zaczęła ujadać. Church i Ruth, nie mogąc wyksztusić słowa, aż się cofnęli przed tym wybuchem furii.

— Nie ma go – warknęła kobieta.

Church był w widoczny sposób zdziwiony; Kraicow wydawał się zbyt słaby, żeby się gdzieś ruszyć.

— Dokąd...

— Nie wiem dokąd, właśnie o to chodzi! – krzyknęła i z niepokojem spojrzała na ulicę za Churchem. – Przyjechali po niego w nocy. Spietrałam się na śmierć, jak im otworzyłam.

— Kto przyjechał? – zapytał Church.

— Nie wiem, nie powiedzieli! – urwała nagle, zdawszy sobie sprawę, że powinna była sprawdzić tożsamość nocnych gości. – To byli gliniarze – dodała nieprzekonującym tonem. – Wyglądali jak z zakładu pogrzebowego, same eleganckie garnitury. Nie wiem, co stary zrobił, nigdy mi nic nie mówi.

Church i Ruth spojrzeli po sobie.

— Czy wie pani, dokąd go zabrano? – zapytała Ruth. Kobieta potrząsnęła głową.

— Powiedzieli, że skontaktują się ze mną. I że to dla jego dobra! – usprawiedliwiała się żałośnie, a potem zatrzasnęła im drzwi przed nosem.



— Co się tam stało? – zapytała Ruth, kiedy powoli wracali zatłoczonymi ulicami do centrum Londynu.

— Może ludzie z wydziału zabójstw. Policja dowiedziała się pewnie o wizytach Gibbonsa.

— Możliwe – odpowiedziała, ale nie wydawała się przekonana. – Wyglądało to raczej na akcję służb specjalnych. Tak działa wywiad albo służba bezpieczeństwa.

— A czego oni mogliby chcieć od Kraicowa? – pytanie Churcha

zawisło w pełnej napięcia ciszy. – Nie myślmy o tym za dużo, bo dostaniemy paranoi – dodał po chwili.

— Jeśli jeszcze jej nie mamy, to nie wiem, co nam jest. Zbadaliśmy wszystkie tropy. Co teraz robić?

Milczeli przez następne piętnaście minut. Samochód posuwał się żółwim tempem w porannym korku. W końcu Church wpadł na nowy pomysł.

— W całym kraju ponoć dzieje się wiele podobnie dziwnych rzeczy. Nie koniecznie ludzie zmieniający się w diabły, ale ogólnie rzeczy, które normalnie się nie zdarzają – zaczął, a potem dokładnie opowiedział Ruth, co przeczytał w internecie o fali niesamowitych zjawisk i wydarzeń. – Nie wiem, co o tym sądzić – wzruszył ramionami. – Może to nic takiego, po prostu jednocześnie ujawniło się wielu różnych maniaków. Ale wydaje mi się, że to coś więcej niż przypadek.

Ruth westchnęła ciężko i spojrzała na ponury świat za oknem samochodu. Tłum zmierzał do stacji metra, zaczynał się kolejny smutny dzień. Ani jednej szczęśliwej twarzy, wszyscy zgarbieni, jakby dźwigali niewidzialne ciężary. Ruth poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona.

— Nie daję sobie z tym wszystkim rady...

— Najlepiej udawajmy, że nic się nie dzieje – uciął Church, ale zaraz pożałował tego, co powiedział. Sam czuł zmęczenie faktem, że nic w jego życiu nie miało sensu.

Ruth spojrzała na niego pionującym wzrokiem, a potem spojrzała w okno.

— Przepraszam, że tak powiedziałem.

Zignorowała jego przeprosiny. Church widział, że jest zmęczona tak samo jak on.

— Gibbonsa zabili, żeby nie powiedział o tym, co widział –

zastanawiała się Ruth. – Ale co takiego zobaczył?

— Dostałem kilka maili od kobiety, która sądzi, że mogłaby wyjaśnić, co się dzieje – zaczął Church. Zastanowił się, czy nie powiedzieć Ruth o tym, że Laura wymieniła w jednym z listów imię Marianny. Zrezygnował. Sam z trudnością przyjmował ten fakt i jego implikacje.

— Naprawdę wierzysz, że te bzdury mają coś wspólnego z naszą sprawą?

— Kto wie? – odrzekł zmęczonym głosem. – Po tym, co przeszliśmy ostatnio, nic nie jest pewne.

— I co, ona chce ci powiedzieć, co wie?

— Chce, ale musimy spotkać się osobiście. Zamierzam się zgodzić, choćby z ciekawości – odpowiedział, nie wyjawiając prawdziwych powodów. Miał wyrzuty sumienia, że nie powiedział Ruth prawdy, ale co miał powiedzieć, że jedzie do tej kobiety, żeby sprawdzić, jak dowiedziała się o jego zmarłej dziewczynie? To by było żałosne, więcej, wyszedłby na wariata.

— No dobra, czemu nie. Skąd ona jest?

— Z Bristolu.

Ruth westchnęła marudnie.

— Niech będzie. Jestem na urlopie. Tylko daj mi godzinę, dwie, na spakowanie się. Czeka nas daleka droga.



Church wciąż wyczuwał w mieszkaniu obecność Marianny. Na ścianie w korytarzu wciąż wisiało zdjęcie ich dwojga, jak śmiejąc się, ubrani od stóp do głów, walczą z bałwanami na plaży w Bournemouth. Marianna oprawiła to zdjęcie, żeby nie

zapomnieli, jak wspaniale może być życie, jeśli razem będą stawiać czoła trudnościom. W szafce kuchennej wciąż stał jej niebieski kubek z obtłuczonym z jednej strony brzegiem. Church nie mógł się zmusić, żeby go wyrzucić, patrzył na niego codziennie, przygotowując sobie rano pierwszą, a wieczorem ostatnią herbatę. Na półce w salonie wciąż stał zaczytany egzemplarz *Wahadła* Foucaulta, książki którą czytali oboje i nad którą zażarcie dyskutowali. Obok stała niemal niedotykana inna książka, *Walking on Glass*, którą Marianna kupiła mu i którą obiecał przeczytać, ale jakoś nie dał rady. Dalej przycisk do papieru, wtopione w szkło plastikowe serce, które kupili razem na Portobello. Na dywanie obok jej fotela wciąż widniała niedająca się usunąć plama od kawy. W każdym kącie mieszkania znajdował pamiątki po niej, jakby wciąż z nim była. Czasem nawet wydawało mu się, że czuje zapach jej perfum.

Pakując się i jednym uchem słuchając włączonego telewizora, Church zdał sobie nagle sprawę, że ślady obecności Marianny przykuwają jego uwagę mocniej niż kiedykolwiek od pierwszych tygodni po jej śmierci. Przez wiele miesięcy niemal nie zauważał tych pamiątek, ich obecność była jak kapanie kranu, ale teraz znów zaczęły się boleśnie i ze zdwojoną siłą narzucać. Być może powodem było dziwne, niewytłumaczalne pojawienie się jej imienia w emailu od Laury, a może ten wieczór, kiedy wydawało mu się, że znów ją zobaczył. Coś z nieodpartą siłą kazało powracać do śladów obecności zmarłej.

Church miał jednak pewność, że jeśli zwycięży siłę wspomnień, jeśli zacznie nowe życie, jeśli zdoła zrozumieć, dlaczego Marianna się zabiła i dlaczego on sam nie zauważył u niej żadnych oznak załamania psychicznego. Przecież musiała czuć się źle od miesięcy. Dokładnie przemyślał wszystko, co robili

razem i co ich łączyło, tak dokładnie, że nie mógł już więcej o tym myśleć. Zagadka pozostała jednak nierozwiązana i Church pozostał więźniem przeszłości. Żył w zawieszaniu, nie potrafiąc odgonić dręczących go wspomnień i uspokoić nerwów. Nic dziwnego, że zobaczył ducha; dziwiło go nawet, że widmo Marianny wcześniej nie wydostało się z głębin podświadomości, by ostatecznie doprowadzić go do szaleństwa.

W telewizji były właśnie wiadomości. Trudno było zrozumieć, dlaczego zostały ułożone w takiej właśnie kolejności, ale po doniesieniu o zagadkowej serii morderstw w Liverpoolu nastąpiła seria przykładów niezwykłego ożywienia uczuć religijnych, dająca się zauważyć w całym kraju. Trójce dzieci w Huddersfield objawiła się Matka Boska. Posąg hinduskiego boga Ganeśi zaczął broczyć mlekiem w Wolverhampton, a w całym kraju imiona Allaha pojawiały się na pestkach rozkrajanych pomidorów i bakłażanów. Church obejrzał do końca tę wiadomość, a potem wyłączył telewizor i puścił muzykę: Johnny Mercer rozruszał go dostatecznie, żeby mógł zakończyć pakowanie.

Jeszcze raz przeczytał email od Laury, w którym uzgodnili miejsce i czas spotkania i przejrzał atlas samochodowy. Church nie był do końca pewien, czy jego stary samochód podoła tak dalekiej podróży. Auto było stare i rzadko przemierzało długie trasy, ale kupił je razem z Marianną i nie potrafił się go teraz pozbyć.

Church wyszedł i zaczął pakować bagaże do samochodu. Kiedy odwiózł Ruth do jej mieszkania, nad miastem unosiła się zimna mżawka, która najwyraźniej zamierzała pozostać w Londynie na cały dzień. Świat wydawał się inny, w powietrzu unosił się nieznan zapach, a światło dnia było dziwne, jakby

przepuszczone przez grube szkło. Nawet w ludziach na ulicy widać było jakąś subtelną zmianę, widoczną w spojrzeniach i wyrazie twarzy. Church czuł się trochę nieswojo i bez racjonalnych powodów obawiał się o przyszłość.

Grupa bawiących się na ulicy dzieci nagle zamilkła i zaczęła się mu przyglądać szklanym, tępym spojrzeniem. Każde dziecko uniosło lewą rękę z wyciągniętym palcem wskazującym; ich ruchy były powolne i przerażające.

— Jeden! – krzyknęły razem. Potem rozczapierzyły resztę palców.

— Albo pięć!

Pewnie odgrywają scenę z jakiegoś głupiego komiksu, pomyślał Church, ale przeszedł go zimny dreszcz.

Układając torby w bagażniku, usłyszał szurające kroki. Odwrócił się, sądząc, że to dzieci przygotowują się do kolejnego kawału, ale zamiast nich zobaczył ubranego w brudny, czarny garnitur bezdomnego. Długie, siwe włosy i broda nieznajomego były mokre od deszczu. Zatrząsł się, jakby miał dreszcze, a potem pochylił się i strzelił palcami tuż przed nosem Churcha.

— Ty nie masz głowy – powiedział.

Jak zimny powiew powróciło wspomnienie dziwnej kobiety, którą Church zobaczył nad Tamizą. Kiedy przyszedł do siebie, bezdomny poszedł już dalej, mrużąc pod nosem jakąś melodię, jakby wcale nie zauważył Churcha.

Jadąc do Ruth, Church pięć razy przejechał na zielonych światłach, a raz musiał się zatrzymać na czerwonym. Na ulicy zauważył plakat z mężczyzną reklamującym telefony komórkowe; górna część plakatu była oddarta razem z jego głową. Trochę dalej Church zauważył pięć manekinów na wystawie sklepowej; jeden z nich nie miał głowy.

A kiedy zajeżdżał przed dom Ruth, jakaś kobieta zajrzała do samochodu i niespodziewanie, bez powodu, wybuchła płaczem, patrząc Churchowi prosto w oczy.

Kiedy zadzwonił do mieszkania Ruth, dochodziła pierwsza po południu. Ruth była gotowa do podróży, miała ze sobą elegancką, skórzaną torbę i plecak od Mulberry'ego.

— Nie mogę przestać myśleć, że to wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć i że w końcu wyjdziemy na idiotów. Mam nadzieję, że w pracy nikt się nie dowie – powiedziała.

— Tak, miejmy nadzieję.



Powoli przemierzali zakorkowane ulice w centrum. Church nerwowo bębnił palcami po kierownicy. Ruth przez deszcz dostrzegła mężczyznę w garniturze, trzymającego nad głową gazetę „Financial Times”, jakby ta mogła go w jakikolwiek sposób ochronić.

— Wiesz – powiedziała zamyślona. – mam dziwne uczucie, że zostawiamy za sobą dotychczasowe życie i zaczynamy jakiś nowy etap.

— Za dużo czytałaś Jacka Kerouaca – odrzekł Church, uważnie wpatrując się we wsteczne lustro; miał wrażenie, że ktoś ich śledzi.

— To przerażające, ale też przyjemne – kontynuowała Ruth. – Całe moje życie było dotychczas ustawione: moja praca, moje ambicje. A teraz wydaje mi się, że wszystko jest możliwe. Czy to nie dziwne? Świat stanął na głowie i mam wrażenie, że jadę teraz na wakacje.

— Słoneczny Bristol, rajska plaża i piękni ludzie. Mam nadzieję, że wzięłaś bikini.

— Masz jakąś muzykę w tym gracie? – Ruth otworzyła schowek i zaczęła przerzucać kasety, krzywiąc się za każdym razem, kiedy czytała nazwiska wykonawców.

— Sinatra. Crosby. Louis Armstrong. Billie Holiday. Masz coś nowego?

— Tylko muzyka daje mi poczucie bezpieczeństwa. – Wyrwał jej z rąk *Come Fly with Me* Franka Sinatry i włożył do magnetofonu. – I stare filmy i książki. Na przykład *Panowie w cylindrach* to jest świetny film. Astaire i Ginger Rogers, wspaniała para, elegancja i zmysłowość. Albo *Noc w operze...*

— Bracia Marx, dziękuję bardzo – ucięła Ruth, udając, że zaraz zwymiotuje.

— Albo *Ich noce*. Clark Gable i Claudette Colbert. Romans, namiętność, ekscytacja, świetne kostiumy, wspaniałe samochody. Nie ma nic lepszego.

Ruth ucieszyła się, kiedy zobaczyła szeroki uśmiech Churcha. Nie zdarzało mu się to zbyt często.

— Życie było wtedy wspaniałe, a teraz – machnął ręką na ludzi i sklepy na Upper Richmond Road. – Komu to przeszkadzało? Dlaczego panuje takie bezguście?

— Ktoś doszedł do wniosku, że ważniejsze są pieniądze i konsumpcja.

— Potrzebna nam magia. Przecież ona nadaje sens życiu.

Ruth odchyliła oparcie swojego siedzenia i zaczęła drzemać, słuchając kojącego głosu Sinatry. Wciąż stali w korku.



Podróż przez południowo-zachodni Londyn ciągnęła się w nieskończoność. Archaiczny system komunikacyjny zupełnie załamywał się, kiedy padał deszcz; nad zapchanymi ulicami unosiły się spaliny i para, a w samochodach poirytowani ludzie powoli tracili panowanie nad nerwami. Kiedy po godzinie dotarli do autostrady M4, już byli zmęczeni podróżą. Zdecydowali, że zatrzymają się na jednej ze stacji benzynowych i wypiją kawę, przed monotonną jazdą autostradą. Niebem ciągnął niekończący się sznur samolotów czekających na lądowanie na Heathrow. Kiedy wjeżdżali na niemal pusty parking stacji, paranoiczny niepokój Churcha sięgnął szczytu; kilka razy był już niemal pewien, że ten czy inny samochód ich śledzi, a kiedy szary transit, który jechał za nimi od Barnes, również skręcił w zjazd do stacji, Ruth musiała użyć całej swojej siły przekonywania, żeby odwieść Churcha od ucieczki.

Stacja benzynowa w deszczowej pogodzie wydawała się bardzo ponurym miejscem. Przy drzwiach toalet i sklepów gromadziły się kałuże wody, a nieliczni klienci byli nieodmiennie poirytowani pogodą, podróżą i życiem w ogóle.

Church i Ruth weszli do pustawej restauracji, gdzie kilku znudzonych kelnerów czekało na klientów, patrząc przez szklaną ścianę na samochody mknące po mokrej nawierzchni autostrady. Podano im kawę i drożdżówki. Widok za szkłem nie poprawiał nastroju, oprócz autostrady były tam jeszcze połączenie pustych pól i odległe kominy fabryczne na tle szarego nieba. W oświetlonym jarzeniówkami wnętrzu panował nastrój apatii i smutku. Mimo hałasu samochodów i sączącej się z głośników muzyki mówili cicho, jakby obawiając się, że któryś z nielicznych gości będzie podsłuchiwał.

— Chyba oszaleję – zaczął Church. – Za każdym razem, kiedy spojrzę w lusterko, wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

— To naturalna reakcja – odpowiedziała Ruth, nie patrząc mu w oczy. Grzała sobie dłonie kubkiem kawy.

Przy drzwiach stał jakiś wysoki chudzielec i rzucał ukradkowe spojrzenia w ich kierunku. Miał na głowie nieprzemakalny kaptur zawiązany tak szczelnie, że sznurki wpijały się w ciało. Siedzący po drugiej stronie sali podstarzały, siwy hipis również się im przyglądał. Church starał się zwalczyć te urojenia i odwrócił wzrok ku Ruth.

— W dzieciństwie pewnie nie byłoby to dla mnie tak niepokojące – powiedział. – Wiesz, jak to jest, wtedy świat zawsze wydaje się dziwniejszy, niż jest w rzeczywistości.

— Właśnie, to pokazuje, że z wiekiem robimy się coraz głupsi – odparła nerwowo Ruth. – A dorośli spędzają większość życia okłamując się.

— Kiedy miałem siedem czy osiem lat, miewałem dziwne, kolorowe i realistyczne sny – zaczął Church. – Była w nich ta kobieta i cały świat był jakiś dziwny. Te sny były tak niesamowite, że trudno mi było potem odróżnić je od rzeczywistości, co bardzo martwiło moją matkę: w końcu zabrała mnie do lekarza. Sny ustały, kiedy osiągnąłem wiek dojrzewania, ale wiem, że miały duży wpływ na moje widzenie świata. A teraz mam podobne uczucie, jak wtedy, że wszystko wokół nas to tania scenografia, za którą dzieją się prawdziwe rzeczy.

Church rozejrzał się po restauracji; człowiek w kapturze zniknął, ale hipis wciąż się im przyglądał.

— Trudno mi sobie z tym poradzić – odpowiedziała Ruth. – Zawsze wierzyłam, że rzeczywistość to jest właśnie to, co istnieje. Nigdy nie myślałam za dużo o duchach albo o Bogu.

Church skinął głową.

— A ja zawsze myślałem, że istnieje coś więcej, niż tu i teraz. Instynktownie. Czasem, wiesz, wystarczy się rozejrzeć... czasem trudno uwierzyć, że nie ma nic, oprócz tego, co się widzi, że za rzeczywistością nic się nie kryje. Ale ostatnio... też nie myślę za dużo o religii. Po śmierci Marianny wiara, powiedzmy to tak, nie pomogła mi.

Ruth w zamyśleniu popijała kawę.

— Mój ojciec był członkiem partii komunistycznej i przekonany ateistą. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że Biblia to stek kłamstw, że została napisana przez ludzi głodnych władzy, którzy marzyli o swojej własnej religii.

— Musieliście mieć smutne święta.

— Nie, Boże Narodzenie było wspaniałe, szczęśliwe i ciepłe – odrzekła Ruth, uśmiechając się rzewnie. – Ojciec zmarł kilka lat temu.

— To smutne.

— Umarł nagle. Atak serca. Wcześniej został zamordowany jego brat, co zupełnie go zdruzgotało. To było takie niesprawiedliwe... taka przypadkowa śmierć. Wujek Jim znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i jakiś zdesperowany idiota go zabił. Wiesz, jestem prawniczką i potrafię zrozumieć różne motywacje zbrodni, ale gdybym dostała tego drania w swoje ręce, od razu bym go pewnie zabiła. Bez sądu, bez obrony. – Przygryzła wargi. – Ojciec nie mógł sobie z tym poradzić, to nie pasowało do jego obrazu świata. On wierzył w sens i jakiś porządek. Męczyło go to przez kilka dni, a potem dostał zawału. W jednej chwili zrozumiałam wtedy, do czego ludziom potrzebna jest religia. – Na jej twarzy widać było tłumione, gwałtowne emocje. – Oczywiście wtedy było już za

późno, żeby nagle zacząć wierzyć.

Church chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział jak.

— Ludzie zapominają o religii, ale wciąż jest nam ona potrzebna. Nie mamy ku czemu się zwrócić, kiedy dzieje się coś tragicznego.

— Wtedy pewnie najlepiej zwrócić się ku własnemu wnętrzu – odrzekła cichym głosem Ruth.

Church czuł, że dłużej nie wytrzyma świdrującego wzroku hipisa. Jego zimne, szare oczy spozierały zza okularów w drucianej oprawce. Hipis trzymał rękę na zielonym chlebaku z pacyfą i godłami organizacji antywojennych, jakby obawiał się, że ktoś go ukradnie.

Ruth dopiła kawę i wstała.

— Pójdę do toalety, bo inaczej będziemy się musieli zatrzymać po drodze do Bristolu.

Hipis przyglądał się jej uważnie, kiedy wychodziła. Church zajął się swoją drożdżówką, ale wciąż miał oko na tego dziwnego faceta, obawiając się, że ten za nią pójdzie. Nieznajomy nie wyglądał groźnie, opalenizna na twarzy świadczyła o tym, że dużo czasu spędzał na powietrzu, a ze zmarszczek wokół ust można było wywnioskować, że więcej się uśmiecha, niż gniewa. Wydawał się jednak zmęczony i rozgoryczony światem, widać to było wokół jego oczu. Ubrany był w fantazyjny, różowy podkoszulek, spodnie – bojówki i stare buciory. W uchu miał złoty, okrągły kolczyk.

Nieznajomy nie uczynił nic podejrzanego i Church uspokoił się, ale kiedy Ruth nie wróciła po dziesięciu minutach, znów zaczął się obawiać. Dokończył kawę i udał się w kierunku toalet, gdzie starał się powstrzymać obawy i cierpliwie czekać. W końcu otworzył drzwi i zawołał Ruth. Nikt nie odpowiedział. Church

sprawdził jeszcze w sklepie, ale też jej tam nie było. Parking był pusty, Ruth nie było również w restauracji. Church poczuł, że serce mu wali; obawa przerodziła się w panikę.

Postanowił, że najlepiej będzie porozmawiać ze strażnikiem, który wywoła Ruth przez system nagłaśniający, a w ostateczności sprawdzi, gdzie ostatni raz zobaczyły ją kamery. Pomieszczenia ochrony znajdowały się przy wyjeździe na autostradę, wiodły do nich schodki i pozbawione okna drzwi. Idąc tam, Church desperacko starał się nie myśleć o najgorszym. Kiedy zbliżył się do drzwi, poczuł nagły chłód, a kiedy otwierał je, zaczął drżeć z zimna i zobaczył jak jego oddech zamienia się w parę. Za skrzypiącymi drzwiami znajdowało się podkowiaste biurko otoczone czarno-białymi monitorami, na których widniał parking, restauracja i reszta otoczenia stacji. Panowała dziwna cisza, przerywana jedynie trzaskami z krótkofalówki leżącej na biurku. Uwagę Churcha zwróciło skrzące się na biurku, ścianach i podłodze, plamki szronu wyglądające jak oplatająca całe pomieszczenie pajęczyna. Zrobił kilka kroków, rozglądając się; nie potrafił zrozumieć, co się tutaj stało. Ktoś siedział za biurkiem, odwrócony do Churcha plecami, na skórzanym krześle obrotowym. Wysokie oparcie zasłaniało twarz.

— Halo – zawołał Church z wahaniem.

Odpowiedziało jedynie echo. Church wpatrywał się w głowę strażnika, tracąc nadzieję, że ten zwyczajnie nie usłyszał. Nagle coś kazało wybiec z pomieszczenia, nie odwracać krzesła i nie sprawdzać, co się stało. Powstrzymawszy impuls, Church podszedł, z każdym krokiem słysząc coraz głośniejsze skrzypienie szronu. Obrócił krzesło i zrobiło mu się słabo. Strażnik zamarzył, jakby zgubił się w arktycznej nocy. Church nie mógł znieść szklanego spojrzenia martwych oczu, nie mógł

dłużej patrzeć na oszronione brwi i włosy, posiniałą skórę. Zaczął wycofywać się w kierunku drzwi, nie do końca pojmując, co zobaczył, ale kiedy odwrócił się, dojrzał coś gorszego. Obok drzwi, w miejscu, którego wcześniej nie zauważył, leżała sterta ciał. Church rozpoznał wśród nich kobietę, która obsługiwała ich w restauracji, pozostałe to zapewne pracownicy stacji i sklepu. Church, nie mogąc zebrać myśli i opanować się, wybiegł z pomieszczenia jak najszybciej.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, czekał tam na niego znajomy hipis.

— Zabrali ją – oznajmił nieznajomy; mówił ze śladem szkockiego akcentu. – Idziemy. Nie zwracaj na siebie uwagi obsługi.

— Kto ją zabrał? – warknął Church zachrypniętym ze strachu głosem.

— Cicho – uciął hipis. – Chcą was zabić. Już wiedzą, kim jesteście.

— Ruth...

— Jeszcze jej nie dostali. Ale zaraz to zrobią, a ty będziesz następny. Chodź.

Nieznajomy ruszył przez parking, a Church podążył za nim bezwolnie, z trudnością odzyskując panowanie nad nerwami. Hipis rozejrzał się po pokrytej kałużami połaci asfaltu, aż zauważył szarego transita, którego wcześniej tak obawiał się Church.

— Tam.

Church spojrział na nieznajomego, zastanawiając się, czy może mu zaufać, a potem zapomniał o wszystkich obawach i pobiegł w kierunku transita. Furgonetka kołysała się nieznacznie, jakby ktoś był w środku, ale przez brudne okna nie było nikogo widać.

Nie namyślając się długo, Church złapał za klamkę i jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwi.

Usłyszał nieludzki ryk i poczuł smród jakby małpiej klatki w zoo. Ruth leżała nieprzytomna. Stał nad nią mężczyzna w kapturze, którego Church zauważył wcześniej przed restauracją. Miał dzikie, pełne nienawiści oczy i dziwną twarz, wyglądającą jak maska. Mężczyzna ryknął jak zwierzę i skoczył na Churcha, który zdążył jeszcze zauważyć w jego ręku zakrzywiony nóż, zanim nie poczuł nagiego szarpnięcia do tyłu.

— Nie zbliżaj się do niego. Jest dla ciebie za silny – odezwał się hipis, stojący teraz obok Churcha.

Church był przytłoczony nadmiarem wrażeń: smród wydzielany przez dzikiego mężczyznę przyprawiał go o zawrót głowy, nie mógł też znieść spojrzenia jego ciemnych, małych oczu, które płonęły niezrozumiałym gniewem. Bestia oddychała ciężko, zwracając nóż raz ku Churchowi, raz ku hipisowi. Church instynktownie wyczuwał, że właśnie coś takiego zobaczył pod mostem Alberta. Napastnik wskazał nożem w kierunku Churcha i wypowiedział słowa, które brzmiały jak „Arith Urkolim”.

— Co on powiedział? – krzyknął Church.

Usłyszawszy jego głos, Ruth poruszyła się. Church poczuł niespodziewaną ulgę, kiedy zobaczył, że nic jej nie jest. Starał się ustawić tak, żeby móc z nią uciec, ale mężczyzna z nożem wymanewrował go niebezpiecznie blisko tylnych drzwi. Wydawało się to dziwne, ale najwyraźniej bał się i bez przerwy osłaniał nożem, choć mógłby bez trudności zabić Churcha gołymi rękami. Wyglądał jak potwór, cały czas zmieniał swój wygląd, jego skóra raz była mlecznobiała, raz przezroczysta, a Churchowi wydało się, że widzi połyskujące pod nią łuski. Język mężczyzny rozdziwił się i zaczął przesuwac się między zębami jak język

węza. Z gardła wciąż wydobywał się przeraźliwy charkot.

Church zobaczył panikę w oczach Ruth. Przeraziło ją miejsce, gdzie się znajdowała i to, co rozgrywało się wokół. Ledwo odzyskała panowanie nad sobą, a porywacz rzucił się ku drzwiom furgonetki i chwycił za klamkę. Church wiedział, że wszystko będzie stracone, jeśli tamten zamknie drzwi, chwycił je kurczowo. Porywacz był za silny. Church poczuł, że drzwi zaraz zmiążdżą mu dłonie i naderwą mięśnie.

— Odsuń się od niego! – krzyknął hipis. – Zaraz cię dźgnie! Church ujrzał zbliżające się do jego gardła ostrze. Człowiek-wąż znów powiedział coś gardłowym głosem, jego oczy były prawie zupełnie czarne, tylko źrenice jarzyły się czerwienią.

Ruth kopnęła napastnika z taką siłą, że utracił równowagę, a zanim ją odzyskał, Ruth zdążyła kopnąć go jeszcze kilka razy. Church wykorzystał okazję i z całej siły pociągnął za drzwi, które jak młot uderzyły człowieka-węża w głowę. Porywacz przewrócił się na leżącą w samochodzie Ruth, tłukąc tylną szybę, która rozprysła się deszczem brudnych odłamków. Ostatnim wysiłkiem Ruth wyslizgnęła się spod napastnika, kopniakiem otworzyła drzwi i wyturlała się na mokry asfalt. Church nawet na nią nie spojrział, nie spuszczając oka z noża, który wypadł porywaczowi z ręki i spoczywał teraz na podłodze furgonetki. Chciał skorzystać z okazji i złapać go, ale nagle nóż zaczął zmieniać kształt i na oczach Churcha przeobraził się w jakby srebrzystego pająka, którzy drobnymi krokami umknął w cień.

— Wynosimy się stąd – wyszeptał hipis, ciągnąc oboje za rękawy. – Gdzie jest wasz samochód?

Człowiek-wąż odzyskał przytomność i z powrotem stanął na nogi, zamiast twarzy miał tylko krwawą plamę porwanego mięsa. Z jego gardła wydobył się rozdzierający, nieludzki krzyk i

Church poczuł przez chwilę paniczny strach, że potwór zacznie ich gonić. Otwierając swojego nissana, Church spojrzął jeszcze raz na porywacza i od razu pożałował. Twarz potwora zmieniała kształt, zamieniała się w coś tak ohydneho, że Church poczuł mdłości i musiał odwrócić wzrok.

Kiedy znaleźli się wreszcie w samochodzie, Church nerwowo zapalił silnik i wciskając gaz, z piskiem opon wyjechał ze stacji.



Dopiero kiedy włączyli się do ruchu na autostradzie, Church uspokoił się trochę i zapytał Ruth, jak się czuje. Tylko skinęła głową. Była blada i zmęczona.

— To coś w furgonetce – wyjąkał – to było to samo, co zobaczyliśmy pod mostem. Ale chyba nie dokładnie ten sam. Więc jest więcej tych...

— Umieją nakładać ludzkie twarze – przerwał siedzący z tyłu hipis.

— Zajęli miejsca całej obsługi na stacji! – krzyknął Church, zrozumiawszy w końcu to, co zobaczył.

— Czekali na was – ciągnął nieznajomy. – Myślę, że gdybyśmy mieli czas to sprawdzić, to okazałoby się, że to samo zrobili na wszystkich trasach wyjazdowych, dworcach i portach lotniczych w Londynie.

Church miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Wszystko, co się działo, było niezrozumiałe.

— Ktoś nas goni? – zapytał osłupiałym tonem.

— Siedziałam w toalecie, kiedy usłyszałam, że ktoś wszedł i chodzi przed kabinami. Kiedy już miałam wychodzić, ktoś

wyłamał drzwi. Dostałam w głowę. – Ruth dotknęła wielkiego guza na skroni.

— Najpierw pomyślałam, że to jakiś zboczeniec, miał naciągnięty na głowę kaptur i prawie nie było widać jego twarzy. Wyglądał jak wariat. Pomyślałam sobie, lepiej zacznij krzyczeć, bo ten palant cię tu jeszcze zgwałci. A potem jego twarz zaczęła zmieniać kształt. Tylko na chwilę, przemknął po niej cień innej twarzy, ale od razu wiedziałam, co się za tym kryje.

Church potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Ktoś nas goni? – powtórzył jeszcze raz w otępieniu. – Myślałem, że to my ich gonimy?

Stopniowo odzyskiwał jasność myśli. Rzucił spojrzenie hipisowi.

— No a ty, kim jesteś? – zapytał.

Oczy nieznanego pozostały zimne i nieodgadnione; Church pomyślał, że być może to skutek zażywania narkotyków, że ich gość żyje w innym świecie.

— Mam na imię Tom – odpowiedział hipis. – Nazwiska raczej nie używam, ale brzmi ono Larmont.

— Nie o to mi chodziło. Wyłumacz lepiej, co się dzieje.

Tom zdjął i przetaił okulary, potem sprawdził pod światło, czy szkła są czyste. Choć nie było jeszcze trzeciej, wydawało się, że nadciąga już zmierzch. Tom uśmiechnął się zagadkowo.

— Życie jest jak poemat, a teraz zaczyna się nowy wers.

Ruth zauważyła gniew na twarzy Churcha i uspokoiła go dotknięciem ramienia. Odwróciła się w kierunku hipisa i utkwiała w nim zimny wzrok.

— Przeszliśmy właśnie najstraszniejsze doświadczenie w życiu. Cały czas mówisz tak, jakbyś wiedział, co się dzieje. Siedziałeś tam, czekałeś na nas, a przecież nie wiedziałeś nawet,

że zamierzamy się tam zatrzymać. Więc skończ te gierki.

Tom wyjął z chlebaka puszkę z tytoniem i zaczął sobie kręcić papierosa. Ku rozdrażnieniu Churcha, nie odezwał się, dopóki jego twarzy nie otoczyły kłęby dymu.

— Świat, w którym żyjecie, jest już martwy. Tylko jeszcze o tym nie wie. To społeczeństwo jest jak zwierzę, któremu poderżnięto gardło, a które wciąż jeszcze chodzi na czterech łapach, jakby nic się nie stało. Widzicie, w naszych czasach ludzie dali się nabrać i uwierzyli, że znają reguły gry. Naukowcy przekonali ludzi – i samych siebie – że świat to wielki mechanizm zegarowy i to kłamstwo wszystkich będzie drogo kosztować. Wszechświat to nie mechanizm. Wszechświat jest jak koty walczące w jednym worku, krwawy i chaotyczny, a jeśli są w nim jakieś reguły, to nie znam ich ani ja, ani wy.

Nieznajomy zaciągnął się i powstrzymał atak kaszlu. Church znowu zaczął się niepokoić, a Ruth czekała tylko na zakończenie przemowy.

— Jedynym prawdziwym prawem tego świata jest dwoistość – kontynuował Tom. – Nawet najgłupszy filozofowie to wiedzieli, ale umknęło to wszystkim apologetom tak zwanego wieku rozumu. Zimno i ciepło. Życie i śmierć. Dobro i zło. A co jest przeciwieństwem nauki?

Skierował to pytanie do Ruth, ale odpowiedział Church.

— Magia?

Tom uśmiechnął się chytrze.

— Idą nowe czasy. Minął wiek rozumu. Stoimy na progu nowej ery.

Church zaśmiał się lekceważąco.

— Myślałem, że te wszystkie bzdury o Erze Wodnika są już niemodne.

— Era Wodnika to tylko nazwa, ale sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Tak, wchodzimy w wiek duchowości, instynktu i magii. Będzie to również wiek brutalny i krwawy. Teraz będziemy musieli zapomnieć o dawnych przeświadczeniach i otworzyć się na nowe sposoby myślenia. Tylko w ten sposób zdołacie stawić czoła nowym wyzwaniom.

Church spojrział w lusterko na opanowaną twarz Toma. Widać było, że ich nowy znajomy nie zamierza od razu wyjawiać wszystkich swoich tajemnic. Lekko poirytowany Church zastanawiał się, czy nie wyrzucić tego hipisa na pierwszej stacji benzynowej, ale uznał, że nie może zlekceważyć kogoś, kto chyba rozumiał, co się wokół nich dzieje. Spojrział na Ruth, która starała się w odpowiedzi uśmiechnąć, jednak w jej oczach wciąż widać było strach.



Chwilę później zadzwoniła komórka Ruth.

— Church, to do ciebie. Jakiś Dale.

— To mój przyjaciel. Dałem mu twój numer na wszelki wypadek.

Church przycisnął telefon ramieniem do ucha, trzymając obie dłonie na kierownicy.

— Co się stało, Dale?

— To ty mi powiedz – odezwał się zmęczony i zatroskany głos w słuchawce. Dale milczał przez chwilę. – Chodzi o twoje mieszkanie.

— Co się stało?

— Jakby to powiedzieć... Ktoś je spalił.

— Co? – Church omal nie upuścił telefonu.

— Ktoś się włamał, a potem podpalił mieszkanie. Na szczęście straż pożarna przyjechała, zanim pożar ogarnął resztę domu. Ale po twoim mieszkaniu, przykro mi Church, nic nie zostało. – Kolejna pauza. – To nie wszystko. Była u mnie policja. Nie wiem, jak mnie znaleźli, ale wiedzieli nawet, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Dale znów umilkł na chwilę. Wydawało się, że jest zagubiony i przestraszony.

— Szukali cię, pytali, gdzie jesteś. Mam wrażenie, że chodziło o coś więcej niż ten pożar.

— Co im powiedziałaś?

— Nic, jak Boga kocham. Słuchaj, Church, jeśli masz jakieś kłopoty...

— Nic się nie bój, Dale. To pewnie jakaś pomyłka. Ale lepiej nie mów im, gdzie jestem.

— Przecież nie wiem, gdzie jesteś!

— No to nie będziesz musiał kłamać.

Church wyłączył telefon i powtórzył Ruth relację Dale'a.

— W twoim domu prawdopodobnie zrobili to samo – odezwał się Tom do Ruth. – A gdyby któreś z was było wtedy w domu, to pozostałaby z niego tylko kupka popiołu.

— Ale kim oni są? – zniecierpliwionym głosem zapytał Church. Czuł, że za chwilę straci panowanie.

Tom skrzywił się, słysząc, jakim tonem Church do niego mówi. Rozparł się na siedzeniu i zamknął oczy.

— Później – mruknął lekceważąco.

Church próbował protestować, ale ich nowy znajomy nie odzywał się. W samochodzie zapadła pełna rezygnacji cisza. Church i Ruth wpatrywali się w zachodzące przed nimi słońce.

ROZDZIAŁ 4

OCZYSZCZAJĄCY OCIEN

Zapadał zmierzch. Autostrada powoli wypełniała się samochodami zmierzającymi z Londynu na zachód, do wygodnych domków na wsi. Pozostawili za sobą światła Reading, a monotony krajobraz zachodnich okolic Londynu ustąpił pagórkom i lasom, które miejscami otaczały autostradę niczym tunel. Church co jakiś czas obserwował we wstecznym lusterku Toma, który wciąż spokojnie spał.

— No świetnie. My się martwimy, a on śpi.

Ruth spojrzała na niego z ukosa. Od ucieczki ze stacji benzynowej zamienili ledwie kilka zdań, każde pozostawało zatopione we własnych myślach.

— Cierpliwość jest cnotą – odrzekła.

— Nie ufam mu – cicho powiedział Church. – Nie lubię, jak ktoś próbuje mną manipulować, a on właśnie to robi. Ta cała jego gadanina o niczym. – Spojrzał na Ruth, oczekując odpowiedzi, ale ta nic nie mówiła, wciąż wyczerpana okropnym doświadczeniem na stacji benzynowej. – Może zdrzemnij się trochę? – zaproponował.

Potrząsnęła głową.

— Za każdym razem, kiedy próbuję, widzę tego drania, jak się na mnie rzuca w toalecie.

— To minie. Widziałem cię w akcji – dasz sobie radę w

każdych okolicznościach.

— Tak to wygląda? Bo ja czuję się, jakbym musiała cały czas walczyć ze sobą, żeby nie oszaleć. – Popatrzyła chwilę na łunę unoszącą się jeszcze na zachodnim niebie. – Mój ojciec zawsze oczekiwał ode mnie wielkich rzeczy. To on nakłonił mnie do zostania prawnikiem. Miał nadzieję, że skończę jako jakaś wielka pani adwokat.

— A nie lubisz swojej pracy?

— Gdybym mogła, to pewnie wybrałabym inaczej – odparła wymijająco. – Ale mój ojciec wychował mnie tak, że skoncentrowałam się na jednej rzeczy. Teraz chyba nie potrafiłabym tego zmienić.

— Nie można oderwać się od przeszłości – rzekł Church, myśląc o Mariannie.

Wokół nich zapadał zmrok.



Trasa była trudna, na autostradzie roilo się od zmierzających do Bristolu ciężarówek, autokarów z weekendowymi turystami, samochodów pełnych ludzi niecierpliwie czekających na ciszę i świeże powietrze, teraz niszczone hałasem i smrodem spalin ich własnych samochodów. Kierowcy–samobójcy z piskiem opon wpadali na pas przed Churchem, zmuszając go do nagłego hamowania i tłumienia cisnących się na usta przekleństw. Zmęczone oczy i ręce tylko czekały na okazję, żeby spowodować wypadek; wszystkich dręczyło zwierzęce pragnienie, żeby stąd uciec. Church włączył muzykę, *London Calling* The Clash, starając się zagłuszyć hałas samochodów, ale Ruth ściszyła, żeby nie

obudzić Toma, jeszcze zanim zaśpiewał Joe Strummer. Church zastanawiał się, czy chciała być miła, czy też obawiała się, co nowego będzie miał do powiedzenia ich towarzyszy podróży.

Minęli Newbury, potem Hungerford, i wyjechali na malowniczą połąć pól koło Ridgway. Przed nimi na horyzoncie majaczyły się pomarańczowe światła Swindon. Church, zmęczony jazdą, rozprostował obolałe palce na kierownicy. Do Bristolu dotrą późno w nocy, a muszą jeszcze znaleźć nocleg. Na tylnym siedzeniu Tom poruszył się, wymamrotał coś, a potem uniósł i pochylił ku Churchowi i Ruth.

— Musimy znaleźć coś do jedzenia – powiedział bezceremonialnie.

— Już, zaraz, musisz być strasznie głodny po tak długim śnie – odrzekł Church lodowatym tonem.

— Może uspokójcie się. Ten samochód jest za mały na...

— Na co? – zapytał Church.

Ruth nie odpowiedziała, tylko pochyliła się i wyjrzała przez przednią szybę.

— Co to?

— Co? – Church musiał obserwować ruch i nie zauważył, co ją zaintrygowało.

— Błysk na niebie, na południowy zachód od nas.

— UFO? Jeśli chcesz, to dam ci numer do Barry Riggsa. Na pewno z chęcią cię zobaczy w swojej tajnej bazie.

— Może błyskawica? – zastanawiała się Ruth, wciąż wpatrując się w niebo.

— Jesteśmy właściwie niedaleko Salisbury Plain – dalej naśmiewał się Church. – W latach sześćdziesiątych koło Warminster zbierały się tam tłumy hipisów. Ludzie włązili na wzgórza i czekali na powrót Wielkiej Matki. – Spojrzał w

lusterko, żeby sprawdzić, czy Tom łyknie przynętę, ale tamten zignorował go.

Na niebie pojawił się kolejny błysk, który tym razem zobaczyli wszyscy. Chmury rozświetliły się na pomarańczowo, jakby ktoś puszczał sztuczne ognie.

— To nie błyskawica – powiedział Church. – Wygląda raczej na racę.

Chwila nieuwagi wystarczyła, żeby musiał gwałtownie zahamować. Kierowca jadący przed nimi najwyraźniej też zauważył błysk na niebie.

— Jak daleko jest najbliższy zjazd z tej drogi? – zapytał Tom.

— Nie musimy zjeżdżać.

— Jak daleko?

Ton jego głosu zaalarmował Churcha.

— Niedaleko. Pamiętam, że zaraz za Swindon jest krzyżówka. A co?

Church spojrział na Toma, ale hipis nie zwrócił na niego uwagi; siedział z nosem przyklejonym do swojego okna. Tuż nad nimi znów błysnęło, tym razem tak jasno, że Church zobaczył czerwony blask odbity na dachach jadących w pobliżu samochodów. Ruth z zaskoczenia aż otworzyła usta.

— Co się dzieje? – zawołał Church, naciskając klakson. Jakiś samochód gwałtownie wjechał na ich pas. – Zaraz będzie tu karambol!

Ruth pochyliła się, żeby spojrzeć na niebo ponad nimi.

— Tam chyba coś jest – powiedziała.

— Pewnie to wojskowe helikoptery na ćwiczeniach. Jak zwykle nikim się nie przejmują – odrzekł Church. – Jezus Maria!

Gwałtownie skręcił, żeby nie wpaść na tańczący po całym pasie motocykl. Jego kierowca wpatrywał się w niebo, w panice

dodając jeszcze gazu. Church poczuł spływający po plecach zimny pot. Tłok na drodze był coraz większy, coraz mniej było miejsca na wyprzedzanie. Na szczęście jechali najwolniejszym pasem i zawsze mogli uciec na pobocze. Z każdą chwilą Tom robił się coraz bardziej niespokojny.

— Musimy zjechać z tej drogi jak najszybciej – powtórzył.

— Robię co mogę – warknął Church. – Co chcesz, żebym wziął samochód na plecy i zniósł go z autostrady?

Przed nimi nad autostradą przeleciało coś wielkiego, niewyraźna plama czerni na tle nieba. Church aż wstrzymał oddech z wrażenia.

— Co to było, do cholery? – zawołał.

— O Boże, wyglądało jak coś żywego – wyszeptała przerażona Ruth.

Na autostradzie tymczasem panowało coraz większe zamieszanie, słychać było pisk opon, migały czerwone światła, samochody hamowały gwałtownie, niektóre wpadały w poślizg. Czerwona fiesta otarła się przed nimi o garbusa, tylko cudem nie doszło do zderzenia. Na środkowym pasie mniej się poszczęściło dwóm innym kierowcom, trzasnęła tłuczona szyba, oba samochody wpadły w poślizg, sunęły do przodu szczipione zderzakami.

Church bał się oderwać wzroku od drogi, ale miał wrażenie, że nad nimi dzieje się coś przerażającego. Otworzył okno i ponad hałasem samochodów usłyszał dziwny dźwięk, jakby rytmiczny, potężny trzask rozdieranego płótna. W chwilę później uświadomił sobie, co to za dźwięk – to biją ogromne skrzydła.

Spojrzał na Toma. Ten wyglądał na przerażonego, miał zaciśnięte zęby.

— Co się dzieje?! – krzyknął Church. – Gadaj, przecież wiesz!

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, słup ognia uderzył z nieba w niebieską sierrę, topiąc okna i w mgnieniu oka docierając do zbiornika benzyny. Samochód eksplodował. Potem zaczęło się piekło.

Fala uderzeniowa omiotła inne samochody, niosąc płonące odłamki metalu i plastiku, które przebijały okna i karoserie. Najbliższe samochody nie zdążyły się zapalić, tylko wpadły we płonący wrak sierry, podczas gdy inne, starając się go wyminąć, wpadały na siebie i szepiały w płataninę metalu na całej szerokości autostrady. Jakaś ciężarówka, już bez jednej całej szyby, zgmiotła jadącego przed nią peugeota, a potem wyrznęła bokiem w autokar, którego kierowca desperacko walczył, bezskutecznie starając się przywrócić równowagę przewracającemu się pojazdowi. Po chwili jadący na dwóch kołach autokar z hukiem przewrócił się na bok, przygniatając dwa dalsze samochody, Church dostrzegł jeszcze w oknach przerażone, pobladłe twarze pasażerów; zrobiło mu się niedobrze.

Potem była już tylko masa wpadających na siebie samochodów, które szepiały się i miażdżyły przy akompaniamencie wagnerowskiej kakofonii, przechodząc z hukiem na drugie pasmo autostrady, aż w końcu wszystkie sześć pasów wypełniło się piskiem opon, zgrzytem rozdieranego metalu, zniszczeniem i śmiercią. Ogień błyskawicznie rozszerzał się na wszystkie samochody w karambolu, zasilany benzyną z pękających zbiorników i ściana płomieni szybko objęła całą szerokość autostrady. Jednocześnie z nieba nieprzerwanie raził słup ognia, hucząc i wijąc się jak żywa pochodnia.

Huk był nie do wytrzymania, w powietrzu unosił się duszący dym i zapach benzyny. Church uciekł z drogi na pobocze, wolne,

bo samochody przed nim nie zdążyły tego uczynić. Teraz obok nich i za nimi kolejne pojazdy wpadały w poskręcaną masę metalu i ciał ludzkich. Ruth wydawało się, że oprócz huku uderzeń i ognia słyszy jeszcze krzyki, ale powiedziała sobie w duchu, że to złudzenie. Jakiś tir z przyczepą złożył się na dwoje i wpadł w ścianę ognia, obok niego sunął po ziemi motocykl, którego kierowca chronił ramionami głowę, daremnie. Coraz więcej i więcej zderzeń, nie mogli na to dłużej patrzeć. Odwrócili głowy, a Church z piskiem opon ruszył poboczem w kierunku ognistego piekła. Ruth krzyknęła i zasłoniła oczy, Tom położył się, a Church zamknął oczy i zaczął się modlić.

Poczuł na twarzy dotyk ognia i zaczął się bać, że to pękła przednia szyba, ale po chwili byli już po drugiej stronie karambolu i pędzili przed siebie pustą autostradą.

— O, Boże! – zawołała Ruth. Zacisnęła trzęsące się ręce na kolanach.

Church zwolnił i skierował samochód ku jednemu z telefonów alarmowych na poboczu.

— Nie zatrzymuj się! – krzyknął Tom. – Ta gadzina wciąż tu jest. Nie poddaje się tak łatwo! Nie widzisz, że nas goni? – dodał jeszcze zdesperowany.

Church zawrócił nagle i zatrzymał samochód przodem do ściany płomieni. Na drugim paśmie samochody rozstępowały się już przed nadjeżdżającą strażą pożarną i karetkami.

— Co robisz? – zawołał Tom.

— Muszę się sam przekonać. – Church pochylił się i spojrział na niebo, to samo uczyniła Ruth. Zobaczyli go jednocześnie. Na początku tylko jako migotanie ponad chmurą dymu. Kiedy jednak obniżył lot, zamarli z wrażenia. Zobaczyli metaliczne łuski migocące na złoto, żółto i zielono. Zobaczyli szkarłatne oko,

jasne jak reflektor samochodu. Ogromne, błoniaste skrzydła uderzały powolnym, ciężkim rytmem, a wijący się ogon wyglądał jakby sam był żywą istotą. Obniżywszy lot, bestia wypluła kolejny słup ognia w sam środek karambolu, wzniecając jeszcze jedną falę pożarów. Potem wzbiła się w powietrze płynnym, majestatycznym ruchem i poszybowała precz.

— Nie wierzę – wymamrotał Church, potrząsając głową.

— Nie było ich od bardzo dawna, wypędzono je. Teraz zatęskniły za dawnymi siedzibami – odezwał się Tom.

— Nie wierzę – powtórzył Church zdumionym i przestraszonym głosem.

Tom położył mu dłoń na ramieniu.

— Musimy uciekać. Wkrótce będzie wiedziała, że tym razem się jej nie udało.

— Co się, cholera, dzieje? – zapytał rozgniewany Church. – Przecież wiesz. Mów!

— Mówiłem już – odrzekł Tom niespodziewanie twardym głosem. – Rozpoznali was. Chcą was zabić.

— Przestań gadać od rzeczy! Mów wszystko!

Ruth złapała Churcha za ramię; to nie było miejsce i czas na takie rozmowy.

— Dokąd mamy uciekać? – zapytała ponuro. – Przecież ta gadzina jest szybsza od nas. Złapie nas, nieważne jak szybko będziemy jechać.

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie będziemy bezpieczni, zanim nadejdzie świt – odrzekł Tom. – Ale to daleko stąd. Ruszajmy i módlmy się, żebyśmy tam dotarli pierwsi.

Tom wyjaśnił, dokąd mają jechać i Church jak mógł najszybciej dotarł do następnego zjazdu, skąd ruszyli na południe drogą A346. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Mimo otwartego okna,

Church wciąż czuł smród spalenizny, a na policzkach Ruth widniały łzy. Wzburzenie powoli ustępowało miejsca lękowi; potężne i niezrozumiałe siły postawiły sobie za cel zabić ich dwoje, nikogo innego. Nie potrafili zrozumieć, dlaczego ta moc nieugięcie podążała właśnie za nimi.

Tom wciąż wypatrywał przez tylne okno, z przyklejonym do szyby nosem wyginając się na różne sposoby, żeby omieść wzrokiem niebo. Nisko stojące chmury zasłaniały widok, ale na szczęście wiatr przegnał deszcz i mogli jechać szybko.

— Nie wierzę, że zobaczyliśmy to, co zobaczyliśmy – powiedział cicho Church. – Powiedz wreszcie, co się dzieje. – Spojrzał na Toma. – Pytam, co się dzieje? Jakoś nie zaskoczyła cię ta gadzina...

— Już jedną widziałem – odrzekł Tom. – Opowiem wam wszystko, jak dotrzemy do celu. Jeśli dotrzemy.

Church potrząsnął z niedowierzaniem głową, a potem spojrzał na Ruth, oczekując wsparcia. Spojrzała mu na chwilę w oczy, a potem odwróciła wzrok.



Droga nie miała zakrętów, ale i tak nie mogli jechać tak szybko jak na autostradzie. Wydawała się bardzo stara. Po obu stronach ciągnęły się porośnięte trawą wały i stare ogrodzenia, od czasu do czasu krzaki bzu i głogu. Teren był pofałdowany i nie widzieli zbyt daleko, przez co Church musiał ograniczyć szybkość. Po dłuższym czasie minęli pole golfowe i dwa duże domy; za ich oknami wesoło paliło się światło. Church poczuł się bezpieczniej na ten widok.

Dalej rozpościerała się ciemna połać pól hrabstwa Malborough, droga mijala stare domy wiejskie, wyglądające w ciemności jak plamy różnokolorowego cienia.

— Chyba już nas nie goni – odezwał się Church z niepokojem w głosie. – Za długo tak jedziemy.

— Nie zgubi nas – odpowiedział Tom roztargnionym tonem. – Jedyna nadzieja w tym, że dotrzemy do celu wcześniej niż ona.

— Chcesz powiedzieć, że potrafi rozpoznać markę i typ samochodu w nocy, z wysokości kilkuset stóp?

— Ona nie musi patrzeć – odparł Tom wymijająco. – Cudowne Bestie są bardzo wrażliwe. Zna nasze dusze. Potrafi nas wyczuć na całe mile.

— Ona? – zapytał Church z niedowierzaniem. – Skąd tyle wiesz o czymś, co nawet nie powinno istnieć? Na Boga, powiedzże coś więcej, bo oszaleję!

Zapadła dłuższa cisza, po czym odezwała się Ruth.

— Marnujesz tylko gardło, Church jedź, skoncentruj się.

Dalej zmierzali na południe. Tom wyjaśnił Churchowi, jak ma przejechać przez Pewsey wzdłuż rzeki Avon. Dwunastowieczny kościół górował nad miejscowością jak warownia. Kiedy znów znaleźli się wśród pól, na drodze było tak ciemno, że nie mogli normalnie jechać. Widok zasłaniały gęsto rosnące drzewa, tylko czasami widzieli przez gałęzie światła jakiegoś odległego domu. Krajobraz zmienił się znów, kiedy minęli Upavon i wyjechali na ponurą równinę Salisbury. Widać było, że często odbywają się tu manewry wojskowe. Ścierniska po obu stronach drogi rozryte były gąsienicami, mijali też znaki drogowe ostrzegające przed czołgami. Po lewej stronie ciągnęło się ogrodzenie z siatki, zwieńczone drutem kolczastym, minęli wojskowy posterunek przy jakiejś bramie.

Zobaczywszy to, Church znów zaczął się zastanawiać.

— Dlaczego RAF nie wysłał samolotów, żeby to zestrzelić? Przecież w Lyneham jest baza lotnicza, trzymają tam myśliwce w pogotowiu.

Tom jakby myślał o czym innym, wydawał się przestraszony.

— Nie zobaczą jej, dopóki nie przeleci im tuż nad głowami. A wtedy pewnie nie uwierzą własnym oczom.

— Jak to, przecież tak wielki obiekt musieli widzieć na radarach.

— Ona należy do dawnego świata. Technologia nie jest w stanie jej dostrzec.

Kiedy mijali latarnie uliczne w Figheldan, Tom znów odezwał się ponuro.

— Widzę ją. Kołuje bardzo wysoko. Szuka nas.

Przez chwilę jechali pod osłoną drzew, ale potem Tom wstrzymał oddech z przerażenia.

— Zobaczyła nas! Jedź szybciej!

— Szybciej się już nie da. Jeszcze trochę i rozwalimy zawory! – zawołał Church.

Ruth wystawiła głowę przez okno i, walcząc z wichrem, spojrzała w niebo. Najpierw nie zobaczyła nic, ale w chwilę później chmury rozstały się i na tle księżyca ukazała się Bestia o łuskach lśniących jak polerowane srebro; skrzydłami mogłaby przykryć boisko futbolowe, w księżycowej poświacie opalizowały ciemnym szkarłatem, starym złotem i brudnym szmaragdem. Chwilami Ruth dostrzegała również oczy Bestii, świecące czerwienią jak światła lądującego samolotu. Wciągnęła głowę i cicho powiedziała: – Jest wspaniała.

— Co teraz robi? – zapytał Church. Znów czuł zimny pot na plecach i karku.

— Kołuje jak jastrząb. – Ruth odwróciła się do Toma. – Może zjechać z drogi, schować się...

Przerwał jej ryk, jakby startującego samolotu, a wewnątrz samochodu wypełniło się pomarańczowym blaskiem. Ściana ognia pochłonęła żywopłot i pobocze z ich strony. Uderzenie gorącego powietrzaomal nie zepchnęło samochodu z drogi.

Nie zatrzymując się przejechali przez rondo, cudem unikając zderzenia z innym samochodem, a potem Tom nakazał skręcić w prawo na następnym skrzyżowaniu. Wjechali w dwupasmówkę, na której Church znowu mógł pędzić z maksymalną prędkością, wyciągając z samochodu ostatnie konie mechaniczne. Potem droga znów zwęziła się do jednego pasma i Church zaczął obawiać się najgorszego. Tom nakazał mu trzymać się prawej, złej, strony drogi.

— Skręć w prawo, jak powiem – zawołał Tom.

Church odczuwał nieodpartą chęć, żeby spojrzeć w górę, ale zmusił się do patrzenia na drogę.

— Teraz!

Church obrócił kierownicą, samochodem zatrzęsło na poboczu, a jednocześnie z nieba runął kolejny słup ognia, topiąc za nimi asfalt. Zatrzymali się na wielkim parkingu, tak gwałtownie, że jeszcze przez chwilę samochód obracał się, a za oknami przesuwawała połać równiny Salisbury.

— Co teraz? – spytał Church, ujrawszy nagle kilka budyneczków i ogrodzenie z bramką.

— Wysiadać – rozkazał Tom, otwierając drzwi.

Zanim Church zdążył coś powiedzieć, Tom biegł już wielkimi susami, niespodziewanie szybko jak na pięćdziesięciolatka. Przeskoczył przez bramkę, a kiedy go dogonili, zniknął już w wykopanym pod drogą tunelu. Bicie skrzydeł Bestii przybierało

na sile. Poczuli podmuch, kiedy potwór przeleciał tuż nad ich głowami, ale kiedy wrócił, żeby zalać ich ogniem, byli już bezpieczni w tunelu.

Ruth przywarła do ściany, starając się uspokoić oddech.

— Bogu dzięki – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze.

— Tu nie! – krzyknął Tom, łapiąc ją za ramię i ciągnąc za sobą. W kilka sekund później do tunelu wtargnęła fala ognia, sięgając miejsca, w którym Ruth się wcześniej zatrzymała. Fala gorącego powietrza zwała ich z nóg.

Dusząc się i kaszląc, czując w płucach żywy ogień, rozpaczliwie pełzli ku wyjściu z tunelu. Church znieruchomiał, kiedy w świetle księżyca zobaczył potężne, starożytne megality rozrzucone na wielkiej polaci trawy.

— Stonehenge? – wykrztusiła Ruth.

Pobiegli ku kręgowi głazów, wspięli się na otaczające je ogrodzenie i padli na ziemię dopiero wtedy, kiedy znaleźli się pośród nich.

— Tutaj nas przecież widzi – zaprotestowała Ruth, wpatrując się w kołującą nad nimi Bestię, podobną do czarnej plamy wędrującej na tle gwiazd.

— Już wam mówiłem, że ona nas wyczuwa – odparł Tom. Ukląkł i poklepał czule porośniętą chwastami murawę. – Ziemię przeszywają potężne siły. Magia Ziemi; potężna alchemiczna energia, płynąca pomiędzy starożytnymi miejscami kultu. Cudowne Bestie żywią się tą energią, a jej linii używają do orientacji w locie. My ich nie widzimy, ale dla nich wyglądają jak sieć niebieskiego ognia na powierzchni ziemi. A tutaj, w potężnym skupisku energii, giniemy w jej blasku.

Na chwilę zapadła cisza. Ruth z szeroko otwartymi ustami gapiała się na Toma, potem rzuciła porozumiewawcze spojrzenie

Churchowi, który tylko potrząsnął głową. Tom wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

— Wierzcie albo nie. Ale widzieliście jedną z Bestii i nie możecie już udawać, że nic się nie stało. – Tom zaczął się przechadzać pośród megalitów i wkrótce zniknął im z oczu.

Ruth i Church wpatrywali się w niebo, w każdej chwili gotowi uciec.

— Cóż, w jednej sprawie ma rację – odezwała się po chwili Ruth. – Rzeczywiście nie atakuje.

Patrzyła, jak Bestia zatacza coraz szersze kręgi. Church podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

— Co się z nią dzieje?

Potwór stopniowo znikł z pola widzenia. Wzmagął się wiatr i, hucząc ponad równiną, przepędził kilka pozostałych jeszcze chmur, odsłaniając rozgwieżdżone niebo. Church nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział tysiące gwiazd na tak czystym, nieskalanym sztucznym świetle nieboskłonie.

— Jak pięknie – wyszeptała Ruth, pogrążona w niemym podziwieniu i osłupieniu. – Teraz rozumiem, dlaczego ludzie chcą się wyprowadzać z miasta.

Church, przytłoczony okropnością niedawnych wydarzeń, postanowił skupić się na tu i teraz.

— Co sądzisz o tym hipisie?

Ruth zamyśliła się.

— Sądzę, że on może nam pomóc.

— Ale mu nie ufasz.

— Nie – odparła. Zgryzła wargi, zastanawiając się nad czymś, a potem znów się odezwała. – Nie podoba mi się, że nie chce nam wytłumaczyć, co się dzieje. Widać, że wie więcej, niż mówi. I chyba wykorzystuje to, żeby nami manipulować.

Hulający wśród megalitów wiatr ucichł i na chwilę zapanowała cisza.

— Kim on jest, Church? Skąd tyle wie?

— Nie wiem, już nie staram się tego wszystkiego zrozumieć – odparł zasepiony. – Będę zadowolony, jeśli po prostu wyjdę z tego w jednym kawałku.



Znaleźli wśród obalonych głazów miejsce dostatecznie suche, żeby się położyć, i wpatrywali się w gwiazdy, niemal dotykając ich, odczuwając mistyczną jedność z wszechświatem. Na krótką chwilę zapomnieli o chaosie ostatnich wydarzeń. Nieboskłon przekreśliła nagle spadająca gwiazda i Church tuż przed zaśnięciem pomyślał, że to zły znak.



Jakiś czas później obudziło ich stąpanie ciężko obutych stóp Toma.

— Czuję się tak, jakbym spał od wielu godzin – powiedział Church, przecierając dłońmi twarz, żeby się rozbudzić. – To pewnie stres.

— Nie, to błękitny ogień – poprawił go Tom. – Uzdrawia i dodaje energii tym, którzy zdołają się nań otworzyć.

Rzucił coś na ziemię obok nich. Był to królik. Kępki białego futra robiły upiorne wrażenie w ciemności.

— Kolacja.

— Jak go złapałeś? – zapytał Church.

— Kiedy jestem w drodze, bywam głodny. Nauczyłem się kilku sztuczek.

— I co, zjemy go na surowo? – głos Churcha zdradzał obrzydzenie.

— Możecie jeść na surowo. Ja rozpalę ogień.

— W pięć minut przyjedzie do nas jakiś ochroniarz. Dziwię się, że jeszcze nas nie zwinęli – odparł Church.

— Ich technologia jest tutaj ślepa. Ognia też nie zauważą, zadbam o to.

Church położył się z powrotem na ziemi i zamknął oczy.

— Nawet nie będę pytał, jak.



Tom zaczął szukać opału; w okolicy była tylko trawa, więc uniósł z ziemi część drewnianego chodnika dla turystów. To wystarczyło, żeby zrobić przyzwoite ognisko i choć drewno było mokre, Tom zdołał je względnie szybko i łatwo rozpalić. Zdjął z królika skórę, wypatroszył go, obkroił i podzielił wielofunkcyjnym scyzorykiem, a potem powkładał sztuki mięsa w kawały torfu i wsadził w żar na skraju ogniska.

— Jeszcze trochę – powiedział, kiedy skończył pracę. – Jeź byłby szybciej, ale nie mogłem żadnego znaleźć.

— Pycha – odparł ironicznie Church. – Jemy szkodniki.

— Są smaczne. Nie bądź taki delikatny.

— Właśnie dlatego pan Bóg wymyślił pizzerie.

Tom uśmiechnął się drwiąco.

— A co zrobisz, jak już nie zostanie ani jedna pizzeria?

— Znowu zagłada i sąd ostateczny. Koniec świata jest blisko, wiem.

— Gadasz jak idiota. Przecież wiesz, co widziałeś – odparł Tom. Wpił wzrok w Churcha i zapanowała napięta cisza, przzerwana dopiero Ruth.

— Nie kłóćcie się, przecież nie mamy na to sił. – W blasku ognia widać było, jak blada jest jej twarz. Dziewczyna powstrzymywała łzy. – Wciąż myślę o tych ludziach na autostradzie. Zobaczyłam tyle straszliwych rzeczy, przerażenie na ich twarzach, nie mogę o tym zapomnieć.

Zacięte rysy Toma rozjaśniły się współczuciem.

— I to wszystko przez nas – kontynuowała Ruth.

— To nie wasza wina – przerwał jej Tom. – To, co dziś zobaczyliście, to tylko pierwsza z wielu tragedii. Będą następne i nie wszystkie będą dotyczyć właśnie was.

Church nie mógł dłużej powstrzymać gniewu.

— Nie gadaj tak, bo oszaleję! Koniec świata, błękitny ogień, co to ma być? Dlaczego udajesz, że znasz się na tych fantastycznych potworach? Dlaczego mielibyśmy ci wierzyć?

Odpowiedziała mu cisza. Tom tylko gładził się po brodzie z zamyślonym wzrokiem.

— Jak mam ci te rzeczy wytłumaczyć, skoro ze swoim rozumieniem świata nie możesz ich zrozumieć?

Po chwili dodał:

— Niestety nie potrafię zdobyć waszego zaufania. Mogę tylko powiedzieć, że mam niezbite dowody na to, co mówię. Musicie mi ufać i przyjąć to do wiadomości, dopóki nie poznamy się lepiej i nie zaczniemy opowiadać o swojej przeszłości. – Uniósł rękę, żeby powstrzymać protesty Churcha. – Jeśli koniecznie

musicie mieć jakiś dowód, to mogę wam coś pokazać.

Sięgnął do chlebaka i wyciągnął z niego puszkę z tytoniem i niewielką kostkę haszyszu.

— No daj spokój, przecież to nie czas i miejsce – zaśmiał się Church.

— To nie dla przyjemności – odparł Tom. Zapalił jointa i zaciągnął się głęboko. – W czasach przedchrześcijańskich w większości kultur wykorzystywano psychotropy do nawiązywania kontaktu z sacrum. Właśnie to zamierzam teraz zrobić i pokazać wam coś, co pozwoli wam wreszcie zrozumieć sens tego, co się dzieje. – Zamknął oczy i pogrążył się na chwilę w medytacji, a potem znów odezwał kojącym, ledwo dosłyszalnym głosem: Ludzie, którzy ustawili te głazy, też palili, siedząc tutaj, wpatrując się w gwiazdy. Pod kurhanami i kromlechami, w kamiennych kręgach i przy starożytnych kopcach, jedli święte grzyby i zażywali halucynogeny na tysiące lat przed tak zwanym Latem Miłości. Człowiek mógł w ten sposób dotknąć serca wszechświata. – Wypuścił kłęb dymu i zawołał silnym, zdecydowanym głosem: – Musicie zrozumieć, że magia działa!

— Magia, czyli ten cały hokus pokus, abrakadabra, proszę bardzo! – odciął się Church. – Wystarczy się sztachnąć raz czy dwa, żeby uwierzyć w cokolwiek.

— Nie, magia, czyli wywieranie wpływu na ludzi i wydarzenia bez widocznego kontaktu z nimi – odparł Tom spokojnym i silnym głosem. – Magia należy do świata, o którym nic nie wiesz. To stare słowo, które oznacza coś leżącego poza granicami nauki, coś rządzącego się własnymi regułami, działającego subtelnymi zmianami sił i przepływów energii. Zupełnie odmienny sposób rozumienia świata. – Church bez przekonania patrzył, jak Tom podchodzi do najbliższego ze stojących wokoło głazów. – Nauka

mówi, że to tutaj to jedynie wbity w ziemię kawał skały. Magia mówi, że jest to coś więcej. Przyjrzyjcie się dokładnie sylwetce tego głazu na tle nieba.

— I co mam zobaczyć? – zapytał Church.

— Patrzcie uważnie. Nie wmawiajcie sobie, że to tylko złudzenie optyczne. Uwierzcie.

Ruth i Church wpatrywali się we wskazany przez Toma punkt. Po kilku minutach Ruth odezwała się: – Chyba widzę światło.

— Patrzcie dalej – nalegał Tom.

Church potrząsnął lekceważąco głową, ale patrzył dalej i po kilku sekundach rzeczywiście wydało mu się, że widzi delikatny poblask na brzegu menhiru. Im dłużej patrzył, tym wyraźniejsza stawała się niebieska poświata, aż w końcu wokół megalitu zaczęły tańczyć i skrzyć się błękitne ogniki.

— Co to jest? – zapytał zdumiony.

— Magia – odrzekł cicho Tom. Powoli wyciągnął ku głazowi rękę i pomiędzy jego palcem wskazującym a megalitem przeskoczyła iskra. W chwilę później zagadkowa energia przeniosła się na Toma i on sam stał teraz otoczony szafirowym blaskiem. Uśmiechając się, uniósł ku górze otwartą dłoń, nad którą zaczęły tańczyć świetliste kształty. Churchowi wydawało się, że widzi wśród nich ciała i twarze, ale kształty wciąż się zmieniały i nie były wyraźne.

— Ładunki elektryczne – powiedział Church, sam sobie nie wierząc. – Pole elektromagnetyczne pobudzone przez naprężenia w skorupie ziemskiej.

Tom uśmiechał się tylko.

— Czy to boli? – zapytała Ruth.

— Czuję się świetnie, mógłbym biec przed siebie godzinami. – Tom wziął głęboki i spokojny oddech. – To jest siła tego miejsca.

Magia Ziemi. Ognista Sieć. Nauka nie potrafi tego zmierzyć, więc twierdzi, że tego nie ma. Ale wy to widzicie.

Church poczuł zmianę zachodzącą w nim w obliczu niezwykłego wyczynu Toma. Był podekscytowany, chciał skakać i krzyczeć z radości. Ponure myśli znikły, jakby zmył je deszcz. Nie mógł przestać się głupio uśmiechać.

Tom zakończył pokaz i usiadł przy ognisku.

— Wiara w nowy świat, w prawdziwy świat, nie przyjdzie w jedną noc, ale z biegiem czasu zrozumiecie naprawdę, co się wokół was dzieje.

— Co to za nowy świat? – spytał Church, którego intelektualna ciekawość nie dawała za wygraną, mimo burzy radosnych uczuć.

— Żywotna siła świata, która łączy w jedno planetę i ludzkość, jedyna w swoim rodzaju duchowa energia. Jeśli się skupisz, znajdziesz ją i w sobie, i w ziemi.

— Entuzjaści New Age zawsze mówili o czymś takim – potwierdził Church, czując przechodzący go dreszcz. To, co przed chwilą zobaczył i usłyszał, wywierało na nim głębokie wrażenie.

— Ludzie wiedzieli o tej sile już w starożytności. Chińczycy nazywają ją *chi*, smok energii, bo zawsze była związana z Bestiami, które są jej symbolem i jej strażnikami. Właśnie dlatego wznoszono megality, a potem kamienne kościoły i krypty. Oznaczały one święte miejsca, gdzie energia była najsilniejsza, gdzie skupiała się, gdzie przepływała najszybciej. Potem jednak nadszedł tak zwany wiek rozumu i myśliciele zlekceważyli tę starożytną siłę – nie można jej zmierzyć, wyrazić liczbowo, zamknąć w probówce i zbadać w laboratorium. A kiedy rozum zapanował nad światem, zapomnieli o niej również zwykli ludzie. Na długi czas przeszła w stan uśpienia. Przez stulecia nikt nie był w stanie jej obudzić, choć podejmowano takie wysiłki.

Teraz jednak zaczęła powracać po zmianie, jaka dokonała się w świecie na początku tego roku. Kilku z nas umie ją na krótko obudzić, ale ktoś będzie musiał przywrócić ją całkowicie, jeśli ma znów być żywotną siłą świata. To, co zobaczyliście – dodał – to tylko pierwszy znak, że świat staje się zupełnie inny.

— Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Ruth.

— Zostałem wezwany. Otrzymałem...

— Przez kogo wezwany?

Tom uśmiechnął się w odpowiedzi na natarczywość w głosie Ruth.

— Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to wezwał mnie pewien pan, zwany Strażnikiem Kości. Mówi ci to coś?

— To dziwny przydomek.

— I człowiek też dziwny. On i jemu podobni opiekowali się ziemią przez tysiąclecia, przekazując starożytną wiedzę i pamięć o dawnych rytuałach. Opiekuje się miejscami, gdzie niebieski ogień płonie najjaśniej. To on pierwszy wyczuł nadchodzącą zmiany. Być może kiedyś sami go spotkacie i będziecie mogli sami zadawać mu te wszystkie pytania.

— Ja już nie nadażam – odezwał się Church. – Ludzie opiekujący się starożytnymi miejscami kultu?

— Najlepiej będzie, jeśli najpierw zapomnisz o swojej dotychczasowej wiedzy – odparł bez ogródek Tom.

— Dobra – rzekł Church. – Przekonałeś mnie, że masz jakąś wiedzę, ale wciąż jest jeszcze dużo pytań...

— Przynajmniej zaczęłeś mnie traktować poważnie – przerwał Tom lodowatym tonem.

— W takim razie, co się tak naprawdę dzieje? – zapytała Ruth. Poza kręgiem światła wokół ogniska i bezpiecznym schronieniem wśród megalitów, ciemność wydawała się

straszniejsza niż zwykle, ponad polami unosił się nowy, nieznany cień. – Dlaczego dzieją się te wszystkie przerażające rzeczy?

Tom zgasił jointa, zanim odpowiedział.

— Wszystko zmieniło się nagle i gwałtownie na początku tego roku. – Pogrzebał kawałkiem drewna w ognisku, z którego sypnął rój iskier. – Świat odwraca się od światła. Historia zatacza kręgi, dobrze pewnie o tym wiecie. Imperia rosną w siłę i upadają, ludzie zdobywają i tracą wiedzę, a czasem niespodziewanie powracają rzeczy, które wydawały się na zawsze utracone. U podstaw wszystkich legend, bajek, tradycji leżą...

— Symbole, rytuały inicjacyjne, religie – przerwał Church. – Dzięki legendom najważniejsza wiedza danej kultury jest łatwo przekazywana z pokolenia na pokolenie, łatwiej ją zrozumieć.

— To oczywiście prawda. Słysząc, że jesteś wykształcony. Ale czasem treść legend jest dosłownie prawdziwa. Wydaje mi się, że kiedyś świat był zupełnie inny. Widzieliście jedną z Bestii, nie możecie zaprzeczyć – mityczne potwory zamieszkiwały kiedyś tutaj, podobnie jak dawni bogowie, zapomniane plemiona i inne rzeczy, które wydają się być jedynie dziełem wyobraźni. Dzięki legendom nie zapominamy o tym świecie cudów i niesamowitych wydarzeń.

Church spojrział na Ruth; to, co powiedział Tom, przypomniało mu o chaotycznych zapewnieniach Kraicowa.

— Nie ma archeologicznych dowodów – zaczął, ale Tom przerwał mu machnięciem ręki.

— Z jakichś powodów wszystkie te rzeczy i istoty znikły, zostały przeniesione do – rozłożył ręce, szukając słowa – gdzie indziej, ale teraz...

— Teraz powracają – dokończyła Ruth i zadrżała. Niedaleko usłyszeli pohukiwanie sowy. Ruth rozejrzała się, ale nic nie dostrzegła w ciemności. – Czy to wszystko powiedział ci ten Strażnik Kości, jak go nazywasz?

— Część, tak.

— A ty od razu uwierzyłeś? – Church złapał się za głowę i zamknął na chwilę oczy. Widział jednak tę Bestię, jak nazywał ją Tom, i wiedział, że nie potrafi tego racjonalnie wytłumaczyć. – Ale powiedz mi, gdzie siedziały te mityczne potwory przez tysiąclecia, kiedy ich nie było?

Tom milczał i Church zastanawiał się, czy dlatego, że nie wiedział, czy tylko nie chciał powiedzieć.

— Czy to, co widzieliśmy pod mostem Alberta i na stacji benzynowej, należało do tego dawnego świata? – zapytała z wahaniem Ruth.

Tom szukał odpowiednich słów.

— Mi to wyjaśniono tak: dawno temu, zanim ludzie zawładnęli światem, istniały inne, dawne rasy. Były to istoty obdarzone niezwykłą siłą, znały najgłębsze tajemnice wszechświata. Były tak potężne i niezrozumiałe, że w naszych oczach równały się bogom. To od nich pochodzą nasze legendy, w tradycji celtyckiej, w innych kulturach, nawet w chrześcijaństwie.

— Demony – rzucił Church.

— I anioły – ciągnął Tom. – Folklor to zapomniana historia tego kraju. W każdej legendzie jest coś prawdziwego. Spójrzcie na średniowieczne rzeźby w kościołach. Iluminowane księgi. Trudno je zapomnieć. Z biegiem czasu dawne rasy upadały i odchodziły w zapomnienie, a kiedy nadeszła pora, znikły zupełnie, wydawało się, że na zawsze. Pozostała pamięć o nich, odległe echa, niektóre nie chciały też odejść same, po dobroci.

Później ich siła sączyła się tylko w wybranych, świętych miejscach, a wszędzie indziej nie został po nich ślad. Świat należał do ludzi, którzy stawali się coraz potężniejsi. – Tom wpatrywał się w ogień. – Teraz jednak czas dawnych ras powraca.

Wiatr zaszumiał głośniejsze, jakby w odpowiedzi na jego słowa. Church zadrżał z zimna i owinął się ciasniej kurtką.

— Jeśli to prawda, a wcale nie musi być to prawda, to dlaczego wróciły właśnie teraz?

Tom wzruszył ramionami.

— Tak jak mówię, wszystko powraca. Być może właśnie teraz powraca ich czas w cyklu. Być może czas ludzi właśnie się zakończył. Kto wie? Reguły pozostają nieznane, życie jest zagadką.

Church obserwował twarz Toma, starając się wychwycić jakąkolwiek oznakę kłamstwa, fantazji wymyślonej, by ich przestraszyć, ale niczego takiego nie zauważył.

— Ilu ich jest? – zapytała Ruth. Tom znów wzruszył ramionami.

— Bestii jest pewnie tylko kilka. Innych mitycznych zwierząt pewnie też niewiele. Nie zauważyłem w ostatnich tygodniach oznak paniki, więc pewnie wciąż mają gdzie się ukryć, nawet na tej przeludnionej wyspie.

— A ci, którzy nas gonią?

Nieznajomy ociągał się z odpowiedzią.

— Ci są wszędzie. Widzieliście ich – są zmiennokształtni. Nawet w biały dzień nikt ich nie zauważy. Ale ich mimikra nie jest doskonała; jeśli spojrzeć z bliska, można zauważyć, kim są.

— Skóra wygląda jak zrobiona z wosku – zauważył Church. – Twarze mają jak maski.

— Gibbons i Kraicow przypadkiem ich zauważyli – dodała Ruth – i musieli umrzeć.

— Wygląda na to, że bardzo im zależy na zachowaniu tajemnicy.

— No tak, wysyłają za nami zionącego ogniem potwora, bo rozmawialiśmy z Kraicowem. Skoro od razu uciekają się do takich środków, muszą się bardzo bać odkrycia. Co planują? – zapytał Church. – Czy dalej pozostaną w ukryciu?

— W ich naturze – odrzekł powoli Tom – nie leży ukrywanie się, przynajmniej nie na długo.

— W takim razie co zrobią? – nie dawał za wygraną Church.

— Wiem tyle co ty. Ale sądzę, że dojdzie do jakiejś konfrontacji. Wydają się silniejsi od nas.

— Nawet jeśli – powiedział Church lekceważąco – to co mogą nam zrobić?

— Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem – wtrąciła Ruth. – Tam, na stacji benzynowej, wyglądało tak, jakbyś na nas czekał. A przecież my nie planowaliśmy, że się tam zatrzymamy.

— Miałem przeczucie, że muszę tam być.

— Aha, wiara w przeczucia – Church potrząsał głową sceptycznie.

— Świat zmienił się ostatnio bardziej, niż możecie sobie wyobrazić – lodowatym tonem odrzekł Tom. – Jak można mówić o prawach fizyki po tym, co dziś widzieliście? Nauka i magia nie pasują do siebie. Kiedy otworzyły się drzwi, do naszego świata wlały się nie tylko dawne rasy i potwory – również nowe sposoby myślenia, odczuwania, istnienia.

Ruth wyglądała na poruszoną tym, co usłyszała.

— Co to znaczy?

— W niektórych religiach Wschodu uważa się, że świat jest

taki, jakim go chcemy – wyjaśniał Tom. – W nadchodzących czasach właśnie dlatego świat się zmieni. Nie będzie miejsca dla dawnego, męskiego sposobu myślenia, opartego na logice i strukturze, który dominował od tak dawna. Nadejdą czasy instynktu, żeńskiego sposobu myślenia, zachwyty i niezwykłości. Na pewno ucierpią na tym nauka i technika.

Głos Toma działał kojąco i hipnotycznie. Churchowi wydało się, że wśród trzasków ogniska słyhać szepty i echa dawno zapomnianych głosów, a pośród płomieni tańczą ciemne, groźne twarze. Zaniepokojony odwrócił wzrok ku roztaczającej się wokół ciemności.

— Z tego, co mówisz, wynika, że kończy się świat taki, jakim go znamy – z lękiem odpowiedziała Ruth.

— No tak, rzeczywiście czekają nas czasy zmian – rzekł Tom, nie dodając jej zbyt wiele otuchy.

Poczuł nagle uderzenie wiatru, od którego ogień zabuzował i sypnął ku górze kaskadą iskier. Church poczuł nagle, że ktoś ich obserwuje. Rozejrzał się szybko, starając się coś zauważyć poza niewielkim kręgiem światła, ale nie zdołał przeniknąć wzrokiem ciemności. Tom dorzucił drew do ognia i wsłuchiwał się przez chwilę w trzeszczenie i buzowanie płomieni.

Church spojrział na Toma z niedowierzaniem.

— Kiedy tu siedzę, po wszystkim co dziś zobaczyłem, to co mówisz, ma sens. Ale w głębi duszy...

— Myślisz, że kłamię? Ja nigdy nie kłamię. – Tom pogrzebał w ognisku. – Królik będzie już gotowy. Zjedzmy.

— Chyba nie piekł się dość długo – powiedziała Ruth.

— Według mnie będzie gotowy.

— To też magia? – zapytał Church.

— Może, a może po prostu dobre gotowanie – odparł Tom,

uśmiechając się tajemniczo. Church zdał sobie sprawę, że oczy mężczyzny nie zdradzają żadnych uczuć.



Gorące mięso parowało, było soczyste i miękkie. Wszyscy troje zaczęli obgryzać kawałki królika, czując na twarzach żar ogniska, a na plecach mroźną noc. Dla Churcha był to jeden z najsmaczniejszych posiłków w życiu. Zastanawiał się, czy to za sprawą unoszącej się wokół dziwnej energii.

Skończyli jeść i skupili się wokół ognia, starając się uspokoić, odzyskać siły i choć na chwilę zapomnieć o strachu. Tom, wpatrując się w gwiazdy, dłubał w zębach kawałkiem gałązki.

Po dłuższej chwili ciszy, odezwał się: – Wszystko się zmienia. Musicie się przygotować na nowe czasy... nowe, stare czasy... jeśli chcecie się przydać w walce.

— Jaki może być z nas pożytek – zapytała Ruth – jeśli rzeczywiście jest tak źle, jak mówisz? Możemy ostrzec władze, policję, wojsko, ale pewnie tylko by się z nas śmiali i zamknęli w domu wariatów.

— Tak, zresztą oni i tak nie zdołaliby nic zrobić – odrzekł Tom. – Nadchodzące czasy będą należały do jednostek, nie instytucji. Będzie się liczyła osobowość, nie organizacja.

— To bardzo ładnie brzmi – zgodził się Church. – Ale z całym szacunkiem dla Ruth – spójrz na nas, przecież nie jesteśmy ludźmi czynu.

— Najważniejsze jest dostosowanie się do nowych warunków, a ludzie dostosowują się szybciej niż instytucje. Jeśli nauczycie się działać według nowych zasad, być może... coś zdołacie zrobić.

– Tom rzucił im badawcze spojrzenie, od którego Church poczuł się nieswojo.

Ruth nie wydawała się przekonana.

— Dwoje ludzi przeciw takim siłom? Chyba żartujesz.

— Ale przecież musimy coś zrobić. Cięży na nas jakaś odpowiedzialność – zaczął Church.

— To dobre słowo – przerwał mu Tom.

— Nie mów takim protekcyjnym tonem! – zawołał Church, czując, że z wolna traci panowanie nad sobą.

— Przepraszam – odrzekł Tom bez śladu skruchy w głosie. Poirytowany Church mruknął coś pod nosem i położył się u stóp wielkiego głazu. Ruth dobrze rozumiała jego podenerwowanie.

— Słuchaj, nie musisz wcale grać takiego chojraka – odezwała się do Toma. – To dobry człowiek, chce coś zrobić. Nie powinieneś go tak traktować.

Tom wzruszył ramionami.

— Wszyscy mają swoje wady.

— Musimy wiedzieć więcej.

— Porozmawiajmy jutro, będziemy wypoczęci, przytomniejsi. Najpierw przetrwajcie to, czego dowiedzieliście się dzisiaj. Będzie wam potrzebny zupełnie nowy sposób myślenia, będziecie musieli uwierzyć w wiele rzeczy, które z początku wydadzą się niemożliwe. Na to trzeba czasu.

— Dużo nas jeszcze czeka?

— Zawsze czeka nas coś nowego. – Tom ziewnął i przeciągnął się. – Jest późno, musimy spać. Przed nami ciężki dzień, a jutro możemy już nie znaleźć tak bezpiecznego miejsca na odpoczynek.

— Oczekujesz, że teraz jak gdyby nigdy nic pójde spać?

— Tak, teraz zaśniesz – odrzekł Tom, dotykając jej czoła

czubkami palców. Ruth pogrążyła się nagle we śnie, jakby Tom odłączył ją od prądu. Chwytał bezwładne ciało, ułożył bliżej ognia i przykrył zdjętym wcześniej płaszczem.



— To miejsce jest wspaniałe, prawda?

Church odwrócił się zaskoczony. Nie wiedział, że Tom stoi tuż za nim.

— Wolałbym je oglądać w innych okolicznościach.

— Powinieneś tu być 21 czerwca, obejrzeć wschód słońca przy przesileniu letnim. Kiedy stanie się wtedy w centrum tego kręgu, słońce wydaje się zawieszona pod tamtym kamieniem, a wszystkie głazy błyszczą, jakby były ze złota. To piękne.

— Szkoda, że dałem się w to wszystko wciągnąć. Moje życie i tak było skomplikowane.

— Już jest za późno.

— Tak. Wiem.

Tom zapalił kolejnego jointa, zaciągnął się i wypuścił chmurę dymu, którą natychmiast rozwiął wiatr.

— Czekają was podróże, zwykłe i wewnętrzne, a zanim dotrzecie do celu, odkryjecie wiele tajemnic – zaczął cicho. – Tajemnice otaczają nas wszędzie i często, kiedy próbujemy odkryć jedną, okazuje się, że staje przed nami następna. Pomyśl o tym miejscu. Ludzie myślą, że ktoś w neolicie, cztery i pół tysiąca lat temu, usypał zewnętrzny wał. Myślą, że osiemset lat później kultura Garnarzy wybudowała krąg tych megalitów z piaskowca, a tysiąc pięćset lat przed Chrystusem jeszcze inna kultura ustawiła krąg wewnętrzny. To jednak nie jest ważne, bo

ważne jest to, dlaczego tutaj budowali. Dlaczego różne kultury przywiązywały do tego miejsca tak wielką wagę? Bo można tu było dokonywać obserwacji astronomicznych? Czy włożyliby w to tyle wysiłku, gdyby było to tylko narzędzie? Albo symbol jakichś pojęć religijnych?

Church przesunął palcami po powierzchni megalitu, jakby dotykał tych tysięcy lat, które upłynęły.

— Poszukiwali sensu – odrzekł.

— Właśnie. Poszukiwali magii w samym sercu rzeczywistości. I znaleźli ją. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadała ludzkość. Nie wiadomo jak, ale wiedza ta została utracona i w dwudziestym wieku wydawało się, że odwróciliśmy się od niej na zawsze. Teraz odzyskamy tę wiedzę i być może będzie to jedyna dobra rzecz w mrocznych czasach, które nadchodzą.

Church spojrział w horyzont.

— Rozumiem, że takie będzie jutro, ale co się stanie pojutrze?

— Jesteś już innym człowiekiem – odrzekł Tom. Church nie wiedział, czy była to szczerza pochwała. – Twoja przemiana rozpoczęła się pod mostem Alberta, kiedy pierwszy raz ujrzałeś nieznanne. Ale przed tobą i Ruth jest jeszcze długa droga. – Tom położył Churchowi rękę na ramieniu i wskazał na jeden z megalitów. – Widzisz tę gwiazdę ponad nim? Zaczekamy pięć minut, zaraz dotknie głazu.

Stali w ciszy, obserwując powolne przesuwanie się gwiazdy, aż ustawiła się w jednej linii z brzegiem megalitu. Church poczuł dreszcz przeszywający mu kręgosłup, a w chwilę później wydało mu się, że niebo ponad nim wybucha. Ponad megalitami unosiło się teraz tajemnicze niebieskie światło, które wcześniej pokazał im Tom. Ponad każdym z gładów powstały świetliste słupy, łączące się w jednym punkcie tak, że tworzyły skrzące się

błękitem ogromne sklepienie. Church poczuł się tak, jakby stał w katedrze, a wrażenie potęgowały jeszcze tajemniczość i majestat niezwykłego zjawiska. Zobaczył nagle biegnące aż po horyzont linie błękitnego ognia, łączące się w sieć, z której węzłów unosiło się ku niebu błękitne światło. Churchowi wydawało się, że widzi całą Wielką Brytanię, wszystkie jej starożytne miejsca kultu, mieniające się błękitnym, olśniewającym pięknym ogniem. Poczuł zbierające się w oczach łzy, a w sercu zagorzała tęsknota o intensywności nieznanej od czasów dzieciństwa.

Po dłuższej chwili ognie zamigotały i zaczęły gasnąć, aż wszystko stało się jak przedtem. Church był jednak pewien, że chwilę tę zapamięta do końca życia. Dotyk ręki Toma nagle obudził go z zamyślenia.

— Wczoraj, przed spotkaniem z Bestią, nie zobaczyłbyś tego. To znak, jak bardzo się zmieniłeś i jak bardzo możesz się jeszcze zmienić.

Kiedy wracali do ogniska, Church poczuł kojącą i ożywczą moc niezwykłego doświadczenia.

— Wypocznij dziś – powiedział Tom. – To bezpieczne miejsce, a nadchodzące dni będą trudne i straszne.

— Damy sobie radę – odrzekł Church, zaskoczony własną pewnością siebie.

Ostatnie słowa Toma usłyszał już zasypiając: – Jeszcze jedno, nie opuszczajcie kręgu przed wschodem słońca.



Church obudził się wcześniej, w poblasku wygasającego ogniska dojrzał śpiące twarze Toma i Ruth. Od leżenia na ziemi

bolały go plecy, ale kiedy przewrócił się na brzuch, znów poczuł się nieswojo, jakby ktoś go obserwował. Uczucie stopniowo przybierało na sile, aż w końcu Church wstał i rozejrzał się. Poza niewielkim kręgiem światła wokół gasnącego ogniska panowały nieprzeniknione ciemności.

Odczekał chwilę, ale kiedy uczucie niepokoju nie ustąpiło, ostrożnie zaczął oddalać się od ogniska. Oczy przyzwyczyły się do ciemności i Church zaczął dostrzegać zarysy drzew i żywopłotów na równinie wokół Stonehenge. Nie zauważył żadnego ruchu, a do uszu dochodził jedynie szum wiatru ponad polami.

Dotarłszy do zewnętrznego kręgu kamieni, Church przystanął, bezskutecznie starając się uspokoić. Serce biło jak szalone i był pewien, że ktoś niewidoczny obserwuje go z ciemności.

— Kto tam? – szepnął.

Wiatr ucichł, jakby noc zapraszała Churcha do dalszego marszu w mrok. Do uszu doszła ledwie dosłyszalna odpowiedź, łudząco przypominająca szelest trawy.

Po kilku chwilach dostrzegł w ciemności ruch, na tle nocy pojawił się ciemniejszy kształt. Church poczuł, jak na całym ciele cierpnie mu skóra. Kroczyła ku niemu ludzka postać, wysoka i szczupła, rozświetlająca się z wolna, jakby otoczył ją rój robaczków świętojańskich. Na długo zanim postać było widać wyraźnie, Church wiedział, kto to. Kiedy zatrzymała się kilka kroków od niego, był roztrzęsiony, a oczy miał pełne łez.

— Marianna – wyszeptał.

Była blada i wymizerowana, miała zapadnięte oczy, jakby od wielu dni nie spała; Church nie mógł patrzeć na te oczy. Jej skóra jakby migotała i chwilami wydawała się niemal przezroczysta. Ręce Marianny wisiały bezwładnie, a ramiona uginały się pod

niewidocznym ciężarem. Stojąc przed widmem, Church poczuł ogarniającą falę rozpacz i tęsknoty, przez którą zapomniał zupełnie o strachu.

Pamiętał jedynie tę chwilę, kiedy ostatnie przebłyski życia umierały w jej oczach, pozostawiając go samego ze wspomnieniami i utraconą nadzieją i, co gorsza, ze świadomością, że nigdy nie dowie się, dlaczego musiał utracić wszystko, czego potrzebował i w co wierzył.

Pomyślał, że jeśli dowie się prawdy, to umrze, ale i tak zapytał, nieswoim, zachrypłym głosem: – Powiedz mi, dlaczego?

Jeśli usłyszała go, to nie dała po sobie znać, z martwej twarzy wciąż promieniowało poczucie straszliwej straty. Church nie mógł dłużej na nią patrzeć, zamknął więc rozpalone oczy i zdusił w sobie rozziewające łkanie.

Kiedy znów na nią spojrzął, uniosła ramiona i zaczęła przyzywać do siebie.

Churchowi zapało dech w piersiach. Na chwilę przypomniał sobie ostrzeżenie Toma, ale odpędził je od siebie i zdecydowanym krokiem przekroczył ostatni krąg kamieni.

Jednak w miarę, jak pogrążał się w mroku, postać Marianny cofała się, wciąż z uniesionymi ramionami, cofała się coraz szybciej, polatując tuż nad ziemią, umykając wszystkim jego próbom dogonienia jej. Kiedy zaczął w końcu za nią biec w dół, ku polom, Marianna wymknęła się i uleciała w dal. Po chwili była już tylko światełkiem na horyzoncie. I to światełko zniknęło.

Church padł na kolana, czując żal tak świeży jak w dzień jej śmierci. Z wysiłkiem wstał i mozolnie ruszył z powrotem w kierunku Stonehenge. Kiedy znalazł się w miejscu, gdzie na niego czekała, zauważył coś dziwnego; na ziemi leżała piękna cięta róża, o płatkach czarnych jak sama noc. Podnosząc ją, Church

usłyszał w głowie szept: „*Roisin Dubh*” i wiedział, że tak brzmi imię tej róży i że to dar od Marianny.

Choć nie potrafił zrozumieć, co się stało, poczuł falę wzniosłych i radosnych uczuć. Schował różę za połą kurtki i powrócił do gasnącego ogniska.

ROZDZIAŁ 5

POGOŃ ZA CZARNYM PSEM

Obudził ich wschód słońca, czerwona luna ścieląca się ciężko nad horyzontem. Na ziemi i na ubrania opadła gruba warstwa rosy, wszyscy troje byli obolali z zimna, na szczęście skacząc i biegając zdołali się rozgrzać. Church i Ruth, kiedy się już zupełnie rozbudzili, ze zdziwieniem stwierdzili, że czują się świeżo jak nowonarodzeni, jakby oczyszczeni. Church nie pamiętał, kiedy w ciągu ostatnich dwóch lat tak dobrze spał.

— To oczyszczające i uzdrawiające działanie energii ziemi – poinformował Tom, kiedy wracali do samochodu.

— Mogliby to wprowadzić w państwowej służbie zdrowia – zażartowała Ruth. Church z zadowoleniem patrzył na spokojny uśmiech na jej twarzy, z której znikł niepokój i zmęczenie poprzedniego wieczoru.

W tunelu zatrzymali się, żeby obejrzeć pozostałości po pożarze zalegające czarną skorupą na betonie i przypominające, jak blisko byli śmierci. Zanim ruszyli, Church musiał zdrapać z okien grubą warstwę popiołu, wilgotną i lepłą od rosy. W powietrzu unosił się zapach zgliszczy.

— Wciąż nie mogę zrozumieć, jak zmusili Bestię do pogoni za nami – myślał głośno Tom, podczas gdy Church klnąc oczyszczał

szyby. – Przecież Bestie są nieokiełznane i dzikie.

— Może tutaj twoja tajemna wiedza jest już nieaktualna – cierpko odrzekł Church. – Kurs tresury Bestii; siad, leż, proś... Zrobią wszystko, jak im dać jakiś smakołyk.

Tom mruknął tylko coś pod nosem i poszedł się przejść, czekając, aż Church dokończy pracy przy oknach samochodu.

— Czy on chwilami nie jest śmieszny? – zapytała cicho Ruth. – Brzmi, jakby cytował marną powieść fantasy.

— To dziwny człowiek. Wciąż mu nie ufam. Wydaje mi się, że mówi nam tylko tyle, ile mamy wiedzieć, ale nie zdradza nam swoich prawdziwych intencji.

— Cóż, musimy mu ufać mimo to – odrzekła Ruth i zamilkła, wystawiając twarz do słońca.

Church z zadowoleniem przyjął chwilę ciszy, która wtedy zapadła. Wciąż był roztrzęsiony po nocnym spotkaniu z Marianną, do którego, chcąc nie chcąc, wracał każdą myślą. Dlaczego go nawiedza? Czy po to, żeby dręczyć, czy też chce coś przekazać? Czy ma to związek z lawiną dziwnych wydarzeń w całym kraju? Co ma znaczyć Czarna Róża spoczywająca teraz w kieszeni kurtki? Instynktownie wyczuwał, że powinien o tym wszystkim opowiedzieć Ruth, ale jakaś część jego umysłu nakazywała zachować milczenie. Może później, obiecał sobie.



Najpierw postanowili zjeść. Przy drodze A345 znaleźli mały, otoczony drzewami bar, gdzie okazali się być pierwszymi klientami. Podano wielkie angielskie śniadanie i herbatę. Wpatrując się w zalany słońcem, pusty parking za oknem,

próbowali uporządkować myśli po wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

— Wciąż nie mam pojęcia, co teraz robić – zaczęła Ruth, maczając grzanekę w sadzonym jajku.

— Musimy po prostu w jakiś rozsądny sposób wszcząć alarm. Cięży na nas odpowiedzialność, musimy coś zrobić. – Church sączył herbatę, wciąż nie mogąc zebrać myśli. On sam jednak dobrze wiedział, co chce uczynić: musi dowiedzieć się, skąd autorka tajemniczego maila знаła imię Marianny. Póki co, mógł to uczynić w ramach wspólnego zdobywania informacji o ogarniającym cały kraj zamęcie, ale gdyby musiał wybierać pomiędzy Marianną a Ruth i Tomem, to nie był pewien, jak by postąpił.

Ruth spojrzała nagle z zaskoczeniem na swoją dłoń.

— Spójrzcie tylko: wczoraj zacięłam się, kiedy przeskakiwaliśmy przez ogrodzenie, a dziś nie ma nawet śladu. Skaleczenie znikło.

— To się ciesz – odrzekł Tom nieprzyjemnym głosem. Wyglądał na przestraszonego i wciąż rozglądał się po barze.

— Czekasz na kogoś? – zapytał Church.

— Przeżyliśmy wczorajszą noc, ale nie myślcie, że to koniec kłopotów.

— Jak ty nas potrafisz pocieszyć – odparła Ruth z werwą. Church widział jednak, że słowa Toma zaniepokoiły ją.

— No, to zostaliśmy uciekinierami – skwitował.

Tom nawet nie odpowiedział.

Poszli zapłacić, kelnerka wybiła sumę na kasie, która zepsuła się i nagle zaczęła wypluwać długą taśmę papieru do paragonów. Poirytowana, próbując utrzymać na twarzy przyjemny uśmiech, zbierała coraz dłuższą wstęgę, bezskutecznie starając się

zatrzymać maszynę, a kiedy ta się zacięła, kelnerka oderwała taśmę, na której widniał tylko jeden, powtórzony setki razy napis:

1 NA 5

Church poczuł niepokój, kiedy zauważył napis, nie mający nic wspólnego z ich rachunkiem i natychmiast przypomniał sobie dziwną serię zbiegów okoliczności, których był świadkiem jadąc po Ruth.



Church, trzymając przy uchu komórkę Ruth, oparł się o maskę samochodu. Stanęli w miejscu, gdzie po dłuższych poszukiwaniach znalazł zasięg. Laura miała zaspany głos, najwyraźniej ją obudził.

— Dzień dobry, mówi Jack Churchill. Przepraszam, że nie dojechaliśmy do ciebie wczoraj wieczorem. Mieliśmy kłopoty po drodze, w Wiltshire.

Głos w słuchawce milczał przez chwilę.

— Słuchaj, jest niedziela. Pisałam też, że rano jestem niedostępna. Co się stało? Twoja panna wyrzuciła cię z łóżka?

— Przepraszam.

— Dobra, dobra – przerwała mu Laura i ziewnęła w słuchawkę. – Co słyhać? Dalej chcesz się spotkać?

— Tak, i to jak najszybciej. W Bristolu możemy być za...

— Czekaaj, jeśli jesteście w Wiltshire, to równie dobrze ja mogę pojechać do was. Jedźcie do Salisbury, właśnie tam mi się to

przydarzyło. Pokażę wam wszystko, będziecie się bali jak w zamku duchów w wesołym miasteczku. Albo stwierdzicie, że biorę za dużo narkotyków. – Połączenie zaczęło się rwać, głos Laury powrócił po chwili. – ...dolone komórki! Widzimy się jutro przy Poultry Cross w centrum miasta, o dziesiątej rano. Łatwo go znaleźć.

— A praca, nie musisz iść do pracy?

— Praca? Jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie...

Do Salisbury dojechali przed jedenastą. Przywitał ich pełen turystów rynek i wieża katedry skąpana w niezwykle silnym, jak na marzec, blasku słońca. Ruth zapłaciła kartą kredytową za nocleg w wybranym przez Toma hotelu w centrum. Spodobał mu się staroświecki budynek prawdziwej trzynastowiecznej gospody: mur pruski, pokryty gontem dach z okapami, wysokie kominy i okna z gomółek, dzięki którym wewnątrz było przytulne i tajemnicze. Dostali pokoje obok siebie, urządzone nowocześnie i bez smaku, choć drewniane podłogi i pochyle sufity dodawały im ponadczasowej aury.

Oczekując ciężkich dni, postanowili do wieczora odpocząć od siebie i od stojących przed nimi wyzwania. Ruth i Church czuli, że potrzebują trochę czasu, żeby przyjąć do wiadomości to, co Tom pokazał i powiedział im w Stonehenge.

Na słonecznej ulicy przed hotelem, w gwarze codziennego życia, łatwo było udawać, że nic się nie zmieniło. Kiedy jednak rozstawali się z Tomem, ten ostrzegł ich: – Pamiętajcie, musicie mieć oczy dookoła głowy.



Church nie wiedział dlaczego, ale skierował się do znajdującej się w południowej części miasteczka katedry, kamiennej budowli malowniczo górującej nad parkiem i brzegiem rzeki Avon. Wpatrując się w imponującą wieżę kościoła i otaczające go zabytkowe budynki, doznał nagle uczucia, że ta wieża jest symbolem wszystkiego, czemu w nadchodzących czasach grozi zagłada. Siedemset lat historii Wielkiej Brytanii, wspartej na solidnych fundamentach, których nie naruszyłoby nawet trzęsienie ziemi. Wieża pamiętała nadejście Wieku Rozumu oraz powstanie cywilizacji nauki i logiki. Była symbolem chwały Boga, stwórcy świata, symbolem religii nieuznającej istnienia nowego świata, który Church powoli zaczynał dostrzegać wokół siebie. Przytłaczał go ogrom tradycji, która wkrótce mogła zniknąć bez śladu.

Nie mógł tego dłużej znieść. Jakby szukając schronienia, południowo-zachodnim wejściem wszedł do katedry i usiadł na jednej z ławek w nawie głównej. Przez dłuższą chwilę nie mógł zebrać myśli, siedział tylko w ciszy, podziwiając piękne wnętrza kościoła. Cicho grały organy, kojąc skołataną nerwy Churcha, którego uwagę przykuł w końcu pokryty złotogłowieм ołtarz, na którym najważniejszym obrazem był otoczony cierniową koroną święty Graal. Wizerunek kielicha wydawał się przemawiać do Churcha, słyszącego w głowie delikatny szept, który ucichł dopiero wtedy, kiedy Church zaczął się obawiać, że nawiązał jakiś niemożliwy, podświadomy kontakt z innym światem. Z wysiłkiem odwrócił w końcu spojrzenie od ołtarza.

Potem, tak jak oczekiwał, mógł myśleć tylko o Mariannie. Ostrożnie, jakby miał w rękach cenną porcelanę, wyjął schowaną w kurtce *Roisin Dubh*, zastanawiając się, skąd zna te słowa, jak się domyślał w języku gaelickim. Róża nie wiedła, wyglądała

wciąż tak samo świeżo jak w nocy. Zbliżył ją do nosa, ale ku swojemu zdziwieniu nie wyczuł żadnego zapachu. Czy był to, jak miał nadzieję, przekazany mu znak wiecznej miłości?

Mysł ta napełniła go tak gwałtowną rozpaczą, że musiał zamknąć oczy i przez chwilę rozważał, czy nie zacząć się modlić. Od śmierci Marianny nie miał żadnych uczuć religijnych; mimo wielkiej nadziei, że jakaś część ukochanej dalej żyje w innym świecie, codzienne doświadczenia coraz bardziej skłaniały go do przekonania, że śmierć jest ostatecznym końcem. W ostatnich dniach stracił nawet ten egzystencjalny czyściec. Po dwóch latach przemyśleń, poszukiwań jakiegoś pomostu pomiędzy nadzieją i rzeczywistością, czuł się chory i wyczerpany psychicznie. Był zbyt zmęczony, by odzyskać wiarę. Chciał tylko wiedzieć.

Poczuł się nagle wyobcowany w tym miejscu kultu i zaczął zbierać się do wyjścia, kiedy zauważył, że ktoś obserwuje go z drugiej strony nawy. Śledząca go postać wydawała się nierzeczywista, miała dziwne proporcje i rozmyty kształt. Schowała się za jednym z filarów natychmiast, gdy dostrzegła wzrok Churcha, ale ten wciąż czuł przeszywający go chłód, jakby ta osoba potrafiła naprawdę zmrozić spojrzeniem. Church postanowił koniecznie dowiedzieć się, kto to jest.

Ostrożnie krocząc pomiędzy ławkami, zbliżył się do filaru. Wydawało się mu, że jego kroki słyhać w całej katedrze, choć przechodząca obok niego para staruszków nawet nie podniosła wzroku znad przewodnika. Za filarem nikogo nie było, ale kątem oka dostrzegł po prawej stronie znikający kształt, ktoś niewiarygodnie szybko umykał południową nawą. Churchowi zdało się, że to mężczyzna, ale postać była rozmyta, jakby otoczona szarą poświatą. Church wyczuwał również niewytłumaczalne zagrożenie z jej strony.

„Wynoś się stąd”, powiedział do siebie, ale ucieczka oznaczałaby pójście na łatwiznę, a po śmierci Marianny Church nie chciał być już nigdy żałosny. Szybko ruszył w pościg za umykającym cieniem.

Prześlizgnął się przez wyjście koło refektarza i znalazł w krużganku. Nisko sklepione kolumnady otaczały skąpany w słońcu trawnik, na tle którego przestrzeń za kolumnami po drugiej stronie dziedzińca wydawała się pogrążona w nieprzeniknionych ciemnościach. Church miał wrażenie, że w krużganku panuje niesamowita cisza, jakby znalazł się tu po zamknięciu katedry. Nie było turystów, nikt nie czekał nawet w kolejce, żeby zobaczyć egzemplarz Wielkiej Karty Swobód w skryptorium, zamilkły również organy. Churchowi ciarki przechodziły po plecach, kiedy uważnie próbował dostrzec jakiś ruch w krużgankach. Wyczuwał panujące w tym miejscu napięcie. Powietrze przesycił zapach lawendy.

Kiedy Church powoli wyszedł z drzwi, w których stał dotąd schowany, usłyszał nagle ciche, gardłowe warknięcie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Zamarł, a potem powoli rozejrzał się. Cisza. Przez obłany słońcem dziedziniec nie mógł dostrzec, co dzieje się w krużgankach po drugiej stronie.

Ciszę przerwało kolejne warknięcie, brzmiała w nim groźba, jakby wydało je ogromne zwierzę. Church rozglądał się, nie mogąc dojść, z której strony dobiegł dźwięk, ale niczego nie dostrzegł. Dziwna postać też jakby znikła. Powoli ruszył krużgankiem, z każdym krokiem czując narastające napięcie i nieodpartą chęć rzucenia się do ucieczki.

Kiedy skręcił we wschodni krużganek, zobaczył źródło zagadkowych dźwięków. W połowie długości krużganka siedział wielki czarny pies. Dopiero kiedy bestia wstała i ruszyła ku

niemu niespiesznym, ciężkim krokiem, Church zdał sobie sprawę, że ma rozmiary małego konia. W szkarłatnych oczach psa płonęła okrutna, bezlitosna inteligencja. Z jego paszczy kapąła ślina, syczała jak rozlany kwas na kamiennej podłodze.

Pies zatrzymał się i po raz kolejny warknął, ale warczał tak, jakby z głębi jego gardła wydobywał się grzmot. Bestia pochyliła głowę i zrobiła jeszcze jeden krok w stronę Churcha. Wiedział, że jeśli się poruszy, pies dopadnie go w sekundę. Zauważył potężne mięśnie okalające paszczę; nie będzie miał szans, kiedy ta zamknie się na jego gardle. Ostrożnie zrobił krok w tył.

Doznał napawającego obrzydzeniem uczucia, że w głowie lata mu rój złośliwych much, i zdał sobie sprawę, że to myśli stojące przed nim bestii próbują go obezwładnić od środka. Nie był w stanie myśleć, opanował go tylko pierwotny instynkt zagrożenia i bezradności. Było mu mdło od kontaktu z umysłem potwora. Co on teraz zrobi?, zapytał siebie w myślach.

Bestia ruszyła powoli w kierunku Churcha, który dokładnie słyszał głucho stąpanie łap na kamiennych płytach. Pod czarną sierścią falowały potężne mięśnie potwora, a jego oczy omiatały twarz Churcha z okropną, obezwładniającą siłą; czarne, otoczone szkarłatnym blaskiem źrenice wyglądały jak bezdenne studnie. Myśli zwierzęcia coraz głośniejszy odzywały się w umyśle Churcha, który był pewien, że spotkanie nie jest przypadkowe i pies chce dopaść właśnie jego.

Church cofnął się o jeszcze jeden krok, wiedział jednak, że drzwi są za daleko, żeby do nich dobiec. Pies znów pochylił głowę i napiął mięśnie na potężnej szyi. Warkot obniżył się o pół tonu i ścichł. Potwór gotował się do skoku.

Zimny pot strachu oblał całe ciało Churcha, który uświadomił sobie, że ma ostatnią chwilę na działanie, ale nie wiedział, co

uczynić. Utraciwszy nadzieję, postanowił odwrócić się i uciekać. W ostatniej chwili usłyszał stukanie pazurów psa na kamieniach.

No to koniec, pomyślał.

Kiedy rzucał się już do ucieczki, w drzwiach wiodących do katedry pojawił się przewodnik z grupą turystów i wśród kruźganków głośno zabrzmiały anegdoty dotyczące historii tego miejsca. Church chciał już krzyknąć, żeby ostrzec tych ludzi, ale powstrzymała go dziwna zmiana w zachowaniu bestii. Kątem oka dostrzegł, jak pies zatrzymuje się nagle i niepewnie omiata wzrokiem turystów. Przez chwilę potwór jakby zastanawiał się, czy kontynuować atak, aż w końcu zamknął paszczę z cichym kłapnięciem i powoli zaczął oddalać się od Churcha. Spojrzał jeszcze złowrogo na swoją niedoszłą ofiarę, a potem zniknął za rogiem dziedzińca.

Hałaśliwa, pstrykająca aparatami kolumna turystów minęła Churcha, który z uczuciem ulgi oparł się plecami o jedną z kamiennych kolumn, choć serce wciąż biło jak szalone, a w powietrzu unosił się smród czarnego psa.

— Dobrze się pan czuje? – zapytał zaniepokojony przewodnik.

Church uśmiechnął się blado, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Miał nieodparte uczucie, że zacieśnia się wokół niego tajemnicza sieć.



Ruth włóczyła się po mieście, bez zainteresowania oglądając wystawy sklepowe i roztrząsając niedawne wydarzenia. Czuła się zupełnie rozbita i skłócona z sobą. Wszystko, co ostatnio się przydarzyło, napawało lękiem przed przyszłością, a jednocześnie

przepełniało krzepiące poczucie niezwyklej swobody; znieawidzona praca znikła jak zły sen; kariera prawnicza była jak pęta, z których Ruth wyrwała się, by rozpocząć nowe życie. Mogła teraz podążyć za głosem serca. Radość tę zakłócało jednak poczucie winy, jakby swoim postępowaniem zawiodła nieżyjącego ojca. Zawsze marzył, że zostanie wielką prawniczką i był bardzo szczęśliwy, kiedy zdobyła pracę w kancelarii. Przepełniona sprzecznymi uczuciami Ruth po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że nie wie, kim jest.

Była jednak zaintrygowana nocnym pokazem magii błękitnego ognia. Co więcej, uznała, że sama też chciałaby mieć takie umiejętności jak Tom. Móc dokonać takiej sztuki – to byłaby dla niej wolność. Myśl ta poprawiła jej humor na tyle, że dostrzegła wokół siebie słońce i spędzających miło czas turystów. Poczula nagle przypływ optymizmu, po raz pierwszy od czasu, odkąd opuściła mieszkanie.

Po dłuższej chwili Ruth dotarła do mostu nad rzeką Avon i stanęła przed centrum handlowym The Maltings. Była to modernistyczna bryła czerwonej cegły, niepasująca zupełnie do reszty średniowiecznego miasta. Zastanawiając się, czy może czegoś sobie nie kupić, Ruth dostrzegła starą kobietę, która obserwowała ją uważnie. Kobieta miała spaloną słońcem, zasuszoną twarz, siwe loki i oczy błyszczące jak diamenty. Mimo zgarbienia, miała szczupłą i wysoką sylwetkę. Uśmiech kobiety przywodził Ruth na myśl jesień, a brązowo–złota marszczona suknia wyglądała jak kobierzec opadłych liści. Ruth również się uśmiechnęła, ale sposób, w jaki nieznajoma się przypatrywała, był niepokojący i Ruth szybko ruszyła dalej.

Skręciła w ulicę prowadzącą do przysadzistej bryły kościoła świętego Tomasza, a ujrawszy pobliski cmentarz, przestraszyła

się i poczuła w żołądku nieprzyjemne mrowienie. Pośród nagrobków stała i obserwowała ją jakaś kobieta i choć wydawało się to niemożliwe, Ruth mogłaby przysiąc, że to ta sama, którą spotkała przed centrum handlowym; identyczne dumne rysy twarzy, podobnie błyszczące oczy, ta sama sylwetka. Tym razem jednak obserwująca ją kobieta była znacznie młodsza, zniknęły zmarszczki, a rysy były łagodniejsze; miała charakterystyczne dla kobiet w średnim wieku krągłe policzki. Jej suknia miała identyczny krój, ale inne barwy: głębokie, ciemne zielenie letniej roślinności. A kiedy uśmiechnęła się, Ruth przeszył zimny dreszcz, bo był to ten sam uśmiech.

Ruth nagle zdała sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Wyczuła wokół dziwnej kobiety niezwykłą, magiczną atmosferę, jakby powietrze wokół niej traciło chwilami przezroczystość. Żadna z przechodzących osób nie zauważyła wciąż przyglądającej się Ruth kobiety. Obawiając się najgorszego, Ruth ruszyła szybko przed siebie, zmierzając wraz z tłumem w kierunku centrum miasteczka, a potem nagle skręciła w kierunku zieleni Ogrodów Królowej Elżbiety tuż nad brzegiem rzeki Avon.

Z obawą rozejrzała się wokoło, a potem usiadła na ławce i wsparła dłońmi głowę, żeby odpocząć i pomyśleć, co jej się właśnie przydarzyło. Nie czuła się zagrożona przez tę kobietę; jeśli czuła od niej cokolwiek, to ciepło i matczyną czułość. Ale skąd ma wiedzieć, czy nie jest to podstęp? Wszystko wydawało się dziwne i szalone, nie miała się na czym oprzeć.

Po chwili Ruth uspokoiła się i przyjrzała roześmianym dzieciom na placu zabaw. Na ławkach wokoło rozmawiały cicho ich matki. Znad rzeki dochodził plusk i kwakanie kaczek, z których jedne pływały, a inne wygrzewały się na brzegu. W

powietrzu unosiły się zapachy wiosny przyniesione przez wiatr z lasów i wzgórz po drugiej stronie rzeki. Panował spokój i szczęście zupełnie niepasujące do tego, co tak naprawdę zaczynało się dziać wszędzie wokół.

Nagle lewa ręka Ruth zaczęła w niewytłumaczalny sposób drżeć. Dziewczyna chwyciła nadgarstek, spojrzała za siebie i z przerażeniem dech zamarł jej w piersiach. Za ławką stała ta sama kobieta, trzymając ręce na oparciu. Ruth z bijącym sercem zerwała się na równe nogi, tak niespodziewanie pojawiła się nieznajoma. Tym razem miała kilkanaście lat, twarz bladą i piękną jak poświata księżycy, długie, lśniące w słońcu włosy. Znana już suknia świeciła świeżą, wiosenną zielenią. Natomiast w oczach nieznajomej wciąż widać było ten sam błysk tajemnicy i starości, nadając twarzy niepokojący i groźny wyraz, od którego Ruth zaczęła dygotać ze strachu. Nie widziała żadnego zagrożenia ze strony stojącej przed nią, ale wyczuwała w niej coś nieludzkiego, czego nie mogła zrozumieć.

— Brakuje mi go. Nocy mojego dnia, zimy mojego lata. Musimy się połączyć, a potem musisz do nas dołączyć i ty, córko. – Głos kobiety zabrzmiał nieziemsko, jak szelest wiatru w gałęziach albo szum wody w strumieniu.

Ruth powoli cofnęła się przed okropnym, utkwionym w niej spojrzeniem.

— Proszę mnie zostawić w spokoju – odezwała się zachrypniętym głosem.

Dziewczyna, która nie była dziewczyną, powoli uniosła ramię w przywołującym geście. Ruth nie mogła tego wytrzymać, odwróciła się i odbiegła o kilka metrów, ale kiedy obejrzała się z niepokojem, nieznajomej już tam nie było. Zamiast niej w powietrzu unosiła się dziwna poświata, jak złoty pył rozsypany w

słońcu. Po kilku sekundach poświata zaczęła przybierać niewyraźny kształt, zamieniając się w aureolę otaczającą ciemniejszą figurę Matki Boskiej.

Ktoś zawołał – Patrzcie! Cud! – i zewsząd ku ławce zaczęli zbiegać się ludzie, starając się dojrzeć blednącą już figurę. Ruth przez chwilę obserwowwała przepelniony radością i zdumieniem tłum, a potem ponura i zamyślona ruszyła ciężkim krokiem w kierunku centrum miasteczka.



Pub o wdzięcznej nazwie Sarni Udziec, w którym wieczorem spotkali się Ruth i Church, był niemal pusty, choć dochodziła siódma wieczorem. Wnętrze pełne było małych kącików i zakamarków, charakterystycznych dla średniowiecznej architektury. Dopiero po dłuższej chwili odnaleźli Toma, ukrytego w jednym z pogrążonych w cieniu zakątków. Tom pozdrowił skinieniem; wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego.

Church spojrział na Toma i Ruth.

— Widziałem dziś coś dziwnego.

— Ja też – dodała Ruth, czując się nieswojo. Resztę popołudnia, po spotkaniu z tajemniczymi kobietami, spędziła włócząc się bez celu, ale wspomnienie ich błyszczących oczu wciąż napełniało ją strachem.

Tom upewnił się, że nikt nie patrzy i odgiął kołnierzyk koszuli, ukazując cztery świeże blizny.

— O Boże, co ci się stało? – zapytała Ruth z przerażeniem w głosie.

— To Baobhan Sith – odrzekł Tom. Krzywiąc się, zasłonił blizny kołnierzykiem.

— Co to znaczy? – spytał Chuch. Nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

— W dawnych opowieściach były to strażniczki nocy, przerażające istoty, które potrafią przybierać kształt pięknej kobiety i wabić przechodniów, jeśli ktoś podejdzie do nich za blisko, przegryzają gardło i wypijają krew.

— A teraz są wśród nas – zakończył Church. – Wygląda na to, że świetnie znasz folklor.

— Pomyślałem, że jeśli dojdzie do najgorszego, to wrócimy na nocleg do Stonehenge – kontynuował Tom. – Ale musiałem się upewnić, że droga jest wolna i poszedłem na pieszy zwiad. Oczekiwałem, że będą próbowali odciąć nam odwrót, ale nic takiego nie zauważyłem. – Tom zamilkł na chwilę i dotknął delikatnie policzka. – jedna z Baobhan Sith czekała, ukryta w rowie, z którego wyszła, kiedy przechodziłem. – W półmroku na jego twarzy widać było ogromne wyczerpanie. – Na pewno jest ich tam więcej. W nocy nigdy byśmy nie zdołali tamtędy przejechać.

— Rozumiem, że to niebezpieczne ślicznotki – głupio zażartował Church. Jedno spojrzenie Toma wystarczyło mu za odpowiedź.

— Ile jeszcze spotkamy tych potworów? – zapytała Ruth, nerwowo bawiąc się szklanką, z której wypila właśnie wódkę z tonikiem. – Tego popołudnia śledziła mnie kobieta, tylko że to nie była kobieta, ona była czymś więcej, tylko udawała kobietę. Wciąż zmieniała wiek. Nie czułam się zagrożona, ale... Czułam, że jestem jej do czegoś potrzebna. O co jej chodziło?

Church pociągnął długi tyk swojego guinnessa, namyślając się

nad odpowiedzią.

— Teraz tak będzie już cały czas? – zapytał w końcu.

— Niestety tak – odrzekł Tom ponuro.

— Na razie pewnie niewielu ludzi ich widziało – zastanawiała się Ruth. – Ale co się stanie, kiedy wszyscy zdadzą sobie sprawę z tego, co się dzieje?

— Zapanuje chaos. Masowy lęk przed zjawiskami i istotami nadprzyrodzonymi, tak jak w średniowieczu – odparł Church.

— Niepokoi mnie też to, kto nimi kieruje – dodała Ruth. – Czego chce ten ktoś?

— Na razie wszystkie te bestie chcą nas zetrzeć z powierzchni ziemi – odrzekł Church. – I to też jest dziwne. Dlaczego tyle wysiłku wkładają w pogoń za dwoma osobami, które niewiele im mogą przecież zrobić? Dlaczego mieliby nas gonić, nawet jeśli coś o nich wiemy, a wiemy niewiele, skoro wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą? Boże, przecież w radiu i telewizji pewnie o niczym innym nie mówią, tylko o tym potworze, który zaatakował nas na autostradzie!

— Nie mówią, sprawdziłam – odparła Ruth. – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nic nie powiedzieli. Przynajmniej w jakimś szmatławcu powinny się pojawić sensacje o smoku palącym samochody na autostradzie, prawda?

Church zwrócił się do Toma:

— No i co? Ty chyba wiesz najlepiej?

— Chciałbym wiedzieć najlepiej, ale nie wiem – odparł Tom, zanurzwszy wzrok w szklance jabłecznika.

W pubie robiło się coraz tłoczniej, mimo to, siedząc w mrocznym zakamarku, czuli się samotnie.

— Czy powinniśmy tutaj siedzieć? – zapytała Ruth. – Jeśli te gadziny nas gonią, to powinniśmy chyba ruszać w drogę.

— Jeszcze nie usłyszeliśmy, co ma nam do powiedzenia Laura – zaprotestował Church. – Nie możemy zresztą wciąż uciekać.

— Baobhan Sith nie są podobno obdarzone wielką inteligencją ani przebiegłością. Są raczej jak zwierzęta, jakby... psy gończe... jeśli dać im trop, to dogonią zwierzynę, ale można się przed nimi schronić.

— Skąd wiesz takie rzeczy? – Church zagadnął ostro. – Przeczytałeś w jakiejś bajce? W folklorze i legendach są ziarna prawdy, ale nie można ich traktować jak ewangelii. Ludzie koloryzują, dopowiadają wiele od siebie.

— No to co mamy zrobić, co proponujesz? – odciął się Tom.

— Dobra, dobra, uspokójmy się – przerwała im Ruth. – Jesteśmy w jednej drużynie, a tu takie napięcia. Proponuję, żebyśmy spali w jednym pokoju i po kolei czuwali na warcie. Church ma rację, musimy porozmawiać z tą Laurą, dowiedzieć się, co ma do powiedzenia. Musimy tylko jakoś przeżyć tę noc.

Zgodzili się na plan Ruth, ale zanim każde zajęło się drinkiem, Ruth zwróciła się do Churcha i zapytała: – A ty co widziałeś?

— Jakiegoś czarnego psa, tylko że...

Tom zamarł ze szklanką przy ustach.

— O Boże! – powiedział cicho.

Podczas gdy Church opowiadał, co przydarzyło mu się w katedrze, twarz Toma zdradzała niepokój, potem rozpacz.

— Czarny Kieł – odezwał się, zanim Church zdążył skończyć. – Pies–diabeł. Miałem nadzieję, że to będą tylko Baobhan Sith.

— Co to za pies? – zapytała Ruth.

— Niektórzy uważają, że to demon. Ale za nim przyjdzie coś jeszcze gorszego. Było tutaj na długo, zanim powstały pierwsze siedziby ludzkie. Pamiętam raz, w Szkocji, słyszałem pewnej nocy to okropne wycie ponad odgłosami najgorszej tamtego roku

burzy. Wiedziałem, że ktoś miał wtedy okropną śmierć. – Tom upił długi łyk jabłeczniaka. – Czy zanim napotkałeś tego psa albo wkrótce potem, czy widziałeś coś, jakby szary cień, postać przemykającą przed oczami, znikającą szybko gdzieś w pobliżu?

Church skinął głową.

— Tak, w katedrze. Wydawało mi się, że mnie obserwuje.

Tom westchnął głęboko i powiedział:

— Czarny Kieł przeciera ścieżki Szaremu Wędrowcowi. Królowi Olch, wodzowi Dzikich Zastępów.

Church jak przez mgłę przypomniał sobie nagle lekturę z czasów uniwersyteckich.

— Chodzi o demony w pogoni za duszami skazanymi na potępienie?

Przy barze zrobiło się zamieszanie; ludzie zaczęli krzyczeć na chudego staruszka o zapadłych oczach i policzkach. Uśmiechał się spolegliwie, ale jakaś kobieta najwyraźniej z trudem powstrzymywała się, żeby nie rzucić się na niego z pięściami.

Ruth uniosła szklanekę:

— To co, wypijmy za koniec świata.

— Taki toast to i ja mogę wznieść – odezwał się do niej staruszek, który podszedł bliżej, ściskając niedopity kufel piwa. Jego szeroki uśmiech ujawniał braki w uzębieniu, którego resztki były brązowe od papierosów. Staruszek miał na sobie czarny garnitur, poszarzały już ze starości, co z powodzeniem rekompensowała wspaniała kamizelka z czerwonego brokatu. Nosił stare, wytarte buciory. Unosił się wokół niego zapach drogi, błota poboczy, mokrych żywopłotów, potu i deszczu. Z bliska okazało się, że mimo siwizny nie wygląda na więcej niż czterdzieści pięć lat. Tom zmierzył go podejrzliwym wzrokiem. Church dopił piwo.

— Wszystko trzeba zburzyć i zacząć od nowa, mówię wam. Najpierw dekonstrukcja, potem rekonstrukcja. – Uniósł z zapalem swój kufel. – Wasze zdrowie! – Ruth uśmiechnęła się w odpowiedzi, a staruszek mrugnął do niej.

Church podniósł pusty kufel i spojrzał na innych, czy nie chcą następnego drinka. Kiedy ruszył w kierunku baru, staruszek wyciągnął ku niemu swój kufel: – Skoro już idziesz, chłopcze, to zrób mi przysługę, weź to i napełnij. Stawiam następną kolejkę.

Church chciał zbyć zuchwalca sarkastyczną uwagą, ale uznał, że nie warto. Niechętnie wziął kufel z rąk staruszka.

— Jabłecznik, proszę – powiedział ten jeszcze i wślizgnął się na miejsce Churcha przy stole. – A tobie dziękuję, złotko – zwrócił się do Ruth, biorąc ją za rękę. – Jestem oczarowany. Nazywam się różnie, ale najbardziej lubię, kiedy mówią mi Callow. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że sobie tu przycupnąłem. Mam za sobą długą drogę. Całodzienna wędrówka ma swój urok, ale nie można zapominać o potwornym zmęczeniu pod koniec dnia.

— Dokąd pan idzie? – grzecznie zapytała Ruth. Callow zaśmiał się.

— O, dziś tu, jutro tam, a potem z powrotem. Zbyt wiele pięknych rzeczy mamy na tej naszej wyspie, żeby wciąż siedzieć w jednym miejscu. Ja, widzisz złotko, z niejednego pieca chleb jadłem. Najpierw to w biurze pracowałem z krawatem na szyi, wypełniałem papiery i liczyłem spinacze. Życie mijało i nic, powolna śmierć za psie pieniądze. Ale ile można tak pracować i umierać na raty? Trzeba pomyśleć, posłuchać siebie. Jak pisał Longfellow: „Nie w gwarze tłocznej ulicy, nie w marnej pochwalę tłumy, lecz w nas i tylko w nas samych, porażka i powodzenie”. A jeśli nie wiesz, po co żyć w jednym miejscu, to trzeba brać nogi za

pas i zacząć szukać w innym.

— Wiem, co pan ma na myśli – zgodziła się Ruth, której spodobał się wesoły sposób bycia staruszka. Widziała, że odgrywa dobrze przeciwioną rolę, zachowywał się jak ekscentryczny aktor komediowy pozujący na członka artystycznej bohemy. Skoro umiał tak wydebić kilka drinków, trudno go za to potępić.

— Ach, pokrewna dusza, jak widzę. I co, złociutka, udało ci się wyrwać z oków codzienności, zerwać wędzidło i wyruszyć na wielki szlak wolności?

— Nie, my tu tylko turystycznie – lodowatym tonem wtrącił się Tom, zanim Ruth zdążyła odpowiedzieć.

Callow pochylił się nad stołem.

— Miło poznać. – Wskazał spojrzeniem chlebak Toma i widoczne na nim naszywki. – Kolejny weteran drogi, jak widzę. O, festiwal na wyspie Wight! Dobrze pamiętam. Hendrix grał po prostu jak anioł. No i Glastonbury, te niezapomniane letnie tygodnie! I to błoto! Na pewno pamiętasz to błoto! Okropne, ale przyjemne, jeśli wiesz, o co mi chodzi... No i oczywiście protesty przeciw ogrodzeniu Stonehenge! Ach, jak tęsknię do tamtych czasów... Bitwa na polu fasoli, pamiętam, pamiętam! Byłem tam, byłem... Dostałem pałą od wielkiego policjanta, ale uratowałem piękną dziewczynę, której chcieli dać po głowie. – Z rozrzewnieniem pokręcił głową. – Ach, Boże, i teraz ten koniec świata. Uważam, że wcale nie za wcześnie.

Church przyniósł wszystkim napełnione szklanki, a potem uniósł kufel Callowa, nakazując, żeby wstał z zajętego bezczelnie miejsca. Staruszek podniósł się, wziął jabłecznik i natychmiast usiadł z powrotem, ciągnąc z kufla potężny haust.

— Zdrowie pięknych pań!

— Wstawaj, to moje miejsce! – warknął Church.

— Jest jeszcze jedno, o tam, chłopcze – odparł Callow, lekceważącym gestem wskazując stolik obok Toma. – Nie przeszkadzaj nam w rozmowie, wspominamy dawne czasy.

Ruth nie mogła powstrzymać śmiechu, patrząc na irytację przyjaciela. Church nie zdążył wymyślić ciętej odpowiedzi i dalsze nalegania wypadłyby chamsko. Nie kryjąc złości usiadł na nowym miejscu.

Callow nie dawał nikomu dojść do słowa, nie zdołali go wyprosić od stołu. Jego niekończąca się gadka, w połączeniu z działaniem alkoholu, zaczęła wywierać na nich hipnotyzujący wpływ i paraliżować wolę oporu. Zapomniawszy o rozdrażnieniu, wszyscy w końcu przyjaźnie rozmawiali ze staruszką. Nie uległo wątpliwości, że był przyjemny i zabawny. Umiał rozmawiać na każdy temat, barwnie i pięknie opowiadać, a jego znajomość literackiej angielszczyzny nie pasowała do wyglądu i sposobu bycia. Zdawali sobie przy tym sprawę, że gdyby pozostali trzeźwi, to nie rozmawialiby z nim. Był potrzebny, żeby odreagować gnębiące ich obawy.

Kiedy Callow poczuł się dość pewnie, żeby wstać od stołu i pójść do toalety, Church odezwał się poirytowanym tonem: – Jak temu staremu dziwakowi udało się do nas przyczepić?

— Ach, przecież jest nieszkodliwy – odparła Ruth. – W dodatku zabawny. Lepiej już słuchać jego niż was dwóch, jak się kłócicie.

— Miło by było, gdyby postawił choć jedną kolejkę – powiedział Church. – Pije za darmo i zaraz się nam tutaj w sztok zaleje.

Ruth uszczypnęła Churcha w ramię mocniej, niż zamierzała.

— Nie bądź taki skąpy. Stać cię na to, żeby czasem kogoś na chwilę uszczęśliwić.



Mijały godziny i pub wypełniał się ludźmi, dymem, krzykami i śmiechem. Ruth uraczyła wszystkich zaskakującą historią o swoich zaręczynach z aktywistą politycznym uwielbianym przez jej ojca. Rzuciła chłopaka w noc poślubną, po tym, jak dostał ataku paniki i odjechał karetką pogotowia. Church opowiedział o swojej krótkiej i nieudanej karierze gitarzysty rockowego, zakończonej w czasie pierwszego koncertu, kiedy zwymiotował na scenie od nadmiaru nerwów i alkoholu. Tom, który rozluźnił się wreszcie po kilku kufkach jabłeczniaka, opisał swoje przygody w dalekich krajach, zwykle związane z narkotykami: dramatyczna ucieczka przed policją na Goa, podróż z Kalifornii do Meksyku w poszukiwaniu halucynogennego kaktusa, panika wśród amatorów podejrzanego kwasu na festiwalu w Woodstock, oraz praca z zespołem The Grateful Dead, któremu Tom przez krótki czas służył jako „doradca duchowy”, co polegało głównie na dostarczaniu muzykom ogromnych ilości towaru.

Gdy zbliżał się czas zamknięcia pubu, Church pochylił się ku Tomowi i zapytał pijanym głosem: – No to co, kiedy zapukają do naszych drzwi Dzikie Zastępy?

Tom lekceważąco mruknął coś tylko pod nosem i machnął ręką, ale Callow, który usłyszał pytanie, spojrział z zainteresowaniem i zmarszczył czoło.

— Dzikie Zastępy?

— Co, ty nic nie wiesz? – bełkotał Church. – Wszystkie bajki to prawda! Cholerne gobliny, trolle, potwory – łążą ostatnio po

każdej ulicy! Schowały się, gadziny, ale teraz wracają.

Callow zaśmiał się, choć nie rozumiał żartu, ale rozejrzawszy się wokół stołu stwierdził, że Church chyba nie żartuje.

— Co masz na myśli, chłopcze?

— No wiesz, idzie koniec świata. Dlatego siedzimy tu i zapijamy czas. Jutro może nas wszystkich szlag trafić.

— Nie zwracaj na niego uwagi – odezwała się Ruth, znacznie mniej pijana niż Church. – Gada bzdury, jak sobie popije.

— Nie, nie, powiedzcie mi. Lubię takie historie – odparł Callow. – Kiedyś spotkałem gościa w pubie w Greenock, który przysięgał, że wróżki istnieją prawdę. Podobno widział je w noc świętojańską.

Tom dopił jabłecznik.

— Już późno. Chodźmy lepiej do hotelu – powiedział głośno. – Jutro musimy wstać wcześniej.

— O, zwiedzanie miasta?

— Mamy spotkać się z pewną panią, która wyjaśni nam, jak to jest z tymi bajkami – rzekł Church, chwiejnie wstając od stołu.

— Jeśli nie macie nic przeciwko, to z chęcią was trochę odprowadzę. – Ukradkiem zbliżył się do Churcha. – No, powiedz mi coś więcej o tej pogoni, chłopcze.

Wieczór był zaskakująco ciepły. Church opowiedział Callowowi o wszystkim, co ostatnio się przydarzyło, nie przejmując się, czy staruszek mu wierzy, czy nie. Ruth przerywała im od czasu do czasu drwiącym komentarzem. Tom zamykał pochód, czujnie obserwując ulicę i mijane zaułki.

— Jeśli to prawda, to nadchodzą dobre czasy dla ludzi takich jak my – powiedział Callow tonem, z którego wynikało, że nie do końca im wierzy, ale nie zamierza również psuć zabawy. – Ludzie o szerokich horyzontach, nonkonformiści i obrazoburcy

wyrzuceni na margines społeczeństwa, wyobcowani. Kiedy zwykli ludzie bezradnie jak barany będą patrzeć na zagładę, my zdołamy się dostosować! Wszyscy będą równi przed magią. Będzie to władza dostępna dla każdego; nawet najniżsi zostaną wyniesieni na społeczne wyżyny! – Zamilkł na chwilę i zamyślił się. – Oczywiście, tylko ci, których wcześniej nie rozszarpią inni.

Church i Ruth śmiali się z przemowy staruszka. Po raz pierwszy od kilku dni przydarzyło im się coś zabawnego, mogli wreszcie odreagować napięcie; śmiech przyniósł nieoczekiwaną ulgę.

— Gdzie pan mieszka? – zapytała Ruth, która wcześniej bezwiednie oparła się o Churcha i otoczyła go ramieniem.

— Ach, dzisiaj tu, jutro tam – odrzekł staruszek. – Codziennie w nowym miejscu, nie ma o czym rozmawiać. Spójrzcie lepiej na niebo, gwiazdy! Świat jest piękny, prawda? Wszyscy siedzimy w rynsztoku, tylko nie dość wielu z nas patrzy w gwiazdy, jeśli wolno mi sparafrazować Wilde’a. A ty gdzie śpisz, złociutka?

Ruth powiedziała mu, a on uśmiechnął się szeroko.

— Wspaniałe miejsce! Od razu zauważyłem, że jesteś osobą doceniającą luksus i nie pomyliłem się, bo ja nigdy się nie myłę oceniając ludzi. Chodźmy więc!

— Chodźmy dokąd? – zapytał Church.

— No jak to, przecież nie zostawicie mnie teraz na ulicy? – urażonym głosem odparł Callow. – W taką noc, a noc jeszcze młoda... Musimy sobie opowiedzieć jeszcze wiele historii, podzielić się doświadczeniami! Przecież nadchodzi koniec świata. Musimy wykorzystać pozostały nam czas. W hotelu na pewno jest bar, gdzie goście całą noc mogą oddawać się libacjom, prawda?

— Nie – zaczął protestować Church.

— Daj spokój – zaśmiała się Ruth. – Niech się jeszcze napije. Nie będziemy musieli czuwać na warcie.

Callow złapał ją za rękę i pocałował.

— Uratowałaś mi życie, złociutka. Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem!



Ruth postawiła Callowowi kufel jabłecznika i whisky. Staruszek trzymał ją za ramię i wychwalał pod niebiosa, starając się jednocześnie namówić wszystkich, żeby zostali i pili razem z nim.

W końcu dał za wygraną, ale zanim wycofał się do stolika w rogu, zawołał jeszcze jowialnie: – Towarzysze podróży! Wspomnijcie nieśmiertelne słowa T.S. Eliota: „Nie zatrzymamy się w podróży, a końcem naszej podróży, będzie powrót do miejsca, gdzie ją rozpoczęliśmy, i wtedy ujrzymy je po raz pierwszy”. Niestety późna pora nie sprzyja filozofii i nic lepszego nie potrafię wymyślić.

Wysłuchawszy przemowy, opuścili bar, a Callow zajął się drinkami z takim entuzjazmem, jakby nic jeszcze tej nocy nie wypił.



— Nie powinienem się upić – jęczał Church, rozwalony na krześle w rogu pokoju. – Boże, byłem taki głupi!

— Musieliśmy na chwilę zapomnieć o strachu. Nie bądź zły na siebie, jesteś tylko człowiekiem. – Ruth rozłożyła się na łóżku i zamknęła oczy. Tom zasiadł przy oknie i od czasu do czasu wyglądał za zasłonę. – Wiecie co, ja jestem twardą kobietą i nie muszę koniecznie spać w łóżku.

Postanowili spędzić tę noc w pokoju Churcha. Pomieszczenie było nieco większe, z dobrym widokiem na ulicę.

— Tak jest najlepiej – odrzekł Tom, patrząc na Churcha. – Nie pozwoliłbym, żeby on spał na łóżku, a ja na podłodze. On pewnie nie pozwoliłby, żeby było odwrotnie, więc na łóżku śpisz ty. To kompromis.

— W takim razie niech będzie. – Ruth zaśmiała się i spoważniała nagle. – Sądzisz, że jesteśmy tu bezpieczni?

— Można mieć nadzieję – odrzekł Tom, wyglądając na ulicę. – Nikogo tam nie jeszcze widać.

— Czy oni będą za nami wysyłać coraz gorsze bestie, aż do skutku?

— Nie, teraz zaczęła się Dzika Pogoń. Nie ma nic gorszego. Po Pogoni w ogóle nic nie ma.

— No to świetnie. Ale dziś w nocy nic nam nie będzie – bełkotał Church. Przeczował się ku chodnikowi pod łóżkiem, przykrył kurtką i od razu zasnął.



Kiedy otworzył w środku nocy oczy, wydawało mu się, że obudziła go kolejna wizyta Marianny. Głowę miał wciąż pełną oparów alkoholu, ale od razu usłyszał, co wyciągnęło go ze snu; było to ciche, ale natarczywe skrzypienie dochodzące od okna,

jakby ktoś przejeżdżał po szybie paznokciami.

— Co to jest? – wyszeptał do siebie.

— Cicho – usłyszał napięty szept Toma. Church myślał, że jego przyjaciel śpi, ale ten podniósł się już i wpatrywał w zasuniętą zasłonę. – To Baobhan Sith, są tutaj.

— Ale my jesteśmy na pierwszym piętrze.

Church poczuł nagle nieodpartą chęć, by zajrzeć za grubą zasłonę i zobaczyć, co drapie w szybę tak wysokiego okna. Drapanie pobrzękiwało delikatnie, jakby wzywając znajdujących się wewnątrz ludzi. Powoli podczołgał się do okna. Postanowił tylko na chwilę zajrzeć za zasłonę i zdobyć ostateczny dowód na to, że kończy się znany mu świat, a zaczyna nowy, rządzone niezrozumiałymi regularni. Zastanawiał się, co tam zobaczy. Co poczuje, spojrzawszy w twarz nieznanemu? Wyciągnął rękę, żeby odsunąć zasłonę.

Ręka Toma kurczowo zacisnęła się na jego ramieniu i powaliła Churcha na podłogę. Usłyszał w uchu szept Toma: – Nie rób tego, jeśli chcesz żyć.

Drapanie umilkło, jakby groźny gość usłyszał ich szepty. Tom i Church zamarli, bojąc się nawet odetchnąć. Church oczekiwał już na chwilę, kiedy usłyszy brzęk tłuczonej szyby, ale po chwili znów rozległo się drapanie i obaj mężczyźni odetchnęli ostrożnie i cicho. Tom, wciąż trzymając Churcha za ramię, odciągnął go od okna ku nogom łóżka.

— Wiedzą tylko, że jesteśmy w pobliżu, ale nie wiedzą dokładnie, gdzie – szeptał Tom. – Drapanie ma wywabić osoby znajdujące się w pokojach. Gdybyś odsunął zasłony, nic byś nie zobaczył, ale oni zobaczyliby ciebie.

— Przepraszam – odpowiedział Church. – Nie wiem, co mnie naszło.

Znów wstrzymali oddech, bo nowe hałasy rozległy się tym razem w korytarzu. Twarz Toma stężała i zbladła, w oczach miał strach.

— Weszli do środka – wyszeptał.

Zanim Church odpowiedział, Tom podczołgał się do łóżka i obudził cicho Ruth, przyciskając dłoń do jej ust, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Zobaczył zaniepokojenie w jej oczach. Gestem nakazał jej milczenie.

Wezwał skinieniem Churcha i wyszeptał: – Wy z Ruth schowajcie się pod kołdrą. Ja idę do szafy. Kiedy wejdą, zachowajcie absolutną ciszę i nie ruszajcie się.

— Ale przecież oni nas zobaczą pod kołdrą – zaprotestował Church.

— Jeśli nie zauważą ruchu, ani nic nie usłyszą, to nie będą dalej sprawdzać. Mają bardzo ograniczony rozum, proste reakcje – zapewniał ich Tom. – Zaufajcie mi. Szybko, chowajcie się.

Podniósł kołdrę, żeby Church mógł wczołgać się do łóżka i położyć obok Ruth, a potem przykrył oboje aż po głowy. Pod kołdrą panował gorąc i duchota, a samopoczucie Churcha dodatkowo pogarszało działanie alkoholu i wzrastające napięcie. Po raz pierwszy w życiu poczuł klaustrofobiczny lęk. Usłyszał zamykane drzwi szafy, potem zapanowała cisza. W ciemności nie widział twarzy Ruth, ale wyczuwał oddech, a potem dotknięcie palców, które zacisnęła na jego dłoni.

Nie musieli czekać długo. Głucho zgrzytnął otwierany zamek, choć Church pamiętał, że zamknął drzwi na klucz. Drzwi uchyliły się skrzypiąc cicho. Usłyszeli zbliżające się do łóżka ciche kroki, jakby szło dziecko.

Church i Ruth wstrzymali oddech. Dziewczyna mocniej ścisnęła dłoń Churcha. Słuchali. Wydawało się, że intruz

obserwuje łóżko, starając się dostrzec najmniejsze poruszenie pod kołdrą. Nagle Church poczuł nieznośne mrowienie w nodze i ramieniu; za chwilę nie będzie w stanie powstrzymać nerwowego podrygiwania. Ruth wyczuła to jakoś i zaczęła wbijać mu w dłoń paznokcie, by mógł skoncentrować się na bólu.

Po nieznośnie długiej chwili znowu usłyszeli kroki, tym razem zmierzające ku szczytowi łóżka. Church z walącym jak oszalałe sercem czekał, aż zostanie podniesiona osłaniająca ich kołdra. Ciche kroki ruszyły jednak dalej, w kierunku szafy, gdzie znów się na chwilę zatrzymały. Potem skierowały się jeszcze ku oknu, aż w końcu niewidoczny gość wyszedł z pokoju. Usłyszeli zamykane drzwi, ale wciąż bali się poruszyć i jeszcze przez kilka minut pozostali w ukryciu.

Usłyszeli wreszcie ostrożnie otwierane drzwi szafy.

— Poszła sobie – wyszeptał Tom.

Church podniósł kołdrę i łapczywie odetchnął świeżym powietrzem. Ruth przytuliła się do niego i Church aż zdziwił się, jak wielką ulgę przyniósł jej dotyk. Objął ją więc i przez chwilę trwali w uścisku, zanim nie wstali wreszcie z łóżka.

— Wrócą tu? – zapytała Ruth.

— Wątpię. Do świtu będą przeszukiwać resztę okolicy, a przed wschodem słońca wyniosą się – odrzekł Tom, prostując sobie dłonie.

Mimo wcześniejszej przestrogi Toma, Church nie mógł się oprzeć i odsunął zasłonę. Na całej ulicy ujrzał cienie znikające i pojawiające się w drzwiach albo migotające w świetle latarni jak duchy. Nie wyglądały, jakby były bezcielesne; Churchowi wydało się, że po prostu nie chcą być widziane. Wyżej, ponad dachami, czaiły się inne cienie, sunące w powietrzu jak liście na wietrze. Patrząc na inwazję nieznanymi istot, Church poczuł dreszcz, więc

zasunął zasłonę i odwrócił się ku przyjaciółom. Z przerażeniem myślał, co może się wydarzyć w nadchodzących dniach.



Reszta nocy upłynęła spokojnie, ale obudzili się zaniepokojeni tym, co się dotychczas przydarzyło i jeszcze się miało wydarzyć. Nie wiedząc, kiedy czeka ich następny porządny posiłek, zjedli wielkie śniadanie złożone z jajecznicy, kiełbasek, boczku oraz herbaty i poszli zapłacić za hotel. Church zajął się formalnościami. Ruth i Tom czekali na ulicy przed hotelem. Załatwiwszy rachunek, Church przyniósł Ruth do podpisania potwierdzenie płatności kartą kredytową. Był rozgniewany.

— Co się stało? – zapytała Ruth.

— Ten oszust z pubu nas oszwabił! Pił i jadł tutaj całą noc, a potem kazał wszystko policzyć na nasz rachunek! Od początku wiedziałem, że źle mu z oczu patrzy! – krzyczał Church, wymachując rachunkiem.

— No ale na swój sposób był słodki – śmiała się Ruth. – Dzięki niemu zapomnieliśmy na chwilę o strachu, więc byliśmy mu coś winni.

— Pięćdziesiąt funtów! Przecież to jak za zboże! – Church gniewnie zmiął w rękach rachunek. – Jeśli go dostanę w swoje ręce, to pożałuje!

Kiedy zobaczyli ją w tłumie, od razu wiedzieli, że to ona. Miała blond włosy, krótkie po bokach i efektownie postawione na czubku głowy; zapewne drogi fryzjer pracowicie ułożył je, pozorując nieład. Potem ciemne okulary, okrągłe, nowoczesne i równie drogie jak fryzura; ranek nie był słoneczny, ale Laura

nosiła je mimo to. Ubrana była w długi, wytarty płaszcz, dzinsy i robocze buciory, przez co wyglądała na osobę silną i bezkompromisową. Pod ramieniem trzymała laptopa. Roztaczała wokół siebie aurę pewności siebie i, jak wydało się Ruth, arogancji. Laura DuSantiago nie pasowała do tłumu turystów, wyglądała na przybysza z innej planety.

— Widzę, że przyprowadziłeś całą ekipę – zaczęła Laura, kiedy wszyscy się przywitani.

— Można im zaufać, w granicach rozsądku.

— Mam nadzieję, bo nie chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli o moim szaleństwie. I tak mi trudno dostać kredyt w banku. Masz ochotę na małe co nie co, tygrysku? – zapytała Churcha, który za jej okularami nie mógł dojrzeć, czy żartuje, więc tylko skinął głową. – Chodź za mną, nie zawiedziesz się.

Poprowadziła ich boczną uliczką do kawiarni o nazwie Mr Cs Brasserie, gdzie było dość cicho, żeby porozmawiać, ale nie dość pusto, żeby ktoś mógł podsłuchiwać. Usiedli przy oknie i natychmiast podano im kawę. Laura podłączyła laptopa do komórki i weszła w internet. Grupa dyskusyjna „Fortean Times”, w której donoszono o niezwykłych zjawiskach, była tak zapchana postami, że załadowała się dopiero po dłuższym oczekiwaniu.

— Jest coraz gorzej – powiedziała Laura. – W całym kraju maniacy, to jak epidemia, piszą o porwaniach przez UFO, potworze z Loch Ness, cholera, ostatnio nawet o wrózkach. Do niedawna nie zwróciłabym na tych szaleńców uwagi, nawet jeśli się pomalowali na czerwono i zaczęli nago łązić po domach towarowych. Kto w takie rzeczy wierzy, jest według mnie postrzelony. Ale teraz rozmawiamy na poważnie, wierzcie mi.

— Powiedziałaś, że coś ci się przydarzyło – odezwał się Church, z trudem powstrzymując się, żeby od razu nie zapytać o Mariannę.

— Zaczekaj, powolutku, ja tak naprawdę nie chcę o tym rozmawiać, muszę się przemóc. – Zawahała się na chwilę. – Słuchajcie mnie, mówię, jakbym już była chora na Alzheimera!

— Nie wiem, czy doda ci to odwagi, ale my też zobaczyliśmy coś dziwnego – zaczęła Ruth.

— A co, jak się spotka więcej świrów, to się mają czuć lepiej? Słuchajcie, robię to, bo myślę, że ktoś musi, bo dzieje się coś ważnego, a nikt nie zwraca na to uwagi. Ludzie są jak barany, biegają w kolko i myślą, że nic się nie zmieniło. Ale robię to tylko dla siebie, bo chcę odnaleźć sens tego, co się wokół mnie dzieje, zanim oszaleję. – Upiła kawy, wpatrując się w Churcha znad okularów. Jej oczy były zimne i nie zdradzały uczuć. – No to co, jesteście gotowi?

Church nie odwracał wzroku od jej badawczego spojrzenia.

— Mów, co wiesz.

— To się zdarzyło tutaj, w Salisbury, w miejscu, które uczyniło ze mnie kobietę, którą teraz jestem. Przyjechałam na weekend ze znajomymi, poszliśmy balować w sobotni wieczór, ale było drętwo. Czułam się, jak na wieczorku towarzyskim w domu starców, ale postanowiłam, że zabawię się bez nich. Następnego ranka musiałam wyluzować i poszłam na spacer. Wylądowałam na jakichś terenach przemysłowych, koło magazynu nie wiem czego, w każdym razie wyglądał na ruinę, obrośnięty trawą, wybite okna, wyobrażacie sobie. Pomyślałam sobie, że można by tu urządzić niezłą imprezę, a potem usłyszałam, nie wiem, może mi się wydawało, może to był wiatr, w każdym razie... usłyszałam swoje imię. Nie myślcie sobie, że słyszę głosy, w

każdym razie postanowiłam sprawdzić, co to. Naoglądałam się w życiu horrorów i wiedziałam, że najlepiej by było jak najszybciej uciec stamtąd, ale wiecie, jakoś nie dawało mi to spokoju. Musiałam sprawdzić.

Ukradkiem spojrzała po nich, szukając zachęty do dalszego opowiadania.

— Nie musisz się tłumaczyć – odezwał się Church. – Wszyscy tutaj przeszliśmy przez coś podobnego. Wiesz, kiedy rozum mówi, że coś jest nieprawdą, ale uczucia podpowiadają...

— Dobra, dobra, gościu, nie do mnie ta gadka. To moja historia – przerwała Laura nieprzyjaznym tonem, ale przez jej twarz przemknęło coś na kształt podziękowania. – No więc przelazłam przez ogrodzenie i rozejrzałam się. W środku nikogo nie było, w końcu niedziela rano, ale oczekiwałam jakiegoś dziada z psem, ochroniarza, więc starałam chodzić szybko i nie rzucać się w oczy. Wtedy znowu usłyszałam ten głos, wołał moje imię. Laura, nie miałam wątpliwości. Głos dochodził spomiędzy dwóch budynków, gdzie stała wielka kupa żółtych beczek na ropę. Pomyślałam, że mam nierówno pod sufitem, po takich miejscach pełno włóczy się maniaków, ale czułam się tak, jakby mnie coś ciągnęło w tę stronę. Podeszłam do tych beczek i wtedy... Może zamówcie mi najpierw następną kawę.

Było jasne, że przerwała dla większego efektu. Choć nadal zachowywała kamienną twarz, widać było, że jest zadowolona z irytacji, jaką zdradzał Tom. Ruth również nie wyglądała na zachwyconą, natomiast Churchowi podobała się jej arogancka poza. Tom zamówił kolejne espresso, które Laura przyjęła bez podziękowania.

— Minęłam ostatni stos beczek i zobaczyłam coś dziwnego, jakby poruszenie w powietrzu. Jakby magazyn i wszystko wokół

były tylko dekoracjami, które ktoś zaczął rozsuwać i pokazywać, co kryje się za nimi. Nie zdążyłam się nawet poruszyć i wtedy ta rzecz jakby mnie połknęła.

— To było żywe? – spytała Ruth i spojrzała na Laurę z niedowierzaniem.

— Nie tak, to wyglądało jak jakiś efekt specjalny ze *Star Treka*, tylko że w pobliżu nie było dzielnego kosmonauty, żeby mnie wyratować. Opadło na mnie jakieś lepkie gównno, jakby olej samochodowy, a potem poczułam, że nie mogę utrzymać się na nogach. Nie chcę mówić więcej o tym, co wtedy czułam, już i tak brzmię jak jakaś ćpunka. – Skinęła do Toma. – Nie chcę tu nikogo obrażać, panie hipisie. – A potem zaczęłam widzieć i słyszeć takie dziwne rzeczy...

— Co za rzeczy? – przerwał jej Church.

— Obrazy, dźwięki. Jak po prochach. Tylko że jeszcze gorzej.

— Ale co zobaczyłaś? – nie dawał za wygraną Church.

— Cóż, wystarczyłoby tego, żeby stwierdzić, że nasz świat jest w niezłych tarapatach. I powiedzieli mi jeszcze...

— Kto?

— Powiedzieli, że te nadprzyrodzone widziadła w całym kraju są z tym związane. Ogólne przesłanie było takie: nie róbcie żadnych planów na dalszą przyszłość.

Zanim Church zdążył coś powiedzieć, dodała jeszcze: – Tego się nie da opisać. Ale mogę wam to pokazać.

ROZDZIAŁ 6

SPOJRZENIE W CIEMNOŚĆ

Tereny przemysłowe, o których mówiła Laura, znajdowały się na zachodnich krańcach Salisbury. Stał tam istny labirynt starych, brzydkich budynków otoczonych ogrodzeniem z siatki i drutu kolczastego. Brama znajdowała się za długim, ciemnym tunelem pod nasypem kolejowym, co jeszcze potęgowało posępny nastrój pustki i odosobnienia. W rozgrzanym słońcem powietrzu unosiły się opary benzyny i oleju. Mimo licznych szyldów i zaparkowanych samochodów, wokół budynków nie było żywej duszy.

Church zaparkował przy bramie i ruszyli pieszo ku magazynom. Wokół dużej hali stało kilka mniejszych, a przed całym kompleksem roztaczał się wielki asfaltowy plac dla ciężarówek. Z licznych szczelin w asfalcie wyrastały kępy wyschniętej trawy. Minął ich wózek widłowy z ładunkiem żółtych beczek na ropę, a przez rozsunięte drzwi magazynu dostrzec można było panujący w środku ruch. Dalszą drogę zagrażała wielka brama, najwyraźniej otwierana automatycznie.

— Nie dostaniemy się tam niezauważeni – powiedział Church.

— Nie bądź taki defetysta, Church, przecież jesteś moim tygryskem – odparła Laura. Zaczekali chwilę, aż przez bramę przejedzie wielka ciężarówka i Laura prześlizgnęła się przez

otwartą bramę, po czym skinęła na nich, żeby poszli za nią. Kryjąc się za ciężarówką, przebiegli plac, i znaleźli się przy wejściu do magazynu, Dalej ruszyli za Laurą wzdłuż ściany budynku, kierując się ku miejscu, o którym im wcześniej opowiedziała. Kiedy stracili z oczu wejście do hali, na chwilę zatrzymali się i odpoczęli przy stosie żółtych beczek. Laura rozglądała się, żeby ustalić położenie.

— Tak, to tu – stwierdziła i odwróciła się do nich. – Mam nadzieję, że jesteście gotowi. Już nie ma odwrotu.

— Jesteśmy gotowi – zapewnił Church, zbierając się na odwagę, a jednocześnie walcząc z rosnącym zaniepokojeniem.

Ruszyli za Laurą, która biegiem mijała kolejne sterty żółtych beczek. W nosach kręcił im ostry, duszący zapach chemikaliów. Znowu zatrzymali się w pustym miejscu pośród beczek.

— No, to jesteśmy – oznajmiła Laura.

— Co teraz? Mamy powiedzieć abrakadabra? – Church nie mógł zauważyć w tym miejscu niczego szczególnego.

— To jest właśnie to miejsce – nie dawała za wygraną Laura, choć w jej głosie wyczuwało się obawę, że niezwykle wizje rzeczywiście były tylko dziełem jej wyobraźni.

Tom i Ruth trzymali się z tyłu, obserwując, jak Laura i Church rozglądają się po pustej przestrzeni wśród beczek. Kiedy ruszyli, by do nich dołączyć, poczuli nagły spadek temperatury i usłyszeli dziwny dźwięk, jakby szum wodospadu. Tom i Ruth dostrzegli nagle to, o czym opowiadała Laura. Powietrze rozwarło się, nie jak drzwi, tylko jak rozdzierana tkanina, otaczając Laurę i Churcha. Rzucili się ku nim, ale nie zdążyli do nich dobiec, kiedy niezwykła szczelina zamknęła się. Laura i Church znikli, w powietrzu pozostał tylko nikły aromat cytryny i sosnowego lasu.



Ruth i Tom nie mieli czasu na zastanawianie się, co się stało. Za sobą, pomiędzy magazynami, zauważyli ruch. Z groźnymi minami zbliżało się trzech robotników z magazynu. Zadudniła tocząca się w ich kierunku metalowa beczka. Ruth miała najpierw nadzieję, że uda im się jakoś wytłumaczyć, wkrótce dostrzegła dziki blask w oczach robotników i poczuła znajomy, zwierzęcy smród. Twarze napastników zaczęły zmieniać kształt i kolor, jak rozlany na wodzie olej.

Tom złapał Ruth za ramię i zmusił do cofnięcia się, jednak w chwilę później oboje zamarli, gdyż za plecami pojawiła się druga grupa napastników. Tom zaklął pod nosem.

— Zwabiła nas w pułapkę!



Church poczuł się nagle tak, jakby unosił się w wodzie, a potem zobaczył wokół siebie zupełnie inny świat. Znikł smród benzyny i chemikaliów; zastąpiło go naturalne, świeże powietrze i zapach wilgotnych kamieni. Stał w korytarzu o kamiennych ścianach i podłodze, oświetlonym zawieszonymi w równych odstępach pochodniami, które nie rzucały jednak dość światła, by rozproszyć ciemności. Przejście było tak gwałtowne, że Church, stojąc na kamiennych płytach, z trudnością utrzymywał równowagę i desperacko machał rękami, starając się czegoś chwycić. Nie mogąc zrozumieć, co się z nim stało, zacisnął

powieki i poczuł duszący ucisk w piersiach. Bezskutecznie starał się sobie wmówić, że przez otwór w ziemi spadł do podziemnego korytarza, ale wytłumaczenie było tak niewiarygodne, że nie uwierzył w nie nawet przez chwilę. Przecież nie czuł, że spada. Oprócz chwili unoszenia się w wodzie, Church nie potrafił w ogóle opisać, co poczuł. Pogodziwszy się z losem, otworzył oczy i ponownie rozejrzał się po miejscu, w którym tak tajemniczo się znalazł.

Zwymiotował.

Dopiero po dłuższej chwili zdołał się uspokoić. Choć nie był w stanie uwierzyć własnym oczom, w ostatnich dniach zobaczył dość niezwykłych rzeczy, żeby zaniechać poszukiwań racjonalnego wyjaśnienia i po prostu pogodził się z tym, co wokół siebie widział.

Najpierw z niepokojem rozejrzał się, szukając Laury, która stała obok niego, kiedy zobaczyli dziwne zjawisko. W korytarzu jej nie było. Chciał ją zawołać, ale bał się, czy jego wołania w korytarzu nie usłyszy kto inny.

Na pewno nie miało sensu dalej stać w tym samym miejscu. Church zaczął się zastanawiać, w którą stronę pójść, kiedy usłyszał odległy, cichy śpiew, jakby dochodzący zza grubej kamiennej ściany. Był pewien, że śpiew trwał już od dłuższej chwili, ale nie pamiętał, kiedy doszedł do jego uszu. W brzmieniu tajemniczego głosu było coś, od czego jeżyły się włosy na głowie. Po dłuższym wahaniu Church ruszył w stronę, z której dochodziła muzyka.

Odgłos jego kroków na kamiennej podłodze był głośniejszy, niż by sobie tego życzył. Nasłuchując, czy nikt się do niego nie zbliża, zastanawiał się jednocześnie, gdzie się znajduje. W korytarzu nie było nic, co pomogłoby znaleźć odpowiedź na to

pytanie, dopóki Church nie wyrzwał za róg.

Znajdowało się tam okno, pierwsze, jakie tutaj dostrzegł. Podszedł, mając nadzieję, że wyrzawszy przez nie, będzie mógł ustalić swoje położenie. Widok za oknem był jednak kolejnym zaskoczeniem; rozciągała się tam ciemność, z rzadka rozjaśniana krótkimi błyskami ognia. Nie widać było ziemi, korytarz wydawał się unosić w przestworzach.

Church znów poczuł panikę ogarniającą umysł jak plaga pajaków; to, co zobaczył przekraczało jego najgorsze obawy. Udało mu się jednak zapanować nad lękiem i ruszyć dalej. Jeszcze będzie czas na wytłumaczenie tego wszystkiego, przynajmniej taką miał nadzieję. Tom miał rację mówiąc, że niedawne doświadczenia zmieniły Churcha. Gdyby kilka miesięcy temu znalazł się w takiej sytuacji, na pewno nie zdołałby nad sobą zapanować.

Choć śpiew nie przybierał na sile, Church czuł jego coraz mocniejsze, hipnotyzujące i kojące działanie. Za następnym zakrętem korytarza ujrzał dębowe drzwi z prostymi okuciami. Nie wyglądały szczególnie, ale nauczony doświadczeniami ostatnich dni Church obawiał się, co może się za nimi kryć. Uznał jednak, że nie ma sensu się zatrzymywać i, zapominając o obawach, położył rękę na klamce i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

Na pewno nie oczekiwał, że zobaczy za nimi swój pokój z czasów dzieciństwa. Zgadzał się każdy szczegół: niebieska narzuta z kowbojem na koniu, czasopisma dla dzieci i komiksy, nawet mozaikowy deseń na lampie przy łóżku. Wszystko było tak jak pamiętał, o niektórych szczegółach zdążył już zapomnieć. W łóżku ujrzał samego siebie, spał ubrany w pidżamę z kowbojami. Patrząc na swoją bladą, niewinną i spokojną twarz,

chciał zapłakać z żalu; już od dawna nie potrafił tak spać. Wydawało się mu, że patrzy na siebie jak przez szybę. Kiedy wyciągnął rękę w głąb pokoju, natrafił na opór, a powietrze wokół dłoni rozjaśniło się dziwnym blaskiem.

Migotanie trwało jeszcze przez chwilę po tym, jak cofnął dłoń, a potem Church dostrzegł, że coraz silniejszy blask dochodzi z wnętrza pokoju. W nogach łóżka ze światła formowała się kobieta o długich, kasztanowych włosach i pięknej, pociągłej twarzy, która przypominała wyidealizowane kobiece wizerunki w dawnym malarstwie. Miała ciemnozieloną, długą suknię, której zawile, filigranowe ornamenty wydawały się poruszać jak żywe istoty. Church z zapartym tchem wpatrywał się w pełną majestatu postać, która powoli uniosła ramiona i obudziła śpiącego chłopca, jakby wołając jego imię. Mały Church nieprzytomnie otwierał i zamykał przez chwilę oczy, a potem jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech zachwyty. Świetlista dama uśmiechnęła się w odpowiedzi, a potem wyrzekła cicho trzy słowa.

W tej samej chwili Church zdał sobie sprawę, że ta scena była prawdziwa, że naprawdę się wydarzyła. Z głębin jego pamięci powoli powróciło wspomnienie, które kiedyś zlekceważył i odrzucił, uznając za sen. Teraz jednak pamiętał, że takie odwiedziny powtórzyły się kilka razy w krótkich odstępach czasu.

Scena w pokoju powoli gasła, aż w końcu zastąpiła ją nieprzenikniona, zimna ciemność. Church zamknął drzwi i odwrócił się do korytarza, starając się zrozumieć cisnące się do oczu łzy. Oprócz ujrzanej właśnie sceny, miał w pamięci jeszcze słowa pozdrowienia, które wtedy usłyszał: Witaj, Bracie Smoków.



Tym razem Laura zdołała przejść na drugą stronę bez uczucia mdłości. Kiedy odzyskała zdolność widzenia i zobaczyła kamienny korytarz, najbardziej obawiała się, że powtórzą się wizje, których doświadczyła tu ostatnio. Najgorsze nie były wtedy wspomnienia dotychczasowego życia, choć te wcale nie sprawiały jej przyjemności, tylko migotające przed oczami, okropne chwile z przyszłości. Niewielu ludzi zniosłoby to, co wtedy zobaczyła.

Przez chwilę zastanawiała się, co stało się z Churchem, nie była jednak zaskoczona jego nieobecnością; w tym miejscu wszystko jest możliwe. Do jej uszu dochodził nieziemski śpiew. Czuliła się pewniej, gdyż tym razem przynajmniej wiedziała, czego może się spodziewać. Ruszyła zdecydowanym krokiem przed siebie, pragnąc, by istniała jakaś prosta droga przez labirynt korytarzy. Pamiętała, że ich układ zmienił się od ostatniego razu, kiedy dokładnie zapamiętała pokonaną przez siebie drogę. Nie wystarczyło, jak się domyślała, odnaleźć odpowiednią drogę; labirynt sam ją przepuści, kiedy będzie gotowa.

Napotykanie po drodze okna kusiły, nie wyglądała przez nie, pamiętając, jak przerażający widok się za nimi rozpościera. Jej myśli zwróciły się ku Churchowi i jego towarzyszom. Nie wyrobiła sobie jeszcze o nich zdania. Church był zagadkowy, lubiła to w ludziach, najwyraźniej coś ukrywał pod powierzchowną, nudziarską pozą. Będzie go mogła rozpracować, jakby odsłaniała kolejne warstwy opakowania, pod którymi czekała niespodzianka, nieważne czy dobra, czy zła. Ruth

wydawała się zbyt miła, jej niewymuszona ogłada sprawiała, że Laura czuła się nieswojo. Natomiast hipis budził w niej głęboki niepokój. Kiedy na nią patrzył, chciała zwijać się z zakłopotania, jakby swoim pogardliwym, badawczym spojrzeniem rozkładał ją na czynniki pierwsze.

Gdzieś daleko rozległ się głośny szmer, brzmiący jak oddech gigantycznej bestii. Laura przyśpieszyła kroku, mając nadzieję, że Church i jego znajomi okażą się odpowiednimi osobami i że już nigdy nie będzie musiała wracać w to miejsce.



— Za mną – rozkazał Tom, wspinając się na stos metalowych beczek. Pociągnął Ruth za sobą na najniższą część chwiejącego się stosu i z małpią zręcznością dotarł na szczyt. Ruth podążyła za nim, najpierw ostrożnie, a potem coraz szybciej, kiedy obejrzała się i zobaczyła zbliżających ludzi – nie – ludzi.

Szczyt stosu beczek znajdował się na tym samym poziomie, co okno magazynu, które Tom wybił łokciem, odwracając się przy tym, żeby ochronić twarz przed odłamkami szkła. Na dole napastnicy przewracali już pierwsze beczki. Wymieniali gardłowe okrzyki, które Ruth usłyszała już na parkingu stacji benzynowej, gdzie ją porwano. Kątem oka spostrzegła, jak wyglądają prawdziwe twarze potworów, szybko odwróciła wzrok i skoncentrowała się na ucieczce. To, co zobaczyła, wystarczyłoby doprowadzić ją na skraj załamania nerwowego.

Tom chwycił ją za ramię, kopniakami usuwając ostatnie kawałki szkła z ramy okiennej, i wepchnął przez okno na metalową galeryjkę w środku.

— Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać – wyksztusiła, powoli odzyskując panowanie nad sobą.

— Lepiej nie patrzeć na ich twarze, dopóki się nie przyzwyczaisz – odparł Tom. Ruth zastanawiała się, skąd on może to wiedzieć, ale zanim zdążyła zapytać, ten nagle znów chwycił ją za ramię i przyłożył do czoła otwartą dłoń. Z początku była zimna, ale potem Ruth poczuła ciepło promieniujące z niej w głąb jej mózgu.

— No. To nie będzie przyjemne, ale od teraz przynajmniej będziesz mogła sobie dawać z nimi radę.

Ruth wyjrzała przez okno i poczuła mdłości, nie utraciła jednak panowania nad sobą. Jej umysł wciąż nie potrafił przetworzyć tego, co widziała, więc czuła się tak, jakby oglądała pełen zakłóceń obraz telewizyjny: zniekształcone kości i łuski, kształty wijące na i pod skórą. Przerazenie nie miało tak naprawdę źródła w tym, co widziała, ale pochodziło z samej istoty potworów, jakby promieniowało z głębi ich ciał. Odwróciła szybko wzrok i odepchnęła Toma od okna.

— Co się stało z Churchem? – zapytała z bijącym sercem.

— Nie wiem, dokąd prowadzą te drzwi. Wrócimy tu po niego, jeśli sami zdołamy się uratować.

Galeryjka biegła ponad rampą ładowniczą we wnętrzu hali. Stała tam ciężarówka na pół wypełniona beczkami na ropę, a obok niej porzucony wózek widłowy. W hali nie było nikogo, ale ich uszu dochodziły coraz bliższe szaleńcze wycia.

— Teraz ustawili się i pilnują wyjścia. Pozwolili nam wejść tutaj, bo nie mamy szans się wydostać. Jak zdołają się zbliżyć, to rozszarpią nas. – Tom zamilkł nagle, a potem przeszedł na drugą stronę barierki. – Chodź!

Skoczył w kierunku stojącej poniżej ciężarówki, niezręcznie

lądując na jej dachu. Ruth wstrzymała oddech patrząc, jak leży nieruchomo, ale potem Tom wstał i kulejąc ruszył ku kabinie. Pochyliła się ponad barierką, obawiając się podążyć na Tomem, ale kiedy dostrzegła mrowie wbiegających do hali potworów, wzięła się w garść i skoczyła. Już na dachu ciężarówki pośpiesznie zaczęła czołgać się ku kabinie, do której Tom spuszczał się przez otwarty szyberdach.

Potwory poruszały się z zaskakującą jak na swoje rozmiary szybkością. Jeden z nich chwycił metalową beczkę, lekko jakby była papierowym kubkiem, i rzucił nią w kierunku ciężarówki, którą Tom zdążył już uruchomić. Beczka trafiła w maskę tuż pod przednią szybą i pękła, wyrzucając z siebie śmierdzące chemikalia.

Pojazd ruszył z szarpnięciem. Ruth zamknęła oczy i zamarła, leżąc plackiem na dachu kabiny, zaciskając dłonie brzegu i modląc się, żeby nie spadła. Ciężarówka szybko nabierała prędkości. Rozległo się głośnie uderzenie, kiedy przejechali jedną z bestii. Chwilę później znaleźli się na zewnątrz hali.

Ruth usłyszała ostrzegawczy krzyk Toma i w tej samej chwili dostrzegła długie, muskularne ramię sięgające ku jej stopie z drugiej strony kabiny. Potwór chwycił się ciężarówki. Dziewczyna podkurczyła nogę, nim szponiasta dłoń opadła na dach i wydarła w nim głębokie bruzdy, jakby był z papieru.

Zanim ramię zdążyło zadać kolejny cios, Ruth zaczęła wściekle kopać głowę potwora, która dudniła pod jej butem głucho i twardo jak kamień. Kopniaki wystarczyły, by napastnik rozluźnił chwyt i odpadł od ciężarówki; w chwilę później Ruth poczuła szarpnięcie, kiedy go przejeżdżali. Rozległ się ohydny ryk, wycie połączone z obelgami.

Doszedł do niej zapach spalenizny; od rozgrzanego silnika

zapaliły się chemikalia z beczki, która wcześniej trafiła w maskę. Płomienie buchały ponad przednią szybą, wkrótce ogarną całą ciężarówkę.

Tom skierował pojazd ku ogrodzeniu z siatki i na chwilę przed zderzeniem nacisnął hamulce. Ruth desperacko starała się utrzymać na dachu, ale pęd zerwał ją i przeniósł ponad ogrodzeniem. Dziewczyna gruchnęła ciężko o asfalt i przeturlała się, krzycząc z bólu. Zatrzymała się i podniosła wzrok. Tom gnał już na wstecznym biegu z powrotem w kierunku magazynu.

W ostatniej chwili otworzył drzwi i wyskoczył. Ruth spostrzegła, jak Tom uderza głową o asfalt. Podniósł się i uciekał teraz, kulejąc. Po twarzy płynęła mu krew.

Ciężarówka pędziła prosto w halę magazynu, sypnęły iskry w miejscu, gdzie otarła o wjazd, a potem wyrznęła w stos gotowych do załadunku beczek. Na ułamek sekundy rozległ się dźwięk jakby głębokiego wdechu, a budynek wybuchnął płomieniem. W miarę jak ogień docierał do kolejnych beczek i ogarniał całą halę, brzmiały serie eksplozji. Przez plac przemknęła hucząca fala gorącego powietrza. Siła wybuchu rozerwała magazyn od środka, wyrzucając w powietrze płonące szczątki; tuż obok Ruth spadł i wbił się w asfalt ogromny kawał dachu. Deszcz rozgrzanego metalu nie ustawał przez nieznośnie długi czas i Ruth, oszołomiona straszliwym hukiem, zwinęła się w kłębek jak płód.

Kiedy minął deszcz ognia, Ruth zerwała się na nogi, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. W miejscu, gdzie wcześniej stał magazyn, szalały teraz płomienie sięgające tak wysoko, że zasłaniały pół bezchmurnego nieba. Ruth czuła na twarzy żar, choć była oddalona o kilkadziesiąt metrów od pożogi. Nikt w magazynie i jego pobliżu nie mógł się uratować.

Obawiała się dotąd o los Churcha, a teraz zdała sobie sprawę, że również jej drugi towarzysz jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przerażona omiotła wzrokiem plac wokół eksplozji.

Toma nie było.



Church nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Korytarz wił się, kręcił, wracał do tych samych miejsc, jakby zaprojektował go szalony architekt. W orientacji nie pomagał jednostajny wystrój kamiennych ścian ani ciemność z rzadka tylko rozpraszana pochodniami. Od czasu do czasu natrafiał na wychodzące w pustkę okno albo na drzwi, z których większość była zamknięta na klucz. Udało mu się otworzyć dwoje z nich, za którymi ujrzał kolejne, przerażająco wyraźne obrazy ze swojego życia. Najpierw zobaczył siebie na wzgórzu, z którego obserwował wielkie, płonące miasto, niepokojąco przypominające Londyn. Kłębiące się masy dymu zasłaniały niemal całe niebo, zamieniając dzień w noc. Największe wrażenie zrobiła jego własna twarz; choć nie wyglądał na wiele starszego, oblicze miał poznaczone rysami zmarszczek, jak ktoś, kto doznał wielu cierpień i niepowodzeń. Wyglądał jak jeden z entuzjastów odgrywania średniowiecznych bitew; miał nieco dłuższe włosy niż teraz i krótką brodę. Wpatrując się w horyzont i trzymając przy piersi ozdobny miecz, stał zgarbiony i płakał.

Za drugimi drzwiami ujrzał siebie w dzień po śmierci Marianny. Siedział sam w ich wspólnym mieszkaniu, blady i rozbity. Widząc straszliwą, nigdy wcześniej niezaznaną mękę na

swojej twarzy, poczuł nagły przypływ rozpacz, który nakazał zatrzasnąć drzwi i uciec, zanim zdążył ujrzeć dalszy ciąg obrazu.

Co to wszystko miało znaczyć? Podejrzewał, że miejsce, w którym się znajduje, leży poza granicami znanego świata; czas najwyraźniej płynie tu przypadkowo, naprzód i wstecz, i można tu prawdopodobnie ujrzeć dowolną chwilę w przeszłości i przyszłości. Gdyby w odpowiedniej chwili otworzył odpowiednie drzwi, to czy zobaczyłby Mariannę na kilka tygodni, dni, albo godzin przed śmiercią, kiedy podejmowała tragiczną decyzję o targnięciu się na swoje życie? Myśl ta obudziła w nim gwałtowną nadzieję, od której aż zakręciło mu się w głowie.

W tej samej chwili za kolejnym zakrętem ujrzał następne drzwi, jakby czekające tam na niego. Tracąc nerwy, stał przez chwilę przed drzwiami, aż wreszcie zebrał się na odwagę i otworzył.

Natychmiast stracił pewność siebie, bo scena nie była mu znajoma: zielony brzeg strumienia płynącego pod kamiennym mostem. Zobaczył na pół zanurzone, martwe ciało. Church szybko zauważył, kim był topielec, jeszcze zanim woda uspokoiła się, odsłaniając bladą twarz i wybałuszone oczy.

Patrzył na własną śmierć.

Znów zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami, trzymając twarz w dłoniach. Martwy Church na obrazie za drzwiami nie był wiele starszy od niego.



Błąkał się dalej, zatraciwszy poczucie czasu i orientację, targany gwałtownymi uczuciami, nad którymi nie panował. Nic

nie miało sensu. Pozostało tylko przyprawiające o mdłości poczucie zagubienia i narastającej rozpacz.

Po dłuższej wędrówce zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło: w powietrzu unosił się ledwie dostrzegalny aromat kadzidła, jak ślad zapachu czyichś perfum w pustym pokoju. Muzyka, dotąd cicha, z każdym krokiem stawała się głośniejsza. Niezwykle nastrojowa melodia przywoływała na myśl letnią noc przy pełni księżyca, zapach sosnowych lasów i smak wody z górskiego strumienia. Mimo pojawiających się w wyobraźni wyrazistych obrazów, Church nie mógł zrozumieć słów dziwnej pieśni, śpiewanej tak kunsztownie, że słowa wydawały się żyć swoim własnym, niezależnym od muzyki życiem.

Church z bijącym sercem zbliżał się do źródła muzyki, która przepełniała jego serce radością, pozwalając zapomnieć o strachu i rozpacz. Ruszył w końcu biegiem, najpierw spokojnie, a potem coraz szybciej, porzucając wszelkie obawy i zahamowania.

Wybiegł z korytarza, potknął się i zaskoczony wylądował u wejścia do wysokiej, przestronnej komnaty. Przed nim, w półkolu wysokich okien, roztaczał się widok na pustkę. Staroświecka, połączana luneta stała pośrodku wnęki, na której brzegach w dwóch rusztowych paleniskach płonęło aromatyczne drewno. Ściany były obwieszane kunsztownie tkanymi arrasami przedstawiającymi szereg scen jakby z tkaniny z Bayeux, natomiast kamienną podłogę przykrywały dywany. Przez lunetę patrzyła na coś ta sama kobieta, która pojawiła się w scenie z dzieciństwa Churcha.

Kobieta odwróciła się, ukazując twarz jeszcze piękniejszą niż na obrazie za pierwszymi drzwiami. Miała wystające kości policzkowe i pełne usta, a jej skóra wydawała się lśnić

wewnętrzny, hipnotyzującym blaskiem. Zimne, błękitne oczy pełne były mądrości i siły. Church jak urzeczony trwał pod ich głębokim spojrzeniem.

— Kim pani jest? – zapytał słabym i budzącym politowanie głosem.

Kiedy kobieta uśmiechnęła się, przez żyły Churcha przeszła fala słodyczy.

— Przyjacielem.

— Czy to pani śpiewała?

Kobieta skinęła głową.

— To pieśń z dawnego świata, z czasów przed czasem, o dwojgu nieszczęśliwych kochanków, którym udaje się spędzić razem jedną noc przed ostatecznym rozstaniem. Jest piękna i smutna, jak wszystko, co porusza duszę. Podejdź bliżej.

Wyciągnęła delikatną dłoń ku Churchowi, który po trzech stopniach zszedł z korytarza do komnaty.

— Pani do mnie przyszła, kiedy byłem mały.

— Wiele razy, zawsze na granicy snu i jawy.

— Dlaczego?

— Żeby się upewnić, że jesteś tym, kim jesteś.

— Czyli kim?

— Jednym z Braci Smoków – odrzekła, mierząc go zaciekawionym i rozbawionym spojrzeniem, jakby mówiła coś oczywistego.

Church wzruszył ramionami.

— Nie wiem, co to znaczy.

To jednak nie miało żadnego znaczenia. Church zapomniał o wszystkim i oszołomiony rozkoszował się barwą jej skóry, cieniem uśmiechu na ustach, tembrem jej głosu, roztaczanym przez nią zapachem, jakby róży i kardamonu. Zupełnie nie

docierały do niego słowa tajemniczej damy. W końcu zdał sobie sprawę, że się na nią gapi i, zażenowany, opuścił wzrok.

— Gdzie teraz jesteśmy?

— Miejsce to nazywa się Strażnicą. Znajduje się na granicy dwóch światów, między ludźmi i duchami, między słońcem a księżycem, między wodą a ziemią. Czas opływa je naokoło.

— Czy to pani dom?

Jej śmiech zabrzmiał równie melodyjnie jak głos.

— To tylko schronienie na krótki czas. A dla ciebie, jakby to powiedzieć, jest to miejsce przygotowania. Wolałabym, żebyś nie ujrzał wspaniałości mojego prawdziwego domu, zanim nie będziesz nań gotowy.

— Przepraszam. Nie powinienem tutaj wchodzić. Z ciekawości...

Chwyciła go za dłoń palcami zimnymi jak woda w górskim strumieniu.

— Powinieneś był tutaj przyjść – rzekła kategorycznym tonem i poprowadziła go ku krzesłom i stolikowi, na którym stał smukły dzban i dwa cynowe kubki. – Czekałam na ciebie.

Church nie mógł zrozumieć.

— Przecież ja sam nie wiedziałem, że się tu znajdę.

— Ale ja wiedziałam. – Usadziła go i napełniła wysoki kubek. – Nie bój się, nie działają tutaj prawa mojego świata. Możesz stąd wziąć, co ci się podoba.

Napój wyglądał jak woda, ale drażnił podniebienie tak skomplikowanym bukietem smaków, że Church nie próbował ich nawet rozpoznać. Przełknął od razu. Poczował się tak, jakby do gardła wlało mu się gorące, płynne złoto.

— Co za cudowny napój! – zawołał. Kobieta skinęła głową i spoważniała.

— Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć, a czasu jest coraz mniej. Twój świat odwraca się od światła. – Church z niepokojem przypomniał sobie, że tego samego zwrotu użył wcześniej Tom. – Stare Przymierze zostało złamane i Nocni Wędrowcy powracają do świata ludzi, żeby zmienić go na swoją modłę. Nie można im na to pozwolić. Kiedy w czasach przed czasem pokonali mój lud, rozpoczął się Wiek Wiecznej Nocy, kiedy rządy nad światem były tak złe, że do dziś wspominamy je ze łzami w oczach. Ziemia umierała, ludzie żyli w niekończącym się mroku, wszystkie części świata pogrążone były w cierpieniu i rozpacz. To się nie może powtórzyć.

— Nocni Wędrowcy – powtórzył Church. Nie potrzebował wyjaśnień, żeby zrozumieć, o kogo chodzi.

— Od zawsze czają się w ciemnościach, na skraju światła, zazdroszcząc i obawiając się go. – Odwróciła wzrok od Churcha. – Byli najgorszą z starych ras. Wielcy Niszczyciele, wysysający ciepło z każdego życia, pozostawiający za sobą tylko zimno i pustkę. Ich skażona moc pustoszyła wszystkie miejsca, w których się pojawili.

W głosie kobiety pojawiła się złowróżbna nuta. Church poczuł, że i jemu udziela się ten lęk. Jeśli te stworzenia były tak potężne, jak wynikało z opowieści, to nie przeciwstawi się im żadna ludzka siła, żadne wojsko nie będzie miało szans.

— A kim jest pani lud? – zapytał.

Spojrzała mu w oczy z takim smutkiem, że musiał odwrócić wzrok.

— Najwspanialszą ze starych ras. Nazywają nas Żółtym Ludem, albo Domem Światła. Byliśmy wywyższeni ponad wszystkie inne ludy.

Oderwane od siebie napomknienia i wyjaśnienia, które

Church usłyszał w ostatnich dniach, ułożyły się nagle w spójny obraz.

— Pani lud i Nocni Wędrowcy zamieszkiwali nasz świat w odległej przeszłości? I wy pomagaliście ludziom w jakiś...

— Sprawowaliśmy rządy. Do nadejścia Wędrowców panował pokój – przerwała mu dumnie kobieta. – Pokonali mój lud podstępem, nie siłą, ale ich triumf nie trwał długo. Kiedy nadszedł czas naszego odwetu, padli nam do stóp i drogo musieli zapłacić za nikczemność. – W oczach mówiącej pojawiły się gniewne i przerażające błyski. Church miał nadzieję, że nie będzie jej miał za wroga.

Church zamyślił się na chwilę; historia opowiedziana przez kobietę dobrze wyjaśniała podstawy ludzkiej kultury. Dwie potężne rasy, reprezentujące światło i ciemność, toczące ze sobą wielki bój, od którego świat drży w posadach, podczas gdy przerażona i bezsilna ludzkość tylko się przypatruje. Zastanawiał się, jak ta kobieta i potwory, które go prześladowały, wyglądali w oczach dawnych ludzi, kiedy ci ujrzeli ich po raz pierwszy. Trudno było się dziwić, że spotkanie odcisnęło się trwałym śladem w legendach, że w postaci archetypów znalazło miejsce w zbiorowej, podświadomej pamięci. Poczuł nagle, że ma do czynienia z czymś wzniosłym, transcendentnym, ze źródłem wszystkiego, co ważne w historii ludzkości. Serce miał przepełnione pokorą.

— Ale skąd przybyliście? Z innej galaktyki, planety?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

— Przybyliśmy z Dalekich Lądów.

— Dalekich Lądów?

Skinęła głową.

— Kiedy zawarto Przymierze, w dniach cierpienia i radości po

drugiej wielkiej bitwie, powróciliśmy do Dalekich Łądów. Nocni Wędrowcy zgodzili się zamieszkać w zimnych czyścach pod dnem jezior i mórz. My, jako zwycięzcy, zajęliśmy resztę kraju: ośnieżone szczyty gór, głębokie lasy, bujne łąki. Wróciliśmy do swoich siedzib obwieszeni cudownymi łupami.

— Opuściliście nasz świat?

— Tak nakazywało Przymierze.

— A teraz zostało zerwane. Ale przecież pani lud mógłby nam pomóc! Macie moc...

— Nocni wędrowcy uwolnili Urok Życzeń. – Jej głos znów się zaognił. – Moi bracia polegli. Kilkoro z nas zdołało uciec do miejsc takich jak to tutaj albo do waszego świata. Niektórzy zostali naznaczeni przez Wędrowców. – Cokolwiek to znaczyło, najwyraźniej napełniało ją przerażeniem.

— A reszta?

— Uwięzieni w nieznanym, ukrytym pod ziemią miejscu, gdzie nikt nie może ich na razie odnaleźć.

— I nic nie da się zrobić, zupełnie nic? – zapytał Church zapalczywie.

Kobieta uśmiechnęła się.

— Właśnie po to tu jesteś, Jacku Churchill.

— Ale co ja mogę zrobić? – zapytał lekceważącym tonem i zreflektował się. Instynktownie wyczuwał, że kobieta nie przyjmie bezkarnie żadnej zniewagi.

— Jeszcze nie znasz własnego dziedzictwa. Kiedy odnajdziesz swoje prawdziwe serce, odnajdziesz wolę i siłę, by działać. Z drugiej strony, masz rację, nawet Siostry i Bracia Smoków nie będą w stanie pokonać Wędrowców bez pomocy. Możecie jednak uwolnić mój lud.

— Jak?

— Jeśli odnajdziecie powołanie, jeśli odpowiednio ułożą się pewne ważne rzeczy. To będzie twoje zadanie, Jacku Churchu, jeśli tylko przyjmiesz moją zwierzchność. Więcej, takie jest twoje przeznaczenie i, tak naprawdę, nie masz możliwości wyboru. Zbierz pięcioro Sióstr i Braci Smoków, pięcioro obdarzonych jedną i tą samą duszą, kwinkunks, który jest bohaterem zapowiedzianym przez Faithi, który uratuje Wiek Ludzi przed ostateczną zagładą. Odnajdź Insygnia i roześlij wici.

— Nie potrafię zrozumieć, co pani mówi, tego jest za dużo... Church nie był w stanie powstrzymać nerwowego drżenia ręki i musiał odstawić kubek; nie wiedział, czy to potęga jej słów wywołała drżenie, czy strach przed przeszłością, jaka się przed nim rysowała.

— Proszę mi powiedzieć – odezwał się, nie patrząc na nią – czy te rzeczy, które widziałem w pokojach...

— One się wydarzą naprawdę.

— Nawet jeśli nie będę chciał?

— Wydarzą się naprawdę.

Church przypomniał sobie swoją bladą, martwą twarz w strumieniu i rozpacz, z jaką obserwował płonące miasto. Cała jego przyszłość wydawała się ponura i tragiczna, czy jednak różniła się bardzo od przeszłości po śmierci Marianny? Poczł nagle budzącą się w sercu siłę; jeśli taki przypadł mu los, to znieśie go najlepiej, jak będzie potrafił, i wystarczy, że zrobi przed śmiercią coś dobrego dla innych. Kobieta uśmiechnęła się, jakby czytała jego myśli.

— Zrobię, co będę mógł – powiedział wreszcie.

— Płonie w tobie wielki ogień, choć sam jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Church westchnął.

— Niestety to, co pani mówi, nie pomaga mi.

Kobieta wzięła jego dłoń i uścisnęła ją; ku swojemu zaskoczeniu, poczuł ulgę i uspokoił się, serce przestało walić, mięśnie się rozluźniły, przestały boleć ramiona. Zaczęła mówić ciszej, jakby obawiała się, że ktoś niepowołany usłyszy tajemnice, które mu wyjawiała. Church z oczarowaniem patrzył jej w oczy.

— Kiedy mój lud po raz pierwszy trafił do twojego świata, przynieśliśmy ze sobą cztery Insygnia, obdarzone niezwykłymi właściwościami i mocami. Były to skarby mojego ludu, nasza największa duma, świadectwa naszego pochodzenia i naszej potęgi, zwieńczenie całej naszej tradycji. Choć istniejemy dłużej niż czas, Filidzi opowiadają o pełnych chwały dniach, kiedy zamieszkiwaliśmy cztery miasta na północy: Falias, Gorias, Finias i Murias. Pałace ze złota i szkła sięgały tam chmur, dni i noce płynęły szczęśliwie, tam nauczyliśmy się magii, poznaliśmy sztukę wytwarzania pięknych przedmiotów i nauczyliśmy tajemnej wiedzy o świecie. Staliśmy się podobni bogom. Kiedy wyruszaliśmy na wyprawę, każde miasto wzięło jedno z magicznych Insygniów, byśmy nigdy nie zapomnieli o swoich początkach. Zamieniliśmy się w lud wędrowców i trafiliśmy w końcu do twojego kraju.

Opowiadając, kobieta uśmiechała się smutno. Church domyślał się, że źródłem smutku był nieznany mu powód, dla którego jej lud musiał opuścić raj i wyruszyć na tułaczkę bez końca.

— I ja mam znaleźć te Insygnia?

Skinęła powoli głową.

— Będą jak światło w ciemności, które wyprowadzi mój lud z pustki...

— Co to za przedmioty?

— Kamień, który rozpozna prawowitego króla tego kraju.

Miecz, którego cios zawsze zabija. Włócznia Pana Słońca, która zapewnia zwycięstwo w walce z Nocnymi Wędrowcami. Ostatni, i najważniejszy, jest Kocioł Praojca, wypełniony taką potęgą niszczenia i tworzenia, że przeżyje niewielu z tych, którzy doń podejda.

Kiedy opuściliśmy twój świat i udaliśmy się do nowych siedzib, Insignia zostały ukryte, gdyż wiedzieliśmy, że Wędrowcy pożądamy ich i nie chcieliśmy, żeby dostały się w ich ręce. Z czasem stały się jednością z tą ziemią i nie mogliśmy ich stąd zabrać – kontynuowała kobieta. – Wędrowcy nie mieliby z nich żadnego pożytku z Insigniów, zabiłoby ich zawarte w nich światło. Były one jednak nieodłączną częścią tradycji mojego ludu i byliśmy z nich dumni. Nie mogliśmy znieść myśli, że mogłyby się dostać w ręce naszych nieprzyjaciół.

Opisy tych przedmiotów wydały się Churchowi dziwnie znajome, nie pamiętał jednak, skąd.

— Kamień, miecz, włócznia i kocioł. Coś mi się przypomina...

— Odegrały ważną rolę w historii twojego kraju. Znalezione, później ponownie utracone, towarzyszyły wielkim czynom najważniejszych śmiertelników twojego świata. Stały się częścią twojej tradycji, tak samo jak mojej, i takim samym powodem do dumy. Nasyciła je sama istota twojego świata. Dlatego znaleźć je mogą tylko Siostry i Bracia Smoków.

Kobieta zamilkła; przez jej twarz przeszedł nagle cień i Church poczuł, że jest ona kimś więcej, niż osobą, którą widzi, kimś obcym i przerażającym.

— Te cztery przedmioty są tylko formami, które ty umiesz zrozumieć. Tak naprawdę składają się z czystej mocy; ich kształty zostały określone przez mity. Insignia istniały pod różnymi nazwami, w różnych kształtach. W twoim umyśle, w swej istocie,

są właśnie tymi czterema przedmiotami: kamieniem, mieczem, włócznią i kotłem. Już dawno zaginęły i nikt nie potrafił ich odnaleźć, choć wielu szukało.

— Więc jak ja mam je znaleźć? Pani powiedziała, że czasu jest mało, więc nie możemy włóczyć się latami po całym kraju i urządzać wykopalisk.

Podeszli razem do stojącej w kącie dębowej skrzyni, której Church wcześniej nie zauważył. Zawiasy zaskrzypiały, jakby od stuleci nikt jej nie otwierał, i z wnętrza wydobyło się błękitne światło, takie samo jak w Stonehenge. Kobieta ostrożnie wyjęła stalową latarnię na zakończonym haczykiem łańcuchu. Błękitny blask wydobywał się z czterech oprawionych grubym szkłem otworów lampy. Kobieta wręczyła ją Churchowi, który ostrożnie wziął latarnię w ręce.

— To musisz wziąć ze sobą z powrotem. Wskaże ci drogę.

— Jak?

— Podążaj za płomieniem. Jest on kwintesencją twojego świata i przyciągają go Insignia. Zaufaj też instynktowi.

Church poczuł błogie uczucie rozchodzące się po ramieniu, w którym trzymał lampę.

— Dziękuję pani – rzeki szczerze. – Zrobię, co będę mógł.

— A teraz... – zaczęła.

— Zaraz – przerwał jej Church. – Muszę się jeszcze wiele dowiedzieć. Kim jest tych pięcioro?

W tej samej chwili z ciemności korytarza ostrożnie wynurzyła się Laura. Spojrzała, najpierw na Churcha, a potem na tajemniczą kobietę.

— Dobrze się spisałaś – powiedziała błękitnooka dama. – To właśnie on.

Church zwrócił się podejrzliwie ku Laurze.

— Zaraz, zaraz, to ty miałaś mnie tutaj sprowadzić?

— Nie bądź taki nerwowy, Church. Bałam się, że stchórzysz, jak się od razu wszystkiego dowiesz – powiedziała Laura. Wyglądała na spłoszoną, jakby się bała stojącej obok kobiety.

Church doznał nagle olśnienia, od którego włos zjeżył mu się na głowie.

— A jak napisałaś do mnie o Mariannie...

— Ona mi powiedziała, że gość, którego mam tu sprowadzić, będzie znał to imię. I że łyknie haczyk – odrzekła Laura, nie spuszczając spojrzenia z kobiety. Najwyraźniej sprawdzała, czy mówi to, czego się od niej oczekuje.

Tajemnicza dama stała nieporuszona.

— Z czasem i tak sam byś tutaj trafił – powiedziała beznamiętnym głosem.

— Ale potrzebny byłem jak najszybciej, tak? – Church znów poczuł drżenie rąk, które pośpiesznie ukrył za plecami. Do głowy przyszło pytanie, które obawiał się zadać.

— Z tego miejsca można oglądać cały czas, prawda? – zaczął. – Czy pani wie...

— Kiedy zrobisz to, o co proszę, wszystkiego się dowiesz.

Churcha niepokoił beznamiętny ton jej głosu. Najwyraźniej ukrywała prawdę, nie wiadomo tytko, czy po to żeby oszczędzić mu wstrząsu, czy żeby zachęcić go do wypełnienia swojej misji.

— Proszę mi powiedzieć teraz – powiedział błagalnie. Nie potrafił zapanować nad brzmącą w nim rozpaczą.

Kobieta pokręciła tylko głową. Po raz pierwszy w życiu Church miał jednak nadzieję, że dowie się, co skłoniło Mariannę do samobójstwa. Wierzył, że zakończy się jego własny czyściec. To na razie wystarczyło. Błękitnooka dama spojrzeniem nakazała Churchowi podejść do Laury.

— Musicie odnaleźć mój lud, zanim w całym kraju zapłoną ognie Beltane. W przeciwnym razie będziecie musieli czekać kolejny rok, a wtedy...

Jej głos zamilkł.

Church poczuł ukłucie smutku, że musieli już opuścić tajemniczą kobietę.

— Nie powiedziała mi pani swojego imienia.

Uśmiechnęła się.

— Kiedy zostaniemy przyjaciółmi, poznamy się lepiej – odrzekła i ledwie dostrzegalnie musnęła jego ramię. Church poczuł coś, jakby przeskoczyła pomiędzy nimi elektryczna iskra. Wydawało mu się, że widzi cień jakiegoś uczucia na twarzy nieznajomej. Szybko odwróciła wzrok. Zrobiła dziwny ruch ręką i wszystko, razem z nią samą, znikło.



Powietrze wypełniał dym i smród chemikaliów, topiącego się plastiku i gorącego metalu. W miejscu, gdzie przedtem stał magazyn, zobaczyli tylko osmalone, ociekające wodą stalowe belki i kratownice. Tam, gdzie były jeszcze gorące, ze zgliszczy unosiły się rzadkie smugi dymu. Na placu przed pogorzeliiskiem stały trzy wozy strażackie. Wyczerpani i brudni strażacy dogaszali ostatnie ogniska pożaru.

— Boże! – zawołał Church, omiatając wzrokiem całą scenę. Wstrząs po powrocie z innego świata na chwilę całkowicie go oszołomił. Kiedy zebrał wreszcie myśli, odezwał się znowu: — Nie było nas najwyżej kilka godzin.

— Czas płynie tam inaczej – odparła Laura.

Oboje stali tak przez dłuższą chwilę, starając się zrozumieć, co się stało. Church zauważył grupę mężczyzn w garniturach, uważnie przyglądającą się czemuś leżącemu na ziemi. Dym, unoszący się wokoło, nie pozwalał dojrzeć, co takiego oglądali, ale kiedy nagły podmuch wiatru oczyścił powietrze, Church zauważył zwęglony szkielet. Kości były ogromne i miały tak potworne kształty, że trudno było sobie wyobrazić, jak wyglądała ta istota, kiedy żyła.

Laura też zauważyła szkielet.

— Co to jest? – zapytała tonem jednocześnie przestraszonym i sceptycznym.

— Nocny Wędrowiec – cicho odpowiedział Church.

Nagle jeden z mężczyzn w garniturach dostrzegł ich i powiedział coś pośpiesznie do swoich kolegów. Wszyscy obejrzeni się na Churcha i Laurę. Ruszyli w ich kierunku. Twarze mieli poważne i nie zdradzające emocji. Nie wyglądali na policjantów, Church podejrzewał, że są przedstawicielami jakiejś wyższej władzy.

— Wynośmy się stąd – powiedział.

Pobiegli przez zawałony zgliszczami plac w kierunku bramy, choć jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć surowym głosem, żeby się zatrzymali. Zbliżając się do zniszczonych wrót, usłyszeli wołanie Ruth, która machała do nich zza ogrodzenia.

— Co się z wami dzieje, na Boga? – krzyknęła. Była blada i najwyraźniej bardzo przestraszona.

Nie było czasu na odpowiedź. Mężczyźni w garniturach krzyczeli gniewnie, ale nie mieli szans dogonić uciekinierów. Nim dotarli do bramy, Church zdążył znaleźć się za kierownicą samochodu i zapalić silnik.

— Kim są ci ludzie, do cholery? – zapytała Laura. Wyjeżdżali z

parkingu.

Ruth zignorowała ją i zwróciła się do Churcha: — Powinniśmy ją teraz zostawić. Zwabiła nas w pułapkę. Tom zaginął.



We wstecznym lusterku Church widział kłęby dymu zasłaniające zachód słońca. Laura od dłuższej chwili starała się ich przekonać, że nie miała złych intencji, ale jej obcesowa maniera, której nawet teraz nie potrafiła się pozbyć, nastrajała ich nieufnie.

— No słuchaj, wlałam w tę dziurę przypadkowo, nie? – zaczęła, zwracając się do Churcha. – Kilka godzin włóczę się po tych korytarzach, normalnie bałam się, że już zaraz dostanę kręcka, a potem nagle spotykam tę wielką damę i co słyszę? Mam się skontaktować z jakimś Bratem Smoków i dostarczyć go prosto do niej. Nie musiała nawet mówić, co mi robi, jak nie posłucham, nie jestem taka głupia, przecież nie będę zadzierać z kimś, kto ma wielki latający zamek. Nie miałam pojęcia, czy na pewno jesteś tym gościem, o którego jej chodzi, chciałam załatwić to jak najszybciej i o wszystkim zapomnieć. No to poleciałam z tobą, żeby mieć pewność, nie? No i nie mam pojęcia, jak Boga kocham, co to za goście, co napadli na hipisa i twoją znajomą.

Ruth rzuciła jej lodowate spojrzenie i odezwała się: — Nie będę się kłócić. Ale musimy się dowiedzieć, co stało się z Tomem.

— Nie zostawiajcie mnie – prosiła Laura. – Już i tak siedzę w tym po uszy.

Ruth zwróciła się do Churcha: — Nie możemy jej zaufać, jest

dla nas tylko balastem. – Co ty...

Church nakazał Laurze gestem milczenie.

— Kobieta w Strażnicy powiedziała mi, że ma być nas pięcioro. Pięcioro odpowiednich osób, wybrańców. Gdyby Laura nie należała do nas, to pewnie by jej tu nie było.

Ruth zgryzła wargi i zapytała z niechęcią: — No dobra. Co jeszcze powiedziała ta kobieta?



Church długo opowiadał o przygodach w Strażnicy, szczegółowo opisując cztery Insignia, które mieli znaleźć. Pokazał również płonąca błękitnym płomieniem latarnię.

— Ta historia robi się coraz bardziej szalona – powiedziała Ruth. – Wkrótce nie będziemy mogli nawet jej zrozumieć. Chociaż świat jest ostatnio tak szalony, że i dla tej historii znajdzie się jakiś sens. Rozumiem, że mamy się zmieścić w terminie. Co to jest to Beltane?

— To święto celtyckie – odrzekł Church. – Przypada pierwszego maja i jest zwyczajowo uznawane za początek lata.

— No to mamy niecałe dwa miesiące! Jak, do cholery, mamy w dwa miesiące znaleźć coś, czego nikt nie mógł znaleźć przez całe stulecie? – Ruth była rozdrażniona i wyczerpana katastrofą przy magazynie. – No i co się stało z Tomem?

Church przypomniał sobie pogorzeliśko, jeśli Tom znalazł się blisko miejsca wybuchu, najprawdopodobniej nie miał szans na przetrwanie.

— Ostatni raz widziałam go, jak uciekał z magazynu, potem powaliła mnie eksplozja – mówiła dalej Ruth. – Wszędzie

szukałam, pytałam też strażaków... – Ruth nie dokończyła zdania i zapanowała ponura cisza.

Na zachodnim horyzoncie zniknął ostatni ułomek słońca. Czerwone światło malowało całe Salisbury w ciemnych odcieniach brązu i szkarłatu. W powietrzu unosiły się płatki sadzy; nie zniknął jeszcze odór spalenizny i chemikaliów. Wyglądało to jak scena z piekła.

— Nie możemy tu na niego czekać – odezwał się w końcu Church. – Pamiętasz, co powiedział o Baobhan Sith. W nocy będą na nas polować.

— Ale nie możemy go też zostawić – zaprotestowała Ruth.

— Jest dość rozgarnięty, żeby samemu dać sobie radę – odparł Church. Miał wyrzuty sumienia, że uciekli, nie sprawdzwszy, co stało się z przyjacielem. Nie mieli wyboru, musieli uciekać. – Musimy wyjechać z miasta, znaleźć bezpieczniejsze miejsce. Drogi w nocy nie są bezpieczne, ale chyba nie mamy innego pomysłu, prawda? – Zwrócił się do Laury. – Masz jakiś bagaż?

— Nie, podróżuję bez bagażu. Wszystko kupuję na miejscu, w końcu od czego mamy karty kredytowe? Zresztą widzicie, co się dzieje. Pewnie nikt nie zdąży nawet obciążyć mojego konta.

Światło niebieskiej latarni skierowało się w jedną stronę, jakby wiatr przechylił migotający w jej wnętrzu płomień. Church, pokonując niejasny lęk, na następnym skrzyżowaniu skręcił na północ, w ulicę zmierającą we wskazywanym przez lampę kierunku.

Czuł taki niepokój i rozbitcie, że trudno mu było skoncentrować się na jeździe. Wiedział już, kim była kobieta, którą zauważył w Londynie, jak prała na brzegu Tamizy: zapowiadała jego śmierć. Wcześniej mógłby pomyśleć, że wiedza o niedalekiej śmierci doprowadziłaby go do załamania, ale teraz,

mając tę pewność, nie potrafił powiedzieć, co czuje: niedowierzanie, wbrew temu, co mówiła niebieskooka, nadzieję, że wszystko może ułożyć się inaczej, a nawet ulgę, że trwająca od dwóch lat męka dobiegnie końca. Za wcześnie, by o tym myśleć. W czasie krótkiej rozmowy dowiedział się tylu nowych rzeczy, że nie mógł ich sobie poukładać w głowie. Co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego właśnie on jest w to zamieszany? I czy pozna wreszcie odpowiedź na jedyne ważne dla siebie pytanie: dlaczego Marianna popełniła samobójstwo? Church włączył radio, mając nadzieję, że jego trajkotanie pozwoli uspokoić myśli.

Muzyka wypełniła samochód i Church zapytał Ruth cicho, tak żeby Laura nie usłyszała: — Czy myślisz czasami o śmierci?

Spojrzała podejrzliwie.

— Nie, jeśli nie muszę.

— Ale nie wiesz, ile ci jeszcze zostało czasu, prawda?

— Czy w tamtym miejscu przydarzyło ci się coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Church nie spojrzał na nią, tylko skupił się na drodze.

— Gdybym wiedział, że niedługo umrę, chciałbym choć raz, bezinteresownie zrobić coś dobrego.

Ruth zauważyła na jego twarzy cień wielkiego zmartwienia. Denerwowało ją, że nie miał odwagi o tym powiedzieć.

Nie mieli ochoty na dalszą rozmowę. Słońce znikło za horyzontem i, kiedy powoli zanurzali się w noc, w samochodzie przedłużała się nieprzyjemna cisza.

ROZDZIAŁ 7

TU MIESZKAJĄ SMOKI

Podążając we wskazanym przez latarnię kierunku, Church chciał trzymać się dobrze oświetlonych dróg, ale wtedy musieliby jechać z powrotem do Stonehenge, a tam, jak powiedział im Tom, czekały posterunki Baobhan Sith. Ruszyli inną trasą, bocznymi drogami przecinającymi równinę Salisbury. Kiedy zostawili za sobą światła latarni, jadąc w ciemności często dostrzegali na równinie dziwne zjawiska, migotania, błędne ogniki, a raz nawet na poboczu drogi zamajaczył wielki cień. Church docisnął gazu i minął go jak najszybciej, nie sprawdzając w lusterku, co to było.

Była to straszna podróż; wszyscy wyczuwali, że puste pola stały się w jakiś sposób niebezpieczne i dzikie. Na początku drogę otaczały drzewa i żywopłoty, ale kiedy wyjechali na otwartą przestrzeń, poczuli jeszcze większe przygnębienie, tym bardziej, że nigdzie nie widać było dodających otuchy światła domów. Minęli znak wjazdu na teren poligonu i czerwoną flagę ostrzegającą przed trwającymi ćwiczeniami wojskowymi. Church zastanawiał się, czy wojsko też nie musiało już stawiać czoła rzeczom, które nie miały prawa istnieć, i czy wojskowi byli w stanie stawić jakikolwiek opór.

Poczuli chwilową ulgę, kiedy dotarli do przedmieść Devizes. W drodze przez miasto, promień błękitnego światła latarni

wskazywał północny wschód, kierując na kolejną boczną drogę, tym razem biegnącą przez krajobraz nie tak ponury jak równina Salisbury. Po obu stronach drogi dostrzegali liczne starożytne kurhany i menhiry. Około dziesiątej, minąwszy kilka niewielkich wsi, znaleźli się w Avebury, gdzie latarnia przestała wskazywać jakikolwiek kierunek. Choć wieś otaczał słynny kamienny krąg, jego światła wydawały się bezsilne wobec potęgi roztaczającej się wokół ciemności. Church zaparkował samochód w centrum, w miejscu, z którego widać było na tle nieba kilka potężnych głazów ustawionych wokół wsi. Ich wiekowa obecność napełniała go niepokojem.

— Wszędzie same starożytne głazy – powiedziała Ruth, przyglądając się menhirom. – Gdzie teraz szukać?

— Dzisiaj już za późno – odrzekł Church, prostując obolałe plecy. Laura pochyliła się do przodu pomiędzy ich siedzeniami.

— Wygląda na to, że wylądowaliśmy na jakimś końcu świata. Może poszukajmy w takim razie pubu?

— Nie przyjechaliśmy się bawić – odparła Ruth lodowatym tonem.

— No, przecież trzeba się trochę rozerwać tuż przed końcem świata. – Laura chwyciła laptopa, telefon i wysiadła z samochodu.

Noc była dziwnie zimna, nawet jak na marzec. Z okolicznych wzgórz docierały do wsi podmuchy pachnącego wrzosowiskami wiatru, a panująca wszędzie cisza wytwarzała beczasową atmosferę, przynoszącą jednocześnie ukojenie i niepokój. Niedaleko znaleźli pub o nazwie Czerwony Lew, ogromną, składającą się z kilku izb wiejską gospodę z krytym strzechą dachem.

— Mam uczucie, że powinniśmy sypać jakieś szańce, zamiast

siedzieć sobie i spokojnie pić, jakby nic się nie stało – odezwała się Ruth, kiedy siadali za stolikiem.

— Kiedy świat zaczyna szaleć, dobrze jest zrobić coś normalnego, to poprawia humor – odrzekł Church. – Puby bardzo ludziom pomagają w takich przypadkach. To miejsca, gdzie można się zebrać i bawić, podczas gdy...

— Co ty pieprzysz! – przerwała Laura. Upiła piwa z butelki i rozparła się na krześle. – Mi się ten cały koniec świata zaczyna podobać.

Ruth aż się zjeżyła.

— Wciąż ci nie ufamy, pamiętaj. Szkoda by cię było zostawić w tej dziurze.

Laura uśmiechnęła się kpiąco, co jeszcze bardziej poirytowało Ruth. Zwróciła się do Churcha: — Ta cała czarownica nie powiedziałaaby ci tyle, gdyby nie mogła na ciebie liczyć.

Church skinął głową.

— Właśnie. Ona myśli, że może na nas liczyć. – Upił trochę piwa, a potem spojrział na Laurę pytająco. – Masz pracę, życie. Dlaczego chcesz się z nami włóczyć?

Laura wzruszyła ramionami, a potem z wystudiowaną nonszalancją zaczęła rozglądać się po sali.

— Po co mam wracać do roboty? Żeby dowiedzieć się, że świat diabli wzięli, a ja nawet nie miałam czasu zauważyć?

— Sądziłem, że ci się podoba koniec świata – odciął się Church.

— A poza tym, co tu dużo gadać, zmieniłam się ostatnio – kontynuowała Laura. – Kiedyś brałam prochy, to głupie, wiem, ale co się pobawiłam, to moje. Prochy zmieniają człowieka. Nagle znajomi przestają cię poznawać, nie potrafią zrozumieć, przez co przechodzisz. No i po tym latającym zamku czuję się dokładnie tak samo. To była wielka rzecz, coś, co zmieniło całe moje życie,

to było lepsze od najlepszego tripa i nikt na świecie nie zrozumie, o co mi chodzi, jeśli zacznę opowiadać. Oprócz ciebie. Nas coś łączy, Church. Znamy coś, czego nikt inny nie poznał. Po takim czymś nie można wrócić do poprzedniego życia.

Church poczuł, że Ruth znów się jeży. Nie wiedział, czy Laura specjalnie ją drażni, wykluczając z grona wybrańców, ale chyba właśnie to chciała zrobić.

— Cóż, każde z nas tutaj doświadczyło czegoś dziwnego – zaczęła uspokajająco. – Myślę, że wszystkich nas łączą te doświadczenia.

— Ale to nie znaczy, że zaczniemy się od razu lubić – odparła lodowatym tonem Ruth.

Laura najwyraźniej świetnie się bawiła, patrząc to na Churcha, to na Ruth.

— No a co chodzi z tymi Braćmi i Siostrami Smoków? – zapytała Ruth, demonstracyjnie zwracając się do Churcha. – To brzmi jak nazwa jakiegoś szalonego stowarzyszenia.

— Ta kobieta chciała chyba powiedzieć, że jesteśmy w jakiś sposób ważni, inni. – Church zmarszczył czoło, bo sam też nie rozumiał, co to miało znaczyć.

Ruth prychnęła sarkastycznie.

— Mówisz tak, jakby wam to było przeznaczone. A przecież nie trafilibyście do niej, gdybyśmy my nie zobaczyli tego morderstwa pod mostem Alberta, co się przecież wydarzyło zupełnie przypadkowo. Zbieg okoliczności. Gdybym nie pokłóciła się z Clive'em i nie wysiadła z taksówki, gdybyś ty poleżał tej nocy trochę dłużej w łóżku, nasze losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Więc jak można o tym mówić, jakby to było nieuniknione?

Church wzruszył ramionami.

— No, nie wiem. Na pewno nie kłamała, przynajmniej tak mi się wydawało. Ale może się myliła.

— Oczywiście, że nie kłamała – stanowczo potwierdziła Laura.

— A ty skąd wiesz?

— Nie wiem, po prostu tak czuję.

— Może to jednak prawda – zastanawiał się Church. – To by tłumaczyło, czemu używają tak drastycznych środków, żeby nas powstrzymać. Szkoda, że nie zapytałem tej pani, co chce zrobić ta banda, która nasyła na nas smoki. Pamiętam, mówiła coś o naszym dziedzictwie...

— Tom by pewnie umiał wiele wyjaśnić – wtrąciła Ruth.

— E tam, siedziałby tylko i dalej mówił zagadkami – odparł Church. – Widać było, że nie mówił nam wszystkiego; nie ufałem mu. Może to i lepiej, że nie ma go wśród nas.

— Myślisz, że wyleciał w powietrze razem z tym magazynem? – zapytała Laura, rzucając jednocześnie gniewne spojrzenie jednemu z miejscowych klientów, który się na nią gapił.

— Skąd mam wiedzieć, co się z nim stało? Może też wleciał do takiej dziury, jak my. Może się ukrywa, żeby nas podpuścić.

— Nie, nie, Church, on nas przecież często ratował z opresji. A jak mówił, to po prostu uważnie dobierał słowa – broniła towarzysza Ruth. Milczała przez chwilę i dodała: — Pamiętasz, on się nieźle przestraszył, jak mu powiedziałaś o tym czarnym psie.

— No nie dziwię się, sama byś się przestraszyła, gdybyś go zobaczyła.

Ruth spojrzała za okno, w pubie było zbyt jasno, żeby mogła cokolwiek dostrzec na zewnątrz.

— Zastanawiam się, ile czasu nam jeszcze zostało.

— Zanim co?

— Zanim znów się nam coś przydarzy. Tom mówił coś o Dzikich Zastępach. Że to najgorsza rzecz, jakiej możemy oczekiwać.



Kiedy Ruth i Laura wyszły z pubu, musiały poczekać na Churcha, który poszedł do toalety. Ruth dała upust rozdrażnieniu i niechęci do Laury. Laura, ostentacyjnie żując gumę, kopła kamienie w kierunku zaparkowanych przed pubem samochodów.

— Słuchaj, nie ufam ci i będę miała na ciebie oko.

— Myślisz, że mnie to interesuje? – Kolejny kamień uderzył w drzwi nowiutkiego BMW.

— Powinno!

— Co mam zrobić, pójść do kąta i zacząć płakać, bo mnie nie lubisz? Kochana, to ty masz problem!

Ruth chciała ją spoliczkować. Powstrzymała się.

— Słuchaj, czemu taka jesteś, przecież przechodzimy przez jakiś koszmar. W każdej chwili możemy zginąć. Mogłabyś być choć trochę miła.

— Jestem, jaka jestem, pani prawniczko. Jak ci się nie podoba, to trudno.

— Tak? I mam wierzyć, że DuSantiago to twoje prawdziwe nazwisko? Po Salisbury raczej nie kręci się wielu ludzi z Ameryki Południowej. A ta chłodna i agresywna maska, którą nosisz, to też prawdziwa ty? Nie wierzę.

— No, to teraz walnęłaś mi niezłe kazanie, tylko że to gówno prawda, od początku do końca. Dziewczyno, co ty o mnie wiesz?

— No właśnie, nic. Gdybyś się otworzyła, moglibyśmy ci zaufać... jeśli naprawdę chcesz nam pomóc.

— Nie wyjeżdżaj mi tu z uczuciowością i otwieraniem się. To nie dla mnie, ja nie muszę wychodzić do ludzi z sercem na dłoni. – Kolejny kamień uderzył w maskę jakiegoś Volvo i uruchomił alarm. Laura odwróciła się do Ruth. Jej twarz gorzała od migających rytmicznie świateł samochodu. – Jestem z wami i możecie na mnie liczyć. Więcej nie musicie wiedzieć.

— Nie, nie o to – zaczęła Ruth, ale ugryzła się w język, bo z pubu wyszedł Church.

— Niestety, czeka nas noc w samochodzie. Raczej nie odpoczniemy – powiedział ze złością w głosie.

— No to mam szczęście. Kanapa z tyłu dla mnie – ucieszyła się Laura i ruszyła obok niego w kierunku samochodu.

Widząc to, Ruth poczuła ukłucie zazdrości, jakby Laura odbierała jej przyjaciela.

— Myślisz, że będziemy tu bezpieczni? – zapytała Laura.

— Tak samo bezpieczni jak wszędzie indziej. Jeśli coś nas zaatakuje, będziemy mogli przynajmniej od razu uciec. – Church zaśmiał się cicho.

Ruth wlokła się za nimi, zdawszy sobie nagle sprawę z tego, jak głęboka stała się przyjaźń łącząca ją z Churchem. Jak do tego doszło, zastanawiała się. Ich sytuacja była już dość trudna i nie należało jej dodatkowo komplikować uczuciami, ale w całym dotychczasowym bałaganie zupełnie o nich zapomniała. Spojrzała na Laurę i poczuła wyrzuty sumienia, że jest zazdrosna o Churcha. Życzyła sobie, by ta zazdrość nie przeszkodziła we wspólnej walce o przetrwanie.



Church obudził się o świcie. Stopy miał przemarznięte na kość, a wciśnięte pod kierownicę uda bolały niemiłosiernie. Spał źle, przez całą noc budziły go koszmary i strach przed czającymi się w ciemności wrogami, zasnąć nie pomagała też niewygodna pozycja i panująca w samochodzie ciasnota. Nauczony tym doświadczeniem, postanowił w najbliższej przyszłości zaopatrzyć się w namiot. Zapomniał o niewygodach, kiedy przetarł wierzchem dłoni szybę i ujrzał piękny, wiosenny poranek. Zza horyzontu wynurzyło się właśnie słońce, malując złotym kolorem chmury na szarym jeszcze niebie. Pośród megalitów unosiła się mgła. Panowała zupełna cisza. Nic nie wskazywało na to, że żyją w dwudziestym wieku. Na myśl o tym Churcha przeszedł dreszcz, poczuł się nagle odcięty od dotychczasowego życia.

Ruth i Laura wciąż spały. Church, patrząc na ich spokojne twarze, pomyślał, że obie są piękne, każda na swój sposób.

Zastanawiając się, czy je już obudzić, kątem oka dostrzegł coś, co wzbudziło jego niepokój. Ich samochód uważnie obserwował człowiek siedzący na kamiennym słupku przy żywopłocie. Church przyjrzał się mu dokładniej, był to starszy, szczupły mężczyzna o twarzy tak ogorzalej, że wyglądał jak wiotkie drzewo wyrastające z żywopłotu. W ręku trzymał, sękaty kij, długi co najmniej na dwa metry. Siwe włosy opadały mu na ramiona. Gdyby nie ubranie – ubłocone sandały, wyciągnięte spodnie i biały podkoszulek – wyglądałby jak jeden z neolitycznych budowniczych, którzy usypali wyrastające wokół wsi kurhany.

— Kto to? – zapytała sennym głosem Ruth. Przecierając oczy, pochyliła się ku Churchowi, żeby dokładniej przyjrzeć się nieznanemu.

Laura poruszyła się i otworzyła oczy. Założywszy nieodłączne okulary przeciwsłoneczne, pochyliła pomiędzy ich fotelami.

— Pewnie jakiś podglądacz – odezwała się zachrypniętym głosem. – Myśli, że urządziliśmy sobie we trójkę małe bara–bara w samochodzie. Poudawajmy, zobaczymy, jak zareaguje.

— To jakiś tubylec – mruknął Church. Otworzył drzwi i wysiadł. Mimo słońca, powietrze było chłodne i Church od razu zaczął trząść się z zimna. Ciszę przerywał jedynie śpiew ptaków. Ruth i Laura również wyszły z samochodu, owinięte płaszczami; tupąły, żeby się rozgrzać.

Mężczyzna nie spuszczał z nich wzroku, kiedy podchodzili do słupka, na którym siedział. Z bliska dostrzegli niesamowity kolor jego oczu, błękitnych jak letnie niebo, co jeszcze podkreślała śniadość skóry nieznanego. Church nie potrafiłby określić jego wieku, choć z licznych zmarszczek na twarzy można było zgadywać, że ma około sześćdziesięciu lat.

— Dzień dobry – zaczął Church.

— Dzień dobry – odparł mężczyzna, nie okazując emocji.

— Wcześniej pan wstaje – zauważył Church.

— Tak. Państwo też.

Church myślał o tajemniczym przedmiocie, który mieli tu wykopać. Choć błękitna latarnia zaprowadziła ich do Avebury, nie wiedzieli dokładnie, gdzie szukać.

— Widział pan ostatnio coś dziwnego w okolicy?

— To zależy, co pan ma na myśli – odparł obcy wymijająco. – Często widzę dziwne rzeczy w czasie swoich wędrówek. Wiele razy przemierzyłem cały kraj, od Orkadów po Wyspy Scilly, i

wszędzie, gdzie się zatrzymywałem, widziałem coś dziwnego.

— Pan nie stąd? – zapytał Church i jeszcze raz przyjrzał się nieznajomemu. Jego twarz nie przypominała woskowych masek Nocnych Wędrowców, ale Church i tak był nieufny.

— Mój dom jest wszędzie, gdzie zawędruję.

Church czuł się nieswojo w obecności tego człowieka. Coś sprawiało, że wyglądał groźnie, a jego badawcze spojrzenie sugerowało, że wie, kim jest Church.

Nieznajomy omiół spojrzeniem głazy wokół wsi.

— Jeśli cokolwiek zrobicie tym kamieniom, będziecie musieli drogo zapłacić.

— Kim pan jest?

— Strażnikiem starożytności. Mam oko na ukryte skarby, pogrzebane ciała, miejsca święte. Od wysp Szkocji po wzgórza South Downs, od Kornwalii po Essex. – Obcy chwycił za swój kij z niespodziewaną jak na swój wiek siłą. – Śpię pod gołym niebem, wypatruję rabusiów i wandalii. Opiekuję się ziemią, że tak powiem. Niektórzy mówią o mnie Pasterz Kamieni.

— Strażnik Kości – przerwała mu Ruth, której przypomniało się, co mówił Tom, kiedy po raz pierwszy ostrzegł ich o zbliżającej się katastrofie. – Tom o panu wspominał.

— A gdzie on jest? – zapytał szorstko nieznajomy.

Ruth i Church spojrzeli po sobie.

— Już nie żyje, prawda? A wy jesteście tymi, których szukał? – zapytał mężczyzna, nie zdradzając zainteresowania.

— Kim pan dokładnie jest? Co pan wie o tym, co się teraz dzieje? – zapytał Church z uporem.

— A kim ty jesteś, żeby mnie pytać?

Nieznajomy machnął ręką na wyjaśnienia Churcha i mówił dalej: — Od czasu, gdy ustawiono kamienie, zawsze byli

Strażnicy Kości. Kiedy jeden umiera, pojawia się następny, gotowy zająć jego miejsce. W dawnych czasach było nas wielu. Byliśmy strażnikami wiedzy, czciliśmy groby, uczyliśmy lud. Teraz zostałem tylko ja.

W jego oczach Church ujrzał pochmurne, szare niebo nad kurhanami Callanish i zielone pola wokół kamiennych kręgów Rollrights. Głos pamiętał echa dawnych śpiewów i obrzędów. Była w nim również twardość i siła ziemi, więc Church wolał nie drażnić nieznanego. Kij w rękach starszego mężczyzny przypominał raczej broń, niż laskę, a jego członki były zwinne i muskularne.

— Jak się pan dowiedział, że wszystko się teraz zmienia? – zapytał Church.

— Czulem to w ziemi. W sile, która daje znaki, jeśli umie się jej słuchać.

— Błękitny ogień?

— Ano, i tak można to nazwać. – Delikatnie uderzył kijem o ziemię. – Zmienia się, staje się taka, jak dawniej. W miastach jeszcze nic nie poczuli, ale tutaj, na wsi, ludzie już wiedzą. Wolą nie chodzić po rzadko uczęszczanych okolicach, szczególnie w nocy. Wiele osób ostatnio zaginęło, parę znaleziono martwych, ale na razie wszyscy mówią, że to wypadki. Wkrótce poznają prawdę. Wczoraj koło Arbor Low widziałem wilka, który chodził jak człowiek. Mignął mi tylko w lesie, ale kiedy podszedłem, żeby sprawdzić, znalazłem ludzką rękę. Tylko tyle zostało.

— Ohyda! – skrzywiła się Laura.

— Po tym miałem już pewność, ale już wcześniej wyczuwałem zmianę. Zobaczycie, trzeba będzie robić nowe mapy, bo nikt nie będzie już znał tej ziemi. Wszystko będzie inne, straszne. Wracają nawet dawno zapomniane miejsca. Widziałem... –

Zamilkł nagle i spojrzał w przestrzeń. – Jeszcze będziemy mieli czas o tym pogawędzić.

W jego głosie wyczuwało się niepokój, od którego wszyscy poczuli się nieswojo. Przeszępowali z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Stary przerwał w końcu milczenie i odezwał się ponurym głosem: — A teraz przychodzicie wy. Myślę, że będą z was tylko kłopoty. I myślę, że powinniście już sobie iść. – Uniósł groźnie kij, a kiedy Church instynktownie wyciągnął rękę, żeby się osłonić, obcy błyskawicznie zamachnął się swoim orężem, zbił oczekiwany cios i uderzył Churcha w bark tak, że ten, wijąc się z bólu, padł na ziemię. Ruth rzuciła się na pomoc, ale Strażnik wytrącił ją z równowagi i powalił. Płynnym ruchem przystawił kij do gardła Laury.

— Teraz gadaj, coście za jedni – zażądał beznamiętnym głosem. Church podniósł się na nogi, z irytacją masując bolący bark, a kiedy kij zwrócił się ku niemu, cofnął się o krok.

— Niech się pan uspokoi – powiedział opanowanym tonem. – Nie chcemy panu zrobić żadnej krzywdy.

— Szukamy czegoś – szybko dodała Ruth. – Jednego z czterech Insygniów.

Strażnik Kości dobrze wiedział, o co jej chodzi.

— Nigdy ich nie znajdziecie.

— Musimy – wtrącił się Church. – Bo inaczej... No właśnie, może pan mi powie, co wtedy będzie.

Strażnik rzucił im chytre spojrzenie.

— A kim wy niby jesteście, żeby tak mówić? Myślicie, że dacie radę cokolwiek zrobić?

Church doznał nagle olśnienia.

— Jesteśmy Braćmi i Siostrami Smoków.

Mężczyzna najwyraźniej czekał właśnie na te słowa.

— A więc Tom was znalazł – rzekł zamyślonym głosem. – Nie wyglądacie na nich. Skąd mam mieć pewność, że nimi jesteście?

— Niech pan zaczeka. – Church pobiegł do samochodu i wrócił z błękitną latarnią. – Czy miałbym to, gdybym nie był Bratem Smoków?

Strażnik odłożył kij i podszedł do Churcha, z niemal nabożną czcią wpatrując się w latarnię. Wyciągnął dłonie, ale nie odważył się dotknąć trzymanego przez Churcha źródła błękitnego blasku.

— Latarnia Drogi – wyszeptał z podziwem. – Słyszałem, że znikła z naszego świata.

— Tak – odrzekł Church. – A ja przyniosłem ją z powrotem.

Strażnik Kości zaklął pod nosem.

— I nawet nie wiesz, co ze sobą nosisz, prawda? Zostawiłeś Latarnię w samochodzie? Człowieku, czy ty oszalałeś?

Church spuścił wzrok.

— Trzymaj ją przy sobie cały czas! – powiedział Strażnik z rozdrażnieniem. – Nie dopuść, żeby wpadła w niepowołane ręce!

Wszyscy zauważyli, że po wyjęciu Latarni z samochodu jej płomień zaczął powoli wirować.

— To pewnie znaczy, że jesteśmy w odpowiednim miejscu – stwierdziła Ruth. – Ale gdzie teraz szukać? No i czego dokładnie szukamy? – dodała poirytowanym głosem.

— Dlaczego właśnie to jest odpowiednie miejsce? – zapytał Church.

Strażnik Kości potrząsnął głową, rozdrażniony ignorancją Churcha.

— Może Stonehenge jest bardziej znane, ale to właśnie tutaj jest najważniejsze miejsce! Teraz nie wygląda zbyt okazale, to przez tych bigotów w dziewiętnastym wieku, którzy myśleli, że to

dzieło szatana i kazali obalić wszystkie głazy. Ale to jest najważniejsze miejsce w kraju, źródło całej mocy ziemi. Właśnie dlatego teraz tutaj jestem, żeby być w najważniejszym miejscu, kiedy mogę okazać się potrzebny.

Ukląkł i zatoczył ramieniem szeroki łuk.

— Wyobraźcie sobie, że jesteście tutaj pięć tysięcy lat temu. Wtedy to święte miejsce rozciągało się na trzy mile. Tutaj stała główna świątynia, dwa kamienne kręgi otoczone fosą głęboką na dwadzieścia stóp i walem wysokim na piętnaście. Z dwóch stron prowadziły do świątyni wijące się szeroko aleje, długie na półtora mili, a wzdłuż nich po obu stronach biegły wysokie na dziesięć stóp mury. Wyobrażacie sobie, ile to pochłonęło pracy? Nie zbudowaliby tego bez ważnego powodu.

— Tutaj jest źródło błękitnej energii? – zapytał Church. – Magii Ziemi?

— W tym miejscu jest ona najsilniejsza. Tutaj jest Dracontium albo Świątynia Smoka, nazywana tak od serpentynowego kształtu alei. Wtedy jeszcze nie budowano według linii prostej, dopiero Rzymianie to wymyślili. Ale to nie jedyny powód – smok jest bowiem symbolem siły Ziemi.

— Również Bestie są przez nią przyciągane – zauważyła zamyślonym głosem Ruth, starając się wyobrazić sobie to miejsce bez zasłaniających widok domów. – Przecież słyszał pan o nich, prawda? – zapytała, bo Strażnik spojrzał na nią tak, jakby dopiero teraz ją docenił.

— Cóż, to jeszcze jeden powód, dla którego nazwano to miejsce Świątynią Smoka.

— Co pan ma na myśli?

— Czasem – powiedział z chytrym uśmieszkiem – kiedy przyłożyć tu ucho do ziemi, można usłyszeć jego ryk.

Church, Ruth i Laura spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy Strażnik mówi poważnie. Ten nagle podniósł się i odwrócił w kierunku Windmill Hill, starożytnego kopca spoglądającego na wieś z odległości kilku mil. Zmarszczył brwi i wypatrywał uważnie, choć żaden z pozostałych nie potrafił w tamtym miejscu niczego dostrzec. Po chwili odezwał się: — Ktoś nas obserwuje.

Podążyli za jego wzrokiem, ale nic nie zobaczyli wśród pól.

— Gdzie? – zapytała Ruth.

— Tam, na szczycie kopca.

— Super – burknęła Laura kpiąco, bo z tej odległości kopiec wyglądał jak niewyraźna plama zieleni na horyzoncie. – No to jeszcze niech pan powie, co się teraz dzieje w Birmingham.

Strażnik Kości zignorował ją; dalej w skupieniu wpatrywał się w horyzont.

— Widzę chmurę wron, kołującą wokół kopca jak czarna chmura. W samym jej środku jest jakiś człowiek. Nie, to nie człowiek, tylko potwór. A w nim są kolejne potwory.

— Potwory – powiedział Church ginącym głosem.

— One nas gonią – odezwała się Ruth. – Musi nam pan pomóc.

Strażnik spojrzał na nią zimno.

— Błagam, niech nam pan pomoże!

— Nie wiem, jak wam pomóc. O miejscu ukrycia Insygniów wiem tyle, co każdy. Poza tym, nawet gdybym mógł, to nie chciałbym wiedzieć.

— Ale gdzie tu jest jedno z nich. Tak mówi Latarnia – Ruth nie dawała za wygraną. – A pan zna to miejsce lepiej niż ktokolwiek inny. Jak pan sądzi, gdzie najlepiej szukać?

Utkwił w niej badawcze spojrzenie, jakby chciał ocenić, ile jest warta, a potem rzekł: — W jednym z ukrytych miejsc. – Zamilkł,

najwyraźniej wątpiąc, czy warto wyjawic więcej, ale potem coś w twarzy Ruth nakazało mu mówić dalej. – Wśród każdych starożytności są ukryte miejsca. Moim zadaniem jest również dopilnować, by pozostały ukryte, z dala od chciwych łap, które chciałyby je zniszczyć, podobnie jak chcą zniszczyć całą ziemię.

— Musi pan nam pokazać – zaklinała go Ruth. – Jeśli nie odnajdziemy Insygniów, ziemia i tak ulegnie zniszczeniu.

— Lepiej nie rób ze mnie idioty, dziecko. – Cmoknął z dezaprobatą kilkukrotnie, obrócił się na pięcie i wielkimi krokami ruszył przez pole.

Przystanął po kilku minutach pod jednym z megalitów, rzucającym ogromny cień na tle wschodzącego słońca.

— Diabelski Tron – powiedział, wskazując go skinieniem. – Miejscowy przesąd mówi, że jeśli go obiec sto razy, można usłyszeć głos diabła. Ale to nie diabła wtedy słyszą.

— Gdybym ja obiegała go sto razy, to pewnie usłyszałabym, jak mi żołądek wylatuje ustami – odezwała się Laura.

— Wystarczą trzy. Przeciwnie do ruchu wskazówek zegara – odrzekł Strażnik i ruszył wokół megalitu. Pobiegli za nim, czując się głupio, że latają w kółko jak przedszkolaki, ale trzykrotnie okrążywszy Diabelski Tron, rzeczywiście poczuli coś dziwnego. Ich uszu doszedł szum energii ziemi, którego rezonanse przechodziły przez ich ciała jak dreszcze zaczynające się u podstawy kręgosłupa.

— Teraz szybko, wzdłuż zachodniej alei.

Wbiegł na stromy wał wokół megalitów, ześlizgnął się po drugiej stronie, a potem przebiegł na drugą stronę współczesnej szosy. Potem otworzył furtkę i wybiegł na pole, na którym dwa rzędy kamiennych słupków wyznaczały bieg alei. Biegając za nim, poczuli, jak wylatują im spod stóp drobiny błękitnego

światła, a drzenie przeszywające ich kręgosłupy dotarło do szyi i głów. Churchowi wydawało się, że ma halucynacje; krajobraz rozpadł się na wirujące odłamki światła i ciemności, uszy rozdzierała co jakiś czas salwa niezwykłych hałasów. Kiedy pośrodku alei zaczęła się pod nimi otwierać ziemia, Church pomyślał, że to wizja, ale to wszystko działo się naprawdę. Strażnik Kości prowadził ich dalej w dół, trawa i błoto zamknęły się nad nimi z dudnieniem i zapadła ciemność.



Strażnik dostrzegł potwory na Windmill Hill, ale one spostrzegły jego i rytuał otwierający drogę do ukrytego miejsca. Nie wolno im było zbliżyć się do miejsca światła i życia, ale planowały, że kiedy ziemia wypluje z siebie Braci i Siostry Smoków, będą już na nich czekać. Potwory szybko zbliżały się do Avebury, trzymając się żywopłotów i rowów, każdego skrawka cienia. Ktoś, kto wyrzałby przypadkiem przez okno w tej chwili, zobaczyłby chmarę wron, tak gęstą, że nie było widać pojedynczych sztuk, ale sunący uparcie człekokształtny wir czarnych skrzydeł, dziobów, szponów i oczu.



— Gdzie jesteśmy? – zapytał Church, starając się cokolwiek dostrzec w ciemności. Podniósł Latarnię, której niesamowite, błękitne światło rozproszyło mrok. W powietrzu unosił się

zatęchły zapach gliny. Gdzieś w pobliżu głucho szumiała płynąca woda.

— W samym sercu tajemnicy – odrzekł Strażnik Kości. – Zaufałem wam. Jeden fałszywy krok i nie pozwolę wam już nigdy wrócić do świata.

Ta wypowiedziana bez ogródek groźba jeszcze bardziej ich zaniepokoiła. Odwrócili wzrok, kiedy staruszek zmierzył ich świdrującym spojrzeniem, i spojrzeli w głąb niskiego, prowadzącego w dół tunelu.

Milcząc, ruszyli za Strażnikiem. Church oświetlał mu drogę trzymaną w uniesionym ręku Latarnią.

Szli przez dłuższą chwilę, nie zauważając, jak tunel stopniowo poszerza się i staje coraz wyższy. Światło latarni nie sięgało już ścian, tylko ginęło w nieprzeniknionych ciemnościach. Echo coraz dalej niosło ich kroki. Robiło się coraz jaśniej; światło latarni ginęło w dochodzącym z głębi tunelu, jaśniejszym, błękitnym blasku. Choć czuli strach, nie mogli oprzeć się ciekawości i szli dalej, aż zatrzymali się u brzegu podziemnego jeziora błękitnego światła, które burzyło i kotłowało się niczym wrząca woda. Ruth chciała dowiedzieć się, co to jest, ale Strażnik Kości uciszył ją niecierpliwym gestem. Pochylił się i zaczął wpatrywać w głębię błękitnego jeziora, a kiedy reszta spojrziała w to samo miejsce, ich oczom ukazał się zanurzony w blasku ciemniejszy kształt. Najpierw powoli, a potem z coraz większą gwałtownością, jeszcze bardziej burząc błękitne światło, kształt wynurzał się, aż wychynął na powierzchnię i błyskawicznie zanurkował z powrotem. Ich oczom na chwilę ukazała się głowa na długiej, wijącej się szyi pokrytej złotozielonymi łuskami; wszyscy mieli poczucie, że zobaczyli coś wspaniałego, poruszające się z gracją, pełne siły ciało.

— Ta Bestia nigdy nie opuściła tego świata – powiedział Strażnik. – Zapadła tylko w sen.

Powoli wyprostowali się, słuchając niosącego się po jaskini echa.

— Czy to na pewno bezpieczne? – zapytała Ruth. – Przecież ona mogła nas w sekundę usmażyć.

— Gdyby chciała, mogłaby – odrzekł Strażnik Kości, nie dodając nikomu otuchy.

— Ona jest ich królową – odezwała się Laura tonem, który zaskoczył wszystkich obecnych; wyrażała swoje instynktowne przekonanie. Odepchnęła ich i jeszcze raz pochyliła się nad brzegiem, ale Bestii nie było już widać.

— Ta jest najstarsza – zgodził się Strażnik. – Kiedy wszystkie Bestie opuściły świat po Uwolnieniu, ta pozostała na miejscu, żeby chronić ziemię i utrzymywać przy życiu ten ogień. Czeką na czas, kiedy siła ziemi będzie znów mogła płynąć bez przeszkód.

Spojrzał porozumiewawczo na Churcha.

— Czy to też jest nasze zadanie? – zapytał Church. Strażnik potrząsnął pogardliwie głową.

— Nie wiemy, co mamy uczynić! – zaprotestowała Ruth. – Nie mamy pojęcia, kim są Siostry i Bracia Smoków. Dlaczego wszyscy myślą, że to właśnie my? I w ogóle, co się dzieje?! – Ruth niemal wykrzyczała ostatnie zdanie i zamilkła.

— Wyluzuj, Ruth – skarciła ją Laura.

— Nie jestem waszym nauczycielem. – Strażnik Kości podszedł do brzegu jeziora i zaczął rozglądać się po jaskini. – Pomogę wam w tym miejscu, ale potem zostaniecie sami. Jeśli mam być szczery, to uważam, że się nie nadajecie.

— Co ty tam wiesz – mruknęła Laura.

Wtedy odwrócił się nagle i Laura pomyślała, że chce ją

uderzyć kijem, ale Strażnik wskazał nim na najbliższą ścianę jaskini.

— Tuż przy brzegu jeziora biegnie ścieżka, którą można je obejść i znaleźć się po drugiej stronie. Być może właśnie tam znajdziecie to, czego szukacie. A może nie.

Church przyjrzał się miejscu wskazanemu przez Strażnika.

— Wygląda niebezpiecznie. Występ jest szeroki najwyżej na jedną stopę.

— Lepiej nie patrzeć w dół – powiedziała Ruth i ruszyła pierwsza. Strażnik Kości złapał ją za ramię i zatrzymał.

— Tylko jedno z was może iść.

— Dlaczego?

— Bo mieszkanka tego miejsca tylko jednej osobie pozwoli przejść na drugą stronę.

Spojrzeli na błękitną kipieli, zastanawiając się, kto ma iść. W końcu Church odezwał się: — Myślę, że musimy panu zaufać. Skąd mamy jednak wiedzieć, że nawet pojedynczej osoby nie zaatakują?

— Wyczuwa smoczego ducha – odrzekł Strażnik. – Jedno z was będzie bezpieczne.

— Co pan ma na myśli? Jesteśmy rodziną?

— Tak, ale w sposób, którego nie umiecie zrozumieć – zagadkowo odparł Strażnik.

Church westchnął.

— Cóż, zdaje się, że...

— Zaraz, zaraz, panie przywódco – przerwała mu Laura. – Podziwiam twoją rycerskość, ale tym razem to ja pójdę się bić.

— Niemożliwe! – zawołała Ruth zdecydowanym tonem. – Ona pewnie chce zdobyć i zabrać Insygnia dla siebie.

— Nie ufasz mi – warknęła Laura. – Ale lepiej zacznij, bo

jesteśmy w jednej drużynie i ja też mam tu coś do powiedzenia. Jeśli wierzycie w to, co powiedziała ta czarownica, i w to, że ja jestem jedną z pięciu grubych ryb, to musicie mnie też słuchać.

— No, niby tak... – odrzekł Church, drapiąc się po głowie.

— Ja mówię nie – zdecydowanym głosem powiedziała Ruth. Strażnik Kości parsknął tylko z dezaprobatą.

— Nie ma dla was nadziei.

— On ma rację – odezwał się Church, trąc dłonią po twarzy. Miał nadzieję, że podejmuje odpowiednią decyzję. – Nie możemy się od samego początku kłócić. Musimy mieć do siebie choć trochę zaufania.

— Dziękuję bardzo za votum zaufania – odrzekła Laura, uśmiechając się szeroko.

— Ja jestem wciąż przeciwna – głos Ruth zabrzmiał nieco mniej pewnie.

Nie oglądając się za siebie, Laura ruszyła ku prowadzącej wokół jeziora ścieżce. Wstrzymała oddech, kiedy zdała sobie sprawę, jak wąskie jest to przejście. Church miał rację: ścieżka była szeroka najwyżej na jedną stopę, a głęboko poniżej roztaczała się błękitna kipiela. Nie dając po sobie znać, jak się boi, Laura przywarta plecami do ściany jaskini i bez wahania ruszyła wąską skalną półką.



Laura napięła ze strachu wszystkie mięśnie, ale i tak nie zdołała pokonać impulsu nakazującego spojrzeć na powierzchnię jeziora. Obłe cielsko Bestii od czasu do czasu pojawiała się wśród kipieli, jakby potwór podążał za Laurą, co napełniało ją dziwną

radością, jakby znów była dzieckiem.

W ustach czuła metaliczny smak błękitnej substancji, która tryskała z jeziora kroplami opadającymi powoli, jakby nie leciały w powietrzu, tylko były zawieszane w innej cieczy. Dochodzące jej uszu dźwięki były dziwnie zniekształcone przez echo i kipieli, nabierając niezmiernego brzmienia, jakby doświadczała halucynacji. Wciąż przyparta plecami do ściany, ostrożnie stawiała kolejne kroki. Powolny marsz był męczący i przerażający, ale Laura bez przerwy posuwała się naprzód. Church, Ruth i Strażnik pozostawali już niewidoczni za obłokami błękitnego światła, a jaskinia stawała się coraz węższa, dzięki czemu Laura mogła dostrzec rzeczy jednocześnie straszne i intrygujące. Ze ścian wystawały pozółkłe od upływu czasu ludzkie kości, oraz fragmenty szkieletów nienależących ani do ludzi, ani do znanych Laurze zwierząt. Na skalnych półkach zalegały na wpół zardzewiałe hełmy, miecze i kolczugi, a obok nich topory i jeszcze bardziej prymitywne, dawniejszy oręż. Były i skarby, niewyobrażalnej piękności klejnoty, złota biżuteria oraz inne, dziwne przedmioty, pozostałości wielu wieków grabieży porozrzucane na skalnych występach i półkach.

Jaskinia zwężała się, aż w końcu ściany zbliżyły się do siebie na mniej niż trzy metry i Laura zaczęła się obawiać, że trafiła w ślepy zaułek. Potem jednak jaskinia znów zaczęła się powiększać, najwyraźniej Laura przeszła do komnaty mniejszej niż poprzednia. Pod skalną półką, którą szła, roztaczała się jakby plaża, za którą unosiły się i cofały fale niebieskiego blasku. Ostrożnie zrobiła krok naprzód i spojrzała na ścianę za sobą, która w całości była pokryta płaskorzeźbami o wyraźnej celtyckiej symbolice: spirale, szczepione ze sobą koła, niekończące się linie, twarze, fantastyczne zwierzęta, smoki.

Wydawało się, że płaskorzeźby nie są tylko ornamentami i mają jakieś ukryte znaczenie, ale Laura nie potrafiła ich rozszyfrować. Dalej znajdowała się w ścianie wnęka otoczona dwoma wyrzeźbionymi drzewami, tworzącymi nad wejściem łuk ze splecionych gałęzi. U dołu były wyrzeźbione odcięte głowy z wydłubanymi oczami i odsłoniętymi zębami. Pośród gałęzi można było dostrzec inną twarz, składającą się z rzeźbionych liści.

Choć wnęka wydawała się płytka, w jej wnętrzu panował mrok i Laura nie była w stanie dostrzec, co jest w środku. Poza tym w komnacie nie znajdowało się nic ciekawego. Weszła do wnęki rozejrzeć się i od razu tego pożałowała.

Z głuchym dudnieniem zamknęły się za nią ukryte drzwi i zapadła zupełna ciemność. W chwilę później poczuła jakiś ruch, coś dotknęło jej kostek, pleców i szyi. Wokół rąk owijały się czyjeś kościste palce, które starały się wykręcić jej ramiona, podczas gdy inne ciągnęły ją za włosy i owijały się wokół talii. Laura utraciła panowanie nad sobą, otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

Krzyk uwiązał w gardle, bo dorosła, hołdująca nowoczesności część jej psychiki z zaskakującą nawet dla siebie brutalnością zdołała utrzymać w ryzach małą, przerażoną dziewczynkę, która chciała jak najszybciej uciec z tego miejsca. Nie bądź żałosna, powiedziała do siebie. Ciemności i ciasnota nie pozwalały nawet sprawdzić, co starano się ją chwycić: wyczuwała palce, ale jakby zrobione z kości, jednocześnie żywe i martwe.

Za nią były tylko kamienne drzwi, których żadną siłą nie była w stanie otworzyć. Przed sobą miała kilka centymetrów wolnej przestrzeni, a przy każdym ruchu ocierała się o kamienne ściany wnęki. Czowała się jak w trumnie. Jeszcze raz powstrzymała atak

paniki, powtarzając w myśli, że ma zachować spokój. Bestia nie dałaby dojść tak daleko tylko po to, żeby pogrzebać żywcem. Gorączkowo starała się przypomnieć sobie, czy płaskorzeźby na ścianie jaskini nie zawierały jakiejś wskazówki dla kogoś, kto został uwięziony we wnętrzu. Dusiła się: wokół jej piersi zaciskały się stalowe łańcuchy, coraz trudniej było oddychać. Czyżby wnęka była hermetycznie zamknięta? Walczyła z tym, czymkolwiek to było, co próbowało ją uwięzić, ale ucisk tylko się nasilał. Wróciła panika, jak ciemna fala, pod którą wszystko ginęło i rozpadało się. Wtedy Laura doznała olśnienia i w ostatniej chwili, pokonując rozpacz, rozluźniła się całkowicie, aż padła na ziemię. Tajemnicze ręce z ciemności puściły ją i cofnęły się, a kiedy dalej udawała martwą, znikły zupełnie. Pułapka najwyraźniej była przeznaczona dla kogoś, kto zamierzał walczyć, a nie dla przyjaciela, który bez oporu podda się jej działaniu. Być może, pomyślała, jest w tym coś więcej, może to jakaś próba.

— Abrakadabra – powiedziała z nadzieją w głosie. Przejechała palcami po ścianie przed sobą. Była gładka, oprócz jednego miejsca, gdzie Laura wyczuła delikatnie nacięte karby. Dzięki panującym we wnętrzu ciemnościom, Laura mogła skoncentrować się na zmyśle dotyku i wyczuła wryte w ścianie koło, a w nim dwa mniejsze. W lewą stronę wiodła od nich falująca linia zakończona dziurą głęboką na czubek palca. Druga linia wiodła w prawo, ale szybko się kończyła. Laura wyobraziła sobie plan utworzony przez nacięcia i zrozumiała, że ma przed sobą mapę całego Dracontium, tylko że aleja z prawej strony kończyła się nagle, zamiast ciągnąć się tak samo długo, jak ta z lewej. Laura przejechała palcem w kierunku, w którym powinna zmierzać aleja z prawej strony i wyczuła niewielkie wybrzuszenie.

Od razu wiedziała, co ma zrobić: nacisnęła. Wybrzuszenie poddało się, rozległ się trzask i na wysokości twarzy Laury otworzyło się okienko, zza którego wlał się do wnętrza błękitny blask. Dziewczyna ujrzała błyszczący, czarny kamień wielkości dłoni. Podniosła go i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest ciepły i miękki jak skóra. Wsunęła go do kieszeni. Za nią tymczasem otworzyły się drzwi i Laura, odetchnąwszy z ulgą, wróciła do jaskini.



— To czekanie jest straszne – powiedział Church. Siedział na brzegu jeziora, machając nogami nad jego powierzchnią. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby zsunął się ze skały, mógłby chodzić po błękitnej topieli.

— Teraz widzisz, jak się czułam w Salisbury – odrzekła Ruth, wciąż rozdrażniona, że pozwolili Laurze podjąć się tak ważnej misji. Była też zła na siebie za swoje rozdrażnienie. Strażnik Kości zostawił ich samych i czekał trochę dalej, w tunelu, którym przyszli.

Church, wpatrzony w błękitne jezioro, bezwiednie sięgnął po ukrytą w kieszeni Czarną Różę. Od czasu, jak znaleźli się w jaskini, była ona straszliwie zimna, jak kawał lodu na jego piersi.

— Brat Smoków. Co to właściwie ma znaczyć? Chciałbym, żeby mi ktoś wreszcie wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego jesteśmy tacy wyjątkowi?

— Nie czujesz się inny? – zapytała Ruth, powstrzymując się, żeby nie otoczyć go ramionami i przytulić. Od powrotu ze Strażnicy wydawał się jej zmieniony, bardziej ponury i

uduchowiony. Jego charakter, łączący siłę woli z delikatnością, poruszył ją tak bardzo, że zastanawiała się, czy nie zapada na jakąś chorobę. Wiedziała jednak, że tak naprawdę dzieje się z nią coś innego i wcale nie była z tego powodu zadowolona.

— Nie tak, jak to opisują te dziwne osoby – odrzekł. – Ale to prawda, zawsze czułem się inny. Nawet w szkole, jako dziecko. Ona mnie wtedy odwiedziła, wiesz?

— Kto?

— Kobieta, którą spotkałem w Strażnicy.

— No właśnie. Od samego początku byłeś kimś szczególnym.

— Ale nie czuję tego w sobie. Czuję się tak, jakbym był zwykłym człowiekiem, jak zawsze.

— Nie wiem, czy to nie jest tak, że szczególne osoby nie uważają się za takie, dopóki nie usłyszą...

Przerwało jej wołanie Laury, która pojawiła się na skalnej ścieżce wokół jeziora.

Pobiegli do niej, a ona pokonywała ostatnie metry wąskiego przejścia.

— Myśleliśmy, że już nie wrócisz – powiedział Church.

— Taka gadzina jak ja zawsze wraca. Powinniście to już wiedzieć. – Laura sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej świecący wewnętrznym ogniem kamień. – Patrzcie, co znalazłam!

Church i Ruth zbliżyli się do niej.

— Więc to jest to? Boże! Myślałam, że będzie wyglądał jak zwyczajny kamień!

Church spojrział na Ruth z zaskoczeniem.

— Przecież to jest zwyczajny kamień.

— Co, wam odbiło? Przecież to czarny kamień, wygląda jak wypolerowany obsydian.

Spojrzeni po sobie z niedowierzaniem. Odezwał się stojący za nimi Strażnik Kości.

— Nie marnujcie czasu na takie gadanie. Insignia nie mają w tym świecie swojej prawdziwej postaci. Zmieniają się, jak wszystko, co pochodzi z Drugiego Świata. Wasze małe główki tego nie pojmują, więc nadają Insigniom taki kształt, jaki potrafią.

— To bez sensu – odrzekła Ruth. – Jak mamy...

— To nieważne, jak te przedmioty wyglądają – przerwał rozdrażnionym tonem Strażnik. – Najważniejsze, żebyście wiedzieli, czym są.

Church wpatrywał się w trzymany przez Laurę kamień.

— Pierwsze z czterech Insigniów. Co robi ten kamień?

Laura pokazała klejnot Strażnikowi Kości, ale ten cofnął się szybko.

— Nie podchodź z tym do mnie. W tym kamieniu jest zbyt dużo mocy. To wy musicie nosić ten ciężar.

— Ale co on robi?

— On nic nie robi! – warknął staruszek. – To nie jest zabawka! Na pewno prędzej czy później odkryjecie jego przeznaczenie. Teraz nie zadawajcie głupich pytań, tylko wracajmy na górę. Ale nie tą drogą, którą przyszliśmy. Jestem pewien, że nasi znajomi z Windmill Hill już tam na nas czekają.

Poprowadził innym, biegnącym ku górze tunelem. Kiedy szli przy świetle błękitnej latarni, Church zapytał Laurę: — Nie miałaś żadnych trudności po drodze?

— Ja? No chyba żartujesz.



Wyszli na światło u końca alei zmierzającej w kierunku Beckhampton. Po zaduchu panującym w tunelach powietrze wydawało się świeże, przepelnione aromatem kwitnących kwiatów i wszechobecnej zieleni.

— Uciekajmy stąd szybko. Nie oglądajcie się – szorstko komenderował Strażnik. – Jak się będziecie guzdrać, to sam diabeł zacznie deptać wam po piętach.

— Dokąd pan teraz pójdzie? – zapytała Ruth.

— W całym tym kraju są starożytności, którymi muszę się opiekować, groby do odwiedzenia, kości do sprawdzenia. Nadchodzą takie czasy, że będę potrzebny bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Dziękujemy panu za pomoc – powiedział Church, wyciągając rękę, której staruszek jednak nie uścisnął. – Bez pana nie dalibyśmy rady.

— Pewnie. I nie zapominajcie o tym. Mam wielką nadzieję, że dobrze zrobiłem. Nie zawiedźcie mnie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, przeskoczył furtkę. Znikł wśród pól, przez które biegł z zaskakującą jak na swój wiek szybkością. Wydawał się bardziej podobny polnemu zwierzęciu niż człowiekowi.

— On mógłby nam jeszcze pomóc – z żalem stwierdziła Ruth.

— Niepotrzebni nam złośliwi tetrycy – odrzekła Laura, zakładając okulary przeciwsłoneczne, które zdjęła tylko na czas pobytu w jaskini. – Młodość, muzyka i seks są po naszej stronie!

— Patrzcie – odezwał się Church i podniósł Latarnię. Jej płomień wskazywał teraz na południowy zachód.

Pobiegli cichymi uliczkami wsi do samochodu i niezauważeni Przez nikogo szybko wyjechali z Avebury.

Unosząca się nad zachodnią aleją chmara wron też ruszyła na południowy zachód. Z samego środka splątanej masy piór i dziobów rozległ się gardłowy głos i zza żywopłotów wychynęły cztery cienie. Głos wypowiedział niezrozumiałe dla ludzkiego ucha rozkazy i zapadła cisza, której nie odważyły się zakłócić ani ptaki, ani pasące się na polach krowy.

ROZDZIAŁ 8

WIECZNE ŚWIATŁO

— Jeśli chcesz, żebym zupełnie oszalała, to nie krępuj się i jeszcze raz puść tego cholernego Sinatrę! – zawołała Laura, kopiąc w oparciu fotela Churcha. – Bo na razie usłyszałam *Come fly with me* dopiero, nie wiem, jakieś sto razy. Psychoza spowodowana muzyką, tylko tego nam teraz brakowało.

Church poirytowany wyjął kasetę z magnetofonu.

— No to czego chcesz słuchać?

— Kogoś, kto jeszcze żyje.

— Przykro mi to mówić, ale zgadzam się z Laurą – dodała Ruth.

— Dobra, jesteście dwie, muszę was słuchać.

Laura pochyliła się i zapytała, trzymając policzek tuż przy policzku Churcha: – Masz coś, od czego krew płynie szybciej?

— Może cukierka?

— A może jakieś złote przeboje, powiedzmy, Chemical Brothers?

— Nie!

— Co? Nie lubisz muzyki, od której krew kipi w żyłach?

Church chciał odpowiedzieć, że kiedyś lubił taką muzykę, ale to zabrzmiałoby żałośnie. W głębi ducha przyznał, że Laura drażni go nie swoim obcesowym zachowaniem, tylko tym, jak umie wyczuć te cechy charakteru, które utracił.

— A może radio? – uciął Church, pokonując rozdrażnienie. Włączył odbiornik i zaczął nastawiać różne stacje, aż zabrzmiała muzyka.

— Niech będzie – zgodziła się Laura i z zadowoleniem rozparła się na swoim siedzeniu.

Muzyka umilkła i przez kilka minut paplał coś przesłodzony głos spikera, a potem zabrzmiała kolejna głośna i optymistyczna piosenka z listy przebojów. Za oknami brunatne połacie wrzosowisk ustąpiły miejsca zalanej słońcem zieleni pól. Od czasu do czasu przejeżdżali kamiennym mostkiem nad jednym ze skrzących się wśród pól strumieni. Na drodze za nimi nie było pogoni i Church, po sukcesie odniesionym w Avebury, czuł się swobodnie i beztrosko. Latarnia skierowała ich na wschód, w kierunku Bath, dokąd pojechali autostradą A4, możliwie szybko, by umknąć tajemniczym potworom, które przechytrył Strażnik Kości. Czuli się dość pewnie, by nawet zatrzymać się na chwilę w Chippenham, gdzie kupili dwa namioty, kuchenkę turystyczną i inne rzeczy potrzebne do biwakowania. Laura protestowała, że nie nadaje się do życia pod gołym niebem, ale jak zwykle chciała się tylko podroczyć.

Do Bath zdążyły już ściągnąć tłumy turystów, którzy zapomnieli o zimie i postanowili odwiedzić rzymskie termy, albo pogapić się na perły osiemnastowiecznej architektury. Wpatrując się w beztroskich ludzi, Ruth mruknęła coś o rozkoszy, jaką daje niewiedza, i przez chwilę w samochodzie zapanował ponury nastrój; wszyscy zdali sobie nagle sprawę, jak wiele mają do stracenia w tej grze.

Kiedy minęli Bath i znaleźli się na rzadko zaludnionych terenach na zachód od tego miasta, nastroje w samochodzie poprawiły się, gdyż musieli się skoncentrować na stojącym przed

nimi zadaniu. Szybko przemierzali kolejne połacie pustkowi, a lampa kierowała ich coraz bardziej w głąb południowo-zachodniej Anglii, z dala od niebezpiecznych okolic, gdzie spędzili ostatnie dni.

Mijali kolejne malownicze wioseczki na południe od Bristolu, podziwiając przesuwające się po lewej stronie pasmo wzgórz Mendip, kiedy nagle muzyka w radio urwała się i z głośnika buchnęła salwa rozdzierającego uszy szumu. Kiedy ten na chwilę ucichł, zamiast głosu spikera usłyszeli złośliwy, nieludzki chichot milknący i nasilający się na tle zakłóceń. Był to ten sam odgłos, który Church i Ruth słyszeli na taśmie u psychiatry. Church z wahaniem poszukał innej stacji, ale chichot nie ustawał, a nawet trwał jeszcze minutę po wyłączeniu radia. Ruth i Church spojrzeli po sobie z niepokojem.

Pięć mil dalej samochód zatrzymał się; nie działało w nim ani jedno urządzenie elektryczne.

— Spojrzę na to, ale raczej nie ma szans, że dzisiaj naprawię – powiedział mechanik, rzucając znaczące spojrzenie na wiszący w warsztacie zegar. Dochodziła trzecia po południu. Mechanik był masywnym, wysokim mężczyzną, którego wystający brzuch nie dawał się ukryć nawet pod luźnym, poplamionym kombinezonem roboczym. Miał rumianą twarz i szpakowate włosy.

— Teraz, proszę pana, to jakaś epidemia z tymi samochodami.

Church znużony oparł się o błotnik swojego nissana. Godzinę spędził w samochodzie pomocy drogowej, poszukując otwartego warsztatu. Dopiero tutaj udało mu się ubłagać mechanika, żeby zgodził się pomóc.

— To te nowe auta, panie – kontynuował szpakowaty gigant. – Tak je robią, żeby się psuty. Ale ostatni tydzień, to naprawdę.

Czegoś takiego jak żyję, nie widziałem. Codziennie przywożą zepsute auta, głównie elektryka albo alternatory. Mówię panu, czasem to trzeba być jakimś profesorem, żeby to naprawić. Kilka dni temu męczyłem się cały dzień z kablami w jednym samochodzie i nagle, ot tak, samo się naprawiło. Nie wiadomo jak. Nie widziałem żadnego uszkodzenia, a przecież jak go przywieźli, to ani zipnął. – Pokręcił głową nad tą zagadką, a potem dodał: – No, ale interes się kręci.

Church wysłuchał zapewnień, że jutro z samego rana ktoś zajmie się jego samochodem, a potem wrócił do Ruth i Laury, które siedziały z namiotami i resztą bagaży na placu przed warsztatem. Znajdowali się daleko od głównej drogi, budynek był zaniedbany i nic się tu najwyraźniej nie zmieniło od lat pięćdziesiątych, nawet dwa przestarzałe dystrybutory benzynowe pochodziły z tamtych czasów. Wśród pól wokół warsztatu widać było kilka farm. Oprócz śpiewu ptaków nic nie zakłócało panującej tu ciszy.

— Co powiedział? – z niepokojem zapytała Ruth.

— Jutro. Myślę, że możemy poczekać, a jak nie naprawi, to poszukamy wypożyczalni samochodów.

— Już się założę, że znajdziemy – sarkastycznie odezwała się Laura.

Ruth zauważyła zmartwienie na twarzy Churcha i zapytała, co się stało. Powtórzył historię o masowo psujących się samochodach.

— Myślę, że zaczynają się trudności, tak jak przewidział Tom. Prawa fizyki przestają działać, a ich miejsce zajmuje coś, co według naszej wiedzy jest niemożliwe.

Laura spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Nie rozumiem.

— Chodzi o to – wyjaśnił Church, wskazując spojrzeniem na jej komputer i komórkę – że wkrótce te rzeczy na nic się nam nie zdadzą, podobnie jak każde inne cudo nowoczesnej technologii. Zmieniają się prawa rządzące światem. Nauka umiera.

— Chyba, że uda nam się temu zaradzić – zakończyła Ruth z nadzieją w głosie. Church bez słowa podniósł namioty i plecak, po czym ruszył przed siebie wiejską drogą.



Znaleźli miejsce na biwak w odosobnionym zagajniku, z dala od drogi. Nie pytali nikogo o pozwolenie, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wybrali miejsce, gdzie drzewa rosły wystarczająco gęsto, żeby przypadkowy przechodzień nie zauważył namiotów, a wśród nich była porośnięta krzakami polana, na której mogli rozpalić ognisko. Ruth wydawała się niezadowolona, mając w perspektywie spędzenie nocy w jednym namiocie z Laurą, ale obu paniom udało się zawrzeć milczącą zgodę i Church spokojnie udał się na poszukiwanie chrustu.

Kiedy zatopiony w myślach przeszukiwał lasek, niespodziewanie zauważył przed sobą jakąś postać. Zaskoczony zerwał się na równe nogi, gotowy walczyć lub uciekać, ale ku jego skrępowaniu okazało się, że ma przed sobą najwyżej dziesięcioletnią dziewczynkę. Była ładna, miała długie, jasne włosy i rumianą cerę. Nosła workowate dzinsy i podkoszulek w słoneczka.

— Dzień dobry – powiedziała z charakterystycznym dla zachodniej Anglii akcentem. – Szuka pan czegoś?

— Nie, tylko zwiedzam – odrzekł Church absurdalnie.

— Nie ma tu dużo do zwiedzania. – Dziewczynka roześmiała się rozbrajająco.

Church uspokoił się i też roześmiał.

— No tak, ale ja i tak nie przepadam za zwiedzaniem.

— Skąd pan jest?

— Z Londynu.

— Chciałabym mieszkać w Londynie – odpowiedziała dziewczynka z rozmarzonym spojrzeniem. – Gdzieś, gdzie się dużo dzieje.

— Przeprowadź się więc, jak będziesz trochę starsza.

Uśmiech dziecka stał się nieco zagadkowy.

— Nazywam się Marianna, a pan?

— Jack. – Choć Church nie znał dziewczynki, jej imię sprawiło, że nie obawiał się z nią dalej rozmawiać. – Masz ładne imię. Kiedyś znałem jedną Mariannę.

— Była pana dziewczyną?

— Tak.

— Ale zerwaliście ze sobą?

Church zastanawiał się przez chwilę, ale postanowił powiedzieć prawdę.

— Umarła.

Marianna pokiwała mądrze głową.

— Można się było spodziewać.

Spojrzał na dziewczynkę zaskoczony, ale ta obiegła go zwinnie i dostrzegła zebrany przez niego stos chrustu.

— Zwiedza pan, tak? Wygląda na to, że będzie też ognisko. – Rozejrzała się. – Gdzie jest biwak?

Churchowi ręce opadły.

— A niech mnie! Przejrzałaś nas. Słuchaj, staramy się nie zwracać na siebie uwagi. Bardzo by mi było miło, gdybyś nikomu

nie mówiła, że tu jesteście.

Wybuchła niewinnym i zaraźliwym śmiechem, widząc oczywiste zmieszanie Churcha.

— Niech się pan nie martwi, nie naskarzę. Ale jak się mój tata dowie, to co innego. To jego ziemia i zawsze się denerwuje, jak widzi tych cholernych turystów. Ostatnio pogonił takich jednych psami. Mamy blisko do Glastonbury i często tu przyjeżdżają różni hipisi i inne dziwaki. Niektórzy zostawiają straszny bałagan po sobie, ale większość mi nie przeszkadza. Ale mój tata mówi, że to same wandale i oszuści.

— Ja nie jestem ani wandalą, ani oszustem.

— Widzę. Chodźmy, pomogę panu nieść drewno.

Szli przez chwilę, nic nie mówiąc, a potem dziewczynka zapytała: – Tęskni pan za nią?

— Za Marianną? Tak. Bardzo.

— Pomyślałam, że wygląda pan smutno. Widać to po oczach. – Dziewczynka znów na chwilę zamilkła. – Czy myśli pan, że ludzie umierają w jakimś celu?

Church wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Tak, tak, ale co pan myśli?

— Chciałbym w to uwierzyć, ale nie jest łatwo się o tym przekonać.

Churcha zaskoczyły dojrzałe pytania dziewczynki, czuł się trochę nieswojo.

— To bardzo poważne pytania, jak na twój wiek.

— Nie muszę myśleć o samych bzdurach tylko dlatego, że jestem mała – odcięła się dziewczynka. – Poza tym ja lubię bzdury, ale nie tylko.

— Przepraszam.

— Przeprasiny przyjęte – zaśmiała się, podnosząc patyk, którym rzuciła w stronę Churcha. – Dlaczego pan się tak przejmuje umieraniem? Niech pan nic nie mówi, dobrze widzę, że tak jest. Przecież śmierć to tylko część życia, nieprawda? Warto się martwić tylko tym, co robimy, zanim wyciągniemy nogi.

— To nie takie proste.

— Dlaczego nie? Chcę codziennie robić coś niezwykłego, uczyć się nowych rzeczy, poznawać życie. Chcę codziennie przeżyć cały tydzień, w każdy tydzień przeżyć miesiąc, a z każdego miesiąca wyciągnąć cały rok. Nie myśli pan, że to dobra filozofia? Dlaczego wszyscy tak nie robią?

Church udawał, że szuka w trawie drewna, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na to pytanie, ale nie potrafił niczego wymyślić. Kiedy dziewczynka uśmiechnęła się w końcu triumfująco, roześmiał się.

— Nie myśli pan, że bym się nadawała na panią premier? – zapytała, tańcząc przed nim z radości.

Stojąc tyłem do Churcha, dziewczynka wyjęła spod podkoszulki medalion i otworzyła go zręcznym ruchem. Pokazała mu znajdujące się w środku zdjęcie.

— Księżniczka Diana – zauważył Church. – Lubiałś ją?

— Kochałam. Dlatego pytałam pana o umieranie. Ona zrobiła w życiu tyle dobrego. Myślę, że nie umarła bez celu.

— Tak?

— Tak. Umarła, żeby pokazać nam, jak źle wszyscy żyjemy. Żebyśmy nauczyli się od niej i byli bardziej do niej podobni, wie pan, żebyśmy robili dobre rzeczy, pomagali innym.

Mówiła z tak niewzruszoną pewnością siebie, że Church nie miał serca zarażać jej swoim dorosłym cynizmem.

— Wydawała się porządną osobą. Podobały mi się te jej kampanie na rzecz ofiar min i takie tam.

Marianna spojrzała na niego z politowaniem.

— Widzę, że pan nie wierzy.

— Przepraszam, jestem... stary zrzęda.

— Mam jej fotografie wszędzie w pokoju. A na stoliku, w specjalnej ramce, stoi najlepsza, jaką mam. Poznałby pan, to znane zdjęcie. Patrzy prosto w kamerę i jest taka zamyślona. W jej oczach jest tyle dobra, że jak na nią patrzę, to aż chce mi się płakać. – Dziewczynka zniżyła głos konspiracyjnie. – Przed snem klękam przed nią i modlę się do niej, wie pan?

Church spuścił oczy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio sam w coś tak niewinnie wierzył.

— O co się do niej modlisz?

— Żebym była lepsza. Żebym zrobiła coś dobrego, tak jak ona. Zanim umrę.

— No tak, o takie coś to warto się modlić.

— Powinien pan sam spróbować.

Church roześmiał się.

— Może rzeczywiście powinienem.

— Mówię poważnie. – Zdjęła z szyi medalion i podała mu. – Nie na zawsze. Niech pan spróbuje wieczorem, a jutro mi odda.

— Nie mogę...

— Niech pan się nie wygłupia! – Śmiejąc się, dziewczynka wepchnęła mu medalion w dłoń. – Ona jest święta, wie pan? Wysłucha pana.

Czuł się nieswojo, przyjmując ten medalion, być może dlatego, że rzeczywiście był cyniczny: Księżna Diana, patronka bulimiczek i nieszczęśliwych kobiet na całym świecie. Ale może Marianna miała rację. Może to właśnie ślepa wiara jest mu teraz

potrzebna. Ona najwyraźniej była szczęśliwa dzięki niej.

— No dobrze – powiedział w końcu. – Może uda ci się mnie nawrócić.

Dziewczynka wydawała się usatysfakcjonowana.

Przez następną godzinę włóczyli się wśród drzew i wzdłuż żywopłotów, bardziej zajęci rozmową niż zbieraniem chrustu. Church dobrze czuł się w towarzystwie Marianny, dziewczynka była zabawna i zapalczywa, zadawała dużo pytań na każdy nasuwający się jej temat, oraz tak dobroduszna, że Church czuł się zawstydzony. Była jedynaczką, ale nie wydawała się przez to zepsuta. Jej miłość do muzyki przypomniała Churchowi jego własną młodość. Dyskutowali o zaletach i wadach kilku znanych piosenkarzy i piosenkarek, potem każde z nich wymieniło swoich dziesięć ulubionych piosenek, a kiedy Church spróbował zaśpiewać ich refreny, oboje śmiali się do rozpuku.

Kiedy znaleźli w końcu dość chrustu, Marianna odprowadziła Churcha do obozu. Ruth i Laury nie było, więc we dwoje rozpalili ognisko i przygotowali herbaty. Church ze zdziwieniem stwierdził, że potrafi otwarcie rozmawiać o swojej Mariannie, co nie udawało mu się od czasu jej śmierci. Dziewczyna umiała słuchać i wyczuwała jego emocje jak dojrzała osoba. Churchowi było żal, kiedy dziewczynka poszła. Obiecała, że przyniesie im rano mleko.



Szybko zapadła zimna, wiosenna noc. Ruth i Laura zdołały się na tyle pogodzić, żeby razem znaleźć sklep spożywczy i kupić jedzenie na kolację i śniadanie: warzywa do gulaszu, ryż, jaja,

chleb i boczek, choć Laura oświadczyła, że jest ścisłą wegetarianką. Gotując, siedzieli blisko ognia, chroniąc się przed zimnem. Rozmawiali niewiele, przyciszonymi głosami. Kolacja była gotowa przed ósmą. Wszyscy obawiali się panującej wśród drzew ciemności, ale żadne z nich nie odważyło się przyznać do strachu.

Zanim zaczęli jeść, Laura włączyła komputer i połączyła się za pomocą komórki z internetem.

— Może lepiej poszukajmy dalszego ciągu tych historii, które opowiedział nam staruszek, zanim nie wyruszył do swojego świata.

Church zauważył, że Laura ma na pulpicie dziwną tapetę, deseń w kształcie przeplatających się gałęzi.

— Co to znaczy? – zapytał, wskazując na tapetę.

— To jest deseń. To znaczy, że lubię na niego patrzeć – drwiła Laura. – Cholera, bateria się kończy. Będę musiała znaleźć jakieś miejsce, żeby doładować. No nic, w każdym razie niedawno znalazłam stronę internetową Instytutu Charlesa Forta i tam jest ogromna biblioteka i archiwum dotyczące właśnie tych cudaczkich historii. Zacznijmy może od tego kundla. – Na ekranie pojawiła się strona „Informacje o Czarnym Psie”. – Właśnie: Czarny Kieł. Przez Anglosasów nazywany *scucca*, co oznacza demona. – Laura szybko czytała dalej. – O, tu jest relacja z 1577 o wielkiej burzy w hrabstwie East Anglia, kiedy czarny pies–demon wbiegł do kościoła w Bungay i zabił dwie osoby, a trzecią pozostawił skurczoną „jak skóry ułomek, wysuszony na wielkim ogniu”. W całym kraju jest o nim dużo podań ludowych, ale zwykle w opisach jest wielki jak cielak, ma oczy jak spodki, z których kapie zielony bądź czerwony ogień, i wychodzi z ukrytej nory dopiero po zmierzchu. W East Anglia, kiedy ktoś umiera,

ludzie wciąż mówią, że „Czarny Pies depta mu po piętach”. Zwykle jest on oznaką czegoś gorszego, na przykład śmierci albo zarazy.

— Zaczekaj, skoro wychodzi tylko w nocy, to dlaczego Church widział go w środku dnia w Salisbury?

— Nie wiem, może kupił sobie okulary przeciwsłoneczne – odparła Laura.

— Może podania są po prostu nieprawdziwe. Widziano go tylko w nocy, więc ludzie uznali, że w dzień się nie pojawia – zasugerował Church.

Ruth westchnęła.

— Jedne chodzą w dzień, inne tylko w nocy, to się robi coraz bardziej skomplikowane.

— Nie ma nic o tym, jak go odpędzić? – zapytał Church, nie robiąc sobie dużych nadziei.

— No, wiesz, oni nie wierzą w te wszystkie podania, więc raczej nie napisali żadnego poradnika – chłodno odrzekła Laura. – W folklorze nie ma też nic o tym, co łączy go z Dzikimi Zastępami. Czyli mamy się teraz sami domyślić reszty.

— A co piszą o Zastępach i Pogoni?

Church starał się zobaczyć, co Laura czyta, ale ta szybko przewinęła ekran i nie zdążył nic zauważyć.

— Istnieje dużo sprzecznych wersji. Podanie ma skandynawskie korzenie, ale jest znacznie dawniejsze niż najazdy Wikingów i nastanie chrześcijaństwa. – Laura przeszła do innej części strony. – W burzliwą pogodę Odyn przemierzał niebiosa ze sforą ujadających wilczarzy.

Każdy, kto zobaczył Pogoń, mógł zostać porwany do odległych krajów, a kto odważył się odezwać do Myśliwego, umierał. Potem miejsce Odyna zajął Diabeł, ale w różnych częściach kraju Dzik

Łowca przybiera inne postacie, takie jak Herne Myśliwy, czy Sir Francis Drake. Drake przemierza na przykład Dartmoor, w zachodniej Anglii, na wozie ciągnionym przez bezgłowe konie. Sfora towarzysząca Łowcy jest nazywana Ogarami Gabriela albo Zębiastymi, czyli znowu mamy psy–demony. Podobno w czasie wichury można usłyszeć ich wycie, bo wtedy ganiają za duszami nieochrzczonych dzieci. No miło. Łowca jest również znany jako Król Olch, co jest zniekształceniem jakiejś holenderskiej legendy o królu elfów prowadzącym Dzikie Zastępy.

— Musimy pamiętać, że legendy to nie to samo co prawda – ostrożnie wtrącił Church. – Te historie to mieszanina faktów i fikcji.

— Co sprawia mi straszną ulgę – przerwała mu Laura. – Psy–demony zaganiają biedne duszyczki do czyścica. Zwiastuny śmierci i zagłady. Nie zapowiada się najlepiej, co?

— Może znajdzie coś użytecznego – wtrąciła Ruth z irytacją.

— No przepraszam, że nie mam nic użytecznego. Pani prawniczka musi się zajmować wszystkim, bo ja nie robię nic użytecznego! – Laura wyłączyła komputer.

Ruth nie odgryzła się, tylko spokojnie mówiła dalej: – No dobra, więc nagle zaczynają nas gonić nadprzyrodzone istoty ze wszystkich angielskich podań ludowych, ale to i tak nie ma sensu – zwróciła się do Churcha. – Ci Nocni Wędrowcy najwyraźniej wolą ciemność, więc czemu byli tam, w magazynie? Kto im dał pracę? Przecież to jakiś absurd.

Church pokiwał głową.

— Właśnie. Jeśli są tak potężni, to czemu się jeszcze nie ujawnili?

— Może przygotowują się do wielkiej akcji, która za jednym zamachem wyłączy nas wszystkich z gry? – zaproponowała

Laura.

— Cokolwiek planują, musi to być bardzo ważne, bo bardzo obawiają się dekonspiracji.

Ruth utkwiała wzrok w roztaczającej się wokół ciemności.

— Możliwe, że opanowali cały kraj i nikt nawet nie zauważył. Codziennie przecież można spotkać jakichś dziwnie wyglądających ludzi i nie zwracamy na nich uwagi. Na przystankach autobusowych, w supermarketach, wszędzie.

— To jest dobra recepta na paranoję – odrzekła Laura, kładąc się na ziemi i wpatrując w płynący ponad drzewami księżyc. – Słuchajcie, będzie wojna, i to bardzo wielka. A jak się skończy, to nikt nie wie.



Po kolacji Laura rozdała piwo i zaczęli planować najbliższą przyszłość. Church był zdziwiony, jak optymistycznie, wbrew wszystkiemu, nastawione są jego towarzyski, choć on sam był uprzedzony wizją własnej śmierci. Laura, za milczącą zgodą pozostałych, została powierniczką magicznego kamienia; tak było najlepiej, skoro to ona go znalazła. Kiedy zaczęli rozmawiać o tym, gdzie mogą znajdować się pozostałe Insignia, Laura wyjęła kamień z niewielkiego plecaka.

— On jest bardzo dziwny – powiedziała. – Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do jego dotyku. Jest niesamowity.

— W jaki sposób niesamowity?

— Dotknijcie, to zrozumiecie. Weź!

Podła kamień Churchowi, który jeszcze nie miał go w rękach. Wtedy, przy pierwszym dotknięciu, z kamienia wydobył się

rozdzierający krzyk i Church upuścił go, jakby się oparzył: – Co to ma być! – zapytał osłupiały.

Wszyscy popatrzyli przez chwilę na kamień, a potem Laura podniosła go.

— Spróbuj jeszcze raz – nakazała, wyciągając go ku Churchowi. Ten zawahał się, a potem nieufnie przejechał palcami po powierzchni kamienia. Znow rozległ się ten sam krzyk.

— Boże, może jeszcze wystrzelmy racę, żeby wszyscy się dowiedzieli, że tu jesteśmy! – zaprotestowała Ruth.

— Co to ma znaczyć? – zastanawiał się Church, a potem zwrócił się do Ruth: – Może ty spróbuj.

Ruth wzięła kamień od Laury, przełożyła kilka razy z jednej dłoni w drugą, a potem oddała.

— Najwyraźniej on nie lubi facetów – powiedziała Laura do Churcha. – A może kleją ci się dłonie od potu?

Church poczuł nagle, że włosy jeżą się mu na głowie.

— Ta kobieta w Strażnicy powiedziała, że kamień potrafi rozpoznać króla tego kraju.

Laura wybuchła śmiechem.

— Król Church Pierwszy! No świetnie!

Church potrząsnął głową.

— Nie bądź śmieszna.

— Nie można zaprzeczyć, że kamień reaguje tylko na ciebie – nalegała Ruth.

— Nawet nie chcę o tym myśleć. Z takimi rzeczami nigdy nic nie wiadomo. Skąd możemy wiedzieć, co znaczy ten krzyk?

Laura wciąż śmiała się w głos.

— Jego wysokość Church! A ten nissan – królewski rydwan!

Ruth i Church w końcu nie wytrzymali i też zaczęli się śmiać z

kpin Laury. Ogólna wesołość pomogła na chwilę zapomnieć o rosnącym niepokoju.



Następne kilka godzin spędzili pijąc piwo, rozmawiając ściszonymi głosami i podtrzymując ogień patykami z malejącego stosu chrustu. Pogoda zmieniała się i obawiali się, że wiejący nad polaną zimny wiatr przyniesie burzę. Choć Laura kilka razy próbowała zmienić temat, rozmowa nigdy nie odeszła od ich misji. Używali tego słowa najpierw żartobliwie, a potem z coraz większą powagą.

Okolo dziewiątej Ruth poczuła się dziwnie. Na początku przechodziły ją tylko dreszcze, potem zaczęła piec skóra, jakby dopadła ją infekcja wirusowa. W chwilę później usłyszała, albo wydawało się jej, że usłyszała, jak ktoś pośród drzew szepcze jej imię. Church i Laura, niczego nieświadomi, dalej rozmawiali przyciszonymi głosami. Mimo niepokojących okoliczności, Ruth nie bała się. Odczuwała raczej neodparte przyciąganie, nakazujące wymknąć się towarzyszom i zanurzyć w ciemności.

Idąc wśród drzew, Ruth poczuła, że nie jest w stanie powrócić do ogniska, choć obawiała się jednocześnie odejść od niego zbyt daleko. Wyczuwała jakiś obcy impuls nakazujący jej iść dalej i nie bać się.

Przeszła tak jeszcze kilka kroków i od razu pożałowała. Światło ogniska szybko ginęło wśród drzew, jakby pochłaniała je ciemność wokoło. Odgłosy lasu wydawały się nienaturalne i straszne: gałęzie trzeszczały jej nad głową zbyt głośno i nie w takt uderzeń wiatru, jakby były żywymi istotami, wyciągniętymi

ku niej ramionami leśnych bogów. W poszyciu lasu trzaskały gałązki: być może były to leśne zwierzęta, być może czyjeś kroki. Do uszu Ruth dochodziły szepty, unoszone przez wiatr słowa, które cichły zbyt szybko, żeby mogła je zrozumieć. W jednej chwili poczuła, że Church, Laura i cała ludzka cywilizacja opuściły ją. Była sama w ciemnym, pierwotnym świecie i czuła się tutaj intruzem.

Wzdrygnęła się, kiedy nagle w ciemności zatrzepotały czyjeś skrzydła, a w chwilę później tuż obok jej głowy przeleciała trupioblada twarz sowy. Ptak wydał z siebie pisk, bardziej ludzki niż zwierzęcy, i w tej samej chwili wszystkie drzewa rozbłysły światłem, jakby na ich gałęziach zapłonęły tysiące świec. Ruth przez chwilę z zachwytem pomyślała, że wygląda to, jakby spadły na ziemię gwiazdy.

Obok wiekowego krzaku głogu stała postać. Ruth nie widziała jej dokładnie wśród świateł i cieni, więc podeszła bliżej i rozpoznała młodą dziewczynę napotkaną w parku w Salisbury – choć w głębi serca wiedziała, że zjawa nie jest młoda i nie jest dziewczyną. Postać miała na sobie płaszcz spleciony z tysięcy poruszanych wiatrem liści.

Ruth poddała się hipnotycznej sile, każącej jej podejść bliżej do zjawy, choć jednocześnie przepelniał ją strach i nabożna cześć do wspaniałej, nieludzkiej postaci. W głębi serca wyczuwała, że ta dziewczyna czegoś od niej chce, zauważała delikatne dotknięcia manipulujące jej umysłem, starające się jej coś ważnego przekazać.

— Brakuje mi go. Nocy mojego dnia, zimy mojego lata.

Były to te same słowa, które Ruth usłyszała w parku w Salisbury.

Kogo jej brakuje, pomyślała Ruth. I co to ma ze mną

wspólnego?

Jakby w odpowiedzi, światło zmieniło się i Ruth zauważyła jakiś wielki kształt przedzierający się przez poszycie lasu za tajemniczą dziewczyną. Nie był to kształt rzeczywisty, tylko pierwotna i przerażająca wizja. Ruth ujrzała postać większą od człowieka, potężną i rogatą niczym jeleń. Za nią ciągnął się nieskończony las.

Rogata zjawa, parszając jak koń, chodziła przez chwilę w cieniu poza światłem rzucanym przez drzewa, a potem znikła. W tej samej chwili suknia dziewczyny, widoczna pod płaszczem liści, stała się przezroczysta i Ruth ujrzała jej nagie ciało. Miała delikatną, niemal przezroczystoblada skórę, małe piersi, kształtny brzuch i zaokrąglone biodra. Ruth poczuła cień pożądania, jakby dziewczyna wysyłała seksualną energię.

— Znajdź go, potem będziesz musiała przystać do nas. Zostań naszą córką. Naszą mistrzynią.

Ruth wpatrywała się w hipnotyzujące oczy dziewczyny, starając się cokolwiek zrozumieć. Zjawa wyciągnęła ku niej ramiona, ale na myśl o dotknięciu nieludzkich rąk Ruth poczuła taką trwogę, że prysł cały czar i zaczęła się wycofywać.

W tym momencie wróciła sowa i, usiadłszy na ziemi przed Ruth, zaczęła wpatrywać się w nią inteligentnym spojrzeniem, od którego przeszedł ją dreszcz.

— To twoja towarzyszka – powiedziała dziewczyna. – Pomocnica, która poprowadzi cię przez ciemność. Kiedy go znajdziesz, nie zapomnij o mnie.

Zjawa mówiła dalej, ale Ruth nie mogła dłużej tego znieść i rzuciła się biegiem przez las, przerażona faktem, że jakaś nieznana sita potrzebuje jej i chce z nią paktować. Ze strachem pomyślała, że już nigdy nie będzie mogła wrócić do

wcześniejszego życia.



— Czy ty w tym widzisz jakikolwiek sens? – zapytała Laura, opierając się o powyginany pień starego jesionu i dopijając ostatnią butelkę piwa. Church dostrzegł w jej oczach przenikliwe, zgryźliwe poczucie humoru skrywające mroczną tajemnicę.

— Ja już nie staram się doszukiwać sensu. Jeśli będziemy się starać myśleć o tych rzeczach racjonalnie, to szybko oszalejemy. Trzeba wszystko przyjmować takim, jak jest.

Laura wzruszyła ramionami i spojrzała w ciemność. Od czasu, jak opuściła ich Ruth, do pewnego stopnia pozbyła się swojej kpiarskiej maski i ujawniła część prawdziwej osobowości.

— Cały system wierzeń nam się zawalił, co?

— Wierzeń? – zapytał zaskoczony Church. – Jakich wierzeń?

— No wiesz, Bóg i te rzeczy. W Biblii raczej nie ma o tym, co się teraz dzieje.

— A ty wierzysz w Biblię? – ostrożnie zapytał Church.

— Ja mam gdzieś tych wszystkich religijnych idiotów – brutalnie odparła Laura.

Church wyczuł w jej odpowiedzi jakieś mroczne, ukryte nuty, ale Laura najwyraźniej nie chciała niczego więcej o sobie powiedzieć.

— Jeśli się przyjrzeć historii Biblii, to trudno utrzymać wiarę – powiedział.

— Nie rozumiem.

— Chodzi mi o to, że Biblia składa się z różnych tekstów dobranych przez hierarchię Kościoła. Jedne teksty znalazły się w

Biblii, inne nie – apokryfy. Wybrano takie teksty, żeby powstała prosta nauka dla mas, jasna wizja świata. To były decyzje polityczne. Nawet, jeśli jest to Słowo Boże, to zostało ono przeredagowane przez człowieka. Nie wiem, czy można na takim czymś polegać.

Laura wzruszyła ramionami.

— Może to tak samo jak te legendy, o których się tak wymądrzasz – trochę prawdy i pełno głupich historii, które starają się ją wytłumaczyć. – Laura dopiła piwo i schowała pustą butelkę do worka na śmieci. – A może nic w tym nie ma. Prawo „bezsensu”, czyli najlepsze usprawiedliwienie, żeby przez całe życie nie wychodzić z łóżka.

— To brzmi trochę ponuro.

— A ty sądzisz, że istnieje jakiś sens? Że musimy przez to wszystko przechodzić?

Church był zaskoczony, bo w głosie Laury brzmiała rozpacz.

— Nie wiem. Kilka tygodni temu powiedziałbym, że nie ma żadnego sensu, ale teraz nie jestem pewien. Znaleźliśmy się w innym świecie. Wszystko może się teraz zdarzyć. Nie można mieć żadnej pewności. – Zamilkł i na chwilę zamyślił się. – Może po prostu za dużo myślę.

Nagle rozległo się pohukiwanie sowy; oboje wzdrygnęli się i zaśmiali nerwowo. Church czuł się przy Laurze bardzo dobrze, choć wiedział, że jej towarzystwo doprowadza Ruth do pasji. Podobał mu się jej ostry charakter, pod którym najwyraźniej ukrywała bezbronność i wrażliwość. Dziwił się, że Ruth nie myślała o Laurze w ten sposób.

Laura milcząc strzelała palcami, a potem nagle przypomniała sobie o chłodzie i zbliżyła do ognia. Usiadła po turecku obok Churcha i zapytała: – Powiedz no, czy ty i pani prawniczka już

byliście w łóżku?

Church był zaskoczony tym nagłym zwrotem rozmowy.

— Nie, to nie tak. Jesteśmy przyjaciółmi...

— No daj spokój! Nie widzisz, że dziewczyna bardzo by chciała wylądować w twoim namiocie?

Church potrząsnął zdecydowanie głową.

— Ona nie dała żadnego znaku...

— Znaku? Czego ty oczekujesz? Wielkiego neonu? Uwierz mi, ona na ciebie leci. Tylko zrób coś, bo zmarnujesz okazję.

Church zmieszał się.

— Są rzeczy, o których nie wiesz...

— No to mi powiedz!

Widać było, że Laura nie da za wygraną. Niechętnie opowiedział o Mariannie. Mówiąc, poczuł w sobie jakąś zmianę, znikło odrętwienie, które odczuwał, kiedy wspominał śmierć dziewczyny, był smutny, ale nie zdruzgotany – po raz pierwszy od jej śmierci. Sięgnął do kieszeni i delikatnie przesunął palcami po płatkach i łodydze Czarnej Róży. Czy to ten tajemniczy kwiat uwolnił go od rozpacz, czy wiedza, że jakaś część Marianny wciąż istnieje w nieznanym mu, innym świecie. Był to znak, że nie wszystko w nadchodzących Czasach Mroku będzie złe.

— I co, przeżyłeś dwa lata bez seksu? – zapytała Laura obcesowo, kiedy skończył opowiadać. – Co ci jest? Masz jakąś fobię, zahamowania?

Church poczuł, jak się czerwieni, bardziej przez irytację niż skrępowanie.

— Po wielkiej miłości nie można od razu zacząć szukać zastępstwa.

— Słuchaj, to na pewno była fajna dziewczyna i w ogóle, ale ona już nie żyje. Musisz się z tym pogodzić. Co teraz zrobisz?

Resztę życia spędzisz na wspomnianiu jej? Oczywiście przez kilka miesięcy można sobie popłakać, to bardzo miłe i romantyczne, ale teraz to się robi żałosne. No i na pewno nie działa już na dziewczyny.

Church nie odpowiedział, tylko mruknął coś pod nosem rozdrażnionym głosem.

— O! Widzę, że trafiłam w czuły punkt? – Laura uśmiechnęła się triumfująco, co jeszcze bardziej rozdrażniło Churcha, ale zaraz spoważniała i znów dostrzegł w jej oczach cień jakiegoś szczerzego uczucia.

— Słuchaj, nie możesz się tak odcinać od świata. Idą ciężkie czasy, potrzebujesz kogoś, kto będzie ci bliski, rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak, wiem. – Church spojrzał jej prosto w oczy. Nie uśmiechnęła się, ale coś w jej twarzy powiedziało mu, że oboje zrozumieli niewypowiedzianą część swojej rozmowy.

Ruth patrzyła na nich, kiedy rozmawiali, i też zrozumiała. Przez dłuższą chwilę szukała oboju, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy będzie mogła opowiedzieć komuś o swojej przerażającej przygodzie, ale to co teraz usłyszała, zatrzymało ją w ciemności pośród drzew. Church mówił o niej jak o zwykłej przyjaciółce, a Laura w oczywisty – przynajmniej dla Ruth – sposób usiłowała go uwieść, poczuła się więc bardziej niż kiedykolwiek przedtem odrzucona. Church i Laura siedzieli we dwoje, patrząc sobie w oczy, zamknięci w swoim własnym świecie. Ruth wahała się przez chwilę, a potem objęła ramionami, odwróciła ku ciemności i ruszyła w noc.

Zatrzymał ją zbliżający się do nich huk, a kiedy odwróciła się, zauważyła, że Laura i Church wpatrują się w niebo, szukając źródła hałasu.

— To chyba helikoptery – zawołał Church. – Kilka.

We troje wyszli na skraj lasu, skąd mieli lepszy widok. Wśród pól myszkowały światła czterech reflektorów; śmigłowce krążyły, przeszukując okolicę.

— Czego oni szukają? – zapytała Ruth.

— Pewnie jakiś więzień uciekł – odparła Laura.

— Ale cztery śmigłowce w jednym miejscu? Wygląda na coś poważnego. To musi być armia albo służby specjalne – zauważył Church. Przez kilka minut obserwowali reflektory, potem śmigłowce powoli oddaliły się. Nie mieli pewności, ale wszyscy instynktownie wyczuwali, że pojawienie się tej eskadry było związane z niesamowitymi wydarzeniami, których plaga ogarniała cały kraj.



Ranek był szary i chłodny, wiał wiatr, a z ciągnących się po horyzont wielkich chmur chłostał deszcz. Cierpliwie zczekali, aż Marianna, zgodnie z obietnicą, przyniesie mleko. Dziewczynka nie pojawiła się, więc Church na ognisku usmażył jaja na boczku. A jego towarzyszki zadowolily się kawą. Postanowili jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Church pojawił się w warsztacie tuż po otwarciu, ale mechanikowi nie udało się nic zrobić. Poradził, żeby przyjść po obiedzie. Wszędzie w niewyjaśniony sposób psuły się samochody; na placu przed warsztatem czekała ich długa kolejka, a w zadymionym kantorku wciąż dzwonił telefon.

Przed południem rozpadało się na dobre, więc czekali beczynn timer, schowani w namiotach, zmieniając się, bo jedna

osoba wypatrywała na zewnątrz, czy ktoś się nie zbliża. Rozmowa nie kleiła się, a od czasu do czasu urywała zupełnie, a wtedy każde z nich pozostawało sam na sam ze swoimi myślami. Church, pełen najgorszych przeczuc, wrócił w końcu do warsztatu, gdzie okazało się, że jego nissan czeka już naprawiony. Mechanik tłumaczył się, jak mógł: nijak nie potrafił znaleźć przyczyny awarii, aż w końcu samochód w tajemniczy sposób przed godziną sam się naprawił, jakby zdecydował, że nadszedł odpowiedni czas. Church szybko pojechał z powrotem do obozowiska, gdzie pod komendą Laury zwinęli namioty i starannie usunęli wszelkie ślady swojej bytności w lesie.

Ładując namioty i torby do bagażnika, usłyszeli niesiony wiatrem przejmujący krzyk, pełen strachu i rozpacz, dochodzący spośród drzew. Wkrótce potem ujrzeli biegnącego pobliską drogą mężczyznę; jego twarzy była wykrzywiona cierpieniem. Church chciał go najpierw zignorować, ale jakiś impuls nakazał mu wybiec z lasu, przesadzić ogrodzenie i dogonić nieznajomego.

— Co się stało? – zapytał, chwytając go za ramię. Mężczyzna miał dobrze ponad czterdzieści lat, deszcz przykleił jego siwe włosy do łysiny na czubku głowy. Przez chwilę był tak osłupiały pojawieniem się Churcha, że nic nie mówił, a potem załkał: – Moja córka...

Kiedy pohamował kolejny wybuch płaczu, złapał Churcha za ramiona i zapytał: – Ma pan samochód? Potrzebny mi samochód!

Church pokiwał głową i pośpiesznie poprowadził nieznajomego do obozowiska.

— Moja córka zachorowała. Umiera. Cholerny samochód nie chce zapalić. Naprawiali go dopiero w zeszłym tygodniu. Za daleko z Bristolu, żeby przysłali karetkę.

Znów przerwał i zaniósł się płaczem.

Ruth i Laura chciały się dowiedzieć, co stało się dziewczynce, ale mężczyzna odparł, że nie ma czasu na wyjaśnienia. Wsiedli do samochodu i Church podążył za wskazówkami mężczyzny, który poprowadził ich do ładnie utrzymanego wiejskiego domu. Wyskoczył potem z samochodu i, zanim Church zdążył za nim pobiec, wyniósł z domu umierające dziecko. Wybiegła za nim krzycząca histerycznie żona.

Tym dzieckiem była Marianna.



Wkrótce Church dowiedział się, dlaczego dziewczynka tak chętnie rozmawiała o śmierci. Trzy lata temu, w wyniku wypadku na farmie, w jej mózgu wytworzył się skrzep, który przez cały czas zagrażał jej życiu. Znajdował się w takim miejscu, że operacyjne usunięcie go było zbyt niebezpieczne, chyba żeby się przemieścił lub bezpośrednio zagroził życiu, co według lekarzy mogło się zdarzyć w każdej chwili, bez ostrzeżenia. Teraz, kiedy tak się stało, nie było nic do stracenia i konieczna była jak najszybsza operacja.

— Matka znalazła Mariannę w kuchni, obok niej leżała rozbita butelka mleka – powiedział ojciec dziewczynki.

Church pomyślał, że to właśnie było to mleko, na które czekali rano.

W miarę, jak ojciec coraz więcej opowiadał o Mariannie, Church z narastającym bólem przypominał sobie jej optymistyczny i żywiołowy charakter. Zastanawiał się, jak udało się jej zachować taką pogodę ducha i niewinność, skoro przez

cały czas żyła w cieniu śmierci. Jego własne obawy i rozterki wydały się nagle nieistotne; w porównaniu z tą dziewczynką był człowiekiem słabym i żalnym.



Do Bristolu dotarli, pędząc na łeb na szyję, w niecałe pół godziny. Churchowi waliło serce i kurczył żołądek za każdym razem, kiedy zerkał na trupiobladą twarz Marianny. Dziewczynka nie poruszała się i nie wiadomo było, czy cierpi. Church czuł o nią niezwykłą troskę, choć ledwie ją znał. Być może to imię miało tak silny wpływ na jego uczucia – być może tą Mariannę uda się uratować – ale, niezależnie od przyczyn, czuł się bardzo głęboko poruszony. Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnął teraz, by przeżyła.

Laura zadzwoniła z komórki i upредиła szpital Frenchay o ich przybyciu – gdy dotarli, lekarze już czekali. Mariannę położono na wózku i pędem odwieziono do sali operacyjnej, a jej ojciec szybko rzucił kilka słów podziękowania i pobiegł za nią.

— Biedna dziewczynka – powiedziała cicho Ruth. – Mam nadzieję, że jej pomogą. – Widząc troskę na twarzy Churcha, dotknęła delikatnie jego ramienia i dodała: – Szczęście, że byliśmy w pobliżu i mogliśmy ją tutaj przywieźć. Deszcz, który dotychczas padał przelotnie, przerywany mżawką, przemienił się w wielką burzę z piorunami, która szalała teraz za szklanymi drzwiami hallu szpitala.

— Powinniśmy się już zbierać – przypomniała Laura, patrząc na ciemniejące niebo.

— Muszę tutaj zostać, dopóki się nie dowiem, co z nią będzie –

odparł Church i uciszył protesty Laury potrząśnięciem głowy. Potem powoli ruszył w kierunku windy, którą wcześniej pojechała Marianna.



Frenchay, podobnie jak większość szpitali, wypełniał istny labirynt korytarzy. Church, choć podążał za znakami, zgubił się w końcu i, zamiast dojść do sal operacyjnych, znalazł na cichym korytarzu, przed drzwiami jakiegoś oddziału. Wszedł, żeby zapytać o drogę. Była tu cicho, zupełnie inaczej niż w innych częściach szpitala, gdzie panował ożywiony ruch i Churchowi wydawało się, że jego kroki na linoleum rozbrzmiewają za głośno, jakby miał podkute buty. W powietrzu wisiał zapach środka odkażającego, od dzieciństwa kojarzący się mu z chorobami. Po obu stronach korytarza ciągnęły się niewielkie pomieszczenia, a dalej podwójne drzwi większych, wypełnionych łózkami sal. Po jego prawej stronie drzwi miały wielką szybę, przez którą ujrzał chorego chłopca, wpatzonego w lecącą w telewizji amerykańską kreskówkę. Kadry następowały tak szybko po sobie, że Church nie mógł patrzeć w ekran bez zawrotów głowy. Z nosa i ramion chłopca zwisały całe pęki rurki, a po obu stronach łóżka stały jakieś aparaty. Nad szczelnie zamkniętymi drzwiami paliło się czerwone światło ostrzegawcze; Church domyślał się, że była to aseptyczna izolatka.

Po lewej stronie drzwi były uchylone i dochodziły zza nich czyjeś głosy cicho powtarzające jedno i to samo zdanie, jak modlitwę. Przez szybę Church ujrzał leżącą w łóżku kobietę w

średnim wieku, o ramionach tak wychudłych, że wyglądały jak patyki. Miała zamknięte oczy, głowę przykrywała peruka. Po obu stronach łóżka siedzieli mężczyźni, jeden starszy, o pooranej zmarszczkami, smutnej twarzy, a drugi może dwudziestoletni, zaczerwieniony na twarzy od płaczu. Ten młodszy trzymał kobietę za rękę. Stłumionymi głosami powtarzali: „Kocham cię”.

— Czy pan jest krewnym? – Głos pielęgniarki zaskoczył go. Była niska, przysadzista i miała miłą twarz.

— Nie, nie, przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, ja tylko... – przerwał i spojrzał na smutną scenę za drzwiami. – Co jest tej pani?

Pielęgniarka uśmiechnęła się, ale nie wydawała się chętna do rozmowy.

— Już niewiele jej zostało. Od wczoraj w śpiączce, ale sądzymy, że wciąż słyszy, więc oni starają się jej przekazać, jak się czują, jak ją kochają.

Zanim nadejdzie koniec, pomyślał Church. Spojrzał na podwójne drzwi jednej z sal, za którymi leżeli ludzie w różnym wieku.

— Tamci też?

— Głównie białaczka. Inne choroby też, ale tylko kilka przypadków. Chłopiec za tymi drzwiami właśnie miał przeszczep szpiku. Musimy go trzymać w izolatce, bo nie jest na razie odporny na infekcje.

— Co robić, niektórzy kończą wcześniej niż inni – rozległ się głos Laury, która weszła niespostrzeżenie i obserwowała od pewnego czasu mężczyzn siedzących przy kobiecie w śpiączce. Church chciał ją już zbesztać za ten bezduszny komentarz, ale nic nie powiedział, bo zauważył, że dziewczyna ma oczy pełne łez.

Pielęgniarka spojrzała na nich i zapytała, czy może w czymś pomóc.

— Nie, dziękujemy – przeprosił Church. – Właśnie przywieźliśmy dziecko znajomego na operację. Zgubiliśmy się.

— Nic się nie stało – uśmiechnęła się pielęgniarka. – Sale operacyjne są piętro wyżej.



— Gdzie jest Ruth? – zapytał Church, kiedy szli po schodach.

— W hallu, dąsa się.

Church domyślał się, że to nieprawda, ale nic nie powiedział. Kiedy dotarli na następne piętro, otworzył jej drzwi i pomyślał na głos: – Nie pomyślałem o tym.

— O czym?

— O tych wszystkich ludziach, których życie zależy od technologii. Na przykład ten chłopiec w izolatce, te wszystkie maszyny, kroplówki...

Umilkł, bo zauważył ojca Marianny, który siedział na korytarzu, trzymając twarz w dłoniach.

— Co z nią? – ostrożnie zapytał Church.

— Przygotowują ją. Powiedzieli, że operacja zajmie jakieś pięć godzin. Podobno przyjechaliśmy w sam czas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. – Mężczyzna z trudem przełknął ślinę, potem złapał Churcha za ramię. – Bogu dzięki, że pan tam był.

Church usiadł obok i wsłuchał się w kliniczne dźwięki szpitala, szuranie wahadłowych drzwi, pantofle pielęgniarek trące o podłogę z linoleum, brzęk narzędzi na wózkach, szum wind.

— Od lat przygotowywałem się na tę chwilę i na nic mi się to

nie zdało – mówił dalej ojciec Marianny. – Powinienem udawać, że nic się nie dzieje i odpowiednio zareagować wtedy, kiedy do tego dojdzie. Mam nadzieję, że nie zmarnowałem tych lat – dodał jeszcze ponurym głosem.

— Teraz nie ma sensu myśleć o przeszłości – odparł Church cicho, lecz przekonującym głosem.

— Wierzy pan w Boga? – zapytał tamten. Trzęsły mu się ręce. Próbował najpierw uspokoić je, trzymając się za nadgarstek, a potem wsunął dłonie do kieszeni kurtki.

— Chciałbym wierzyć – odrzekł Church z poczuciem winy.

— Ja też bym chciał. Kiedyś się modliłem, zaraz jak się dowiedzieliśmy o tym, co jest Mariannie. Ale szybko przestałem. Nie widziałem w tym sensu, wie pan? Wydawało mi się, że dorosły człowiek nie powinien takich rzeczy robić. Za to żona cały czas się modli. Chodzi co niedziela do kościoła. Też powinienem. Jestem taki samolubny.

Church starał się go pocieszyć, ale on tylko uciszył go machnięciem ręki.

— Mamy tylko jedną córeczkę. Jakoś nie udało się nam mieć więcej dzieci, ale przez to mogliśmy ją bardziej kochać. Złote dziecko, nigdy żadnych kłopotów, dobrze się uczyła, zawsze robiła zadania domowe... I nie pyskowała mnie ani matce. Pomagała na farmie, nawet wtedy, kiedy jej nie kazaliśmy, bo akurat miała zły dzień – była marzycielką, czytała dużo książek. Ja to jestem inny. Lubię wyjść na pole, pracować fizycznie. A Marianna to się często zamyślała. – Ojciec zamilkł na chwilę. – Zawsze miałem nadzieję, że kiedyś przejmie po nas farmę.

— To wciąż możliwe.

Mężczyzna skinął głową, ale nic nie powiedział, żeby nie kusić losu. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, zatopieni w

myślach. Laura, która najwyraźniej poczuła się przez to nieswojo, wybąkała, że poszuka bufetu i wyszła.

Church spojrział przez okno na końcu korytarza, za którym burza wciąż szalała na ciemniejącym szybko niebie. Ciemność rozjaśniały od czasu do czasu błyskawice, zupełnie jak w pustce, którą Church widział za oknem Strażnicy.

Po czterech długich godzinach wyszła do nich pielęgniarka, którą ojciec Marianny chwycił za ramię, prosząc o wiadomości. Wyraz jej twarzy nie zdradzał żadnych emocji.

— Nie można na razie powiedzieć nic konkretnego. Doktor Persaud wyjdzie do pana, jak tylko będzie miał jakieś rokowania – zaczęła pielęgniarka, ale spojrzawszy na twarz ojca dziewczynki, złagodniała trochę. – Wygląda na to, że wszystko będzie raczej dobrze – powiedziała z pocieszającym uśmiechem. – Chyba, że zdarzy się coś nieprzewidzianego...

Jakby w odpowiedzi na te słowa, w tej samej chwili zgasły wszystkie światła. Ojciec Marianny krzyknął ze strachu, ale pielęgniarka uspokoiła go, mówiąc: – To tylko chwilowa przerwa w zasilaniu.

Do siebie mruknęła zaś pod nosem:

— Cholerna burza.

Za oknem również zapanowała zupełna ciemność, najwyraźniej prądu zabrakło w całej dzielnicy.

— Proszę się uspokoić. Jesteśmy na to przygotowani – kontynuowała pielęgniarka spokojnym głosem. – Za chwilę włączy się awaryjne zasilanie.

Stali nieruchomo i z zapartym tchem czekali w nieznośnie gęstej ciemności.

— Już, już, jeszcze chwileczkę – powtarzała pielęgniarka, ale w jej głosie pojawił się nieobecny wcześniej cień strachu.

W całym szpitalu wszystko na chwilę zamarło, ale potem jakby pękła tama i wszędzie rozległy się krzyki przestraszonych i zrozpaczonych ludzi. Church usłyszał stukot pantofli pielęgniarki, która pobiegła z powrotem do sali operacyjnej. Ojciec Marianny też krzyczał, tak rozpaczliwie, że Church sam poczuł napływające do oczu łzy. Ktoś krzyknął: – Dzieci umierają! Umierają!

Potem jak echo z klatki schodowej doszedł ich krzyk jakiejś kobiety: – Zróbcie coś!

Nagle cały korytarz ożył, wszędzie wokół ludzie biegali i krzyczeli, o włos mijając Churcha, który na ślepo próbował cofnąć się pod ścianę. Wtedy ktoś popchnął go i uderzył z taką siłą, że stracił przytomność.



Kiedy odzyskał świadomość, chaos na korytarzu rozszalał się na dobre. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale wciąż panowała ciemność, a krzyki i wołania nie ucichły. Nieustannie słyhać było kroki biegających ludzi. Church zawołał ojca Marianny, ale nie usłyszał odpowiedzi. Nagle z rozpaczą zdał sobie sprawę, że bez elektryczności lekarze nie będą w stanie dokończyć operacji; Marianna umierała, być może już nie żyła.

W tej samej chwili, zanim zdążył wstać, ktoś znów wpadł na niego i powalił na podłogę.

Church był tak oszołomiony i przerażony, że zupełnie nie mógł zebrać myśli, ale wiedział, że musi jak najszybciej dostać się na parter, do hallu. Idąc po omacku wzdłuż ściany odnalazł schody i powoli ruszył w dół. Gdy znalazł się piętro niżej, nagle oślepił go

błysk światła dochodzący zza szyby w zamykających korytarz drzwiach. Światło zgasło równie szybko, jak rozbłysło, pozostawiając w oczach Churcha tańczące purpurowo powidoki. Tak silne światło musiało być elektryczne, ale zbyt intensywne jak na latarkę. Church poszukał w ciemności klamki, otworzył drzwi i wszedł na korytarz.

W przeciwieństwie do reszty szpitala, na tym oddziale panowała dziwna, przynosząca spokój cisza. Co jakiś czas przerywał ją tylko szloch jakiegoś mężczyzny, w płaczu tym jednak nie było słyhać rozpaczki. Potem rozległ się pełen niedowierzania śmiech i ktoś zaczął szeptać bez przerwy: – Bogu niech będą dzięki!

Za podwójnymi drzwiami jednej z dużych sal znów rozbłysło potężne światło, w którym Church na chwilę ujrzał niemożliwą do zapomnienia scenę. Kobieta, która według pielęgniarki była w śpiączce i umierała na białaczkę, stała teraz w drzwiach swojej sali. Po podłodze ciągnęły się za nią rurki, wyglądające teraz jak jakieś przebranie. Z niedowierzaniem wpatrywała się w swoją dłoń, potem twarz rozjaśnił jej pełen zdumienia uśmiech. Ojciec i syn podtrzymywali ją, płacząc z radości i chowając twarze w jej ramionach. Potem wszystko znów znikło w ciemności.

Desperacko próbując zrozumieć to, co ujrzał, Church wbiegł przez podwójne drzwi do sali, w której zauważył drugi błysk. Kiedy przekraczał jej próg, wrócił prąd i zapaliło się światło. Church ujrzał wokół siebie pacjentów, jeszcze przed chwilą umierających, którzy siedzieli teraz na łózkach, przyglądali się sobie z niedowierzaniem, rozmawiali. Niektórzy stali już chwiejnie na nogach, sprawdzając, jak sprawują się nieużywane od wielu tygodni mięśnie. Wszyscy z obrzydzeniem wyjmowali z żył igły kroplówek.

Wysoki mężczyzna, opalony, ale chorobliwie wychudzony, uśmiechnął się szeroko do Churcha i zawołał: – Ale cudnie! Mógłbym zaraz zacząć biegać! – Mężczyzna odsłonił poorany bliznami brzuch. – Widzi pan? Rak. Powiedzieli mi, że operacja się nie udała. – Uradowany wyciągnął przed siebie rękę.

Church, krocząc wśród uszczęśliwionych ludzi, szukał czegoś, co wytłumaczyłoby niezwykle ozdrowienie. Na drugim końcu sali zauważył leżące na podłodze ciało, skulone jak tobolek brudnych ubrań. Wstrząśnięty rozpoznał Mariannę. Jeszcze zanim przy niej uklękł, wiedział, że dziewczynka nie żyje; cała była pokryta krwią płynącą z otwartej rany operacyjnej, która w niewytłumaczalny sposób częściowo się zabiłżniła, bez śladu szwów czy opatrunku. Trudno było sobie jednak wyobrazić, żeby z otwartą czaszką udało jej się choćby zejść ze stołu operacyjnego. Jej twarz była równie niewytłumaczalnie osmalona wokół oczu, jakby Marianna nałożyła czarną maskę. Mimo tego była spokojna i opanowana.

Church, powstrzymując łzy, chwycił dłoń dziewczynki i zdumiony wyczuł cudowną miękkość jej skóry.

— To ona to zrobiła – odezwał się niski, stojący za Churchem mężczyzna, pozbawiony włosów. – Najpierw myślałem, że przyszedł do nas duch. Kiedy zgasły światła, myślałem, że to już koniec, traciłem chyba przytomność. A potem pojawiła się ona. – Mężczyzna uniósł rękę w nabożnej czci. – Nagle zaczęła świecić, tak niezwykle jasno. To było jak cud. Pomyślałem sobie: „Przyszedł po ciebie anioł”, a kiedy jej światło padło na mnie, nagle poczułem się lepiej. – Wspomnienie to rozczuliło go do łez. – Przeszła przez cały oddział, a potem jeszcze raz rozbłysła. Wszyscy poczuli się nagle lepiej, ale ona padła tu na podłogę, jakby się wypaliła.

Church odgarnął włosy z czoła Marianny i dotknął delikatnie jej policzków, jakby chcąc w ten sposób dowiedzieć się, co się stało. Potem wyciągnął medalion, który mu pożyczyła poprzedniego dnia i zastanowił się, czy nie zawiesić go jej na szyi, żeby księżniczka Diana mogła poprowadzić ją ku światłu. Zawahał się, a potem wsunął medalion do kieszeni, chcąc zachować pamiątkę po krótkiej znajomości z tym niezwykłym dzieckiem. Być może kiedyś, w nadchodzących nowych czasach, będzie mu to potrzebne. Przepełniała go jedna myśl: w tym nowym, przerażającym i cudownym świecie wiara i uczucie będą mogły naprawdę przenosić góry. Magia ożyła i nie była jedynie narzędziem zła. Dobrzy ludzie również mogli dokonać rzeczy wielkich, zapalić jakąś latarnię, która rozświetli mrok nadchodzącej nocy.

ROZDZIAŁ 9

W SERCU BURZY

Ruth i Laura pełne obaw czekały na Churcha w hallu, gdzie rotaczał je tłum oszołomionych pacjentów, zrozpaczonych krewnych i zdezorientowanych pracowników szpitala. Wszyscy mieli twarze naznaczone bólem i niedowierzaniem. Church nie mógł wytrzymać hałasu panującego w całym szpitalu; wszędzie dzwoniły alarmy, brzmiały przerażone okrzyki i głośno wydawane komendy. W powietrzu wisiał roznoszony przez przeciąg zapach dymu.

Idąc przez szpital, Church był światkiem scen bardziej bolesnych niż cokolwiek, co widział do tej pory. Pielęgniarki zbyt były zajęte ratowaniem żywych, więc sam wziął ciało Marianny na ręce i położył je w jednym z łóżek. Przykrył prześcieradłem. Potem udał się na poszukiwania ojca dziewczynki, którego znalazł przed salą operacyjną w stanie zupełnego załamania nerwowego; biegał od jednej pielęgniarki do drugiej, pytając, gdzie jest jego córka. Mężczyzna spojrzał na wyraz twarzy Churcha, od razu zrozumiał i zaczął płakać jak dziecko, niezdolny powstrzymać targających jego ciałem szlochów. Church był załamany, bo to, co się stało, było jeszcze bardziej niesprawiedliwe, niż mógł wiedzieć ojciec Marianny: gdyby operacja miała miejsce miesiąc, tydzień, lub choćby dzień przed nadejściem magicznych zmian, nie doszłoby do przerwy w dopływie prądu i dziewczynka mogłaby przeżyć.

Wszelkie próby pocieszenia ojca Marianny spełzły na niczym i Church pozostawił go samego na korytarzu. Przemierzając przez kolejne piętra, zobaczył dopiero, jak wielką katastrofą była awaria elektryczności. Na korytarzach wszędzie leżały przykryte prześcieradłami ofiary, których życie zależało od nieczynnej aparatury. Pracownicy szpitala oswiale błakali się po korytarzach. Jakaś pielęgniarka płacząc dopytywała się o przyczyny awarii. Po przerwie w dopływie prądu nie włączył się generator zapasowy.

— Jak to się mogło stać? – domagała się odpowiedzi pielęgniarka.

Kiedy Church dotarł w końcu do hallu, odczuwał mdłości. Nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie Laury i Ruth, więc w milczeniu wyszedł na chłostany deszczem parking, gdzie stał ich samochód.



Z miasta wyjechali autostradą M5, kierując się za światłem błękitnej latarni na południe. Szalała burza. W samochód uderzały potężne podmuchy wiatru, a deszcz siekł przednią szybę z taką siłą, że wycieraczki ledwie zdołały podołać potokom wody.

— Pomyśl o tych pacjentach z rakiem – im się udało, więc nie wszystko poszło źle – powiedziała Ruth, starając się pocieszyć Churcha. – Marianna tego dokonała. Udało się jej osiągnąć w życiu coś cudownego, dać nadzieję... magię... ludziom pogrążonym w rozpacz. Większość z nas nie może nawet marzyć o czymś takim. Taki czyn nadaje życiu sens.

— Rozumiem – odparł ponuro Church – ale to wcale nie pomaga. – Uśmiechnął się gorzko, kiedy wyprzedził ich porsche, pędzący z niebezpieczną jak na tę pogodę prędkością. Na dachu srebrnego samochodu rozbłysła odbitym światłem błyskawica; jego właściciel zapewne nie zdawał sobie sprawy, że jego droga zabawka wkrótce podzieli los dinozaurów. – To, co działo się w szpitalu, było jak powrót do średniowiecza. I tak będzie teraz w całym kraju, na całym świecie, już niedługo. Dotychczas potrafiłem sobie tylko ogólnie wyobrazić, co się będzie działo, ale teraz zobaczyłem, jaka będzie prawdziwa cena tych zmian. To, że nie działa telewizor albo nasz samochód, to nic w porównaniu z cierpieniami milionów ludzi. Kończy się całe nasze życie.

— Myślałam, że żal ci Marianny – wtrąciła uszczypliwie Laura. Church nie odpowiedział.



Burza nie uciszyła się ani trochę. Dotarli do stacji benzynowej w Taunton Deane i Church postanowił zatrzymać i się odpocząć, bo od wpatrywania się w zalewaną deszczem szybę rozboleły go mięśnie. Church wyprostował zbolące plecy i włączył radio, żeby posłuchać doniesień o katastrofie w szpitalu; miał nadzieję, że wyjaśniono już przyczyny awarii. Wiadomości dotyczyły jednak polityki, niepewnej sytuacji na giełdzie oraz policyjnego śledztwa w sprawie serii brutalnych morderstw w północno-zachodniej części kraju. Nawet stacje lokalne nie nadawały wiadomości o szpitalu.

— Coś jest nie w porządku – powiedział Church. – Powinny już być wiadomości.

— Może starają się to zatuszować – domyślała się Ruth.

Poszli do baru, żeby przy kawie zaplanować dalsze działania. Oprócz znudzonego młodziana przy kasie nie było tam nikogo. Patrząc na szalejącą za oknem burzę, poczuli się jak rozbitkowie na bezludnej wyspie.

Laura i Ruth poszły do toalety, a Church, kiedy został sam, pochylił się ponuro nad kawą. Choć było ich troje, czuł, że odpowiedzialność za powodzenie lub porażkę ich misji coraz bardziej obarcza tylko jego. Z jakichś powodów został wyróżniony – przez Toma, przez tajemniczą kobietę w Strażnicy – ale nie wiedział, czego od niego oczekiwano. Nie wiedział, do czego to doprowadzi, ale pogodził się z faktem, że nie może odrzucić spoczywającej na nim odpowiedzialności. Zawsze uważał, że należy wypełnić nałożony na siebie obowiązek.

Ostrożnie wyjął czarną różę i przyjrzał się jej; ani trochę nie zwiędła. Płatki kwiatu były ciepłe i jedwabiście miękkie, a zapach był jeszcze bardziej odurzający niż na początku. Dotychczas nie miał nic przeciwko temu darowi, ale powinien wyrzucić różę, gdyby miał posłuchać rady małej Marianny i zapomnieć o przeszłości, żeby cieszyć się chwilą; ten kwiat nie mógł mu w niczym pomóc. Uniósł różę do ust i pocałował ją z roztargnieniem, potem przesunął po policzku, zastanawiając się, co uczynić. Wsunął ją w końcu z powrotem do kieszeni.

Przez dłuższą chwilę, sącząc kawę, wsłuchiwał się w pędzącą za oknem samochody. Być może powodem była pogoda, ale wydawało mu się, że ruch na autostradzie jest mniejszy, niż można by się spodziewać o tej porze roku. Zastanawiał się, czy zachodząca w całym kraju zmiana nie wpływa na ludzką podświadomość, wywołując ciągły niepokój i lęk. Nad stacją benzynową niebo przecięła błyskawica, a niemal jednocześnie

rozległ się grom. Burza przetaczała się dokładnie nad nimi.

Gdy zamierało echo grzmotu, Churchowi zdało się, że oprócz niego słyszy coś jeszcze, jakiś hałas trwający ułamek sekundy dłużej niż grom. Dźwięk zjeżył mu włosy na głowie. Zaniepokojony Church wstał i wyrzwał przez okno, gdzie jarzyły się ponuro światła nad parkingiem, a za nimi majaczyły się w ciemności, pokryte drzewami wzgórza.

Wrócił do stolika, ale nie potrafił się uspokoić i wzdrygał się od najmniejszego hałasu. Gdy kolejny grzmot wprowadził w drżenie szyby baru, Church nasłuchiwał uważnie, ale tym razem nie usłyszał dziwnego dźwięku. Był jednak pewien, że poprzednim razem się nie przesłyszał – to było jak wycie psa.



— Jak myślisz, czy on dostanie kręćka? – zapytała Laura, przekrzykując szum suszarki do rąk.

Ruth z założonymi rękami oparła się o umywalnię.

— Jest mu ciężko, ale na pewno da sobie radę.

— Widziałaś go, jak wychodził ze szpitala...

— Nie ma się co dziwić, po tym co tam zobaczył. Gdybyś miała choć trochę serca, to byś zrozumiała.

— Ja rozumiem aż za dobrze. Nie tylko ci umierający ludzie go tak nastroili. To ta dziewczynka. Ona mu się pomieszała w głowie z tą jego zmarłą dziewczyną. – Suszarka wyłączyła się i nagle w toalecie zapanowała denerwująca cisza i nastrój samotności, dodatkowo pogłębiony jaskrawym blaskiem świetlówek. – To żadna przyjemność, oglądać tych ludzi w szpitalu, życie i śmierć, i takie różne. Nie możemy ryzykować, że ktoś z nas zawiedzie w

krytycznym momencie, bo ma problemy z psychiką.

— Co proponujesz? Mamy go zostawić? – zapytała Ruth, wychodząc na korytarz. Na stacji było niewielu podróżnych, najwyraźniej wszyscy chcieli jak najszybciej wrócić do domu.

— O, jakaś ty szlachetna! Denerwuje cię, że ktoś narzeka na twojego chłopaka? – Ruth aż się skrzywiła, słuchając kpiarskiego głosu Laury. – Proponuję tylko, żebyśmy miały na niego oko. Trzymały go na wodzy, jeśli zacznie svirować.

— Nic mu nie będzie – lodowatym tonem odrzekła Ruth. – Może raz, dla odmiany, pomartw się trochę o siebie.

Kolejna błyskawica, jak błysk reflektora, rozjaśniła niebo nad parkingiem. Ruth zrobiła kilka kroków, zanim zdała sobie sprawę, że idzie sama; Laura stała przy oknie i wpatrywała się w ciemność.

— Chyba coś zobaczyłam – powiedziała. Ruth zauważyła, że to coś najwyraźniej bardzo zaniepokoiło Laurę.

Ostrożnie podeszły do drzwi, które otworzyły się przed nimi automatycznie, jakby były zaczarowane. Wyszły na zewnątrz i spod osłaniającego przez strugami deszczu dachu uważnie zaczęły obserwować parking. Samochodów było chyba więcej niż podróżnych na stacji, a w ciemności nie można było zauważyć, czy ktoś w nich siedzi. Woda wypływała już ze studzienek ściekowych i podtopiła część parkingu. Deszcz chłostał puste przestrzenie, a grzmoty następowały po sobie niemal bez przerwy. Parking wyglądał groźnie i ponuro.

— Chyba nikogo tam nie ma – nieśmiało odezwała się Ruth.

— To było coś wielkiego i szło na czworakach. Przemykało jak cień.

— Jesteś pewna, że to nie było złudzenie? Cień rzucony przez błyskawicę?

Laura zdecydowanym krokiem wyszła spod daszku w deszcz i jej blond włosy w jednej chwili stały się tak mokre, że przylepiły się płasko do głowy.

— Tam się coś rusza, pomiędzy samochodami.

— Skąd wiesz? Przecież jest za ciemno, żeby zobaczyć – zapytała Ruth, która również wyszła na deszcz.

Lecące z nieba krople były lodowato zimne i tak ciężkie, że z łatwością dostawały się pod zupełnie mokre już ubranie.

— Nie sądzę, że powinniśmy...

— To uciekaj w opiekuńcze ramiona swojego chłopaka.

Ruth miała ochotę rzucić się na Laurę z pięściami.

— Jasne, to bardzo mądre, ryzykować, kiedy jesteśmy jedynymi osobami, które mogą uratować świat.

— Rób co chcesz, ja się nie będę chować.

Jakaś dziwna nuta w głosie Laury przekonała Ruth, że jej towarzyszką kieruje coś więcej niż brawura.

— Co niby chcesz zrobić, jak zobaczysz, co tam jest?

Laura nie odpowiedziała i ruszyła przed siebie. Ruth podążyła za nią, żałując każdego kroku, ale nie potrafiąc zostawić towarzyszki samej w ciemności. Poczowała ukłucie pierwotnego strachu. Wszystkie dźwięki zagłuszał rzęśisty deszcz, grzmoty i głośny syk opon pędzących autostradą samochodów. Światła nie były w stanie rozproszyć roztaczającej się wokół ciemności.

Na parkingu stało około dwudziestu samochodów i za każdym z nich mogło się ukrywać to, czego poszukiwała Laura. Kilka pojazdów stało w przypadkowych miejscach, ale większość skupiła się w środku. Kiedy dotarły do pierwszego auta, ich ubrania były tak mokre, że utrudniały poruszanie się. Mijając kolejne samochody, od czasu do czasu dostrzegały za szybami blade twarze kierowców, którzy siedzieli z rękami na

kierownicy, najwyraźniej bojąc się opuścić oazę światła, jaką była stacja benzynowa.

— Nic tu chyba nie ma – zaczęła Ruth, ale jak tylko wypowiedziała te słowa, rozległ się niski, dudniący warkot, jakby odległego gromu. Ruth chwyciła Laurę za ramię i obie zamarły, bezskutecznie starając się odgadnąć, z której strony dochodził ten dźwięk.

— Jakieś zwierzę – powiedziała Ruth.

— Jak na to wpadłaś, pani detektyw? – zapytała Laura, zapomniała jednak o swoim zwykłym, kpiarskim tonie.

— Sądzę, że powinnyśmy się wycofać – odrzekła Ruth. Laura zawahała się, a potem skinęła głową, ale kiedy odwróciły się, pomiędzy nimi a budynkiem stacji pojawił się czarny kształt. Ruth wydawało się, że przez chwilę widziała jeszcze jakby dwa rozżarzone do czerwoności węgle.

Spróbowały szybko pobiec okreśną drogą do skąpanego w świetle budynku, ale zatrzymało je kolejne warknięcie, tym razem bliższe, przechodzące w straszne wycie psa.

— Cholera! – wyszeptała Laura.

Ruth pomyślała: To jest pogoń, polowanie!

Rzuciły się ku stacji i pędząc przez kałuże, słyszały odgłos potężnych łap. Cokolwiek je goniło, zderzyło się z jakimś stojącym przed nimi samochodem i wgniotło go z taką siłą, że, wirując, zaczął ślizgać się w ich stronę. Ruth z trudem powstrzymała krzyk. Oskoczyły w bok, pomiędzy dwa inne samochody, nie wiedząc, w którym kierunku dalej uciekać. Laura pędząc zaczęła o lusterko jednego z samochodów, a potem wpadła na drugi. Ruth zdążyła przebiec kilka kroków, zanim zdała sobie sprawę, że jej koleżanka przewróciła się i padła na kolana.

Obejrząwszy się, zobaczyła cień, rozmiarów małego konia, który skręcił nagle i ruszył pędem w kierunku najbliższego auta. Wiedziała, że kiedy bestia weń uderzy, Laura zostanie zgnieciona pomiędzy samochodami. Nie namyślając się, Ruth rzuciła się ku Laurze, która podnosiła się właśnie na nogi, chwyciła ją za kurtkę i pociągnęła. W tej samej chwili rozległ się huk i chrzęst giętego metalu, szyba jednego z samochodów rozpękała się na tysiące kawałków. Uderzenie zważyło obie dziewczyny z nóg i odrzuciło ku głębokiej kałuży.

Potwór wskoczył na maskę jednego z samochodów i pochylił się nad nimi. Wtedy obie po raz pierwszy zobaczyły go z bliska i zamarły z przerażenia. Był to ten sam pies, który zaatakował Churcha w Salisbury. Czarny Kieł. Jarzące się czerwienią oczy bestii wpatrywały się w ofiary z zabójczą przebiegłością, a gorący oddech zamieniał się na zimnie w obłoki pary. Strugi deszczu spływały po czarnej sierści, przy paszczy mieszając się ze skwierczącą jak gorący tłuszcz śliną. Laura i Ruth nie były w stanie wykonać najmniejszego ruchu, patrzyły tylko na napinające się mięśnie czarnego potwora. Powoli uniósł się, żeby skoczyć.

W tej samej chwili z chłostanej deszczem ciemności rozległ się krzyk sowy, która pojawiła się nagle nad głową psa i zanurzyła szpony w jego czerwonych oczach. Ptak uniósł się w powietrze, zanim bestia zdążyła szarpnąć ogromną głową i klapnąć zębami, ale nagły atak wystarczył, by odwrócić jej uwagę od Ruth i Laury, które zerwały się i biegły już w kierunku drzwi stacji.

Budynek, kiedy ku niemu biegły, wydawał się majaczyć na końcu długiego tunelu. Płuca pękały im od wysiłku, ale uciekinierki szybko zbliżały się do drzwi, słysząc za sobą kroki bestii, która zeskoczyła z samochodu i rzuciła się w pogoń. Nie

uda się nam, pomyślała Ruth. Łapy wielkiego psa uderzały w mokry asfalt coraz bliżej za ich plecami. Dziewczyny dobiegły wreszcie do drzwi, które otworzyły się automatycznie, wpuszczając je do rozświetlonego wnętrza.

Po sekundzie przekonały się, że wcale nie znalazły się w bezpiecznym schronieniu, gdyż pies biegł za nimi tak szybko, że automatyczne drzwi nie zdążyły się przed nim otworzyć. Bestia przebiła się przez nie, wpadła do środka w deszczu odłamków szkła, przewróciła i podniosła na nogi. Dwie panie, które wyszły właśnie z toalety, zanosły się panicznym krzykiem i wbiegły do niej z powrotem. Jakiś mężczyzna na swoje nieszczęście przypadkowo wyszedł właśnie na korytarz ze sklepu. Bestia jednym płynnym ruchem zwróciła ku niemu głowę i potężnym uderzeniem szczęk pozbawiła ręki. Nie zdążył nawet krzyknąć, od szoku stracił natychmiast przytomność i osunął się na podłogę, w kałużę własnej krwi. Ruth i Laura rozpaczliwie poderwały się na nogi. Obie czuły dławiące łyzy strachu.

Biegnąc w kierunku restauracji, słyszały za sobą chrapliwy oddech bestii, jakby sapanie potężnej lokomotywy słyszalne w całym budynku stacji. Church, gdy je dostrzegł, nie czekał na wyjaśnienia, tylko od razu zerwał się na nogi.

— Do kuchni – wysyczał, samemu rzucając się ku ladzie z gorącymi potrawami. Przesadzili ją, parząc się o gorący metal. W chwilę później do baru wpadł czarny pies. Młodzian przy kasie, rzuciwszy bestii jedno spojrzenie, błyskawicznie zniknął pod ladą, nie wiadomo czy ze strachu, czy w omdleniu. W kuchni zastali dwóch znudzonych, czekających na zamówienia kucharzy. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, uciszyło ich warczenie potężnego psa.

— Boże, co to jest? – zawołał jeden z kucharzy, wybałuszając

oczy.

— Niech panowie zamkną te drzwi na klucz! – zażądał Church. Były to ciężkie drzwi przeciwpożarowe.

Kucharz skinął głową w osłupieniu, sięgając do kieszeni po pęk kluczy. Po drugiej stronie słychać było coraz głośniejszy oddech bestii. Rozległ się hałas blaszanych naczyń na ladzie, na którą wskoczył pies, a potem głuchy łoskot, kiedy wylądował po drugiej stronie. Kiedy kucharzowi udało się wreszcie znaleźć klucz, Church wyszarpnął mu go z rąk i szybko zamknął drzwi. Pies zaczął taranować je, gdy tylko wycofali się na drugą stronę kuchni i schowali za metalowym stołem do przygotowywania posiłków.

— Co tam jest? – płaczącym głosem zapytał drugi kucharz. Church spojrzał na Ruth pytająco.

— To Czarny Kieł – odrzekła słabym głosem. Nagle zaczęła się trząść z nerwów i zimna. Church otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie.

— Czy to tak już zawsze będzie? – wyjąkała. – Ani chwili wytchnienia?

Drzwi zadrżały pod kolejnym ciosem tak potężnym, że wszyscy aż podskoczyli ze strachu.

— Co to ma być? – krzyknął jeden z kucharzy, po czym razem z kolegą zaczął czołgać się z dala od drzwi, rzucając gniewne i przestraszone spojrzenia w kierunku Churcha, Ruth i Laury.

— Jak mamy dać radę czemuś takiemu? – odezwała się Ruth. – Prędzej czy później nas dostanie.

— Pies nie jest najgorszy – ponuro odparł Church. – Słyszałaś, co powiedział Tom. To tylko zwiastun, prekursor.

— Czego prekursor? – zapytała Laura. Jakby w odpowiedzi, na dachu ponad nimi usłyszeli huk przypominający tętent koni

biegających z jednej strony budynku na drugą. Rozległo się wycie czarnego psa, jakby witał się lub próbował ostrzec nowego przybysza.

Ku swojemu zaskoczeniu Ruth zauważyła na twarzy Laury paniczny lęk; z jej imponującej pewności siebie pozostał tylko cień. Ruth ostrożnie wyciągnęła rękę, żeby ją pocieszyć, ale Laura wzdrygnęła się pod dotknięciem i cofnęła, nic nie mówiąc. Jej twarz przeszył nieznany cień, a w oczach było tylko otępienie i strach.



Resztę nocy spędzili, umierając ze strachu, uwięzieni w kuchni, przysłuchując się dochodzącym zza drzwi dźwiękom, zagadkowym warknięciami, wyciu i oddechom niepodobnym do odgłosów żadnego znanego na Ziemi zwierzęcia. Raz, po dłuższej chwili ciszy uznali, że bestie sobie poszły, ale kiedy Church już zabierał się do otwierania drzwi, te znów zadrżały pod potężnym ciosem i niemal wypadły z zawiasów. To było ostrzeżenie, którego nie zignorowali przez pozostałą część nocy.

Kiedy chmury zaróżowiły się z pierwszym świtem, Church ostrożnie uchylił okno i wyjrzał na zewnątrz. Autostrada była pusta, wiatr przegnał burzę, choć na niebie wciąż kłębiły się chmury. Z niepokojem dojrzał pośród nich coś, co wyglądało jak czarne sylwetki jeźdźców chowających się przed światłem, gotowych powrócić następnej nocy.

Odwrócił się do stojących za nim ludzi.

— Chodźmy.



Zgodnie z oczekiwaniami Churcha restauracja była pusta. Kucharze z okrzykiem ulgi wybiegli z kuchni i powitali ukrytego za kasą młodziana, który wyglądał na zupełnie oszołomionego. Ponieważ nie stanął czarnemu psu na drodze, ten nawet nie zwrócił na niego uwagi. Ciężkie drzwi kuchni były pocięte i wyżłobione.

Reszta budynku stacji wydawała się opuszczona, ale Churchowi udało się w końcu znaleźć kilku pracowników w biurze dyrekcji.

W pokoju obok leżało przykryte ciało mężczyzny, któremu pies odgryzł ramię. Przez całą noc nie działały telefony, nie można było więc wezwać pomocy; wysiadły nawet telefony komórkowe. Pracownicy stacji stwierdzili, że to wpływ zakłóceń elektrycznych w czasie burzy, nikt jednak nie był w stanie wyjaśnić, co stało się z kierowcami, którzy pojechali po pomoc i nie wrócili. Nikt najwyraźniej nie chciał uwierzyć w to, co się stało. Mówili o zdziczałych psach, jakby napadła ich cała sfora, i nie przyjmowali do wiadomości nadprzyrodzonego charakteru nocnej napaści. Starali się w ten sposób narzucić niedawnym wydarzeniom jakiś porządek, a Church, Ruth i Laura postanowili nikomu w tym nie przeszkadzać i wyszli sami na parking.

Zbliżając się do nissana, zauważyli, że wewnątrz pali się światło, a drzwi są uchylone. Ostrożnie okrążyli samochód, spodziewając się zasadzki, i okazało się, że otwarty jest również bagażnik, z którego wywleczono ich bagaże. W stacyjce tkwił brutalnie tam wciśnięty śrubokręt.

— Co za sukinsyny to zrobiły! – zawołała Laura. – Ostatnio

zupełnie nie mamy szczęścia!

— Myślę, że to ci sami, którzy ganią nas w nocy – odrzekł Church, przeszukując bagaże.

— Myślisz, że szukali kamienia? – zapytała Laura, bezwiednym ruchem dotykając swojego plecaka.

Skinął głową.

— Ale to nie ta bestia. Ona nie byłaby w stanie otworzyć łomem bagażnika.

W milczeniu uporządkowali bagaże, po czym zatankowali samochód i wyjechali na autostradę, nie starając się nawet zadawać pytań, na które żadne z nich i tak nie znało odpowiedzi.

Po burzy zaczął się jasny i pogodny dzień. O tak wczesnej godzinie na autostradzie było niesamowicie pusto, nie widać było nawet ciężarówek, które zwykle ciągnęły powoli w kierunku Exeter i Torbay. Sceneria zaczęła zmieniać się, kiedy przekroczyli granicę hrabstw; łagodne, zielone wzgórza Somerset ustąpiły miejsca dzikim, skalistym wzniesieniom Devon, gdzie częściej przejeżdżali też przez gęste, rozświetlane jutrzenką lasy. Kiedy mijali Exeter, światło latarni, trzymanej przez Ruth na kolanach niczym dziecko, skierowało ich na zachód. Autostrada kończyła się na południe od miasta, zjechali więc na drogę A30, która biegła przez górzysty kręgosłup Kornwalii ku czubkowi tego wysuniętego na południowy zachód półwyspu. Nie ujechali daleko, bo błękitny promień zamigotał i nakazał ruszyć niewielką, boczną drogą prosto ku wrzosowiskom Dartmoor.

— Nie podoba mi się, że znów oddaliśmy się od cywilizacji – odezwała się Ruth, z niepokojem obserwując krajobraz coraz bardziej pozbawiony ludzkich siedzib. Na horyzoncie majaczyły rozległy płaskowyż Dartmoor.

— Spójrz na mapę – odrzekła Laura, siedząca z nosem w atlasie drogowym Churcha. – Okoliczne drogi nadają się tylko do przepędzania świń, wsi jest mało i mieszka w nich niewielu ludzi. Witamy na końcu świata!

Pola ustąpiły rozpościerającym się na wysoczyźnie wrzosowiskom i chłostanym przez wiatr skalom.

— Co my tam znajdziemy, na tych pustkowiach? – zapytała Ruth, a kiedy nikt nie odpowiedział, odezwała się znowu: — Chcę z powrotem do wieżowców, samochodów, zanieczyszczonego powietrza...

— Tam wcale nie będziesz bezpieczniejsza – przerwał jej Church. – Tak ci się tylko wydaje.

Laura nagle przekrzywiła się przy oknie, bo zauważyła coś na czystym, porannym niebie.

— Ej! Następna gadzina! Myślałam, że one latają tylko po nocy.

Ruth spojrzała w to samo miejsce. Z nieba zanurkowała ku nim ogromna sowa, potem uniosła się znowu w powietrznych prądach i krążyła nad nimi, bez trudu podążając za samochodem. Ruth zmrużyła oczy, starając się dostrzec jakiś szczegół na odległej sylwetce ptaka. Instynktownie wiedziała, że jest to jej towarzyszka, która w nocy zaatakowała na parkingu czarną bestię.

Z niezrozumiałych dla siebie powodów, Ruth nie powiedziała Churchowi i Laurze o spotkaniu z tajemniczą dziewczyną w lesie. Choć było to niepokojące doświadczenie, wydawało się ono w pewnym sensie zbyt osobiste, by komukolwiek o nim mówić; czułaby się tak, jakby zawiodła czyjeś zaufanie. Poza tym, w zimnym świetle dnia sowa wcale nie wydawała się straszna.

— To jest ta sama, która uratowała nam życie na stacji benzynowej – oznajmiła Laura.

— To nie ma sensu – odparł Church. – Dlaczego miałyby to robić? Przecież ptaki nie robią głupich rzeczy.

Ruth nic nie powiedziała. Zastanawiała się natomiast, dlaczego dziewczyna w lesie użyła słowa towarzysza, tak jakby sowa miała jej towarzyszyć jak jakiejś czarownicy. W zamyśleniu wpatrywała się w podążającego za nimi ptaka.



Wkrótce zostawili za sobą ostatnie oznaki cywilizacji. Jak na zawołanie, znikąd pojawiła się następna burza. Błękitne niebo pokryły szare jak krzemień chmury, przewalające się i kłębiące w wichurze jak dym z wielkiego pożaru. Burzowy front rzucał na wrzosowiskach ogromną płachtę cienia. Na horyzoncie zaczęło się błyskać, a wkrótce potem usłyszeli gromy. Gdy tylko spadły pierwsze krople deszczu, Church włączył wycieraczki. W chwilę później lunęło. Zatrzymał samochód, mając nadzieję, że burza szybko minie, i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zaproponował, żeby znaleźli jakieś miejsce do spania i odpoczęli.

Kiedy deszcz zelżał nieco, powoli ruszyli dalej, ale wzdłuż drogi nie było żadnych osiedli. Dotarli w końcu do wsi o nazwie Two Bridges, składającej się raptem z jednego domu i wielkiego, białego budynku pubu. Kiedy wjechali na grzbiet wzgórza za wsią, ich oczom ukazał się jeszcze jeden budynek, niesamowicie stara gospoda zbudowana z czerwonego piaskowca, z piętrem z muru pruskiego. Przysadzisty budynek wyglądał tak, jakby uniosła go w powietrze i przeniosła tutaj jakaś potężna siła. Gomółkowe okna były zbyt ciemne, by zobaczyć, co kryje się w środku, ale Church dostrzegł w nich zapraszające migotanie

ognia. Na wietrze kołysał się nad drzwiami stary, drewniany szyld przedstawiający nie do końca ludzką twarz z zielonych liści, pod którą widniała nazwa gospody: Zielony Jaś. Ta legendarna postać była często kojarzona z gościnnością. W oknie przy drzwiach widniała kartka informująca o wolnych pokojach do wynajęcia.

Church zatrzymał samochód na niewielkim, wysypanym żwirem parkingu przed gospodą i wszyscy pobiegli w strugach deszczu ku osłoniętemu kamiennym gankiem wejściu. O tak wczesnej porze drzwi były zamknięte, ale po długim waleniu kołatką usłyszeli w końcu w środku jakiś ruch. Otworzył im chudzielec w białej podkoszulce, która furkotała na jego wąskim tułowi jak żagiel. Mężczyzna miał wielką łysinę, jedynie nad uszami pozostały kępki czarnych włosów. Usta zasłaniał gęsty, czarny wąs. W jego spojrzeniu była ciekawość i przenikliwość przywodząca na myśl chomika, a nad prawym okiem straszyla wielka blizna, ale uśmiechał się dość miło, by wzbudzić ich zaufanie.

— Zabłąkani wędrowcy na deszczu? – zapytał głosem złośliwego chochlika.

— Z przyjemnością wynajęlibyśmy pokój, jeśli ma pan jakiś wolny – odrzekł Church.

— Widzą państwo, że to nie centrum Londynu i o tej porze roku raczej nie jesteśmy przepełnieni.

Mężczyzna cofnął się i teatralnym gestem zaprosił ich do środka. Pełny smaku wystrój wnętrza pasował do sędziwości budynku: kamienne płyty podłogi, stoły z ciemnego drewna, ławy i zydle, na ścianach kilka sztychów i starych fotografii. W kominku, dość wielkim by mogły przed nim stać dwie ławy, wesoło buzował ogień. Gospodarz zauważył, że nań patrzą, więc

wyjaśnił: — Ładny, prawda? Muszę stale podtrzymywać w nim ogień, nawet w lecie. W tych okolicach jest taki przesąd, że jeśli zgaśnie ogień, to gospodarza wkrótce spotka straszna śmierć. Sam w to nie wierzę, bo jestem wykształconym mieszcuchem, ale wolę nie ryzykować bez potrzeby.

Były tylko trzy pokoje do wynajęcia, wszystkie wolne, skulone na piętrze pod pochyłym dachem tak niskim, że Church musiał się pochylić, żeby wejść. W przytulnych pokojach stały metalowe łóżka przykryte pościelą w staroświeckie wzory. Izby ogrzewał ogień rozpalany na otwartych paleniskach. Gospodarz, który przedstawił się jako Simon, zajął się rozpalaniem tego ognia, żeby „wysuszyć powietrze”. Wydawało się, że jest bardzo zadowolony z towarzystwa i w ciągu kilku minut, nie przerywając potoku swojej wymowy, pokrótce zaznajomił ich z historią swojego życia. Był kiedyś, wraz z niejakim Stuartem, właścicielem baru w Leeds, ale w czasie wakacji w Devon postanowili kupić Zielonego Jasia, który był wtedy przeznaczoną do rozbiórki ruiną.

— Jesteśmy tutaj misjonarzami – powiedział sardonycznym tonem. – Niesiemy tej zacofanej kulturze ewangelię dobrego gustu, dobrego jedzenia i wina oraz dobrze urządzone wnętrza.

— To dość daleka przeprowadzka, z Leeds do Dartmoor – zauważył Church.

Simon wzruszył ramionami.

— Nie jest tak źle, cóż mam powiedzieć. Ludzie oczekują tutaj, że będę przestrzegał różnych niepisanych reguł, ale czasem lepiej po prostu robić to, na co ma się ochotę. Nie można tutaj w okolicy kupić ani nosić takich butów i ubrań, jakie bym chciał. Jestem... odszczepieńcem.

Słysząc było, że Simon nie mówi im wszystkiego o sobie, a

kiedy Ruth zapytała go o bliznę nad prawym okiem, skrzywił się zmieszany.

— Ludzie o ciasnych umysłach umieją celnie zadawać ciosy. – Wydawało się, że nie chce nic więcej powiedzieć, ale najwyraźniej nie mógł się powstrzymać. – Mieliśmy kiedyś miły domek na miłym przedmieściu, ale stopniowo zaczęła się tam zmieniać atmosfera. Zwykle dzieje się tak za sprawą jakiegoś gangu narkotykowego albo bandy rozwydrzonych młodych ludzi, ale w tamtym przypadku dopadli nas maniacy religijni. – Simon gniewnie zgryzł wargi. – Wiedzą państwo, co to za ludzie. Neofici, nowo narodzeni, fundamentaliści. Wciąż puszczały te rasistowskie komentarze o czarnuchach, którzy nas zaleją. Wszyscy byli dla nich podejrzani. To była jakaś sekta, która wybudowała w okolicy szkołę religijną, nie wiem dokładnie, co za wyznanie, sam jestem niewierzący.

Simon zmrużył na chwilę oczy, szukając na ich twarzach oznak wrogości, a potem mówił dalej: — Kupili na naszej ulicy dom, nie pytając nawet o cenę. Potem, za każdym razem, kiedy ktoś sprzedawał, byli pierwsi w kolejce. Wkrótce czuliśmy się jak w oblężonej twierdzy. – Westchnął. – Ja jestem zgodnym człowiekiem, trzeba się nieźle namęczyć, żeby mnie rozdrażnić. Ale szybko okazało się, że ci maniacy nie lubią takich ludzi jak ja i Stuart. Według ich Księgi Przykazań tacy jak my to nasienie szatana. Chrześcijańska solidarność według nich raczej nie była przeznaczone dla nas. Wcześniej wszyscy na ulicy się znali i pomagali sobie, a potem nagle nikt nie chciał z nami rozmawiać. Zaczęły się małe przykrości... Ktoś wciąż dzwonił na policję i skarżył się, że źle parkujemy samochód. Potem zadzwonił do nas ktoś z lokalnej gazety. W wolnym czasie pomagałem wtedy trochę w przedszkolu, zabawiałem dzieciaki, urządzałem

festyny. Od lat się tym zajmowałem. I nagle pojawiły się skargi, że „nie jestem odpowiednią osobą do pracy z dziećmi”, cokolwiek to znaczy. A potem zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

— To straszne – powiedziała Ruth z troską w głosie. Simon wzruszył tylko ramionami.

— Cóż, takie jest życie. W każdym razie wypadki następowały szybko po sobie i w końcu pewnej nocy jakiś wstrętny tchórz wrzucił nam przez okno cegłę, która trafiła mnie właśnie tutaj. – Wskazał na bliznę dłonią, którą zacisnął potem w pięść. – Nawet bym się nie zdenerwował, ale pokrwawiłem sobie przez niego ulubioną koszulę! – dodał z gorzkim uśmiechem.

— I dlatego się przeprowadziliście? – zapytała Ruth.

— Nie, właściwie nie. Nigdy nie uciekałem od ludzi, którzy zagrażali mojemu stylowi życia. Ale potem wielu z tych maniaków zaczęło zasiadać w radzie samorządowej, dostali się też do komisji szkolnych, wszędzie, gdzie mogli wywierać wpływ na życie sąsiedztwa. Kiedy taki światopogląd miesza się z polityką, mamy gotową katastrofę. Wszędzie szukali sług diabła. Stuart i ja musieliśmy się wynosić.

Wyraźnie targał nim gniew na niesprawiedliwość, jakiej doznał, ale zmienił w końcu temat i zaczął z entuzjazmem opowiadać o planach założenia pubu. Z jego komentarzy wynikało, że został do pewnego stopnia zaakceptowany przez niewielką społeczność, która zwykle nie lubiła obcych z wielkiego świata. Nie umknęła im jednak nuta ironii w jego głosie.

Gdyby mu pozwolili, mógłby mówić całe popołudnie, ale na szczęście opuścił ich w końcu i pozwolił rozgościć się w pokojach. Każde z nich wybrało dla siebie pokój i od razu położyli się do łóżek, słuchając bijącego o szyby deszczu, na tle którego w każdej

chwili mogło się rozlec upiorne wycie czarnego psa. Bali się zamknąć oczy.

Church miał tej nocy niepokojące i chaotyczne sny. Pojawiła się w nich kobieta ze Strażnicy, z wyciągniętymi ramionami domagająca się od niego wypełnienia jakiejś misji. Nie mógł jednak usłyszeć, co mówiła i oglądał tylko jej zatroskaną twarz. Potem wszystko zaczęło wokół niego krążyć i zbliżać się: przycupnięte, zwierzęce kształty, poruszające się czasem na dwóch, czasem na czterech nogach, za nim oczy przeszywające jego plecy przerażającym spojrzeniem, oczy, których nie był w stanie dostrzec, bo nogi miał jak skamieniałe i nie mógł się odwrócić. Wtem poczuł w dłoni ukłucie bólu – to Czarna Róża. Na jej łodydze wyrósł nieobecny tam wcześniej kolec, który przebijał dłoń Churcha. Krew kapłała gęsto jak krople deszczu, mocząc mu całe ubranie, zbierając się w kałużach na ziemi, płynąc coraz bardziej burzliwymi strumieniami.



Obudził się nagle. Zapadał już zmierzch, a z ognia na palenisku pozostało tylko kilka dogasających węgli, których czerwony żar przynosił dziwne ukojenie. Trudno było mu uwierzyć, że tak długo spał. Przypomniawszy sobie ulatujące fragmenty snu, wyjął z kurtki Czarną Różę i przyjrzał się jej uważnie. Na łodydze nie było żadnego kolca. Czule przesunął palcami po kwiecie, po czym spojrzał w spowijającą pokój ciemność.

— Marianno? Słyszysz mnie? – jego ochrypły szept szeleścił w ciszy jak papier. Odczekał chwilę, tracąc nadzieję, a potem usiadł

na łóżku i oparł twarz na dłoniach.

Za oknem roztaczała się groźna i zimna połać Dartmoor, wyglądająca jak plama brudnej szarości pod burzliwym niebem. Na szczęście przestał padać deszcz.

Z parteru dochodziła stłumiona muzyka, Pet Shop Boys śpiewali *Being Boring*, więc Church zszedł do baru, gdzie ujrzał Simona tańczącego samotnie przed kominkiem. Wydał z siebie pisk przerażenia, kiedy Church się do niego odezwał.

— O, Boże! Aleś mnie przestraszył! Zawsze się tak skradasz jak złodziej w nocy?

Church wzruszył ramionami.

— Nie wiedziałem, że się skradam.

— No to się dowiedziałeś! – Simon tanecznym krokiem podszedł do baru, popląsał przy nim trochę, a potem posłał Churchowi wybaczący uśmiech. – Jak tam, wyspałeś się?

Church skinął głową.

— Czy dostanę coś do jedzenia?

— Jesteś szczęśliwym chłopcem! Stuart jest świetnym kucharzem i da z siebie wszystko, żeby cię zadowolić! Cały dzień spędził na zakupach w Plymouth, więc w dzisiejszym menu są prawdziwe smakołyki. Łosoś, piotrosz, jagnięcina w sosie porzeczkowym i jakaś wspaniała potrawa z makaronu i kalmarów. Poczujecie się tak, jakbyście umarli i poszli do nieba. Mówię ci, niektórzy przejeżdżają z bardzo daleka, żeby skosztować tego, co ugotował.

Simon zniknął na zapleczu, z którego przyniósł ręcznie napisaną kartę dań.

— Mam nadzieję, że zostaniecie tu przez resztę wieczoru. To będzie szalona noc! Odrobina luksusu w tym ponurym krajobrazie.

Church uśmiechnął się nieszczercze, bo myślami był gdzie indziej: Marianna martwa na podłodze ich mieszkania, mała Marianna w jego ramionach, jego własne ciało tonące w strumieniu. Czasem trudno mu było zrozumieć, co trzyma go jeszcze przy życiu.

Szybko dostał zamówiony posiłek i, zgodnie z obietnicą Simona, smażony kurczak ze szczypiorkiem smakował wspaniale. Church mógłby zjeść konia z kopytami, od tak dawna nie miał nic w ustach. Kiedy pałaszował kurczaka, w jadalni pojawiła się Ruth. Niedawno wyszła spod prysznic, jej włosy wciąż były mokre i wyglądała na wypoczętą, beztroską, kiedy z ciepłym uśmiechem usiadła naprzeciw Churcha.

— Widzę, że znów troszczysz się o swój żołądek – powiedziała, pochylając się i porywając mu z talerza kawałek kurczaka.

— Ty też wyglądasz ostatnio inaczej, jakbyś się zmieniła – odrzekł, wpatrując się w jej twarz, rozświetloną wewnętrznym blaskiem.

— Jak zmieniła?

— Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zauważyłem to dopiero, kiedy zwijaliśmy obóz w lesie. Wydajesz się w jakiś sposób silniejsza.

Zaśmiała się beztrosko, po czym chwyciła menu.

— Wczoraj, jak mnie gonił ten pies, wcale nie czułam się silna.

— Ale przynajmniej coś robiłaś. Większość ludzi by oszalała w takiej sytuacji. – Unikał jej wzroku, udając, że bardzo interesuje go zawartość talerza. – To dobrze, że jesteś z nami.

Oczy Ruth zabłysły, ale powstrzymała cisnący się na twarz uśmiech.

— Pierwszy raz słyszę od ciebie coś, co można nazwać komplementem.

— No to się ciesz, bo lepiej już nie będzie. – Dokończył ostatni kawałek kurczaka i odsunął talerz. – Szkoda, że nie wiemy, dokąd mamy teraz pojechać i co tam zrobić. To by nam pomogło.

Simon wychynął zza baru, taszcząc jakąś maszynę, którą umieścił na ich stole. Pocąc się i klnąc pod nosem, poprzesuwał potem stoły i krzesła, tak, że w rogu sali powstała wolna przestrzeń. Z kuchni wyszedł w międzyczasie młody Murzyn o poirytowanym wyrazie twarzy. Był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, miał wspaniałe kości policzkowe, mięśnie dobrze widoczne pod jedwabną koszulą, oraz nieco kobiece rysy twarzy. Domyślili się, że ich oczom ukazał się właśnie partner Simona. W uwalanych smarem dłoniach trzymał klucz francuski. Już zabierał się do jakiejś tyrady, kiedy dostrzegł Ruth i Churcha, do których uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Ja tu sobie łamię kręgosłup, a on bawi się swoim motorem! – zawołał Simon z udawanym rozdrażnieniem. Najwyraźniej często się o to kłócili.

Ruth z niepokojem spojrzała na okno, za którym nagły podmuch wiatru przyniósł ze sobą deszcz. Było już zbyt ciemno, by dojrzeć cokolwiek poza kręgiem światła wokół ganku.

— Sądysz, że Czarny Kieł dzisiaj wróci? – zapytała. Z jej twarzy znikła wesołość, którą zastąpił strach.

— Dajemy sobie radę, jak możemy – zdecydowanym głosem odparł Church. – Nikt z nas nie wie, co robić, i nie umiemy się bronić przed tymi rzeczami. Nie można nic zaplanować. Myślę, że musimy po prostu stawić czoła wszystkiemu, co się nam przydarzy, tak jak w zwykłym życiu. Umiesz zaproponować coś innego?

— Nie wiem – odparła i spojrzała na buzujący w kominku ogień. Wolałaby siedzieć bliżej Churcha. – Czy sądzisz, że

możemy ufać Laurze? – zapytała bez związku.

— A ty jej nie ufasz?

— Nie wiem, czasem nie. Nie podoba mi się jej stosunek do otoczenia, sądzę też, że często kłamie, jakby miała jakieś własne plany.

— Cóż, nie jest bardzo sympatyczna, ale wydaje się być w porządku.

Ruth starała się usłyszeć jakieś drugie dno w odpowiedziach Churcha. Była przekonana, że Laura go pociągała, nawet jeśli on sam nie zdawał sobie z tego sprawy, i miała nadzieję, że jej podejrzenia wynikają tylko ze ślepej zazdrości. Ruth była rozdrażniona swoimi rozterkami uczuciowymi, gdyż nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła; była przyzwyczajona do wewnętrznego spokoju. Uczucie, jakim darzyła Churcha, rosło za każdym razem, kiedy wspólnie stawiali czoła niebezpieczeństwu, a on nie dawał nawet najmniejszych oznak wzajemności. Nie wiedziała, czy jest tak dlatego, że nie mógł zapomnieć o Mariannie, czy też po prostu nic do Ruth nie czuł, sama jednak była pewna, że na takiego kogoś jak on czekała całe życie.

— Jeśli masz jakieś wątpliwości, to powiedz mi – powiedział Church i spojrzał jej w oczy. – Ja nie jestem dobrym obserwatorem ludzi.

— Jeszcze nie wiem. Powiem, kiedy będę miała pewność. – Ruth wybrała danie z karty i spojrzała na Simona, który zajęty był ustawianiem w rogu prowizorycznej sceny. Nie musiała czekać długo na swój posiłek: obsmażonego łososia w warzywach z grilla, równie smakowitego co kurczak, którego zjadł właśnie Church.

Simon pozdrowił Laurę śmieszoną miną, która dopiero teraz

pojawiła się w drzwiach jadalni, trzymając pod pachą komputer. Dziewczyna spojrzała na niego piorunującym wzrokiem i opryskliwie zapytała: – Macie tu dużo gości? Raczej mi się nie wydaje.

— No posłuchajcie jej tylko – odciął się Simon i dalej pracował przy scenie.

Laura rzuciła spojrzenie na talerze Ruth i Churcha.

— Mam nadzieję, że wegetariańskie jedzenie też tu dają.

— Dlaczego masz taki zły nastrój? – zapytała Ruth.

— Nie działa. – Postawiła komputer przed nimi na stole. – Naładowałam akumulator i próbowałam go włączyć, ale jak tylko weszłam na internet, rozległ się ten piszczący chichot, na ekranie pojawiły jakieś zupełnie szalone obrazy, a potem komputer padł.

Rozległ się trzask upuszczonego przez Simona mikrofonu. Gospodarz uśmiechnął się przepraszająco, kiedy na niego spojrzeli, po czym zaklął pod nosem i zaczął rozwijać jakiś kabel.

Church spróbował włączyć komputer, ale po kilku nieudanych próbach potrząsnął głową.

— Zastanawiam się, czy tak już zawsze będzie, czasem wszystko będzie działać normalnie, czasem nie, czy może kiedyś z dnia na dzień stracimy całą technologię i pewnego ranka obudzimy w epoce kamienia łupanego.

Milczeli przez chwilę pogrążeni w myślach, po czym Laura wezwała Simona i wygłosiła długą tyradę. Skończyła mówić dopiero wtedy, kiedy Stuart zgodził się przygotować wegetariański posiłek według jej niezwykle szczegółowego przepisu. Kiedy go jej przyniesiono, Ruth zamówiła czerwone wino, a Church piwo. Alkohol dodał im otuchy i na chwilę zapomnieli o szalejącej na zewnątrz burzy, a kiedy Laura

skończyła jeść, wszyscy usiedli bliżej kominka, do którego Simon wrzucił właśnie nowe, trzeszczące i strzelające iskrami polana. Pamiętali jednak, że poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał ogień i alkohol, jest iluzoryczne.

Church spojrział na ustawioną przez Simona scenę, gdzie stał mikrofon, telewizor i jakaś dziwna maszyna.

— Co on planuje?

— Karaoke – w roztargnieniu odrzekła Laura. Zajęta była kopaniem jednego z polan, z którego w rytm uderzeń jej buciora sypały się w komin iskry. – Ten człowiek to chodząca desperacja. Wydaje mu się, że zaraz się zbiegną wszystkie pastuchy i wsioki z Dartmoor i zaczną nam tutaj śpiewać piosenki Celine Dion.

— Dobrze wiesz, że sama wleziesz za nimi na tę scenę – zakpiła Ruth.

— Pewnie, żeby się poniżyć przed niższymi formami życia. Taka zboczona jeszcze nie jestem.

Następne kilka godzin spędzili popijając piwo i wino, niewiele rozmawiając. Wszyscy słuchali wycia wiatru w kominie i deszczu bębniącego o szyby jak palce jakiegoś ducha. Starając się uniknąć marcowego chłodu, stłoczyli się przy dającym poczucie bezpieczeństwa ogniu. Trudno byłoby ich odróżnić od grupy podróżnych tłoczących się wokół ognia w średniowieczu lub dowolnej innej epoce.

Ku ich zaskoczeniu, do pubu zaczęli schodzić się goście i pomału w sali zrobiło się tłoczno. Byli wśród nich przemoczeni i brudni staruszkowie w starych wiatrówkach, którzy wyglądali, jakby szli tutaj całe mile przez chłostane deszczem wrzosowiska. Kilka młodych par trzymało się za ręce i chichotało przy każdej nadarzającej się okazji, były też starsze małżeństwa ubrane w drogie budrysówki i dobrane do nich kolorem kalosze. Niektórzy

przyszli z psami, wielkimi, mokrymi labradorami. Wśród gości byli nieśmiali nastolatki, kobiety w perłach, bezrobotni mężczyźni w kraciastych koszulach i połatanych dżinsach. Wszyscy jak jeden mąż, gdy tylko weszli do pubu, rozluźniali się i dawali porwać wesołemu nastrojowi, muzyce, ożywionemu gwarowi rozmów. Wesoła atmosfera udzieliła się również Ruth, Laurze i Churchowi, których podniosły na duchu śmiechy, rozmowy oraz wypity alkohol. Wydawało się, że tej nocy uda się im obronić przed ciemnością.

Simon, który zebrał właśnie szklanki z pobliskiego stolika, podszedł do nich i pochylił się nad Laurą.

— I co, pani mądralińska? Jednak są goście.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Daj mi trochę czasu, żebym się oswoiła.

— Wyglądasz na doświadczoną klubowiczkę – odparł Simon, ale w jego lodowatej kpinie słychać było nutę szacunku.

Kiedy odszedł, Ruth pochyliła się i ze złośliwym uśmiechem powiedziała do Laury: – Geje zawsze lubią wredne jędze, nieprawda?

— Geje mają świetny gust, jeśli chodzi o kobiety, i dlatego nawet na ciebie nie spojrział.

Wkrótce potem zaczęło się karaoke, które ze swadą prowadził Simon. Stali bywalcy byli nim zachwyceni i oklaskiwali wszystkie kąśliwe uwagi i zapewne po wielokroć powtarzane kawały, nagradzając go za coraz bardziej ekstrawaganckie zachowanie. Nie brakowało też ochotników gotowych wejść na scenę i choć ich głosy nie były za dobre, nadrabiali dobrą miną i entuzjazmem. Największy aplauz zdobył rumiany farmer o siwych włosach, który zapewne nigdy nie opuścił hrabstwa Devon, ale z powodzeniem wcielił się w postać Shafta,

murzyńskiego detektywa z Nowego Jorku. Zakończył piosenkę z filmu okrzykiem: „Yo!”, po którym nastąpiła burza oklasków.

Kiedy skończył, Simon wziął mikrofon i powiedział: – Mamy dziś troje nowych gości i zgodnie z tradycją powinni nam oni zaśpiewać.

Ku swojemu zaskoczeniu, Church, Ruth i Laura znaleźli się nagle w centrum zainteresowania wiwatującej publiczności.

— No chyba żartujecie! – zawołała Laura. Ruth potrząsała głową zmieszana.

— Przecież ja zupełnie nie mam słuchu!

Church upił wielki łyk piwa i podjął męską decyzję: – Chodźmy! Oni dla nas zaśpiewali.

Laura odwróciła wzrok, mrużąc coś pod nosem, ale Church wziął ją za rękę i pociągnął ku scenie. Na twarzy wciąż miała wyraz niechęci, ale w jej oczach widać już było przebłyski entuzjazmu. Dała się poprowadzić jak rozgniewane dziecko. Ruth ruszyła za nimi, czerwieniąc się ze wstydu.

Church, kiedy znalazł się na scenie, przypomniał sobie swój pierwszy koncert. Grali wtedy w klubie studenckim na uniwersytecie w Leeds. Listopadowy wieczór był deszczowy, tak samo jak dziś, a w klubie słuchało ich tylko kilku najwytrwalszych gości. Zawsze uważał się za osobę cichą i zamkniętą w sobie, ale zmieniło się to, kiedy kupił pierwszą gitarę. Pierwszy występ na scenie był jak objawienie – pokonał porażającą treść. Wstyd mu było po tym, jak zwymiotował. Waliło mu serce, nerwy targał nadmiar adrenaliny, a świadomość zanikała w miarę, jak stapiał się w jedno z muzyką. Czuł się, jakby sam był melodią, uwięzioną tylko w ciele wychudzonego chłopaka w za dużej skórzanej kurtce. Nie chodziło o sławę, tylko o przyjemność obdarzania innych, bycia

częścią większej całości. Muzyka zdawała się płynąć w żyłach, dawała prawdziwą radość z życia. Później nie próbował rozpoczynać profesjonalnej kariery, gdyż radość z występowania nie była u niego skażona ambicją. Wiedział, że występując dalej, z biegiem czasu zapomniałby o tej niewinnej przyjemności.

Na prowizorycznej scenie karaoke, choć miał tam tylko śpiewać, poczuł tę przyjemność tak samo silnie, jak za pierwszym razem i na chwilę doznał ogromnej ulgi: nie dręczyły go wyrzuty sumienia, strach, żal i niepewna przyszłość. Kiedy wybrali piosenkę i zabrzmiały jej pierwsze takty, ze smutkiem zdał sobie sprawę, że to cudowne uczucie minie, jak tylko zejść ze sceny.

Kiedy na liście dostępnych utworów zauważył tytuł przeboju Sinatry, wiedział, że muszą zaśpiewać właśnie tę piosenkę. Laura włożyła palce do ust i zaczęła udawać, że wymiotuje, a Ruth przewróciła oczami. Obie wiedziały jednak, że ich protesty na nic się nie zdadzą, i kiedy chwycił mikrofon, bez dalszych sprzeciwów stanęły za nim jako chórek. Nawet nie spojrział na monitor, bo tekst znał na pamięć:

Fly me to the moon And let me play among the stars...

Kiedy obejrzał się ku Laurze, ta wciąż miała nadąsaną minę i udawała, że się nie bawi, ale w jej oczach widać było błysk radości; kiedy zrozumiała, że zajrzał za jej maskę, odwróciła wzrok. Natomiast Ruth nadrabiała braki w słuchu zaskakującym entuzjazmem. Wkrótce dziewczyny zaczęły tańczyć, a Church padł na kolana i zrobił swoją popisową minę w stylu Sinatry.

W normalnej sytuacji zapewne nie zdobyliby się na taki występ, ale niepokój i niebezpieczeństwo sprawiły, że musieli znaleźć zapomnienie w jakiejś prostej, bezmyślnej rozrywce,

dzięki której mogli przestać zaprzętać sobie pogoniami, czarnym psem i paraliżującym umysł strachem. Publiczność była zachwycona. Oklaski rozlegały się za każdym razem, kiedy Church wykonywał kilka tanecznych kroków albo przejeżdżał scenę na kolanach. Laura i Ruth również zdobyły wielu wielbicieli, zwłaszcza wśród panów, którzy wznosili okrzyki po każdym ich chórk. Dopóki grała muzyka, po raz pierwszy od wielu dni, nie musieli się niczego bać.



Choć na zewnątrz zacinał deszcz i hulał wiatr, rozgrzani ogniem i alkoholem ludzie w sali czuli się bezpiecznie. Śpiewy ciągnęły się jeszcze długo po dziesiątej i tylko niewielu gości cicho wymykało się wcześniej. Dopiero przed północą Simon wszedł na scenę i zakończył imprezę serdecznym podziękowaniem i ostrym docinkiem dla kilku zrzęd, które nie chciały końca zabawy. Church dobrze rozumiał tych ludzi, bo sam chciał, by wieczór potrwał trochę dłużej.

— Możemy jeszcze tu posiedzieć – obcesowo odezwała się Laura, jakby czytała w jego myślach. Choć udawała, że kpi, Church zauważył na jej twarzy tłumiony żal.

Kiedy goście zaczęli wychodzić do samochodów lub przygotowywać się do nieprzyjemnego marszu do domu, burza jeszcze przybrała na sile. Wydawało się, że ściany gospody drżą od uderzeń piorunów, a grube gomółki w oknach zapalały się z każdą błyskawicą.

— Nie zasną w takiej burzy – cicho powiedziała Ruth. A potem dodała: – Nie sądzicie, że jedno z nas powinno stać na warcie?

— Nie zaszkodziłoby – odrzekł Church.

Samo serce burzy zawisło teraz prosto nad nimi, słycać było nieznośny huk gromów i wichru, który nawet we wnętrzu gospody przeszkadzał im w rozmowie. Bardziej przypominało to huragan niż burzę.

W blasku kolejnej błyskawicy Ruth ujrzała jednego z gości przebiegającego obok okna i wzdrygnęła się, podświadomie ujrawszy jakiś nieokreślony, ale wstrząsający szczegół. W tej samej chwili drzwi zatrzeszczały pod uderzeniem wichury, jakby miały wypaść z zawiasów.

— Powinniśmy wyruszyć z pierwszym świtem – mówił Church. – Tak będzie najlepiej, podróżować w dzień, a noc spędzać w bezpiecznym schronieniu.

Laury dopiła wino i odrzekła:

— Najlepszy byłby sejf w banku. Co noc zamykajmy się za stalowymi drzwiami.

Ruth starała się zobaczyć, co dzieje się za najbliższym oknem, ale siedziała zbyt daleko, żeby cokolwiek dostrzec, więc dołączyła do rozmowy. Umilkła jednak i wzdrygnęła się, kiedy rozległ się następny grom.

— Co się stało? – zapytał Church.

Serce waliło jej jak oszalałe. Wydawało się jej, że kątem oka dostrzegła w oknie czyjąś bladą, wykrzywioną strachem twarz. W huku wichury ktoś walił niesłyszalnie w szybę, starając się dostać do środka. Kiedy spojrzała drugi raz, nikogo tam już nie było, ale wcale jej to nie uspokoiło.

Usłyszeli tuż nad głowami kolejne uderzenie pioruna i jeszcze silniejsze wycie wiatru, a potem zdali sobie sprawę, że to nie wiatr wyje. Burza ucichła na chwilę, a z dworu dochodziły pełne przerażenia okrzyki. Wszyscy zerwali się, słysząc odgłosy, które

dotychczas zagłuszała burza: uderzenia metalu o metal, tętent zlewający się z bębnieniem deszczu o szyby, kolejny okrzyk. Podbiegli do okna.

Ich oczom ukazały się zamrożone w świetle błyskawic obrazy dokonującej się na parkingu rzezi. Ludzie uciekali na jak króliki, starając się schować przed grupą majestatycznie wyglądających jeźdźców. Church nie był pewien, czy potężnych wierzchowców dosiadali ludzie, gdyż ich twarze spowijał cień. Mieli na sobie zbroje i futra, w których wyglądali jak stepowi barbarzyńcy, i wymachiwali długimi pikami zakończonymi zakrzywionym ostrzem. Ostrza te co jakiś czas wyławiały z biegnącego tłumu kolejną ofiarę i rozszarpywały ją. Jeden z jeźdźców wyróżniał się rozmiarem i strachem, jaki wzbudzał; Church był pewien, że wspomnienie o nim będzie go prześladować w koszmarach przez resztę życia. Król Olch.

Oczy wierzchowców jarzyły się czerwonym blaskiem, takim samym jak oczy Czarnego Kła, a z ich paszczy wydobywały się gęste kłęby pary. Wśród koni biegała sfera dziwnych psów, ogromnych białych i brązowych ogarów o świecących na żółto oczach. Zwierzęta goniły swoją zwierzynę, kłapiąc szczękami.

Widok lejącej się krwi był nie do zniesienia. Church, Ruth i Laura w oniemieniu patrzyli, jak zakrzywione, podobne do sierpów ostrza rozrąbywały głowy, odcinały ręce i nogi, odrywały kawały ciała. Z każdym błyskiem widzieli coraz więcej leżących na ziemi ciał. Jeden z wierzchowców wskoczył na jakiś samochód i, nie tracąc równowagi, tratował go, podczas gdy jeździec wyrwał kawał karoserii i drzwi, jakby płatał martwe zwierzę. Nikomu nie udawało się umknąć przed zastępem dzikich myśliwych. Wkrótce dogonią ostatnie ofiary.

Wszyscy troje odwrócili się od okna, bo usłyszeli za sobą

przerażony okrzyk Simona, który zza ich ramion ujrzał przerażającą scenę za oknem.

— O Boże, o Boże! – skowytał porażony strachem Simon. Rozpaczliwie złapał Churcha za ramię. – Co się dzieje?

Churchowi kręciło się w głowie. Był przekonany, że udało im się ukryć. Powinien był wiedzieć, że zostaną odnalezieni, a teraz inni płacili życiem za jego błąd.

Simon biegł w kółko, krzycząc, aż w końcu pojawił się skądś Stuart, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zobaczywszy trwającą za oknem rzeź, rzucił się ku drzwiom, co zauważył kątem oka Church.

— Nie idź tam! – zatrzymał go krzykiem. – Nie masz szans!

— Ale ktoś musi im pomóc! – odpowiedział zrozpaczonym głosem Stuart.

Simon padł na kolana przy oknie, targany niekontrolowanym płaczem.

— Co się tam dzieje? – jęczał. Church spojrzał na niego i na Stuarta.

— Musimy coś zrobić – powiedział powoli. – To nasza wina.

Laura wyjrzała jeszcze raz przez okno. To, co tam zobaczyła, przypomniało jej o filmie, w którym piranie rzucały się na martwe zwierzę w wodzie.

— Jeśli tam pójdziemy, to nas zabiją!

Na chwilę zapadła straszliwa cisza. Potem zdecydowanym głosem odezwała się Ruth: – On ma rację. – Na jej twarzy nie było strachu, tylko ślepa akceptacja losu, jakim im przypadł. – To nasza odpowiedzialność.

Church skinął głową, natomiast Laura wybuchnęła podszytą strachem furią: – Oszaleliście! Nie mam zamiaru dać się pokroić! – Laura wzięła głęboki oddech. – Nie możemy poświęcić naszego

życia! Tylko my możemy to wszystko powstrzymać, jesteśmy wybrani! Wszyscy nam tak mówili, nie?

Church złapał ją za ramię, mieli coraz mniej czasu.

— Nie możemy patrzeć beczynnie, jak ci ludzie umierają. Jeśli teraz stchórzę, nie będę umiał dalej żyć. I ty też.

Wydawało się, że Laura zaraz znów wybuchnie krzykiem, ale jej twarz, podobnie jak całe ciało, rozluźniła się nagle, jakby słowa Churcha przebiły się przez pokłady strachu do racjonalnej części jej umysłu. Nagle pogodzona z losem, wykrzywiła twarz w rozpacz, uwolniła ramię z dłoni Churcha i odwróciła się do ściany.

— Mamy jeszcze szansę – powiedział Church do Ruth, czując w żyłach przypływ adrenaliny. – Rozdzielimy się. Ty i Laura biegniecie do samochodu. Weźcie ze sobą Kamień. Uciekajcie najdalej, jak możecie. Ja pobiegnę w drugą stronę; założę się, że mnie będą gonić. Jestem pewien.

— Oszalałeś – mruknęła Laura. – Nie przebiegniesz dziesięciu metrów, spójrz na te konie, idioto. – Z jej oczu płynęły łzy.

— Na zapleczu jest mój motor – przerwał im Stuart. – Terenowy. Powinien pojechać w tej pogodzie. Umiesz jeździć?

— Kiedyś umiałem. – Church rzucił jeszcze jedno spojrzenie za okno, a potem pobiegł za Stuartem.

W ciągu kilku sekund wyprowadzili motocykl z zaplecza. Church rzucił Ruth kluczyki do swojego samochodu, a potem wskoczył na siodło, zapalił silnik i ustawił się przed drzwiami.

Wszyscy troje spojrzeli po sobie, ale na ich twarzach nie było żadnych uczuć poza desperacją. Ruth odezwała się cicho: – Możesz na nas liczyć. Uważaj na siebie.

Church uśmiechnął się, pochylił głowę i dał znak Stuartowi. Do sali wtargnął lodowaty wicher. W tej samej chwili Church

zwolnić sprzęgło. Na schodach ganku z trudnością utrzymał równowagę, ale kiedy motor znalazł się na wyłożonej otoczakami drodze, Church dodał gazu i nie oglądając się za siebie ruszył przez burzę.

Nie musiał nawet sprawdzać, czy Myśliwi go dostrzegli, bo usłyszał za sobą straszliwy, radosny okrzyk. Dzikie Zastępy rozpoczynały za nim pogoń. Tętent kopyt zagrzemiał jak wystrzały karabinowe, a rzenie koni przypominało okrzyki duchów. Usłyszał też wycie psów, gotowych rzucić się w pościg za nową zwierzyną.

Church trząśł się ze strachu. Jego sparaliżowany umysł wypełniała jedna myśl, że zaraz rozszarpia go kły potworów. Tylko dzięki odruchowym reakcjom potrafił dalej prowadzić motocykl, który rozpędził się na wiejskiej drodze do pełnej szybkości.

Żaden normalny koń nie zdołałby go dogonić, a mimo to wciąż słyszał za sobą zbliżający się tętent kopyt. Zebrał się na odwagę i obejrzał, ale widok goniących go Dzikich Zastępów był tak okropny, że nie zamierzał go już więcej oglądać.

Wziął wiraż i zjechał z drogi, mając nadzieję, że w gorszym terenie zdoła umknąć wierzchowcom Pogoni, ale jego nadzieje okazały się płonne; widać, że dogonią go w ciągu kilku minut. Orając kotami błoto i torf, zmierzał teraz w kierunku samego serca wrzosowisk. Uderzenia wiatru były tak silne, że niemal go przewracały, w dodatku motorem zarzucało na nierównościach zdradliwego terenu. Mimo włączonego reflektora, Church z trudnością dostrzegał w ciemności głązy i skałki, a każde spotkanie z nimi oznaczałoby pewną śmierć.

Okrzyki i wycia Myśliwych zlały się w jedną całość z odgłosami burzy i wichrem, tworząc gigantyczną, sięgającą

chmur symfonię nienawiści i zabójczego instynktu. W jednej chwili zagłuszył je jednak nowy dźwięk, niski i ponury, od którego Churchowi przeszły ciarki po plecach. To Król Olch dął w róg.

Church przejechał przez grzbiet jakiegoś wzgórza tak szybko, że po drugiej stronie koła motocykla oderwały się od ziemi i przez chwilę szybował ponad trawą. Cudem uniknął upadku, kiedy lądował. Krajobraz wokół niego był teraz jeszcze dzikszy. Zaczął się zastanawiać, jak daleko znalazł się już od pubu, kiedy nagle ziemia nagle usunęła się spod kół i razem z motocyklem Church runął w ciemność. Zanim zdążył się zdziwić, uderzył o coś głową i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 10

ŹYKA POGOŃ

Ruth i Laura zapomniały o emocjach, kiedy biegiem ruszyły przez przypominający teraz jatkę parking, na którym dogorywały wraki kilku samochodów i minibusu. Nieliczni, którym udało się ująć z życiem, wyczołgiwali się powoli spod samochodów lub wychodzili z ciemności, w której znaleźli schronienie. Strach zamienił ludzi w oszołomione zwierzęta; mieli szeroko otwarte oczy i poruszali się drobnymi kroczkami, jak myszy.

Obie dziewczyny dotarły do Nissana i z ulgą stwierdziły, że samochód nie został zniszczony przez atakujących jeźdźców. Ruth wskoczyła za kierownicę, zapaliła silnik i ruszyła, zanim Laura zdążyła zamknąć drzwi. Z piskiem opon przejechały przez parking, samochodem zarzuciło i wjechały na drogę.

— Wio! – zmęczonym głosem powiedziała Laura.

jechały w przeciwną stronę niż Church i Dzikie Zastępy. Wkrótce dotarły do kierunkowskazu, według którego znajdowały się dziesięć mil od Buckfastleigh. Ruth z zaskoczeniem stwierdziła, że wcale się nie boi. Zamiast tego odczuwała zimną determinację, by uczynić to, co trzeba. Po raz pierwszy w życiu znalazła się w sytuacji, w której musiała osiągnąć jakiś cel za wszelką cenę, nawet kosztem życia.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie Laurze, która cicho siedziała

skulona na fotelu obok, ze wzrokiem odwróconym ku oknu. Ruth nie była tym zaskoczona, wcale nie oczekiwała od Laury wielkiej odporności psychicznej. Twarz dziewczyny była wykrzywiona, a jej trupią bladość jeszcze podkreślał jasny kolor włosów. Z oczu płynęły jej łzy. Ruth zauważyła, że ciało Laury przeszywają dreszcze, a dłonie schowane ma między udami, żeby powstrzymać ich drżenie.

— Zobaczysz, damy sobie radę – odezwała się pocieszająco.

— Wypchaj się. Jakby mnie obchodziło, co masz do powiedzenia – odparła Laura, nie odwracając głowy.

Ruth skoncentrowała się na kierowaniu samochodem. Jeśli Laura nie chce rozmawiać o swoim strachu, to nie ma sensu jej do tego zmuszać.

Po dłuższej chwili to Laura przerwała wreszcie ciszę: — Co teraz będzie?

— Odnajdziemy Churcha...

— Daj spokój, idiotko, przecież go już nie zobaczymy. To była misja samobójcza, dobrze o tym wiesz.

Ruth wiedziała, ale nie dopuszczała do siebie tej myśli. Teraz, kiedy zdała sobie sprawę, że Church najprawdopodobniej nie żyje, poczuła w piersiach ogromny, zimny ciężar, jakby jej serce przygniótł kamień.

— Jest jeszcze szansa. Sam powiedział: teraz wszystko jest możliwe.

Zapanowała pełna nadziei cisza, a potem odezwała się Laura: — No dobra. Ale co, jeśli on jednak nie przeżyje? Co wtedy?

— Wtedy będziemy robić swoje. Odnajdziemy pozostałe Insygnia...

— Świetny plan, ale jest jeden problem. Church wziął ze sobą Latarnię Drogi. Trzymał ją w kieszeni kurtki.

Ruth pochyliła głowę w nagłej rozpacz. Dopiero teraz dotarło do niej, jacy byli głupi, że rozstając się, zapomnieli o Latarni. Bez niej nigdy nie odnajdą Insygniów. A bez nich wszystko stracone.

— Więc niech on się lepiej znajdzie – zakończyła beznamiętnym głosem Laura.



Przez kilka minut jechały nic nie mówiąc i zastanawiając się, jak to możliwe, że losy świata spoczywają właśnie na ich barkach. Z rozpaczą stwierdziły, że mimo starań nie udało się im sprostać wyzwaniu. Nagle Ruth odezwała się: — Czuję się jakoś dziwnie.

— Co, dopiero teraz zauważyłaś?

Ruth wsłuchiwała się w siebie; co rusz przechodził ją niepokojący dreszcz. Chwilę później zobaczyła świecący czerwienią punkt i skuliła się ze strachu, sądząc, że to oko jakiejś goniącej ich bestii. Szybko okazało się, że to tylne światło samochodu. Zaśmiała się zdenerwowana, bo to najprostsze wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy.

Na poboczu stała biała furgonetka. Jedno z jej tylnych świateł nie paliło się, ale przyczyną postoju była najwyraźniej przebita opona, bo ktoś przycupnięty z latarką przy samochodzie zajmował się wymianą koła.

Ruth w odruchu serca postanowiła zatrzymać się i pomóc zatrzymanemu w deszczu kierowcy, ale rozum ostrzegł ją przed możliwym ryzykiem. Kiedy mijała furgonetkę, dziwne uczucie nasiliło się, jakby pod skórą wity się setki robaków. Z poruszeń i grymasów Laury widać było, że również ona się tak czuje.

Wtedy, bez ostrzeżenia, zgasły światła ich samochodu. Ruth zabiło serce i gwałtownie nacisnęła hamulce.

— Co jest? – wysyczała przestraszona Laura.

Po przeraźliwie długiej sekundzie światła zapaliły się znowu, ale w chwili, gdy Ruth chciała już ruszyć dalej, szybko zgasły i zapaliły się pięciokrotnie.

— Elektryka pada! – powiedziała Laura. – Ruszaj, nie możemy ryzykować i zatrzymywać się tutaj. Równie dobrze mogłabym wyjść i namalować nam na dachu tarczę strzelniczą!

Coś nie dawało Ruth spokoju, choć światła paliły się teraz normalnie. Spojrzała we wsteczne lusterko; osoba, która zmieniała przedtem koło, stała teraz na drodze, widoczna jako czarna sylwetka odcinająca się na tle blasku reflektorów furgonetki. Wydawało się jej, że to mężczyzna i że je obserwuje. Posłuchała przez chwilę rytmicznego skrzypienia wycieraczek, a potem nacisnęła gaz, ale samochód nie ruszył z miejsca.

— No dalej! Zapomniałaś, jak jeździć? – zapytała zaniepokojonym głosem Laura.

— Nie – odparła Ruth i zamyśliła się nagle. – Teraz świat rządzi się nowymi prawami. Musimy się do nich dostosować.

— O co ci chodzi? – Laura obejrzała się, żeby sprawdzić, czy kierowca furgonetki nie zbliża się do nich. – Nic nie robi, stoi tylko – powiedziała z ulgą.

— Chodzi mi o instynkt. Przeczucie. Nie ma już przypadkowych zbiegów okoliczności. Musimy słuchać głosu.

— Jakiego głosu?

— Głosu niewidzialnego świata. – Ruth westchnęła, nie wiedząc, czy to, co mówi, ma sens. – To dziwne uczucie, to był sygnał do nas, żebyśmy nie przegapiły czegoś ważnego. I światła, przecież zapaliły się i zgasły pięć razy. To nie przypadek, to

wiadomość.

— Wiadomość – powtórzyła Laura kpiarskim tonem. – Samochód do nas mówi, może nadajmy mu imię?

— Nie, to nie samochód. To życie, świat. To, co sprawia, że świat działa. To, co kryje się pod powierzchnią zjawisk.

Złowieszczo zahuczał grzmot i na horyzoncie przecięła niebo błyskawica. Jej oślepiający blask, któremu nie może się równać żadne sztuczne światło, zamienił na chwilę noc w dzień. Laura spoważniała i spojrzała zaciekawiona na Ruth.

— Rzeczywiście, przecież miało nas być pięcioro.

— Pięcioro ludzi, którzy staną się jednością. Czymś więcej niż suma pięciu części.

Obejrzała się, żeby jeszcze raz spojrzeć na stojącą za nimi postać. Laura podążyła na jej spojrzeniem.

— Może się równie dobrze okazać, że zaraz wyrosną mu kły i pazury, a potem rozszarpie nas, jak tylko wyjdziemy z samochodu.

Ruth przeszedł dreszcz, bo starała się uciszyć w sobie ten sam strach. Rozum ostrzegał ją cały czas, żeby pod żadnym pozorem nie wysiadać teraz z samochodu. Trudno pokonać wyrabiane od lat nawyki, żeby pójść za głosem nagłego przeczucia.

— No i co? Masz dość wiary w siebie? – zapytała Laura. – A może wciąż jeszcze myślisz racjonalnie?

— Spójrz na niego. On pewnie czuje to samo, co my – Ruth starała się przekonać samą siebie.

— Albo tylko ostrzy sobie na nas zęby.

— Daj spokój.

Ruth położyła dłoń na dźwigni zmiany biegów. Jedź, po prostu jedź, mówiła do siebie w myślach. Nie bądź głupia, nie możesz wszystkiego ryzykować, bo ci się coś wydaje.

Jeszcze raz spojrzała za siebie, a potem szybko otworzyła drzwi i wysiadła. Protesty Laury uciszył rześście padający deszcz i szum wichru, przed którym Ruth osłaniała się uniesionym przed twarzą ramieniem. Zrobiła kilka kroków w kierunku furgonetki. Tajemnicza postać nie poruszyła się.

— Potrzebuje pan pomocy? – zawołała.

Przez dłuższą chwilę nie słyhać było odpowiedzi, a kiedy już miała wskoczyć z powrotem do samochodu i odjechać, usłyszała wołanie nieznanego: — Tak, proszę.

Ruth zebrała się na odwagę i ruszyła w kierunku furgonetki, starając się iść możliwie pewnym siebie krokiem. W szalejącej burzy trudno było jej dostrzec jakiegokolwiek oznaki niebezpieczeństwa. Mężczyzna będzie mógł rzucić się na nią, zanim zdąży cokolwiek zauważyć.

Powoli, oślepiąca blaskiem reflektorów, zaczynała dostrzegać rysy twarzy nieznanego. Był to wysoki Azjata, o długich czarnych włosach, tak przemoczonych, że oblepiały mu głowę. Podeszedłszy bliżej, Ruth stwierdziła, że wygląda na Hindusa; w życiu nie widziała mężczyzny o piękniejszej twarzy. Miał tak wspaniałe kości policzkowe, wielkie i czarne oczy, pełne usta, że jego twarz wydawała się nieco kobieca. Z bliska dostrzegła odsłonięte w uśmiechu równe, lśniące bielą zęby. Uśmiech ten sprawił, że od razu poczuła się pewniej.

— Dziękuję pani – powiedział cichym, spokojnym głosem. – W taką noc trudno oczekiwać, żeby ktokolwiek się zatrzymał. – Uścisnął jej rękę obiema dłońmi, jakby była dobrą, długo nie widzianą znajomą. Miał długie, szczupłe i ciepłe palce.

— Mam na imię Shavi.

Ruth przedstawiła siebie i Laurę, która wyszła właśnie z samochodu, rzucając podejrzliwe spojrzenia w ich kierunku.

— Wymieńmy to koło, zanim wszyscy dostaniemy zapalenia płuc. Kiedy zajęli się pracą, Ruth zapytała Shaviego, dokąd jechał w burzliwą noc po takim pustkowiu.

— Szukam czegoś – odrzekł zagadkowo. W jego oczach był jakiś błysk, od którego Ruth wydawało się, że Shavi zna wszystkie jej myśli.

Laura stała za nimi i spoglądała ponad ich ramionami.

— Czyli jesteś jednym z nas? – zapytała bez ogródek.

Shavi uśmiechnął się, a Ruth z zaskoczeniem zauważyła, że Laura odwzajemniła ten uśmiech.

— Może.

— Nie jesteś zbyt rozmowny.

— Dlaczego ma pan rozbite tylne światło? – przerwała im Ruth. Shavi z wysiłkiem zdjął koło z osi i potoczył je na bok.

— Coś wybiegło na drogę, jakiś cień. Najpierw biegło na czterech nogach, potem na dwóch, potem znów na czterech. Wiecie, o co mi chodzi?

Pytanie byłoby niezrozumiałe dla przypadkowej osoby, ale Ruth skinęła głową. Widzieli już takie zagadkowe kształty w ciemności.

— Poczujęm, że samochód uderzył w to coś, ale nie znalazłem ciała ani krwi. Być może wyrzuciło je poza drogę.

Ruth i Laura z niepokojem rozejrzały się wokół siebie.

— Powinniśmy skończyć jak najszybciej – powiedziała Ruth, choć wszyscy o tym wiedzieli.

— Stanę na straży – zaproponowała Laura, ale nie miało to sensu. Ciemność była tak gęsta, że w rześnym deszczu nie dostrzegłaby napastnika, dopóki nie znalazłby się naprawdę blisko.

Starali się pracować jak najszybciej, w czym przeszkadzały im

zgrabiałe i obolałe palce. Często upuszczali śruby, których poszukiwali potem w lodowato zimnych kałużach pod furgonetką. Im szybciej Ruth starała się zakończyć pracę, tym bardziej niezdarne stawały się jej ruchy. W końcu, przemoczeni i zmarznięci, dokończyli wymiany koła i Shavi opuścił podnośnik.

Mimo chłostającego go deszczu i wiatru, bił od niego taki spokój, że wydawał się podobny aniołowi. Ruth była pewna, że jej instynktowne odczucie potwierdziło się, ale nie wiedziała, co powiedzieć. „Staramy się uratować świat; może chcesz się do nas dołączyć?”.

Laura nagle znieruchomiała. Patrzyła w kierunku, z którego nadjechali.

— Co się stało? – zapytała Ruth.

— Nie widzicie? – cichy głos Laury ginął w wietrze.

I wtedy zobaczyli. Coś przesunęło się na horyzoncie, burząc i rozganiając burzowe chmury, jarząc się delikatnym, migocącym blaskiem, jakby niewielkich wyładowań elektrycznych. Dziwne zjawisko zbliżało się do nich, podobnie jak burzące się chmury. Ruth poczuła zimny powiew, znacznie silniejszy niż dotychczasowy chłód deszczowej nocy.

— Co to jest? – zapytała Laura.

Wtedy ich uszu doszedł dźwięk, który kto inny mógłby pomylić z odległym gromem: tętent podkutych stalą kopyt. Wśród wirujących chmur zauważyli sylwetki jeźdźców, którzy co i rusz znikali w kłębach mgły, by po chwili znów się pojawić, za każdym razem trochę bliżej.

Ruth zerwała się i biegiem ruszyła ku Nissanowi.

— Musimy uciekać. Może uda się jeszcze...

Shavi złapał ją za ramię i zatrzymał delikatnie acz stanowczo.

— Jedźmy moim samochodem. Ma turbodoładowanie.

Ruth spojrzała na Laurę, która skinęła głową. W jej oczach czaił się paniczny strach. Shavi wskoczył za kierownicę i zapalił silnik, podczas gdy Laura otwierała już drzwi z tyłu, kurczowo ściskając torbę z kamieniem, z którą nigdy się nie rozstawała. Ruth chciała wsiąść za nią, kiedy nagle krzyknęła: — Zaczekajcie!

Pobiegła do Nissana i sięgnęła po coś do kabiny. Shavi podjechał do drugiego samochodu, tak że mogła wsiąść, jak tylko znalazła to, czego szukała.

— No chyba cię pogięło! – skarciła ją Laura. – Co robisz? Ruth pokazała jej trzymane w ręku kasety.

— Muzyka Churcha. Sądziłam, że nie chciałby, żebyśmy je tutaj zostawiły.

Laura spojrzała na nią, jakby patrzyła na szaleńca, ale nic nie powiedziała. Obie wiedziały, po co to zrobiła; kasety mogły okazać się jedyną pamiątką po przyjacielu.

Shavi wrzucił tymczasem bieg, dał pełny gaz i furgonetka ruszyła z takim przyśpieszeniem, że Laurą rzuciło o drzwi z tyłu samochodu, skąd doszły ich jej siarczyste przekleństwa. Ruth, wciśnięta w fotel, szukała czegoś, czego mogłaby się chwycić, natomiast Shavi był zupełnie spokojny, jakby byli na niedzielnej przejażdżce. Oczywiście, on nie zdaje sobie sprawy, co nas goni, pomyślała Ruth.

— Musisz jechać jak najszybciej się da – powiedziała. – Jeśli nas złapią, jesteśmy ugotowani. Dosłownie.

— Wiem – odrzekł Shavi z uśmiechem. – Co to tak właściwie jest?

Laura tymczasem rzuciła się do tylnego okna i zawołała: — Są coraz bliżej!

— To jest coś, co nas rozszarpie na kawałki, jeśli nie zdołamy uciec. – Spojrzała na niego niepewnie. – To coś

nadprzyrodzonego.

Skinął głową, jakby powiedziała rzecz najzwyczajszą w świecie.

— Furgonetka powinna być dość szybka, by im uciec.

Potężny, basowy pomruk silnika przywodził na myśl wielkiego tygrysa, a przyspieszenie rzeczywiście wciskało w fotel, choć samochodem niemal zupełnie nie trzęsło. Ruth jednak nie potrafiła zaufać żadnej technologii, po tym, co zobaczyła w szpitalu, gdzie nagle wszystko przestało działać bez powodu.

— Bardziej się martwicie, czy nie wypadniemy z drogi – powiedział Shavi. – Dokąd mam jechać?

— Po prostu jedź, aż wszędzie słońce. Dzikie Zastępy uciekają z pierwszym brzaskiem.

— Urodzona optymistka – usłyszeli z tyłu głos Laury. – Myśli, że przez kilka godzin nie da się dogonić Psom z Piekła, jadąc jakąś furgonetką.

— A co mamy zrobić? Rzucić się im na pożarcie? – odcięła się Ruth. Spojrzała do tyłu niespokojnie. Sylwetki jeźdźców były teraz doskonale widoczne na tle chmur, natomiast migocący blask był coraz słabszy. Pośród nóg koni widać było kłębiące się cienie, w których Ruth dopatrywała się sfory nieziemskich psów. Ponad odgłosami szalejącej burzy, zaczęli już słyszeć ich wycie.

— Przepraszam, że cię w to wciągnęliśmy – powiedziała do Shaviego, ten jednak potrząsnął głową przecząco.

— Ja się tutaj musiałem znaleźć.

— Niby jak? – z niedowierzaniem zapytała Ruth.

— Przyprowadziły mnie tu moje sny.

Z tyłu furgonetki rozległo się kpiarskie mruknięcie i wypowiedziany stłumionym głosem komentarz Laury.

— Przez całe życie miałem olśniewające, kolorowe sny – kontynuował Shavi. – Czasami przypominały wizje narkotyczne i na pewno nie były podobne do snów, o których opowiadali mi znajomi. Nie miałem pojęcia, co o tych snach myśleć, ale zawsze wiedziałem, że coś jednak znaczą. Kilka tygodni temu jedna i ta sama wizja zaczęła powracać każdej nocy. Był w niej smok lądujący na ziemi, stający się częścią ziemi, na której we wszystkich kierunkach rozbiegły się linie błękitnego blasku. Potem ruszyłem wzdłuż jednej z nich ku zachodzącemu słońcu i znalazłem się na wielkiej wysoczyźnie pokrytej wrzosowiskami. – Shavi, nie przerywając, z piskiem opon wziął wiraż na ostrym zakręcie, jak zawodowy rajdowiec. – W końcu znalazłem się na tej drodze, gdzie mnie spotkałyście, i od razu wiedziałem, że to jest właśnie to miejsce.

— Skąd wiedziałeś?

— Czuję to.

Ruth nie mogła się skoncentrować na dalszej rozmowie; bolały ją wszystkie mięśnie i miała nadwerężone z wysiłku zębra. Obejrzała się po raz kolejny, ale tym razem Pogoń zbliżyła się do nich tylko nieznacznie. Robili ponad sto kilometrów na godzinę po zdradliwej nawierzchni bocznej drogi, co samo w sobie było ryzykowne, ale wiedzieli, że jeśli uda się utrzymać szybkość, mają szansę na przetrwanie.

Siedząca z tyłu na podłodze Laura próbowała się czegoś trzymać, ale wiraże były tak gwałtowne, że wciąż uderzała o ściany albo wpadała na nią torba Shaviego. Szczęściem udało się jej jak dotąd uniknąć spotkania z telepiącą się po podłodze skrzynką na narzędzia. Całe ciało miała już pokryte siniakami, a z rozciętej lewej skroni kapała jej krew. W tej chwili jednak nie przejmowała się wcale bólem, gdyż odczuwała ogromny,

niezrozumiały dla siebie lęk. Każde spojrzenie na pogoń okropnych istot, które nie miały przecież prawa istnieć, pozostawiało ją w stanie bliskim śmierci i to właśnie teraz, kiedy musiała zachować panowanie nad sobą. Tylko w jeden sposób mogła dać sobie z tym radę – ukryć swój lęk w zimnych głębinach swojej osobowości, tam, gdzie trzymała wszystkie swoje urazy. Było tam jednak coraz mniej miejsca i Laura czuła, że wkrótce uwięzione potwory zaczną wyszarpywać się na zewnątrz.

— Gdzie się uczyłeś jeździć? – dała w końcu upust emocjom. – W jakiejś szkole dla ślepych?

Kolejny wstrząs rzucił nią o ścianę, spod której przeturlała się do tyłu. Shavi zaczął przeproszać, ale Ruth stanowczym głosem przerwała mu: — Nie zwracaj na nią uwagi, ona tylko domaga się współczucia. Skoncentruj się na jeździe.

Dalej jednak asfaltowa nawierzchnia skończyła się i wjechali na wyboistą drogę gruntową, na której musieli zmniejszyć szybkość, by uniknąć niemal pewnej wywrotki. Shavi szybko zmienił bieg, hamując silnikiem, ale wszyscy wiedzieli, że jadąc tak dalej wnet zostaną dogonieni. Na jakimś zakręcie zahaczyli o pobocze kołem, które rozryło błoto i trawę, omal nie doprowadzając do wywrotki. Burza wydawała się słabnąć, błyskało się jeszcze tylko nad szczytem Rippon Tor na północy, ale drogę wciąż zagradzały ogromne kałuże, grożące poślizgiem i wypadnięciem z drogi, jeśli wjechaliby w nie zbyt szybko.

— Doganiają nas! – zawołała Laura, której znów dało się utrzymać przez chwilę przy tylnej szybie. – Na tej drodze jedziemy za wolno.

— No, a co będzie, jak natrafimy na jakąś miejscowość? – odparła Ruth. – Nie da się cały czas jechać z taką szybkością.

— Musimy dawać sobie radę najlepiej, jak umiemy – powiedział po prostu Shavi, który pochylił się nad kierownicą, koncentrując się na drodze. Ruth podziwiała go za niewzruszony spokój. – Powinniśmy trzymać się bocznych dróg, ale unikać tych najmniejszych. Na głównych będzie za duży tłok, a w miastach zatrzymają nas korki i światła.

Laura przerwała mu kolejnym sarkastycznym komentarzem, na co Ruth obejrzała się i rzuciła jej piorunujące spojrzenie. Potem zwróciła się do Shaviego: — Rób, co uważasz za stosowne.

Shavi wskazał gestem atlas drogowy w kieszeni w drzwiach.

— Wybierz trasę.

Ruth szybko przerzucała strony, aż znalazła odpowiednią mapę i, choć trudno było ją czytać przy ciągłych wstrząsach, przyjrzała się nielicznym drogom pomiędzy Buckfastleigh i autostradą w okolicach Exeter.

— Możemy pojechać A38 albo dalej bocznymi – powiedziała bez entuzjazmu. Żadna z opcji nie była dobra, gdyż na głównej drodze mogli natrafić na duży ruch i patrole policji, a boczne prawdopodobnie nie nadawały się do szybkiej jazdy.

W Buckfastleigh trzeba było zwolnić, ponieważ ulice były tam wąskie, a poza tym nawet tak późno w nocy musieli uważać na pieszych i samochody. Kiedy wjechali w końcu na dwupasmową drogę główną, Pogoń była tuż-tuż. Ruth zastanawiała się, jak ta sytuacja wyglądała w oczach kogoś, kto zaspany wyglądał przez okno, żeby sprawdzić, co za hałasy go obudziły: pędząca na łeb na szyję furgonetka i podążające za nią widma jeźdźców w zbrojach i futrach, potężne wierzchowce i sfora wyjących psów-
duchów. Nikt nie uwierzy własnym oczom, pomyślała, bo sama ledwie mogła w to uwierzyć. Tylko strach, ostry jak nóż, utwierdzał ją w przekonaniu, że to, co się dzieje, dzieje się

naprawdę; jeśli zawiedzie silnik, jeśli uderzą w krawężnik i Shavi straci panowanie nad samochodem, wszyscy troje zostaną rozszarpani przez psy, które przecież nie istniały.

Na A38 mogli przynajmniej jechać szybciej. Pędząc, przejechali przez Ashburton, mając już nadzieję, że uda im się ująć z życiem.

— Nie oddalamy się od nich – poinformowała ich Laura – ale też oni nie zbliżają się do nas.

Wkrótce jednak znów poczuli strach. W oddali pojawiło się migające czerwone światło – jedno z pasm było zamknięte ze względu na roboty drogowe. W ciemności majaczyły wielkie walce i spycharki.

— No zmień się! – zawołał Shavi do światła.

— Nie wolno ci zwolnić – ostrzegła niepotrzebnie Ruth. – Od razu nas dostaną.

— Co się dzieje? – zapytała z tyłu Laura.

Shavi i Ruth nie odpowiedzieli, zajęci sytuacją na drodze.

— Nawet o tej porze na pewno coś będzie jechało w drugą stronę – powiedziała Ruth.

— Nie mamy wyboru – odparł ponuro Shavi.

Kiedy dojechali do świateł, wciąż paliło się czerwone. Shavi bez hamowania przejechał na drugie pasmo, zapalił światła drogowe i przyspieszył. Twarz Ruth stężała ze strachu. Minęli walec drogowy stojący na drugim paśmie, pozbawionym nawierzchni i przykrytym tylko masą tłucznia. Szybko przejechali pierwszą prostą, ale koniec naprawianego odcinka krył się jeszcze za zakrętem. W chwilę później na pniach rosnących wzdłuż drogi drzew ujrzeli blask rzucany przez reflektory nadjeżdżającego z przeciwka samochodu.

Ruth wydała przerażony okrzyk, kiedy zza zakrętu wyjechała wielka ciężarówka, ale Shavi zaczął już reagować. Nie mógł

skręcić na pobocze po swojej stronie, bo niechybnie wpadłby wtedy na drzewa. Usłyszeli desperackie trąbienie klaksonu zbliżającej się ciężarówki. Ruth myślała gorączkowo, wpatrzona w rosnący przed nimi kształt, co może zrobić Shavi. Hamowanie na pewno nic by nie dało. Niemal tuż przed sobą ujrzała przerażoną twarz kierowcy ciężarówki, trupioblada w blasku ich reflektorów. Machał ręką, jakby odganiał osę.

To koniec, pomyślała Ruth i ukryła twarz w dłoniach.

Nie widziała, co się potem stało, ale poczuła szarpnięcie, kiedy Shavi raptownie zmienił kierunek jazdy. Rozległ się rytmiczny huk przewracanych przez furgonetkę pachółków, a pisk hamulców ciężarówki zagłuszył stłumione okrzyki Ruth i głośny wrzask Laury. Kiedy zjechali na pokryte tłuczniem drugie pasmo, Ruth oczekiwała, że zaraz pękną im opony i bez kontroli nad samochodem wpadną w drzewo, ale guma wytrzymała. Furgonetka obracała się w szaleńczym tańcu, podczas gdy Shavi desperacko starał się opanować poślizg, jadąc przez chwilę na kołach tylko z jednej strony, cudem unikając wywrotki. Samochód nie przewrócił się, ale za to obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, tak że sunęli teraz tyłem do przodu.

Ruth bała się spojrzeć na to, co działo się przed autem. Powoli opuściła jednak obolałe, zaciśnięte wokół głowy ręce i z przerażeniem zobaczyła, że Shavi leży nieprzytomny na kierownicy, a ze skroni cieknie mu po policzku krew. Dzięki Bogu, mężczyzna wziął nagle głęboki wdech i podniósł głowę. Na jego twarzy malował się ten sam spokój, co wtedy, kiedy po raz pierwszy go zobaczyły. Ruth chciała płakać ze szczęścia, kiedy się do niej uśmiechnął.

Przed nimi w poprzek drogi stała zagrządzając oba pasma ciężarówka. Kierowca wygramolił się właśnie z kabiny. Wyraz

ulgi na jego twarzy szybko ustępował miejsca irytacji i furii.

Nie zwracali jednak na niego uwagi, tylko patrzyli na łunę unoszącą się na niebie za wielkim cielskim ciężarówką. Shavi cały czas bezskutecznie próbował zapalić silnik.

— Zalany – oznajmił.

W miarę jak zbliżała się Pogoń, łuna świeciła coraz jaśniej i zmieniała kolory, mieniając się zielenią i szkarłatem. Ruth z szeroko otwartymi oczyma patrzyła na dłoń Shaviego, który jeszcze raz przekręcił kluczyk w stacyjce.

Pomiędzy fotelami pochyliła się ku nim Laura, której twarz pokryta była krwią z licznych rozcięć i stłuczeń.

— Niezły z ciebie kierowca – uśmiechnęła się sardonicznie.

Kiedy szczęśliwie ocalały kierowca kroczył ku nim wojowniczo, Ruth pomyślała, że powinni go ostrzec. Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, patrzyła na jeźdźców Dzikich Zastępów, których majestatyczne postacie wyłaniały się zza ciężarówką. Kare wierzchowce błyszczały od potu. Były niepodobne do znanych Ruth koni: większe, bardziej muskularne, przypominały raczej smoki. Ich ślepia jarzyły się w mroku jak rozgrzane węgle. Od wielkich sylwetek jeźdźców bila potęga, jednak ich twarze ginęły w cieniu, niewidoczne i zagadkowe. Przewodził im Król Olch, na którego hełmie dostrzegli przyłączone zwietrzałe kości ofiar. Przesadzając ciężarówkę, jeźdźcy rozszarpali pikami jej dach, szeroko rozrzucając metalowe płyty, które opadały jak po wybuchu granatu.

Kiedy kierowca odwrócił się i po raz pierwszy zobaczył jeźdźców, ponad jego ciężarówką pojawiła się sfora białych i brązowych psów, które rzuciły się ku nowej zwierzynie, kłębiąc się i warcząc, jakby były jedną zrosniętą całością. Ruth z przerażeniem patrzyła, jak mężczyzna rzuca się do ucieczki,

miota to w jedną, to w drugą stronę, krzyczy ze strachu. Psy dopadły go i potężnymi kłami zaczęły płatać i rozszarpywać jego ciało, z którego w ciągu kilku sekund nie zostało nic oprócz krwawej kałuży.

Silnik furgonetki strzelił kilka razy i w końcu zapalił. Shavi ruszył ku gładkiej stronie drogi, opony znów cudem nie pękły na tłuczniu. Szybko dotarli do końca zamkniętego odcinka. W samochodzie zaległa grobowa cisza, żadne z nich nie było w stanie pokonać odrazy, po tym jak zobaczyli śmierć kierowcy, kolejną cudzą śmierć na szlaku ich misji. Wszystkim wydawało się, że ich sytuacja jest beznadziejna, stracili zbyt wiele czasu. Ruth nie musiała nawet pytać Laury, czy Dzikie Zastępy ich gonią; słyszała tętent zagłuszający nawet szum silnika furgonetki.

Shavi starał się gnać cały czas na pełnym gazie, jednak wciąż musiał zwalniać na licznych zakrętach, a kilka razy ryzykował życiem swoim i pasażerek, wyprzedzając samochody, które same jechały z niebezpieczną szybkością. Ruth z ulgą stwierdziła, że tym razem Dzika Pogoń nie zwracała uwagi na inne pojazdy, co jednak wcale nie dodało jej otuchy, gdyż jeźdźcy dali swoim wierzchowcom ostrogi i szybko zbliżali się do furgonetki.

Błyskawicznie mijali kolejne wsie: Coldeast, Heathfield, Chudleigh Knighton. Kiedy minęli znak informujący, że do autostrady zostały im jeszcze cztery mile, na chwilę wróciła nadzieja, ale rozwiął ją stłumiony okrzyk Laury. Duszący i przeraźliwy smród koni był już wyczuwalny w samochodzie, mimo zamkniętych drzwi i zapachu spalin, wyjrzała więc przez tylne okno i zamarła z przerażenia.

Jeźdźcy byli już tuż za nimi. Laura widziała przęcające się na ich ramionach mięśnie, pokryte ornamentami kłamry, spinające

futra na zbrojach, skórę i stal lejc. Potem popełniła błąd i spojrzała na ich twarze. Wszystkie wyglądały okropnie, ale najgorszy był jadący na czele Król Olch, którego kości policzkowe i żuchwa przebijały skórę, upodabniając twarz do trupiej czaszki. Na zielonkawej skórze widać było łuski, jak u jaszczurki, ale najstraszniejsze były oczy: schowane pod zmarszczonymi groźnie brwiami, miały czerwone od krwi obwódki i jarzyły się żółtym światłem wokół podłużnych, kocich źrenic. Ujrzawszy jej przerażone spojrzenie, Król uśmiechnął się wrogo, ukazując rząd ostro zakończonych, pokrytych plamami zębów. Laura poczuła się przez chwilę jak uciekający przed drapieżnikiem królik. Po sekundzie rzuciła się do tyłu, bo Król Olch pchnął swoją piką w tylne drzwi furgonetki.

Rozległ się ogłuszający dźwięk rozdieranej blachy, którą ostrze piki przecinało jak papier, po czym Król Olch wyszarpnął drzwi z zawiasów, uniósł je wysoko i odrzucił za siebie. Nagle otwarte wewnątrz furgonetki wypełniło się hukiem wiatru i odgłosami pogoni. Bojąc się krzyknąć, Laura cofnęła się pod samo oparcie fotela Ruth, która sięgnęła do tyłu i chwyciła jej dłoń. Laura uścisnęła ją, starając się zapanować nad nerwami.

W dziurze pozostałej po wyrwanych drzwiach widziała zbliżającą się Pogoń. Ruth poczuła mdłości, kiedy spojrzała na jeźdźców – jakby było jej niedobrze po zbyt dużej ilości alkoholu – a najtrudniej było jej znieść widok ich twarzy. W duszy słyszała powtarzane przez nich hipnotyzujące słowa: „Poddaj się, rzuć się pod kopyta naszych koni, w paszcze naszych psów”. Zasłoniła uszy dłońmi i zaczęła krzyczeć.

Shavi spojrzał na nią z troską.

— Jeszcze chwilę!

Dwupasmowa droga przeszła w zaczynającą się koło Exeter

autostradę dokładnie wtedy, kiedy utracili tylne drzwi. Laura kurczowo zacisnęła palce na dłoni Ruth, aż poleciała krew. Mając do dyspozycji jeden pas więcej, Shavi mógł ruszyć na pełnym gazie; usłyszeli włączające się turbo i furgonetka osiągnęła 130 kilometrów na godzinę.

— No wreszcie! – odetchnęła Laura. Odsadzili się na kilka metrów od jeźdźców, którzy oddalali się coraz szybciej, w miarę, jak Shavi rozpędzał samochód. Inni kierowcy gwałtownymi manewrami usuwali się z drogi Pogoni, która razem ze sforą rozproszyła się na wszystkie trzy pasy autostrady, jakiś volkswagen przebił się przez barierę na pas zieleni, wyrzucając w powietrze deszcz iskier i odłamków metalu.

— Boże! – ochryplym głosem wyszeptała Ruth, patrząc na wyprzedzane przez nich samochody. – Przecież ci idioci wszyscy zginą!

— Na wojnie muszą być ofiary – odparła Laura.

— Szkoda, że nie umiem tego tak spokojnie przyjąć.

— Lepiej zacznij się przyzwyczajać – odrzekła Laura i poklepała Shaviego po ramieniu. – Słuchaj, bohaterze, czy mamy dość paliwa?

Shavi milczał przez chwilę, po czym cicho odpowiedział: — Miejmy nadzieję, że tak.

— No świetnie! – zawołała Laura i wyrwała rękę z dłoni Ruth. – Już się lepiej czułam, a on mi mówi, że mamy mieć nadzieję!

— Nie powiedziałem, że nie mamy paliwa, tylko... – zaczął Shavi, ale nie dokończył zdania.

— No to przynajmniej oddal się od nich na kilka mil!

Dziki Zastępy były teraz jakieś pół mili za nimi, wszyscy wiedzieli jednak, że dogonią ich błyskawicznie, jeśli zatrzymają się lub choćby zwolnią. Nic nie mówiąc, spoglądali na zegarki, z

niecierpliwością wyczekując świtu.



Stracili Pogoń z oczu gdzieś za Bristolem, ale mimo zmęczenia jechali dalej, nie zmniejszając prędkości. Kiedy na niebie wstawał pierwszy świt, Ruth nie zdołała się opanować i zaczęła płakać, nie próbując nawet otrzeć łez. Laura zobaczyła to, ale nic nie powiedziała. Na pierwszym parkingu zatrzymali się i siedzieli nic nie mówiąc w samochodzie, wpatrzeni w brzask poranka, przed którym cofało się nocne niebo, a za którym podążał blady błękit. Zapowiadał się pogodny dzień.

Ruth pierwsza zauważyła szybującą nad pobliskim polem sowę. Kiedy uspokoiła się na tyle, żeby móc rozmawiać, przekonała Laurę i Shaviego, żeby jechać za ptakiem; żadne z nich nie próbowało zresztą oponować. Sowa, podążając wzdłuż autostrady, powoli leciała na południe. Laura zastąpiła Shaviego za kierownicą i kazała obojgu pasażerom położyć się spać. Żadne z nich nie miało ochoty na sen. Ponad kolejnym zjazdem z autostrady sowa skrzyła na wschód. W pół godziny później znaleźli się w Glastonbury.

ROZDZIAŁ 11

Z DALA OD ŚWIATA

Odzyskiwał przytomność powoli, powracając ze świata pełnych udręki wizji do rzeczywistości, gdzie pierwszy przywitał go ból. Bolało go całe ciało, dawał o sobie znać każdy nerw, czuł się tak, jakby zrzucono go z betonowych schodów. Potem pojawiły się zapachy: zatechłe powietrze, pleśń, słoma, piżmowy odór jakiegoś zwierzęcia, a pośród tego wszystkiego mdlący smród otwartego kanału ściekowego. Z wysiłkiem spróbował otworzyć oczy, po czym zdał sobie sprawę, że są już otwarte, ale wokół jest tak ciemno, że nie widać było nawet ziemi, jakby wisiał w powietrzu. Potem szybko zaczęły powracać dalsze wrażenia, rozsnuwając wokół Churcha coraz gęstsza tkaninę rzeczywistości: odgłos kapiącej gdzieś wody i echo dzwoniące w zamkniętej przestrzeni, mdłości, ból w wyciągniętych ponad głowę ramionach. Gdy spróbował nimi poruszyć, usłyszał metal dzwoniący o kamienną ścianę: łańcuchy. Na nadgarstkach wyczuł wpijające się w skórę kajdany. Ogarnęła go panika, gdyż nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie jest i jak się tu znalazł. Powoli, urywanymi obrazami, wracała również pamięć. Dzikie Zastępy. Pogoń przez wrzosowisko. Okropna świadomość, że pozostało mu jeszcze kilka minut życia. A potem... no właśnie, co? Uczucie spadania.

Stopniowo wracała jasność myśli, jakby opadały wiszące

wokół głowy zasłony. Musiał wpaść do jakiegoś szybu. Wiedział o istnieniu na Dartmoor licznych, starych, opuszczonych kopalni, był jednak pewien, że taki upadek by go zabił. W takim razie jak znalazł się w tym miejscu?

Najważniejsze było jednak to, że wciąż żył. Poczuł ukłucie troski o Ruth i Laureę; zaczął się modlić o to, by im również się udało. Ostrożnie napinał i rozluźniał różne mięśnie, starając się rozprostować zawieszony na łańcuchach ciało, ale przeszył go taki ból, że jęknął i znieruchomiał. Upadek co prawda nie zabił go, ale czuł na całym ciele, że tylko o włos uniknął śmierci. Wziął głęboki oddech, czego również pożałował, bo klatka piersiowa zabolala, jakby na chwilę wypełnił ją ogień. Modlił się, żeby to były potłuczenia, a nie złamane żebra.

Kiedy ból ustąpił trochę, Church zaczął nasłuchiwać, czy w pobliżu nie ma więzących go ludzi, ale było cicho jak w grobie. Przygotowawszy się na kolejne uderzenie bólu, sprawdził, czy uda mu się zerwać łańcuchy, ale próba się nie powiodła; nawet w zwykłych warunkach nie zdołałby wyrwać ich ze ściany. Zwiesiwszy głowę, desperacko próbował wpaść na jakiś inny pomysł.



Był tak oszołomiony, że w gęstych ciemnościach zaczęło mu się wydawać, że unosi się w powietrzu, nachodziły go też halucynacje i stracił poczucie czasu. Przez chwilę czuł, że jest z nim Marianna, wyczuwał jej perfumy i słyszał cichy szept, a nawet widział ją, bladą i dziwną, jak wtedy, kiedy pojawiła się koło Stonehenge.

— Nie martw się – szepnął do niej. – Wkrótce dowiem się, dlaczego to zrobiłaś. I jeśli okaże się, że to moja wina, odpokutuję to. Wtedy będę mógł umrzeć w spokoju.

Marianna nie odpowiedziała, być może zresztą wcale jej tam nie było, a myśli Churcha odpłynęły z powrotem w ciemność.



Jakiś czas później oprzytomniał, usłyszawszy czyjeś ciężkie kroki i stłumiony, ale napastliwy głos kogoś, kto najwyraźniej był szalenie podekscytowany. Kroki zbliżały się, potem ktoś otworzył drzwi i Churcha oślepiło światło rzucane przez niewielką latarnię, tak że musiał odwrócić głowę. Przez krótką chwilę zobaczył jednak, gdzie się znajduje: był to rodzaj wykutej w skale komory o niskim, znajdującym się tuż ponad jego głową, suficie. Na podłodze rozrzucona była słoma. Przed sobą widział pordzewiałe kraty, za którymi biegł wąski korytarz. Za nim majaczyła kolejna, pogrążona w ciemności cela. Słysząc czyjś wymęczony oddech, a w powietrzu roztoczył się zapach Nocnego Wędrowcy. Church zamknął oczy, żeby na niego nie patrzeć.

— Kto tam? – usłyszał czyjś głos i wzdrygnął się. Przemagając wstręt, otworzył na chwilę oczy i zobaczył, że Wędrowiec ciągnie za sobą jakiegoś człowieka. Potem rozległ się szcęk otwieranego zamka i protesty wciąganego do celi, a potem wieszanego na łańcuchach więźnia, który splunął głośno, zapewne na strażnika, a w chwilę później został uciszony głośnym uderzeniem. Church usłyszał szuranie nóg i wyczuł na swojej twarzy ohydne, badawcze spojrzenie. Wędrowiec wydał gardłowe mruknięcie,

po czym wyszedł i zatrzymał się na chwilę na korytarzu. Church odczekał, aż trzasną drzwi zamykające korytarz, i dopiero wtedy otworzył oczy.

Za drzwiami świeciła pozostawiona przez strażnika latarnia, której stłumiony blask rzucał dziwaczne cienie na topornie wykutych ścianach komory. Na ścianie obok wisiał mężczyzna koło trzydziestki, o długich ciemnobrązowych włosach, które opadały mu zmierzwiłone na twarz. Był dość przystojny, miał wydatną szczękę i wystające kości policzkowe, ale w jego rysach widać było pewną hardość, zapewne pozostałość ciężkiego dzieciństwa. Najbardziej jednak rzucały się w oczy tatuaże, pokrywające cały nagi tors mężczyzny – wielobarwna plątanina dziwacznych rysunków i symboli, których Church nigdy przedtem nie widział, ale które na jakimś bardzo głębokim poziomie psychiki wywierały na nim ogromne wrażenie. Przy słabym świetle i dzielącej go od współwięźnia odległości, nie był w stanie dostrzec żadnych szczegółów, jednak im dłużej patrzył, tym wyraźniej wyczuwał działanie tatuaży na swoją podświadomość: powracały na wpół zagubione wspomnienia, dawno zapomniane sny. Czuł, że nie będzie w stanie dłużej tego znieść i zmusił się do odwrócenia wzroku.

Church cieszył się ze światła, ale to, co w nim zobaczył, nie dawało wielkiej nadziei na ucieczkę. Nawet jeśli uda mu się uwolnić z kajdan, nie zdoła wyłamać krat, a potem musiałby jeszcze stawić czoło strażnikom za drzwiami korytarza. Nie poddał się jednak rozpacz i cierpliwie czekał, aż drugi więzień odzyska przytomność.

Kiedy nieznajomy wyszedł z omdlenia, potrząsnął kilka razy głową, jakby chciał przegonić natarczywą muchę, po czym zaklął pod nosem. Rozejrzał się powoli, dostrzegł Churcha, przypomniał

go sobie i rzucił w jego stronę podejrzliwe spojrzenie.

— A ty kto? – zapytał ostrym tonem. Mówił robotniczym akcentem z południowo-wschodniego Londynu.

— Jack Churchill. A ty?

Cisza. Dopiero po chwili: — Ryan Veitch. – Nieznajomy znów obrzucił celę ukradkowym spojrzeniem. – Też cię złapali?

Church wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. Jechałem motorem po wrzosowisku i wpadłem do jakiejś dziury. Gdzie jesteśmy?

— To jakaś opuszczona kopalnia. Pełno ich tutaj. – Veitch szarpnął się gniewnie na łańcuchu, który jednak trzymał mocno. – Sukinsyny! – zawołał, po czym wziął głęboki wdech, uspokoił się i zapytał: — Co to za bestie?

— Rzeczywiście są koszarne. – Tym razem to Church był podejrzliwy. – Całkiem nieźle dajesz sobie radę, jak na kogoś, kto musiał stawić czoła czemuś, co nie ma nawet prawa istnieć.

— Miałem czas się przyzwyczać, nie? To już, cholera, tydzień mija, jak te sukinsyny mnie tu zaciągnęły. Łaziłem sobie normalnie po wrzosowisku, turystycznie. Jak ich pierwszy raz zobaczyłem, to się od razu wyrzygałem, no mówię ci, od razu wszystko, co miałem w brzuchu, a potem straciłem przytomność. Za drugim razem nie było już tak źle. A teraz to już się przyzwyczałem i to mnie, cholera, jeszcze bardziej drażni.

— I tak nie wydajesz się zbyt przejęty – nie dawał za wygraną Church.

Veitch zwiesił głowę, tak że włosy zasłoniły mu twarz. Church pomyślał, że tamten nie ma ochoty na dalszą rozmowę, ale Veitch tylko namyślał się, bo w chwilę później podniósł głowę i bez ogródek wyznał: — Całe życie śniły mi się takie gadziny. Najbardziej mnie zaskoczyło, że miałem w sobie taki spokój, jak

je naprawdę zobaczyłem. Jakbym przeczuwał, że je kiedyś spotkam.

— Sny? Jakie sny? – dopytywał się Church, któremu ciarki przeszły po plecach.

— No. Widzisz te tatuaże? To są moje sny. Kiedy byłem mały, nie mogłem z ich powodu normalnie żyć. Nie umiałem wyrzucić ich z głowy. Opuściłem się w szkole, nie miałem przyjaciół, żadna sikorka nie chciała ze mną dłużej zostać – mówili, że to niewłaściwy stosunek do otoczenia. Niezdolność do koncentracji. I jeszcze inne, takie różne. A to wszystko przez te cholerne sny. Myślę, że już bym dawno wykitował, gdybym nie wymyślił, jak o nich zapomnieć. – Wskazał skinieniem na tatuaże. – Za każdym razem, jak przychodził taki sen i nie dawał mi spokoju, to jechałem do takiego zakładu w Greenwich i kazałem sobie robić obrazek. Wtedy sen wylatywał z głowy. Mówię ci, na ciele mam książkę o swoim popieprzonym mózgu.

Church wyteńczył wzrok i w półmroku ujrzał na torsie Veitcha coś, co wyglądało jak unosząca się powietrzu wieża.

— Ja też mam takie sny – zaczął. – Nie tak straszne, jak ty, ale... Zamilkł, bo Veitch rzucił mu dziwne, przenikliwe spojrzenie.

— Smoki? – zapytał, świdrując Churcha wzrokiem. – Jesteś Bratem Smoków?

Church skinął głową.

— Te słowa chodziły mi po głowie od tygodni. Normalnie cały czas. Wisiały w powietrzu: w obozie, we śnie, w ciemności, w ognisku. Co to kurczę jest?

Church znów wzruszył ramionami. Veitch nie wyglądał na zadowolonego.

— Słuchaj, gościu, ja rzuciłem pracę, żeby tutaj przyjechać. Zresztą to była do niczego robota, remontowałem mieszkania w

Greenwich, żeby jakiś goguś mógł je potem wynajmować za kupę forsy. Potrzebna mi jest, do cholery, jakaś odpowiedź!

— Ale co sprawiło, że tu przyjechałeś?

— Jedna taka mnie namówiła – oznajmił z zagadkowym i rozbrajającym uśmiechem.

— Czyli kto?

— Najpierw myślałem, że to sen, ale teraz nie jestem pewien. Jakaś laska przyszła do mnie w nocy i kazała jechać na zachód, gdzie miałem znaleźć coś, czego przez całe życie szukałem. – Zaśmiał się sarkastycznie.

Churchowi znów przeszły ciarki po plecach. Ostrożnie dobierając słowa, opisał Veitchowi kobietę, którą spotkał w Strażnicy.

— Tak, to właśnie ta. Czyli ona była prawdziwa. Ale jak trafiła do mnie do chaty?

Zanim Church zdążył odpowiedzieć, rozległ się dźwięk przypominający odległe, stłumione uderzenie dzwonu. Wibrował przez jakąś minutę, a potem z wolna wygasł, pozostawiając wiszące w powietrzu napięcie.

— Co to ma być? – zapytał Church. Veitch wyglądał na przestraszonego.

— Coś tu jest na rzeczy. Widziałem. Mają tu wielką jaskinię, a w niej pełno takich żółtych metalowych beczek. A gdzie indziej jest jakby kościół, tylko że niepodobny do kościoła. I te wszystkie... jak ty je nazywasz?

— Kobieta w Strażnicy mówiła o nich Nocni Wędrowcy. Bóg jeden wie, czym oni tak naprawdę są.

— Jasne. I cholera wie, co oni jedzą, ale widziałem tam kości... – głos zamarł mu w gardle, a Church nie miał ochoty pytać o szczegóły.

Przez chwilę milczeli, po czym Church zapytał: — Jak ci się udało tyle zobaczyć? Przecież nie puścili cię na spacer.

— Co jakiś czas mnie wyciągają i dają wycisk. Pewnie chcą mnie rozruszać. Spacerniak przy tym siada. – Veitch skrzywił się, ale zaraz uśmiechnął smutno. – Jakby chcieli, żebym im coś powiedział. Wciąż charczą tymi małpimi głosami, a ja nie mogę ani słowa z tego zrozumieć. Cholera, nie mają równo pod sufitem, no nie? – zapytał, a potem spowaźniał nagle. – Ale jeden z nich gada po angielsku. Ten to jest straszny. Nie wygląda wcale jak reszta, jest prawie... piękny. – Veitch zacisnął szczęki wypowiadając to słowo. – Dopóki nie spojrzysz mu w oczy. Przy tych zwykłych to się tak czuję, jakby mi się mózg lasował, ale on... On jest straszny w inny sposób. – Veitch spojrzał na Churcha z ciekawością. – Jak taki do ciebie gada, to robisz, co każe, no nie?

W tej samej chwili latarnia zamigotała i zgasła.



W ciemności trudniej było im rozmawiać, ale Church nie miał wątpliwości, że łączy go z Veitchem bliska, choć podświadoma, więź. Obaj byli przecież Braćmi Smoków.

Urywana, cicha rozmowa dotyczyła teraz ich przeszłości. Veitch opowiedział o swoim dzieciństwie w biednych dzielnicach Londynu. Był najmłodszym z sześciorga rodzeństwa, matka zmarła, kiedy był jeszcze niemowlęciem. Ojciec zupełnie się wtedy załamał i chłopcy musieli sami zajmować się domem, gotować, sprzątać, zarabiać jakoś pieniądze, których zawsze brakowało. Trzech braci Veitcha siedziało teraz w więzieniu, jeden za handel narkotykami, pozostali dwaj za napad z bronią

w ręku na kasę oszczędnościową w Kilburn. Życie Veitcha jawiło się jako piekło, ciąg pełnych bezmyślnej przemocy wydarzeń, ale jednocześnie, co Church uznał za dziwną sprzeczność, mężczyzna dobrze wspominał dzieciństwo, a swoją rodzinę darzył wielkim szacunkiem. Wychowany w miejskiej dżungli Veitch wyrósł może na twardego mięśniaka, ale Church wyczuwał, że obcy jest w gruncie rzeczy przyzwoitym człowiekiem i zdoła się z nim dogadać. Mógł mieć gorszego towarzysza w swojej misji – jeśli oczywiście było im pisane wydostać się z niewoli.

Sam nie opowiedział Veitchowi zbyt wiele o sobie – nawet w tej ostatecznej sytuacji trudno było mu się zwierzać – za to szczegółowo poinformował go o wszystkim, co mu się przydarzyło od czasu incydentu pod mostem Alberta.

Kiedy zaczęli dzielić się przemyśleniami na temat tego, co się wokół nich działo, przerwał im odgłos ciężkich kroków zbliżających się do celi, której drzwi w chwilę później zostały otworzone gwałtownym ruchem. Church zacisnął powieki, ujrawszy w progu postać Wędrowca, ale nawet to krótkie spojrzenie przyprawiło go o mdłości. Gardłowy głos bestii był tak niski, że Church bardziej wyczuwał go w trzewiach, niż słyszał. Potwór wydawał się czegoś od nich domagać. Church poczuł, że strażnik zbliża się do niego – jakby od monstrum wionęło chłodem – a potem jego nozdrza wychwyciły znajomą potworną woń. Wokół szczęki więźnia zacisnęły się kościste palce, naciągając skórę policzków, tak że zaczęła piec. Chcąc nie chcąc, Church odwrócił głowę. Miał wrażenie, że za chwilę czaszka mu pęknie i nie mogąc się powstrzymać, otworzył oczy.

Patrzył prosto w drugą ich parę, głęboko osadzonych, o wąskich, czerwonych źrenicach. Twarz Wędrowca pokryta była

łuskami wyglądającymi jak potworne liszaje, opinające się na zniekształconych kościach policzkowych. Paraliżujący Churcha strach nie był jednak wywołany okropnym wyglądem tej twarzy, tylko czymś tajemniczym, co dostrzegał głęboko w spojrzeniu bestii, i czego nie mógł znieść.

Wydawszy krótki okrzyk, stracił przytomność.



Obudził się na pokrytej śmierdzącą słomą podłodze. Nadgarstki bolały go, jakby ktoś nabił je gwoździami, ale poczuł coś na kształt ulgi, że nie wisi już w kajdanach. Pokonując przeraźliwy ból głowy, usiadł szybko na ziemi i rozejrzał się, gotowy rzucić się do ucieczki.

— Spokojnie – doszedł go głos Veitcha. – Klatka cały czas zamknięta.

Był zajęty jedzeniem jakiejś zupy. Za każdym razem, kiedy podnosił łyżkę do ust, twarz wykrzywiał mu grymas obrzydzenia.

— Teraz rozumiem, czemu ci goście w Andach mogli jeść swoich umrzyków. Jak człowiek głodny, to każde gówno w siebie wmusi.

Church dostrzegł na podłodze drugą miskę.

— Co to jest?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nawet myśleć o tym nie chcę, więc nie pytaj.

Church podczołgał się do miski, czując w żołądku głodowe kurcze. Na powierzchni szarej cieczy pływały mętne oka tłuszczu; zupa pachniała trochę jak zsiadłe mleko. Leżącą

nieopodal łyżką sprawdził też, że jest bardzo rzadka. Uniósł łyżkę do ust, zastanawiał się przez chwilę i odłożył ją.

— Chyba nie jestem dość głodny.

— Ale będziesz – pogroził mu Veitch. Dopił zupę, a miszkę rzucił w kąt.

— Nie zamierzam tu zostać tak długo.

— Jaki masz plan?

— Jak zobaczysz, to się dowiesz.

Veitch zaśmiał się.

— Cholera jasna, jaki optymista!

Church podniósł się na nogi i podszedł do drzwi. Były zrobione z potężnych stalowych sztab, a ogromnemu zamkowi nie dałby rady żaden wytrych, nawet gdyby Church umiał się czymś takim posługiwać.

— Zastanawiam się, czy nie siedzimy czasem w spiżarni – oświadczył Veitch ponuro. – Rozumiesz, co mam na myśli?

Church przyjrzał się miejscu, w którym sztaby wnikały w wilgotną skałę.

— Może tak skończymy, ale na razie jesteśmy zbyt ważni, żeby nas zjeść na śniadanie. Jesteśmy kluczem do ich zwycięstwa lub porażki i oni o tym wiedzą. Myślę, że trochę się nas boją. Albo nie nas, tylko tego, co reprezentujemy, co jesteśmy w stanie zrobić.

— A niby co możemy zrobić, co? – Veitch starał się ukryć ciekawość pod maską niedowierzania. Church dobrze to rozumiał, sam pamiętał, jak się niedawno czuł. Miał normalne życie, normalne myśli, nic nie było go w stanie wytrącić z codziennej rutyny. Myśl, że jego przeznaczeniem był los mitycznego bohatera, zapowiedzianego w prorocत्वach sprzed tysięcy lat, była w jego poprzednim życiu niedorzeczna i śmieszna. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że taki

właśnie jest jego przeznaczenie: potwierdzały to dziwne zbiegi okoliczności, sny oraz niezrozumiałe dla niego jeszcze miano „Brata Smoków”.

— „Bracia i Siostry Smoków” – powtórzył, mamrocząc pod nosem.

— Co to za bracia? Jak masoni?

— Myślę, że tak się nazywa nas pięcioro. Mamy się zejść w „najczarniejszej godzinie Brytanii”. Myślę, że chodzi o coś, co nas połączy.

Church wrócił myślami do krwawych scen na autostradzie M4 i opowiedział Veitchowi o tym pierwszym spotkaniu z Bestią.

— Może my umiemy do nich mówić, jak jakiś cholerny doktor Doolittle?

Church oparł się rękami o kraty drzwi i osunął na ziemię.

— Myślę, że to coś bardziej symbolicznego. Smoki są związane z energią ziemi, z tą magią, którą oglądaliśmy w Stonehenge. Żywią się nią, pływają w niej, pomaga im w orientacji. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale ta energia jest ważną częścią przyrody. Jakby żywym organizmem.

— Krwią.

— Coś w tym rodzaju. Smoki zawsze symbolizowały energię ziemi, nawet w starożytnych Chinach. Może to oznacza, że my mamy bronić tej energii. Albo nie, całej planety. Jesteśmy braćmi energii ziemi, krwi świata.

Church słuchał siebie z niedowierzaniem, nawet w tej ohydnej celi umiał jeszcze tak myśleć.

— To mamy super fuchę – z niechęcią odrzekł Veitch. – Nie myślisz, że do takiej roboty to by wzięli kogoś, kto się lepiej nadaje od nas?

— Myślę, że nikt nas nie wybierał – odparł Church. – Myślę, że

to wszystko zostało ustalone przed tysiącami lat, na długo przed naszym urodzeniem. Naszym obowiązkiem jest sprostać temu zadaniu.

— I co, zamiast coś robić, siedzimy w tej dziurze i czekamy na śmierć! Nie wytrzymam tutaj! – krzyknął Veitch, wyładowując tłumioną dotąd wściekłość. – Sukinsyny!

Church z przerażeniem spojrział na jego wykrzywioną gniewem twarz. Ładunek emocji był tak potężny, tak widoczny, że wymykał się Veitchowi spod kontroli i Church zaczynał się go bać.

— Uspokój się – powiedział stanowczo. – Nie chcemy, żeby tutaj zaraz przyszli.

Było już jednak za późno. Hałas dochodzący z za drzwi kazał się domyślać, że tym razem idzie do nich kilku Wędrowców. Church odsunął się w kąt celi, chowając głowę w ramiona, żeby nie musieć patrzeć na twarze strażników. Kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, Veitch zmełł w ustach przekleństwo. W jego głosie słychać było taki strach, że Church nie mógł się powstrzymać i otworzył na chwilę oczy. W mroku zobaczył kilka postaci, z których jedna, stojąca przed innymi, wcale nie wyglądała potwornie. Patrząc na twarz, która byłaby piękna, gdyby nie malujące się na niej okrucieństwo, domyślił się, że to właśnie o tym kimś opowiadał mu wcześniej Veitch. Zmusił się do patrzenia tylko na tę istotę, by nie widzieć okropnych twarzy pozostałych. Był to mężczyzna o owalnej, delikatnej twarzy. Jego blada cera miała złotawy kolor. W oczach, niemal kocich, świeciły szkarłatne tęczówki, a na ramiona spływały pasma lśniących, siwych włosów. W tej dziwnej postaci było coś, co przywodziło na myśl kobietę ze Strażnicy. Inne stwory były przysadziste i nadludzko potężnie zbudowane, zaś tajemniczy

mężczyzna szczupły i smukły, o długich i zgrabnych kończynach. Niemniej, choć wyglądem nie przypominał Wędrowców, czuć było, że jest jednym z nich – wydawał taki sam mdlący odór. Miał na sobie jedwabny kaftan i dziwne, poplamione spodnie do kolan, jakby tylko udające ludzki ubiór. Przez chwilę wydawał się Churchowi niegroźny, ale kiedy spojrzał w jego twarz, szybko zmienił zdanie.

Nieznajomy podszedł powoli do Veitcha i odezwał się nieco syczącym głosem: — Znowu robisz za dużo hałasu, mój drogi.

Church oczekiwał kolejnego ataku furii, ale Veitch tylko odwrócił wzrok.

Dziwna istota zwróciła się teraz do Churcha: — Nazywam się Calatin. Zaś ty, Bracie Smoków, jesteś znany z licznych opowieści wśród wszystkich plemion. My nazywamy cię *Arith Urkolim*.

Church poczuł ciarki przechodzące mu po plecach. Właśnie tego imienia użył Wędrowiec, który próbował porwać Ruth na stacji benzynowej pod Londynem.

— Twe nadejście zapowiadało tyle proroctw i znaków, oczekiwali cię nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców, i oto leżysz tu przede mną bezsilny. Tak samo słaby i bezbronny jak cała twoja rasa. – Pogładził podbródek smukłym palcem zakończonym brudnym i złamanym paznokciem. – To nauczka, by nie ufać mitom.

Church nie potrafił zrozumieć, dlaczego Calatin tak różni się wyglądem od reszty potworów, ani dlaczego tak świetnie mówi po angielsku, podczas gdy inni Wędrowcy wydawali z siebie tylko gardłowe warknięcia i okrzyki.

Calatin zbliżył się do Churcha i roztaczający się wokół niego smród stał się niemal nie do zniesienia.

— Tyle sił zmarnowaliśmy, żeby usunąć cię z gry. Nie będę

ukrywał, że okiełznanie Bestii wymaga bardzo dużo mocy. One są tak niezależne, że do panowania nad nimi potrzebne są szalenie wyczerpujące obrzędy. Jeszcze wyższej ceny zażądały Dzikie Zastępy, ale zapłaciliśmy ją bez mrugnięcia okiem. I po co? Sam zapukałeś do naszych drzwi. – Potrząsnął głową udając niedowierzanie. – Wciąż nie wiem, czy nie lepiej by dla ciebie było, gdybyś dał się zabić Pogoni, to szybka i łatwa śmierć. Z nami nie będzie ci tak łatwo. – Uśmiechnął się zimno.

Church miał zamęt w głowie; Calatin najwyraźniej wysyłał jakąś energię, która przeszkadzała zebrać myśli.

— Teraz możesz pewnie wysłać Zastępy z powrotem tam, skąd przyszły? – zapytał, modląc się, żeby Calatin nie rozpoznał jego obaw o Ruth i Laurę.

— O, Pogoni nie można zatrzymać, dopóki się nie nasyci – odrzekł tamten, rozkoszując się strachem na twarzy Churcha.

— Ale...

— A poza tym teraz musimy zdecydować, co z tobą zrobić – kontynuował Calatin. – Niektórzy uważają, że twoja głowa będzie potężnym amuletem. Kiedy uda się nasz plan, wmurujemy ją pewnie w mury naszej twierdzy. Inni nie mogą się doczekać uczyty z twojego mózgu, żeby twoje męstwo, nawet jeśli jest głęboko ukryte, przeszło na Cadrów, naszych najlepszych wojowników. Mamy czas, nie musimy od razu podejmować decyzji. Przedtem czeka nas jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Calatin dał znak skinieniem głowy i pozostali Wędrowcy złapali Churcha za ręce. Starał się uniknąć widoku ich twarzy, ale było to niemożliwe i po kilku sekundach znowu stracił przytomność.



Jego nozdrza drażnił zapach jakiegoś ohydneho, gotującego się mięsa. Nie wiedział, gdzie się znajduje, ale panował tu duszący upał, który niemal pozbawił go odzyskanej przed chwilą przytomności. Leżał przytroczony do drewnianej ławy, mógł jednak unieść głowę i rozejrzeć się, ale od razu pożałował, że to uczynił. Znajdował się w izbie wykutej w skale podobne jak jego cela, oświetlonej czerwonym żarem stojącego w kącie paleniska. Jeden z obrzydliwych potworów stał nad ogniem, plecami do Churcha, rozgarniając żar narzędziami podobnymi do kowalskich. W innym kącie stał na ogniu kocioł z bulgocącą, brązową mazią; to właśnie stamtąd dochodził smród mięsa. Obok kotła, na szerokiej ławie, leżały liczne tasaki, zapewne służące do przygotowywania posiłków. Kątem oka Church dostrzegł w kotle coś, czego wcześniej nie zauważył, i odwrócił wzrok. Były to ludzki korpus z głową zawieszony na wystającej ponad brzegiem kotła ręce.

Pokonując mdłości, więzień rozglądał się dalej, żeby zobaczyć resztę izby i wkrótce zrozumiał, gdzie się znajduje. W półmroku dojrzał wiszące na ścianach narzędzia tortur, które dotychczas miał okazję oglądać jedynie na wystawach w średniowiecznych zamkach: stalową klatkę, nabijane ćwiekami koło, stojak z różnorodnymi szpikulcami, zwisające z sufitu łańcuchy. Więcej narzędzi na pewno kryło się poza jego polem widzenia.

Zanim zdążył naprawdę się przestraszyć, ciężkie drzwi otworzyły się ze zgrzytem i pojawił się w nich Calatin z dwoma innymi Wędrowcami. Choć Church wciąż nie mógł znieść ich widoku, nie stracił tym razem przytomności. Zapewne zaczynał

się przyzwyczajając do okropności, które kiedyś wydawały mu się niewyobrażalne.

Calatin rzucił Churchowi krótkie, beznamienne spojrzenie, jakby go nie zauważał, po czym zwrócił się do potwora stojącego przy ogniu. Rozmawiali przez chwilę dziwnym, pełnym skowytów językiem – z tonu i postawy Calatina widać było wywnioskował, że posiada on nad Wędrowcami jakąś władzę. Kiedy jednak przeszedł się po izbie, w jego ruchach można było zauważyć drzenie. Najwyraźniej targały nim dreszcze, a twarz miał ściągniętą z bólu, jakby walczył z jakąś chorobą. Gdy podszedł do ławy, na której leżał Church, pozwolił sobie na jedno pełne pogardy spojrzenie, w którym jak na dłoni widać było ogrom jego cierpienia i toczącą się w jego organizmie walkę.

— Co teraz? – zapytał Church. Tylko tyle umiał z siebie wydobyć, nie wybuchając pełnym przerażenia krzykiem. Starał się zachować pozorny spokój, ukryć pod tą maską dławiący go strach, zachować resztki godności, nie patrzeć na narzędzia tortur, nie dopuścić do siebie obrazów pełnych bólu i krwi. W głębi duszy wyczuwał jakieś miejsce, do którego nie docierał lęk, i nakazywało mu ono przytomnie nie zapominać o ciężącym na nim obowiązku zachowania człowieczeństwo w obliczu zła, które chciało go złamać i stłamsić. W tej części swojej duszy był właśnie bohaterem, którym dotąd nie chciał być, i co teraz odkrywał z zaskoczeniem, jakby ktoś pokazał mu nieznaną wcześniej pokój w od dawna przezeń zamieszkiwanym domu.

Calatin zignorował pytanie. Szybko odwrócił się i wezwał do siebie jednego z towarzyszących mu Wędrowców. Potwór przyniósł jedno z narzędzi ze stojaka, szpikulec zakończony korkociągiem. W porównaniu z innymi, narzędzie to wyglądało najmniej groźnie, ale Church zdawał sobie sprawę, że to dopiero

początek.

— Mamy Latarnię Drogi – zaczął Calatin wysokim, jęklwym głosem. – To dziwne, że tak wartościowe i potężne narzędzie wymknęło ci się od razu rąk. Oddałeś nam ją, jakby była dla ciebie tylko zabawką.

Church patrzył mu w oczy, ale nic nie mówił. Słowa Calatina dotykały go do żywego.

— Nie możemy jej użyć ani pozostawać zbyt długo w jej pobliżu, ale jest w naszych rękach, a twoje sprzymierzeńczynie nigdy nie odnajdą bez niej Quadrillaxa – kontynuował Calatin. Wziął głęboki oddech i powiedział najważniejsze: – Wiemy, że macie kamień. Gdzie on jest?

Church patrzył na niego niewidzącym wzrokiem, gotując się na to, co miało zaraz się zacząć.

Rozdzierający ból przeszył mu nogę. Choć miał nadzieję, że zdoła powstrzymać krzyk, okazało się to niemożliwe i zaczął wyć. Wędrowiec wyjął szpikulec i trzymał go teraz wysoko, pozwalając krwi kapać na jego koszulę. Church czuł, jak na dżinsach wokół rany powiększa się mokra, ciepła plama.

— Wiem, że mnie zabijecie – wydyszał – więc nie ma sensu cokolwiek wam zdradzać.

— Minie wiele dni, zanim cię zabijemy, a ból ma wiele dróg. Do tego czasu przeprowadzimy cię przez wszystkie z nich. – Calatin pochylił się nad nim, tak że czuć było jego smrodliwy oddech. – Zapytam jeszcze raz: gdzie jest kamień?

Church zamknął oczy, wyszeptał modlitwę, a potem już tylko coraz głośniejszy krzyczał, bez końca.



Głos Calatina docierał do niego i zanikał, gdy pochłaniała go kolejna fala bólu.

— ...pod ziemią ukryte twierdze. Jesteśmy rozrzućeni po całym kraju. Nie ma miejsca na tej wyspie, gdzie by nas nie było. Czekamy wciąż i czekamy, bo czekaliśmy od bardzo dawna, aż zjedną się gwiazdy, aż nadejdzie nasz czas, aż na zawsze otworzą się bramy i będziemy mogli spojrzeć w wieczność. Koniec...

Głos to milkł, to powracał; Calatin stał nad Churchem, wpatrzony w przestrzeń, jakby mówił do siebie. Malował obrazy nadchodzących okropności.

— ...twój kraj zmieni się nie do poznania. Pola, góry, rzeki i wrzosowiska pokryje wieczna noc, nawet najmniejszy błysk nie rozświetli ciemności. Ulicami miast i rzekami popłynie krew, codziennie na naszych ucztach będziemy jeść świeże mięso. Gdy ujrzycie twarze tych, którzy powrócą, ogarnie was szaleństwo i nie znajdzie się taka modlitwa, która was wtedy zdoła uratować, nie będzie was słuchał żaden bóg. Wasz głos zginie w obliczu potęg, w których istnienie przestaliście wierzyć. Twój lud będziemy pędzić jak bydło, będą krzyczeć, będą zrozpaczeni i sami...

Znów ciemność i ból. Church starał się schować gdzieś głęboko w swojej głowie, dokopać do miejsca, gdzie spoczywał ukryty w nim bohater, czekający na przebudzenie, by po raz kolejny stanąć w obronie Brytanii. Ale droga do tej jaskini była długa i pełna niespokojnych duchów. Wiele razy zobaczył Mariannę. Posłała mu pocałunek, biegnąc do metra w Londynie. Pławiła się w ciepłym morzu w Ganavan, ochlapując go wodą. Potem pobiegli na wydmy, żeby się kochać. Stała na pokładzie statku w blasku wschodzącego nad Tamizą słońca, tuż zanim oddal

pocałunek, który odmienił jego życie. Potem przemówiła do niego słowami małej Marianny o życiu i śmierci, o tym jak stapiają się w jedno. Obrazy te dawały mu siłę, dzięki której mógł przetrwać.



Ponownie odzyskał przytomność. Leżał na pokrytej słomą podłodze celi. Paliło zmęczone torturami ciało, a ubrania były mokre od potu i krwi.

— Myślałem, żeś wykitował! – usłyszał dochodzący jakby z daleka głos Veitcha. Spróbował odpowiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Poczuł, jak szorstkie dłonie podnoszą mu głowę, żeby mógł zwilżyć usta zatęchłą wodą z drewnianej miski. Na twarzy Veitcha, którą widział jak przez mgłę, malowała się jednocześnie troska i obawa wywołana własnymi wspomnieniami.

— Wyglądasz strasznie. A ja myślałem, że dostałem w kość, jak mnie wzięli na ten swój plac zabaw. – Veitch zgarnął trochę słomy i ostrożnie położył na niej głowę Churcha. – Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale chyba nic im nie powiedziałaś. Ten gościu był wkuty na maksa, jak cię tu przynosili. Jesteś silniejszy ode mnie, wydałbym nawet swoją babcię, jakby mnie o coś pytali.

Church zamknął oczy i poczuł w całym ciele ulgę, niczym fale ciepłego morza. Obawiał się, że powie coś i oszołomiony bólem zapomni o tym, ale najwyraźniej przeszedł przez tę próbę zwycięsko. Co więcej, cierpienie pomogło mu zajrzeć do własnego wnętrza na tyle głęboko, żeby znaleźć to, czego bezskutecznie dotąd szukał: uspięnego bohatera. I rzeczywiście czuł się teraz odmieniony, silniejszy, pewniejszy siebie. Potrafił

zapanować nad codziennymi obawami, które nie dawały mu od tak dawna żyć. Nawet myśl o dalszych torturach nie mogła go teraz złamać. Czuł się jak nowonarodzony.

— W cierpieniu jest siła – wychrypiał nieprzytomnym głosem. Veitch, ujrawszy uśmiech na jego twarzy, zapytał, czy wszystko z nim w porządku, ale Church już odpływał w krzepiący sen.

Nie wiedział, jak długo spał, ale kiedy obudził go zgrzyt otwieranych drzwi, czuł się już znacznie lepiej. Zdołał się podnieść na łokciu. W mroku dojrzał dwie postacie, ciągnące jakiś bezkształtny wór i wrzucające go do celi po drugiej stronie korytarza. Kiedy strażnicy wyszli, przyjrzał się temu czemuś dokładniej. Po dłuższej chwili wór poruszył się, a potem jęknął.

— Żyjesz? – zapytał Church zachrypniętym głosem, jakby szeleściła papierowa serwetka.

Długo nie było żadnej odpowiedzi. Potem ich nowy towarzysz podczołgał się niezdarnie do kraty i podciągnął do pozycji półleżącej. W migotliwym świetle pochodni Church ujrzał wykrzywione, poorane bruzdami oblicze umęczonego mężczyzny o siwych, splątanych włosach. Wyglądał na sędziwego starca, ale Church powoli zaczął rozpoznawać tę naznaczoną cierpieniem twarz. Przeszedł go zimny dreszcz.

— Tom? – wyszeptał. Siedzący obok Veitch drgnął i podniósł wzrok.

Stary człowiek w drugiej celi spojrział na Churcha zgaszonym, smutnym wzrokiem.

— Nie myślałem, że to zrobią – powiedział szeptem jeszcze słabszym niż Church, jakby zaraz miał umrzeć. – Dawne zwyczaje nic już dla nich nie znaczą. Są tak pewni swojej siły, zwycięstwa, że nikogo i niczego się już nie obawiają. Nie szanują dawno ustalonego porządku. Nie myślałem...

Veitch uklęknął obok Churcha przy drzwiach celi.

— Co to za jeden?

Church wyjaśnił pokrótce, a potem znów zwrócił się do Toma:

– Czy to Calatin ci to zrobił?

— Chciał wiedzieć, czy inni mają bez ciebie moc. – Z wyczerpania mówił z silniejszym niż zwykle szkockim akcentem. Trzęsąc się, wziął głęboki oddech i jakby odzyskał nieco sił. – Nie chcą się odrywać od tego, czym są teraz zajęci, ale wiedzą, że wszyscy stanowicie dla nich zagrożenie.

— A czym są zajęci?

Tom potrząsnął głową.

— Czekają. Przygotowują się.

— Czy pozostali mogą ich powstrzymać beze mnie? – Spojrzał na Veitcha. – I Ryana?

Tom jakby dopiero teraz zauważył towarzysza z celi Churcha.

— Nie wiem. Wiem dość, żeby wam pomóc, ale nie wszystko. Legendy o Braciach i Siostrach Smoków zawsze mówiły o nich jako całości, większej niż suma poszczególnych części. Moc, którą reprezentujecie, potężnieje i skupia się wtedy, kiedy jesteście razem. Osobno, każde z was ma jakieś mocne strony, ale...

— Ale nie dość – ponuro dokończył Church.

Gdzieś za ścianami ich więzienia znów rozległo się bicie dzwonu. Długie, posępne dźwięki jakby przepowiadały rychłą śmierć.



Po wybuchu magazynu w Salisbury Tom oszołomiony i słaby błąkał się po placu, poszukując Ruth. Niedobitki Wędrowców

zaatakowały go i pozbawiły przytomności, którą odzyskał dopiero w izbie tortur Calatina. Ten był bezlitosny, gdyż, jak domyślał się Tom, plan Wędrowców wkroczył w kluczową fazę i nie mogli sobie oni pozwolić na najmniejsze opóźnienie, najmniejszą nawet porażkę. Udało im się dokonać infiltracji całego kraju, ale bardzo obawiali się Churcha lub raczej tego, co Church i inni mogliby uczynić, gdyby w pełni wykorzystali swój potencjał.

— Ale czy dowiedziałeś się czegoś, co nam teraz pomoże? – zapytał Church bez większych nadziei.

— Nie wiem, bardzo trudno mi sobie cokolwiek przypomnieć. – Tom mówił nieskładnie, jakby był znacznie starszy niż w rzeczywistości. Delikatnie dotknął sporej rany z boku głowy, na której Church dostrzegł wielką skorupę zakrzepłej krwi.

— Jak się czujesz? – zapytał Church. Rana wyglądała na poważną. Tom nie chciał już rozmawiać, ale Church dalej domagał się informacji.

— W Stonehenge było widać, że wiele przed nami ukrywasz. Musisz nam teraz wszystko powiedzieć!

— Czasem mam taki natłok myśli... – majaczył Tom. – Te wszystkie lata nawarstwiają się... – przerwał nagle, jakby coś mu się przypomniało. – Chcecie się dowiedzieć, jak to się wszystko zaczęło?

— Tak.

— Nie, nie jak to się naprawdę zaczęło. Tego nikt nie wie. Ale jak zaczęło się to tutaj. To wam mogę powiedzieć.

— Mów, mów.

Tom obrócił się niezdarnie i spoczął w bardziej wygodnej pozycji.

— Church, ty jesteś wykształcony. Znasz mity celtyckie?

— Trochę. Coś czytałem na studiach.

— Właśnie tam się to zaczęło. Tajna historia, ukryta w kilku mitach i przekazywana z pokolenia na pokolenie, żeby ludzie nigdy nie zapomnieli tych cierpień i okropności.

Church starał się przypomnieć sobie te mity, ale była to mało ważna część jego studiów i nie pamiętał teraz żadnych szczegółów.

— Pamiętam tych Tuatha Dé Danann – zaczął, wahając się.

— Tak ich nazwali Celtowie. Plemię albo lud Bogini Danu, ostatnie pokolenie bogów rządzących światem przed nadejściem ludzi. Kiedy przybyli do naszego świata, przynieśli ze sobą ogromną wiedzę, magię z czterech cudownych miast: Falias, Gorias, Finias i Murias, oraz cztery Insygnia: Kamień Fal, krzyczący głośno kiedy dotykał go prawowity król, Miecz Nuadu, władcy Plemienia, zawsze zadający niezawodny cios, Włócznie Lugha, boga słońca, a przede wszystkim Kocioł Dagdy, ojca wszystkich bogów, źródło życia, śmierci i uzdrawiającej siły.

— Tak! Właśnie tych rzeczy szukamy.

— Ludzie szukali ich od zawsze. Nikomu nie udało się ich znaleźć.

— Ale my musimy. Aby uwolnić te, no... Złote Istoty. – Church opowiedział Tomowi o kobiecie w Strażnicy.

— Ona jest jedną z Tuatha Dé Danann. To oczywiste, że chce uwolnić swoje plemię. Ale żeby znaleźć Insygnia... One są czymś więcej, niż się wydaje ludzkim oczom, one są potężnymi symbolami, które... – głos Toma zamarł na chwilę. – Słuchajcie. Ci bogowie i ich sprawy, to wszystko jest nam bardzo obce i niezrozumiałe. Ich wygląd, ich motywacje... Nasze umysły mogą najwyżej nadać im jakiś zrozumiały dla nas kształt, to wszystko. Niektórzy są nam bliżsi, jak ta kobieta, którą spotkałeś pomiędzy

światami. Inni są tak niezrozumiali, że nie umiemy im nawet nadać kształtu.

— Jak te potwory tutaj?

Tom skinął głową.

— Zbyt okropne, żeby umysł zdołał je ogarnąć, ale można się stopniowo nauczyć nadawać im kształt. Celtowie nazywali je Fomorianami. Zniekształceni, brutalni, podobno wyszli z morza i najechali na ten świat. Byli ucieleśnieniem wszelkiego zła, zepsucia, plag. Żywiołem niezgody i sprzeciwu, wciąż starającym się pogrążyć wszechświat w chaosie i ciemności. Prowadził ich najbardziej niszczący i niebezpieczny z nich – Celtowie nazywali go Balorem, jednookim bogiem śmierci. Podobno Balor był tak okropny, że potrafił zabijać i niszczyć spojrzeniem.

Słuchając tych opisów, Church poczuł rozpacz i zniechęcenie. Trudno było powiedzieć, jak czuł się Veitch, który zwiesił głowę i ukrył twarz w opadających kędziorach włosów.

— Fomorianie nadeszli jak fala – kontynuował Tom. – Plemię Danu nie było przygotowane do walki. Wszyscy zostali wzięci do niewoli, a Fomorianie zaprowadzili rządy terroru zwane później Wieczną Nocą.

— Ale Plemię zaczęło się bronić.

Church przypomniał sobie opowieść kobiety ze Strażnicy i pokiwał głową.

— Pod przywództwem Nuady chcieli wziąć odwet na Fomorianach, ale nie mogli odnieść zwycięstwa, dopóki nie dołączył do nich Lugh, bóg słońca, który miał w sobie krew Fomorian. Według legend był wnukiem Balora. W czasie drugiej bitwy, Magh Tuireadh, Lugh wykłuł włócznią jego oko. Fomorianie poszli w rozsypkę, a Plemię Danu szybko odzyskało władzę nad światem. Cena zwycięstwa okazała się jednak za

wysoka, nawet dla bogów; doświadczyli zbyt wielu cierpień i niedoli, żeby żyć tak jak dawniej. Aby zachować jakiś porządek, obie strony zawarły rozejm zwany Ugodą. Na mocy Ugody, zarówno Plemię Danu jak i Fomorianie mieli opuścić Ziemię i powrócić na zawsze do ojczyzny Plemienia, którą Celtowie nazywali Zaświatami. Bogowie zabrali ze sobą niemal wszystkie nadprzyrodzone istoty, niemal wszystko, co nie pasowało do nowych praw naszego świata. Tak zakończył się Wiek Cudów, nazywany też Wiekiem Trwogi.

— Co ty nam tu, cholera, za bajki opowiadasz! – zawołał z rozpaczą w głosie Veitch.

Tom zamknął oczy i zmęczonym ruchem oparł głowę o ścianę.

— Te historie są tylko bladym odbiciem prawdy o tamtych czasach – to zaszyfrowane wiadomości z odległej przeszłości. W innych kulturach również powstawały historie, za pomocą których ludzie starali się jakoś zrozumieć tamte wydarzenia. Mity celtyckie są jednak najbliższe prawdy i dlatego okazały się najtrwalsze, fest w nich wiele niejasności i sprzeczności – bogowie mieli różne imiona wśród różnych, rozsianych po całej Europie plemion celtyckich – ale w zasadzie wszystkie opowiadają o jednym i tym samym.

— Czyli opuścili nas już na zawsze...

— Niezupełnie. Granice pomiędzy Zaświatami i naszym światem miały być nieprzeniknione, ale istnieją pewne słabe punkty, na przykład kurhany, jeziora i rzeki – ukryte przejścia. – Głos Toma cały czas słabł i przybierał na sile, często trudno było więc było zrozumieć, co mówi. – Niektórzy bogowie wypuszczali się na krótkie wypadki do naszego świata albo wywierali z Zaświatów wpływ na to, co się tutaj działo. Podobnie czyniły inne istoty. Czasami też ludziom udawało się przedostać do

Zaświatów.

— Pamiętam – wtrącił Church. – Mity o celtyckich bogach powoli przeradzały się w bajki o wróżkach, a Zaświaty zamieniły się w krainę wróżek. Wróżki i chochliki sprawowały pieczę nad skarbami, znały sztuczki magiczne, wyrządzały drobne szkody...

— Drobne! – przerwał mu Tom zajadłym tonem. – Przez wieki wtrącali się do naszej historii, zadawali ludziom cierpienie, oszukiwali ich. Czasami rzeczywiście ograniczali się do sztuczek: świateł na niebie, dziwnych stworzeń w jeziorach, nocnych mar. Często jednak urzędowali w naszym świecie prawdziwe jatki.

— To wszystko bardzo ciekawe – odezwał się sarkastycznym tonem Veitch – ale nic nam nie pomaga, no nie?

— Każda informacja wam pomaga – odparł Tom.

— Wiemy, że Plemię Danu już raz pokonało Fomorian, więc pewnie może tego dokonać jeszcze raz – rzekł Church. – Możemy mieć nadzieję.

— Ale nie wiemy, jak wyleźć z tej cholernej klatki!

— Mogłeś nam o tym wszystkim wcześniej powiedzieć – Church zwrócił się ze złością do Toma.

— Mogłem.

— Skąd to wszystko wiesz? Czy Strażnik Kości ci powiedział?

— Część tak. – Zapadła długa cisza, jakby Tom bił się z myślami, a potem dodał jeszcze: – Byłem w Zaświatach.

Church zastanawiał się najpierw, czy to nie jakiś głupi żart, ale przypomniał sobie, że nigdy wcześniej nie słyszał żartów z ust Toma.

— Kłamiesz.

Tom westchnął.

— Ja nigdy nie kłamię.

— To jak się tam dostałeś?

— Przez jeden z tych słabych punktów, o których mówiłem. W Szkocji, na zboczu pewnego wzgórza.

Veitch nagle zainteresował się ich rozmową. Podczołgał się do kraty drzwi i chwycił za stalowe sztaby.

— Jak tam było?

— Tyle dziwnych rzeczy... – głos Toma był dziwnie stłumiony.
– Bardzo odmieniła mnie ta podróż. Wiele się dowiedziałem i nauczyłem, dowiedziałem, jak manipulować niewidzialną energią.

— Magia?

— Można to tak nazwać. Nie jestem uzdolniony, ale udało mi się trochę nauczyć.

— A umiałbyś nas stąd wydostać? – z nadzieją w głosie zapytał Veitch.

Tom potrząsnął głową i przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił.

— Mówisz nam prawdę? – zapytał stanowczym głosem Church.

— Powiedziałem już, że nigdy nie kłamię.

Veitch zadał pięścią kilka ciosów w żelazną sztabę drzwi i odczołgał się w głąb celi.

— A więc widziałeś na własne oczy tych tak zwanych bogów – mówił dalej Church. – Czy możemy mieć jakąś nadzieję?

— Zawsze jest nadzieja.

— A co wiesz o Calatinie i Fomorianach?

— Ta rasa składa się z wielu plemion, niektóre z nich są małe, inne wielkie, a wszystkie walczą ze sobą o władzę. Od śmierci Balora wciąż są na skraju wojny domowej. Choć Calatin jest ich nominalnym przywódcą, jako mieszaniec jest otoczony niechęcią. Ale to nie jest tak naprawdę ważne. Powrót do naszego

świata zjednoczył ich, ale nie do końca, bo mimo pozorów zgody wciąż trwa walka o władzę. – Tom zaniósł się targającym kaszlem, a potem splunął przez kraty. – Ty i inni jesteście świętym trofeum, symbolem wszystkiego, co Fomorianie starają się zniszczyć. Ktokolwiek trzyma was w niewoli, albo zdoła was wyeliminować z gry, zyska uznanie w oczach wszystkich plemion Fomorian.

— Co ty mówisz? – zawołał Church, kurczowo chwytając się krat, żeby się podnieść na nogi. Choć ból w poddanym torturom ciele osłabł już nieco, poczuł teraz jego nagłą falę, jakby przebijały go niezliczone gwoździe.

— Jeśli uda się wam uciec – kontynuował słabym głosem Tom – będą was ścigać inni, nie tylko Calatin. On jest niebezpieczny, to prawda... – Tom przerwał i zwilżył językiem popękane usta.

— Ale jest jeszcze inny wódz, znacznie gorszy. Posiada wielką władzę nad siłami ciemności, Calatin może sobie tylko pomarzyć o takiej władzy. Tamten potrafić utrzymać swoją postać tylko dzięki rzezi wron, które kotłują się wokół niego w ściśle określonych szykach, tak że jego energia nie rozlewa się w nieokiełznany sposób. Nazywa się Mollecht.

Church przypomniał sobie, jak Strażnik Kości opisywał potwory goniące ich w Avebury.

— Więc to Calatin posłał za nami Bestię i Dzikie Zastępy, ale goni nas też ten Mollecht?

— Jezu, jeśli to wszystko prawda, to nie mamy nawet co próbować – odezwał się Veitch.

— Nie – odparł twardo Church. – Jeśli uda się nam stąd wydostać, odnaleźć cztery pozostałe Insignia i uwolnić Plemię Danu przed świętem Beltane...

— Beltane? – zapytał Veitch.

— Pierwszy maja.

— Cholera jasna! – Veitch osunął się na słomę, trzymając głowę w ramionach.

— To wtedy oni odwalą za nas całą brudną robotę i wszystko będzie dobrze – zakończył Church, ignorując zrozpaczony gest Veitcha.

— Powinieneś ostrożniej dobierać swoje życzenia – wychrypiał Tom, kiwając rytmicznie głową. Najwyraźniej zasypiał albo tracił przytomność.

— Tom! – zawołał Church. – Zaczekaj jeszcze, skoncentruj się! Potrzebne nam jeszcze inne informacje. Długo byłeś poza tą celą. Czy widziałeś jakąś drogę ucieczki?

Odpowiedziała mu długa cisza, a potem: – Nie. Nie ma stąd ucieczki.

Od czasu do czasu przez grube ściany ich więzienia docierały hałasy, których źródła nie umieli rozpoznać, przez co jeszcze bardziej się bali. Church starał się jak mógł nie zwracać na nie uwagi i myślał o niewiarygodnej opowieści Toma o wizycie w krainie bogów. Nie uwierzyłby, gdyby nie wyraz twarzy Toma, kiedy opowiadał; przez chwilę widać było na niej takie oszołomienie i strach, że Church, chciał odwrócić wtedy wzrok.

Razem z Veitchem rozważali różne sposoby ucieczki, ale żaden z nich nie wydawał się realny i rozmowa tylko pogłębiła nastrój beznadziei. Kiedy zasypiali, każdy w swoim kącie celi, Church nie poddawał się jednak zniechęceniu i dalej poszukiwał jakiejś możliwości. Siła, którą odnalazł w swoim wnętrzu podczas tortur, nie pozwalała mu teraz pogрузić się w paraliżującej rozpacz.



Obudził się nagle i zobaczył, że ktoś nad nim stoi. Szarpnął się i podniósł na nogi pod zimną, kamienną ścianą, przestraszony i zdecydowany nie poddać się bez walki. Zamiast strażników, ku swojemu osłupieniu ujrzał przed sobą zupełnie niespodziewanego gościa: owinięta w gruby, zielony płaszcz z zarzuconym na głowę kapturem, stała przed nim kobieta ze Strażnicy. Zanim zdążył coś powiedzieć, uniosła dłoń, żeby go uciszyć. Rozejrzał się szybko; Tom i Veitch spali.

— Jak się pani tu dostała? – wyszeptał.

Jej schowana w kapturze piękna twarz świeciła blado, jak księżyc w pełni.

— Przyszłam, by ci pomóc – odezwała się tym samym, melodyjnym głosem, który tak urzekł go w Strażnicy. – Jesteś moim podopiecznym, Jack. Prowadzę cię ku wielkim rzeczom, o których nie masz na razie pojęcia. W tej chwili dużo ryzykuję, opuszczając Strażnicę, ale potrzebujesz mojej pomocy, żeby wydostać się z tego lochu. Czy wiesz, co Wędrowcy chcą z tobą uczynić?

— Potrafię się domyślić.

— Nie, nie potrafisz – odparta ponuro. – To bardzo głupio z twojej strony, że dałeś się im schwytać. – W jej głosie Church usłyszał nowe, ponure nuty, które kazały się domyślać, że pod dobroduszną maską kobieta ukrywa potężne i złe uczucia. – Jeszcze większą głupotą było oddanie im Latarni Drogi. Bez niej nie wolno ci stąd uciec.

Jeśli uda się im wykorzystać tajemnice, jakie ten przedmiot ucieleśnia, nie będzie już żadnej nadziei. Rozumiesz mnie?

Oniemiały Church skinął głową.

W oczach kobiety jakby zamigotał złoty pył.

— Kiedy następny raz dotkniesz drzwi celi, będą otwarte, podobnie jak wszystkie inne drzwi w tej warowni. Pamiętaj, wszystkie drzwi będą dziś stały przed tobą otworem. Na tym kończy się moja pomoc, resztę musisz uczynić sam. Jesteś Bratem Smoków. Być może powinieneś udowodnić, że zasługujesz na to miano.

— Deus ex machina – wyszeptał Church. Chwyciła go karcąco za ramię.

— Nie zawieź mojego zaufania. Już raz to uczyniłeś.

Jej płaszcz rozjarzył się nierównym blaskiem i zawinął się do środka. Rozległ się ten sam syczący dźwięk, który Church usłyszał pod magazynem w Salisbury, a potem kobieta znikła.

Church w osłupieniu patrzył na miejsce, gdzie przed chwilą stała, starając się przetrawić to, co usłyszał, a potem rzucił się ku drzwiom celi. Jego poruszenia obudziły Veitcha, ale Church nie tracił czasu na tłumaczenia, tylko jednym ruchem, bez wysiłku otworzył drzwi.

— Jak ci się udało? – z niedowierzaniem zapytał Veitch.

— Później – odrzekł Church i równie łatwo otworzył drzwi celi Toma. Trudniej, niż otworzyć drzwi, było obudzić steranego więźnia, który majaczył i szarpał się w pełnym koszmarów śnie. Church przyjrzał się z bliska krwawej ranie na skroni Toma; taki cios musiał spowodować uszkodzenie mózgu.

Veitch pomógł mu podnieść Toma na nogi, a ten wkrótce w pełni odzyskał przytomność i wydawał się silniejszy niż w czasie ich ostatniej rozmowy.

— Nie podpierajcie mnie! – warknął, a kiedy go puścili, zatoczył się, ale odzyskał równowagę i zaczął chodzić bez

pomocy. Ostrożnie otworzył drzwi na końcu korytarza.

Za nimi zaczynał się następny, podparty od czasu do czasu drewnianymi stemplami. Panujący w nim mrok ledwie rozpraszały z rzadka rozmieszczone pochodnie. Rozglądając się nieufnie, wyszli z więzienia i od razu uderzył ich unoszący się w powietrzu duszący smród Fomorian, wilgoć podziemnych tuneli oraz obrzydliwa woń gotujących się trupów, którą Church znał już z pobytu w izbie tortur.

Szli zbici w gromadę, rzucając wokół siebie przerażone spojrzenia; Church nigdy w życiu nie czuł tak paralizującego strachu. Wydawało się, że już za chwilę wpadną na jednego z potworów, ale w krętych korytarzach było cicho jak w grobie, jakby Fomorianie opuścili swoją warownię.

Gdy dotarli do skrzyżowania kilku korytarzy, Tom oparł się o ścianę, żeby odpocząć. Church obawiał się, że ich towarzysz znów straci przytomność, ale Tom wściekłym gestem odrzucił próbę pomocy. Po chwili wskazał tunel wiodący w głąb ziemi: – Tędy.

Veitch spojrział niezdecydowanym wzrokiem w przeciwnym kierunku.

— Jesteś pewien? Wygląda na to...

— Tędy! – uciął Tom. – Nie wolno nam stąd wyjść bez Latarni Drogi.

Church nie protestował i pierwszy ruszył tunelem, który z każdym ich krokiem coraz bardziej stromo prowadził ich w dół. Wkrótce zaczęli tracić równowagę i przewracać się na nachylonej podłodze, desperacko starając się uniknąć hałasu, jednak odgłosy ich kroków niebezpiecznie dudniły na kamiennym podłożu. Tunel skończył się nagle w jaskini tak dużej, że nie byli w stanie dostrzec jej sklepienia.

Przyzwyczajony do szarości i czerni podziemnych korytarzy, Church z zaskoczeniem dostrzegł w niej jaskrawożółty kolor beczek, znanych mu z magazynu w Salisbury. Ich stosy zajmowały całą powierzchnię jaskini.

Podejrzliwie przyjrzał się metalowym pojemnikom.

— Co to ma być? – wyszeptał. – Myślałem, że transport chemikaliów to tylko przykrywka ich prawdziwej działalności w Salisbury.

— To nie są chemikalia – ponuro odrzekł Tom. – A przynajmniej nie takie, jak myślisz.

Veitch podważył pokrywę jednej z beczek i zajrzał do środka, ale szybko cofnął głowę porażony smrodem wydobywających się z beczki oparów.

— Cholera, co to za gówno?! – wysyczał.

Ostrożnie pochyłili się nad brzegiem beczki i ujrzeli swoje odbicia na powierzchni lepkiej cieczy przypominającej ropę naftową.

— No i co to jest? – zapytał Church, spoglądając na Toma.

— Jakaś mikstura magiczna.

Church rozejrzał się, nic nie rozumiejąc, po stojących wokół stosach pojemników.

— Na co im tyle tego? I dlaczego to rozwożą?

Veitch przechylił głowę i nasłuchiwał uważnie.

— Nie możemy tak tu stać i gazować cały dzień. Później się dowiemy, co to za świństwo. Gdzie szukać tej całej latarni?

Tom wskazał na drugą stronę jaskini.

— Gdzieś tam.

Veitch potrząsnął głowę.

— No super. Idziemy, gdzie każesz, ale czy wiesz, dokąd idziesz?

Ich kroki zadudniły głucho pośród stosów beczek, między którymi biegli jak w jakimś labiryncie. W każdej chwili mogli się spodziewać, że Fomorianie rzucą się na nich ze wszystkich stron, ale nie słyszeli żadnych odgłosów pogoni, co jeszcze bardziej ich niepokoiło.

W ciągu piętnastu minut przebiegli jaskinię w poprzek, z każdym krokiem odczuwając coraz większy strach. Tom poprowadził ich biegnącym do góry tunelem i po kilku minutach znaleźli się przed drzwiami z nieheblowanych desek. Zamknięte były na wielką kłódkę, która jednak wpadła Churchowi w ręce, gdy tylko pchnął drzwi. Weszli do niewielkiej izby oświetlonej tylko słabym, błękitnym blaskiem Latarni Drogi stojącej na ławie pod ścianą. Obok Latarni na kawałku aksamitu leżała Czarna Róża, a przy ławie ktoś pozostawił jeszcze pistolet i kilka pudełek amunicji. Church podszedł pierwszy do ławy i wsunął Różę do kieszeni.

— Co to było? – zapytał Tom.

— Coś, co mi zabrali, kiedy wpadłem w ich ręce – wymijająco odparł Church. Ostrożnie przyjrzał się Latarni, po czym chwycił ją i schował pod kurtkę.

— To za tym tak wszyscy ganiają? Za jakąś cholerną latarnią? – zapytał niedowierzającym tonem Veitch, po czym przywłaszczył sobie pistolet i naboje.

Church spojrzał na niego podejrzliwie.

— Czy to twoje?

— Do samoobrony – odparł Veitch, wzruszywszy ramionami. Wybiegli na korytarz, gdzie Church dał wyraz swojemu rosnącemu niepokojowi: – To nie ma sensu. Przecież nie pozostawiliby Latarni bez straży, skoro jest dla nich tak ważna.

— Być może nie oczekiwali, że wyjdziemy sobie z cel i

zaczniemy biegać po całej warowni – kpiarskim tonem odparł Tom.

— Nawet jeśli...

Zanim zdążył dokończyć, ponownie rozległo się bicie dzwonu, które wcześniej słyszeli w swoich celach. Dźwięk wciąż był stłumiony, ale dochodził z bardzo bliska, jakby zza ściany.

— Cholera – mruknął Veitch. W świetle latarni zobaczyli, że poblądł ze strachu.

— Dokąd teraz? – zapytał Church. Tom nie zareagował, a Veitch tylko wzruszył ramionami. Church, zdając się na wyczucie, pobiegł więc z powrotem tunelem prowadzącym do jaskini-magazynu. W półmroku dostrzegł jakiś ruch. Z początku trudno mu było cokolwiek dostrzec w jaskini, ale kiedy oczy przyzwyczały się do ciemności, zobaczył jakby kłębiące się pośród stosów beczek robactwo. Obraz ten miał hipnotyzującą moc, napełniając go jednocześnie przerażeniem. Church pobiegł z powrotem, nie zatrzymując się minął swoich towarzyszy, krzycząc tylko: – Za mną!

Pobiegli niskimi, ciemnymi tunelami, wielokrotnie przewracając się na śliskich od wilgoci podłogach lub uderzając głowami o zbyt niskie sufity. Za sobą słyszeli coraz głośniejsze odgłosy pogoni, jakby głęboki warkot potężnej bestii, w którym wkrótce usłyszeli głosy pojedynczych potworów i dudnienie kroków.

Biegli ostatnim tchem, odgarniając zalewający oczy pot, ale nawet na chwilę nie mogli zwolnić. Tunel piął się coraz bardziej stromo ku górze, ale Church nie mógł odegnać natrętnej myśli, że zaraz poprowadzi ich znów w głąb ziemi i że zaczną biegać korytarzami w kółko. Gdy mijali kolejne skrzyżowanie, poczuł jednak powiew zimnego powietrza, zatrzymał się i skierował

towarzyszy do bocznego tunelu. W chwilę później okazało się, że korytarz kończył się ślepo.

— Cholera jasna! – krzyknął Veitch. Oczy błyszczały mu, jak u śmiertelnie przestraszonego zwierzęcia.

Coraz głośniejszy słychać było dudniące kroki Fomorian, którzy za chwilę mieli dotrzeć do skrzyżowania korytarzy.

— W górę! – wydyszał Church bez tchu.

Veitch i Tom unieśli głowy, ale nic nie zobaczyli w ciemności. Dopiero, kiedy poczuli na twarzach kolejny zimny powiew, zrozumieli, o co chodzi Churchowi. Ten popchnął ich ku pordzewiałej drabinie, która ledwie trzymała się kamiennej ściany biegnącego ku górze szybu. Tom i Church zaczęli wspinać się po drabinie, Veitch ruszył za nimi jako tylna straż. Tom znów zaczął tracić siły, ale Church bez przerwy popychał go i dodawał otuchy. Szczeble drabiny były lodowato zimne i śliskie, przez co Church kilkakrotnie poślizgnął się, prawie że kopiąc w twarz Veitcha, który za każdym razem klął siarczyście. Mięśnie bolały ich tak, że nie mogli wspinać się dalej, ale strach przed pogonią pomagał im dobrać ostatnich sił i nie zatrzymać się. Wkrótce wyczuli rękami drgania drabiny – Fomorianie wspinali się tuż za nimi.

Church zaczął się obawiać, że nie zdołają dotrzeć na powierzchnię ziemi, kiedy Tom nagle wywłókł się z otworu szybu i zaczął pełznąć po kamienistej glebie wrzosowiska. Church podążył za nim, w chwilę później zwałił się na niego Veitch. Była zimna i bezchmurna noc, niebo usiane było gwiazdami.

— Są tuż za nami – niepotrzebnie wydyszał Church. – Nie umkniemy!...

— Chodź tu! – zawołał Veitch, stojąc przy wylocie szybu.

Church po krótkiej chwili zrozumiał, co zamierza uczynić jego towarzysz. Chwycili razem za drabinę i zaczęli nią szarpać. Churchowi wydawało się, że widzi ruch w ciemności szybu i zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej by było od razu zacząć uciekać. W chwilę później usłyszeli jednak stłumiony zgrzyt puszczających zamocowań drabiny obciążonej ścigającymi ich Fomorianami, po czym stalowe pręty oderwały się od ściany szybu i z hukiem runęły w głąb.

Veitch radośnie poklepał Churcha po ramieniu.

— Udało się nam, do cholery!

Tom nakazał, by nie tracili czasu na świętowanie i od razu ruszyli przez zalaną światłem księżycą połąć wrzosowiska. Idąc, starali się omijać pagórki, a kiedy musieli przekroczyć grzbiet wzgórza, czołgali się. Tak dotarli do wychłostanego przez wiatr lasku, w którym znaleźli chwilowe schronienie. Church oparł się o drzewo i spojrzał wstecz, ale nie dostrzegł żadnych oznak pogoni. Ponownie ogarnęło go zmęczenie i ból, tak jak je czuł po torturach Calatina, a o którym z konieczności zdołał zapomnieć w czasie ucieczki. Kiedy zaczął osuwać się na ziemię, Veitch złapał go i delikatnie położył.

Na wszelki wypadek pozwolili sobie tylko na dziesięć minut odpoczynku, a potem Church wyjął spod kurtki Latarnię Drogi i, podpierany przez Veitcha, powoli prowadził ich za jej światłem na zachód.

ROZDZIAŁ 12

MI VIÒA LOCA

Słońce zalewało ulice Glastonbury, a w powietrzu unosił się słodki aromat wiciokrzewu i cytryny. Czystego i jasnego nieba nie powstydzilyby się nawet najpogodniejszy letni dzień. Ruth, Laura i Shavi powoli dojechali do miasta, starając się nie uszkodzić bardziej poharatanej po nocnym pościgu furgonetki. Było przyjemnie ciepło jak na tę porę roku i nie wyczuwali w powietrzu ani śladu chłodu, ani jednego powiewu wiatru.

— Ta pogoda jest dziwna – rzekła Ruth, przymierzając tanie okulary przeciwsłoneczne, które kupiła na jednym z licznych w mieście straganów. Spojrzała na niebo, starając się pogodzić jego jasność z wczesną porą roku.

— Nie czepiaj się pogody – beznamiętnie odparła Laura, też w okularach przeciwsłonecznych.

— Nie chodzi tylko o pogodę – kontynuowała Ruth. – Coś wisi w powietrzu. Nie czujecie?

— To spokój – odrzekł Shavi. – Po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu czuję się bezpiecznie. Tak jakby to miasto było przykryte kloszem chroniącym nas przed czającym się na zewnątrz zagrożeniem. No i te zapachy! Powietrze tutaj w ogóle nie jest zanieczyszczone. I wygląda, jakby... się iskrzyło! Jakby unosił się w nim złoty pył.

Atmosfera udzielała się również uśmiechniętym ludziom, którzy mijając ich na ulicy, kłaniali się grzecznie, jakby byli

sąsiadami. Mieszkańcy Glastonbury spacerowali leniwym krokiem, wpatrując się w wystawy sklepowe, spokojnie przechodząc przez ulice, nie obawiając się wcale jadących powoli samochodów.

— Glastonbury zawsze było uważane za jedno z najbardziej magicznych miejsc w Wielkiej Brytanii – zauważył Shavi. – Od setek, jeśli nie tysiący lat ludzi przyciągała tutaj dobroczynna energia, jakoby kryjąca się w ziemi. Celtowie, chrześcijanie, hipisi, entuzjaści New Age, wszyscy doceniali magię tego miejsca. Podobno przebiega tędy jedna z najdłuższych linii geomantycznych w kraju, biegnąca od Góry Świętego Michała Archanioła w Kornwalii, przez Glastonbury, Avebury, aż do wybrzeża East Anglia.

— Najwyraźniej znasz się na tych rzeczach.

Shavi uśmiechnął się tajemniczo.

— W wieku sześciu lat zawiesiłem sobie w pokoju mapę z najważniejszymi liniami narysowanymi czerwoną kredką. Cztery lata później miałem już wszystkie książki na ten temat, od *The Old Straight Track* Alfreda Watkina, po najnowsze publikacje naukowe. Wzbudziły we mnie zainteresowanie buddyzmem, taoizmem i islamem. Wszystko to wydawało mi się ze sobą powiązane. – Wzruszył ramionami. – Skąd u dziecka takie fascynacje? – Nie dokończył, ale wydawało się, że zna odpowiedź na to pytanie.

Ruth zobaczyła w jego oczach wielką mądrość.

— I co, teraz też wierzysz w geomancję? – ostrożnie zapytała.

— Wielu ludzi uważa, że to stek bzdur, ale tak określają wszystko, czego nie da się opisać za pomocą prostych pojęć, definicji, pomiarów. Ale ty przecież widziałaś błękitny ogień, prawda?

Ruth skinęła głową. Przypomniała sobie, z jakim zachwytem słuchał jej opisów, kiedy zostawiali furgonetkę w warsztacie.

— Gdybym tylko mógł go kiedyś sam zobaczyć... – zakończył Shavi rozmarzonym głosem.

— Zobaczysz. Wydaje się, że w nadchodzących czasach coraz częściej będziemy widywać takie rzeczy.

— Czy wiedziałaś, że Anglosasi nazywali linie geomantyczne słowem *ley*, które oznacza również płomień albo ogień? W dawnych czasach ludzie wiedzieli więcej, niż jesteśmy dziś gotowi przyznać. Co ciekawe, jedna z ważnych linii łączy Glastonbury ze Stonehenge...

— Ta, wszystko to bardzo ciekawe – przerwała Laura. – Ale może poszukajmy czegoś do jedzenia, co? Z pełnym żołądkiem łatwiej mi będzie słuchać tych bredni.

Ruth powstrzymała się przed skomentowaniem tej uwagi. Z czasem Shavi na pewno sam wyrobi sobie zdanie o Laurze.

W lasku na obrzeżach miasta rozbili obóz, którego na szczęście nie musieli ukrywać. Szybko bowiem znalazł ich rolnik, właściciel tej ziemi, i bez pytania udzielił im zgody na biwak, życzył przyjemnego noclegu i poszedł sobie. Ciepły dotyk słońca na twarzach przynosił ulgę po niekończącej się burzy, położyli się więc przed namiotami, starając się jakoś uporządkować doświadczenia tej nocy. Szybko doszli do wniosku, że nie mają pojęcia, co dalej począć. Ruth chciała wracać do Dartmoor i szukać Churcha, natomiast Laura, choć nie pragnęła go opuszczać, nie wierzyła, żeby niebezpieczne poszukiwania miały jakikolwiek sens. Ruth zadzwoniła do pubu, w którym zaatakowały ich Dzikie Zastępy, ale linia była zerwana. Postanowili w końcu odpocząć chwilę w Glastonbury, odzyskać siły i w międzyczasie obmyślić jakiś plan.



Po krótkim spacerze znaleźli kawiarnię zwaną Excalibur, gdzie Shavi i Laura zjedli wegetariańskie śniadanie – smażone pomidory i tosty – a Ruth jaja na boczku. Poczuli się weselsi i silniejsi, niżby na to pozwalała ich sytuacja; to zapewne dziwna atmosfera Glastonbury usuwała zmęczenie i leczyła psychiczne urazy.

Po śniadaniu drzemali przez jakiś czas w słońcu, odsypiając przerażającą noc, a potem włączyli się po mieście, rozkoszując się wyjątkową atmosferą miasta, dzięki której każdy zaułek wyglądał jak żywcem przeniesiony z zamierzchłej przeszłości. Ruth i Laura szybko lepiej poznały się z Shavim, który okazał się być człowiekiem nadzwyczaj otwartym i bezpośrednim. Odpowiadał na wszystkie ich pytania bez skrępowania i zahamowań, co szczególnie u Laury wywoływało pewne onieśmienie. Na początku rozmowy, kiedy opowiadał o sobie, co jakiś czas bezskutecznie starała się go złapać na jakimś kłamstwie.

Wychował się w trzymającej się razem rodzinie w zachodnim Londynie. Choć jego ojciec, który przyjechał do Wielkiej Brytanii studiować medycynę, przejął większość zachodnich obyczajów, trzymał syna krótko, zmuszając go do przestrzegania rodzinnych i religijnych tradycji. Zainteresowania Shaviego oderwały go od korzeni, co niemal codziennie prowadziło do kłótni z rodzicielem. Gdy wkroczył w wiek dojrzewania, jego buntownicza natura i gniew ojca zaczęły zagrażać trwałości rodziny, więc po ukończeniu szesnastu lat został zmuszony do

opuszczenia domu.

Ruth z osłupieniem zauważyła, z jaką obojętnością opowiadała o swoim trudnym dzieciństwie.

— Czy to nie był dla ciebie wstrząs? – zapytała.

— Codziennie płakałem z tęsknoty za rodziną – odrzekł – ale co miałem zrobić? Wieść życie, które nie sprawiało mi żadnej przyjemności i udawać kogoś, kim nie jestem? Mogłem jedynie pozostać wierny sobie, niezależnie od ceny, jaką miałem zapłacić.

Życie Shaviego po zerwaniu z rodziną łączyło w sobie hedonizm i poszukiwania duchowe. Bez ogródek przyznał się do eksperymentów z różnymi narkotykami, a naciskany przez Laurę opowiedział również o aktywnym i pełnym niezwykłych przygód życiu erotycznym. Jednocześnie jednak nie dawał mu spokoju głód wiedzy, szczególnie filozoficznej i ezoterycznej.

— Gdybym miał to jakoś zinterpretować, to chyba starałem się w ten sposób zapełnić w sobie jakąś pustkę – skomentował. – Staram się jednak zawsze iść za głosem instynktu, żeby dowiedzieć się, dokąd mnie on zaprowadzi.

Laura chciała się dowiedzieć, skąd Shavi miał niewielką bliznę nad górną wargą. Była to jedyna skaza na jego pod każdym względem doskonałej twarzy. Obie dziewczyny z zaskoczeniem zauważyły, że ich towarzysz nagle spochmurniał.

— To mi się przydarzyło dwa lata temu. Byłem z pewnym chłopakiem w klubie w Clapham – zaczął – w Dwóch Piwowarach, to jeden z najlepszych klubów gejowskich w Londynie.

— Jesteś gejem? – zawołała Ruth i od razu się zreflektowała, bo jej uwaga wbrew jej intencjom zabrzmiała nietolerancyjnie. – To znaczy, nie sądziłam, że jesteś gejem.

— Staram się nie ograniczać; sypiałem i z mężczyznami, i z kobietami. – Shavi wybaczył jej uśmiechem. – W każdym razie do Dwóch Piwowarów można było iść z chłopakiem i nie obawiać się kłopotów tak jak w innych, mniej tolerancyjnych okolicach Londynu. Chłopak, z którym poszedłem, nazywał się Lee; byliśmy od wielu lat dobrymi przyjaciółmi. Spędziliśmy ze sobą wspaniałą wieczór, trochę na haju, dużo tańczyliśmy. Wyszliśmy z klubu nad ranem i postanowiliśmy iść na spacer po parku Clapham Common, żeby popatrzeć na gwiazdy. Była piękna noc. Szliśmy jakąś boczną ulicą do parku i nagle naszła nas ochota, żeby się pocałować. – Shavi zamknął oczy, wspominając. Początkowo rozmarzył się, potem jednak twarz mu spochmurniała. – Ktoś mnie uderzył, bardzo mocno. – Shavi wskazał na bliźnę. – Myślę, że to był pistolet albo kawałek rury, nie pamiętam dobrze, musiałem na chwilę stracić przytomność. Kiedy ocknąłem się, Lee walczył z kimś na ulicy. Zawołałem go, chciałem pobiec i pomóc mu, ale nie mogłem się podnieść.

Shavi otworzył pełne łez oczy, nie starając się ukryć targających nim emocji.

— Nie widziałem wyraźnie, bo miałem wstrząs mózgu, ale zobaczyłem tego faceta, który zaatakował Lee. Uderzył go czymś w głowę i rozległo się trzaśnięcie, jakby ktoś złamał drewnianą gałąź. I nie przestawał, zadawał kolejne ciosy. – Shavi znów zamknął oczy. – Lee został zabity, a jego mordercy nie udało się znaleźć. Nie pamiętam nawet, jak wyglądał.

— Boże, to straszne – powiedziała Ruth, kładąc Shaviemu rękę na ramieniu.

Również Laura była poruszona tą historią.

— Co za pieprzony homofob! Gdybym go dostała w swoje ręce, ucięłabym mu kutasa i wsadziła do gardła!

Shavi podniósł ramię i wzruszył ramionami.

— Robiłem, co mogłem, żeby ta tragedia nie pozostawiła we mnie zbyt wielkiej rany, ale było to trudne. Staram się wytłumaczyć sobie, że beze mnie i tak jest na świecie za dużo nienawiści.

Dzięki szczerości Shaviego Ruth poczuła łączącą go z nim głęboką więź; mogła mu całkowicie zaufać. Jego spokojny głos wywierał hipnotyczny wpływ. Spojrzenie miał jednocześnie figlarne i zmysłowe, a ciało zwarte i silne, jakby był tancerzem baletowym. Przyglądała się mu, kiedy ćwiczył tai chi po odpoczynku w ich obozie; patrząc na jego spokój i opanowanie. Była zadowolona, że Shavi jest z nimi.

Laura, wbrew sobie, odczuwała podobną sympatię do nowego towarzysza. Pewność siebie Shaviego oraz jego życiowa mądrość działały kojąco na nią, która przez większość dorosłego życia czuła się zagubiona i niezadowolona z siebie. Shavi niewątpliwie miał stać się elementem spajającym grupę niepasujących do siebie ludzi, którą dotąd byli. Fakt ten dawał Laurze nadzieję, że ich misja zakończy się mimo wszystko sukcesem.



— Musimy ci znaleźć jakieś ubranie – zauważył Church, kiedy odpoczywali w bladym słońcu na jakiejś kamienistej łące. Czuł się znacznie lepiej. Tom znalazł trochę korzeni i liści o paskudnym smaku, które złagodziły ból i zmęczenie po wyczerpujących przejściach w izbie tortur Calatina. Łąkę przed nimi przebiegł ostrożnie duży lis, odcinając się rudą czerwienią na szarym tle zmarzniętej trawy. Church przypomniał sobie

nagle o spotkaniu z lisem koło mostu Alberta, w nocy która odmieniła jego życie. Teraz jednak patrzył na zwierzę obojętnie.

— Nie ma się co spieszyć. Pogoda zupełnie nie jak w zimie – powiedział Veitch, który mimo zimna nie osłonił niczym swojego pokrytego tatuażami torsu. W świetle dnia Church mógł dokładnie przyjrzeć się niezwykłym, kolorowym rysunkom na ciele towarzysza. Nie mogąc się powstrzymać, oglądał przepiękne sceny oraz obrazy zbyt szalone, by je zrozumieć: zniekształcone twarze o groźnie spoglądających oczach, osobliwe istoty, hybrydy zwierząt i ludzi, dziwne, nierzeczywiste i nierozpoznawalne kształty, które jednak napełniały podświadomym lękiem.

Tom w zamyśleniu przyglądał się niebu w miejscu, gdzie zza pokrywy chmur na chwilę wyjrzało błękitne niebo.

— Pogoda będzie dobra – zauważył, mówiąc do siebie, zanim zwrócił się do pozostałych. – Łatwiej będzie nam iść. Minie dużo czasu, zanim znów będziemy mogli odpocząć.

— Musimy odnaleźć Ruth i Laurę – odrzekł Church, starając się nie dopuścić do siebie myśli, że mogły nie przeżyć napadu Dzikich Zastępów na pub.

— Czy ty się jeszcze niczego nie nauczyłeś? – Tom rzucił Churchowi lodowate spojrzenie zza okularów, które dziwnym trafem ocalały z jego pobytu w podziemnej warowni Fomorian. – Mamy mało czasu! Cały twój świat chyli się ku upadkowi, a ty chcesz tracić czas na poszukiwania znajomych? Jesteście Braćmi i Siostrami Smoków! Kiedy nadejdzie właściwy czas, sami się odnajdziecie.

Veitcha rozdrażnił ton, jakim przemówił Tom.

— Ej! Wyrażaj się! Nikt ci nie pozwolił nam rozkazywać.

Tom patrzył na nich przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił

wzrok. Po chwili podniósł się na nogi i powiedział: – Przed nami długa droga.

Powoli ruszyli przez wrzosowiska, słuchając jęków wiatru i natrętnie wołających ptaków. Szło się ciężko; po obfitych deszczach teren był nierówny i podmokły, do ostrożności zmuszały również niezliczone głazy i zagłębienia. Lampa wciąż wskazywała na zachód. Church zaczął się zastanawiać, jak długo będą tak wędrować bez samochodu. Podróżując w tym tempie, nie zdążą opuścić Dartmoor przed nadejściem dnia Beltane.

— Macie w ogóle pojęcie, którego dziś mamy? – zapytał. – Nie mogę dojść, jak długo siedziałem w tej jamie. Bez światła dziennego zegar biologiczny zupełnie się rozstraja.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Church zauważył, że Tom patrzy na niego jakoś dziwnie, więc zapytał, co się stało.

— Wydajesz się odmieniony od czasu, jak cię ostatni raz widziałem – odrzekł tamten. – Bardziej panujesz nad sobą, jesteś bardziej świadomy tego, kim jesteś. Być może zdołasz jednak spełnić pokładane w tobie oczekiwania.

— No dzięki – sarkastycznym tonem odparł Church. Sam musiał jednak przyznać, że czuł się inny. Na jakimś głębokim poziomie odmieńczyły go wizje w Strażnicy, śmierć małej Marianny i okropne doświadczenie tortur. Dopiero zaczynał sobie uzmysławiać, kim teraz był.

— Te, słuchaj, ty nam jeszcze nie opowiedziałeś, jak to jest w tych Zaświatach – zwrócił się do Toma Veitch.

— Nie powiedziałem i nie powiem.

— Czemu nie? – zapytał poirytowany Veitch. Church z niepokojem zauważał, jak mało panuje on nad swoim żywiołowym temperamentem.

— Bo to by było jak opisywać ślepcowi impresjonistyczny

obraz.

— Chcesz powiedzieć, że jestem głupi? – Veitch nieświadomie zacisnął już pięści.

— Nie głupi, tylko ślepy. Może kiedyś sam zobaczysz Zaświaty i wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

Słowa Toma niesłuchanie ucieszyły Veitcha.

— To by było cholernie cudnie! Założę się, że tam jest lepiej niż na tym naszym zasranym świecie.

— Jest inaczej – odrzekł chłodno Tom.

Słuchając regularnych salw rubasznego śmiechu Veitcha, maszerowali coraz równiejszym krokiem, pokonując kolejne mile pod coraz wyżej stojącym na niebie słońcem. Po kilku dniach obrzydliwej diety w więzieniu Fomorian dokuczał im straszny głód, więc jeszcze przed południem zatrzymali się, żeby upolować coś do jedzenia. Tom, dzięki znajomości sztuczek myśliwskich, wrócił szybko z królikami, które piekły się teraz zatknięte na patykach nad ogniem. Church i Veitch zostali poinformowani, jakich mają poszukać ziół, korzonków i bulw, które wraz z królikami złożyły się na dziwny, ale pożywny posiłek. Church nigdy w życiu nie jadł czegoś podobnego, niemniej jednak jedzenie smakowało mu i zjadł wszystko, do ostatniego okruszka. Po krótkim odpoczynku w cieniu starego głogu znów zaczęli maszerować. Wkrótce potem szerokie ponure połacie wrzosowisk ustąpiły miejsca zakwitającym drzewom i żywopłotom, a po pewnym czasie weszli na wąską, krętą drogę. Pokonując ból naciągniętych mięśni i poobcieranych stóp, powoli posuwali się naprzód w poszukiwaniu dalszych oznak cywilizacji.



W godzinę później dotarli do otoczonej gęstym szpalerem drzew, niewielkiej zagrody. Wydawała się opuszczona; na podwórzu za domem stał beczynnie traktor i maszyny, a do uszu wędrowców nie dochodził żaden dźwięk poza miauczeniem kociąt ukrytych pod starym, zepsutym wozem. Church i Veitch przez dłuższą chwilę bezskutecznie walili w drzwi, po czym obesli zabudowania gospodarcze. W chwilę potem zawołał ich Tom. Kiedy wrócili do domu, w drzwiach ujrzeli rumianego staruszka o siwych włosach, który mierzył ze strzelby w jego głowę.

— Szukamy tylko noclegu – odezwał się Church.

Farmer rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, ale nie opuścił broni.

— Co to, kurna, ma być? Zabije nas jakiś wsiok? – wyszeptał Veitch.

— Dobra, dobra, pójdziemy sobie – powiedział w końcu Church. – Gościnni tu jesteście, nie powiem.

— Cholera, znowu będziemy spać w krzakach – jęknął Veitch, kiedy zaczęli odchodzić.

Farmer opuścił tymczasem strzelbę.

— Nie możecie spać pod gołym niebem – odezwał się z wahaniem. Church dostrzegł w jego oczach strach. – Nie wiecie, co się dzieje?

— O co panu chodzi?

— Wszystko się, cholera, zmieniło. Cała okolica. – Rolnik odwrócił wzrok.

— Coś pana trapi? – zapytał Tom, starając się wyrazić troskę,

ale zabrzmiało to nieszczerze. Najwyraźniej nie przeszkadzało to wcale ich rozmówcy.

— Nie mówcie, że nic nie widzieliście. Wszyscy na wsi wiedzą, że teraz jest inaczej, tylko że nikt o tym nie chce mówić! – mówił coraz silniejszym głosem, w którym słyhać było paniczny lęk. Spoglądał na nich przy tym nerwowym wzrokiem. – W nocy nie można wyjść z domu! Nie można chodzić w dzikie miejsca, jeśli komu życie miłe! Tam wszędzie łażą te... diabły!...

— Widział pan je? – zapytał Church.

Farmer zacisnął usta i rzucił im kolejne podejrzliwe spojrzenie przez zmrużone oczy.

— Myślicie, że oszalałem, co?

— My ich też widzieliśmy. – Chłop spojrzał na Churcha z rozpaczliwą nadzieją, niemal jak dziecko. – Pan ma rację, świat rzeczywiście się zmienił.

— Ale wytłumaczcie mi, co się stało? – prosił rolnik. – Co to za bestie? – Jego oczy wypełniły się łzami i Church pomyślał, że zaraz rzuci się, by uściskać niespodziewanych gości. – Wejdźcie lepiej do środka.

Kuchnia była ciemna mimo świecącego na zewnątrz słońca, a po staroświeckich sprzętach widać było, że od lat jej nie remontowano. W środku stał duży, porysowany stół, a nad piecem w rogu suszyło się pranie. Pokryta płytkami podłoga była zabłocona, a w powietrzu unosił się zatechły zapach nieświeżego jedzenia i wilgotnej sierści psa. Chłop przedstawił się jako Daniel Marsh. Pracował na roli od dzieciństwa, podobnie jak cała jego rodzina od wielu pokoleń. Church rozglądał się, ale nie dostrzegł żadnych oznak tego, by w domu mieszkali jacyś inni ludzie. Gospodarz nastawił czajnik z wodą i przygotował im wielki dzbanek herbaty, którą rozlał do obtłuczonych kubków. Church

szybko zauważył, że rolnika trapi coś więcej, niż tylko zmiana zachodząca w okolicy. Po dłuższej rozmowie o rzeczach obojętnych, gospodarz nie mógł się dłużej powstrzymać i wyznał im, co go męczy.

— Jak zachodzi słońce, to mnie coś bierze – zaczął ostrożnie. Miał podkrążone oczy, jakby brakowało mu snu, a wymizerowana twarz świadczyła o wewnętrznym cierpieniu. – Jeden z tych diabłów do mnie przychodzi. Nie co noc, ale dość często, żebym się nie mógł wyspać.

— Co do pana przychodzi? – zapytał podejrzliwie Veitch.

— Taki diabełek, wysoki jak ten stół. – Chłop zwiesił głowę i stłumił targające nim łkanie. – Nie wiem już, jak z tym żyć. Chciałem już wziąć strzelbę i walnąć sobie w głowę, ale nie wiem, już nic nie wiem...

— Co ten diabeł robi? – zapytał zaniepokojony Church.

— Gada do mnie. Czasem mnie szczypie, bodzie. Wiem, że to niby nic takiego, ale żebyście słyszeli, co on do mnie gada! – Gospodarz ukrył twarz w dłoniach. – Jeśli chcecie, to zostańcie na noc – dodał, nie ukrywając rozpaczy.

— Pewnie. Zachęciłeś nas pan, nie ma co – odrzekł Veitch.



Marsh zachowywał się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. Obiecał im dobrą kolację, po czym zostawił samych w domu, żeby zająć się jakąś pracą polową.

— Myślicie, że tak jest wszędzie? – zapytał Veitch, kiedy usiedli wokół stołu i zaczęli pałaszować podany przez rolnika chleb z serem.

— Niby jak? – zapytał Church, przyglądając się głębokim rysom na ścianach, które wyglądały tak, jakby ktoś przejechał po nich wielkimi, ostrymi pazurami.

— No, że ludzi nachodzą te cholerne potwory, ale nikt nic nie mówi, bo wszyscy boją się, że reszta ich weźmie za szaleńców. Więc wszyscy to ukrywają i nikt nie wie, co się naprawdę dzieje.

Church wzruszył ramionami.

— Takich rzeczy nie da się za długo ukrywać. Prędzej czy później zaczną przeciekać jakieś doniesienia i wtedy sprawą zajmą się władze. A potem zaczną pisać w gazetach...

— Chyba że wszystko się zdąży do tego czasu zawalić – przerwał mu Tom. Odsunął się z krzesłem od stołu i złożył ręce na brzuchu. – Kiedy ludzie uświadomią sobie, co się dzieje, może już nie być ani władz, ani gazet. Ludzie zaczną wszędzie walczyć o życie i uciekać, tylko że nie będzie dokąd.

Zapadła długa cisza, którą przerwał Veitch.

— Co wy gadacie? Ale dziwi mnie, że armia, MI5 albo jakieś inne psy jeszcze się nie dobrały tym gadzinom do skóry.

Churcha zastanawiał fakt, że w mediach nigdy nie usłyszał doniesień o tragediach, których byli świadkami. Przypomniawszy sobie również dziwnych, smutnych panów, którzy badali szkielety po wybuchu magazynu w Salisbury. I te helikoptery przeszukujące w nocy pola.

— Może już próbowali. Może oni też nie wiedzą, co robić.



Wieczór był ciepły jak w lecie, a w powietrzu unosiły się aromaty, których można było oczekiwać dopiero za kilka

tygodni: róż, jaśminu, wiciokrzewu i maciejki. Ruth, Laura i Shavi w oniemiałym zachwycie wpatrywali się w usiane gwiazdami niebo.

— W mieście nigdy ich tyle nie widać – Laura nie była w stanie ukryć brzmiącego w jej głosie zachwytu.

— To miejsce wydaje się nierealne, niemal magiczne. – Ruth poczuła przeszywający ją dreszcz. – Jeśli tak mają wyglądać te nadchodzące czasy, to chyba nie będzie tak źle.

— Czasy trwogi i zachwytu – zgodził się Shavi. – Być może tak samo jest w innych miejscach, gdzie skupia się energia ziemi – można tam znaleźć schronienie, odpocząć i samemu nabrać energii z dala od niebezpieczeństw i wrogów.

— Chciałabym zostać tutaj na zawsze – powiedziała Ruth z żalem w głosie.

— Tak, tu jest bezpiecznie. – Laura spojrzała na Ruth, a potem na Shawiego.

Ten uśmiechał się smutno, jakby rozumiał ich uczucia, ale jednocześnie nie wierzył, żeby ta błogość mogła trwać wiecznie.

— Cóż wykorzystajmy tę chwilę, póki trwa – stwierdził, kierując się do znajdującego się dalej na tej samej ulicy pubu. Dziewczyny zrozumiały niewypowiedziane słowa Shawiego i poczuły ukłucie żalu.



W pubie King William, tuż przy rynku miejskim, zamówili trzy duże kufle mocnego jabłeczника. Mętny napój o silnym aromacie zupełnie nie przypominał masowo produkowanego jabłeczника, jaki dotychczas pijali. Być może stało się tak za sprawą magicznej

atmosfery miasta, być może zadziałał alkohol, ale wkrótce uznali, że nigdy w życiu nie pili czegoś tak wspaniałego.

Shavi skinął głową:

— Właśnie tak czuli się nasi przodkowie. Ciało, dusza i rozum muszą być w doskonałej równowadze. To jest trójca, która prowadzi nas do oświecenia symbolizowanego przez oko otwierające się w piramidzie. Wiedza jest użyteczna, to prawda, ale Wiek Rozumu koncentrował się przede wszystkim właśnie na rozumie i wytrącił wszystko z równowagi. Nasze dusze stały się słabe. Instynktownie wszyscy to wyczuwamy – znamy to niezadowolenie z życia i pracy, które wszystkim od kilkudziesięciu lat dokucza. Na pewno same zauważyłyście, prawda? – Ruth i Laura skinęły głowami, słuchając go z zachwytem. – Musimy znowu nauczyć się uczyć.

— No, ty to jesteś prawdziwy guru – uśmiechnęła się Laura, jednak w jej głosie nie było złości. Ruth pomyślała, że magia charakteru Shaviego działa również na jej przyjaciółkę.

— Być może to jest część naszej misji – zastanawiał się Shavi. – Nie mamy tylko odnaleźć materialnych przedmiotów, które pomogą nam się bronić, ale również odkryć i uwolnić magiczną część naszej duszy, dzięki której staniemy się pełni i bardziej gotowi na czekające nas próby. Być może nasze poszukiwania są raczej duchowe niż materialne; poszukujemy czegoś w naszym wnętrzu.

— No, daj już spokój i udaj się na misję do baru, co? – kpiarskim tonem przerwała mu Laura.

Uśmiechnął się do nich ciepło.

— Za dużo mówię – przeprosił – a może za dużo myślę. W każdym razie teraz czas na zabawę.



Po miło spędzonym wieczorze piechotą udali się do obozu, żartując i śmiejąc się w alkoholowym oszołomieniu. Spoważnieli jednak, kiedy okazało się, że wszędzie wokół namiotów leżą porzrzucone ich rzeczy. Z obozu nic nie zniknęło, został tylko przeszukany.

— Dziwne – powiedziała Ruth. – To samo stało się z samochodem Churcha na stacji benzynowej. Jakby ktoś nas śledził.

Jednak nawet ten przykry incydent nie rozwiął przyjemnego nastroju. Wciąż wierzyli, że Glastonbury okaże się tej nocy oazą bezpieczeństwa. Ruth i Laura uporządkowały obóz, podczas gdy Shavi zajął się rozpalaniem ogniska, wokół którego po chwili wszyscy troje usiedli. Czuli się tak rozluźnieni i bezpieczni, że Ruth już po kilku minutach oczy same zaczęły się zamykać, wczołgała się do namiotu, zostawiając Laurę i Shaviego samych.

Przez chwilę rozmawiali rozmarzeni, a potem Shavi wyjął z kieszeni torebkę pełną jakichś grzybków.

— Komunia – powiedział z uśmiechem. – Chcesz trochę?

Laura dokładnie przyjrzała się kilku grzybkom.

— Skąd je wzięłeś?

— Przywiozłem ze sobą. Od czasu, kiedy wszystko zaczęło się zmieniać, są silniejsze, działają niemal jak u szamanów. Kiedy zjem ich więcej, czuję, że moja dusza... – zamilkł i uśmiechnął się. – Chyba znowu za dużo mówię.

— Zanim dołączyłam do tej załogi, cały czas brałam w klubach ecs i kwas. Czasami nawet kokainę. Cholera wie, co sobie wtedy robiłam. – W jej głosie słychać było obawę; najwyraźniej nie

wszystkie doświadczenia z narkotykami były przyjemne.

— Wydaje mi się, że sztuczne narkotyki tracą swoją moc – dumął Shavi. – To będzie część upadku całego technologicznego świata. Wszystko, co naturalne, staje się silniejsze i ważniejsze.

Laura zajrzała do torebki.

— Już dawno nie brałam grzybków – powiedziała poważnym głosem. Wsunęła kilka do ust. – Ile wziąć?

— Niewiele – odrzekł Shavi. – Tu chodzi raczej o rytuał uczuciowej więzi, poznanie się, a nie o wizje narkotyczne.

— Dla ciebie nic nie jest proste, prawda?

— Na wszystko można patrzeć na różne sposoby. Niektórzy uważają, że narkotyki to grzech i nie przyjmują do wiadomości, że w wielu kulturach stanowiły one od wieków część religijnych obrzędów. To tak jak chrześcijańskie wino i opłatek, które przeobrażają się w krew i ciało natury.

Laura prychnęła, ale nie skomentowała tego, co powiedział Shavi. Żuła gąbczaste grzyby, starając się nie zwracać uwagi na metaliczny posmak, po czym połknęła je, krzywiąc się. Podobnie uczynił Shavi i oboje, leżąc przy ogniu, czekali, aż narkotyk zacznie działać.

Wkrótce Laura zauważyła, zgodnie z oczekiwaniami, że przedmioty na skraju pola widzenia stają się niewyraźne, a trzaskanie ognia i szum wiatru przerodziły się w przyjemne halucynacje słuchowe. Ogarniała ją coraz większa błogość i zaczęła się śmiać bez powodu, z samej radości życia. Rozmawiała wesoło z Shavim i czuła, jak opadają kolejne zasłony, za którymi ukrywała swoje prawdziwe uczucia. Nie rób z siebie idiotki, pomyślała, ale nie mogła się powstrzymać przed cisnącymi się na usta zwierzeniami.

— Może to zabrzmie dziwnie – zaczęła – ale mimo tych

wszystkich jatek czuję, że odnalazłam wreszcie jakiś sens życia. Nie powiedziałabym im tego otwarcie, ale gdyby kilka tygodni temu ktoś mi powiedział, jak bardzo zaprzyjaźnię się z Ruth i Churchem, to za nic bym nie uwierzyła. Kocham ich mimo wszystkich ich wad. I ciebie też. Jakbyśmy wszyscy pochodzili z tej samej rodziny.

— Nie musisz się wstydzić swoich uczuć – odrzekł Shavi łagodnym głosem.

— Muszę, bo jeśli wyjawię swoje prawdziwe uczucia, to dostanę zupełnego kręćka.

— Tak sądzisz?

— Wiem to na pewno. To przez moich rodziców... – jej głos załamał się ponuro. Oczekiwała, że Shavi zacznie ją wypytywać, ale milczał, więc nie mogła się opanować i powstrzymać. – Moi kochani rodzice zrobili ze mnie zupełnego świra i nienawidzę ich za to.

— Jeśli chcesz, to mów dalej.

— Nie wiem, czy mogę.

— To nie zwracaj na to uwagi.

— Też nie mogę.

Położyła się na plecach i śledziła wzrokiem sowę, towarzyszkę Ruth, której czarny kształt kołował ponad obozem na tle gwiazd. Laura czuła na ramionach prądy powietrza pod skrzydłami ptaka, jakby latała razem z nim. Potem zamknęła oczy i poczuła, że jest sama w ciemności, liże swoje rany, czuje metaliczny zapach krwi, zbyt obolała, by się poruszyć.

— Wiesz, religia to niebezpieczna rzecz. Silnym ludziom daje kilka zasad, jakąś drogę ku dobru. Ale słabi dają się jej zupełnie pochłonać. Nie mają w sobie nic, czemu mogliby zaufać, więc pozwalają zapanować nad sobą i religia jest jak jakiś diabeł,

który szepcze im do ucha, co mają robić, a oni słuchają, nawet jeśli każe im zrobić coś złego. I to jest śmieszne. Dla nich religia jest jak silny narkotyk i powinno się ich leczyć, bo są od niego uzależnieni. Powinni brać jakiś religijny metadon. Tak, jakąś religię–odtrutkę. Co by to mogło być?

— Religia oper mydlanych?

Laura roześmiała się.

— W każdym razie moi rodzice właśnie tacy byli.

— Niektórym religia daje siłę.

— Ja mam dość siły – przerwała nagle Laura. Westchnęła potem i dodała: – Przepraszam, to nerwy. Więc moi rodzice to byli szaleni katolicy. Jak wszyscy fundamentaliści, wierzyli w absolutną dyscyplinę. Wiesz, jak się w jednej małej rzeczy ulegnie słabości, to runie cała wiara. Byli przerażeni chaosem życia i chcieli się schronić w małej religijnej twierdzy, żeby nie oszaleć. Ale w tej twierdzy byłam też ja, mały szpieg, któremu nie mogli zaufać, więc chcieli mnie nawrócić i zrobić ze mnie prawdziwą katoliczkę. Wystarczyło najmniejsze wykroczenie i moja matka dostawała szału. Na początku dawali mi klapsy, a kiedy trochę podrosłam, zaczęła mnie bić gazetą, pasem, kijem, wszystkim, co było pod ręką. Jak już się wyładowała, to zamykała mnie w spiżarni. Było tam zupełnie ciemno i tak gorąco, że nie mogłam oddychać. Byłam jeszcze bardzo mała, kiedy oduczyłam się płakać.

— Powiedziałaś o tym komuś?

— Nie wiedziałam, że to nienormalne, bo od dziecka byłam tak wychowywana. Byłam głupia. Teraz wiem, że matka miała zaburzenia psychiczne. Była zupełnie popieprzona!

Shavi dokładnie przyjrzał się twarzy Laury. Mówiła swobodnym, niemal lekceważącym tonem, ale jej rysy zdradzały

napięcie i cierpienie.

— Czy twój ojciec?...

— On mnie nigdy nawet nie dotknął. Ale zgadzał się na to, co robiła matka. Jak tchórz udawał, że czyta gazetę, i za to go jeszcze bardziej nienawidzę. – Zamknęła oczy. Shavi pomyślał, że zasnęła, ale po dłuższej chwili znów zabrzmiał jej głos.

— Zabiłam ją.

Shavi milczał i czekał.

Roześmiała się, zasłaniając usta, jak mała dziewczynka.

— Ciebie nic nie zbije z tropu, co?

— Mów dalej.

— Kiedy byłam nastolatką, zaczęłam sobie zdawać sprawę, że mama jest nienormalna. Widziałam to w jej oczach. Zawsze, kiedy na mnie patrzyła, jej wzrok płonął, jakby mnie nienawidziła. I oczy były takie wytrzeszczone. – Głos Laury stawał się coraz bardziej poważny. – Im bardziej się jej pogarszało, tym surowsza była dla mnie. W pewnym momencie przestało jej już chodzić o karanie mnie. Zaczęła mnie przypalać, nacinać mi skórę. Kiedyś spędziłam cały weekend w spiżarni, słuchając, jak za drzwiami odmawia Zdrowaś Mario. Więc, naturalnie, zaczęłam się buntować. Zanim skończyłam szesnaście lat, piłam już jak stara i ćpałam wszystko, co mi się nawinęło pod rękę. Z chłopakami też nie miałam żadnych oporów. Im gorzej się zachowywałam, tym gorsza była mama. Na szczęście okazało się, że jestem uzdolniona w naukach ścisłych i udało mi się dostać na studia. Ona nie chciała, żebym studiowała, wiedźma jedna, ale byłam już pełnoletnia i nie musiałam się przejmować jej zdaniem. Rodzice oczywiście doszli do wniosku, że jestem we władzy szatana. Powiedzieli mi, że nie jestem już ich córką, a ja oczywiście byłam zadowolona, jakbym wyszła z

więzienia. Czułam się jak Papillon.

Shavi przysunął się do niej i otoczył ją ramieniem. Laura nawet nie drgnęła.

— Kilka lat temu coś mnie naszło – kontynuowała. – Przyśniła mi się matka i postanowiłam się z nią pogodzić. Super. Jak jakaś idiotka odwiedziłam ją w domu. Taty nie było. Otworzyła mi drzwi i od razu zauważyłam, że jest już zupełnie i nieodwracalnie popieprzona. Dziwiłam się, że w ogóle jest w stanie ze mną rozmawiać. A ona uśmiechnęła się i zaprosiła do środka, jakbym właśnie wróciła ze spaceru. Dostałam filiżankę herbaty i chciałam porozmawiać, tak o niczym, ale ona od razu wystartowała do mnie z tym całym religijnym gównem, że modli się o moje zbawienie i tak dalej. „No super, znowu wszystko od początku”, pomyślałam sobie. Wstałam od stołu i odwróciłam się od niej, a wtedy ona walnęła mnie na odlew w głowę żelazkiem. Padłam nieprzytomna, jak w jakiejś cholernej komedii, tylko że nie miał się kto z tego śmiać. A gdy się obudziłam, miałam na plecach to.

Laura odwróciła się do Shaviego plecami i uniosła podkoszulek. Wielkie, czerwone blizny układały się w napis *JEZUS CIĘ KOCHA*.

Shavi poczuł takie współczucie, że nie był w stanie wykszusić słowa. Delikatnie zaczął dotykać blizn, ale tym razem Laura wzdrygnęła się. Niemal w tej samej chwili złapała go jednak za dłoń i przycisnęła ją sobie do biodra.

W narkotycznym upojeniu powracały okropne wspomnienia i myśli, które Laura od lat starała się powstrzymać. W zwykłych okolicznościach takie doświadczenie wywołałoby u niej paranoiczny lęk, od którego zwinęłaby się w kłębek i zamknęła w sobie. Jednak w nowych, dziwnych warunkach czuła jedynie

ogromny smutek, który musiała z siebie jakoś wyrzucić.

— Jest takie miejsce, dokąd można uciec, kiedy życie chce nas zniszczyć – mówiła dalej cichym głosem, nie odwracając się do Shaviego. – Jakaś kryjówka w głowie. Bogu dzięki, że takie miejsce istnieje, bo bez niego nie dałabym sobie rady. Matka użyła jednej z brzytw ojc a. Plecy bolały niemiłosiernie, cała byłam we krwi, zwymiotowałam też pod wpływem wstrząsu. A ona wciąż gadała nade mną cytata mi z Biblii i machała brzytwą, jak w jakimś popieprzonym tańcu. W tamtej chwili zdałam sobie sprawę, jaka byłam głupia. Nienawidziłam jej i chciałam, żeby umarła za to wszystko, co mi w życiu zrobiła, a jednocześnie kochałam ją i prosiłam, żeby mnie przytuliła i ukoiła ból. Ale ona nie chciała słuchać. – Laurę przeszedł dreszcz i Shavi przytulił ją z troską. – Pieprzona idiotka. Czasem sama siebie za to nienawidzę.

— Zachowywałaś się jak każdy człowiek.

— A ona znowu się na mnie rzuciła. Staralam się jej umknąć, ale ona dostała szału i wciąż tylko machała tą brzytwą. Widzisz, pod włosami mam wielką bliznę na głowie. Broniałam się, jak mogłam, i w końcu złapałam za wielki, drewniany krucyfiks, który wisiał na ścianie obok lodówki. Zamachnęłam się i uderzyłam ją w skroń. Musiała w tym samym momencie zadać mi cios albo po prostu dostałam szoku, w każdym razie znowu straciłam przytomność. Kiedy się obudziłam, ona już nie żyła. Nie wiem, czy to od mojego ciosu, czy też uderzyła od coś głową, kiedy padała na podłogę, w każdym razie, żeby nie wiem jak patrzeć, to ja ją zabiłam. Wszędzie było tyle krwi... – głos uwiązł Laurze w gardle.

Shavi otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Najpierw opierała się, chciała uniknąć jego dotyku, ale po chwili rozluźniła

się i sama otoczyła go ramionami, desperacko poszukując ukojenia.

— Po jakimś czasie wrócił ojciec i znalazł mnie w kuchni. Chciałam, żeby mnie przytulił, ale on jakby nie zwracał na mnie uwagi. Zaczął mamrotać: „Musimy zadzwonić po policję” i inne takie rzeczy, zupełnie bez emocji, a ja wciąż krzyczałam do niego: „Tato! Mama nie żyje!”. Potem spojrzał na mnie i powiedział beznamiętnie: „Jeśli policja cię tu znajdzie, to zostaniesz aresztowana, więc wynoś się”. Poczułam się, jakby mnie spoliczkował. Wstałam, umyłam się z krwi i wyszłam. Później dowiedziałam się, że wezwał policję i powiedział, że to on zabił matkę. Uwierzyłbyś?

— Chciał cię uratować – domyślał się Shavi. Laura zaśmiała się głucho.

— Tak ci się wydaje, co? Ale jemu nie chodziło o mnie, tylko o poświęcenie. Oddając się w ręce policji zamiast mnie, zrobił coś miłego Bogu, coś wspaniałego w jego oczach. To była wielka szansa na zbawienie. Czuł się kimś lepszym: Bóg uśmiechnie się i otworzy mu za to szeroko bramy nieba. Alleluja! O mnie nawet nie pomyślał i ani razu nie odezwał się do mnie od tego czasu. Nie wiem nawet, co się z nim dzieje – może gnije w jakimś więzieniu albo dalej mieszka w domu, zachwycając się swoją wielkodusznością. Nic mnie to nie obchodzi. Kiedy pojawiaam się w Salisbury, żeby odwiedzić znajomych, nawet nie zbliżam się do domu i uprzedzam ich, żeby nic mi nie mówili o ojcu.

— Może źle go oceniłaś?

— Dobrze wiem, co czułam. Widziałam to w jego oczach, kiedy wszedł do kuchni i dotarło do niego, co się stało. Już wtedy podjął decyzję. – Wypuściła z płuc powietrze, jakby uchodziło z niej życie. – Popieprzone miałam życie, co? A teraz jeszcze świat się

kończy. Ten wielki, stary Bóg katolicki musi być zrozpaczony tym, co ludzie zrobili w jego imieniu.

Shavi przygarnął ją mocno, zanurzając twarz w jej szyi, żeby mogła mówić mu prosto do ucha.

— Przeszłaś przez okropne cierpienia...

— Nie chcę litości! Właśnie dlatego...

— Nie daję ci litości. Szanuję cię tylko za sukces, jaki odniosłaś w życiu.

— Sukces? Przecież ja jestem przegrana! Popieprzona ćpunka, samotna, zgorzkniała... Sukces! Ty to umiesz dobierać słowa, gościu.

— Ale udało ci się poradzić sobie z tym okropnym doświadczeniem. Żyjesz dalej, a to nasza jedyna nadzieja. Każdy musi przecież tylko przejść przez życie zupełnie sam, bez rodziców, ukochanych, zdany na własne siły. A ty swoim życiem pokazujesz, ile jesteś warta.

— Można i tak na to spojrzeć. Jak ktoś jest świrnięty. – Laura roześmiała się z ulgą. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że od wielu lat nie czuła się tak dobrze. – Z ciebie jest dziwny gość, Shavi. Nie wiem, po jaką cholereję ja ci te wszystkie rzeczy mówię.

— Jesteśmy sobie obcy, ale łączy nas coś, co sięga głębiej niż nasza świadoma myśl.

— Może i masz rację. Wszystko teraz jest tak szalone, że może i to jest prawdą. – Zamilkła, nagle zauważywszy dotyk jego dłoni, i poczuła między nogami jeden mały dreszcz, pierwszy impuls przyjemności. – Nie ma lepszego sposobu na seksowny nastrój niż gadanie o cierpieniu – powiedziała.

Shavi milczał przez dłuższą chwilę, jakby wstrząśnięty jej komentarzem, po czym zapytał spokojnie: – Chcesz się kochać?

— Pewnie, czemu nie? Nie ma nic lepszego niż seks z fajnym

chłopakiem, za darmo, bez zobowiązań. Ale musisz się zabezpieczyć, chłopczyku.

Wyczuła za plecami jego uśmiech.

— Zawsze mam się czym zabezpieczyć.

Być może zadziałała magiczna atmosfera upojenia narkotykowego, ale Laura poczuła się tak, jakby jej nerwy były naładowane elektrycznością. Kiedy przesunął czubkami palców po jej brzuchu i łagodnych wypukłościach piersi, czuła na skórze jakby delikatne iskierki i wyładowania, a kiedy przelotnie dotknął twardego sutka, przeszedł ją dreszcz zachwytu. Odwróciła ku niemu głowę, żeby mógł dosięgnąć jej ust i pocałowali się gorąco i długo. Laura, porwana urokiem chwili, utraciła panowanie nad zmysłami i zachłannie im się poddała. Sięgnęła do tyłu i wsunęła dłoń pod ubrania Shavięgo, aż poczuła ciepłą, twardą wypukłość w jego spodniach i zaczęła ją delikatnie ugniatać. Potem Shavi rozpiął jej dzinsy i przesunął dłonią po brzuchu, włosach łonowych i dalej, gdzie mógł podniecać ją delikatnymi ruchami palców. Jego ruchy były tak wprawne, że Laura musiała się powstrzymać przed natychmiastowym orgazmem. Po pewnym czasie ulegli kolejnej fali namiętności i rzucili się na siebie, zaczęli tarzać w objęciach i łapczywie całować, pośpiesznie ściągając z siebie ubrania. Roznamiętniona Laura nie mogła uwierzyć, że doznania mogą być tak intensywne; cały czas była na progu orgazmu.

Gdy Shavi przejechał językiem po jej sutku, musiała zacisnąć zęby, żeby się opanować. Potem, tarzając się na jego nagim ciele, wsuwając w siebie jego wyprężonego członka, miała wrażenie, że oszaleje od nadmiaru wrażeń. Kochali się przez chwilę z nią na górze, po czym obrócili i Shavi zaczął poruszać się w niej gwałtownie. Pod dłońmi wyczuwała jego twarde, napięte

mięśnie, w półmroku majaczyła tajemniczo jego piękna twarz i Laurze pozostała w głowie tylko jedna myśl, że Shavi jest najlepszym kochankiem na świecie.

Przez dłuższą chwilę zupełnie poddała się falom namiętności, tracąc zupełnie poczucie czasu, ale w pewnym momencie, jak sobie później przypomniała, spojrzała ponad głowę Shaviego na rozgwieżdżone niebo i ujrzała coś, co przypominało rój złotych drobin światła unoszący się w prądach gorącego powietrza nad ogniskiem. Drobiny były większe od iskier, przypominały raczej świetliki, a przez krótką chwilę, ku swojemu osłupieniu, Laura dostrzegła, że są to maleńkie, piękne istotki o skrzåendej się złotem skórze, cieniutkich skrzydłach i zgrabnych, zwinnych ciałkach. Obserwując śmigające wokół nich istotki, Laura przeżyła chwilę czystego, nieopisanego zachwytu, ale później, kiedy leżeli obok siebie spoceni i wyczerpani, świecących drobin już nie było, a Laura nie miała śmiałości o nich opowiadać. W jej pamięci pozostał jednak ich obraz, który jeszcze pogłębił przepełniając ją uczucie transcendentalnej radości.



Z powodu jakiejś awarii nie było prądu i w domu Marsha panowała gęsta, niemal dotykalna ciemność, której nie były w stanie rozproszyc zapalone w całym pokoju świece. Na szczęście buzujący w kominku ogień dawał ciepło i nieco silniejsze światło, które jednak nie sięgało poza niewielki krąg ustawionych wokół niego krzesel.

Od dłuższego czasu siedzieli w ciszy, jakby nie było już o czym rozmawiać. Marsh przygotował wspaniałą posiłek, który

poprawił samopoczucie po trudach niewoli i ucieczki. Gospodarz nie rwał się jednak do rozmowy. Church uznał, że chłop nie ma nic do ukrycia, tylko stał się małomówny pod wpływem samotniczego trybu życia, a teraz zupełnie zamilkł ze strachu przed nadchodzącą nocą.

Przed półgodziną mały szafkowy zegar wybił północ, nikt jednak nie zamierzał kłaść się spać. Słuchali teraz cichego i dźwięczącego nisko tykania, w którym natrętnie brzmiała nuta ostrzeżenia. Marsh trzymał na kolanach naładowaną dubeltówkę, co niepokoiło trochę Churcha, chociaż z drugiej strony również Veitch dodawał sobie odwagi, trzymając dłoń na ukrytym pod kurtką pistolecie. Kiedy Church zaczął się nudzić i zastanawiać, ile będą jeszcze tak siedzieć, pokój nagle wypełnił się odurzającym smrodem siarki i ludzkich odchodów. Marsh, wyczuwszy to, wydał z siebie dziwny, stłumiony jęk.

— Tak się to zaczyna? – zapytał Tom.

Przerażony wyraz twarzy Marsha wystarczał za całą odpowiedź. Wszyscy wstrzymali oddech i zaczęli uważnie obserwować tonące w cieniu kąty pokoju. Usłyszeli odległy dźwięk jakby gniecionego papieru albo szcurzych łap na deskach, ale równie dobrze mogło im się tylko wydawać. Marsh podniósł dubeltówkę i zaczął mierzyć w różne strony. Veitch wciąż trzymał rękę pod kurtką, ale też siedział jak na szpilkach, szukając wzrokiem niewidzialnego celu. Wcześniej wyjął już raz pistolet, ale schował go, kiedy Church zaczął narzekać, że czuje się jak w saloonie na dzikim zachodzie.

— Co jest? – zapytał Veitch niepotrzebnie.

Church baczenie przypatrywał się obu uzbrojonym mężczyznom. Obawiał się, że za chwilę stracą panowanie nad sobą.

Nagle usłyszeli nad sobą stukot przebiegający po krytym gontem dachu, po czym z komina posypał się w palenisko gęsty obłok sadzy. Wszyscy odskoczyli od kominka, przewracając krzesła, a kiedy sadza opadła, ujrzeli w nim niewielką, skuloną postać. Marsh wystrzelił do niej z obu luf, robiąc przy tym taki huk, że pozostali aż podskoczyli ze strachu.

— Cóżżeś zrobił, idioto?! – krzyknął Veitch.

Dziwny gość zdążył jednak umknąć i skryć się w jednym z ciemnych kątów, zanim do paleniska doleciał śrut ze strzelby Marsha. Usłyszeli gardłowy, bulgocący śmiech.

Church dostrzegł niewyraźne zarysy stojącej w cieniu istoty, ale wystarczyło mu to, żeby się przestraszyć. Postać była niska, jak dziecko, ale, pomijając zbyt dużą głowę, miała proporcje dorosłego. Wielkie oczy jarzyły się czerwono i miały pionowe, jak u węża, źrenice. Całe jej ciało pokrywały czarne łuski. Za plecami intruza ostro zakończony ogon wił się, jakby był osobną żywą istotą. W średniowieczu, ktokolwiek zobaczyłby tę istotę, opisałby ją jako diabła, a Church sam też chętnie by tak uczynił.

— Cześć i czołem, głupi wsioku! Myślisz, że ja dam ci spokój? Ha! Odgrażasz mi się wściekle, za to będziesz cierpieć w piekle! – Obrzydliwy, trzęsący się głos stwora przeszedł w złośliwy chichot.

Tom odważnie wystąpił naprzód.

— Pokaż się! – zażądał, niespeszony dziwnym wyglądem gościa.

— O! Danielku, przyprowadziłeś dziś przyjaciół! – odparł ten kpiarskim, śpiewnym tonem. Przez chwilę jakby się zastanawiał, co uczynić, po czym tanecznym krokiem wyszedł na środek pokoju, poruszając się jak źle prowadzona marionetka. Churchowi jego ruchy przywodziły na myśl nieudolny film

animowany.

— Co? Gdzie woda święcona? Gdzie krucyfiksy? Czemu się nie modlicie? Poróbcie trochę tych zabawnych gestów z krzyżowaniem ramion! Nie? Ludzie! Jak wyście się wszyscy ostatnio zmienili!

Marsh, porażony strachem, zasłaniał usta dłonią i mamrotał coś płaczliwym głosem, podczas gdy Veitch rozglądał się niepewnie. Tom nie zdradzał za to żadnych oznak lęku.

— A ciebie co naszło, żeby męczyć tego biedaka? Przecież musisz mieć mnóstwo roboty po powrocie. Po co marnujesz tutaj czas?

— Po co? Bo tak! – krzyknął diabełek i umknął w jeden z ciemnych kątów, bo Veitch ruszył na niego z groźnym wyrazem twarzy. W chwilę później wrócił jednak, jak tresowana małpka spodziewająca się jakiegoś smakołyka.

— Ubijmy gadzinę! – warknął Veitch.

— Gdybyście tylko mogli, kochani, gdybyście tylko mogli! Mieliście tyle czasu i nikt was nie nauczył rozumu.

W błyskawicznym tempie przebiegł pokój, przeskakując po drodze kanapę, niewyraźnym kształtem mignął obok Marsha i znów znikł w ciemności. Rolnik zawył z bólu. Na jego policzku pojawiły się cztery krwawe pręgi.

— Pierwsza krew moja! – triumfująco zawołał diabełek. Jego głos zdawał się dochodzić ze wszystkich stron.

— Po coś tu przylazł? – spokojnym głosem znów zapytał Tom. Wyglądało na to, że zna tego stwora.

— Bo było puste miejsce! – odrzekł diabełek, który jakby znikąd pojawił się z powrotem w palenisku.

— Za co?! Co ja takiego zrobiłem? – żałośnie jęknął Marsh.

— Żyłeś, kochany, żyłeś! – zganił go diabeł.

— Żona zostawiła mnie rok temu, gospodarstwo upada, a ja cały czas jestem chory! Mam już dość! Nie masz żadnego powodu, żeby mi to robić! To jest niesprawiedliwe!

— Tak, tak, ale jest pewien ważny powód. Jestem tutaj, bo dużo wycierpiałeś. A ja zadaję ci jeszcze więcej cierpień, bo tak mi się podoba. Jeśli poszukujesz sensu życia, to może ci to pomoże!

— Nie pan go nie słucha – odezwał się Tom. – Tacy jak on cały czas kłamią. Znęcanie się nad ludźmi to ich jedyna namiętność.

— Ach, ranisz mnie! – zawołał diabełek, teatralnym gestem trzymając się za serce. – Choć kłamię, to pamiętaj, że nie zawsze kłamię. W steku kłamstw, jedna perła prawdy lśni pięknie jak samotna gwiazda!

Veitch wyciągnął spod kurtki pistolet i kilkakrotnie wypalił w kierunku stwora.

— Nie! – krzyknął za późno Church, podczas gdy pociski odbijały się od paleniska. Brzęknęła przebita rykoszetem szyba w oknie, a ze ściany spadła ozdobna taca. Veitch okazał się jednak lepszym strzelcem od Marsha, gdyż diabełkiem rzuciło o ścianę paleniska, przy której stał teraz, puszczając nozdrzami dym i gniewnie obnażając zęby. Veitch z zaskakującą zwinnością podbiegi do stwora i z zamachem kopnął go w brzuch. Diabełek, kwicząc jak świnia i koziółkując w powietrzu, poleciał ku przeciwległej ścianie pokoju, jak gumowa piłka odbił się od niej i od podłogi, po czym rykoszetem wskoczył na głowę Veitcha. Trzymając się kurczowo jego szyi, otworzył swą paszczę tak szeroko, że nie było widać reszty jego głowy. Veitch ujrzał rzędy ostrych jak brzytwy zębów, gotowych zerwać mu twarz z czaszki.

Tom błyskawicznie rzucił się na pomoc, chwytając po drodze szczypcę do węgla, którymi złapał diabełka za szyję i ściągnął go z głowy Veitcha. Stwór wrzasnął, jakby go przypalali ogniem.

— Wciąż nie lubicie zimnego żelaza, co? – złośliwie zapytał Tom.

Poczwarą wiała się jak wąż, ale Tom nie wypuszczał jej ze szczypiec, tylko wsunął głęboko w palenisko. Diabełek wrzeszczał tam dziko, aż w końcu udało mu się uwolnić. Drobnymi kroczkami uciekł głębiej w kominek, gdzie mógł przyjść do siebie po przykrym doświadczeniu.

— To niesprawiedliwe – wysyczał jak zepsute dziecko. – Ty nas za dobrze znasz.

— Szybko! – zawołał Tom, ale było już za późno. Diabełek zwinął się w kłębek i wystrzelił jak piłka prosto w twarz Marsha, który padł na plecy z rozbitym i krwawiącym nosem. Stwór siedział mu na piersi, drapiąc i rozrywając twarz. Zdołał zadać tylko kilka ciosów, zanim Church nie uderzył go pogrzebaczem w głowę. Poczwarą znów zwinęła się i potoczyła przez podłogę. Veitch wystrzelił, rykoszetem roztrzaskując nogę od jednego z foteli. W mgnieniu oka diabełek znalazł się nagle na sofie, którą błyskawicznie zmasakrował, rzucił ku ścianie, gdzie pazurami przejechał po tapecie, po czym, z okrzykiem: „Siedem lat nieszczęścia!” stłukł wiszące tam lustro. Chwilę później zaczął rzucać w nich sztuczkami, które wyjmował z kredensu.

Veitch i Marsh oddali niecelnie strzały w jego kierunku, podczas gdy Church z Tomem szukali schronienia za meblami. Ściany trysnęły kłębami pyłu z odstrzelonego tynku, a po podłodze rozsypał się deszcz szklanych odłamków ze stłuczonego żyrandola. Kiedy wstrzymali ogień, żeby przeładować, Tom podbiegł do nich i wyszeptał: – Tak go nie zabijemy. Trzeba podstępem.

— Posłuchaj! Porozmawiajmy jak równy z równym – powiedział potem głośno do diabełka. – Jak mam cię nazywać?

— Zwij mnie swoim panem – przebiegle odparł stwór. – Jeśli chciałeś poznać me prawdziwe imię, to nie doceniasz mnie. Nie dam się nabrać na tak proste sztuczki. Ale twe imię znam, Długi Tomie. Kiedyś, pamiętam, byłeś złotoustym mówcą, ale teraz umiesz mi tylko grozić! A twój królewski dar? Raczej klątwa niż dar, jak się domyślam.

Tom zignorował go, szepcząc coś Churchowi pośpiesznie do ucha. Potem zwrócił się do diabełka: – Posłuchaj, maleńki. Czy chcesz poznać swoją przyszłość?

Stwór wiercił się, niezdecydowany.

— Dziękuję, dziękuję, Długi Tomie, ale wolę żyć tu i teraz!

— No, daj się skusić – odparł Tom z szerokim uśmiechem. Diabełek był tak zaaferowany propozycją Toma, że nie zauważył Churcha, który ostrożnie zachodził go od tyłu. Dokuczliwy gość już pokazał, że potrafi być szybki i niebezpieczny; wystarczy jeden fałszywy ruch i Church utraci rękę albo i życie. Tom starał się jak mógł odwrócić uwagę poczwary, zdradzając przy tym skrywane przedtem fakty o swojej przeszłości. Słuchając go, Church poczuł się nieswojo.

— Może chciałbyś, bym ułożył wielki epos o twej małej osobie? – zaproponował Tom.

— O! Tak słynny bard miałby ułożyć wiersz o mnie? To by było cudownie – odrzekł diabełek. Nie był już tak opryskliwy jak przed chwilą. Mierzył Toma podejrzliwym wzrokiem, jakby od dawna go znał jako przeciwnika.

— Ale jak miałbym go zatytułować? – zastanawiał się Tom. – Oda do nocnego gościa? Nie, to za ogólnikowe. Może Oda do... – przerwał i wyciągnął przed siebie ręce, nakłaniając diabełka do wyjawienia swojego imienia.

Przez chwilę wydawało się, że stwór zdradzi je, ale

zreflektował się i tylko uśmiechnął.

— Pewnym, że bard tak wprawny potrafi ułożyć zgrabny tytuł.
Ja...

Church podbiegł do diabełka, wyciągając zza pazuchy Latarnię Drogi i, zgodnie z poleceniem Toma, kierując ją jak broń w kierunku stwora. Błękitny płomień buchnął z otworów lampy i owionął diabełka, który pisnął i zamknął oczy. Jednocześnie Tom ponownie złapał go szczypcami do węgla. Stwór wył z bólu i wił się, bezskutecznie starając się uwolnić.

— No – rzekł Tom zupełnie innym głosem – to teraz pogadamy. Church trzymał Latarnię blisko twarzy diabełka, jakby przypalał go lutlampą. Nieszczęsne stworzenie wybałuszyło oczy ze strachu i bezskutecznie próbowało odwrócić głowę.

— Zabierzcie to ode mnie! – wysyczało.

— Jeśli na to pozwolimy, to ten płomień cię spali – dobitnie powiedział Tom. – Dobrze o tym wiesz.

— Czego żądacie, panowie? – służalczym tonem zapytał stwór.

— No spal go, cholera! – warknął Veitch.

— Nie! Uczynię cokolwiek zechcecie!

— Dobra – odrzekł Tom z błyskiem w oku. – Zostawisz Daniela Marsha w spokoju aż do końca jego dni. I nie zrobisz nic, żeby ten koniec przyśpieszyć! Przysięgasz?

— Tak! Na wszystkie wątki i osnowy! – wykrzyknął zapamiętale diabełek. – Tylko mnie puśćcie!

Tom skinął na Churcha, który cofnął się o kilka kroków z Latarnią. Jej płomień znów migotał spokojnie, a diabełek, uwolniony, opadł na palenisko kominka. Wstał i odwrócił się ku nim ze złowrogim i obrażonym wyrazem twarzy. Syczał teraz jak rozdrażniony kot, zwróciwszy się najpierw do Churcha: – Nigdy się nie dowiesz, dlaczego umarła!

Potem do Veitcha:

— Nie ma zadośćuczynienia za morderstwo!

A na końcu do Toma:

— A tobie nawet nie muszę mówić, jaki ciężar nosisz!

Potem wytknął każdego z nich palcem.

— Po trzykroć przekłęci – rzeki zimno i skoczył w górę komina. Marsh stał przez chwilę w osłupieniu, po czym padł na kolana i ze łzami w oczach spojrzał w głąb kominka. Odwrócił się do nich i powiedział po prostu: – Dziękuję wam.

Church zapytał Toma:

— I co? To już koniec? Nie wróci tu?

— Tutaj nie. Ale od teraz będziemy musieli na siebie uważać. Wśród braciszków szybko rozchodzą się plotki, a niczego tak nie cierpią jak poniżenia z rąk śmiertelnych.

Veitch opadł na sofę.

— A niech mnie! Co to miało być?! – Spojrzał na Toma. – Braciszkanie? Co to za jedni? To nie Fomorianie, co nie?

— W nocy pojawia się wiele różnych stworów – odrzekł Tom, rozgrzebując pogrzebaczem ogień, z którego tryskały do komina snopy iskier. – Każda istota znana z mitów lub z podań ludowych ma swoje korzenie w Zaświatach. A teraz wszystkie wracają.

Veitch głowił się nad odpowiedzią Toma.

— To jakby w londyńskim zoo pootwierali wszystkie klatki, no nie?

Tom skinął głową:

— Można by tak powiedzieć.

Church znużony oparł się o obramowanie kominka i omiótł wzrokiem pokój, który wyglądał, jakby przeszła przezeń wichura.

— Ta poczwara mówiła do ciebie tak, jakbyś był kimś ważnym.

Tom patrzył tylko w ogień i milczał.

Drżąc z radości i ulgi, Marsh podniósł się na nogi i zawołał: – Byliście wspaniali! Udało się wam! Uratowaliście mnie! – Nie panując nad sobą, uściskał im radośnie dłonie. – Coś wam powiem. Jedyna rzecz, jaką w życiu kochałem, to ziemia. Potem, jak przyszedł kryzys i nie dało się wyżyć z gospodarki, wydawało mi się, że zostałem z niczym. Ale kiedy przydarzy się coś takiego jak teraz, to człowiek zaczyna myśleć i wie, co jest naprawdę ważne, nieprawdaż?

Veitch popatrzył na chłopca nieufnie, jak na szaleńca.

— Chyba powinieneś się wyspać, gościu.

— Boże, ja zaraz wszystkim opowiem, co tutaj zrobiliście! – odrzekł Marsh, zupełnie niezrażony.

Church zwrócił się do Toma:

— Ten diabełek też nie będzie trzymał języka za zębami. Chyba zrobimy się sławni.

ROZDZIAŁ 13

UKRYTA ŚCIEŻKA

Kiedy jedli śniadanie, wciąż był jeszcze szary świt, a Marsh po raz pierwszy od wielu tygodni spał snem sprawiedliwego. Veitch przyniósł trochę jaj złożonych przez wałęsające się po podwórzu kury. Tom zebrał świeżych pędów pokrzywy z zarośniętego poletka, które kiedyś najwyraźniej było ogrodem. Powiedział im, że w czasach anglosaskich jajecznicą z pokrzywą należała do popularnych dań i, choć Veitch nie okazywał na początku entuzjazmu, rzeczywiście okazała się bardzo smaczna. Nie budząc Marsha, opuścili jego dom koło siódmej rano.

Church uznał, że najpierw powinni znaleźć jakiś środek transportu. Ponieważ nie mogli zbyt ufać technice, Tom nie chciał ryzykować podróży pociągiem, a na kupno nowego samochodu nie mieli pieniędzy.

— Będziemy musieli polegać na uprzejmości nieznajomych – stwierdził Church. – Mam nadzieję, że umiecie podróżować autostopem.



Pierwszą okazją dotarli do Tavistock, gdzie przekonali jakiegoś

farmera, żeby pozwolił im podróżować razem z ładunkiem ciężarówki. Wlekli się właśnie na zachód przez Liskeard, kiedy Church zauważył, że promień latarni wskazuje kierunek północno-zachodni. Poirytowany, że wcześniej tego nie zauważył, nakazał pozostałym zeskoczyć ze skrzyni ciężarówki, która zwolniła właśnie na skrzyżowaniu, ale kiedy samochód znikł im już z oczu, pożałował swej decyzji. Przed nimi rozpościerała się ponura połać wrzosowiska Bodmin Moor, wielka plama brązów i szarości wznosząca się na tle pochmurnego nieba.

— No to gorzej być nie może! – powiedział Veitch. – To pustkowie jest wielkie jak pół Dartmoor, a my zostaliśmy sami w samym środku.

— Gorzej będzie, jeśli zmieni się pogoda – odparł Church, patrząc na ciemnoszare chmury kłębiące się ponad pagórkami. – A zmieni się pewnie już za chwilę.

— Z ciebie, cholera, zrobił się ekspert od survivalu! – żartował Veitch. – Chodźmy. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będziemy mieć to za sobą.

Church uśmiechnął się, słuchając bezceremonialnych komentarzy nowego towarzysza, do którego zaczynał już czuć sympatię. Rozmawiali przez pewien czas wesoło, ale ucichli po pokonaniu kilku pierwszych wzgórz. Im wyżej maszerowali, tym silniejszy wiał wiatr, którego powiewy, choć zaczynała się już wiosna, przypominały im o mroźnej zimie. Na szczęście mogli iść wąskim szlakiem, a nie brnąć przez nierówne wertepy pokryte torfem i skałami. W pół godziny po tym, jak zeszli z szosy, wydało się im, że znaleźli się w innym świecie; nie dostrzegali wokół siebie żadnych oznak cywilizacji, otaczało ich tylko chłostane wiatrem pustkowie, a zamiast smrodu spalin

samochodowych czuli ledwie wyczuwalne zapachy przyrody.

— I co, jak się idzie, mieszczechu? – zapytał Church, uśmiechając się złośliwie.

— To nie dla mnie – odrzekł Veitch. – Powiniennem mieszkać w jakiejś dziurze, żeby się zahartować.

— Wystarczyłoby, gdybyś parę razy pojechał na wykopaliska na wrzosowiskach w północnym Yorkshire. Zmężniałbyś tam.

Maszerowali przez pewien czas w milczeniu, po czym Church zapytał o coś, co nie dawało mu spokoju od wczorajszej nocy: — Nieźle sobie radziłeś na farmie z tym pistoletem.

— Mówiłem wam, że czasami byłem na bakier z prawem. Nie chwalebę się tym. – Veitch milczał przez dłuższą chwilę. – Jest wiele rzeczy, którymi wolę się nie chwalić.

— Wczoraj ten diabełek...

— Wiedziałem, że o to zapytacie. Nazwał mnie mordercą.

— A jesteś nim?

Veitch nie patrzył im w oczy.

— No jestem.

— Chcesz o tym rozmawiać?

— Jeszcze z nikim poza rodziną o tym nie gadałem. – Veitch milczał przez chwilę. – Niech to cholera, macie prawo wiedzieć, z kim macie do czynienia. Pamiętacie ten napad na bank, po którym aresztowano moich braci? No więc ja też tam byłem. Od razu wiedzieliśmy, że to błąd, jeszcze zanim poszliśmy na akcję, ale jak już się zaczęło coś takiego planować, to nie można przestać, samo cię niesie. Wiele razy chcieliśmy się wycofać, ale potem szliśmy spać i następnego ranka znowu wracał ten pomysł. Było nam bardzo ciężko. Słuchaliśmy w telewizji polityków, mówili, że jest super, a my nie mieliśmy co do garnka włożyć. No i tak jak przewidywaliśmy, wszystko poszło źle, od

samego początku. Ale i tak moglibyśmy stamtąd uciec, gdybym nie nawalił. Mieliśmy maski. Brendan stał przy kasie, Mitch go osłaniał, ja też miałem broń i nagle usłyszałem w głowie jakiś głos, jakby ktoś stał za mną i mówił: „On cię dostanie”, czy coś w tym rodzaju.

— W każdym razie obróciłem się i zobaczyłem jakiegoś gościa, co się do mnie skradał. No i rozwaliłem go. Nie pytajcie, dlaczego. Myślałem o tym z milion razy i nie potrafię tego wytłumaczyć. Zupełnie jakby zrobił to ktoś inny. No ale stało się. Bum! Krew, flaki i jakiś palant nie żyje. Uciekałem jak szalony – Brendana i Mitcha złapali i wsadzili za to morderstwo. Moi bracia dostali w tyłek przeze mnie! Chciałem pójść się przyznać, ale nie pozwolili mi. Powiedzieli, że to by było jeszcze gorzej dla nich, jakbym ja też siedział. – Veitch mówił z takim drzeniem w głosie, że Church pożałował, że namówił go do tej rozmowy. – Nie mieli mi wcale za złe i to właśnie mnie dobijało! Chciałem, żeby mnie opieprzyli za to, że byłem taki głupi, ale oni nie chcieli. I teraz oni siedzą w pudle, a ja się męczę po tym, co zrobiłem temu biednemu facetowi i swojej własnej rodzinie. Nawet mi nie pozwolili ponieść kary.

Church poklepał go po ramieniu.

— Teraz masz okazję odkupić tę zbrodnię.

— Wcale tak nie myślę.

— A ja tak, bo przed nami jest jeszcze dużo cierpień.

— Nigdy w życiu nie udało mi się zrobić nic dobrego, nawet wtedy, kiedy próbowałem. Ale to się zmieni, jeszcze zobaczycie.

Church postanowił dać Veitchowi spokój i zaczął rozmawiać z Tomem, który zaskakująco szybko doszedł do siebie po przeżyciach w podziemnej warowni. Nawet rany na skroni zdążyły się już zabliznić.

— A ty Tom? Może ty też się otworzysz i powiesz nam, co dla ciebie znaczyła klątwa tego diabła?

Zapadła długa cisza, a kiedy Church spojrział na Toma, zobaczył coś bardzo dziwnego: Tom próbował mówić, ale jakby nie potrafił zapanować nad językiem. Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, zniechęcony Tom machnął w końcu ręką i odwrócił się.

— W porządku? – zapytał Church z troską. Tom jednak jeszcze raz machnął ręką i utkwiał wzrok w drodze przed nimi.



W zimnej ciemności przed świtem Shavi wymknął się z obozu i zniknął wśród drzew. Wyczuwał nadejście słońca, co wciąż było dla niego zaskakujące, mimo że odkrył w sobie tę dziwną wrażliwość już kilka miesięcy temu. Była to jedna z kilku subtelnych zmian, które w niewytłumaczalny sposób zaszły w nim jednocześnie ze zmianami w całym świecie. Czuł to tak wyraźnie, że na początku podejrzewał, że cierpi na jakąś nagłą, wycieńczającą chorobę umysłową. Miewał od niedawna wizje, które na początku uznawał za halucynacje, a teraz raczej za obrazy przyszłych lub odległych w przestrzeni wydarzeń. Doznawał czasem dziwnego uczucia, że dotykając jakiegoś przedmiotu potrafi wyczuć, co działo się z nim w przeszłości. Wydawało mu się również, że rozumie myśli zwierząt, choć nie wiedział, czy rzeczywiście odbiera to, co dzieje się w ich głowach, czy tylko lepiej rozumie ich zwyczaje i zachowania. Wciąż nie był do końca świadom swoich nowych zdolności, ale z biegiem czasu stawały się one coraz lepiej wyczuwalne, jakby jego umysł uczył

się wykorzystywać nowe talenty. Akceptował to, co się z nim działo, jakby otrzymał dar od wyższej istoty, i postanowił wykorzystać te umiejętności najlepiej jak potrafił.

W najgęściej zarośniętej części lasu znalazł niewielką polanę i, drżąc z zimna, rozebrał się. Przez dwadzieścia minut ćwiczył tai chi, by oczyścić umysł, po czym przez następne dwadzieścia oddawał się jodze. Kiedy zakończył gimnastykę, światło słońca prześwitywało już przez gałęzie. Od pewnego czasu wiedział, że dzięki narkotekom i ćwiczeniom jego zdolności potęgują się, pracował więc codziennie, by je rozwijać.

Oczyściwszy umysł, uspokoiwszy oddech, Shavi wstał i wyciągnął ręce ku wschodzącemu słońcu. Poczul na skórze delikatne jak pocałunek ciepło jego pierwszych promieni. Wsunął do ust kawałek meksykańskiego grzybka, poczekał aż po języku rozleje się gorzki posmak, po czym powoli zaczął żuć. Połknąwszy kęs, niespiesznie przyjął pozycję lotosu i zamknął oczy. Jedyne doznania, jakie do niego docierały, to ciepło słońca na stopach i delikatny powiew wiatru na nagiej skórze.

— Przyjdźcie, duchy – wyszeptał. – Pokażcie mi ścieżkę.



Ruth była już zajęta przygotowywaniem śniadania, kiedy Laura wynurzyła się ze swojego namiotu. Miała zamglony wzrok i opuchniętą twarz.

— Siedzieliście do późna? – zapytała Ruth, przewracając boczek smażący się na patelni.

— Nie – skłamała Laura, zakładając okulary przeciwsłoneczne, by osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem porannego słońca. –

Ja po prostu nie jestem takim rannym w głowę ptaszkiem jak ty.

Ruth podała Laurze kubek, który tamta przyjęła ze skinieniem głowy i niechętnie zaczęła sączyć z niego herbatę.

— Shavi już dawno wstał – mówiła dalej Ruth, a Laura odpowiedziała jej obojętnym mruknięciem. Ruth nałożyła sobie śniadanie na plastikowy talerz, po czym nagle rzuciła nim o ziemię.

— Nie możemy dłużej tu siedzieć i udawać, że nic się nie dzieje!

Laura spojrzała na ten wybuch ze zdziwieniem.

— O co ci chodzi?

— Church pewnie nie żyje! Mamy coraz mniej czasu!

— Dobra, dobra, uspokój się – odparła Laura i dalej popijała herbatę. – Shavi spróbuje coś zrobić.

— Co?

Laura wzruszyła ramionami.

— On myśli, że umie robić różne dziwne rzeczy. Wiesz, nadprzyrodzone zdolności. Kiedy świat zaczął się zmieniać, dostał nagle kopa, zaczął mieć wizje, słyszeć głosy. Próbuje znaleźć jakiś sposób, żebyśmy mogli dać sobie radę bez Churcha i bez tej niebieskiej lampy.

— Ty coś dużo o nim wiesz – podejrzliwie zauważyła Ruth.

— No. Jak się z ludźmi rozmawia, to potem dużo o nich wiesz. Spróbuj kiedyś sama, mówię ci.

Ruth podniosła z ziemi talerz i zaczęła wyładowywać frustrację na swoim śniadaniu – boczku i fasoli. Kiedy postanowiła wreszcie jeszcze raz spróbować z Laurą, zza drzew wynurzył się Shavi. Wyglądał na zmęczonego i rozkojarzonego. Usiadł na ziemi obok nich, położył się i zamknął oczy.

— Widzisz? To od ćwiczenia przed śniadaniem – powiedziała

Laura.

— Tutaj, w Glastonbury, coś jest – mruknął Shavi.

— Co? – zapytała Ruth.

— Jedno z Insygniów. Energia ziemi jest tutaj tak silna, że działa jak nieprzenikalne pole ochronne. Żadna z istot ciemności nie odważy się zbliżyć do miasta ani jego okolic, więc jest to doskonale miejsce, żeby ukryć któryś z najważniejszych przedmiotów.

— Ale gdzie on jest? – Ruth poczuła nagły przypływ nadziei, że nie są jednak tak bezsilni, jak się jej wydawało.

— Nie wiem. Nie chciał mi... – zaczął Shavi, ale nagle wywrócił oczy, tak że zobaczyły ich białka i przestraszyły się, że dostał jakiegoś ataku. W pamięci powrócił do rytuału, jaki odprawił wśród drzew, do chwili zachwytu i przerażenia, kiedy powietrze wydawało się zapadać w siebie i wynurzyła się z niego bezkształtna chmura, na której nagle pojawiły się oczy i usta. Shavi z wysiłkiem powrócił do rzeczywistości i skupił wzrok na przestraszonej twarzy Ruth.

— W opactwie... – wydusił z siebie chrapliwym głosem. – W opactwie jest znak. „Gdzie stopy ongi deptały gład”. – Shavi zamknął oczy i wyczerpany zapadł w niespokojny sen.



Przed południem Shavi wypoczął na tyle, żeby pójść z Ruth i Laurą do miasta. Otoczona trawnikami ruina opactwa Glastonbury leżała tuż przy Magdalene Street. Panujący tu spokój zupełnie nie pasował do gwaru pełnej sklepów pobliskiej ulicy. Mimo, że z potężnego niegdyś gmachu mało co pozostało, wciąż

łatwo było zauważyć, że kiedyś był to jeden z największych klasztorów w całej Wielkiej Brytanii, ustępujący bogactwem i rozmiarami jedynie Opactwu Westminsterskiemu. Po ścieżkach wśród ruin wciąż z nabożeństwem przechadzali się pielgrzymi, podobnie jak to czynili w średniowieczu, kiedy znajdowało się tu jedno z najważniejszych sanktuariów w Europie, traktowane podobno na równi z Rzymem.

Dzień był słoneczny, ale dzięki chłodnemu wietrzykowi łatwiej było im włóczyć się pośród ruin. Gdzieś wśród wysokich ścian śpiewał ptak, zagłuszając szmer ruchu ulicznego.

— Tu jest tak spokojnie – zauważyła Ruth. Stała w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się nawa i patrzyła w stronę chóru. – Więcej, tutaj jest taka uduchowiona atmosfera.

— Ja też to czuję – odrzekł Shavi. – Zastanawiam się, czy to nie przez te nadchodzące nowe czasy, które będą czasami duchowości, a nie materializmu. Być może teraz będziemy umieli wyczuwać energię świętych miejsc, zgromadzone tutaj uczucia całych pokoleń pielgrzymów? A może zawsze tak było?

— Być może tak, tylko że energia była stłumiona – zastanawiała się Ruth, ignorując Laurę, która uśmiechała się szyderczo, słuchając ich intelektualnej dyskusji. – Sądzę, że niektóre z rzeczy, które przynosi ta zmiana, są dobre. Być może nowe czasy nie będą wcale takie złe jak się nam wydaje – kontynuowała.

— Ta, pewnie – zawołała Laura, oddalając się od nich. – Powiedz to Dzikim Zastępom. Będzie im miło.

Podczas gdy Shavi i Ruth dumali nad niezwykłą atmosferą opactwa, Laura myszkowała wśród ruin, aż znalazła kamienną tablicę, która zaciekała ją tak, że zawołała swoich towarzyszy. Napis na tablicy głosił:

Tu znajdował się grób króla Artura. Podanie głosi, że w roku 1191 roku pod murami kaplicy Marii Panny znaleziono ciała króla Artura i królowej Ginewry. 10 kwietnia 1278 roku ich szczątki zostały ekshumowane przy obecności króla Edwarda I i królowej Eleanor, a następnie przeniesione do grobowca z czarnego marmuru, który stał w tym miejscu. Grobowiec przetrwał aż do rozwiązania klasztoru w roku 1539.

— Myślałam, że to bajki – powiedziała Laura.

— Bo były – zgodziła się Ruth. – Król Artur to konglomerat dawnych bohaterów stworzony przez autorów romansów rycerskich.

— Podobno – dodał Shavi – mnisi wymyślili historię o jego szczątkach, żeby przyciągnąć więcej pielgrzymów i ich pieniędzy, bo akurat im wtedy brakowało.

— Zawsze mówiłam, że nie można ufać zakonnikom – fuknęła Laura i poszła sobie.

Ruth tknęło jednak jakieś przeczucie i przypomniała, jak Tom powtarzał przepowiednię o królu czekającym na przebudzenie. Tym królem był w legendach Artur.

Shavi zauważył jej zamyślenie.

— Coś się stało?

— Nic takiego – odrzekła, a potem dodała. – Zbiegi okoliczności zawsze mnie niepokoją. Zaczynam widzieć dziwne powiązania we wszystkim, co się wokół mnie dzieje, w powtarzających się tematach w legendach i religiach, u Celtów i w chrześcijaństwie. Ale nie potrafię tego wszystkiego dopasować.

— Bo takie rzeczy dzieją się w podświadomości – radził Shavi. – Pozwól, by przyszły naturalnie.

Zgodnie ze swoją własną radą, poprowadził ją pośród ruin,

mając nadzieję, że znajdzie natchnienie i zrozumie dziwne wizje, które miał podczas porannych ćwiczeń. Przechadzając się, rozmyślali nad słowami, które wtedy wypowiedział.

— Przypomina mi to wiersz *Jeruzalem* – zauważyła Ruth.

Czy wśród gór zielonej Anglii Jego krok ongi deptał głaz...

— A to jest oczywiście związane z Glastonbury – odrzekł Shavi.
– Chodzi o legendę o Chrystusie, który podobno jako dziecko przybył do Glastonbury ze swym wujem, Józefem z Arymatei. Według opowieści zbudowali oni z polepy pierwszy w Anglii kościół, podobno gdzieś na późniejszych gruntach klasztornych. Po ukrzyżowaniu Chrystusa Józef kazał złożyć jego ciało w zbudowanym dla siebie samego grobowcu. Nabrał także krwi z ran Chrystusa do kielicha, świętego Graala, który zabrał potem do Anglii i zakopał, być może na Chalice Hill. To znaczy, tak głosi legenda.

— „Folklor to ukryta historia” – w zamyśleniu mruknęła Ruth.

— Kto tak powiedział?

— Tom. Mówił, że mity i legendy są echem prawdziwych wydarzeń, ale nie odzwierciedlają ich dokładnie, są raczej metaforami. A Graal jest przecież częścią legendy o królu Arturze. – Poczula się dziwnie nieswojo. – I co to znaczy? Czy to cokolwiek znaczy?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, leniwym krokiem nadeszła Laura.

— Słuchajcie no, zanim spalicie sobie mózgi od nadmiaru myśli, powinniście to zobaczyć. – Pokazała im drewnianą pokrywę tkwiącą w ziemi w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się północna część transeptu. Pod nią znajdowały się doskonale

zachowane płyty kamiennej posadzki, która wciąż leżała pod trawą, a w tym miejscu została odsłonięta przez archeologów. – To pewnie właśnie tutaj „stopy deptały gład”, co nie?

Shavi uśmiechnął się, zauważywszy, jak różnie podeszły do tej tajemnicy Laura i Ruth, po czym ukląkł, żeby dokładnie przyjrzeć się kamiennej posadzce. Choć deptały je podeszwy niezliczonych butów, wciąż świetnie było widać skomplikowany wzór kolorowych płytek, na których jednak nie można się było dopatrzeć niczego niezwykłego.

Ruth uklękła obok Shaviego.

— Być może pod nimi jest coś ukryte.

— A może to zwykła podłoga – dodała Laura. – Może pogadajmy trochę o igłach w stogu siana, co?

Przez kilkanaście minut przyglądali się wnikliwie płytkom posadzki, raz niemal dotykając jej nosami, kiedy indziej z daleka. Inni turyści, którzy też chcieli je zobaczyć, patrzyli na to z irytacją. W końcu znudzona Laura opuściła swoich towarzyszy i zaczęła rzucać kamieniami do ryb w klasztornej sadzawce, podczas gdy Shavi i Ruth, leżąc na plecach na trawie, rozpaczliwie starali się rozwiązać łamigłówkę.

— Sądzę, że szukamy w złym miejscu – stwierdziła Ruth. Shavi nie zgodził się: – A ja instynktownie czuję, że to właśnie tu. Musimy tylko zacząć szukać w odpowiedni sposób.

— Ale czy możemy ufać twojej wizji?

— Według tradycji duchy czasami kłamią, ukrywają coś albo zaciemniają prawdę. Ale ja znowu instynktownie wierzę, że wizja była prawdziwa. Kłopot w tym, że nie umiemy szukać.

— Dobra – westchnęła Ruth. – Czas na myślenie lateralne.

Leżąc w milczeniu, Ruth stopniowo poddała się nastrojowej atmosferze ruin. Nawet teraz wyczuwało się w nich dawny

majestat opactwa, nagromadzoną potęgę stuleci wiary i czci. Ruth czuła się tym przytłoczona, a jednocześnie miała poczucie zagubienia, gdyż nie potrafiła sama poczuć tego, co kiedyś było pocieszeniem dla pokoleń pielgrzymów.

— Chciałabym w coś wierzyć – powiedziała, jakby mówiła do siebie.

— Nie tylko ty – jak we śnie usłyszała głos Shaviego. – To jedyne prawdziwe poszukiwanie w naszym życiu.

— Kiedy umarł mój ojciec, chciałam... jak dziecko... żeby był jakiś Bóg, który nadałby sens jego śmierci. A jednocześnie nienawidziłam się za to, że jestem taka słaba, że potrzebowałam w życiu jakiejś podpory. To takie bezsensowne. – W jej głosie brzmiała nuta odrazy do samej siebie. Spojrzała na Shaviego. – A ty masz jakąś religię?

Shavi uśmiechnął się blado.

— Moja religia? Duchowość. Wiara, że nasze życie ma fundamenty, że otaczają je ściany i dach. Wiara w jakiś sens. W potężną siłę dobra, której dotyczą wszystkie religie.

— Ale dlaczego miałyby istnieć jakaś wyższa siła? Nie widać jej wokół nas. Widać tylko ludzi, którzy się oszukują.

— To też jest ważne... – zamilkł, a potem nagle usiadł i po raz kolejny spojrzał na płytki posadzki. – Zapomnieć o zgiełku codziennego życia i skoncentrować się na przesłaniu, które kryje się pod powierzchnią zjawisk – Shavi mówił bacznie przyglądając się posadzce.

— Co się stało? Wpadłeś na jakiś pomysł?

Ruth podeszła do niego na czworakach, ale nie potrafiła niczego dostrzec we wzorze, w jaki ułożone były płytki. Shavi pochylił się niżej i delikatnie przesunął palcem po szkle, które przykrywało płytki.

— Tutaj! – zawołał triumfująco.

— Nic nie widzę – w głosie Ruth zabrzmiała frustracja.

— To kwestia perspektywy. Spójrz poza kolor i kształt. Zapomnij o szumie i skoncentruj się na sygnale. To będzie lekcja na całe życie.

Ruth podążyła wzrokiem za jego palcem i dostrzegła ledwie widoczne wyżłobienie w glinianej posadzce, zamaskowane przez naniesiony na nią wzór. Miało ono kształt strzałki. Oboje spojrzeli we wskazanym kierunku – ku ścianie chóru i wznoszącego się za nią wzgórze z kaplicą Świętego Michała.

— Wzgórze – powiedziała. – No właśnie. Przecież jest z nim związanych tyle legend. To musiał być klucz.

— Nie chodzi tylko o wzgórze – poprawił ją Shavi. – Również o ścianę. O obie rzeczy.

— O co ci chodzi?

Shavi zrobił kilka kroków ze wzrokiem utkwionym w ścianę ruiny.

— W nadchodzących czasach tak ważna będzie chyba dwoistość – światło i ciemność, dwie zwalczające się siły. A dzisiaj mieliśmy do czynienia tylko z dwoistymi znaczeniami. Nawiązanie do *Jeruzalem*, Józef i Graal, i jeszcze ta posadzka. A teraz ta podwójność – ściana i wzgórze. To wszystko ma sens.

— Ale co ma z tym wspólnego ta ściana? – Potem nagle doznała olśnienia. – Myślisz, że tutaj będzie Graal?

— Nie wiem. – Odwrócił się do niej i uśmiechnął, żeby nie zabrzmiało to lekceważąco. – Pozwól mi się skoncentrować.

Ruth oddaliła się i usiadła na trawie. Po jakimś czasie dołączyła do niej Laura. Obserwowały przez kilka minut Shaviego, który przypatrywał się kamiennej ścianie, po czym Laura powiedziała: – Chłopak za dużo ćpa, jak myślisz?

— Jest po prostu bardzo mądry – odparła Ruth. – Szkoda, że nie było go z nami od samego początku.

— No nie, ty też na niego lecisz?

— Ja go tylko podziwiam, to wszystko – szorstko odrzekła Ruth. – A w ogóle, to dlaczego mówisz też?

Laura uśmiechnęła się tylko i odwróciła wzrok. Wyglądała na zadowoloną z siebie, a okulary przeciwsłoneczne tylko dodawały pogłębiały to wrażenie. Ruth ugryzła się w język i w milczeniu kipiała gniewem.



W pół godziny później Shavi zawołał je podekscytowanym głosem.

— Zobaczcie! Słońce jest teraz w odpowiednim miejscu. Teraz można to zauważyć!

— Jasne – sarkastycznie odrzekła Laura. – Widzę wielki napis: „Shavi, ty idioto”.

— Nie, on ma rację! – skarciła ją Ruth. – Musisz skoncentrować się na sygnale, nie na szumie.

— Nie patrz na kamienie – wytłumaczył Shavi – tylko na cienie, jakie rzucają wybrzuszenia na ścianie.

I rzeczywiście, kiedy skoncentrowali się i zmrużyli oczy, wszyscy dostrzegli, że cienie układają się w słowa wypisane cienkimi literami, których nie zauważyłby przygodny obserwator i których nie było widać z żadnego innego miejsca. Części napisu brakowało w miejscu, gdzie ściana się zawałiła.

— *Aqua* coś tam – powiedziała Ruth.

— *Aqua fortis* – poprawiła ją Laura. – To kwas azotowy.

— Kwas azotowy?

— Trochę znam chemię.

— Nie sądzę, żeby to o to tutaj chodziło – delikatnie poprawił ją Shavi. – Dosłowne tłumaczenie to jakby „silna woda”.

— Właśnie – powiedziała Ruth.

— Aha, no to super – fuknęła Laura – teraz wszystko jasne.

Przez chwilę uważnie wpatrywali się w ścianę i po dalszej dyskusji rozszyfrowali resztę napisu: *SIC ITUR AD ASTRA*.

— *Astra* to gwiazdy – powiedziała Ruth. – Uczyłam się łaciny zanim poszłam na prawo, ale nie pamiętam dużo... – zamilkła i zamyśliła się. – Coś jakby: „Taka jest droga do gwiazd”. Tak, właśnie tak.

— To nie ma dużo sensu bez reszty napisu – narzekła Laura.

— Wydaje mi się, że wcale dużo nie brakuje – zauważył Shavi.

— W takim razie – zakończyła Ruth – musimy chyba zdać się na wiarę.



Church, Veitch i Tom wędrowali przez wrzosowisko. Mimo grubych kurtek i koszul czuli na skórze powiew lodowatego wiatru. Pogoda bez przerwy groziła ulewą, ale wiatr gnał szare chmury tak szybko, że od czasu do czasu odsłaniały błękitne niebo i słońce. Im dalej byli od szosy, tym bardziej aura upodabniała się do ponurego krajobrazu. W oddali dostrzegali dziwne kształty przesuwane się po wrzosowisku, co jakiś czas unosiły się też chmury nie wiadomo czym spłoszonych ptaków. Wyczuwali rosnące i wyraźne zagrożenie.

— Jest coraz gorzej, prawda? – zapytał Church, podnosząc rękę

do czoła, żeby spojrzeć na horyzont.

Tom skinął głową.

— Miejsca, które człowiek najslabiej opanował, zawsze pierwsze wpadały w ich ręce. Starożytne istoty mogą tutaj powrócić niezauważone. Ale myślę, że niebawem ruszą w kierunku gęsto zaludnionych obszarów.

— A wtedy będziemy głęboko w gównie – ponuro zakończył Veitch.



Późnym popołudniem zmęczeni wspięli się na grzbiet jakiegoś wzgórza, gdzie ich oczom ukazała się wielka, szara połać samotnego jeziora. Słuchając zawodzącego wiatru, zaczęli schodzić ze wzgórza, a kiedy wiatr uspokoił się, ich uszu dochodził niepokojący szmer fal, jakby coś wynurzało się z jego głębin. W miarę jak zbliżali się do brzegu, Church coraz bardziej się bał i podobny strach mógł wyczytać z twarzy Toma.

— To tylko atmosfera tego miejsca tak na nas działa – rzekł Church z nadzieją w głosie.

Twarz Toma pozostała ponura i przestraszona.

— Myślałem, że już nauczyłeś się ufać instynktowi. W tych nowych czasach uczucia są równie ważne jak to, co się widzi. – Tom wyciągnął nagle rękę, żeby się zatrzymali.

Veitch zmrużył oczy i przyjrzał się nieprzejrzystej powierzchni wody.

— Co tam się rusza? Może cienie chmur? Albo coś pod wodą?

— To jest staw Dozmary Pool, miejsce znane z legend – odrzekł Tom. – Miejscowe podania głoszą, że to właśnie tutaj rycerz

Bedivere wrzucił Excalibura po śmierci Artura. Z wody wynurzyła się dłoń, która uchwyciła miecz i zabrała go w głąbiny.

Church spojrział na Toma uważnie.

— Arturiańskie legendy to przecież nie do końca prawda – powiedział ostrożnie.

— Nie, nie są dosłownie prawdziwe. Ale wszystkie legendy są echem pewnej większej prawdy. Mówiłem wam już – jeziora i wzgórza to miejsca przejścia pomiędzy tym światem i miejscem, do którego udały się starożytne istoty, kiedy się stąd wycofały. Niektóre z tych przejść pozostawały przez lata szczelnie zamknięte, ale nie tutaj.

Tom bał się podejść bliżej do brzegu jeziora, więc obeszli je idąc w poprzek stoku, nie spuszczając oka z falującej połaci. Dopiero, kiedy jezioro znikło im z oczu, stopniowo przestawali odczuwać zagrożenie i niepokój.

Jakąś milę dalej znaleźli wąską, wijącą się ścieżkę, wzdłuż której dotarli do wsi Bolventor, składającej się z kilku stojących blisko siebie domów. Tuż za nimi ujrzeli światła gospody Jamaica Inn, znanej z powieści Daphne du Maurier. Od czasu, gdy pisarkę zainspirowały związane z gospodą historie o brutalnych przemytnikach, budynek stał się popularną atrakcją turystyczną. Mimo komercjalizacji zachował jednak swój niepowtarzalny charakter: historia wciąż żyła w masywnych belkach stropów, ponurej czerni dachówek z łupku oraz kamiennych ścian, które opierały się bezlitosnej pogodzie wrzosowiska Bodmin. Wyczerpani wędrówką po nieprzyjaznej okolicy postanowili więc przenocować właśnie tam. Kiedy znaleźli się na podwórzu, na którym kiedyś zatrzymywały się dyliżanse, i usłyszeli skrzypienie kołysanego przez wiatr szyldu gospody, Church

poczuł się, jakby czas cofnął się nagle o setki lat. Kilka miesięcy wcześniej uznalby to za romantyczne, teraz jednak wydawało się raczej ostrzeżeniem przed nadchodzącymi czasami.

W restauracji zjedli steki, po czym wypili trochę za dużo i udali do swojego pokoju. Słuchając zawodzenia wiatru za oknami, dziękowali Bogu, że mogą spędzić noc bezpiecznie w ciepłym pokoju. Church zdawał sobie jednak sprawę, że nawet najgrubsze ściany nie ochronią ich, jeśli grasujące po nocy potwory postanowią wejść do środka.

Stojąc przy oknie, starał się dojrzeć cokolwiek w ciemności, ale poza oświetlonym parkingiem nie było nic oprócz czarnej otchłani; równie dobrze mogliby być sami w pustce, co na chwilę przypomniało Churchowi o jego wizycie w Strażnicy.

— Mam nadzieję, że Ruth i Laura mają się dobrze – powiedział, po czym zwrócił się do Toma. – Myślisz, że Dzikie Zastępy wrócą?

— Devon i Kornwalia to ich ulubione tereny łowieckie. Starałem się w miarę możliwości zamaskować naszą obecność, ale Pogoń nie zakończy się, dopóki oni nie poczują krwi swojej zwierzyny. To tylko kwestia czasu.

— Zamaskować naszą obecność? – powtórzył Veitch. – Kolejna twoja sztuczka, co?

Tom zignorował go.

Wyjący na zewnątrz wichur przybierał na sile, dobijając się do okien, które stukotały, jakby uderzane końskimi podkowami. Church zaciągnął szczelnie zasłony i położył się spać.

Świejące cyfry zegara–radia pokazywały trzecią nad ranem, kiedy Church obudził się nagle z koszmaru, w którym deptał mu po piętach jakiś bezlitosny prześladowca. Tom i Veitch pogrążeni byli w głębokim śnie, choć Tom od czasu do czasu podrygiwał i

majaczył. Church wygrzebał się z łóżka i udał do łazienki napić się wody. Wracając, choć nic nie usłyszał, doznał nagle dziwnego uczucia, że ktoś stoi za drzwiami pokoju. Zlekceważył przecucie, kładąc je na karb dręczącego go koszmaru, jednak kiedy położył się z powrotem, niepokój nie odchodził i Church nabrał pewności, że nie zdoła zasnąć, dopóki nie sprawdzi za drzwiami.

Karcąc się sennym głosem za uleganie obsesji, Church otworzył drzwi, ostrożnie, żeby nie obudzić pozostałych. Był tak zaspany, że zupełnie się nie bał. Tak jak się spodziewał, na zewnątrz nikogo nie było. Jego niepokój wcale jednak nie minął, raczej nasilił się. Ostrożnie wychylił się na korytarz i spojrzał w obie strony. Przez chwilę wydawało mu się, że zauważył czyjąś postać znikającą za rogiem w głębi korytarza. Church zastanawiał się przez chwilę, co robić, po czym zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem poszedł sprawdzić, kogo tam zobaczył.

Wicher wiał z niesłabnącą siłą i w całym budynku słychać było złowieszcze skrzypienie szyldu. Poza tym nie było słychać żadnego oznak życia. Jednak kiedy Church doszedł do końca korytarza, oddech zamarł mu w piersi. O kilka metrów od niego stała Marianna, tak samo ciemnooka i blada jak wtedy, kiedy widział ją w Stonehenge.

Tym razem był bardziej niż gotowy, by stawić jej czoła.

— Czego chcesz, Marianno? – zapytał cicho.

Usłyszał szmer, jakby westchnienie przechodzące przez całe jej ciało. Church poczuł dreszcz, jak echo, przepelniający go okropnym bólem po utracie czegoś, czego na pewno już nigdy nie odzyska. Spróbował spojrzeć jej w oczy, ale nie był w stanie zatrzymać na nich wzroku, gdyż to, co w nich dostrzegł, było zbyt przerażające. Jej twarz zachowała jednak to niezwykle połączenie piękna i wrażliwości, w którym się zakochał. Zgryzł

usta, starając się powstrzymać łzy.

Marianna nie odpowiedziała, czego zresztą Church nie oczekiwał, gdyż, jak sądził, nie była już w stanie mówić. Zamiast tego wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła ściany. W miejscu, gdzie opuszki jej palców przesunęły się po tapecie, pojawiła się czerwona plamka, jak skaleczenie od kolca róży. Marianna zaczęła się powoli cofać, w ten sam straszny, nieruchomy sposób, co w Stonehenge, gdzie jej zwrócona ku niemu twarz była jak światło latarni morskiej w ciemnościach. Kiedy opuszczała go tak, kropla krwi, która pozostała po jej dotknięciu, zaczęła się poruszać, jakby była żywą istotą, i ułożyła się w napis.

Church wysiłkiem woli oderwał wzrok od twarzy Marianny i spojrzał na słowa, od których przeszedł go chłód:

Morderstwo. Pomścij moją śmierć.

Wydawało mu się, że zaraz straci przytomność. Marianna znajdowała się już na końcu korytarza i zaczęła tonąć w ścianie, jakby zanurzała się w wodzie. W ostatniej chwili dostrzegł, że wyraz jej twarzy jakby się zmienił. Spojrzenie, które napełniało go tak wielkim strachem, nabrało nagle czułości i smutku, a Church, jeśli miał dotąd jakieś wątpliwości, teraz uwierzył, że naprawdę zobaczył swoją ukochaną Mariannę. Trwało to jednak zbyt krótko i został sam na sam z dławiącym uczuciem pustki.



Wrócił do pokoju, ale nie mógł już zasnąć. Całe jego życie nagle jakby przewróciło się do góry nogami; od tyłu lat czuł, że jest w jakiś sposób winny samobójstwa ukochanej, a teraz

dowiedział się nagle, że została zamordowana. Był tak wzburzony, że zaczął się zastanawiać, czy wiadomość nie była jakimś oszustwem sił nadprzyrodzonych, które starały się go wytrącić z równowagi. Gdyby tak było, to ich plan się powiódł. Church miał jednak dziwną pewność, że odwiedziła go Marianna i instynktownie wyczuwał, że wiadomość jest prawdziwa. Targające nim dreszcze przeszkadzały zastanowić się, co przesłanie z zaświatów oznaczało. Starając się uspokoić, wziął do ręki medalion małej Marianny, który w niewytłumaczalny sposób przywrócił mu spokój.

W tej samej chwili zauważył dziwne, niesamowite światło dochodzące z jego kurtki wiszącej na krześle obok łóżka. Zaniepokojony, wyjął z wewnętrznej kieszeni *Roisin Dubh* i przyjrzał się jej dokładnie. Na błyszczących, czarnych płatkach dostrzegł kropelki krwi.



Ruth, Shavi i Laura spędzili następny ranek w księgarni Gothic Image, poszukując informacji o Glastonbury. O mieście napisano całe stosy książek, więcej niż o jakimkolwiek miejscu, które zwiedzili. Większość tomów łączyła i plątała ze sobą tradycję, fakt i zmyślenie, nie informując, gdzie zaczynało się jedno, a kończyło drugie. Przekopawszy się przez liczne książki, natrafili jednak na wydaną przez lokalne wydawnictwo broszurę, w której znalazło się tłumaczenie łacińskiego napisu.



Studnia Kielicha znajdowała się u stóp wzgórza Chalice Hill, trzeciego i najłagodniejszego ze wzgórz otaczających Glastonbury.

Ze wszystkich owianych mityczną sławą miejsc w okolicach miasta właśnie studnia była uznawana za najważniejsze i najstarsze. Studnię zasilalo źródło na stokach Chalice Hill, którego woda była tak nasycona żelazem, że aż czerwona, przez co nazywano je również Krwawym Źródłem. Nazwa ta pasowała do legendy, zgodnie z którą w pobliżu ukryty został święty Graal.

Ponieważ studnia była od wieków miejscem pielgrzymek z całego świata, wokół niej założono ogród, w którym panowała atmosfera odpowiednia do kontemplacji i modlitwy. Shavi, Ruth i Laura weszli doń tuż przed południem, ciesząc się blaskiem stojącego wysoko na czystym niebie słońca. Od razu rozpoznali tu ten sam, trudny do znalezienia podniosły nastrój, jaki panował w opactwie.

— U Celtów, podobnie jak w innych przedchrześcijańskich kulturach, źródła były czczone z powodu ich magicznych, życiodajnych właściwości – zauważył Shavi. – Były miejscami kultu, zamieszkiwały w nich duchy płodności. *Genius loci*. Często rosły wokół nich święte gaje. A chrześcijaństwo zawsze podążało za rytuałami pogańskimi. We wszystkich najważniejszych miejscach pogańskiego kultu powstawały świątynie nowej religii. Kto wie – zastanawiał się Shavi – czy nie czczono w nich tej samej siły?

Ścieżka wiodła wokół ogrodu niczym trasa pielgrzymki, wijąc się pośród kęp drzew i krzaków, w których ukryte były otoczone

klombami ławki, nadające się do medytacji. Dotarli w końcu do samej studni, stojącej przy starodawnym kamieniu pod gałęziami wiekowych drzew. Światło w tym miejscu miało jakąś niezwykłą właściwość, przynoszącą wszechogarniający spokój. Cembrowina była przykryta drewnianą pokrywą, wzmocnioną ozdobnym okuciem w kształcie dwu przenikających się kół i starożytnego symbolu ryby. Według broszury, którą otrzymali przy wejściu, wzór ten nazywał się *Vesica Piscis*. Był on starszy niż chrześcijaństwo i symbolizował przenikanie się widzialnego i niewidzialnego świata, *yin* i *yang*, świadomości i nieświadomości, czy męskości i kobiecości. Znowu dwoistość, pomyślała Ruth.

Shavi zauważył niepokój na jej twarzy.

— Wszystko w porządku?

— Ten wzór przypomina niektóre kręgi megalitów. Sądzę, że to ma coś wspólnego z energią ziemi, z Błękitnym Ogniem. – Ruth gryzła paznokcie, zastanawiając się. – Wszędzie widzę ostatnio ukrytą wiedzę, znaki, zwiastuny, rzeczy przypominające o czymś niewyobrażalnie wielkim. Czuję się przez to tak... nieswojo.

— Zawsze tak się czujemy, kiedy zaglądamy za kulisy świata – odrzekł Shavi. – Poza tym, jak zauważyłaś, tutaj rzeczywiście wszędzie są znaki.

— Kolejne sygnały zagłuszone przez szum – odparła zmęczonym głosem. – Nie daję sobie już z tym rady.

Ruth oczekiwała sarkastycznego komentarza Laury, ale ta milczała, a jej osłonięta okularami przeciwsłonecznymi twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Mieli już wrócić na ścieżkę, kiedy Ruth zauważyła, że ktoś za nimi idzie. Odwróciła się nagle i ujrzała stojącego w cieniu mężczyznę. Łysinę na jego głowie otaczała czupryna siwiejących, kręcących się włosów. Na szyi miał koloratkę, nosił czarną

marynarkę i spodnie, a na piersi wisiał mu złoty krucyfiks, który połyskiwał w słońcu.

— Przepraszam – powiedział i uśmiechnął się delikatnie. Miał otwartą i uczciwą twarz. – Nie chciałem pani przestraszyć. – Milczał przez chwilę, patrząc na ich twarze, po czym rzekł. – Widziałem państwa wczoraj w opactwie. Odkryli państwo ukryty napis, prawda?

— Tak i było tam napisane: „Nie rozmawiaj z nieznajomymi” – wypaliła Laura nieufnie.

Mężczyzna roześmiał się zawstydzony, pocierając dłonie.

— Tak, pewnie mi się należało, po tym jak się do państwa tak zakradłem.

— Chce pan nas zatrzymać? – zapytała wojowniczym tonem Ruth.

Potrząsnął głową, wciąż się uśmiechając.

— Ścieżka jest dostępna dla każdego, kto ma dość cierpliwości i przenikliwości, żeby jej szukać. Gdyby było inaczej, po co mielibyśmy zostawiać płytki posadzki właśnie w takim ułożeniu? Setki innych wydobyto spod ziemi i wyrzucono. Chciałem z państwem tylko porozmawiać, żeby uświadomić państwu ryzyko. – Patrzyli na niego nieufnie. – Może usiądźmy? – zapytał, zapraszając ich do ławki przy studni.

Shavi skinął głową i usiadł obok niego, podczas gdy Laura stała w bezpiecznej odległości, a Ruth zatrzymała się gdzieś pomiędzy nimi.

Kiedy każde z nich zdecydowało się, gdzie chce stać lub siedzieć, duchowny przedstawił się: – Jestem Ojciec James, mogą mi państwo mówić Jim. Przepraszam jeszcze raz, za to, że się tak zakradłem, ale to miejsce wydało mi się szczególnie odpowiednie, gdyż sprzyja medytacji. – Umilkł na chwilę, jakby

szukając odpowiednich słów, po czym kontynuował. – Obserwujemy ten kawałek posadzki w opactwie, tak na wszelki wypadek, ale żaden z nas nie sądził, że komuś uda się odkryć sekret.

— My, czyli kto? – zapytała Ruth.

— Jest nas kilku, wybieranych co dziesięć lat z miejscowych parafii i władz opactwa. Jesteśmy nazywani Strażnikami. – Zaśmiał się. – Wiem, co państwo myślą: *Quis custodiet ipsos custodes*.

— Super, właśnie tak sobie pomyślałam – sarkastycznie odparła Laura.

— W opactwie zawsze była przechowywana wielka wiedza – kontynuował niezrażony. – W pierwszych latach w posiadaniu bibliotek była kolekcja manuskryptów nie mająca sobie równej w całym chrześcijaństwie. Wielka mądrość i duży zasób tajemnej wiedzy. Podobno manuskrypty spłonęły w wielkim pożarze, a wiele ocalałych zaginęło, kiedy klasztor został rozwiązany.

— Ale nie wszystkie? – zastanawiał się Shavi.

— Chrześcijanie, jak zwykle, coś ukryli – ze złością wtrąciła Laura. James nie wyglądał na obrażonego.

— Wielki dwunastowieczny historyk, Wilhelm z Malmesbury, otrzymał zgodę na przestudiowanie niektórych manuskryptów, kiedy pisał *Starożytności Glaston*. Wspomina tam o przybyciu Józefa z Arymatei do Glastonbury i jego pogrzebie tutaj, co zostało zapisane w kilku manuskryptach. Choć nie wolno mu było o wszystkim pisać, w wielu miejscach zawarł niejasne wzmianki o „świętej tajemnicy” ukrytej w mozaice na podłodze kościoła. Nie miał jednak pojęcia, co to za tajemnica. Natomiast my, jak państwo widzą, znaleźliśmy tę tajemnicę i był ona przekazywana przez stulecia wąskiemu gronu wtajemniczonych.

Jest jeszcze coś, pewne proroctwo... legenda... nie wiem, jakiego użyć słowa. Chodzi o wybawiciela, który zostanie obudzony, gdy nadejdzie najciemniejsza godzina. Choć słowo jest w liczbie pojedynczej, wydaje mi się, że w tym kontekście chodzi o wiele godzin. To ciekawe. – Spojrzał na nich w zamyśleniu. – Od niedawna nasze czasy niewątpliwie należą do ciemności.

Shavi skinął głową.

— Wiemy, o czym pan mówi.

— Doskonale. Szczególnie interesuje mnie, co to ma wspólnego z królem Arturem. Wilhelm z Malmesbury pisze, że czytał opowiadający o nim manuskrypt, jednak tej wiedzy nie udało się nam zachować. – Jim pokiwał głową w ekscytacji i klasnął w rękę. – Te dni wydają się być końcem historii. Tyle różnych tropów wiedzie właśnie do tej chwili. Co teraz macie zrobić?

Shavi pogładził się po brodzie.

— Wziąć trochę wody z tej studni...

— Tak, tak, silnej wody – wtrącił Jim.

— I pójść z nią na szczyt wzgórza.

— A potem to już nie wiemy zbyt dokładnie – dodała Ruth.

— Oczywiście, część wskazówki została utracona. Ale do czego to wszystko prowadzi, wiedzą państwo?

Ku zaskoczeniu Ruth, Jim był najwyraźniej zadowolony z odkrycia. Szybko poczuła sympatię do jego wesołości i optymizmu. Co więcej, ufała mu, czym była jeszcze bardziej zaskoczona.

— Zgaduję, że mówi pan o Graalu – odpowiedział w końcu Shavi.

— Oczywiście. Wszystkie legendy, pochodząca sprzed wieków mitologia, wskazują właśnie na tę odpowiedź. Ale czym jest Graal? – Jim był najwyraźniej rozbawiony grą, jaką z nimi

prowadził.

Ruth rzuciła Shaviemu spojrzenie, ale nie odpowiadał, więc sama rzekła: – Wszyscy wiedzą, że Graal to kielich, do którego zebrano krew z ran Chrystusa podczas ukrzyżowania. Miał niezwykle, magiczne właściwości i poszukiwali go rycerze Okrągłego Stołu.

— Aby uzdrowić ziemię. Oczyszczyć świat – dodał Shavi.

— Ale my tak naprawdę szukamy Celtyckiego przedmiotu – wtrąciła Ruth i zwróciła się do Shaviego. – Zapewne najbliższy kielichowi będzie magiczny kocioł?

Jim roześmiał się na to głośno.

— Żyjemy we wszechświecie, którego językiem są symbole. To przez nie kosmos przemawia do naszej podświadomości, a symbole i przesłania powtarzają się przez wieki. Słowa napisane przez człowieka to tylko interpretacje tych symboli, więc nie warto brać ich dosłownie.

— Czy to dotyczy również Biblii? – przerwała mu Laura. Duchowny nie zwracał na nią uwagi.

— Kielichy i kotły. Ta sama rzecz, inna nazwa. Naczynie ogromnej mocy. Czy czują się państwo dość pewnie, żeby posłuchać małego instruktora?

— Zapewne nie zostawi nas pan w spokoju, zanim go nie wysłuchamy – westchnęła Ruth.

— Oficjalnie Kościół nie wierzy, że Józef z Arymatei przywiózł do Brytanii kielich z Ostatniej Wieczerzy – zaczął Jim. – Naukowcy udowodnili, że mity związane z kielichem są znacznie dawniejsze niż czasy śmierci Chrystusa. Wywodzą się z podań o rogu obfitości, Graalu, który dawał władzę nad życiem i śmiercią, uzdrawianiem i bogactwem. W jakiś sposób został jednak utożsamiony z kielichem krwi Chrystusa. Kościół zawsze chętnie

wykorzystywał religie innych kultur do osiągnięcia własnych celów – nie mam tu na myśli nic złego. Jednak Graal jest jednym z tych symboli, o których przed chwilą mówiłem. Reprezentuje najwyższą nagrodę, dostępną tylko najczystszyom duszom. Coś, za czym ciągle podążamy, ale czego nigdy nie możemy osiągnąć. We wszystkich tego rodzaju mitach powtarzają się te same motywy: Król, Dobry Rycerz, Dziewica, siły Życia i Śmierci oraz Pustelnik. Co stara się nam w ten sposób przekazać wszechświat? Mógłbym spędzić wiele dni, rozmawiając z państwem na ten temat, ale tak naprawdę to nie ma odpowiedzi na to pytanie. Tutaj potrzebna jest wiara.

— Jeśli to taka wielka nagroda – zapytała Laura – to czemu ktoś z waszej załogi nie poszedł i nie wziął jej sobie?

— Cóż, bardziej niż ktokolwiek jesteśmy świadomi ciężącej na nas odpowiedzialności. Graal nie jest przeznaczony dla nas.

— Sądzę, że zaskakująco łatwo udało nam się odkryć tajemnicę czegoś, co podobno ma być nieosiągalne – rzekła Ruth.

— Jeszcze tam państwo nie poszli – odrzekł Jim, a w jego głosie było coś, co przeszło Ruth lękiem. – Proszę, weźmy trochę tej wody.

Poprowadził ich do studni, gdzie z fontanny w kształcie głowy lwa lała się rdzawa woda. Shavi napełnił jeden z dwu stojących obok kubków i spróbował jej.

— Cudowna! – zawołał. – Naprawdę czuję, jak unosi moją duszę.

— Założę się, że jak ci doktor daje placebo, to też tak mówisz – odezwała się Laura, która wciąż stała z dala od nich.

— Niewierny Tomasz – zaśmiał się Jim. – Czy wiecie, że elżbietański alchemik John Dee ogłosił, że odkrył eliksir młodości – właśnie w Glastonbury?

— Wydaje mi się, że zupełnie nie krępuje pana fakt, że pańska religia w dużej mierze opiera się na dawniejszych wierzeniach – powiedziała Ruth, podczas gdy Shavi napełniał plastikową butelkę wodą ze studni. – Czy to nie podkopuje pana wiary?

Jim wzruszył ramionami.

— Umiem być pragmatyczny. Ale chrześcijaństwo przemawia do mnie znacznie silniej niż jakakolwiek inna religia. Poza tym, w głębi serca, nie widzę żadnej sprzeczności pomiędzy dawnymi i nowymi wierzeniami. Zawsze można na nie patrzeć z wyższej perspektywy.

Kiedy Shavi nabrał już dość wody, ruszyli ścieżką, mijając dwa cisy, za którymi pośrodku zalanego słońcem trawnika znajdowała się ogrodowa sadzawka.

— To wielkie szczęście dla mnie, że mogę tutaj być – mówił dalej Jim. – Glastonbury zawsze było szczególnym miejscem, niemal świętym, jeszcze w czasach neolitycznych. Druidowie założyli tutaj szkołę, w której przekazywali adeptom swoje wierzenia i wiedzę. Dlaczego właśnie Glastonbury. Ja wierzę, że jest tutaj siłą Chrystusa, że jest ona w samej ziemi. Jestem pewien, że poganie również o niej wiedzieli, choć nadawali jej inne nazwy.

Ruth zastanawiała się, jak wiele Jim wie o Błękitnym Ogniu, ale nie podjęła tego tematu.

— Powiedział pan, że chce nam uświadomić ryzyko.

Skinął głową i nagle spowaźniał.

— Nikomu jeszcze nie udało się dojść do końca, czyli do samego Graala. Ale wiemy wystarczająco dużo. Wiemy, że nie jest pogrzebany w fizycznym sensie tego słowa, tylko raczej spoczywa na obrzeżach naszego świata. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Obrzęd, jakiego zamierzacie dokonać, by otworzyć

drzwi, został już raz odprawiony, jeden raz, dawno temu. Ale potem... Potem mamy już tylko podania.

— Jakie podania? – zapytała Ruth. Shavi słuchał uważnie, jakby na świecie nie liczyło się dla niego nic, prócz słów Jima.

Duchowny wszedł do cienia jednego z drzew i oparł się o jego pień.

— W trzecim wieku przed Chrystusem Celtowie założyli niewielką osadę w pobliżu tego miejsca. W tamtych czasach nizinne tereny wokół Glastonbury znajdowały się pod wodą, a okolice, gdzie miało stanąć Glastonbury, były wyspą. Dlatego teraz ten obszar jest nazywany Wyspą Avalon. Według niektórych nazwa ta pochodzi z celtyckiej legendy o półbogiu Avallocu lub Avallochu, który władał światem podziemi. Podobno tutaj spotykali się zmarli przed rozpoczęciem wędrówki w zaświaty. Nasza wiedza o tradycji Celtów jest bardzo ograniczona i pełna niejasności – te same postacie miały różne imiona na różnych terenach zamieszkanym przez Celtów. Istnieją również podania, według których podziemna kraina Annwn znajduje się pod wzgórzem, a jej władcą jest Arawn, pan umarłych. Ktokolwiek się tam zapyści wbrew jego woli, spotka na swej drodze demony, natomiast zaproszeni goście trafią do krainy rozkoszy. Jeszcze inni twierdzą, że w miejscu tym miał swoją siedzibę Gwyn ap Nud, dowódca Dzikich Zastępów, które według tradycji można spotkać na wzgórzach wokół miasta.

Ruth zbladła, kiedy to usłyszała, ale Jim wydawał się tego nie zauważać.

— Imiona nie są ważne. We wszystkich podaniach powtarza się jednak ostrzeżenie, że wizyta w podziemnej krainie jest bardzo niebezpieczna. Sami się o tym przekonaliśmy – dodał ponuro – kiedy otworzyliśmy swego czasu drzwi, o czym już

wspominałem. Nie uczynimy tego już nigdy więcej. Proszę was więc, byście przemyśleli moje słowa, zanim postanowicie ruszyć dalej.

Shavi z wahaniem wystąpił naprzód.

— Myślę, że nie mamy innego wyboru – powiedział łagodnym tonem.

Jim skinął głową.

— Zgadłem, że taka będzie wasza odpowiedź. Pamiętajcie w takim razie o jednej rzeczy: nieistniejąca już część napisu głosiła, że istotny jest czas dokonania obrzędu. Musicie zanieść wodę na wzgórze o pierwszym brzasku. A potem niech wam Bóg dopomoże.

ROZDZIAŁ 14

RZEŹ WIRON

Church, Veitch i Tom opuścili Jamaica Inn po wczesnym śniadaniu. Dzień był pogodny. Na tle zbocza Brown Willy, najwyższego wzgórza w okolicy, szybko przebiegały cienie chmur. Światło słońca było jednak blade w typowy dla wiosny sposób, grożąc w każdej chwili nagłą zmianą pogody. Mogli dalej iść piechotą, lecz w kierunku, który wskazywała lampa, nie było żadnych dróg i istniało prawdopodobieństwo, że ktoś ich napadnie. Zamiast maszerować poprosili więc jakąś panią, by podwiozła ich swoim morrisem minorem do Launceston, gdzie miała robić zakupy. Tam mieli nadzieję znaleźć kogoś, kto podwiózłby ich dalej.

Choć Tom i Veitch wyczuwali, że coś się stało, Church nic im nie opowiedział o swoim nocnym spotkaniu. To, co wyjawiała mu Marianna dręczyło go do rana i kiedy wstał, zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mógł spokojnie spać. Z jednej strony poczuł wielką ulgę, że nie jest odpowiedzialny za jej śmierć, z drugiej jednak nowa zagadka, jaką postawiła przed nim Marianna, była równie przerażająca. Kto mógł ją zabić?



Mimo ruchu panującego w targowym Launceston, dopiero wczesnym popołudniem udało im się znaleźć kogoś, kto zabrałby ich w dalszą podróż. Kupili trochę pasztecików z mięsem i zjedli je w furgonetce jakiejś firmy remontowej, powoli przemierzając wsie północnej Kornwalii, które jakby nie zmieniły się od lat pięćdziesiątych. Jediną oznaką nowoczesności były wielkie wiatraki do produkcji prądu, obracające się leniwie w podmuchach morskiej bryzy.

— My tutaj lubimy robić wszystko po staremu – powiedział kierowca, paląc papierosa.

W porównaniu z ponurym pustkowiem Bodmin Moor, krajobraz pełen był zieleni, a im bardziej zbliżali się do wybrzeża, tym silniejsze było słońce, które zaczęło w końcu przygrzewać niczym w letnie popołudnie. Za grzbietem kolejnego wzgórza zobaczyli wreszcie morze.

Otoczona starymi, sękatymi drzewami droga meandrowała w kierunku brzegu, gdzie w powietrzu unosił się zapach gnijących wodorostów. Pożegnali się z kierowcą w Boscastle, pod Muzeum Magii, którego białe ściany lśniły w słońcu. Choć lampa wciąż mrugała w kierunku południowo-zachodnim, Church wyczuwał, że są już blisko miejsca przeznaczenia.

Ruszyli piechotą drogą, która wisiała niebezpiecznie nad skalistym wybrzeżem, znanym z historii o przemytnikach i wpadających na skaty statkach, i po trzech milach, kiedy słońce chowało się już za horyzont, znaleźli się w Tintagel.



— Powinienem był zgadnąć – powiedział Church, kiedy odpoczywali we wsi, w pobliżu starożytnego zamku, do którego doszli stromą ścieżką. – Znowu król Artur. Te wszystkie nawiązania nie są dla mnie zrozumiałe.

Veitch wepchnął do ust resztkę chipsów z wielkiego worka i zapytał: — Co to miejsce ma wspólnego z królem Arturem?

— To tylko głupie legendy. W dwunastym wieku żył pewien pisarz, Geoffrey z Monmouth, według którego Artur urodził się w Tintagel, a Merlin zabrał go stąd, by wychować w tajemnicy. To przyciąga turystów, ale nie ma wiele wspólnego z prawdziwą historią.

— Nie ma czegoś takiego jak głupie legendy – wtrącił Tom lodowatym tonem.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Tom, ale takie wierzenia tylko utrudniają pracę archeologom.

— Według *The Folie Tristan* tutejszy zamek został zbudowany przez olbrzymów i znikał dwa razy do roku, w przesilenie letnie i zimowe – odrzekł Tom z dziwnym uśmiechem.

— Właśnie – powiedział Church, mając jednak dziwne uczucie, że ta uwaga nie potwierdza jego zastrzeżeń; Tom uśmiechał się wciąż, aż w końcu Church odwrócił wzrok.

— To co, był ten król Artur, czy go nie było? – spytał Veitch patrząc od jednego do drugiego. – Excalibur! Lancelot! To są świetne historie.

— Nie przeczę, że to są świetne historie – rzeki Church – ale nic więcej. Niedawno archeolodzy wykopali w pobliżu kawałek łupku z napisem Artur i nagle różni idioci z gazet zaczęli pisać, że to dowód na to, że tu jednak mieszkał. A przecież Artur i pochodne imiona były bardzo popularne i oznaczały kogoś podobnego do niedźwiedzia.

— Stare podania nie zawsze można rozumieć dosłownie – powiedział Tom, zwracając się bezpośrednio do Veitcha – ale czasem tkwi w nich ziarno prawdy.

Chłopak wydawał się zgadzać, natomiast Church, zmęczony marszem, nie miał cierpliwości do niejasnych uwag starego hipisa.

— Co to za ziarno prawdy? – przerwał mu. – Wiem, że było to ważne miejsce kultu dla Celtów, podobnie jak inne miejsca, które mijaliśmy, ale co to ma wspólnego z postacią, która nie istniała, a przynajmniej nie w taki sposób, jak się to wszędzie opisuje?

Tom spojrział na coraz ciemniejsze niebo, po czym ruszył ścieżką w kierunku zamku.

— Chodźmy. Musimy tam dotrzeć, zanim zapadnie zmrok.

Church myślał, że była to próba ucięcia rozmowy, ale kiedy pokonali stromiznę u stóp zamku, Tom znów się odezwał: – Kiedy Celtowie rządzą Brytanią, ta ziemia po raz ostatni naprawdę żyła.

— Mówisz o Błękitnym Ogniu – energii ziemi?

Tom powoli skinął głową w zamyśleniu, wpatrując się w odległe morze.

— Kiedy bogowie opuścili ziemię, ludzie uwolnili się spod jarzma strachu, ale wiele przy tym stracili. Ludzie i ziemia są ze sobą związani; podobnie jak dziecko w łonie i matka, której krew je żywi. Ale to nie wszystko, bo ten tak zwany Błękitny Ogień może być również potężnym narzędziem zła – lub służyć do obrony ziemi i jej ludzi. Jak każda broń, wymaga on opieki, żeby nie popaść w ruinę. Kiedy odeszli bogowie, ludzie nie musieli się już jednoczyć i korzystać z potęgi ziemi. Cały ich czas zajęły codzienne starania o przetrwanie we wrogim środowisku i zapomnieli, jak opiekować się ziemią dzięki obrzędom w

świętych miejscach. Siła osłabła, potem zapadła w stan uśpienia, a ludzie żyli dalej, wierząc naiwnie, że potrzebują tylko tego, co mogą dotknąć i zobaczyć. Ale Błękitny Ogień to duch zarówno ziemi jak i ludzi, łączący ich w nierozzerwalny sposób.

Szlak prowadzący do zamku piął się teraz łagodniej, a przed nimi z prawej strony otworzyła się dolina zarośnięta pokrzywami i jeżynami. Po drugiej stronie, na wysokim zboczu doliny wznosiły się ruiny zamku. O tej porze nie zwiedzali ich żadni turyści, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum fal rozbijających się o skalisty brzeg morza.

— I teraz, kiedy wrócili Fomorianie, musimy wskrzesić tę moc? Żeby odzyskać siły i bronić się? – zapytał Church, próbując dostrzec na twarzy Toma jakąś odpowiedź, której tam jednak nie znalazł.

— Wy dwaj to byście tylko gadali – powiedział Veitch, który najwyraźniej nie czuł się zbyt pewnie. Wciąż rzucał niespokojne spojrzenia na pogrążone w cieniu zarośla po ich lewej stronie.

— No a Artur? – drążył głębiej Church.

— Celtowie wykorzystywali swoje podania, by przekazywać późniejszym pokoleniom ważną wiedzę. Nikt nie chciał pamiętać wszystkich faktów, ale kiedy połączy się je w całość...

Tym razem to Tom przerwał, zaniepokojony czymś, co dostrzegł w krajobrazie. Być może to strome zbocze doliny sprawiło, że poczuli się mali i bezsilni, a może udzielił się im przestach Veitcha, ale Tom także zaczął się rozglądać.

— No i? – zapytał niecierpliwie Church.

— No i wszystkie legendy i mity są takie same. Artur nie był człowiekiem. Był ucieleśnieniem ducha człowieka i ducha ziemi.

Church zrozumiał nagle, co starał się powiedzieć Tom.

— Chodzi o legendę o królu Arturze, który śpi pod jakimś

wzgórzem i obudzi się, gdy nadejdzie najczarniejsza godzina Brytanii? To zaszyfrowana wiadomość, że należy obudzić siłę ziemi?

— Wreszcie – zmęczonym głosem potwierdził Tom.

— A wszystkie miejsca związane z Arturem są skupiskami energii ziemi! Ale nie rozumiem...

— Dość gadania – urwał Tom. Zatrzymał się nagle i spojrzał na ścieżkę za nimi, jakby coś tam usłyszał. Church wyteńczył słuch, ale jego uszu doszedł tylko cichy szum wiatru w krzakach w dolinie.

— Dojdźmy jak najszybciej do naszego celu. Tam przynajmniej będziemy bezpieczni.

— Bezpieczni od czego – zapytał Veitch. Church zauważył, że jego dłoń bezwiednie chwyciła za ukryty pod kurtką pistolet.

Szybkim krokiem ruszyli dalej, zachowując pełną niepokoju ciszę. Ponad nimi niebo zrobiło się już ciemnobłękitne i zaczęły na nim pobłyskiwać pierwsze gwiazdy. Patrząc na nie, Church poczuł wielką samotność. W miejscu, gdzie dolina otwierała się na morze, znaleźli budynek towarzystwa turystycznego, zamknięty o tej porze na cztery spusty. Płynący doliną strumień tworzył tu wodospad, po którym strumień dopływał do kamienistej plaży. Był odpływ; w oddali widzieli ogromną, czarną połąć morza, przyozdobioną białymi grzywami przyboju.

Wysoko po ich lewej stronie znajdowały się ruiny dwunastowiecznego zamku, wyglądające jak wyszczerbione zęby na wyłamanej szczęcie.

— Pewnie idziemy do góry – z wahaniem zapytał Church.

— Nie – odparł Tom – idziemy na dół, na plażę.

Church spojrzał na niego z niedowierzaniem, ale nie pytał, skąd Tom zna drogę.

Powoli i ostrożnie przekroczyli strumień i ruszyli zdradziecką,

kamienistą ścieżką, na której znajdowały się znaki ostrzegające przed śliskimi i osuwającymi się kamieniami. W gęstniejącym mroku trudno było maszerować po skalistym zboczu, ale udało im się dotrzeć na plażę kosztem tylko kilku upadków i stłuczeń. Plaża pachniała rybami i wodorostami, a szum załamujących się fal niemal ich ogłuszał.

Tom poprowadził ich kamienistą połącią plaży w kierunku klifów pod zamkiem, gdzie otworzyła się przed nimi czarna czeluść.

— Jaskinia Merlina – poinformował ich.

— Merlin! – zaśmiał się Veitch. – To pewnie ty! Wyglądasz tak jakoś podobnie.

— Nie, to nie ja – odparł Tom poirytowany.

— Zrobimy sobie krzywdę, jeśli tam wejdziemy – powiedział Church, starając się przesyć wzrokiem ciemność jaskini. – Przecież będziemy musieli iść po omacku.

Tom minął go i zanurzył się w mroku. Church zaklął i zerknął na Veitcha, który z kpiarskim uśmieszkiem popukał się w głowę. W chwilę później podążyli jednak za swym przewodnikiem, a to ślizgając się i potykając na pokrytych wodorostami kamieniach, a to wpadając w kałuże morskiej wody. Desperacko starali się dotrzymać mu kroku, a w końcu nawet złapali się za kurtki, aby nie zgubić siebie nawzajem w ciemnościach. Wydawało się im, że wiszą w czerni, a szum przyboju stał się nieznośnie głośny. Church zaklął w końcu i złażał się za głupotę, po czym wyjął spod kurtki Latarnię Drogi.

W migocącym błękitem świetle dostrzegł, że przestronna jaskinia przesywała na wylot skalisty przylądek, który łączył stały ląd z wyspą, na której stała najstarsza część zamku.

— Czego my tu, cholera, szukamy? – zapytał Veitch,

przekrzykując potężny szum fal.

— Pewnie jakichś drzwi – odrzekł Church. Opowiedział Veitchowi o drzwiach, które otworzyły się przed nimi w Avebury, a ten pokręcił tylko z niedowierzaniem głową.

Zauważyli, że Tom ze zniecierpliwieniem obserwuje ściany jaskini mające w świetle latarni.

— Gdzie to jest? – mruknął do siebie.

Veitch nerwowo obejrzał się za siebie, ku wejściu do jaskini.

— Tam coś jest na zewnątrz – powiedział, patrząc na Churcha, jakby szukał pocieszenia. – Ja chyba oszaleję. Nic nie widać, nie słyhać, ale serce aż mi wali ze strachu. Nie mogę się oprzeć uczuciu, że zbliża się jakieś nieszczęście.

Church skinął głową, starając się dodać przyjacielowi odwagi, po czym skupił się na przeczesywaniu jaskini błękitnym światłem latarni.

— Wszyscy musimy się uczyć ufać naszym uczuciom – powiedział w roztargnieniu.

— Super, dzięki – odrzekł ponuro Veitch.

W tej samej chwili Church rzeczywiście coś usłyszał pomiędzy dwoma uderzeniami przyboju. Brzmiało to jak natarczywy szelest albo trzepot. Church nie potrafił rozpoznać jego źródła. Spojrzał na Toma, który ze zdwojonym wysiłkiem przeszukiwał ściany.

— Patrz na wejście – powiedział, zanim Church zdążył się odezwać.

— Tam! – krzyknął nagle Veitch, wskazując na część jaskini, która tonęła teraz w cieniu. – Poświeć tam!

Church powoli obrócił lampę, aż oświetlił wskazaną część jaskini. Zamajaczyły się tam jakieś cienie, a potem ich oczom ukazał się wyraźny kształt. Church dokładniej ustawił światło i w

chaosie pęknięć na ścianie jaskini ukazał się cień szerokiego miecza. Tom zeskoczył ze swojego głazu zwinnie jak młody mężczyzna i przyłożył do miecza dłoń; z czubków jego palców poleciały błękitne iskry.

W tej samej chwili szum przyboju znów na chwilę ucichł i jaskinię wypełnił zagadkowy szum, który wszystkich ich zaniepokoił. Church obejrzał się ku wyjściu i zobaczył coś jakby poruszający się wir, ciemniejszy niż cień jaskini. Nagle zrobiło mu się niedobrze.

Jego uwagę przyciągnął teraz rozdzierający dźwięk dochodzący z wnętrza ściany jaskini. W niewytłumaczalny sposób pojawiał się w niej otwór, który po chwili stał się dość szeroki, by mogli się przez niego przecisnąć. Po krótkim wahaniu, kiedy tajemniczy szum i trzepot nagle zaczął się do nich zbliżać, bez oglądania się zanurkowali do wnętrza skały.



Zanim zdali sobie z tego sprawę, skała zamknęła się za nimi, zamykając ich w tunelu tak ciasnym, że ledwie mogli się wyprostować. Potykali się o zalegający na ziemi piach i muszle. W powietrzu unosił się słony zapach morza.

— To miejsce zaleje przyływ – z niepokojem w głosie zauważył Church.

— Jak to możliwe, że skała się otworzyła? – zapytał Veitch.

— Nie otworzyła się. To tylko tak wyglądało – wymijająco odparł Tom.

— Co to było tam na zewnątrz, Tom? – chciał się dowiedzieć Church.

— Nie warto o tym teraz rozmawiać. Nadchodzi przypyływ. Nie mamy dużo czasu.

Przecisnął się obok nich i poprowadził ich tunelem, którym dotarli do jaskini rozmiarów niewielkiego mieszkania. Na przeciwległej ścianie, na wysokości pasa, ziały obok siebie trzy dziury w skale.

— Co mamy teraz zrobić? – spytał Veitch. Tom usiadł na ziemi, żeby zajrzeć do otworów.

— Coś tam widzę... – rzekł, po czym wzruszył ramionami. – Myślę, że pełne mocy przedmioty nie będą leżeć na ziemi, żeby każdy mógł je sobie wziąć.

Veitch rozejrzał się po podziemnej komorze, ale nie dostrzegł niczego szczególnego.

— No i co? Teraz musimy znaleźć jakąś kombinację?

— Coś w tym rodzaju.

— No to super, że wiemy, co robić – gorzko zauważył Veitch.

— Może się okazać – powiedział Church – że w jednej z tych dziur jest jakaś dźwignia.

Delikatnie opukał palcami brzeg środkowego otworu.

— To nie byłoby żadne zabezpieczenie.

— Patrzcie! – zawołał nagle Tom.

Church i Veitch spojrzeli we wskazanym przez niego kierunku. Wejście do komory zalewała już pokryta pianą woda.

— Przypyływ dotarł już do drugiego wejścia jaskini! – Church wręczył Tomowi latarnię i zwrócił się ku otworom. – Cholera jasna! Nie mamy dużo czasu. Co robić? – Zebrał się na odwagę i wcisnął rękę w środkową dziurę. Zanurzyła się do połowy łokcia. Church wyczuł dwa metalowe pierścienie, które z łatwością chwycił palcami. – Tu chyba jest dźwignia!

— No to ciągnij, do cholery, i wynośmy się stąd! – krzyknął

Veitch, nerwowo spoglądając na wzbierającą wodę, która centymetr po centymetrze zalewała dno jaskini.

Tom i Veitch zauważyli, że coś się stało z Churchem, który nagle zrobił się blady na twarzy.

— Coś mi się zacisnęło wokół nadgarstka. Nie mogę wyciągnąć ręki. – Church szarpał się gorączkowo, ale nie mógł oswobodzić ramienia.

Woda sięgała im już do kostek. Veitch rzucił się ku uwięzionemu przyjacielowi, złapał Churcha za biodra, zaparł się stopą o ścianę i pociągnął. Church zawył z bólu. – Urwiesz mi rękę! – Veitch puścił go i zaklął.

— Rozluźnij mięśnie – nakazał Tom. – Może ten zamek działa podobnie jak te wschodnie pułapki na palce – im mocniej się ciągnie, tym bardziej się zaciska.

— Raczej nie jestem w nastroju, żeby się rozluźniać – wysyczał Church. Zamknął oczy i spróbował się uspokoić, przywołując przyjemne wspomnienia, ale wkrótce ogarnęła go rozpacz, bo wszystkie dotyczyły Marianny. Mimo to, uścisk osłabł, jednak nie na tyle, by Church mógł uwolnić ramię. Potrząsnął głową zniechęcony.

— Wody jest coraz więcej! – zawołał Veitch. Sięgała do łydek. Veitch nerwowo chodził w tę i z powrotem, ochlapując sobie spodnie.

— To nie pomaga – warknął Church.

— Uspokój się – odrzekł Tom. – Niepotrzebnie panikujesz.

— Łatwo ci mówić. – Church czuł, że serce wali mu jak kafar, a mięśnie na ramionach i plecach napinają się konwulsyjnie. Choć starał się o tym nie myśleć, przed oczami przewijały mu się obrazy wody zalewającej usta i nos, wypełniającej gardło, a potem płuca. – Wy dwaj wynoście się stąd, póki możecie –

powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł.

— Nie wygłupiaj się! Nie zostawimy cię tutaj – jesteś najważniejszy! – Twarz Veitcha wykrzywił gniew i rozpacz.

— Wynoście się! – krzyknął Church z dzikim błyskiem w oku.

— On ma rację – powiedział Tom tak cicho, że jego głos zagłuszała chlupocząca woda. – Musi zostać ktoś, kto może spróbować, inaczej wszystko...

— Zamknij się, palancie! – warknął Veitch. – Bzdury gadasz. – Miotał się po jaskini jak zwierzę w klatce, zaciskając i otwierając pięści. – Mówiłem ci, to on jest najważniejszy. My jesteśmy na odstrzał.

— Uciekajcie! – powtórzył Church, ale łagodniejszym głosem, bo dostrzegł rozpacz na twarzy Veitcha.

— Musi być jakieś rozwiązanie! – ten krzyknął nagle. – Ten, kto to zrobił, nie zostawiłby tego tak, żeby wszyscy umarli!

Coraz więcej wody wlewało się do komory, opływając im nogi, uderzając o ściany. Jej poziom rósł coraz szybciej. Kiedy sięgała Churchowi do pasa, znów ogarnęła go panika. Nagle, bez zastanowienia, wcisnął wolną rękę w dziurę po lewej stronie. Usłyszeli cichy trzask i ręka Churcha została uwolniona, ale kiedy radośnie wyciągnął ją z dziury, coś zacisnęło się wokół nadgarstka drugiej ręki. Church zaklął głośno, machając uwolnionym ramieniem, żeby przywrócić w nim krążenie.

— Aha. Zaciśnięcie jednej pułapki otwiera drugą – powiedział Tom.

— To przecież na nic! – odrzekł Church. – Zawsze zostanie jedna uwięziona ręka.

— Tak, tak, ale... – zastanawiał się Tom, przecierając okulary, które zachlapała woda.

— Jak ty możesz być taki spokojny? – krzyknął na niego Veitch.

Tom założył okulary, jakby go nie słyszał. Churchowi wydało się, że Veitch zaraz go uderzy.

— Ryan, panuj nad sobą – upomniał go.

Spokojny głos Churcha dziwnie zadziałał na Veitcha, który spojrzał przyjacielowi w oczy, po czym odwrócił się, jakby nagle zapomniał o tym, co się wokół niego dzieje.

Woda coraz szybciej zalewała komorę, falując i utrudniając utrzymanie równowagi. W ciągu kilku minut podniosła się do poziomu ramion; wszyscy poddawali się już rozpacz. Tom uniósł latarnię wysoko, oświetlając zalaną jaskinię błękitnym światłem, ale nawet kiedy docierały do niej fale, światło nie gasło. Church zastanawiał się, czy nie będzie dalej świecić pod wodą, obok jego napuchniętego, martwego ciała.

Tom położył Veitchowi dłoń na ramieniu.

— Musimy iść – powiedział cicho.

Woda szumiąc dalej wlewała się do jaskini, niemal zwalając ich z nóg. Church zastanawiał się, czy nie oderwać sobie ręki w nadgarstku. Z trudnością utrzymywał teraz głowę nad wodą. Znow ogarnęła go panika.

Veitch ze Izami w oczach spoglądał na Toma i na Churcha, a potem dał nura pod wodę. Kiedy znow podniósł głowę, zimna woda jakby uspokoiła go i zdecydował wreszcie, co zrobić.

Church zachłysnął się morską wodą, zaczął kaszleć, po czym niezdarnie podskoczył i nabrał powietrza.

Veitch zbliżył się do Churcha, na wpół płynąc, i zajrzał mu głęboko w oczy. Church zobaczył w spojrzeniu przyjaciela strach, ale jednocześnie widać było, że waży w myślach jakąś decyzję. Potem Veitch stanowczym ruchem zwrócił się ku otworom w ścianie i wcisnął ręce do obu.

— Nie! – krzyknął Church, ale było już za późno. Poczul, jak

zacisk wokół jego nadgarstka rozluźnia się i gwałtownie wyjął ramię z dziury.

Zanim zdążył dać upust gniewowi na Veitcha za jego poświęcenie, z głębi ściany jaskini doszło ich uszu dudnienie, i na wysokości głowy ponad otworami otworzyła się ciemna skrytka. W środku Church dostrzegł błękitne iskry i wyszczerbiony, żelazny miecz leżący na kamiennej półce. W tej samej chwili ramiona Veitcha zostały uwolnione i otworzył się jeszcze jeden otwór – tym razem były to drzwi – po drugiej stronie komory. Veitch zakrzyknął triumfalnie, podczas gdy Church chwycił za miecz i wszyscy trzej rzucili się ku drzwiom, za którymi znajdowały się biegnące stromo do góry, kręcone schody. Dysząc z wyczerpania, wdrapali się po nich wysoko ponad poziom wody.

— Nie wierzę – wysapał Church. – Cholera jasna, nie wierzę!

Tom zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy.

— Ta zagadka ma głębszy sens – powiedział. – Kluczem do niej było poświęcenie. Nie dostaliśmy miecza, dopóki nie pokazaliśmy, że umiemy się poświęcić.

— Gadasz tak, jakby ten miecz wiedział, co będziemy robić – odrzekł Veitch pełnym zadowolenia tonem. Szeroko uśmiechnięty, zamknął oczy i zaczekał, aż uspokoi mu się oddech. Potem usiadł prosto i zaproponował: – No to spójrzmy na niego, no nie?

Church położył miecz na stopniach i chwycił za latarnię, w której świetle mogli mu się przyjrzeć. Nie wyglądał zbyt okazale. Miał prosty kształt, był zupełnie pozbawiony ozdób, a żelazna klinga mocno pordzewiała.

Zachwył na twarzy Veitcha świadczył o tym, że widział zupełnie co innego.

— Excalibur? – zapytał z rozmarzeniem w głosie.

— Miecz Nuadu Airgetlamh – poprawił go Church. Spojrzał na Toma, który uśmiechnął się porozumiewawczo. – A może to tylko różne nazwy jednej i tej samej rzeczy, której nie da się opisać?

— Na tym polega kłopot z legendami – drwiąco odparł tamten. – Są to nieprecyzyjne definicje tego, czego nie można zdefiniować.

— Palanty, gadacie wciąż od rzeczy – przerwał im Veitch i stanął na nogi. – Nie powinni wam pozwalać rozmawiać ze sobą. Wynośmy się stąd, zanim dogoni nas woda.

Church wstał i odezwał się do Veitcha z zakłopotaniem.

— Słuchaj, dzięki. Wiesz, to co zrobiłeś...

Veitch nie wiedział, co powiedzieć.

— No nie ma sprawy. – Milczał przez chwilę. – Chyba mnie tu nie będziesz obłapiał z wdzięczności, co?

— Nie, nie będę – odparł z oburzeniem Church. – Chodźmy do góry.



Schody kręciły się tak stromo, że wchodząc po nich dostawali zawrotów głowy i musieli co jakiś czas odpoczywać. Odczuwali jednak dziwną euforię, jakby dopiero teraz zaczęło się ich życie. Ostry, słony zapach w powietrzu, dotyk twardej, zimnej skały, dudnienie ich kroków, migocące światło lampy, wszystko to stało się wyraziste, jakby było zupełnie nowym doświadczeniem. Wspinając się po grubo ciosanych stopniach, Church poczuł, że miecz na jego plecach jest dziwnie ciepły. Gdyby miał czas o tym pomyśleć, mógłby stwierdzić, że oręż przypomina istotę żywą, jakby jakiś nowy przyjaciel położył mu rękę na ramieniu.

Schody zakończyły się nagle kamiennym sufitem, na którym wyrzeźbiono wizerunek smoka przypominającego wielkiego węża. Church przyłożył doń obie dłonie, znów sypnęły błękitne iskry, po czym sufit uniósł się i z głośnym trzaskiem otworzył się kwadratowy luft, w którym ujrzeli rozgwieżdżone niebo. Church wygramolił się na murawę i podał rękę pozostałym w tyle przyjaciołom.

Znajdowali się na wychłostanym wiatrem szczycie wyspy, pośród ruin najstarszej części zamku. Wokół nich widać było wyszczerbione fundamenty i resztki warowni zbudowanej jeszcze w czasach celtyckich.

— Udało się! – powiedział Veitch, szczerząc zęby. Nawet Tom pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

— Jeśli Laura i Ruth zdołały uciec, to zostały nam do znalezienia jeszcze dwa przedmioty – zauważył wesoło Church. – Wiecie co, chyba nam się uda.

— Ale to była jazda, lepsza niż po dragach – kontynuował triumfalnym tonem Veitch. – To jest życie, no nie?

Wysepka, na której znajdowały się ruiny, była w zasadzie wysoką skałą pokrytą karłowatą trawą. Z jej szczytu rozpościerał się widok na wybrzeże i białe grzywy potężnych fal. Trochę dalej, jak latarnia morska, ciemność rozjaśniały światła wsi Tintagel.

— Myślicie, że dostaniemy tam pokój na noc? Nie mam ochoty kimać w rowie – zapytał Veitch, kiedy szli w kierunku wąskiego mostu skalnego, który łączył wysepkę ze stałym lądem.

Zanim Church zdążył odpowiedzieć, wiatr ucichł na chwilę i usłyszeli niepokojące trzepotanie, które zaskoczyło ich wcześniej u wejścia do jaskini. Twarz Toma nagle spoważniała, w chwili triumfu nawet on zapomniał o zagadkowym odgłosie.

— Co to jest, cholera? – zapytał zaniepokojony Veitch. Stali

nieruchomo, nasłuchując uważnie. Trzepotanie wydawało się dochodzić od strony skalnego mostu. Było coraz głośniejsze i brzmiało jak łopot zawieszzonego na wietrze prześcieradła, ale słyszeli również inne, niepokojące hałasy, których nie potrafili opisać.

Church obejrzał się; brzegi skały opadały pionowo ku morzu.

— Nie ma stąd innego wyjścia, prawda?

— Pytałem, co to jest? – znów odezwał się Veitch, tym razem chwytając Toma za rękę. Ten wyrwał się brutalnie. Veitch zaczął miotać się, szukając sobie miejsca na skale.

Church pobiegł tymczasem do ruin kaplicy zamkowej i spojrzał na otwartą przestrzeń poza murami, kilkadziesiąt metrów od miejsca, z którego dochodziło groźne trzepotanie. Pośród ruin zmierzało w ich kierunku kilka ciemnych postaci, a na ich czele jakby dziwny wir powietrzny; Church widział jego poruszenia, ale w ciemności nie mógł zauważyć żadnego kształtu. Dwie postacie zagraadzały ich jedyną drogę ucieczki – kamienne schody prowadzące ku grobli.

— Fomorianie? – zapyta! Tom, który w międzyczasie znalazł się u jego boku.

— Tak myślę. Ale jest jeszcze coś innego, czego nie umiem rozpoznać. I nie można ich wyminąć.

— No to będziemy się bić! – brawura Veitcha nie pasowała do strachu, który widać było w jego oczach. Wyciągnął pistolet i przeładował – choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że na nic się on nie zda – po czym schował broń pod kurtkę i wyjął długi nóż myśliwski, który trzymał w ukrytej pod kurtką pochwie.

— Zaopatrzyłem się w niego, jak byliście na zakupach w Launceston – powiedział.

— Myślałem, że nie masz pieniędzy – zauważył Church.

— Nie mam. – Veitch odwrócił wzrok, po czym wskazał na fragment fundamentów w pobliżu krawędzi klifu. – Tam się będziemy bronić, to nas nie zajdą od tyłu.

Kiedy szli do wybranego miejsca, Church wyjął miecz; Tom natychmiast się od niego odsunął. Churchowi wydało się, że miecz porusza mu się w dłoni, jakby dopasowywał się do ręki. Ciepło, które zauważył już wcześniej, rozlewało się teraz aż do łokcia.

— Ten miecz nie wygląda za dobrze – powiedział Veitch. – Rozleci się, jak nim w cokolwiek walniesz.

— Jest w nim siła, czuję to. Sądzę, że trochę zdołam nim powalczyć.

Wyczuli zbliżanie się Fomorian, zanim dostrzegli w ciemności ich sylwetki; ich nadejście poprzedziło nieprzyjemne uczucie niedziałające na poziomie zmysłów, skurcze żołądka i zaciśnięte gardło. Tom na chwilę dotknął skroni Churcha i Veitcha.

— Teraz nie oszalejcie, jak ich zobaczycie – powiedział cicho.

— Czary? – mruknął Veitch. – Z ciebie to jest prawdziwy Merlin, mówiłem już.

— Zamknij się – uciął Tom.

Trzepotanie stało się znacznie głośniejsze, a z ciemności zaczęły się wyłaniać koszmarne zniekształcone postacie napastników. Uformowali się w linię na szczycie skały i ruszyli naprzód. Wyglądali tak, jakby nic nie mogło ich powstrzymać. Pośrodku zbliżającego się szeregu poruszała się potężna masa ciemnych, wirujących kształtów.

Kiedy dziwne zjawisko zbliżyło się, Church zaczął dostrzegać szczegóły czarnego wiru i zapytał z niedowierzaniem: – Ptaki?

— Wrony – poprawił go Tom.

— Mollecht. – Church przypomniał sobie opowieści Toma.

Wrony wirowały w dzikim tańcu, jednak wydawało się, że nigdy się ze sobą nie zderzają. Niewiarygodnie skomplikowany wzór, w jaki się układały, przypominał w mglistych zarysach człowieka, tylko że ani na chwilę nie można było dostrzec wyraźnie jego postaci.

Veitch wstrzymał oddech, kiedy wrony z niezwykłą szybkością podleciały ku nim przez połąć murawy. Widok był tak przerażający, że nawet nie zwrócili uwagi na Fomorian.

Tom mruzczał coś cicho, być może modlitwy albo ochronne zaklęcia. Veitch rzucał bezradne spojrzenia na trzymany w ręku nóż, który wydał mu się śmieszny i bezużyteczny. Rzucił go na ziemię i zaraz podniósł, żeby dodać sobie otuchy.

Church wziął głęboki oddech i starał się o niczym nie myśleć. Zapominając o strachu, uniósł obiema rękami miecz i trzymał go wysoko. Poruszał nim niewprawnie, ale broń sama wydawała się narzucać odpowiednie zamachy. Wydawało mu się, że kątem oka dostrzega na ostrzu błękitny ogień.

Oreź Churcha zadziałał natychmiast. Wrony nagle zatrzymały się o kilka metrów od niego i zaczęły szerokim łukiem to zbliżać się, to oddalać. W ciemności usłyszeli nagle gardłowe pokrzykiwania i ryki Fomorian. Church zamachnął mieczem wokół siebie, mając nadzieję, że to wystarczy, by ich odstraszyć, lecz napastnicy nie cofnęli się.

Zanim zdążył wymierzyć kolejny cios, wrony zakrakały dziko i zaczęły kręcić się jeszcze szybciej. W chwilę później w środku ich chmary otworzyła się pusta przestrzeń. Church dostrzegł tam coś, co zadało ból jego oczom i sprawiło, że zebrało mu się na wymioty. Potem wyleciał stamtąd jakiś ciemny, półprzeźroczysty pocisk, który eksplodował ponad ich głowami. Siła wybuchu powaliła ich na kolana, a powietrze wypełnił ohydny zapach

siarki. Church poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach, jakby biegały po nich mrówki. Kątem oka dostrzegł, że skórę ma całą we krwi, która wyszła przez pory. Tom coś krzyczał, ale Churchowi wciąż szumiało w uszach od wybuchu. Kiedy spojrział w drugą stronę, na Veitcha, ten też krzyczał. Jego twarz była pokryta krwią.

W tej samej chwili rzucili się na nich Fomorianie. Tom złapał Churcha za koszulę i pociągnął; był to sygnał do odwrotu. Wszyscy trzej pośpiesznie cofnęli się, ale po kilku krokach znaleźli się na pochyłości tuż przy brzegu urwistego klifu. Church zamachnął się kilka razy mieczem, ale Fomorianie nie atakowali, najwyraźniej zadowoleni z tego, że udało im się zgromadzić wszystkich trzech przeciwników w miejscu, z którego nie mieli dokąd uciec. Uderzenia wiatru na plecach i potężny szum przyboju uświadomiły im, że nie mają już ani czasu, ani miejsca na dalsze manewry. Church obejrzał się na chwilę za siebie. Znajdowali się o pół kroku od przepaści; daleko w dole o skały rozbijały się wielkie fale. Nie przetrwaliby skoku z tego miejsca.

Skóra Churcha była śliska od krwi, ale nie myślał o tym, tylko o swojej głupocie, która kazała mu wierzyć w wizję jego własnej śmierci, tak jak ją ujrzał w Strażnicy.

Pierwszy z Fomorian znów ruszył na nich z rykiem i, mimo ochronnych zaklęć Toma, Church nie był w stanie spojrzeć mu w twarz. Zamknął oczy i na ślepo zadał cios. Opór, na jaki natrafiła klinga, przeszył ramiona Churcha bólem, który zmusił go do otworzenia oczu. Z przerażeniem zobaczył, że miecz przeciął kość, którą potwór miał w miejscu ludzkiego obojczyka i zakleszczył się w jego szkielecie. Fomorianin zawył szaleńczo i, umierając, młócił powietrze ramionami. Churchowi zebrało się

na wymioty od smrodu, jakby wydobywał się z wielkiej rany w ciele potwora. Z ogromnym wysiłkiem wyciągnął zakleszczony miecz i zamaszystym ciosem odciął Fomorianinowi głowę.

Nie miał czasu na radość ze zwycięstwa, gdyż reszta Fomorian ryknęła i razem rzuciła się na niego. Kątem oka zobaczył, że Tom rzucił się skulony na ziemię, kurczowo wymachując rękami i nogami. Potem zobaczył u swojego boku Veitcha, który wykrzykując przekleństwa groźnie wymachiwał nożem, który nie wydawał się już tak nieskuteczny wobec napastników.

Fomorianie wpadli na nich jak fala zniekształconych ciał, wyrzucając z siebie ciemną, przerażającą siłę, która przyprawiała broniących się o mdłości. Pokonując paraliżujący go strach i rozpacz, Church uniósł miecz i zamknął oczy. Zdążył jeszcze pomyśleć: To już.

Wtedy nagle coś uniosło go za kołnierz kurtki i pociągnęło do tyłu. Poczuł, jak jego pięty uderzają o trawę, skałę, a potem wiszą w pustce, i zaczął spadać tak szybko, że zapało mu dech. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, uderzył ciężko o fale i zanurzył się głęboko. W chwilę później, czując wodę wlewającą się do ust i nosa, stracił przytomność.



Shavi, Ruth i Laura siedzieli na zimnej, kamiennej ławce w małej wieży, jedynej pozostałości po kościele Świętego Michała Archanioła. Za pozbawionym drzwi otworem, przez który niemilosiernie wiał wiatr, widzieli światła Glastonbury, dodające im otuchy w ciemności tuż przed świtem. Na popękanej kamiennej podłodze przed nimi stała plastikowa butelka z wodą,

którą przynieśli ze studni na Chalice Hill.

— Nie czuję się gotowa – powiedziała Ruth. – Byłoby łatwiej, gdyby Jim nie opowiadał nam tyle o niebezpieczeństwach.

— Tak właśnie robią kościelni – zauważyła Laura. – Zawsze muszą kogoś zmartwić albo przestraszyć.

Ruth wpatrywała się przez dłuższą chwilę w gwiazdy, wspominając podobną noc w Stonehenge, a potem powiedziała cicho, jakby do siebie: – Szkoda, że Churcha tutaj nie ma.

Zdała sobie sprawę, że Laura ją usłyszała, więc dodała: – Nie chodzi mi o to, że bez niego nie dam rady...

Laura nie patrzyła na nią.

— Wiem, o co ci chodzi.

Shavi wstał i wykonał kilka ćwiczeń jogi, aby rozciągnąć obolałe z zimna mięśnie. Wydawało im się, że siedzą w wieży od wielu godzin, choć przyszli do niej przed najwyżej trzema kwadransami.

— I co teraz robimy? Przecież ten facet w koloratce nic konkretnego nam nie powiedział! – ponuro zapytała Laura.

— Bo mamy tu przeprowadzić obrzęd – odrzekł Shavi. – A częścią obrzędu jest to, że trzeba w nim samemu odnaleźć drogę. Dał nam pewne wskazówki – czas rytuału – a reszta pewnie okaże się oczywista.

— Może dla ciebie, ale ty przecież jesteś typem wielkiego szamana. – Laura wstała i oparła się o sklepiony otwór drzwi, patrząc na światła miasta.

Shavi podszedł do niej i wskazał na tarasy na zboczu wzgórza, wycięte w nim przed wiekami, niewyraźnie widoczne dzięki cieniom na tle poświaty księżyca.

— Widzisz te tarasy? Po co tu one? Wyraźnie nie służyły do uprawy roli, nie są też częścią żadnych fortyfikacji. Do ich

budowy potrzebny był jednak ogromny wysiłek, musiały mieć więc jakieś znaczenie dla kultury, która poświęciła tyle pracy i ludzi, by wyciąć je w tym wzgórzu przed setkami lub tysiącami lat.

Ruth dołączyła do nich przy drzwiach, wyciągniętą ręką podążając za zarysami tarasów.

— Wyglądają jak jakieś schody.

— Dokładnie – skinął głową Shavi. – Droga na szczyt, ale nie w prosty sposób, jak by to wynikało z twojego skojarzenia. To był raczej labirynt i to trójwymiarowy. Można nim pokonać drogę wokół wzgórza aż na szczyt.

— Po co tak iść, skoro łatwiej wspiąć się wzdłuż linii prostej? – zapytała Laura.

— Labirynt jest wzorem często spotykanym na całym świecie, wycinano go na dolmenach, monetach lub w torfowiskach. Ma on różne znaczenia, jak wszystko, z czym ostatnio mieliśmy do czynienia, ale kluczem do niego jest podróż do krainy zmarłych i z powrotem. Narodziny, śmierć i ponowne narodziny.

— Nie podoba mi się ta środkowa część – mruknęła Ruth.

— A co się stanie, jak dojdziemy do końca? – spytała Laura, próbując się ogrzać energicznym tupaniem.

Shavi wzruszył ramionami.

— A woda?

— Posłuży jako ofiara w miejscu, do którego dojdziemy.

— Ty to nazywasz obrzędem, ale dla mnie to brzmi jak jakieś czary – zauważyła Ruth.

— Może. – Shavi otoczył obie kobiety ramionami. Nie zgodziłyby się, gdyby zrobił to jakikolwiek inny mężczyzna, ale w wykonaniu Shawiego był to jedynie wyraz opiekuńczości i przyjaźni. – Myślmy o czarach jak o czymś z bajek dla dzieci, ale

być może jest to po prostu inna nazwa na ożywienie siły ziemi, którą przecież widziałyście. Może jest to jakaś nowa wiedza, której nie umiemy opisać i zrozumieć za pomocą znanych sobie pojęć. Magia i czary to tylko słowa.

— Czasem mówisz jak jakiś stary hipis – ucięła Laura z jadowitością, którą odczuli i Shavi, i Ruth.



Rozmawiali dalej o wzgórzu i odkrytych przedtem tajemnicach, ale żadne z nich nie mówiło o tym, co naprawdę leżało im na sercu: poczuciu, że za chwilę spotka ich coś niezwykłego, punkt zwrotny, który w końcu wyjawি im prawdę o wydarzeniach, jakie zmieniały teraz świat, o zapomnianej przeszłości, nieodgadnionej przyszłości, a przede wszystkim o nich samych.

W miarę jak zbliżał się wschód słońca, coraz wyraźniej wyczuwali w powietrzu elektryczne napięcie, które udzielało się ich duszom. Z trudem panując nad ekscytacją, siedzieli pod ścianą wieży i wpatrywali się we wschodnie niebo. Urok tej chwili sprawił, że ucichły rozmowy, a oni stopili się w jedno z blaskiem gwiazd i szumem wiatru w drzewach u stóp wzgórza. Przez chwilę wydawało im się, że czują obrót osi nieba, podobnie jak przed tysiącami latami czuli go ich przodkowie.

Tę ciszę przerwał niespodziewanie dziwny hałas, jakby trzech uderzających o ziemię ciężkich, mokrych przedmiotów. Z niepokojem obiegli wieżę, szukając źródła niezrozumiałego dźwięku.

Kiedy dotarli do zachodniej ściany wieży, zobaczyli coś tak

dziwnego, że aż zapało im dech w piersiach. Na zboczu wzgórza leżało trzech ludzi, poruszając się tak, jakby pływali w wodzie. Wszyscy byli przemoczeni i ociekali wodą morską.

— Aha – odezwała się sarkastycznym tonem Laura. – Wrócił ten stary palant.

ROZDZIAŁ 15

ÐZIEŃ CICHY JAK NIEBO

Ruth pierwsza dotarła do Churcha.
— Jesteśmy przy najwyższym punkcie w okolicy, a oni się topią – powiedziała pełnym niedowierzania głosem. Nie namyślając się długo, usiadła na Churchu okrakiem i zaczęła uciskać mu pierś, by wycisnąć z płuc wodę.

Pozostali dotarli do tonących trochę później – Laura zaczęła robić sztuczne oddychanie Veitchowi, a Shavi Tomowi – ale na szczęście wszyscy trzej topielcy wkrótce zostali odratowani i siedzieli teraz, krztusząc się i wykręcając wodę z przemoczonych ubrań.

Zaskoczenie i zdziwienie szybko ustąpiło miejsca szalonej radości. Ruth objęła Churcha i przytuliła go mocno.

— Boże, jak to dobrze, że żyjesz!

Choć wciąż nie dotarło do niego, gdzie jest, odczuł ulgę, widząc przy sobie Ruth. Pocałował ją czule w policzek, po czym spojrzał na Laurę, która stała kilka kroków dalej, nie wiedząc, co uczynić.

— Wiedziałałam, że jesteś za głupi, żeby dać się zabić – powiedziała. Uśmiechnął się, bo dobrze wiedział, co naprawdę chciała powiedzieć.

— Ja też za tobą tęskniłem.



Po tym powitaniu zaczęli szybko i nieskładnie opowiadać sobie o swoich przygodach, starając się zrozumieć, co się stało. Church opisał starcie w Tintagel i skok do morza, spoglądając co jakiś czas na światła Glastonbury. Potem spojrzał Tomowi w oczy.

— Czy ty coś z tego rozumiesz?

Szara, stężała twarz Toma mówiła im, że przeszedł ciężką próbę.

— Przeniosłem nas po liniach siły ziemi – powiedział i westchnął głęboko.

— Przeniosłeś nas tutaj? – z niedowierzaniem zapytał Church.

— Teoretycznie zawsze można to zrobić. Trzeba tylko odpowiednio ukształtować błękitną energię, wymuszając połączenie pomiędzy dwoma punktami. Uczono mnie rytualnych ruchów, odpowiednich dźwięków, które trzeba z siebie wydawać...

— Czary! – przerwał mu Shavi, którego twarz rozjaśniała ekscytacja.

— ale nigdy coś takiego mi się nie udało. Dopiero w desperacji udało mi się odpowiednio skoncentrować.

— Kto cię tego uczył? – zapytał Church. – Musisz nam wyjaśnić...

— Nie ma na to czasu – uciął Shavi. Opowiedział przybyszom o mającym się odbyć obrzędzie i o tym, czego dowiedział się z Ruth i Laurą poprzedniego dnia.

— To kiedy, cholera, mamy odpocząć? – zapytał Veitch i zwałił się na trawę.

— Odpoczniemy później.

Church podniósł z ziemi miecz i naciął sobie kurtkę, tak że mógł go włożyć pomiędzy materiał i podszewkę. Głownia wystawała tuż pod ramieniem, gdzie łatwo było za nią chwycić.

— Mamy już dwa – powiedział – i jeszcze dwa zostały.



Ściśnięci pod wieżą w miejscu osłoniętym od wiatru, opowiadali sobie, co przeżyli i czego się dowiedzieli w ciągu ostatnich dni, ale radość z niespodziewanego spotkania szybko bladła w obliczu kolejnej próby. Dwadzieścia minut później, w pełnej niepokoju ciszy, ujrzeni ponad horyzontem pierwsze promienie słońca. Shavi wstał i poprowadził ich ku Żyjącemu Kamieniowi. Był to głaz, który oznaczał wejście do labiryntu na stokach wzgórza. Podczas gdy pozostali czekali z tyłu, pochylił głowę i milcząco medytował. Kiedy pełznące po murawie światło słońca dotarło do Żyjącego Kamienia, zabłysnął on błękitnym ogniem. Stojący z tyłu powstrzymali pełne zachwytu westchnienie, natomiast Shavi położył na głazie dłoń, potrzywał ją tam chwilę, po czym ruszył wzdłuż pierwszego z tarasów. Pozostali w milczeniu pospieszyli za nim.

Marsz był łatwy. Szli wzdłuż serpentyny tarasów owijających się wokół wzgórza, powoli wspinając się na coraz wyższe poziomy, podczas gdy niebo rozświetlało się różnymi kolorami, od ciemnej purpury, poprzez złoto, po jasny błękit. Nikt się nie odzywał, a jedyny słyszalny dźwięk, szum drzew u stóp wzgórza, nadawał scenie dramatycznego charakteru. Siła zgromadzona pod ziemią w tym miejscu sprawiła, że Church, Tom i Veitch

szybko pokonali zmęczenie. Musieli pokonać jeszcze paraliżujący ich strach.

Niemal dwie godziny zabrało przejście wijącej się ścieżki. Po ostatnim zakręcie trudno ją było dostrzec. Wędrowali wzdłuż wąskiego grzbietu wzgórza, po obu stronach mając niebezpiecznie strome zbocza. Veitch otworzył usta, żeby ostrzec wszystkich przed niebezpiecznym przejściem, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Church uciszył go niecierpliwym gestem. W miejscu, do którego dotarli, spod trawy wyłaniał się kolejny wielki głaz.

Czekali cierpliwie, podczas gdy Shavi wyjął butelkę wody z Chalice Well i, po chwili medytacji, dokonał symbolicznej ofiary, wylewając ją na kamień. Z głębi wzgórza wydobył się dziwny dźwięk, jakby ktoś śpiewał wysokim głosem na tle basowego dudnienia. Na powierzchni kamienia pojawiły się cienkie nitki błękitnego ognia, które rozeszły się po innych wystających spod trawy kawałkach ściany. Ogień syczał i pulsował, a jednocześnie dochodzący spod ziemi dźwięk przybierał na sile. Nagle głaz zadudnił i odsunął się, odsłaniając wejście do ciemnego tunelu prowadzącego w głąb ziemi.



Nic nie zapamiętali z wędrówki w ciemności. Dopiero po pewnym czasie znaleźli się w miejscu, którego widok zaparł im dech. Nie była to jakaś zatęchła podziemna komora, tylko wielka jasna przestrzeń pełna pól i gęstych lasów owiewanych delikatnym, letnim wiatrem. W pobliżu słychać było szum strumienia. W powietrzu unosił się nieznany im, słodki zapach,

który sprawiał, że każdy oddech poprawiał samopoczucie jak dobry posiłek. Ruth zauważyła swoją sowę szybującą wysoko nad nimi. Zastanawiała się, jak ptakowi udało się tutaj dostać.

— Gdzie my jesteśmy? – zapytał osłupiały Veitch. – Przecież zesliśmy pod ziemię, a nad nami jest niebo!

Tom ukląkł i uroczyście pocałował murawę.

— Tír na nÓg – powiedział cicho.

Ruth rozglądała się, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

— Chyba nie jesteśmy już w Somerset, tylko, jak Alicja, zesliśmy do Krainy Czarów.

— To jest Kraina Młodości albo wiecznego lata. – Church pamiętał to z lektur czytanych na studiach. – Celtycki odpowiednik chrześcijańskiego nieba. Zaświaty, do których udali się bogowie, kiedy opuścili ziemię i przekazali ją ludziom.

— To tylko jeden sposób patrzenia na to miejsce – Tom podniósł się i wyprostował kości. Pobyt w podziemnej krainie jakby odjął mu lat. – Jak wszędzie, mamy tutaj do czynienia z dwoistością. To jest również Kraina Wiecznej Zimy albo piekło. Ma ona wiele nazw, w zależności od tego, kto i jak do niej dotarł.

— Nie rozumiem – Veitch patrzył od jednego do drugiego.

— To miejsce nie jest stałe – wyjaśnił Tom – podobnie jak wszystko, co stąd pochodzi. Każde z nas widzi tutaj co innego, zależnie od indywidualnej percepcji. To, co mamy w swoim wnętrzu, jest tutaj widoczne na zewnątrz.

— Słuchajcie głosu Buddy – westchnęła Laura.

Jednak teraz, kiedy im o tym powiedział, wszyscy zaczęli dostrzegać, że źdźbła trawy, gałęzie drzew, nawet horyzont, wydają się rozmyte, jakby zaraz miały zmienić kształt. Wszystko promieniowało delikatnym, wewnętrznym światłem, tworząc nierealną atmosferę.

— Ale przecież powinniśmy być pod ziemią! – zaprotestował Veitch.

— Słuchaj, gościu, może byś tak zaczął trochę szybciej myśleć, co? – odezwała się Laura, kopiąc z irytacją w murawę. – Przeszliśmy na drugą stronę. Jesteśmy w krainie czarów.

Veitch odpowiedział pełnym rozdrażnienia spojrzeniem spode łba.

— Zobaczcie! – zawołał Shavi. – To cudowne. Wszystko jest tak pełne życia! – Obrócił się wokół siebie, omiatając wzrokiem krajobraz ze wszystkich stron. – Nawet to powietrze i dźwięki...

— Nie daj się zwieść – przerwał mu Tom. – Tutaj też jest niebezpiecznie.

— Wygląda raczej na to, że nikogo tu nie ma – odparła Ruth.

— Plemię Danann zaginęło. A wszyscy inni są już w naszym świecie – powiedział Church.

Światło Latarni Drogi skierowało ich teraz przez łagodny, pokryty łąką stok, ku leżącemu za strumieniem lasowi. Kiedy szli, Church zagadnął Toma: — To tutaj przebywałeś przez te wszystkie lata. I jak, miło teraz powrócić?

— Nie rozumiesz – odpowiedział tamten, nie patrząc na Churcha. – Tęskniłem za tym miejscem jak morderca, który spędził całe życie samotnie w celi więziennej. Potrafimy kochać i nienawidzić to, z czym się zżyliśmy.

— Byłeś tutaj więźniem?

— Więźniem, zabawką, czymś, co bogowie mogli torturować, wywracać na drugą stronę i przekształcać dla rozrywki.

Church spojrział na niego z ukosa.

— Mam nadzieję, że to metafory.

— Mówiłem ci już – oni są obcy, niepoznawalni. Ani trochę nie rozumiemy sił, nad którymi panują. Kiedy ich widzimy,

wyglądają jak ludzie, ale nie daj się zwieść. Są ponad ludzkimi emocjami – miłością, nienawiścią...

— Okrucieństwem? – Tom zamilkł na chwilę. – Nie, to akurat znają.

Ich rozmowę przerwał okrzyk Veitcha, który wysunął się naprzód i prowadził ich po łące ścieżką okrążającą gęsty las. Podbiegli do niego i zobaczyli, co go tak zaskoczyło: dziwny, okrągły gmach z kamienia i drewna z wieżą w środku. Latarnia zachęcająco mrugała w jego kierunku. Tom wyjaśnił: — Gdyby ta kraina nie była opuszczona, nie moglibyśmy nawet podejść do tego miejsca. Nawet Danann oddawali mu cześć. I temu, co znajduje się w środku.

— Wiem, to ten cholerny Graal! – zawołał Veitch z entuzjazmem. Powoli podeszli pod mury budowli i znaleźli się w rzucanym przez nią cieniu. Wyczuwali w powietrzu dziwny nastrój, który napełniał ich jednocześnie zachwytem i strachem. Church wskazał na pięćdziesiąt drzwi w murze; nie musiał nawet tłumaczyć, co oznacza ich liczba. Shavi i Ruth chcieli od razu wchodzić, natomiast Church, Veitch i Laura, po doświadczeniach z poprzednimi insygniami, byli bardziej ostrożni.

Tom wyszedł z cienia i usiadł na jednym z pokrytych murawą stoków wokół budowli.

— Nie idziesz? – zapytał Church.

— Ja nie przeżyłbym spotkania ze zgromadzoną tam mocą. To nie dla mnie. To wy macie tego dokonać, wszystko tutaj jest dla was.

Coś w jego słowach sprawiło, że Church poczuł się nieswojo, jednak powrócił do pozostałych, przygotowując się na kolejną próbę. Po dłuższej chwili, kiedy wszyscy dodali sobie otuchy i pewności siebie, każde stanęło naprzeciw jednych z drzwi i na

trzy, cztery wszyscy weszli do środka.



Korytarz był długi; panowała w nim ciemność i straszliwy upał. Shavi po omacku posuwał się naprzód, przesuając czubkami palców po szorstkim kamieniu ścian. Echo kroków niosło się dziwnie daleko, jakby budowla była w środku znacznie większa niż na zewnątrz, zresztą po kilku minutach zorientował się, że tak jest w istocie, gdyż w tym czasie zdążyłby ją kilka razy obejść. Białe światło dochodzące od drzwi znikło już dawno i Shaviemu wydawało się, że idzie zawieszony w gęstej ciemności. Szedł teraz wolniej, sprawdzając za każdym krokiem, czy nie otwiera się przed nim jakiś otwór w podłodze.

Po chwili wydało mu się, że dalej w korytarzu widzi słabe światło, jakby świecy. Ku swojemu zaskoczeniu znalazł się nagle w komnacie, która przypominała gabinet luster w wesołym miasteczku. Ściany w licznych rozgałęzieniach korytarza pokrywał nieprzerwany szereg zwierciadeł. Po marszu w ciemności Shavi był zaniepokojony tym, co tu zobaczył. Przystanął na chwilę i zamknął oczy, by się uspokoić.

Nie umiał określić, skąd dochodzi słabe światło, które odbijało się w niezliczonych lustrach. Dzięki niemu mężczyźnie było jednak łatwiej się poruszać. Na chybił trafił wybrał jeden z korytarzy.

Przez długi czas, wydawało się, że przez godzinę wędrował pośród luster, patrząc na swoje odbicia, z których część była groteskowo zniekształcona. Shaviemu przyszło do głowy, że pełne zwierciadeł korytarze stanowiły po prostu pułapkę, której

celem było doprowadzenie nieproszonych gości do szaleństwa. Nie wiedział, czy chodzi w kółko, czy posuwa się naprzód; korytarzy w żaden sposób nie można było odróżnić od siebie.

Za jednym z zakrętów natrafił jednak na zwierciadło niepodobne do innych. Wyższe, miało ukośnie przycięty brzeg, a pokryta celtyckimi wzorami rama wyglądała na zrobioną ze srebra. Shavi poczuł jakąś ciemną siłę, która przyciągała go do lustra. Kiedy stanął przed nim, zorientował się, że jest ono niezwykle nie tylko przez swój kształt. Odbicie w zwierciadle wydawało się na pierwszy rzut oka normalne, ale im dłużej patrzył na nie, tym wyraźniej zauważał subtelne różnice, jakby zmiany nastroju. W rysach jego sobowtóra było coś mrocznego, wokół ust czaił się ukryty grymas okrucieństwa, oczy przepełniała rozpacz po jakiejś stracie, a cała twarz wyrażała pogardę.

Shavi patrzył przez chwilę na swoje odbicie, aż nagle się odezwało: — Dlaczego to sobie robisz, Shavi? Szukasz sensu życia w tych dziwnych miejscach. Fascynujesz się religiami, które nie mają z tobą nic wspólnego. Sens jest tutaj, w twojej rodzinie i wychowaniu, jakie otrzymałeś. To cię zniszczy, Shavi.

Było to głos ojca. Shaviego przeszył zimny dreszcz. Przypomniał sobie dalszy ciąg tej rozmowy, gniew i okropne rzeczy, jakie wtedy powiedział.

Usta stojącego w lustrze sobowtóra wykrzywiły się kpiąco: — Jesteś samolubny, Shavi. – Tym razem był to jego własny głos, tylko że twardy i pełen pogardy. – Zniszczyłeś swoją rodzinę. Pomyśl o ojcu i matce – tyle wysiłku włożyli w to, żeby wychować cię na porządnego muzułmanina. Pomyśl, jak się poczuli, kiedy zacząłeś łamać wszystkie zasady, na których opierało się ich życie. Uważają się teraz za przegranych ludzi, bo nie udało im się

to, co było dla nich najważniejsze. Zniszczyłeś ich, Shavi.

— Nie...

Obraz w zwierciadle przemówił głośniejsz, przerywając mu: — Kłamiesz. Chciałeś tylko samolubnie rozwijać swoją własną duszę, zaspokajać ciekawość. Nie przejmowałeś się, ilu ludzi zranisz, podążając swoją drogą do wiedzy. Chciałeś sobie sam zbudować pałac mądrości. Ale żyć można tylko z innymi ludźmi, Shavi. Życie to wspólnota. Życie polega na pomaganiu innym w ich wędrówce...

— Teraz pomagam innym.

— Tylko dlatego, że przypadkiem zmierzają w tym samym kierunku, co ty. Bawisz się świetnie w blasku, jaki rzucają nowe doświadczenia, ale nie chcesz dostrzec prawdziwego mroku wokół nich.

— To prawda.

Shavi, pokonawszy początkowy wstrząs, czuł się teraz pewniej. Zdał sobie sprawę, że przechodzi próbę, i łatwiej było mu zachować dystans. W lustrze widział swoje własne obawy i wątpliwości, życiowe rozterki. Wiedział jednak, że nie zobaczy w nim nic, czego by wcześniej sam nie przemyślał i z czym się nie pogodził.

Zwierciadło nagle zasnuło się bielą, a potem ujrzał w nim pogrążoną w ciemności londyńską ulicę w Clapham. Kilka metrów dalej ktoś znęcał się nad Lee, który zaraz miał zostać zatłuczony na śmierć. Po każdym ciosie na ulicę bryzgała fontanna krwi. Postać napastnika była w lustrze niewyraźna i zamglona, natomiast świetnie widoczny był wyraz twarzy Lee, który patrzył na Shaviego, prosząc o pomoc, wykrzywiając usta z rozpacz i strachu przed śmiercią.

— Mogłeś go wtedy uratować, Shavi. Miałeś dość siły, żeby

walczyć, ale bałeś się o siebie. Omdlenie po otrzymanym ciosie to tylko wymówka. Zbyt łatwo się poddałeś i nie chciałeś sam ryzykować. A Lee zginął przez twoje tchórzostwo.

Shavi poczuł wzbierającą w nim falę niekontrolowanych uczuć; oczy wypełniły się łzami i zaczęły piec, jakby ktoś wbijał w nie igły. Ogarnęło go poczucie ogromnej straty i winy, które doprowadzało go na skraj załamania nerwowego.



— Jesteś suką, Laura, i zasługujesz na takie życie, jakie masz – jadowicie odezwało się jej własne odbicie w lustrze. – Nie ma się co okłamywać, zabiłaś własną matkę! Jesteś tak popieprzona, że nie wiadomo, jak nazwać twoją chorobę. Jak myślisz, jak czuje się z tym twój ojciec? Pewnie nie spodziewał się, że będziesz, jaka jesteś, kiedy trzymał cię do chrztu w tej białej sukieneczce, jak aniołka. Pewnie myślał, że zostaniesz weterynarzem albo pielęgniarką. Wiesz, kimś użytecznym. Cholera, może nawet posłuszną córką – ludzie mają takie fantazje. Nie ma się co dziwić, że wybrał życie za kratami, zamiast przytulać takiego obrzydliwego psychola jak ty.

— Teraz pewnie będziesz szukać zbawienia razem ze smutnym i wrażliwym panem Churchillem, co? Przemyśl to sobie. Tylko mu zapaskudzisz życie, tak jak wszystkim innym ludziom, których znałaś. Przecież ty nie umiesz nikogo kochać. Wysysasz tylko z tego faceta wszystkie uczucia, jak wampirzyca. Nie ma się co okłamywać. W życiu nie uda ci się zrobić nic wartego uwagi. Postaraj się przynajmniej nie nabruździć innym.



Veitch poczuł nagle swój palec na spuście, broń kopnęła przy wystrzale, pocisk zrobił dziurę w ciele nieznajomego mężczyzny i wyleciał z drugiej strony razem z fontanną krwi i odłamków kości. Twarz umierającego wykrzywiła się okropnie, a Veitch, patrząc na to, poczuł ukłucie perwersyjnej przyjemności, jak orgazm w ostrym porno, ekstatyczne poczucie najwyższej władzy, którą można sprawować samym wysiłkiem myśli. Nikt nie mógł zmienić tego, co robił. Miał pełną kontrolę.

— Fajnie ci było, co, Ryan?

— Nie! Muszę o tym pamiętać, dzień po dniu, przez resztę życia!

— Bo ci się to podoba.

— Nie...

— Tak. W skrytości ducha. Kiedy nikogo przy tobie nie ma, kiedy leżysz sam w łóżku, kiedy twoi bracia siedzą za ciebie w więzieniu. Myślisz sobie wtedy: Tak! To właśnie tak czuje się facet, kiedy jest na szczycie!

— Ty pieprzony sukinsynu! Zapłacę za to, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Tak będzie. Nawet jeśli będę musiał umrzeć, to zapłacę za to. Nauczyłem się bardzo ważnej rzeczy...

— Niczego się nie nauczyłeś. Gdybyś mógł, to bez wahania zabiłbyś jeszcze raz.

— Zamknij się! Może i wyglądasz jak ja, ale mnie nie znasz. Nigdy w życiu nie zrobiłem nic dobrego i mam tego dość! Chcę choć raz być tym dobrym facetem! Chcę, żeby ludzie na mnie patrzyli tak jak patrzą na Churcha...

— Ta, znów chcesz się dobrze poczuć, co? Nie chcesz wcale być dobry dla innych, tylko dla siebie.

— Pierdol się!



— Kochałam ojca! – zatkąła Ruth. Po policzkach spływały jej łzy.

— Nienawidziłaś go. Dominował nad tobą od dzieciństwa. Zmusił cię do wyboru zawodu, którego nie chciałaś.

— Nie zmusił mnie! Uczyniłam tak, żeby go uszczęśliwić. Ale to nie był zawód dla mnie. To nie jego wina. On nie wiedział...

— Co? Nie znał własnej córki? Pewnie, przecież był po prostu prostym człowiekiem, który pragnął odrobiny prestiżu dla swojej rodziny. Córka prawniczka! Miał co opowiadać znajomym na spotkaniach związkowych, nie? Jego córka ciężko pracowała na awans społeczny, choć pochodziła z biednej rodziny. Zupełnie go nie obchodziło, czy naprawdę tego pragnęłaś.

— To nieprawda! Tata tak nie myślał!

Ruth, zanosząc się szlochem, nie usłyszała odpowiedzi lustra. Nie czuła się tak zraniona od czasu śmierci ojca, kiedy na chwilę pomyślała, że czas się zatrzymał i cały świat zaraz się skończy. Niesamowite otoczenie i słowa odbicia w lustrze zdołały wywołać teraz przypływ dokładnie tych samych uczuć.

— Wiedział, że nie jesteś szczęśliwa w pracy. Właśnie to go zabiło.

— To nieprawda! To wstrząs po morderstwie wujka Jima!

Zwierciadło zamgliło się, po czym Ruth ujrzała w nim wnętrze banku. Wysoki, siwiejący mężczyzna o miłej twarzy patrzył na

nią z wyraźnym niepokojem. Był bardzo podobny do jej ojca.

— To wujek Jim! – powiedziała z niedowierzaniem Ruth. Nagle zrozumiała, co się zaraz stanie. – O Boże, nie...

Aż podskoczyła, gdy rozległ się huk wystrzału. Pocisk rzucił jej wuja na ladę, o którą opierał się teraz, ściskając dłońmi brzuch. Na swetrze zaczęła się mu rozlewać plama krwi.

— Wujku!

Ktoś podbiegł do zastrzelonego mężczyzny, machając pistoletem i klnąc, jakby wuj Ruth sam sprowokował morderstwo. Ruth jak skamieniała wpatrywała się w tę scenę. Morderca miał na twarzy maskę, ale rozpoznała jego muskularne ciało i sięgające ramion włosy. Przede wszystkim jednak poznała dobrze widoczny tatuaż wystający mu spod rękawa.

— To ten facet, który pojawił się z Churchem – powiedziała do siebie, choć nie mogła w to uwierzyć. – To Veitch.



Church beznamiętnie patrzył na lustro, za którym Marianna leżała na podłodze, tak blada, że wyglądała jak marmurowy posąg.

— Marnujesz czas – powiedział lodowatym tonem. – Musiałem z tym wspomnieniem żyć tak długo, że jestem na nie uodporniony. Kiedyś jeszcze myślałem, że jestem winny... kiedyś myślałem, że byłem tak okrutny i zapatrzony w siebie, że nie zauważyłem, jak ona się męczy... wtedy można mnie było tym zranić. Ale teraz wiem, że została zamordowana.

— Ale ty i tak jesteś za to odpowiedzialny – odpowiedział głos

zza lustra, podczas gdy scena za szkłem znikwała i zastąpiło ją dziwnie zmienione odbicie Churcha. Początkowo wydawało mu się, że sobowtór jest identyczny, był tak podobny do człowieka, którego oglądał w lustrze w czasie ostatnich dwu lat. Teraz jednak nie był tego taki pewien. Czuł, że ten w zwierciadle to kto inny. Ku swojemu zaskoczeniu, czuł się silniejszy i pogodniejszy od swojego odbicia.

— Jak to możliwe? Kto inny ją zabił i, jeśli mi się poszczęści, wkrótce dowiem się, kto. Obiecałem to sobie i tylko to trzyma mnie teraz przy życiu. Ja niedługo umrę, wiesz? Widziałem swoją własną śmierć. Mało co jest teraz dla mnie ważne, ale muszę dowiedzieć się, co stało się z Marianną i odnaleźć jakiś spokój ducha, zanim wszystko się dla mnie skończy. Mógłbyś powiedzieć, że to fatalizm, ale co ma się stać i tak się stanie – muszę więc jak najlepiej wykorzystać pozostały mi czas. To wielka lekcja, której niedawno się nauczyłem. Najbardziej liczy się jakość życia w czasie, który nam pozostał.

Odbicie próbowało mu przerwać, ale Church nie pozwolił na to: — Zamknij się. Mam jeszcze coś do powiedzenia, bo nie chcę tego dłużej w sobie zatrzymywać. Kiedy dowiem się, kto zabił Mariannę, jeśli uda mi się to, zanim sam umrę, zabiorę tego sukinsyna ze sobą. Obiecuję.

Sobowtór z lustra zamierzał już coś powiedzieć, ale Church miał dość rozmowy. Odwrócił się i już zamierzał ruszyć zwierciadlanymi korytarzami, by kontynuować poszukiwania kolejnego talizmanu, kiedy nagle magiczne lustro pękło i rozpadło się na niezliczone kawałki szkła. W niewytłumaczalny sposób ostre odłamki nawet nie dotknęły Churcha, który obejrzał się i, w miejscu gdzie była tafla zwierciadła, dostrzegł kolejny tunel, tym razem oświetlony migotliwym światłem siły ziemi.

Church znalazł się w okrągłej, przykrytej kopułą komnacie, zalanej szafirowym światłem czterech magicznych lamp. Miejsce to przepełniał spokój, który wygasił w Churchu wszystkie negatywne uczucia. W środku komnaty na marmurowym podeście stał jakiś przedmiot, którego kształtu nie zdołał dokładnie dostrzec. Powietrze wydawało się świecić i migotać wokół wciąż zmieniającego się obrazu. Oczom Churcha ukazała się odrealniona gra światła i cieni, raz przypominająca kształtem okopcony ogień kocioł, kiedy indziej kryształową czarę, a w innej chwili złoty, zdobiony klejnotami kielich. Kiedy zbliżył się, dziwny przedmiot jakby znieruchomiał, migotanie w powietrzu uspokoiło się, i Church zobaczył tylko wyszczerbioną miskę ze starego drewna, na którą większość ludzi nie zwróciłaby nigdy uwagi.

Z nabożną czcią stał przed naczyniem, które jako symbol pojawiło się w tak licznych mitach i legendach. Marzyły o nim i poszukiwały go niezliczone pokolenia.

Trudno mu było zachować spokój. Obawiając się dotknąć tajemniczego przedmiotu, oparł się dłońmi o marmurowy podest. Nagle drewniana misa sama przesunęła się ku jego rękom i zatrzymała na palcach, jakby oddawała się w posiadanie. Pokonując strach, Church chwycił ją i w tej samej chwili usłyszał odległy dźwięk pękającego szkła. W ciągu kilku minut czworo jego przyjaciół dotarło do komnaty. Church z przerażeniem spojrzał na ich twarze; wszyscy wyglądali tak, jakby byli czymś zdruzgotani.

Twarcz Shaviego rozjaśniła się, kiedy zobaczył, co trzyma w rękach Church.

— Święty Graal! – zawołał głosem pełnym czci i zachwytu.

— I magiczny kocioł, bo to jedna i ta sama rzecz. On...

Przerwało im nagłe zamieszanie. Ruth, ogarnięta furia, rzuciła się na Veitcha, gdy tylko go zobaczyła, i uderzyła go pięścią w twarz. Ten zachwiał się, padł na plecy i bezskutecznie starał osłonić przed gradem ciosów. Całą twarz zalewała mu krew.

— Ty łajdaku! – krzyknęła. – Zabiłeś go!

Shavi z Laurą z trudem zdołali ją odciągnąć. Ruth, której twarz wykrzywił gniew, miotła się, klęła i pluła. Veitch podniósł się i usiadł, macając zakrwawiony nos.

— Ty głupia suko! – wysyczał, ale Church widział, że mimo gniewu nie zamierza jej zaatakować.

Laura patrzyła na Ruth z niedowierzaniem.

— Może weź coś na uspokojenie. Co z tobą? W końcu coś w tobie pękło?

— On zabił mojego ojca.

Ruth odtrąciła Laurę i Shavię, zachowując lodowaty spokój, za jakim wypowiedziała te słowa. Wraz ze spokojem powrócił okropny ból i poczucie rozpaczliwej pustki, które ogarnęło ją po śmierci ojca. Nienawidziła Veitcha nie tylko za jego zbrodnię, ale również za to, jak się przez niego teraz czuła.

— On ci zabił tatę? – zapytała Laura, spoglądając to na Veitcha, to na Ruth. Oboje jakby jej nie usłyszeli.

— Był głupim małym chłopcem i chciał szybko zdobyć masę pieniędzy, więc napadł na bank. – W głosie Ruth brzmiała zimna pogarda. – Był tam wtedy mój wuj i ten sukinsyn go zastrzelił, a potem uciekł. Ta wiadomość zabiła mojego ojca.

Spojrzeni na Veitcha, oczekując zaprzeczeń, ale ten tylko odwrócił wzrok.

— Przecież to był tylko starszy pan! – krzyknęła. – Nic ci nie mógł zrobić! Jechali z ciocią do Brighton, świętować srebrne gody. Mieliśmy się bawić... – Ruth przerwała na chwilę, tłumiąc

szloch. – Tego dnia zniszczyłeś naszą rodzinę.

Veitch zagryzł wargi i nic nie odpowiedział.

Ruth patrzyła na niego piorunującym wzrokiem, ale jej oczy szybko wypełniały się łzami. Odwróciła się, a Church szybko podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Przez chwilę opierała się, potem przytuliła do niego, choć jej ciało wciąż było sztywne i zimne, jakby zrobione z lodu.

— Nie chciałem tego zrobić – tłumaczył się Veitch. – Wiem, cholera, że to żadne usprawiedliwienie, ale... ja się po prostu bałem. W ogóle nie powinienem był tam leżeć. Tam w banku nagle odwróciłem się i myślałem, że ten gościu chce się na mnie rzucić... – Veitch wpatrywał się tępo w podłogę. – Jeśli to cokolwiek dla was znaczy, to od tamtego czasu cały czas mnie to dręczy.

— Dla mnie to nic nie znaczy – lodowatym tonem odparła Ruth. Pozostali nie wiedzieli, co uczynić wobec tak gwałtownych uczuć.

W końcu odezwał się Church: — Wiem, jak się czujesz. Bardzo dobrze wiem. Dlatego nie będę cię prosił, żebyś mu przebaczyła. Ale stawka w tej grze jest tak wysoka, że życie każdego z nas nie ma teraz znaczenia. Jeśli odejdziesz...

— Nie rozdzielimy się – Ruth wyswobodziła się z ramion Churcha i spojrzała mu w oczy. – Nie jestem głupia. Wiem, o co walczymy i jaka spoczywa na mnie odpowiedzialność. Zostanę z wami do końca. – Spojrzała twardo na Veitcha, a Church dostrzegł, jak trudno było mu znieść to spojrzenie. – Ale ten łajdak nigdy nie będzie moim przyjacielem. Nie chcę mieć z nim nic do czynienia. A jeśli wyjdziemy z tego żywi, to dopilnuję, żeby trafił za kratki za to, co uczynił.

Kiedy wyszli ze Świątyni Luster, była już letnia, gwiazdzista

noc. Czubki drzew poruszały się w powiewach delikatnego, balsamicznego wiatru. Church, trzymając w rękach Graala, chwiejnym krokiem dotarł do pokrytej murawą pochyłości i usiadł przy Tomie, by pokazać mu swoje trofeum. Tom zerwał się i Church z osłupieniem zauważył na jego twarzy wyraz wielkiego szacunku.

Kiedy szli przez łąki do wyjścia, Shavi i Laura cicho rozmawiali z Ruth, podczas gdy Veitch, opuszczony przez wszystkich, ciągnął się daleko z tyłu.

Tom dogonił idącego na czele Churcha i złapał go za ramię.

— Boję się, że stracimy chłopaka.

— Porozmawiam z nim – zmęczonym głosem odparł Church. Próba, jakiej doświadczył w świątyni, wyczerpała go. – Nie chcę, żeby tę grupę rozerwały wewnętrzne konflikty. Jeśli nie będziemy mogli liczyć na siebie nawzajem...

— Nie rozpraszać się – przerwał mu Tom. – Jak dotąd, udało się wam bardzo wiele osiągnąć. Znacznie więcej, niż oczekiwałem, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy.

— Czy to mają być słowa uznania?

— Można to tak określić. Ale więcej ich nie usłyszysz, przynajmniej nie do razu.

Church zastanawiał się, czy w głosie Toma nie było słyhać odrobiny radości. Ukradkiem spojrział na niego, ale twarz starszego towarzysza miała jak zwykle beznamiętny wyraz. Tom skutecznie tłumił i ukrywał emocje i wydawało się, że w ogóle ich nie miał. Church miał wrażenie, że Tom nie zawsze był taki, ale okropne doświadczeniach niewoli wśród bogów zmusiły go do wyrzeczenia się wszelkich uczuć. Inaczej nie przetrwałby, pozostając przy zdrowych zmysłach.

— Czy wyjawisz nam kiedyś swoje osobiste tajemnice?

— Kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

— Nie jesteśmy dziećmi, wiesz?

— Jesteście dziećmi w świecie bogów i prawdziwych tajemnic wszechświata. Dopiero uczycie się dostrzegać rzeczy w prawdziwy sposób, po latach życia w ciemności. Jak zawsze, kiedy ktoś się uczy, nie można wam powiedzieć zbyt wiele od razu.

— A ty jesteś naszym nauczycielem, tak? – westchnął Church.

— Wcale mi to nie sprawia przyjemności.

— To może powiedz nam przynajmniej, co nas czeka?

— Tego nie powiem wam nigdy.

Church obejrzał się i widok podążającej za nim grupki obdartusów wprowadził go w jeszcze większe przygnębienie. Żadna z tych osób nie była bohaterem, większość była zresztą tak pokręcona, że do niczego się nie nadawała.

Tom najwyraźniej zauważył te wątpliwości.

— Ludzie robią się twardzi pod wpływem trudności – powiedział po prostu.

Church potrząsnął głową i spuścił wzrok.

— To okropna prawda, że nie można osiągnąć mądrości, dopóki nie zasmakowało się straty. Ze wszystkich doświadczeń życiowych, właśnie ona ma prawdziwie magiczną moc. Wiedząc to, gdybyśmy mieli wybór, nigdy nie sięgnęlibyśmy po wiedzę. Z drugiej strony wszyscy stajemy się lepsi, kiedy przez to przejdziemy. Strata jest kluczem do sensu życia i wszyscy nosimy w sobie tę wiedzę. Na tym możemy budować...

— I ty myślisz, że z tych ruin ułożymy w sobie coś sensownego? – zapytał Church bez entuzjazmu.

Tom wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Trudno było powiedzieć, czy podzielał zwątpienie Churcha, czy nim

pogardzał.



W chwilę później dotarli do tunelu prowadzącego do zwykłego świata. U wejścia pożegnali wzrokiem sielankową krainę. Spojrzeli na łąki zalane księżycową poświatą, głęboko odetchnęli słodkim, balsamicznym powietrzem i jeszcze przez chwilę sycili się czarodziejską aurą przenikającą podziemny świat.

— Mogłabym tu zostać na zawsze – powiedziała Ruth. Tom skinął głową.

— Właśnie. I to jest niebezpieczne.

Kiedy wyszli z tunelu na szczyt wzgórza w Glastonbury, panowały tam gęste ciemności, które rozpraszał dopiero pierwszy świt, choć wszystkim wydawało się, że w zaświatach spędzili najwyżej godzinę. Natychmiast zauważyli, że noc była znacznie cieplejsza niż wtedy, kiedy zapuścili się do tunelu.

— Noc jest ciepła jak w lecie – odezwała się Ruth.

Krętą ścieżką ruszyli w kierunku miasta, do którego dotarli już po wschodzie słońca. Złoty blask i błękit nieba dodały im otuchy. Włóczyli się po ulicach, czekając aż otworzy się jakiś bar, w którym będą mogli zjeść śniadanie. Kiedy przechodzili przed jakimś kioskiem, furgonetka rozwożąca gazety zostawiła tam część swojego ładunku. Church podszedł do przewiązanej sznurkiem paczki i spojrzał na nagłówki gazet.

— Patrzcie! – zawołał ze zdziwieniem w głosie.

Pozostali zgromadzili się za nim i spojrzeli na datę pod nagłówkiem, którą wskazywał palcem Church. Podczas ich krótkiej przygody w zaświatach, w świecie ludzi minęły dwa

tygodnie. Był pierwszy kwietnia.

ROZDZIAŁ 16

NAJCIĘŻSZA PRÓBA

— Czy wy tego nie rozumiecie? To przecież klucz do wiecznej młodości. Siedzisz kilka tygodni w tamtej dziurze, a jak wychodzisz, wszyscy pytają: „Jak ty to robisz? Wyglądasz tak młodo!”. A potem idziesz do paru byłych chłopaków i śmiejesz się, bo mają zmarszczki!

Laura siedziała z nogami na desce rozdzielczej, pomiędzy Veitchem a Shavim, który kierował. Church, Tom i Ruth tłoczyli się z tyłu, ściśnięci pomiędzy nowo zakupionym sprzętem kempingowym, ubraniami i zapasami żywności. Wszyscy byli zaniepokojeni różnicą w czasie, którą odkryli po powrocie z zaświatów.

— Nie o to chodzi – z rozdrażnieniem w głosie odparł Church. – Straciliśmy dwa tygodnie, a mamy mało czasu. Musimy jeszcze znaleźć jedno insygnium...

— Daj spokój – Laura odwróciła się i posłała mu zawadiacki uśmiech. – Termin upływa dopiero za miesiąc. To dość czasu, żeby wszystko zrobić z zawiązanymi oczami. – Laura spojrzała na Toma. – Słuchaj, dziadku, musiałeś o tym wiedzieć, zanim weszliśmy do tej dziury, co?

— Właśnie – do rozmowy włączyła się Ruth. – Dlaczego nic nam nie powiedziałeś? Mam tego dość, nigdy nie mówisz nam o rzeczach, które mają się nam przydarzyć, choć dobrze o nich

wiesz.

Tom zdjął okulary i przetarł je połą koszuli.

— Po co miałbym mówić? Musieliśmy tam zejść. Reszty sami byście się dowiedzieli, prędzej czy później.

— Czyli nie chciałeś ryzykować, że któreś z nas się przestraszy i nie pójdzie? – zapytała Ruth. Tom zignorował jej świdrujące spojrzenie.

— Miło, że w naszej drużynie wszyscy sobie ufają – gorzkim głosem ucięła Laura. Zdjęła buty i oparła stopy o przednią szybę furgonetki.

— Widzę, że lubisz leżeć w takiej pozycji – ostrym tonem docięła jej Ruth. Laura odpowiedziała obraźliwym gestem.

Church trzymał dłoń na drewnianej skrzynce, którą wzięli ze sklepu spożywczego, żeby mieć gdzie trzymać kamień, miecz i kocioł. Wydawało się to niemal świętokradztwem, ale musieli szybko znaleźć sposób, by dyskretnie i wygodnie przenosić insygnia. Wydawało mu się, że czubkami palców wyczuwa ich moc. Czasami wydawało się mu również, że te magiczne przedmioty przemawiają do niego niezrozumiałym szeptem, który kłębił się jak papierosowy dym wokół jego głowy. Odczuwał przy tym bezmierny zachwyt, a jednocześnie przechodził go dreszcz strachu.

— Denerwuje mnie, że wozimy ze sobą te rzeczy.

— Fomorianie ich nie tkną – zauważył Tom.

— W takim razie wyślą kogoś, kto zrobi za nich czarną robotę.
– Church zamyślił się na chwilę. – Teraz, kiedy wyjechaliśmy z Glastonbury, znowu będą nas gonić Dzikie Zastępy?

Tom skinął głową.

— W takim razie musimy znaleźć jakieś bezpieczne schronienie na noc – powiedziała Ruth.

— Chcecie jakąś muzykę? – zapytała Laura i włączyła radio. Ruth poprosiła ją, by zaczekała, po czym wyjęła z torby jakąś kasetę i podała do przodu. Laura skrzywiła się, ale puściła kasetę. Usłyszeli głos Franka Sinatry, zachęcający do lotu do ciepłych krajów, gdzie czekają romantyczne przygody.

Twarz Churcha rozjaśniła się.

— Myślałem, że straciliśmy tę kasetę!

— Nawet Dzikie Zastępy jej nie chciały – odparła Laura z nadąsaną miną.

Ruth i Church wymienili uśmiechy. Fakt, że umiała mu sprawić tak miłą niespodziankę, dodawał mu otuchy. Czuł, że Ruth jest jego prawdziwą przyjaciółką.



Latarnia Drogi poprowadziła ich ku autostradzie M5, a potem w kierunku północnym. Było ciepło i słonecznie. Furgonetka była jak nowa po naprawach, jednak ich koszt poważnie nadszarpnął fundusze całej szóstki. Wszyscy mieli karty kredytowe, ale musieli sięgnąć do oszczędności i telefonicznie pozrywać lokaty. Przy takich wydatkach ich rezerwy finansowe musiały się kiedyś wyczerpać.

Shavi i Laura z ożywieniem rozmawiali na różne tematy i przekomarzali się, natomiast Veitch nie odzywał się ani słowem. Wydawał się zdruzgotany konfrontacją ze skutkami swojej zbrodni. Potwierdziły się najgorsze obawy, jakie miał o siebie. Church martwił się, Tom miał rację, ostrzegając go przed Veitchem, i postanowił przy pierwszej nadarzającej się okazji porozmawiać z chłopakiem w cztery oczy.

Wjechali na autostradę M4 i ruszyli na zachód, do Walii. Jak zauważył Shavi, było oczywiste, że tam trafią, gdyż kraina ta miała bogate celtyckie dziedzictwo i pojawiała się w wielu legendach arturiańskich.

— Słuchajcie, my jesteśmy teraz jak postacie z mitów – zauważyła Laura. – Church ma swój miecz, czyli jest wielkim królem. Chłopak z tatuażami to pewnie jego Lancelot. Stary hipis to Merlin, a nasza pani Gallagher, która zachowuje się jak królowa ula, to pewnie Guinevere. – Laura poklepała Shaviego po udzie. – Nie wiem, kim w takim razie jesteśmy my.

— Rzeczywiście! – zapaliła się Ruth. – Jesteśmy jak jakaś reinkarnacja.

— Nie, to zbyt dosłowne – nie zgadzał się Church. – Pamiętajcie, że to wszystko tylko legendy. Nie było żadnego Okrągłego Stołu ani dzielnych rycerzy. Artur, jeśli w ogóle istniał, był celtyckim watażką.

— Tak mówią historycy – odezwał się Tom, wypowiadając ostatnie słowo z ledwie wyczuwalną pogardą.

— Nie chcę nawet zaczynać tej rozmowy – Church potrząsnął głową. – Znów zaczniesz mówić zagadkami i niczego się nie dowiemy.

Laura złapała za szmatę, której Shavi używał do przecierania szyb i rzuciła nią w głowę Toma.

— No dalej, stary dziadu! Puść farbę albo cię zwiążemy i będziemy ciągnąć na sznurku za samochodem!

Tom rzucił jej piorunujące spojrzenie i tylko poprawił okulary.

— Bracia i Siostry Smoków – zastanawiał się Shavi. – Może to ma coś wspólnego z Pendragonem, czyli nazwiskiem Artura?

Church znów potrząsnął głową.

— *Pendragon* oznacza w różnych językach celtyckich

najwyższego przywódcę, również po starowalijsku. Mimo że słyhać w nim słowo „dragon”, nie ma on nic wspólnego ze smokami.

— A może – powoli odezwał się Tom, jakby rozmawiał z idiotami – jest to tylko jeszcze jeden przypadek dualności, która leży u podstaw wszystkiego?

— Chodzi o podwójne znaczenia, Laura – usłyszeli kolejny docinek Ruth.

— Daj spokój Tom, po co nam to robisz? – zaprotestował Church.

— Właśnie, Tom! – Laura szukała czegoś, czym mogłaby rzucić w ich najstarszego towarzysza.

Tom zmitygował się i zaczął szybko mówić: – Może rzeczywiście nie zaszkodzi wam, jeśli się czegoś teraz dowiecie. Zresztą, wkrótce sami poznalibyście prawdę. Nie jesteście kolejnymi wcieleniami w dosłownym sensie, ale nosicie w sobie to, co najważniejsze w dawnych legendach, czyli Duch Pendragona. Jest to ulotna siła, pewien stan umysłu, udzielona wybrańcom zdolność obrony ziemi. Taki jest prawdziwy sens tych legend.

— Czyli Artur i jego rycerze to tylko metafora Ducha Pendragona? – zapytał Church.

— A my, w takim razie, jesteśmy raczej ich potomkami? – Laura zastanawiała się niepewnie.

Tom potrząsnął głową:

— To ziemia przekazuje swą moc tym, którzy na to zasługują. Wybiera tych, którzy najlepiej będą jej bronić.

— No to tym razem skopała sprawę, no nie? – powiedział Veitch, nie odwracając wzroku od okna.

— To jest... ogromna odpowiedzialność – stwierdził Church.

— No jasne, jeśli ktoś wierzy w te bzdury – ucięła Laura.

— Wasza podróż dopiero się zaczęła. – Tom sięgnął do chlebaka, w którym trzymał swoje narkotyki. – Ta podróż przebiega według kart tarota. W tej chwili każde z was jest Głupcem. Kiedy dotrzecie do celu, poznacie prawdziwe znaczenie Ducha Pendragona.

— To znaczy ci, którzy przetrwają – dokończył Church. Powstrzymał cisnący się do głowy obraz własnej śmierci.

— Tak, ci którzy przetrwają – zgodził się Tom.

— Patrzcie, coś się stało – przerwał im Shavi. Furgonetka zwolniła nagle, a jadący z tyłu stłoczyli się nad oparciami przedniego siedzenia, żeby spojrzeć przez szybę. Drogę zagrażał szereg samochodów policyjnych, a funkcjonariusze kierowali ruch na boczny pas prowadzący do zjazdu z autostrady. Za policyjną blokadą Church dostrzegł coś, od czego włosy zjeżyły się mu na głowie: na pustej autostradzie stał długi konwój wojskowych ciężarówek, a wzdłuż pasa zieleni i drugiej nitki autostrady siedziały szeregi uzbrojonych w karabiny żołnierzy.

— Gdzie jesteśmy?

— Zaraz za Cardiff – poinformował Shavi.

Kiedy dojeżdżali powoli do blokady, Shavi opuścił szybę i zapytał policjanta, co się stało.

— Wypadek – usłyszeli zdawkową odpowiedź. – Nie zatrzymywać się, jechać dalej. I radzę trzymać się oznaczonych objazdów.

— Nigdy nie widziałem, żeby sprowadzali wojsko do wypadku – powiedział Veitch.

— Ukrywają coś, prawda? – zapytała Ruth, sadowiąc się za fotelem Shaviego. – Wiedzą, że coś się dzieje. Być może nie wiedzą dokładnie, co, ale na pewno w całym kraju mają miejsce

niewytłumaczalne wypadki i katastrofy. Nie chcą, żeby wszyscy ludzie się o tym dowiedzieli, bo obawiają się paniki.

— Rzucają się z motyką na słońce – głos Toma był cichy, ale słowa zabrzmiały twardo jak kamienie.

— Co tam się stało, jak myślicie? – zapytała nagle zaniepokojona Laura.

— Coś naprawdę poważnego, skoro zamknęli całą autostradę – odrzekł Veitch. – Wszystkie drogi w okolicy są pewnie zapchane.

— W czasie tych dwóch tygodni musiało się dużo dziać – ponurym głosem stwierdził Shavi.

Zapadła pełna niepokoju cisza. Bocznymi drogami, potwornie teraz zatłoczonymi, ruszyli w dalszą podróż.



Choć latarnia wciąż kierowała ich na zachód, trudno im było podążać za jej światłem; ogromny obszar Walii został odcięty przez policyjne i wojskowe blokady. Cały czas słuchali radia, ale nie podawano żadnych informacji o tym, co się dzieje.

Kiedy już chcieli porzucić furgonetkę i ruszyć dalej piechotą, udało im się znaleźć pustą, wiejską drogę, która poprowadziła na zachód, w wysokie góry. Krajobraz przenikała niesamowita atmosfera martwoty, jakby był bezludny: nikt nie pracował na polach, drogą nie jeździły żadne pojazdy. Widzieli jednak światła w oknach domów i dymy wydobywające się z ich kominów.

Po pewnym czasie droga skręciła na południowy zachód, aż w końcu połączyła się z jedną z głównych tras prowadzących ku miejscowościom lotniskowym na wybrzeżu. Pustka na tej arterii świadczyła o tym, jak skutecznie władze zdołały wstrzymać ruch

zmierzający w głąb Walii. Veitch, który wziął na siebie pilotowanie, skierował ich do miasteczka Builth Wells, za którym rozpościerała się połać otwartego pustkowie. Wszyscy zgodzili się, że będzie to dobre miejsce na posiłek i odpoczynek. Postanowili zapytać miejscowych, co takiego dzieje się w okolicy.

Wjeżdżając do miejscowości, zorientowali się jednak, że stało się coś niedobrego. Nawet na głównej jego ulicy nie było żadnych samochodów. Na obrzeżach nie dostrzegli żadnego ruchu, tylko na pustym placu targowym kręciły się unoszone przez wiatr stare gazety. Zwykle odbywały się tutaj coroczne jarmarki. Nikt nic nie mówił, kiedy przejeżdżali przez stary kamienny most na rzece Wye, za którym rozpoczynało się centrum. Wyteżając wzrok, wypatrywali jakichkolwiek śladów życia.

— Wymarłe – powiedział Veitch niemal szeptem.

Furgonetka przemierzała wąskie, jednokierunkowe uliczki, aż dotarła do High Street, pełnej sklepów ulicy, która powinna tętnić o tej porze życiem, a była całkowicie opustoszała. Po prawej stronie stały zaparkowane samochody, ale możliwe, że porzucono je tam przed wieloma dniami. Ani żywej duszy. Shavi opuścił szybę, mając nadzieję, że coś usłyszą, ale wokół panowała grobowa cisza.

— Ewakuowali całą miejscowość? – zapytała Ruth.

Church miał poczucie, że wie, co tu się stało, ale nie odważył się tego powiedzieć.

Pojechali na pełen samochodów parking koło rzeki, gdzie Shavi znalazł miejsce i ostrożnie zaparkował furgonetkę.

— Co ty robisz? – zapytał Veitch. – Przecież mogłeś stanąć gdziekolwiek!

Shavi wzruszył ramionami.

— Nie wiem. W takich sytuacjach staram się przestrzegać

ustalonego porządku. Dodaje mi to otuchy.

— Chowasz głowę w piasek, co? – kpiła Laura, która też czuła się nieswojo. Wszyscy obawiali się wysiąść z samochodu.

Po dłuższej chwili Church wyszedł z auta i poprowadził ich z parkingu ku High Street, gdzie zaczęli dyskutować o tym, co dalej.

— No dajcie spokój – powiedziała Laura. – Przecież miasto jest opuszczone, możemy sobie brać, co chcemy.

— To właśnie cała ty – odcięła się Ruth. – Przecież to kradzież. Veitch wyszedł z jednego ze sklepów spożywczych, żując pasztecik z cebulą i masą jajeczną.

— Jeszcze świeże! – zawołał. – Wszyscy musieli sobie pójść bardzo niedawno.

Shavi spojrział w obie strony wzdłuż ulicy i zauważył otwarte drzwi sklepów.

— Jeśli miasto zostało ewakuowane, to wszyscy zamknęliby drzwi na klucz.

Mimo początkowych sprzeciwów Ruth, postanowili wziąć ze sklepów trochę jedzenia, które i tak miało się w nich wkrótce zepsuć. Veitch i Laura zabrali torby z furgonetki i udali się do sklepu ze zdrową żywnością, piekarni i sklepu mięsnego. Ruth nie podobał się ich wesoły nastrój.

— Przynajmniej nie będziesz tym razem musiał strzelać – powiedziała gorzkim tonem, kiedy przechodził obok niej Veitch.

Church i Shavi zostawili ją z Tomem i postanowili zbadać dalszy odcinek ulicy. Church szybko zauważył i docenił zimną krew i rozwagę nowego towarzysza. Shavi był bardzo inteligentny i świetnie znosił trudne sytuacje, Church poczuł, że nie musi sam dźwigać ciężaru odpowiedzialności za resztę grupy.

— Co o tym myślisz? – zapytał, patrząc wzdłuż High Street na

pokryte lasem wzgórze groźnie wznoszące się za miastem.

— Myślę, że to się robi coraz bardziej zuchwałe. Ta siła nie boi się już wsi, małych miast. Problem w tym, że nasz przeciwnik to nie jeden rodzaj istot, tylko cały nowy świat, nowe życie, tak obce, że każde spotkanie z nim kończy się naszą klęską.

— Więc myślisz, że nie powstrzymamy Wieku Ciemności?

— Ten nowy świat to ukryty w cieniu świat podświadomości, koszmarów. Takie rzeczy zawsze są silniejsze od swoich przeciwieństw.

— Marnujemy czas?

— Robimy, co możemy – Shavi uśmiechnął się.

Nagle usłyszeli jakiś cichy dźwięk dochodzący z wąskiego zaułka, który biegł stromo w górę pomiędzy dwoma sklepami. W panującej dookoła ciszy hałas zabrzmiał głośno jak petarda.

— Co to było? – zapytał Church.

Obaj zajrzeli w głąb zaułka, na którego końcu widać było zaparkowany samochód i połąkę błękitnego nieba; nic się tam nie poruszało. Church ruszył wyłożoną kocimi łbami uliczką, ale Shavi go powstrzymał, kładąc rękę na ramieniu. Przez chwilę stali nieruchomo, aż dziwny hałas rozległ się ponownie. Był to nieludzki dźwięk, jakby chrzęst pełzającego owada pomieszany z płaczem dziecka. W chwilę później ujrzeli jakiś szary kształt przebiegający przez zaułek na drugim jego końcu, ale pojawił się zbyt szybko, żeby go rozpoznać.

— Wynośmy się stąd – szepnął Church.

Znow coś się poruszyło; najwyraźniej tajemniczych istot było więcej.

Pobiegli z powrotem na High Street, gdzie zastali Ruth siedzącą w furgonetce przy otwartych drzwiach. Zauważyła strach na ich twarzach i zapytała, co się stało.

— Gdzie są pozostali? – chciał wiedzieć Church.

— Złodzieje znów poszli do sklepu ze zdrową żywnością, a Tom do odzieżowego – wskazała na drugą stronę ulicy. – Powieście mi, co się stało? Znaleźliście coś? – Ruth wyskoczyła z samochodu i rozglądała się z niepokojem.

— Wy dwoje biegnijcie po Veitcha i Laureę i zaraz wracajcie tutaj. Ja lecę po Toma.

Przebiegł przez sklep odzieżowy, przeciskając się pomiędzy rzędami kurtek i płaszczy. Tom był z tyłu, przymierzał parę wysokich butów do chodzenia po górach.

— Chodź – wydyszał Church. – Nie mamy czasu na przymierzanie. Weź te.

Tom natychmiast zerwał się na nogi.

— Fomorianie?

— Chyba nie.

Nic nie mówiąc, wybiegł za Churchem na ulicę, na której końcu dostrzegli niewyraźne sylwetki przebiegające z jednej strony na drugą.

— Ty jesteś ekspertem – powiedział Church. – Co to za jedni?

Tom popatrzył przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Zaświaty były pełne różnych istot. Nie studiowałem ich dokładnie, nie miałem na to czasu.

Kiedy biegli przez ulicę, we wszystkich sklepach zakotłowało się. Szare postacie wybiegały z pokojów na zapleczu. Obudzone ze snu w ciemnych pomieszczeniach najwyraźniej poszukiwały teraz intruzów. Church zauważył ich zielone oczy i zgrzytające zęby. Poczuł paraliżujący strach.

Razem z Tomem pędem ruszył ku stojącej na środku ulicy furgonetce, w której czekała już na nich reszta grupy. Wskoczyli do środka przez tylne drzwi i samochód ruszył z piskiem opon,

jadąc w złą stronę po jednokierunkowej ulicy.

— Widzę, że nie przejmujesz się ustalonym porządkiem – powiedział Veitch.

Shavi uśmiechnął się nerwowo.

Kiedy pędzili ku wyjazdowy z miasta, Church, Tom i Ruth spojrzeli przez tylną szybę na High Street. Ciarki przeszły im po plecach na widok ulicy, która zaroiła się szarymi postaciami, przywodząc na myśl obudzone nagle mrowisko.

— Boże, co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali – zapytała Ruth łamiącym się głosem.

Church i Tom odwrócili wzrok i nie odpowiedzieli. Atmosfera w samochodzie stała się jeszcze bardziej groźna i przygnębiająca.



W Carmarthen, z ulgą stwierdzili, że miasto tętni życiem, jak gdyby nic się nie stało.

— Z tego wynika, że większe miejscowości są bezpieczne – zauważył Shavi.

Podążając za światłem Latarni wzdłuż rzeki Wye, przejechali przez miasto i ruszyli dwupasmową drogą zmierzającą ku wybrzeżu. Mijając liczne kempingi pośród zielonych pól, około czwartej po południu dotarli do drzew palmowych u wjazdu do Tenby, znanego nadmorskiego kurortu.

Otoczone średniowiecznymi murami miasto ciągnęło się wzdłuż wysokich klifów z brązowych łupków i szarego wapienia, z których roztaczała się szeroka panorama na wybrzeże hrabstwa Pembrokeshire. Kręte uliczki pełne były pustawych teraz hotelików, pomalowanych przez właścicieli na pastelowe

kolory. Na błękitnym niebie leniwie kręciły się mewy. Patrząc na nie, Ruth zauważyła również swoją sowę, przelatującą ponad łupkowymi dachami zabytkowego miasta. Trudno było uwierzyć, że jej towarzyszka przyleciała za nimi aż z Glastonbury, albo że udało się jej niezauważenie wydostać z Tír na nÓg.

Uliczki Tenby były zbyt wąskie, żeby jeździć po nich furgonetką. Zaparkowali w pobliżu jednej z plaż i weszli do miasta podpartą pięcioma łukami bramą w średniowiecznych murach. Veitch i Shavi nieśli skrzynkę z insygniami, podczas gdy Church szedł przodem, trzymając Latarnię Drogi pod kurtką, żeby nie zauważyli jej przechodnie. Błękitne światło zaprowadziło ich na Tudor Square, plac rynkowy koło przystani, zatłoczony turystami mimo wczesnej pory roku. Potem wijącą się uliczką dotarli do malowniczego portu, gdzie na falach odpływu kołysały się rzędy łodzi rybackich. Church przystanął na bulwarze, nie wiedząc, co uczynić. Promień latarni wskazywał w kierunku morza.

Po krótkiej dyskusji, Veitch odłączył się od nich, by rozejrzeć się po okolicy. Wrócił po kilku minutach i poprowadził ich wąską uliczką, wzdłuż białych ścian miejscowego muzeum, na górujący nad plażą przylądek wcinający się w jasnobłękitne morze.

— Tam – powiedział Veitch, wskazując na dużą wyspę obmywaną falami skąpanej w słońcu zatoki.



Na wyspie Caldey znajdowało się opactwo cystersów. Ze stałego lądu można było tam dotrzeć promem kursującym tylko kilka razy dziennie, by turyści mogli doświadczyć panującej na

wyspie atmosfery odosobnienia – i wydać więcej pieniędzy, z których pokrywane były koszty utrzymania opactwa. O tej porze dnia było już jednak za późno, by się tam dostać.

Znaleźli pokoje w jednym z uroczych hotelików na uliczkach starego miasta, niedaleko nabrzeża. Po trudach podróży mogli się teraz rozkoszować ciepłą kąpielą i snem w łóżku. Po wczesnej kolacji, Tom udał się do pokoju, gdzie zgodził się trzymać straż nad insygniami, mimo że sam bał się nawet podejść do skrzynki. Pozostali wyszli, by pokręcić się po mieście, zanim zapadnie zmrok. Church wykorzystał nadarzącą się okazję i odłączył się od reszty grupy z Veitchem, by porozmawiać z nim w cztery oczy. Shavi, Ruth i Laura włóczyli się uliczkami pełnymi lśniących czystością lodziarni i restauracji. Po wszystkim, co niedawno zobaczyli, miasto wydało im się dziwnie wesołe i szczęśliwe, jakby nieświadome mroku zapadającego nad całym krajem. Przyjemna atmosfera tego miejsca poprawiła im nieco humor, choć jednocześnie czuli się nieswojo, bowiem zdawali sobie sprawę, że wkrótce i tutaj wszystko zacznie się zmieniać.



— Nie wierzę, że udało się nam zająć tak daleko. – Church zamknął oczy, rozkoszując się dotykiem zachodzącego słońca na twarzy i wdychając przesycone słońcą bryzą powietrza. Siedząc na plaży, niemal zapomniał o nękających go niebezpieczeństwach i kłopotach. Wrócił pamięcią do wakacji szkolnych, którymi cieszył się, wolny jeszcze od odpowiedzialności dorosłego życia, oraz ku szczęśliwym, letnim dniom spędzonym nad morzem z Marianną, zanim jej śmierć nie

obrzydziła mu życia. Kołyszący szum fal uspokoił go na tyle, że poczuł wreszcie, jak bardzo jest napięty, jak zeszywniałe są mięśnie jego szyi i ramion. Otworzył oczy i spojrzał na Veitcha, któremu przechadzka po plaży nie sprawiała żadnej przyjemności.

— Kiedy byłem w Strażnicy i usłyszałem o czterech insygniach, myślałem, że nie uda nam się znaleźć ani jednego z nich. A teraz okazuje się, że było to łatwe. – Przerwał na chwilę. – Względnie łatwe.

— Bo te rzeczy na nas czekały, tak mówi Tom – odrzekł Veitch bez entuzjazmu. – Mieliśmy je dostać właśnie my, takie było przeznaczenie. No i dostaliśmy.

Church potrząsnął głową.

— Nie wierzę, że tak było. Nawet jeśli sprzyjały nam gwiazdy, nic nie było przecież przesądzone. To my musieliśmy szukać i zdobywać te przedmioty, a teraz będziemy musieli ich bronić. Zostało jeszcze dość czasu, żeby coś poszło nie tak.

— Święte słowa.

Church zatrzymał się i spojrzał towarzyszowi w oczy.

— Veitch, nie możesz być takim pesymistą. Nie tylko tobie jest ciężko.

— Ciężko! Jestem mordercą. Mi nie jest ciężko, mi się, cholera, żyć nie chce! Dręczyło mnie to każdego dnia, a teraz nie mogę zapomnieć nawet na chwilę, bo jest z nami siostrzenica tego biednego palanta. Bez przerwy mi przypomina, że przez moją głupotę rozwalilo się życie całej jej rodziny!

Chciał ruszyć dalej, ale Church złapał go brutalnie za ramię. Veitch bezwiednie zacisnął pięści i przyjął groźną postawę.

— Słuchaj, skopałeś sprawę i czujesz się winny. Dobra. Tak ma być. Ale nie możesz się uważać nad sobą, to jest samolubne. Mamy

coś do zrobienia i to jest ważniejsze niż twoje rozterki. Jeśli chcesz rozdrapywać swoje rany, proszę bardzo, ale dopiero jak skończymy.

— Odwał się. – Veitch jeszcze raz spróbował sobie pójść, a Church ponownie go zatrzymał. Tym razem Veitch zareagował natychmiast i celnym ciosem zwałił towarzysza z nóg.

Przez krótką chwilę Church leżał zamoczony, ale zaraz zerwał się na nogi i walnął Veitcha bykiem. Obaj upadli, turlając się po piachu, mocując się i zadając ciosy. Church położył w końcu przeciwnika na łopatki i unieruchomił go.

— Nie lubię być bohaterem – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Wcale nie chcę tu być. Mam swoją własną sprawę do załatwienia. Ale skoro mogę powstrzymać całe to nieszczęście, to muszę to zrobić. Kto inny to zrobi?

Oczy Veitcha zwęziły się z gniewu.

— Wielu ludzi coś robi. – Wpatrywał się jeszcze przez chwilę w twarz Churcha, po czym z łatwością zrzucił go z siebie, wstał i otrzepał się z piachu. – Nie martw się, nie zamierzam uciec od odpowiedzialności. Ale chcę jakoś odkupić krzywdę, jaką zrobiłem Ruth. Wiem, że nigdy do końca mi się to nie uda, ale muszę spróbować. – Zamilkł. – Ja nie jestem zły, rozumiesz? Tylko głupi.

Church masował sobie obolałą szczękę, ale był zadowolony z tego, co się stało.

— Ruth nie jest głupia. Jeśli masz w sobie choć trochę dobra, zobaczy to w końcu. Musisz tylko zaczekać.

— Jasne, zachowywać się wzorowo. Słuchaj, przepraszam, że ci dałem w mordę. Coś mnie wzięło.

— Nie ma sprawy. Następnym razem, jak cię weźmie, postaram się, żebyś rzucił się na kogo innego. – Wytrzepał piach

z włosów i dodał: – Chodź, znajdziemy jakiś pub. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłem piwo.



— Jak tu pięknie – powiedziała Ruth, siedząc na stopniach pod cokołem pomnika księcia Alberta i spoglądając na przystań. – Ludzie na wakacjach, uśmiechnięci, szczęśliwi... Nie mogę uwierzyć, że to wszystko ma się za niedługo skończyć.

Laura wspięła się na jedno z dział przy cokole i rozsiadła wygodnie, wystawiwszy twarz do słońca.

— Może dla odmiany pogadajmy o czymś poważnym. Na przykład to nasze nowe chłopię z robotniczego Londynu – przecież on jest słodki. Ciekawe gdzie się kończą te jego tatuaże?

— Jeśli chcesz mnie sprowokować, to wybrałaś zły temat – odcięła się Ruth.

— A tobie, panie biseksie? – Laura zwróciła się do Shaviego. – Podoba ci się?

— Rzeczywiście, jest atrakcyjny. – Shavi uśmiechnął się, ale nawet nie otworzył oczu i dalej opalał się na trawniku koło pomnika.

— Wiesz co, ty jesteś ogarnięta patologiczną obsesją na punkcie seksu – powiedziała Ruth, rzucając Laurze lodowate spojrzenie.

— Czekałam, aż mi to powiesz, frygido. Ale ja nie jestem ogarnięta jedną obsesją. Lubię też muzykę, narkotyki i technikę.

— No to rzeczywiście, bardzo masz głęboką osobowość. – Ruth wstała i zaczęła przechadzać się wokół pomnika. – Jak myślicie, co mamy zrobić, jak znajdziemy ostatnie insygnium?

Shavi podniósł się i usiadł.

— Być może wtedy wszystko okaże się oczywiste.

— Po tym, co dzisiaj widziałam, nasze wysiłki wydają się takie nieskuteczne. Myślicie, że ci inni bogowie będą w ogóle w stanie stawić opór Fomorianom?

— Mnie martwi co innego – odrzekł Shavi. – Danann podobno wyglądają jak anioły. Czy mają coś wspólnego z chrześcijańskimi aniołami? Być może wszystkie religie to tylko echo czasów, kiedy Tuatha Dé Danann i Fomorianie rządili ludzkością? Może to będzie dla nas świetna okazja, żeby zobaczyć Stwórcę?

— Świetna okazja! Podoba mi się twój optymizm – Ruth uśmiechnęła się sardonicznie.

— Tego by było za wiele – zgodziła się Laura. – Już i tak jest nam ciężko, kiedy nie mieszamy do tego religii.

— Ale powinniśmy się nad tym zastanowić – nie dawał za wygraną Shavi. – Życie ludzkie od tysiącleci jest oparte na religii. Jeśli wszystkie nasze wierzenia i moralność zbudowane są na kłamstwie, to stracimy nagle grunt pod nogami. Trudno sobie wyobrazić, jak ludzie sobie poradzą po takim ciosie.

— Jednocześnie stracimy wiarę w naukę i religię. Większości ludzi poczujecie nagle straszną pustkę – powiedziała Ruth w zamyśleniu.

— Większość ludzi i tak w nic nie wierzy – odparła Laura. – Religia to tylko schronienie dla słabych idiotów, a naukowcy w niczym się nie mogą zgodzić, więc nikt im i tak nie wierzy.

— A ja myślałam, że to ja jestem cyniczna – odrzekła Ruth, podziwiając z góry panoramę krętych uliczek starego miasta. Patrząc z tego miejsca, można było doznać złudzenia, że czas cofnął się do średniowiecza. Nagle po dachach domów przesunął się ogromny cień chmury, na co Ruth wzdrygnęła się bezwiednie.

Do jej głowy cisnęła się myśl, że to zwiastun nadchodzącego nieszczęścia i upadku.



Church i Veitch spędzili resztę wieczoru wśród głośnych turystów w pubie na Tudor Square, starając się znaleźć wspólny język. Wiele ich dzieliło, pochodzili z różnych środowisk i zostali inaczej wychowani. Church czuł się nieswojo, obserwując nagłe zmiany nastroju Veitcha, które jednak łagodziła jego ogromna lojalność. Poza tym, jak na kogoś kto od lat regularnie popełniał drobne wykroczenia, Veitch kierował się zaskakująco rygorystycznym kodeksem moralnym. To właśnie te sprzeczności sprawiały, że był tak ujmującym człowiekiem. Churchowi nikt jeszcze nie okazywał tak ogromnego szacunku jak Veitch.

— Nie mogę sobie z tym dać rady – wyznał Veitch, pochylając się nad kuflem piwa. – Od urodzenia nas do tego przygotowywali? Te sny, od których prawie zwariowałem?

— Ja też miałem sny, ale nie tak straszne jak twoje. To znaczy, my nazywamy to snami, ale to tak naprawdę nie były sny. Wtedy kontaktowały się z nami zaświaty – chociaż to brzmi tak, jakby z nami rozmawiały przez telefon. Myślę, że w jakiś sposób zbliżyliśmy się wtedy do ich świata i wtedy oni mogli przenikać do naszego, kiedy byliśmy najbardziej gotowi.

— Sukinsyny! Namieszali mi tylko w głowie i niech ich za to cholera weźmie, nawet jeśli nie zrobili tego specjalnie. Ale ty mówisz, że jak byłeś dzieciakiem, to przychodziła do ciebie ta kobieta ze Strażnicy. Kim ona była? Jakby twoją matką

chrzestną?

Church zastanawiał się nad tym już wcześniej i nie znalazł żadnej zadowalającej odpowiedzi.

— Myślę, że Danann może wiedzieli, jak będziemy ważni i dlatego opiekowali się nami.

— Pod kuratelą aniołków, no nie? Miałeś szczęście, gościu – przerwał mu Veitch. Milczał przez chwilę, a potem mówił dalej: – Zastanawiam się, co oni do nas czują. Wiem, że są trochę podobni do ludzi, przynajmniej Danann, ale oni są tacy, nie wiem, podobni do Boga, no nie? Bóg i jego anioły. A ci drudzy to diabeł i jego banda.

Church poczuł się nieswojo, słuchając tego, co powiedział Veitch. Wpojone w dzieciństwie nawyki myślenia o religii sprawiły, że zabrzmiało to dla niego jak bluźnierstwo.

— Musimy już wracać – powiedział i dopił piwo.

Pub i tak miał za chwilę zostać zamknięty i szybko teraz pustoszał. Przez okno widzieli wychodzących gości, którzy kierowali się przez Tudor Square do swoich hoteli. Turyści byli dość liczni jak na tę porę roku, ale było ich mniej, niżby Church sobie życzył. Coraz bardziej tęsknił za poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje tłum. Puste, otwarte przestrzenie wydawały mu się zbyt groźne, by wychodzić na nie samotnie.

Kiedy przechodzili przez plac, Veitch spojrzął nagle do góry i zawołał: – Co to jest?

Ponad nimi unosiły się drobne światełka, którym towarzyszył trzepot skrzydeł przywodzący Churchowi na myśl nietoperze. Kiedy dokładniej przyjrzał się niebu, oniemiał z zachwytu. Maleńkie, krągłe figurki, łączące w sobie kobiecy i męski wdzięk, śmigły ponad placem na skrzydełkach, które wydawały się zbyt delikatne nawet jak na ich drobny ciężar. Skóra latających

postaci promieniowała zielonym, bladym światłem.

— Co to za jedni? – zapytał Veitch z ciekawością.

— Myślę, że to odpowiednik duchów natury. To przez nie nasi przodkowie uznali kiedyś, że drzewa i rzeki to istoty żywe.

— Aha, czyli nieszkodliwe? – Dłoń Veitcha spoczywała już pod kurtką, w której trzymał pistolet. Church chciał mu powiedzieć, że ta broń okaże się zapewne bezwartościowa wobec nadchodzących niebezpieczeństw, ale z drugiej strony, jeśli dodawała ona Veitchowi odwagi, to lepiej było ją zatrzymać. Veitch nie wyciągał pistoletu, ale Church widział, że chłopak zastanawia się, czy może sobie pozwolić na kilka strzałów dla samej przyjemności.

— Nie chcą nam zrobić krzywdy – ostrzegł Church. – Zostaw je w spokoju. Może kiedyś nam pomogą.

— Nie chcę od nich żadnej pomocy – szorstko odparł Veitch. – Chcę, żeby wszystko było jak kiedyś.

— Nie będzie tak źle – odpowiedział Church. – Odzyskaliśmy magię. Bez niej nasze życie było niepełne.

Veitch nie wydawał się przekonany.

— Czemu one tak latają? Przecież większość z tych rzeczy nie pojawia się, kiedy jest dużo ludzi.

Church nie pomyślał o tym, ale teraz rzeczywiście wydało mu się to intrygujące. Przyjrzał się dokładnie latającym światełkom, a kiedy jedna z istot podleciała dość blisko, by mógł ujrzeć jej twarz, zobaczył na niej strach.

— One się boją. Ktoś je przestraszył.

Veitch przyjrzał się torom ich lotu:

— Lecą stamtąd – powiedział, wskazując na Castle Hill, gdzie wcześniej odpoczywali w słońcu Shavi, Ruth i Laura.

— Chyba powinniśmy wracać, nie? – zastanawiał się Church.

Bał się czyhających w ciemności niebezpieczeństw, choć jednocześnie chciał się koniecznie dowiedzieć, co tym razem miało się im przydarzyć.

Veitch wielkimi krokami ruszył już ku St. Julian's Street.

— Jak będziemy mieli oczy dookoła głowy, to nic nam nie będzie. Musimy sprawdzić, co się stało.

Nabrzeże było zalane ostrym światłem miejskich latarni, które odbijały się w delikatnie falującej wodzie w przystani. Inaczej niż w dzień, kiedy miejsce to tętniło życiem, teraz panowała tu cisza i spokój. Na nabrzeżu stała budka z biletami na statek, lodziarnia i wypożyczalnia desek surfingowych u wejścia na plażę, wszystkie o tej porze zamknięte. Nad przystanią, w oknach wynajmowanych na wakacje domów, tu i tam paliło się światło, ale kiedy minęli zabytkowy budynek łazienek i weszli na ścieżkę prowadzącą ku przylądkowi, sprzed oczu znikły im wszelkie znaki życia. Z daleka po ich lewej stronie spokojnie szumiał przybój, fale rozbijały się o skały przy stacji łodzi ratunkowych. Po prawej mieli zbocze wzgórza Castle Hill, zbyt strome by się na nie wspiąć.

Church i Veitch ostrożnie szli dalej. Mimo, że noc była pogodna, z dala od świateł miasta było ciemno, a szum morza zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

— I co, jak myślisz? – zapytał Veitch, kiedy doszli do miejsca, gdzie ścieżka skręcała łagodnie i nie było widać, co znajduje się dalej.

— Wygląda bezpiecznie, ale...

Church nie dokończył, gdyż nagle gdzieś blisko nich rozległ się niski, gardłowy warkot.

— Co to było? – wyszeptał Veitch.

Church poczuł na plecach dobrze sobie znany dreszcz strachu.

Spojrzał na ścieżkę za nimi, przed nimi, a potem na strome zbocze. Ich uszu znów dobiegł groźny warkot.

— Tam, na górze – szepnął.

Stali nieruchomo, wpatrując się w kępy krzaków na stromiźnie, aż dostrzegli ciemny kształt poruszający się wzdłuż grzbietu na tle nieba. Veitch chciał coś powiedzieć, ale Church uciszył go gestem dłoni. Kształt poruszał się powoli i groźnie, a kiedy odwrócił w ich stronę łeb, dostrzegli złowrogi blask czerwonych oczu, jak dwa żarzące się węgle.

— Czarny Kieł – mruknął Church.

Wydawało mu się, że nikt nie usłyszy jego ściszonego głosu, ale upiorny pies nagle znieruchomiał. Usłyszeli kolejny groźny pomruk. Bestia powoli przesuwiała wzrokiem po zboczu wzgórza, poszukując swojej zwierzyny.

W chwilę później pies znikł im z oczu i usłyszeli trzask gałęzi łamanych przez bestię, która pędziła przez krzaki w kierunku ich ścieżki.

— Przed nami, czy za nami? – zapytał Veitch, rozglądając się nerwowo. Church potrząsnął głową. Wahali się, desperacko starając się wypatrzeć, skąd nadbiegnie potwór, wiedzieli jednak, że kiedy go zobaczą, będzie już za późno.

Nagle Church złapał Veitcha za ramię i pociągnął naprzód. Pobiegli ku zakrętowi ścieżki, odetchnęli z ulgą, kiedy nie dostrzegli za nim psa, ale groźne pomruki wciąż pobrzmiwały głośno i wydawały się coraz bliższe. Church wskazał wzrokiem na miejsce, gdzie zbocze było mniej strome.

— Jeśli on biegnie do nas na dół, to my powinniśmy być tam, na górze.

— Pewnie, ale prędzej czy później, będziemy musieli zejść z powrotem.

Wspięli się na skarpe przy ścieżce i zaczęli biec pod górę, palcami czepiając się murawy. Kiedy znaleźli się już na szczycie, leżąc na ziemi spojrzeli w dół na ścieżkę, po której w tę i z powrotem miotał się teraz pies.

— Wie, że jesteśmy blisko. Wyczuł nas węchem.

— Nie tylko węchem.

— No. Mówiłeś mi, że jeśli jest pies, to zaraz pojawią się Dzikie Zastępy, nie?

Wcześniej Church starał się nie dopuścić do siebie tej myśli.

— Musimy ostrzec pozostałych – odpowiedział.



Shavi, Ruth i Laura siedzieli w pokoju Toma, patrząc przez okno na dachy Tenby. Tom leżał na łóżku. Twarz miał napiętą i bladą.

— Gdzie oni poleżli? – Ruth nerwowo chodziła od ściany do ściany. – Jesteście pewni, że nic im nie będzie?

— Mówiłem ci, zrobiłem, co mogłem. Skierowałem tutaj energię ziemi i zamaskowałem ich. Jeśli nie są na widoku, nic nie powinno się im stać.

— A jeśli się spili i leżą w jakimś rowie? – zapytała Laura. – Wiecie, jacy są chłopcy, jak się ich zostawi samych.

— Przecież powinni mieć dość rozumu, żeby tu wrócić przez zmrokiem – narzekała Ruth.

— Martwisz się, jakbyś była ich matką – kpiła Laura.

— Weź się...

— Słuchajcie! – zawołał Shavi przestraszonym głosem. Od ulicy dochodziło stukanie kopyt. W zwykłych okolicznościach nie

zwróciliby uwagi na ten dźwięk, ale teraz ciarki przeszły im po plecach.

— Widzisz coś? – wyszeptała Ruth, bojąc się zapytać normalnym głosem.

Shavi przycisnął nos do szyby, starając się spojrzeć w dół na ulicę. Potrząsnął głową.

— Gdybyśmy mogli otworzyć okno...

— Ani się waż! – urwała Laura.

— Nie miałem wcale zamiaru.

Stukanie kopyt powoli oddaliło się, a kiedy ucichło zupełnie, znów mogli rozmawiać.

— Może to nie oni? – z nadzieją w głosie zapytała Ruth. – Wcześniej widziałam w mieście dorożkę dla turystów.

— To była Dzika Pogoń. – Głos Toma miał w sobie coś złowieszczego.



— Jak szybko on biega? – wydyszał Veitch. Prześlizgnęli się pomiędzy krzakami po drugiej stronie wzgórza i dotarli tamtędy do muzeum.

— Szybciej od ciebie, nawet gdybyś był w dobrej formie. Church, leżąc na ziemi, wpatrywał się w mury miasta. Gdyby był odpływ, mogliby pobiec skrótem ku stromym schodom prowadzącym do ulicy, gdzie znajdował się ich hotelik, teraz jednak drogę zagrażało im morze.

— Ej, ja jestem w formie. To ty spędzasz całe dni siedząc na dupie i pisząc o wykopanych z ziemi kościach.

Pędem dotarli do murów zamku, a wkrótce potem znaleźli się

z powrotem na nabrzeżu, jednak gniewne pomruki Czarnego Kława wciąż się nie oddalały. Church obejrzał się i wydawało mu się, że w oddali widzi oczy złowieszczo świecące w ciemności.

— Odnalazł nasz trop – powiedział. – Albo skądś wie, w jakim kierunku idziemy. Być może uda się nam go zgubić w mieście, gdzie będą go rozpraszać inne rzeczy.

Kiedy jednak pobiegli w kierunku St. Julian Street, ciszę spokojnych uliczek zakłócił dźwięk myśliwskiego rogu. Church poczuł, jak ze strachu wali mu serce.

— Pogoń. Są na starym mieście.

Kiedy stali, nie wiedząc co uczynić, pomruki ścigającego ich psa stały się głośniejsze, a od strony St. Julian Street usłyszeli tętent jadącego w ich kierunku konia. Światło latarni rzuciło nagle ogromny cień na ścianę jednego z domów. Church rozpoznał sylwetkę jeźdźca i pikę, której przerażającą skuteczność widział już na Dartmoor.

— Tylko jeden? – zapytał Veitch.

— Chyba przeczesują miasto.

Odwrócili się i obiegli przystań, kierując się ku ulicy, na której końcu znajdował się zabytkowy budynek Tudor Merchant's House. W skroniach Churcha głośno pulsowała krew. Przez dłuższą chwilę nie słyszeli nic, tylko chlupot fal rozbijających się o nabrzeże. Obaj wstrzymali oddech i słuchali uważnie. Church spojrział na Veitcha; obaj byli gotowi do następnego skoku. Church uniósł dłoń na znak, by jeszcze chwilę poczekać. Gdzieś w pobliżu usłyszeli nagle ciche stukanie końskich kopyt.

Church zaklął pod nosem.

— Dobrze, że jest tyle wąskich uliczek i zaułków. Mamy gdzie się ukryć.

— Albo oni mają gdzie nas przyprzeć do muru. Cholera jasna.

Po co się w to mieszałem?

Trzymając się cienia, cicho wspięli się na jakieś kamienne schody, którymi dotarli do innej uliczki, która jak się okazało wychodziła na rzęsiście oświetlony plac Tudor Square.

— Może pobiegnijmy? – zaproponował Veitch.

— Jeśli złapią nas na otwartej przestrzeni, to nie mamy szans. Church wychylił się, by sprawdzić wyjście na Tudor Square, i w tej samej chwili pojawił się w nim jeden z jeźdźców Dzikich Zastępów. Church poczuł piżmowy, nierealny zapach potu bestii i zobaczył błysk światła odbitych od zbroi i rynsztunku jeźdźca, którego zielonkawa skóra jarzyła się blado.

Kiedy jeździec odwrócił się, by dokładniej obejrzyć ich uliczkę, Veitch złapał Churcha za kurtkę i pociągnął z powrotem na schody. Ich przeciwnik zatrzymał się, jakby coś dostrzegł, ale zamiast podjechać bliżej i sprawdzić, spiął swojego wierzchowca ostrogami i popędził w kierunku St. Julian's Street.

— Myślałem już, że nas zauważył – wyszeptał Veitch.

— Po drugiej stronie tej ulicy, obok księgarni, widziałem wcześniej uliczkę, którą możemy dotrzeć do hotelu.

Ostrożnie podczołgali się do wyjścia na plac i stwierdzili, że znów jest pusty.

— On pewnie czeka na nas tuż za rogiem – zauważył Church.

— Musimy odwrócić jego uwagę. – Veitch wyciągnął pistolet.

— Co zamierzasz z tym zrobić?

Veitch wyszedł przed Churcha i jednym, płynnym ruchem podniósł pistolet, wycelował w jeden ze sklepów na placu i wystrzelił. Huk zmieszał się z brzękiem tłuczonej szyby i wyciem alarmu. W chwilę później usłyszeli stukanie kopyt i z St. Julian's Street wyjechał Myśliwy. W świetle latarni błysnęła zakrzywiona pika.

Kiedy jeździec minął ich uliczkę, wybiegli na plac. Fortel Veitcha udał się znakomicie, gdyż wycie alarmu zagłuszyło dźwięk ich kroków.

Jednak kiedy dobiegli do ulicy po drugiej stronie, o mało co nie wpadli pod samochód, który pędem wjechał na plac. W środku siedziało czterech podpitych wyrostków. Kierowca w ostatniej chwili gwałtownie skręcił, krzycząc coś z furią przez otwarte okno i naciskając klakson. Church od razu zorientował się, że stało się coś bardzo niedobrego. Kątem oka zobaczył, że Myśliwy powściąga konia i obraca go w miejscu. Veitch również to zauważył, ale nie zatrzymał się, tylko wielkim susem przesadził maskę zagrządzającego drogę samochodu.

Church nie mógł podążyć za nim, gdyż biegł bliżej tyłu auta, z którego wybiegli rozdrażnieni skokiem Veitcha pasażerowie. Wykrzykując z walijskim akcentem pijackie groźby, jeden z nich rzucił się na Churcha, który cofnął się, by uniknąć ciosu.

— No dawaj! – przywołał go Veitch, ale Church nie mógł już biec dalej.

Myśliwy był tuż za nim. Church nie myśląc wiele rzucił się w kierunku wyrostków, wyminął ich, i ku ich zaskoczeniu wskoczył przez tylne drzwi do samochodu. Włócznia upiornego jeźdźca zgrzytnęła o bok auta i sypnęła iskrami.

Atak ten jeszcze bardziej rozdrażnił czterech wyrostków. Z samochodu wysiadł teraz również kierowca i rzucił w Myśliwego puszką piwa, które z sykiem rozlało się pianą po jego zbroi i spłynęło na ulicę.

Ruszyli na jeźdźca, zaciskając pięści, kiedy Church krzyknął nagle: – Nie! On was zabije!

Jeden z chuliganów podszedł do Churcha i brutalnie kopnął go w nogę. Porażony strachem i bólem, Church cofnął się do

wnętrza samochodu. Chciał jeszcze raz krzyknąć, ale było już za późno. Myśliwy natarł na kierowcę, wbijając w jego ciało włócznię i podrywając ją do góry. Trysnęła fontanna krwi, a potem rynsztokiem popłynął czerwony potok posoki i piwa.

Pozostałym młodzieńcom uwięzły w gardłach krzyki, kiedy zobaczyli, co się stało. W chwilę później, ku osłupieniu Church, ponowili atak, rzucając w Myśliwego czym popadnie i starając się kopniakami dosięgnąć boku upiornego konia, który stępem chodził wkoło nich. Church nie chciał na to dłużej patrzeć. Przeczółgał się przez siedzenie samochodu i wysiadł z drugiej strony, po czym biegiem dołączył do czekającego w uliczce Veitcha.

Ogarnięty rozpaczą i poczuciem winy, obejrzał się w kierunku placu, czego od razu pożałował. Jeździec natarł na wyrostków jak chmara latających w powietrzu noży, drąc ciała na strzępy i ćwiartując z zaciekleścią, która świadczyła o jego pogardzie dla rodzaju ludzkiego. Koń, który wcale nie był koniem, przesadził przez dach samochodu, wgniatając go, a potem Church i Veitch odwrócili się i pognali w głąb ulicy.

Pędem skręcili w Cresswell Street, mając nadzieję, że wzdłuż nabrzeża uda im się dobiec do labiryntu średniowiecznych uliczek, którymi dotrą do swojego hotelu. Szybko zobaczyli jednak, że nie dadzą rady tak uciec, gdyż drogę ku nabrzeżu zagroził im inny jeździec, a kolejny pojawił się za nimi, na drugim końcu ulicy. Obaj unieśli włócznię, gotując się do szarży.

— Do góry – wychrypiał Veitch.

Church w mgnieniu zrozumiał, o co chodzi jego towarzyszowi. Podbiegli do stojącego obok garażu i Veitch podsadził Churcha na jego dach. Church pochylił się, podał tamtemu dłoń i wciągnął na górę, a niemal dokładnie w tej samej chwili o ceglany mur

garażu uderzyła z ogromną siłą pika jednego z Myśliwych. Korzystając ze szczelin pomiędzy cegłami starego muru, wspięli się ku najniższym stopniom schodów przeciwpożarowych, którymi dotarli na dach stojącego przy garażu domu. Pokonując strach, podciągnęli się ponad zawieszoną na gzymsie rynną, która na chwilę niebezpiecznie ugięła się pod ich ciężarem.

Kiedy wreszcie znaleźli się na pokrytym łupkami dachu, padli na plecy i, patrząc w rozgwieżdżone niebo, desperacko starali się uspokoić rozszalałe oddechy.

— Oni nie odjadą – powiedział Veitch niepotrzebnie, gdyż obaj o tym wiedzieli.

— Moglibyśmy tu zostać do świtu. Odjadą, kiedy wzejdzie słońce.

— Myślisz, że pozwolą nam tak tutaj siedzieć? Poza tym sam mówiłeś, że widziałeś ich na niebie.

Church przypomniał sobie upiorne kształty wśród chmur po tym, jak przetrzymali oblężenie Czarnego Kła na stacji benzynowej koło Salisbury, ale po namyśle stwierdził, że aby wznieść się w powietrze, Dzika Pogoń musiała ulec jakiejś przemianie pod wpływem promieni słońca. Potrząsnął więc głową: – Gdyby mogli teraz latać, już by tutaj byli.

Wyjrzał ponad gzymsem i rozejrzał się po ulicy w dole. Zebrali się tam już pozostali Myśliwi, a w środku górowała groźna postać Króla Olch. Konie, przepychając się w zbitej gromadzie, pochrapywały głośno jak lokomotywy. W oknach ponad ulicą poruszyło się kilka zasłon, ale ukryci za nimi mieszkańcy rozważnie postanowili nie przyglądać się dokładniej intruzom.

— Myślę, że oni mogą latać tylko o świcie – powiedział, bezskutecznie starając się dodać sobie otuchy. Ogarniał go coraz większy strach.

Tymczasem Król Olch uniósł róg i zagrał długi, przerażający sygnał. W chwilę później odpowiedziało mu przeciągłe wycie jakiegoś psa – nie Czarnego Kłā, Church rozpoznałby go, tylko wyższe i bardziej świszczące – a w chwilę później usłyszeli dzikie wycia kolejnych bestii. Dźwięk ten był niezwykle, przypominał niemal ludzkie okrzyki.

W kilka chwili na ulicy pojawiła się sfora, tłocząc się z różnych stron w kierunku uliczki i jeźdźców, aby dokończyć Pogoni. Churchowi zamarło serce na widok demonicznych, białych i rudych psów, których sfora wyglądała jak kłębiące się pośród upiornych wierzchowców robaki.

Król Olch wydał cicho jakiś rozkaz i Church zobaczył coś, od czego ciarki przeszły mu po plecach. Psy wspinały się na ścianę domu, z zaskakującą zręcznością wskakując na parapety i dach stojącego obok garażu lub nawet pełznąc w górę po gołym murze.

— Jezu Chryste! – zawołał Veitch, którego twarz była tak blada, że przypominała teraz futra wspinających się ku nim psów. Usłyszeli, groźne kłapanie ogromnych kłów.

Church i Veitch odsunęli się od brzegu dachu i powstali, desperacko poszukując drogi ucieczki. Wokół siebie mieli pokryte łupkami spadziste dachy i szczyty zabytkowego domu, ale uciekać mogli tylko w jednym kierunku: dalej ku labiryntowi średniowiecznych uliczek, tak wąskich, że można je przebiec, pozostając niezauważonym.

Veitch pobiegł pierwszy, ślizgając się i tracąc równowagę na łupkowym dachu. Church dziękował Bogu, że tego dnia nie padał deszcz, bo z mokrego dachu prawie na pewno ześlizgnęliby się i spadli, niemniej jednak musieli biec niebezpiecznie blisko rynien. Posuwali się po dachach z jednego domu na drugi.

Church nie miał lęku wysokości, ale strach ścisnął mu serce za każdym razem, kiedy spoglądał w dół na ulice. Kręciło mu się w głowie tak mocno, że w każdej chwili mógł utracić przytomność albo się potknąć.

Na ziemi podążali za nimi jeźdźcy Dzikich Zastępów, w każdej chwili gotowi złapać zwierzynę, gdyby jeden z uciekinierów spadł z dachu. Za plecami Church słyszał stukanie psich pazurów, które podciągały się właśnie ponad rynkami i wchodziły na dach. Church mimowolnie obejrzał się za siebie i zobaczył całą sforę białych psów wspinających się na dachy. W świetle księżyca bestie wyglądały jak małe widma. Słysząc było ich groźne pomruki i zgrzyt zębów.

Church z podziwem obserwował, jak skupiony jest Veitch na ich ucieczce. Kiedy otworzyła się przed nimi ulica, zatrzymał się, cofnął o kilka kroków i przeskoczył ponad przepaścią, cudem chwytając się czegoś na śliskim dachu po drugiej stronie.

Odwrócił się do Churcha i skinął na niego.

— Chodź! Zaraz cię dostanę!

Church spojrział w dół i od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Był tylko jeden sposób na opanowanie paralizującego strachu i zawrotów głowy: kiedy usłyszał za sobą pierwsze psy, zamknął oczy i skoczył na ślepo. Przez chwilę leciał przez pustkę, słuchając wiatru gwizdającego mu w uszach, a potem pod stopami poczuł dach po drugiej stronie ulicy. Nie miał jednak czasu na poczucie ulgi, gdyż okazało się, że wylądował pod złym kątem i machając rękami przewraca się teraz do tyłu.

Veitch w ostatniej chwili złapał go za kurtkę i pociągnął, po czym obaj opadli na dachówki.

— Następnym razem nie zamykaj oczu – warknął Veitch.

Kątem oka Church dostrzegł, że goniące ich psy też

przeskakują ponad ulicą. Razem z Veitchem zaczęli desperacko wspinać się po spadzistym dachu. Kilka bestii nie doskoczyło do ich domu i spadło z żalosnym wyciem, następne jednak uczepliły się rynny i z wysiłkiem włąziły teraz na dach za uciekinierami.

Church tracił dech ze strachu i wyczerpania. Psy nie dawały im ani chwili na odpoczynek, a kłapanie ich zębów było słychać tak blisko, że złapałyby go, gdyby zatrzymał się choćby na chwilę. Gdy dobiegli do kolejnej ulicy, Veitch bez wahania przeskoczył na drugą stronę i znów cudem zdołał się uczeplić dachu. Church z ulgą rozpoznał kwartał domów, w którym stał ich hotel.

Tym razem i on nie zatrzymał się przed skokiem. Jeden z psówomal nie zanurzył kłów w jego nodze; jego szczeka zamknęła się tak blisko, że poczuł na skórze oddech goniącej go bestii. Skacząc, ku swojemu przerażeniu poślizgnął się i stracił pęd. Znów zamknął oczy ze strachu, ale cudem udało mu się złapać rękami za rynnę po drugiej stronie. Stalowe koryto niebezpiecznie zaskrzypiało i wygięło się.

Veitch starał się go dosięgnąć, ale zanim zdążył się zbliżyć, zaczepy puściły i Church, runął w przepaść, nie wypuszczając rynny z rąk.

Właśnie to uratowało mu życie. Stalowe rury zahamowały upadek na tyle, że uderzywszy o bruk tylko na chwilę stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, ze wszystkich stron otaczali go Myśliwi.

Konie brutalnie poszturchiwały go kopytami, a kiedy zobaczył ich ostre kły, zaczął się zastanawiać, czy jeźdźcy nie pozwolą czasem swoim wierzchowcom zjeść go żywcem. Potem Król Olch zsiadł z konia i wielkimi krokami podszedł do Churcha, który po raz pierwszy ujrział jego okropną, nieruchomą twarz i jarzące się

czerwienią oczy. Przywódca Pogoni stanął okrakiem ponad Churchem i przytknął zakrzywione ostrze swojej włóczni do jego piersi. Nawet przez kurtkę mógł wyczuć zimno stali.

Król powoli pochylił się i jego twarz była tak blisko, że Church mógł dostrzec na niej łuski, przywodzące na myśl te na skórze Fomorian, ale jednocześnie zupełnie do nich niepodobne. Oczy Króla Olch były dla Churcha zupełnie niepojęte, tak obce i pozbawione uczuć.

Podobnie jak w izbie tortur Calatina, Church poczuł w obliczu śmierci dziwny spokój. Zamknął oczy i w tej samej chwili poczuł cięcia włóczni na swojej piersi.

Dopiero po chwili zorientował się, że nie umiera. Kiedy otworzył oczy, pod rozciętą kurtką zobaczył na swojej piersi dwie głębokie szramy, krwawy krzyż. Nie mógł tego zrozumieć, ale Król Olch nic więcej mu nie zrobił.

Church uniósł się na łokciach i z osłupieniem patrzył, jak Król Olch wsiada na swojego wierzchowca i prowadzi Dzikie Zastępy ku wylotowi ulicy. Jeszcze raz zagrzmiał jego róg i z dachów zbiegła na ziemię sfora, by podążyć za Myśliwymi.

Król Olch jeszcze raz obejrzał się i rzucił Churchowi spojrzenie, od którego zastygła mu w żyłach krew. Dzika Pogoń ruszyła galopem i razem ze sforą znikła za rogiem. W chwilę później ucichł tętent kopyt i na ulicy zapadła cisza, jakby Myśliwych nigdy tu nie było. Teraz, gdy minęło bezpośrednie zagrożenie, Church dopiero poczuł przyszywający mu pierś ból. Pod wpływem wstrząsu osunął się na ulicę i zemdlał.

ROZDZIAŁ 17

WISZĄCE GŁOWY

Veitch zgramolił się z dachu, nie mogąc zrozumieć tego, co stało się. Kiedy zobaczył, że Church poślizgnął się, był pewien, że jego przyjaciel zaraz zginie, jeśli nie od upadku, to rozszarpany przez sforę Pogoni. Church jednak leżał na pustej ulicy, oszołomiony, ale żywy. To nie miało sensu.

Obawiając się, że Myśliwi mogą jeszcze powrócić, Veitch szybko sprawdził, czy Church nie doznał jakichś poważnych obrażeń, po czym na plecach zaniósł go do hoteliku. Właściciel spojrzał na nich podejrzliwie, ale nic nie powiedział; nie takie rzeczy już widział.

W pokoju Toma reszta grupy powitała ich z ulgą, a jednocześnie z irytacją, że nie wrócili wcześniej.

— Typowe męskie mózgi ogłupione testosteronem – kpiła Laura. – Zostaniemy do późna w pubie i upijemy się, a potem pokażemy wszystkim, jacy jesteśmy dzielni.

Kiedy Shavi opatrywał ranę na piersi Churcha, Veitch próbował im wytłumaczyć, co się stało. Tom słuchał tej opowieści leżąc w łóżku i nic nie mówiąc.

— Oni się was bali? – zapytała Ruth, która wyglądała na zmęczoną i bliską załamania nerwowego.

— Może chcieli was tylko przestraszyć? – zasugerował Shavi.

— Demonstracja siły.

— Częściowo tak – zgodził się Church, starając się nie zwracać uwagi na ból przeszywający klatkę piersiową. – Ale wydaje mi się też, że im nie wolno było mnie zabić.

— Nie rozumiem? – Ruth uklękła obok niego i spojrzała mu w oczy.

— Gonili mnie kierowani instynktem, ale kiedy wpadłem w ich ręce, musieli się powstrzymać, bo Fomorianie chcą nas dostać żywcem. – Church zamknął oczy i rozparł się na fotelu. Wciąż miał zawroty głowy. – Fomorianie sami nie mogą nawet dotknąć insygniów, chyba że dostaną je w jakimś opakowaniu. Wiedzą jednak, że te przedmioty są dla nich niebezpieczne...

— ...więc czekają, aż odwalimy za nich brudną robotę, a potem nam je zabiorą – dokończyła Ruth. – Wysługują się nami.

— Właśnie dlatego pozwolili nam uciec z kopalni – dodał Church. – Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie pilnowali kamienia i Latarni Drogi, skoro mają one tak wielką wartość. A oni po prostu pozwolili nam biegać tunelami, aż znaleźliśmy insygnia, wzięliśmy je i dotarliśmy do wyjścia. Wydawało się nam, że udało się nam ich przechytrzyć i poszliśmy dalej zadowoleni z siebie, a tak naprawdę to robiliśmy cały czas to, czego oni chcieli.

— Ale ten gościu od wron naprawdę chciał nas zabić – powiedział z powątpiewaniem w głosie Veitch. – On się nie czał.

— Tak, ale Tom powiedział, że wśród nich są różne grupy, które walczą o władzę. Mollecht prawdopodobnie stara się pokrzyżować Calatinowi plany, a jednocześnie zyskać na prestiżu, jeśli uda się mu nas wykończyć. – Church spojrzał na Toma, oczekując dalszych wyjaśnień, ale ten tylko przewrócił się na plecy i zasłonił oczy ręką. Wydawało się, że przechodzą go dreszcze, jakby miał gorączkę.

— Czyli oni walczą między sobą, jak jacyś Borgiowie. – Ruth zamknęła oczy, do których cisnęły się łzy. Church wyciągnął do niej rękę, ale odsunęła się, potrząsając głową, a potem powiedziała: — Cały czas myśleliśmy, że nam się coś udaje, cieszyliśmy się z małych zwycięstw – a oni nam po prostu pozwalali na to wszystko. Niczego sami nie dokonaliśmy.

— Złudzenie wolnej woli – odezwał się Shavi. Zabrzmiało to bardziej gorzko, niżby sobie życzył.

— Pędzili nas jak owce. – Ruth utkwiała wzrok w oknie, nie zdradzając swoich myśli.

— I wciąż nie rozumiemy, jaki jest ostateczny cel tej zabawy – dodał Shavi, opatrując ranę Churcha. Nacięcia na piersi nie były zbyt głębokie. – Wygląda na to, że czują się pewnie i są silni. W każdej chwili mogliby rozpocząć atak.

— Widziałeś ich – ponuro odparł Veitch. – Kto mógłby im coś zrobić? Gliny? Armia? Przecież nie mają szans. Wszystko się skończy po jednym dniu.

Church skrzywił się, poczuwszy kolejne ukłucie bólu w ranie.

— W takim razie miejmy nadzieję, że Danann wykonają naszą brudną robotę.

Laura przygotowała sobie kubek czarnej kawy.

— Rozumiem, że jak znajdziemy ostatni fant, to dopiero mamy zacząć się martwić. Wtedy naprawdę staniemy się zwierzyną.

Nikt nie odpowiedział. Atmosfera w pokoju stężała od napięcia. Wszyscy z obawą myśleli o nadchodzącym dniu.



Church siedział przy oknie, wpatrując się w czarną, falującą

połąć zatoki. Wszyscy już spali w swoich pokojach. Przez pewien czas siedział nieruchomo, po czym wyjął spod kurtki Czarną Różę, mając nadzieję, że znajdzie w niej pocieszenie. Kwiat był dla niego ucieleśnieniem Marianny i wszystkiego, co ukochana dla niego znaczyła i co zostało mu odebrane.

— Proszę – wyszeptał do Róży. – Powiedziałaś mi swoje imię, kiedy cię odnalazłem. Powiedz mi coś jeszcze.

Ta dziecinna prośba była dowodem słabości i Church nie wiedział nawet, w jaki sposób miałyby zostać spełniona – czy Marianna ma usłyszeć jego głos i naprawić całe zło? – ale kiedy odpowiedziała mu tylko dzwoniąca w uszach cisza, poczuł się jeszcze bardziej samotny i zdruzgotany. Dopiero wtedy zauważył na płatkach Róży delikatny biały nalot, który przypominał szron. Ta zmiana zaniepokoiła go i, kiedy zasnął, napełniła jego sen obrazami znanych mu ludzi umierających z zimna pod wielkimi zaspami gnanego wichrem śniegu.



Ranek był słoneczny i ciepły. Obudziły ich krzyki kołujących nad zatoką mew i kojący szum fal na pokrytej złotym piaskiem plaży. Wszyscy, wciąż w minorowych nastrojach, zebrali się w pokoju Toma. Na ekranie telewizora, w którym ktoś wyłączył dźwięk, leciały właśnie lokalne wiadomości. Church zauważył nagle coś ciekawego i sięgnął po pilota, żeby zrobić głośniej. Doniesienia o policyjnych i wojskowych blokadach przypomniały im o zamkniętej autostradzie, z której musieli zjechać koło Cardiff.

— ...twierdzi, że chmura trujących chemikaliów, które

wydostały się z fabryki Pearson Solutions na wyspie Barry, rozproszyła się. Dzięki działaniom policji i wojska większość ludności na zagrożonym obszarze otrzymała pomoc i została ewakuowana. Według przedstawicieli władz ta zakrojona na szeroką skalę operacja zakończyła się całkowitym sukcesem. Jak powiedział...

Church wyłączył dźwięk i rzucił pilota na stolik obok telewizora.

— Wierzycie w to? – zapytał Veitch.

Church poczuł się nagle zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać.

— Nie wiem, może to jednak prawda.

Laura potrząsnęła zdecydowanie głową: — Telewizja zawsze kłamie.

Nagle wszyscy zadrżeli, gdyż z głośnika telewizora buchnęła salwa szalonego śmiechu, po czym urządzenie zabrzęczało i wyłączyło się. Shavi zauważył, że nie działało również stojące przy łóżku radio.

— Technika pada – powiedział. Ruth zaklęła pod nosem.

— Ja tego nie chwytam – odezwał się Veitch. – Czy te palanty włączają wszystko i wyłączają, żeby nas zdenerwować?

— Myślę – odrzekł Shavi – że świat zmienia się teraz gwałtownie, ale te zmiany czasem cofają się, potem zaczynają zmierzać w innym kierunku. Są nieprzewidywalne.

Veitch wydawał się jeszcze bardziej zaniepokojony po tej odpowiedzi.

— Czas sprzedać komputer i komórkę – powiedziała Laura. – Jeszcze trochę i nikt nie będzie już chciał kupić tych śmieci.



Prąd wrócił dość wcześnie, by można było przygotować śniadanie, które zjedli w pobliskiej restauracji. Nikt nic nie mówił. Potem wzięli z pokoju skrzynię z insygniami i udali się do przystani, skąd za chwilę miał odpłynąć pierwszy prom na wyspę Caldey. Weszli na pokład jako pierwsi, potem dołączyła do nich jakaś para z bliźniakami w wieku przedszkolnym. Morze było spokojne i promem nie kołysało zbyt mocno. Kiedy minęli skaliste brzegi St. Catherine's Island, na której wznosił się dziewiętnastowieczny fort, o trzy mile przed nimi wyrosła wyspa Caldey, zielona i zalana słońcem.

W pół drogi do wyspy jedno z bliźniąt, które stało przy relingu i wpatrywało się w fale, krzyknęło nagle podnieconym głosem: — Mamo! Ktoś tam płynie!

Matka zaśmiała się i pogładziła dziecko po głowie.

— Tak, tak, kochanie. Nie stój tak przy tej barierce, bo jeszcze wpadniesz do wody!

Chłopczyk chciał zaprotestować, ale uciszyło go surowe spojrzenie ojca.

Veitch ukradkiem wyjrzał za burzę, nie chcąc, by ktoś zauważył, że interesuje go fauna morska i, ku swojemu zaskoczeniu, rzeczywiście dostrzegł pływaka, a nawet całą grupę walczących z falami ludzi. Veitch doliczył się pięciu sylwetek, płynących kilka metrów pod poziomem wody, co było dziwne, gdyż żaden z pływaków nie miał na sobie sprzętu do nurkowania. Mimo upływającego czasu nie wynurzali się, by zaczerpnąć powietrza i płynęli niezwykle szybko, z łatwością doganiając prom.

Postanowił powiedzieć innym o tym, co zobaczył, ale wtedy kilka postaci wynurzyło się i Veitch zobaczył, że są to kobiety,

bezwstydnie obnażone do pasa. Ich skóra była dziwnie zielonkawa i półprzezroczysta, niemal tego samego koloru co woda wokół nich, a na falach kołysały się długie pasma ich błękitnych włosów. Poniżej pasa ich ciało, pokryte łuskami, przypominało długi ogon z płetwą, jak u skalara. Kiedy wyskakiwały z morza i obracały na falach, Veitch dostrzegł pod błękitnymi puklami skrzela, otwierające się na szyi pod uszami dziwnych istot.

Mimo dziwaczного wyglądu, były oszałamiająco piękne. Veitch zrozumiał, dlaczego dawni żeglarze tak łatwo ulegali wdziękom syren, za którymi rzucali się w fale, by utonąć. Jedna z nich zauważyła wzrok Veitcha i podpłynęła tuż pod powierzchnię wody, po czym przewróciła się na plecy i posłała mu uśmiech tak słodki, że zaczęło mu się kręcić w głowie. Odwzajemnił uśmiech, co najwyraźniej bardzo ucieszyło syrenę, która złożyła swe pełne usta i posłała pocałunek, po czym zanurkowała z powrotem do swoich towarzyszek.

— Na co się tak gapisz – zapytała Laura zaniepokojona. – Tylko się nam tu nie rzucaj do wody!

Veitch odwrócił się do niej i, ku jej zaskoczeniu, też posłał jej pełen słodczy uśmiech. Zastanowił się, czy nie powiedzieć innym, o tym co zobaczył, ale postanowił milczeć. To był jego własny, prywatny cud, chwila niezmiernego zachwytu, o której do końca życia zachowa w sercu miłe wspomnienie.

Kiedy prom zacumował przy betonowym nabrzeżu, podróżnicy ruszyli krętą ścieżką ku ogrodowi, który otaczał białe mury krytego pomarańczową dachówką klasztoru.

— Ten, kto pochował te insygnia, najwyraźniej lubił religię, prawda? – Ruth uśmiechnęła się w zamyśleniu. – Pogańską, celtycką, chrześcijańską. Prawdziwie ekumeniczny duch.

— Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? – zapytał Veitch.

— Już ci odpowie! – kpiła Laura. Veitch spojrział na nią ponuro. Minęli przydrożną kapliczkę, a potem Latarnia Drogi nakazała im nagle skręcić na zachód. Ścieżki prowadzące w tamtym kierunku były mniej wydeptane, a krajobraz gęściej pokryty krzakami i drzewami. Upał nadawał temu miejscu niemal klaustrofobiczną atmosferę, a w powietrzu unosiły się chmary muszek, których nie zdążyły jeszcze przetrzebić ćwierkające w drzewach ptaki. Idąc, odczuwali coraz większy niepokój. Rana na piersi Churcha kłuła i swędziała, a ukryta w wewnętrznej kieszeni *Roisin Dubh* wydawała się sięgać lodowatym dotykiem ku sercu.

Coraz węższa ścieżka zabrała ich w końcu nad opuszczoną plażę otoczoną niewielkim zagajnikiem. Shavi stanął pośród turkusowych i żółtych kęp kolcolistu i, przysłaniając dłonią oczy, spojrział na błyszczące w słońcu grzebienie fal.

— Pięknie – powiedział.

— Ciesz się, póki masz czas – powiedział Church i spojrział na Tomę, który zatrzymał się za nimi i ocierał czoło chusteczką. – Wszystko w porządku?

Tamten skinął głową, ale jego spojrzenie było pełne niepokoju i rozkojarzenia.

Church poprowadził ich dalej krętą ścieżką, która schodziła ku plaży. W połowie drogi zauważył, że promień latarni wskazuje na kępę drzew na występie w stromej skarpie nad plażą. Gęste zarośla wokół drzew wskazywały na to, że nikogo wśród nich od dawna nie było. Church skinął głową w ich kierunku.

— Jeśli ta włócznia jest tak ważna, to dlaczego zostawili ją w jakimś lasku, gdzie każdy może ją znaleźć? – zapytał Veitch, jednocześnie uważnie przeszukując wzrokiem okolicę, w której

mogło się czaić niebezpieczeństwo.

— Na pewno nie każdy może ją znaleźć – odrzekł Tom.

— Cóż, my mamy podobno szczęście – powiedział Church, przedzierając się przez sięgające do pasa zarośla.

Kilka metrów od drzew zauważył, że nagle zmieniło się ciśnienie i temperatura, jakby przebił się przez niewidzialny bąbel powietrza. W ustach poczuł metaliczny smak, a w powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby kawy. Na skraju zagajnika poczuł przechodzące po plecach ciarki.

— Tam jest coś białego – z niepokojem zauważyła Ruth. Church starał się przeniknąć gęstwinę wzrokiem i też dostrzegł jakieś niewyraźne kształty. Nie mógł jednak zobaczyć, co to było.

— Doradzam ostrożność – odezwał się Tom.

— Może jeszcze nam doradź, żebyśmy nie zapomnieli oddychać, co? – Laura ruszyła w kierunku drzew.

Church pochylił się i ostrożnie szedł dalej, nie spuszczać wzroku z ciemnych, niewyraźnych kształtów między drzewami. Kiedy był dość blisko, by poczuć zapach liści, zrozumiał wreszcie, czym są zwisające z gałęzi przedmioty, jarzące się słabym światłem jak chińskie latarnie.

— O Boże! – Ruth wydała stłumiony okrzyk, zanim Church zdążył cokolwiek powiedzieć.

Na drzewach wisiały ludzkie głowy. Martwe spojrzenia, otwarte usta, niektóre twarze na wpół zarośnięte bluszczem. Część głów nie zaczęła się jeszcze rozkładać, jakby ktoś zawiesił je tu jeszcze poprzedniego dnia, inne były już tak zielone jak obrastające je liście. Głowy mężczyzn, kobiet, dzieci i starych ludzi.

— *Mondo disgusto!* – zawołała Laura, zatykając sobie nos.

— Celtowie czcili ludzkie głowy. Uważali je za źródła

magicznej mocy. Zawsze trzymali na widoku głowy nieprzyjaciół – powiedział Church i zamilkł, bo nie wiedział, czy powinien mówić dalej.

— Nie mamy wyboru – odezwał się Shavi, jakby czytał myśli Churcha.

Church zebrał się w sobie i wkroczył w cień drzew. Zapach głów był jeszcze ostrzejszy przez panujący tego dnia upał, co zmuszało ich do wstrzymania oddechu i zasłonięcia ust dłońmi. Ruth z trudem powstrzymywała wymioty.

Wydawało się, że weszli do innego świata; wszystko było nieostre, światło padało w dziwny sposób i rzucało niezwykle cienie, zbyt ciemne, by w nich cokolwiek dostrzec.

— Marianna miała kogoś innego.

Church zamarł. Głos, który usłyszeli, był ochryply, jakby ktoś odezwał się po raz pierwszy od wielu dni. Powoli odwrócił się i spojrzał w twarz zielonej, pokrytej plamami głowy. Martwe oczy nie odpowiedziały na jego spojrzenie, ale usta wykrzywiły się i padły z nich nowe, dręczące go słowa: – Zabiła się, bo bała się ci o tym powiedzieć.

— Nie słuchaj! – usłyszeli z tyłu głos Toma. – To kłamstwa, które mają cię rozproszyć! To twoje własne myśli, wyjęte ci z głowy.

— Skoro jesteś taki mądry, to dlaczego nigdy nie idziesz z przodu – warknął Church.

— Twojemu wujowi rozerwało brzuch – odezwała się kolejna głowa, kiedy przechodziła obok niej Ruth. – Ryan patrzył na to i się śmiał.

Oczy Ruth wypełniły się łzami i nagle odwróciła się ku Veitchowi. Ten gwałtownie potrząsnął głową, co jednak nie stłumiło palającej w jej oczach nienawiści. Opuściła wzrok i

ruszyła dalej.

Później słyszeli jeszcze inne słowa. Niektóre były skierowane do Churcha, który nie mógł ich dłużej znieść i musiał zatkać uszy. Mówiące głowy były wszędzie wokół nich. Zagajnik okazał się znacznie większy niż to się z zewnątrz wydawało, a ohydne ozdoby wisały na każdej gałęzi. Church zastanawiał się, czy nie są pokłosiem zebranych po jakiejś krwawej bitwie. Im dalej szli, tym gęściej rosły drzewa i głowy zaczęły w końcu za każdym krokiem ocierać się o ich twarze i ramiona. Potem kołysały się długo, jak jakieś makabryczne ozdoby choinkowe. Ze wszystkich stron słyszeli raniące ich słowa, czasem wypowiedane głośno, kiedy indziej obrzydliwym szeptem, od czasu do czasu przerywane przerażającym okrzykiem, od którego ścinała im się krew. Wydawało im się, że zaraz uduszą się pośród fal głosów, w których tonęły ich dusze.

Mimo psychicznych ciosów, jakie musieli wytrzymywać, z determinacją posuwali się naprzód. Potem nagle coś poruszyło się wśród gałęzi, jakby głowy albo kierująca nimi siła, postanowiły zmienić taktykę... Głowa najbliższej Churcha przysunęła się do niego i zacisnęła szczęki na jego ramieniu. Ten krzyknął z bólu i ze wstrętem starał się oderwać głowę, ale wgryzała się coraz mocniej. Kiedy wydawało się mu, że będzie musiał ją oderwać razem z kawałkiem własnego mięśnia, z tyłu podszedł do niego Veitch, pociągnął za spust. Church poczuł na swoim ciele kawałki kości i mózgu z przestrelonej głowy, której szczeka nagle rozluźniła się i opadła na ziemię.

— Jezu! – krzyknęła Ruth. – Ty cały czas masz przy sobie broń, do cholery!

Veitch nie miał jednak czasu na odpowiedź. Wszystkie głowy zaczęły nagle ogłuszająco głośno krzyczeć i zaciskać szczęki,

starając wgryźć się w cokolwiek w pobliżu. W tej części zagajnika wisiały tak gęsto, że trudno było się pomiędzy nimi przecisnąć. Każdy, kto stałby teraz nieruchomo, zostałby od razu rozszarpany na strzępy.

Church pochylił się i popędził naprzód, a pozostali podążyli za nim, klnąc i roztrącając głowy bez przerwy zadawanymi ciosami. Już po kilku krokach, wszystkie odsłonięte części ich ciał pokryły się krwawymi śladami po ukąszeniach.

W końcu, kiedy zaczęli wątpić, czy wyjdą z tego żywi, wybiegli nagle na wolną od głów, pustą przestrzeń pokrytą biotem i wilgotnymi liśćmi. Gdy tylko znaleźli się na tej polanie, wszystkie głowy znieruchomiały, jakby ktoś nagle wyłączył prąd.

Przez baldachim liści przebijały się promienie słońca oświetlające niewielki krąg w centrum polany, jak reflektor w teatrze. W miejscu tym leżał przedmiot wyglądający jak długi drąg pokryty jakimś drobnym pismem.

— To ta włócznia? – zapytał Veitch. – Ale gdzie jest to, co najważniejsze?

Church zobaczył, dlaczego Veitch pyta; na zakończeniu drzewca widać było ślady po usuniętym grocie.

— Myślałem, że to będzie już koniec – powiedział zniechęconym głosem.

— Druga część włóczni musi być gdzieś w okolicy, ale nie tutaj – odrzekł Tom, przecierając pobryzgane krwią okulary. – Jest ona potężną bronią i obie części trzeba było rozdzielić, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Są jednak ze sobą w pewien sposób połączone i nie mogą leżeć zbyt daleko od siebie.

— Znasz wszystkie odpowiedzi, oprócz tych, które naprawdę mogłyby nam pomóc – lodowatym tonem odparł Church. Podniósł włócznię, która wydawała się śpiewać w jego dłoniach i

przyjrzał się dziwnym znakom. – Wygląda jak pismo ogamiczne.

— Nie, to przecież znaki arabskie – poprawił go Shavi. – Nie widzisz tych zawijasów?

— Jakich zawijasów?

— To przecież greckie pismo – powiedziała Laura, która wcisnęła się między nich.

— Nie, rosyjskie! – poprawiła ją Ruth.

Church potrząsnął głową i zważył broń w dłoniach.

— Co mam z tym zrobić? Przecież nie zmieści się w skrzynce.

— Noś ze sobą – zaproponował Shavi. – Wygląda jak laska.

— A jak ją uszkodzę?

Tom prychnął pogardliwie.

— No rzeczywiście – zgodził się Church. – Jestem głupi. Przecież to leży tu od tysiący lat i pewnie jest niezniszczalne. Wygląda jak kawałek drewna, ale wcale nim nie jest. A teraz wynośmy się stąd.

Stanęli na brzegu polany, z obawą patrząc na kołyszące się na gałęziach głowy, ale nie było innej możliwości powrotu. Po drugiej stronie drogę zagradały im gęste kępy głogu i jeżyn. W końcu Veitch wyszedł przed nich i zanurkował w gąszcz wiszących głów. Church rzucił się za nim. Byli tak podnieceni, że dopiero przebiegli kilka kroków, zanim zauważyli, że głowy nie poruszają się. Mimo to, starali się jak najszybciej przejść przez wypełnioną trupim smrodem część zagajnika. Nie oglądali się za siebie, dopóki nie znaleźli się z powrotem w kotlinie ponad plażą. Zeszli ku brzegowi, obmyli się z krwi i przetarli rany, a potem odpoczęli, leżąc na piasku i starając się uspokoić.

Kiedy poczuli się trochę lepiej, Church wyjął Latarnię Drogi, jak miał nadzieję, po raz ostatni. Promień wskazywał jakiś punkt na stałym lądzie. Church spojrzął na zegarek, właśnie minęła

dwunasta.

— Jeśli się pośpieszymy, to może uda nam się znaleźć ten grot przed zmrokiem.

Znalazłszy się z powrotem na stałym lądzie, zebrali cały swój dobytek w furgonetce i wyjechali z miasta szosą wijącą się wzdłuż wybrzeża przez piękny, dziewiczy krajobraz. Po kilku milach promień latarni nakazał im skręcić w boczną drogę, którą dotarli do sennej wsi Manorbier, gdzie kupili prowiant. Podążając za błękitnym promieniem, dotarli na koniec porośniętej drzewami alei i znaleźli się w kolejnej zatoczce. Zostawili samochód na dużym, niemal pustym parkingu i zeszli na kamienistą plażę, gdzie promień Latarni powrócił do neutralnej pozycji.

— Dokąd teraz? – zapytała Laura.

Shavi wskazał na ruiny zamku widoczne pośród drzew.

Siedząc w furgonetce, zjedli zakupione wcześniej rzeczy i, odzyskawszy humor, zaczęli wesoło się przekomarzać, zadowoleni z sukcesu odniesionego na wyspie. Z Churchem i Ruth na czele grupy, ruszyli w kierunku ruin dwunastowiecznego zamku, znajdujących się na szczycie urwiska z czerwonego piaskowca. Zamek stanowił własność prywatną i jego część wciąż była zamieszkana. W obrębie murów ujrzeli połąć trawnika wielkości boiska do piłki nożnej. Tom wszedł do niewielkiego sklepu dla turystów i kupił przewodnik. Usiadłszy na drewnianej ławce i zapaliwszy jointa, zagłębił się w lekturze. Pozostali rozeszli się po ruinach, poszukując jakiegoś znaku, który ułatwiłby dalsze poszukiwania.

Pół godziny później, bez powodzenia przeszukawszy cały obręb murów, spotkali się w cieniu zamkowej kaplicy.

— Wiedziałem, że szło nam zbyt dobrze – powiedział Church, z

niepokojem patrząc na zegarek.

— A czego oczekiwałeś, kolorowych strzałek? – kpiła Laura. – Przecież te rzeczy są ukryte, tak żeby ich nikt nie znalazł.

— Ale w naszym przypadku jest inaczej, rozumiesz? – odparł poirytowanym tonem. – Mamy je znaleźć i znajdziemy je.

— Ej, ty się robisz nieprzyjemny – zjeżyła się Laura. – Od kiedy jesteś naszym królem, co?

— Przepraszam.

Pod wpływem napięcia wszyscy stali się drażliwi. Church widział to na ich twarzach, w mowie ich ciał. Obawiał się, że jeśli się nie uspokoją, to grupa rozpadnie się.

— Poszukamy jeszcze raz.

— Może jesteśmy w złym miejscu – zasugerował Veitch. – Równie dobrze może być zakopane pod parkingiem.

Church potrząsnął głową.

— To miejsce pasuje do poprzednich. To musi być tutaj.

Ruth spojrzała na Shaviego i zapytała: – Może ty coś zrobisz? Tak jak w Glastonbury.

Shavi z niechęcią przypomniał sobie transowe doświadczenie, które tyle go kosztowało. Obawiał się wtedy, że ulegnie siłom, które rozpętał, i zginie. Nie podzielił się swoimi wątpliwościami.

— Wydaje mi się, że mam pewne zdolności magiczne – wyjaśnił, patrząc na pytające spojrzenie Churcha. – W sprzyjających warunkach, kiedy mam odpowiedni nastrój, potrafię komunikować się ze światem niewidzialnym.

Veitch spojrzał na niego jak na szaleńca.

— Co? Gadasz z duchami?

— Wszystko ma w sobie jakiegoś ducha, Ryan. Ludzie, zwierzęta, zjawy. Przez wieki szamani kontaktowali się z nimi w poszukiwaniu wiedzy.

Veitch prychnął kpiąco.

— Zawsze czułem, że mam jakieś zdolności, ale nie były one rozwinięte ani wyćwiczone. Jednak od czasu, jak świat zaczął się zmieniać, stały się coraz większe.

— Myślę, że wszyscy przystosowujemy się do nowego świata – powiedziała Ruth. W jej głosie usłyszeli coś niepokojącego.

— Po prostu osiągniecie swój potencjał – wyjaśnił Tom. – Właśnie dlatego zostaliście wybrani.

— Żeby osiągnąć potencjał, trzeba najpierw przeżyć – z irytacją odparł Church. – Przecież takim gadaniem do niczego nie dojdziemy. Shavi, jeśli możesz coś zrobić, zrób to teraz. Jeśli nie, to zabierajmy się za szukanie.

Shavi zgodził się w końcu znaleźć jakieś spokojne miejsce i wprowadzić się trans. Pozostali mieli w tym czasie kontynuować poszukiwania. Razem z Churchem usiadł w kącie zrujnowanej komnaty, w miejscu porośniętym ostem i kolcolistem. Ponad nimi wznosiła się prowadząca donikąd pozostałość schodów.

— Zwykle robię to sam – powiedział Shavi, biorąc do ust kilka grzybów, które wyjął z plastikowego woreczka ukrytego w wewnętrznej kieszeni. – Ale dzisiaj nie mamy czasu na odpoczynek po transie. Po wszystkim będę tak wyczerpany, że nie dam nawet rady wstać.

— Nie szkodzi. Warto spróbować, nawet jeśli będziemy cię potem musieli nosić na noszach – odrzekł Church. Usiadł na niskim murku, podczas gdy Shavi usiadł w pozycji lotosu pod ścianą komnaty. – To świństwo naprawdę działa?

— Czasami. Ale nigdy dokładnie tak, jak bym tego oczekiwał, choć zawsze warto próbować. To jest takie nieokreślone, nie do opisanego naukowym językiem. Jeśli są tutaj jakieś reguły, to nie mam pojęcia jakie.

— To chyba dotyczy całego nowego świata – znużonym głosem odrzekł Church.

— Zawsze tak było, Jack. Przedtem tylko okłamywaliśmy się albo słuchaliśmy duchownych i naukowców, którzy okłamywali sami siebie. Być może to najlepsza rzecz w tym nowym świecie: ludzie zaczną poszukiwać sensu życia w sobie samych.

— Masz bardzo optymistyczny pogląd na naturę ludzką – odparł Church, spoglądając ponad ruinami ku niebu. – Czasami wydaje mi się, że nie ma już żadnego sensu. Tylko serie przypadkowych zdarzeń. Chaos, który daje złudne poczucie, że kryje się za nim jakiś plan.

Shavi już nie słuchał, zanurzony w swym wewnętrznym świecie.



Przez jakieś pół godziny nic się nie działo. Church zaczął się niecierpliwic, patrząc na Shaviego, który siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami. Kiedy zamierzał już zrezygnować z dalszego czekania, usłyszał głos Shaviego, który mamrotał coś cicho, niemal niesłyszalnie. Church poczuł się nieswojo, gdyż najwyraźniej słuchał tylko jednej strony rozmowy.

— Tak.

— Szukamy czegoś, wiesz o tym.

— To prawda.

— Nie. Wszystkim z nas możesz zaufać.

— Dlaczego tak mówisz?

— Tak, jestem pewien. Poprowadzisz mnie do tego przedmiotu?

— Dobrze, biorę na siebie odpowiedzialność, jeśli coś pójdzie źle. Oczywiście.

— Tak.

— Czy znajdziemy to tutaj?

— Dziękuję ci za pokazanie mi drogi. Teraz muszę...

— Co chcesz mi pokazać?

— Ach!

Zapadła długa cisza, podczas której Church z zapartym tchem oczekiwał na dalszy ciąg niezwyklej rozmowy. Usta Shaviego zaczęły się trząść, jakby chciał coś powiedzieć... Church niecierpliwie pochylił się nad nim.

Nagle oczy Shaviego otworzyły się szeroko, a z jego ust wydobył się dziwny, stłumiony okrzyk. Church cofnął się przestraszony.

— Widzę! – wykrztusił Shavi. Z nosa pociekła mu krew. Church odzyskał panowanie nad sobą i zbliżył się do Shaviego, żeby podeprzeć go ramionami. Obawiał się, że przyjaciel dostał jakiegoś ataku.

— Jak się czujesz? Może sprowadzić ci lekarza?

Choć oczy Shaviego były otwarte, patrzył on na coś, czego Church nie widział.

— Widzę – powtórzył. – Idą przez cały kraj, jakby ktoś pokrywał ziemię czarnym całunem. Widzę ich! Są wszędzie! – Shavi głośno przełknął ślinę. – Miasto płonie! Na drodze tyle ciał, że musimy po nich chodzić. Żadnej nadziei, wszyscy zginęli. Co oni zrobili? Sprowadzili go z powrotem. Balor! – Shavi krztusił się krwią, która kapała mu z ust na kamienie. – Balor.

Church przeszedł dreszcz. Nagle wrócił myślami do podziemnej warowni. Znow usłyszał ochrypy głos Toma opowiadającego przerażającą historię Fomorian.

— Balor – powtórzył przestraszonym głosem. Nieżyjący od wieków przywódca Fomorian, potężny, zły potwór. Jednooki bóg śmierci, który omal nie zniszczył świata.

Church podtrzymał lecącego mu przez ręce Shaviego i podniósł go na nogi. Bał się go wyprowadzić na dziedziniec zamku, gdyż ktoś mógłby ich zobaczyć, ale jednocześnie kierował nim strach, że Shavi może dostać zapaści albo ataku serca. Kiedy, podtrzymując Shaviego, szedł dziedzińcem, ten zaczął odzyskiwać przytomność.

— Zostaw mnie – wychrypiał. – Już mi lepiej, lepiej... Potrzebuję tylko trochę czasu...

Church nie wiedział, co uczynić, ale protesty Shaviego brzmiały coraz bardziej zdecydowanie i postanowił spełnić jego życzenie. Posadził go przy ścianie i usiadł obok, oczekując, że Shavi zacznie zaraz wymiotować.

— Zaraz sprowadzę resztę – wyszeptał.

Kiedy się podniósł, Shavi chwycił go za nogę i wysyczał: – Pod mostem zwodzonym.

Potem otarł o spodnie uwalaną krwią rękę i znów stracił przytomność. Church opuścił go, obawiając się najgorszego.



— Ty też myślisz, że szukamy wiatru w polu? – Veitch dołączył do Laury na szczycie najwyższej wieży zamku. Wychyleni ponad flankami wpatrywali się w morze.

Twarz Laury, jej oczy, zasłonięte okularami przeciwsłonecznymi, nie zdradzały żadnych uczuć, ale po chwili na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiešek.

— Myślę, że znasz fajne zwroty językowe, tylko trochę banalne.

— Nie da się z tobą rozmawiać.

— Bo jesteś mordercą, a ludzie tego nie lubią.

Veitch był w dobrym nastroju, ale uwaga Laury zupełnie zepsuła mu humor.

— Masz ostry język – powiedział lodowatym tonem.

— To fajne, wiesz? Mogę nim wyciągać oliwki ze słoika.

Veitch potrząsnął głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Zawsze masz takie cwane odpowiedzi.

— A ty nigdy.

Laura wciąż się uśmiechała. Veitch nie wiedział, czy kpiła z niego, czy okazywała sympatię, ale pamiętając o swojej zbrodni obawiał się, że ma o nim jak najgorsze mniemanie.

— Jeśli nie chcesz...

— Słuchaj, nie bądź taki delikatny. Zastrześliś jakiegoś idiotę, więc teraz musisz sobie z tym dawać radę. Odpokutuj albo zapomnij, ale nie tarzaj się w tym gównie do końca życia. – Odwróciła się do niego plecami i wystawiła twarz do słońca.

Jej słowa dodały mu trochę otuchy, ale wciąż potrafił sobie wyobrazić, co Laura o nim myśli. Czuł się przy niej głupio i nieswojo, a jednocześnie pociągała go od chwili, gdy po raz pierwszy doświadczył jej ciętego humoru. Oparł się o flankę obok niej i zaczął szukać odpowiednich słów, żeby nawiązać z Laurą jakiś bliższy kontakt.

— Powiedz no, ciężko jest w tej drużynie, no nie? Straciliśmy całe nasze poprzednie życie.

— Co robić? Trzeba przez to przejść.

— A przyjaciele, rodzice?

— Przyjaciele to są ci goście, z którymi spędzasz najwięcej

czasu. A rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

— A nie miałaś chłopaka?

Laura spojrzała na niego z ukosa. Jej twarz przybrała kpiący wyraz. Veitch poczuł, że się rumieni.

— Rozumiem, że chciałeś być subtelny.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Veitch bronił się niezręcznie.

— Słuchaj, masz ładną buźkę i niezłe ciało, ale nie jesteś w moim typie, *comprende*? Bez obrazy, ale musimy to sobie wyjaśnić od razu, zanim dojdzie do jakiegoś głupiego nieporozumienia.

Veitch odwrócił wzrok, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

— No, nie obrażaj się...

— Wcale się nie obrażam. – Veitch poczuł nagłą irytację, widząc jej pobłażliwy uśmiech.

— Jeśli szukasz dziewczyny, to zawsze jest Gallagher, ale z nią to uważaj, bo się jeszcze poodmrażasz. Albo – zachichotała złośliwie – spróbuj z Shavim.

Veitch spojrzał na nią podejrzliwie.

— On jest ciotą?

— Biseks. – Laura spoważniała, zobaczywszy konsternację na twarzy Veitcha. – No, no, nie bądź taki uprzedzony. Skąd wiesz, może by ci było z nim dobrze?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Laura zauważyła na dziedzińcu Churcha i pomachała do niego. Widoczny na jej twarzy entuzjizm zdradzał, co czuła do ich przywódcy; było to pierwsze szczere uczucie, jakie zauważył u niej Veitch. Poczuł w sercu gorycz odrzucenia, która, zamiast minąć, tężała mu w piersi, kiedy podążał za Laurą biegnącą już w dół po schodach wieży.



Church zebrał resztę grupy w miejscu, gdzie leżał Shavi i wytłumaczył, co się stało. Shavi zatamował już krwotok z nosa, ale wciąż nie czuł się dobrze i miał zawroty głowy. Ruth uklękła obok niego i sprawdziła mu puls.

— Powinniśmy go zabrać do szpitala – powiedziała. Na jej twarzy widać było obawę. – Możliwe, że dostanie zaraz ataku padaczki. To się może zdarzyć po narkotykach.

— Myślę, że to nie od grzybów – odrzekł Church, który wciąż nie mógł przyjść do siebie po tym, co zobaczył. – To się zaczęło, kiedy miał jakąś apokaliptyczną wizję.

— Czy powiedział coś ważnego? – zapytał z obawą Tom.

— Daj spokój – zaprotestowała Ruth. – On potrzebuje pomocy!

— Ja mu mogę pomóc – uciął Tom. – Zostawcie go ze mną, a sami szukajcie dalej. Church, czy on powiedział coś ważnego?

Church starał się zachować spokój, kiedy odpowiadał: – Coś o nich, o Fomorianach. Coś jakby... inwazja. Że oni idą przez kraj i są wszędzie. I o ciałach zalegających na drogach, i o płonących miastach. – Z przerażeniem przypomniał sobie swoją własną wizję w Strażnicy; przedtem nie skojarzył jej ze słowami Shaviego. – Powiedział też, że sprowadzili Balora.

Tom zbladł.

Ruth zauważyła przerażenie na ich twarzach i zapytała: – Co to znaczy?

— Później będzie czas na wyjaśnienia – odparł Church. – Teraz najważniejsze jest poszukiwanie grotu. Shavi powiedział, żebyśmy szukali pod mostem zwodzonym. To ma sens – pierwsze trzy insygnia znaleźliśmy pod Avebury, pod Tintagel i pod

wzgórzem w Glastonbury.

Zostawił Toma z Shavim i poprowadził Laure, Ruth i Veitcha do bramy zamku. Choć najprościej byłoby zostawić skrzynkę z insygniami pod opieką Toma, po tym, co usłyszał od Shaviego, postanowił mieć ją cały czas przy sobie. Za stróżówką ześlizgnęli się po zarośniętym trawą przedmurzu na dno suchej fosy. Gdy znaleźli się pod mostem, z początku nic nie zauważyli, ale Church, przeszukawszy palcami murawę od strony zamku, wyczuł podłużny kształt. Wydawało się, że to tylko kamień, ale kiedy wygrzebał znalezisko spod ziemi, jego oczom ukazał się tkwiący w ziemi podłużny kamień w kształcie grotu.

Church sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje, po czym zaczął ciągnąć i wygrzebywać kamień z ziemi. W końcu, gdy zaczął się on poruszać, trysnęły błękitne iskry i ziemia otworzyła się, odsłaniając wejście do prowadzącego pod zamek tunelu. Kiedy pośpiesznie wślizgnęli się do środka, poczuli ten sam niepokój, co na Caldey. Drzwi w ziemi zamknęły się za nimi i zapadła całkowita ciemność.

Church wyjął Latarnię, która dawała im dość światła, żeby ruszyć w głąb ziemi wykutym w skale tunelem. Kamienne ściany błyszczały od wilgoci.

— Skoro te insygnia ukryto przed tysiącami lat, to zapewne nieprzypadkowo powstały później nad nimi różne budowle – z nabożną czcią odezwała się Ruth. Choć mówiła szeptem, jej głos niósł się w tunelu potężnym echem.

— Czująś przecież ich moc – odrzekł Church. – Kto wie, jaki wpływ miały na ludzi w przeszłości? Może przyciągały budowniczych?

Tunel doprowadził ich do kamiennej komory podobnej do tej w Tintagel.

— Jeśli zobaczycie jakieś dziury w ścianach, to nie wkładajcie do nich rąk – odezwał się Veitch poważnym tonem.

— Rzeczywiście, są dziury – zauważył Church, oświetlając jedną ze ścian. – Albo raczej nisze.

Na przeciwległej ścianie zobaczyli w rzędzie cztery różnych rozmiarów otwory. Veitch pierwszy podszedł do nich i zbadał je ostrożnie, wsuwając i wysuwając szybko ręce, aby nie zdążyła się na nich zacisnąć żadna pułapka.

— Na dnie każdego z nich jest jakieś wgłębienie – powiedział. – To jest okrągłe. – Podszedł do drugiego otworu. – To też. A to długie i wąskie. To też wąskie, ale nie tak długie.

Zamyślili się nad tym, co powiedział Veitch, a Ruth pierwsza wpadła na rozwiązanie zagadki: – Do nich pasują wszystkie insygnia. Nie można dostać grotu, jeśli nie przeszło się wszystkich poprzednich prób.

— No super, jakaś ty mądra – sarkastycznie odrzekła Laura. – Ciekawe czego mieliśmy się nauczyć w czasie tych prób. Na przykład ostatnio: nie gadaj z martwą głową, bo cię ugryzie, czy jak?

Church zignorował ją, zajęty wyciąganiem insygniów ze skrzynki. Z pomocą Veitcha umieścił kamień i kocioł w pierwszych dwóch otworach; pasowały doskonale. Miecz trafił do czwartego. Natomiast wyżłobienie w trzecim otworze pasowało do kompletnej włóczni razem z grotem. Church ostrożnie umieścił w nim drzewce i niemal natychmiast zapaliło się błękitne światło, a w miejscu brakującego grota otworzył się schowek, z którego wynurzyło się ostrze.

— Udało się! – triumfująco zawołał Church.

— Wiecie co, byłam prawie pewna, że rozlegną się fanfary – z uśmiechem powiedziała Ruth.

Veitch nie był już taki wesoły:

— Super, właśnie podpisaliśmy na siebie wyrok śmierci.

— Ej, nie bądź takim pesymistą – chłodnym tonem odparła Laura. – Zabierajmy to badziewie i wynośmy się stąd.

Szybko pozbierali insygnia; w chwili, gdy unieśli ostatni przedmiot z jego wyżłobienia, otworzyło się kolejne wyjście z komory. Za nim rozpoczynał się tunel, na którego końcu widać było błękit nieba.

— Ile jeszcze do zachodu słońca? – zapytał Veitch z niepokojem. Church spojrział na zegarek.

— Cztery godziny. Czasu w bród.

— Zależy, jak patrzeć. – Veitch już biegł tunelem ku wyjściu.



Nie wiedzieli, jakich mocy użył Tom, ale Shavi rzeczywiście czuł się lepiej, choć wciąż miał zawroty głowy i było mu niedobrze. Nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia turystów, Church i Veitch poprowadzili przyjaciela z powrotem do furgonetki.

— Dzisiejszej nocy raczej nie będzie z niego pożytku – powiedział Church.

— Nawet, jak się dobrze czuje, to nie nadaje się do walki – odparł Veitch. – Co teraz, uciekamy, czy bronimy się?

— Ja głosuję za ucieczką i to od razu – szybko powiedziała Laura. Veitch oczywiście nie zgodził się.

— A ja głosuję za obroną. Nie ma się co oszukiwać, jeśli będziemy wciąż uciekać, to nas w końcu złapią. Przecież oni tylko po to żyją.

— Zamknij się, macho. Co chcesz im zrobić? Pokazać, jakie masz mięśnie, żeby zemdleli ze strachu? – Laura dźgnęła go palcem w mostek tak mocno, że aż stracił równowagę.

Church powstrzymał ramieniem Veitcha, który gniewnie zwrócił się ku Laurze.

— On ma rację. Jeśli wciąż będziemy uciekać, to nie zajedziemy daleko.

— To co proponujesz? Mamy się na nich rzucić z pięściami?

Church z zadowoleniem zauważył w odsłoniętych oczach Laury prawdziwe emocje; ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

— Mamy cztery potężne insygnia. Na pewno można je jakoś wykorzystać.

— Co? Mamy ich użyć sami? – spytała Laura z powątpiewaniem w głosie.

— Może się uda.

— Chciałoby się.

— Podobno jesteście jakimiś przywódcami – powiedziała Ruth.

— Jasne – sarkastycznym tonem odparła Laura. – Popieprzona technomaniaczka, stary hipis, frygida z pogrzebaczem w dupie, narkoman–jasnowidz, młodociany morderca i – skinęła głową na Churcha – i on. Po prostu sami przywódcy.

— To co, mamy się położyć na ziemi i dać zabić, jak niewolnicy? – gniewnie odezwał się Veitch.

Laura pokazała mu język i poszła sobie. Church odczekał chwilę i poszedł za nią. Siedziała na trawie koło jakiejś furgonetki z lodami, w której sprzedawca zabijał czas, czytając gazetę.

— To wszystko już dawno wymknęło się nam z rąk, wiesz przecież – powiedział Church, siadając obok niej.

Laura milczała przez chwilę, w końcu odpowiedziała: –

Chciałabym mieć coś do powiedzenia we własnym życiu.

Skinął głową, patrząc na muszki tańczące w świetle zachodu słońca.

— Wiem, że to frazes, ale to jest ważniejsze od naszego własnego życia. Myślę, że tak się czuli żołnierze, którzy szli w okopy w czasie pierwszej wojny światowej. Przestraszeni, ale z poczuciem ogromnej odpowiedzialności. Czuli się częścią czegoś większego, jakiegoś... nie wiem, przeznaczenia.

— Miło, że tak to odczuwasz, bo dla mnie liczy się teraz tylko instynkt samozachowawczy.

— Mówisz, że nie będziemy mogli na ciebie liczyć, jak przyjdzie co do czego? Nie wierzę.

— Myślisz, że mnie znasz, co? – Odwróciła głowę, żeby nie mógł patrzeć na jej twarz.

— Tak, myślę, że cię znam.

Po krótkim wahaniu podniosła podkoszulek i pokazała mu porane bliznami plecy. Church spojrział na nie z zapartym tchem i dopiero po chwili zapytał: – Kto ci to zrobił?

— Nieważne. – Zamilkła na chwilę. – Niedobrze ci się robi, jak na to patrzysz, co?

— Boże, kto mógł być tak niehumaniczny? – zapyta! Church, wstrząśnięty.

— A co to mało popieprzonych ludzi? Pytałam, niedobrze ci się robi?

Church zbliżył dłoń do jednej z blizn, ale w ostatniej chwili cofnął. Laura chyba wyczuła, co uczynił, bo pochyliła się ku niemu, przekraczając barierę intymności. Tam, gdzie nie szpeciły jej różowe blizny, jej skóra wydawała się niezwykle miękka. Church poczuł zapach jej włosów i delikatny aromat potu pozostały po całodziennym wysiłku. Ogarnęła go nieodparta

potrzeba fizycznego kontaktu. Po tylu dniach ciągłego zagrożenia chciał choć na chwilę poczuć ciepło ludzkiego ciała, doświadczyć odrobiny czułości. Ponownie wyciągnął dłoń.

— Skończcie już te amory – przerwał im Veitch. – Mamy coraz mniej czasu.

Stanął przy furgonetce z lodami i spojrzał na nich zimnym, bezlitosnym wzrokiem. Church zerwał się na nogi.

— Tak, już. – Podał Laurze rękę i pomógł jej wstać. Potrzymał jej dłoń chwilę dłużej, niż to było konieczne, po czym delikatnie, niemal pieszczotliwie, wypuścił ją z palców.



Kiedy znaleźli się z powrotem w furgonetce Shaviego, postanowili znaleźć dogodne do obrony miejsce, gdzie będą jakieś szanse na odparcie ataku. Starali się nie okazywać strachu, choć część z nich oczekiwała tej nocy najgorszego. Kiedy jednak Veitch włożył kluczyk do stacyjki, okazało się, że samochód nie chce zapalić.

— Nic, cholera, nie możemy już zrobić! – krzyknął, w rozpacz waląc pięściami w kierownicę.

Mieli coraz mniej czasu i postanowili nie czekać, aż maszyna znów zacznie pracować, tym bardziej, że samochód mógłby się potem znowu zatrzymać na jakimś pustkowiu. Veitch ostatni raz uderzył w kierownicę, a potem oznajmił: – Będziemy musieli się okopać tutaj.

— Najlepiej byłoby w zamku – zauważyła Ruth – ale musimy tam pójść od razu, zanim zamkną na noc.

Veitch pomyślał chwilę, po czym wskazał na

wczesnośredniowieczny kościół stojący po przeciwnej niż zamek stronie doliny. Budowla stała samotnie, otoczona połącią wrzosów i niewielkich krzaków.

— Zrobimy to tam. W pobliżu nie będzie nikogo obcego, komu mogłaby się stać krzywda, a my dostrzeżemy z daleka każdego napastnika. Poza tym, przy kościele jest otoczony murem cmentarz, co nam pewnie bardzo nie pomoże, ale to zawsze jakaś ochrona.

Church z podziwem słuchał uwag Veitcha, świadczących o zmyśle taktycznym i zdolności do szybkiego podejmowania decyzji.

— Dobra, jesteś teraz szefem.

Veitch spojrział tak, jakby myślał, że Church z niego kpi. Kiedy przekonał się, że tak nie jest, zrobił zdziwioną, ale zadowoloną minę.

— Dobra, jestem teraz szefem.



Pozostawili bezużyteczną furgonetkę na parkingu i piechotą doszli do kościoła na jakieś pół godziny przed zapadnięciem mroku. Starali się nie zwracać na siebie uwagi, ale okazało się, że niepotrzebnie, bo w kościele nikogo nie było, a stojąca przy nim tablica ogłoszeń głosiła, że miejscowy pastor mieszkał w innej parafii. Pogoda zmieniła się, jakby dopasowując się do czekającego ich starcia. Znad morza nadciągnął zimny wiatr, a błękitne dotąd niebo pokryło się ciemnoszarymi chmurami. O kamienistą plażę rozbijały się teraz wielkie grzywacze, a woda zmieniła kolor na ciemnogrnatowy. Dolina wypełniła się

szumem gniewnego żywiołu.

Na przykościelnym cmentarzu rozłożyli namiot na wypadek deszczu, a potem bez apetytu zjedli pozostałe po obiedzie kanapki. Pierwszy grzmot usłyszeli tuż po zapadnięciu ciemności. Veitch zapalił kilka sztormówek, które kupili w Glastonbury, i rozstawił je wokół namiotu.

— Nie boisz się, że to przyciągnie czyjąś uwagę? – zapytała Ruth. Poczuli właśnie pierwsze krople deszczu. Gdzieś w ciemności ponuro zahuczała sowa i Ruth zastanawiała się, czy to ten sam tajemniczy ptak, który od wielu dni za nią podążał.

— Nikt nie zobaczy światła, a nawet jeśli, to nie przyjdzie tutaj w taką noc. – Church otworzył skrzynkę z insygniami i przyjrzał się trzem schowanym w niej przedmiotom. Włócznie przywiązali do skrzynki liną holowniczą wziętą z furgonetki. Metalowy grot obwiązano brudną szmatą, by nie zwracał niczyjej uwagi. Po chwili namysłu, Church wziął miecz i ze zdziwieniem stwierdził, że broń wydaje się cięższa i mocniejsza niż za pierwszym razem. Poczul w dłoni promieniujące od główki ciepło i mrowienie.

— Ja chcę mieć włócznie – powiedziała Ruth.

— Jesteś pewna? Chciałem dać ją Ryanowi.

— Dlaczego. Bo on jest wielkim chłopcem, a ja tylko dziewczynką? Przecież on ma pistolet, którym tak lubi się bawić.

Church zważył w włócznie w rękę, a potem podał ją Ruth. Sądził, że bardziej skuteczna byłaby w silnych rękach Veitcha, ale mógł również liczyć na odwagę Ruth.

— Dzięki – odrzekła. – Uważam to za dowód zaufania, bardzo dużo to dla mnie znaczy. – Wzięła włócznie i położyła ją sobie na otwartych dłoniach, po czym z uśmiechem chwyciła broń. – Dobrze się trzyma.

— Ruth Gallagher, kobieta wojownik.

Roześmiała się.

— Mam w sobie dość stłumionego gniewu i frustracji, żeby ich wszystkich powalić jedną ręką. – Teatralnym gestem zadała kilka ciosów, a potem spoważniała nagle. – Co takiego powiedział wam Shavi?

Church chciał skłamać, ale stwierdził, że to nie byłoby *fair*.

— Shavi dowiedział się, dlaczego Fomorianie jeszcze nie zaatakowali. Starają się w jakiś sposób przywrócić do życia przywódcę, którego zabiło plemię Danu. Przynajmniej tak mi się wydaje, z tego co mówił.

— A to źle?

— Według mitów celtyckich, Balor był największą siłą zła i ciemności. Miał przerażający wygląd, a zabicie go było niemal niemożliwością. Każdy, na którego spojrzał swoim jedynym okiem, od razu ginął. Jeśli w tych mitach jest choć ziarno prawdy, to może to oznaczać koniec świata.

— W takim razie my musimy uwolnić Danann, zanim oni przywrócą go do życia.

— Tak, ale nie wiemy, ile oni potrzebują jeszcze czasu. Być może robią to właśnie teraz...

Ruth energicznie poklepała go po ramieniu i przerwała: – Nie ma się co tym martwić. My po prostu zrobimy, co w naszej mocy.

Church dostrzegł w jej twarzy coś, co jemu samemu też poprawiło humor.

— Cieszę się, że spotkaliśmy się wtedy, pod mostem Alberta. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Ruth uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

— Jack, masz dobry gust, jeśli chodzi o kobiety.

Church wepchnął skrzynkę z pozostałymi insygniami do namiotu. Laura i Veitch siedzieli tam i milczeli nadąsani. Obok

nich Shavi spał pod troskliwą opieką Toma.

— Jak nasz śpiący królewicz? – zapytał Church.

— Biorąc pod uwagę wstrząs, jaki przeszedł, ma się całkiem dobrze. – Tom mówił z silniejszym niż zwykle szkockim akcentem, co Church przypisał zmęczeniu.

— Nie rozumiem – narzekał Veitch. – Znaleźliśmy wszystkie insygnia, tak jak mówiłeś, a nic się nie stało.

Church skinął głową.

— Mam nadzieję, że otrzymamy jakiś znak. – W głębi duszy oczekiwał, że prędzej czy później pojawi się kobieta ze Strażnicy i przekaże im ostatni kawałek układanki.

— Wiem, co musimy teraz zrobić – odezwał się nagle Tom. Wszyscy spojrzeli na niego. – Insygnia trzeba zawieść w odpowiednie miejsce, żeby zaczęły działać.

— Aha. I kiedy zamierzasz nam powiedzieć, gdzie to jest? – z irytacją w głosie zapytał Church.

— W ostatniej chwili – uciął Tom. – Na razie zbyt wiele mam do stracenia, żeby rozpowiadać o tym na prawo i lewo. Nigdy nie wiadomo, kto słucha...

— Tylko my słuchamy! – gniewnie przerwał mu Veitch. – Mógłbyś, cholera, zacząć nam trochę ufać, co?

— Nie ma co się z nim kłócić – powiedział Church ze złością. – Na zewnątrz jest trochę drągów i stalowy pręt, które znaleźliśmy na plaży. Wybierzcie coś sobie. Veitch pierwszy wyczołgał się z namiotu, a Laura po chwili wahania podążyła za nim.

— Ja tu zostanę – powiedział Tom. – Będę się opiekował Shavim i pozostałymi insygniami.

Church był rozczarowany postawą Toma, ale nie chciał go do niczego zmuszać.

— Jeśli masz jeszcze jakieś asy w rękawie, to powiedz nam o

nich teraz.

Tom skinął głową, ale nie powiedział, czy może im jakoś pomóc. Church wyszedł z namiotu. Na zewnątrz, w strugach deszczu, zebrała się garstka przestraszonych obrońców.

— Popatrz na nas – krzyknęła Laura, śmiejąc się gorzko. – Jak przyjadą Dzikie Zastępy, to chyba umrą ze śmiechu. A potem zabiorą nas do piekła.

Ruth i Veitch zignorowali ją; wzrok utkwili w nieprzeniknionych w ciemnościach. Starali się też wyłapać w zawodzącym wietrze jakieś oznaki zbliżania się napastników.

— Słuchaj, Church, czy ty w ogóle wiesz, co masz zrobić z tym mieczem? – spytał go Laura, kiedy zobaczyła, że nikt inny jej nie słucha. – A Ruth, ze swoją włócznią? A ja? Co mam niby zrobić tym patykiem? Cholera, wielcy mi obrońcy ludzkości! To jest żałosne.

Deszcz przemoczył jej włosy, po których spływała teraz strumieniami woda. Dopiero teraz, w niemal całkowitych ciemnościach, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i Church dostrzegł pałający w jej oczach ogień.

— Urządzisz im tutaj piekło – powiedział tylko. Chciał jeszcze coś dodać o jej odwadze i bojowym duchu, ale przerwał mu posępny dźwięk myśliwskiego rogu. Church poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, tak był przerażony; zbladła również Laura, która w słabym świetle sztormówek wyglądała teraz jak duch. Jej ciemne oczy rzucały wojownicze spojrzenia w ciemność.

Jakby w odpowiedzi na dźwięk rogu, znów zagrzmiało i niebo przecięta błyskawica. Gnane wiatrem krople deszczu chłostały ich teraz jak kule gradowe.

— Panowie – usłyszeli pewny siebie głos Veitcha – zaczyna się.

Dajcie im popalić.

— Właśnie tego było nam potrzeba – ponuro odezwała się Ruth. – Dowodzi nami idiota, który naoglądał się filmów wojennych.

Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, z ciemności wynurzył się biegnący prosto na nich Czarny Kieł. Pies wskoczył na mur cmentarza i zatrzymał się. Usiadłszy, wpatrywał się teraz w obrońców, złowrogo świecąc czerwonymi oczami. Zapanowała upiorna cisza. Pies nie szykował się do ataku; w ogóle się nie ruszał, tylko patrzył. W jego wzroku było jednak coś, co napełniło ich strachem większym niż ten, który odczuwali podczas poprzednich spotkań z bestią.

Zanim pojawili się jeźdźcy, uszu obrońców doszło szczekanie sfory białych ogarów. Na drodze prowadzącej do kościoła ujrzeli ich cielska, a w chwilę za sforą ukazały się majestatyczne i przerażające sylwetki jeźdźców. Kiedy niebo rozjaśniła kolejna błyskawica, na chwilę zobaczyli wśród nawałnicy ich zbroje i rynsztunek. Church poczuł się tak, jakby nawiedziła go jakaś koszmarna wizja, i nagle zrozumiał desperację Laury. W walce z Dzikimi Zastępami nie miał żadnych szans, a zdobyta z takim trudem broń nie znaczyła więcej niż dziecięca zabawka. Pokonując rozpacz, Church uniósł miecz, starając się nadać sobie groźny wygląd. Pozostali uczynili to samo, jakby czytali w jego myślach.

Galopująca ku nim Pogoń wydawała się stapiać w jedno z nawałnicą, jakby to sama kotłująca się rytmicznie masa koni i jeźdźców wzniecała wiatr, a tętent kopyt odbijał się grzmiącym echem od nieba. Król Olch jechał na czele; w świetle błyskawic rozpoznali jego potwornie kolorową twarz.

Church spodziewał się, że Myśliwi wpadną przez bramę i

zaatakują z marszu, ci jednak zaczęli krążyć wokół cmentarnego muru, raz w jedną, raz w drugą stronę, tak że nie można było przewidzieć, z której strony przypuszczą szturm.

— Bawią się z nami! – Church przekrzyczał wiatr.

— Nie, są tylko ostrożni! – odkrzyknął Veitch. – Miałeś rację z tymi insygniami – oni chcą je zdobyć, ale się ich boją.

Veitch miał najwyraźniej rację, co dodało Churchowi otuchy; być może starcie nie będzie aż tak nierówne.

— Może uda się ich tak przetrzymać całą noc? – zastanawiała się Ruth, wymachując uniesioną włócznią.

— I tak co noc? Przecież to bez sensu – odrzekła Laura z wściekłością.



Dziki Zastępy krążyły wokół cmentarza przez prawie godzinę, podczas gdy obrońcy coraz bardziej marzli i mokli na burzy. Ciągła czujność i strach zaczynały ich wyczerpywać.

— Niech oni wreszcie coś zrobią, do cholery! – krzyknęła Ruth ponad zawodzeniem wiatru.

Jeźdźcy, jakby ją usłyszeli, nagle stłoczyli się w jednym miejscu przy murze, powściągnęli wierzchowce i cofnęli się, ustępując miejsca Królowi Olch. Jego koń stanął dęba, puścił z nozdrzy potężne obłoki pary, a kiedy uderzył kopytami o ziemię, Church zobaczył tryskające spod nich iskry.

— Oddajcie nam swój łup! – zagrział metalicznie głos Króla. W niewytłumaczalny sposób wydawał się dochodzić nie z jego ust, tylko ze wszystkich stron.

— Nic nie dostaniecie! – krzyknął Church stanowczo.

Zapała długa cisza, a kiedy Król Olch znów przemówił, burza jakby ucichła, by pozwolić jego głosowi rozbrzmieć głośno i wyraźnie. Mowa Króla co chwila zmieniała akcent, jakby uszy słuchaczy z trudem starały się zrozumieć dochodzące do nich dźwięki.

— Tańczymy poprzez całe światy, ponad burzami, szybciej niż wiatr. Każda przeszkoda rozpada się przed nami. Jesteśmy jak fale, wciąż się zmieniamy i nikt nas nigdy nie pozna. Nie usłyszycie nigdy naszych prawdziwych głosów, nie dotkniecie zbroi, poprzez burzę nie dotrze do was nasz zapach. Nie zatrzyma nas przestrzeń i czas, nie zatrzyma nas żaden kształt. Nie ma dla nas absolutu. – Głos Króla ucichł i na chwilę zapadła głucha cisza, jakby zatrzymał się cały świat.

Kiedy jednak znów przemówił, głos jego miał siłę wichru, który niemal zwałił ich z nóg.

— A wy? Słabe worki kości i mięsa. W pułapce formy, na łasce wszechświata, wciąż zadajecie pytanie i nigdy nie poznajecie odpowiedzi! Targają wami namiętności, rydwany gniewu! Nie wolno wam na nas spojrzeć! Nie wolno wam wyrzec słowa! Nie wolno wam podnieść na nas ręki! Jeśli to uczynicie, rzucicie wyzwanie wszystkiemu, co poza światem i ponad światem! Wasza istota rozwieje się wtedy i rozpadnie na strzępy! Ukorzcie się! Padnijcie na kolana!

Głos, jakim wypowiedziane zostały te słowa, przepełnił serce Churcha paraliżującym strachem. Zrozumiał, że ma do czynienia z czymś wykraczającym poza jego pojmowanie, jakby rozmawiał z Bogiem. Mimo ogarniającego go przerażenia, Church wiedział, że się nie podda.

— Może myślicie, że jesteśmy niczym, ale będziemy walczyć do ostatka. Gdybyś wierzył we wszystko, co powiedziałaś, nie

siedziałbyś tak, tylko przyszedł tu i wziął sobie te insygnia. Jeśli ich chcesz, to chodź tu!

— Świetna taktyka – powiedziała Laura załamującym się głosem. – Nie stój tak, idź im otworzyć bramę!

Rozległ się kolejny ogłuszający grom i na chwilę oślepiła ich błyskawica. Kiedy odzyskali wzrok, Myśliwi znów byli w ruchu. Galopem podjechali do muru cmentarza, a potem nagle rozstąpili się i na obrońców rzuciły się ich psy. Nie było czasu, żeby cokolwiek powiedzieć albo pomyśleć. Church zobaczył nagle tuż przed sobą kłapiące zęby i jarzące się oczy; jeden z ogarów rzucił się mu do gardła. Zamachnął się mieczem z taką siłą, że rozplatał zwierzę na pół. Nie trysnęła krew z wnętrzości – cielsko psa szerniało nagle i skurczyło się jak zeschnięty liść, a potem zamigotało i znikło.

Wszystko działo się błyskawicznie. Jeden z psów zanurzył kły w łydce Veitcha, zanim ten zdążył zabić bestię uderzeniami stalowego pręta. Namiot przewrócił się nagle i opadł na sparaliżowanego strachem Toma, który przykrył swoim ciałem nadal nieprzytomnego Shaviego. Sfora biegała wokół nich, bez przerwy przypuszczając kolejne ataki, które obrońcy starali się powstrzymać ciosami. Równie dobrze mogliby jednak powstrzymać fale. Kątem oka Church zauważył, że jeźdźcy czekają, aż ich sfora wybije obrońców.

Potem czas jakby zatrzymał się; obrazy pojawiały się w umyśle Churcha jak nieruchome przeźrocza. Twarz Ruth w świetle błyskawicy, pobladła z przerażenia, ale zdeterminowana. Błysk w jej oczach, jakby nagle coś zrozumiała. Jej wzrok, poszukujący czegoś i zatrzymujący się na tym, co odnalazła. Potem znów cała postać Ruth, pochylona nieco do przodu, gotowa do obrony.

W następnej chwili wszystko znów powróciło do normalnego

czasu, jakby zerwał się wichur wciągany w próżnię powietrza. Ruth rzuciła się do przodu i, trzymając włócznię nad głową, popędziła w kierunku Myśliwych. Church zrozumiał, że Ruth zamierza poświęcić życie, ale nie zdążył nawet wydobyć z siebie głosu. Ruth skoczyła ku Królowi Olch i zanurzyła włócznię w jego piersi. Cały cmentarz wypełnił się nagle błękitnym ogniem, a Król, którego twarz wykrzywiło potężne ale nieokreślone uczucie, spadł z siodła. Szczepieni włócznią przeciwnicy przetoczyli się przez mur cmentarza i znikli w ciemności.



Ruth obudziła się wśród wilgotnych paproci, czując potworne zawroty głowy. Powietrze przepełniał ostry i duszący zapach elektryczności. Bolały ją wszystkie mięśnie, a skóra była jak poparzona. Strugi deszczu zalewały jej oczy i wdzierały się do ust. Z wysiłkiem podniosła się i zaczęła przypominać, co się przed chwilą stało: jej desperacki atak, cios wymierzony Królowi Olch, błysk błękitnego ognia, oraz ostatnia myśl, że sama zginie, ale uratuje innych. Kiedy przypomniała to sobie, rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że nie jest sama.

Coś przedzierało się przez kępy paproci, pochrapując jak zwierzę i od czasu do czasu wydając z siebie zwierzęcy okrzyk bólu. Okrzyki te były tak pierwotne, że Ruth bała się spojrzeć, ale jednocześnie w jakiś niezrozumiały sposób pociągały ją one. Postanowiła zbliżyć się do ich źródła, choć ryzykowała, że zostanie odkryta. Ostrożnie wyjrzała ponad paprocie.

Kilkanaście metrów dalej przewalał się po ziemi jakiś ciemny kształt, jakby czyjaś pochylona nisko sylwetka. W chwilę później

postać wyprostowała się i uniosła głowę ku nocnemu niebu. Postać ta wydawała się jednocześnie zwierzęca i w przerażający sposób ludzka, co wywołało mdłości u patrzącej na nią Ruth. W świetle kolejnej błyskawicy zobaczyła wreszcie, że jest to Król Olch. Nie był ranny, jak można było oczekiwać, tylko przechodził jakąś niezwykłą przemianę. Całe jego ciało wydawało się płynne, mięśnie i kości zmieniały kształt i pulsowały, postać stawała się coraz bardziej zwierzęca, zielone łuski i wypukłości na twarzy topiły się w deszczu, nos stał się szeroki, a oczy zmieniły kolor na złoty i rozstawiły się szerzej na twarzy. Na całym ciele Króla pojawiły się dziwnie przemieszane ze sobą liście i płaty sierści, jakby zamieniał się w hybrydę zwierzęcia i rośliny. Mimo niesamowitości tego, na co patrzyła, Ruth poczuła, że widok jest dziwnie znajomy. Z każdą nową przemianą Król ryczał i dźwięk ten również się zmieniał, stawał się coraz słodszy i przyjemniejszy. Na czole Króla wystrzeliły w końcu dwa wyrostki, rosnące i rozwidlające się, aż zamieniły się we wspaniałe i niebezpieczne poroże jelenia.

Był to przerażający, a jednocześnie cudowny widok i Ruth, patrząc na przemianę Króla, czuła przepełniający ją zachwyty. Wstrzymała oddech. Król Olch albo to, w co się teraz zamienił, usłyszał ją mimo szumiącego głośno wiatru. Zwierzę znieruchomiało, przychyliło głowę, a potem podeszło chwiejnym krokiem do Ruth. Z nozdrzy buchały mu obłoczki pary. Ruth krzyknęła przestraszona, cofnęła się i poślizgnęła, ale zanim zdążyła się podnieść i rzucić do ucieczki, Król podbiegł zwinnym krokiem i stanął ponad nią.

Wiedząc, że jest w pułapce, odwróciła się i spojrzała prosto w niewyraźne, majaczące nad nią oczy. Spodziewała się ataku, ale gdy na niebie pojawiła się kolejna błyskawica, z osłupieniem

ujrzała na twarzy Króla uśmiech.

— Wątła istoto – odezwał się głosem przypominającym szum wiatru wśród liści. – Widzę w tobie kielkujące pędy jednej z moich sług.

— Co się stało? – zapytała.

Stworzenie niecierpliwie poruszyło ręką, jakby szukało odpowiednich słów.

— Nocni Wędrowcy byli gotowi na otwarcie bram. Głęboko w Sercu Cienia ze snów zagubionych dusz stworzyli potężny Urok Życzeń. Kiedy gotowaliśmy się na chwalebny powrót, wymknęła się na świat jak wir gniewu, silniejszego niż cokolwiek od czasów pierwszej bitwy. Nikt nie zdołał umknąć jej dotknięciu. Wielu moich braci wygnano do Dalekich Krain, nieliczni uciekli do tego świata albo do miejsc pomiędzy nim i zaświatami. A na kilku, tak jak na mnie, padła klątwa Nocnej Wędrowki. – Jeleń wydał z siebie dziwny odgłos, jakby warknięcie, w którym jednocześnie słychać było płacz. Po chwili opanował się. – Ale klątwa Nocnych Wędrowców zawsze jest naznaczona słabością. A ty, wątła istoto, zdołałaś ją złamać!

Dźwięk, który wydobył się teraz z ust Króla Olch, był tak nieludzki, że Ruth mogła tylko zgadnąć, słuchając jego dźwięczącego rytmu, że on się śmieje.

— Masz włócznie, najwspanialszą i najcudowniejszą część Quadrillaxa. To wieczne przekleństwo Nocnych Wędrowców, źródło słonecznego światła!

Słowa te były dziwne, ale Ruth powoli zaczynała rozumieć.

— Uwolniła cię spod ich wpływu?

— Mam tyle twarzy, co zmienne niebo, a uwięzili mnie w formie podobnej do twojej, wątła istoto, i skazano na Nocną Wędrowkę. Byłem przeklęty i skazany na męczarnie!

Ruth spojrzała jeleniowi w oczy i ogarnęła ją nagle nabożna cześć, jakby obudziło się głęboko ukryte, podświadome wspomnienie odziedziczone po pierwszych ludziach.

— Kim jesteś? – wyszeptała.

— Nie znasz moich imion? Czy aż tyle czasu upłynęło? Ze wszystkich Świetlistych, ja pozostałem na świecie najdłużej i tańczyłem tutaj nawet po zamknięciu bram. A wy o mnie zapomnieliście? – Wiatr stłumił jego westchnienie. – Moje imiona są niezliczone, zmieniają się jak pory roku. U zarania dziejów, kiedy Świat był domem, ludzie Zachodu znali mnie jako Gwyn ap Nud, Białego Syna Nocy, Pana Podziemi, przywódcę Dzikich Zastępów, pana Cw̃n Annwn, Króla Duchów, Króla Annwn. We wspaniałym kraju za wodą byłem Cernunnosem, Rogaczem, Panem Tańca, Rozdawcą Darów. W zimnych krainach zwano mnie Wodenem, przywódcą Herlethirtgów. Podlegało mi bohaterstwo, zwycięstwo i życie duchowe. Każda z wątkich istot widziała mnie inaczej, ale wszystkie znały moje serce. Zielony Człowiek. Herne Myśliwy. Syn Węża. Zaczarowany Myśliwy. Robin Hood. Mieszkam w Zieleni, moim czasem jest ciemna połowa roku. Czy teraz mnie już poznajesz?

Ruth skinęła głową, przerażona i oczarowana jednocześnie. Przed oczami przewijały się jej obrazy, sceny z poznanych w dzieciństwie bajek, starożytnych mitów, archetypowych motywów, które można było oglądać na świecie, zanim zaczęła się historia. Kimkolwiek była stojąca przed nią istota, Ruth nie potrafiła jej zrozumieć w całości. Miał tyle twarzy, ile sama przyroda, a jego postać zależała od czasu i osoby, która patrzyła. Znikł Król Olch, ciemna postać tego bóstwa, w której zostało ono na pewien czas uwięzione.

— Jak mam cię nazywać? – zapytała szeptem.

Pochylił głowę i Ruth zadrżała ze strachu, ale dotyk ust na jej czole był delikatny.

— Nazywaj mnie tak, jak podpowiada ci twoje serce.

Wybrała jedno z imion z długiej listy i wypowiedziała je: – Cernunnos.

To słowo wydawało się zawierać w sobie delikatniejszy przejaw tego boga. Wtedy przypomniała sobie, skąd go pamięta: to właśnie jego pokazała jej tajemnicza dziewczyna, którą spotkała, kiedy nocowali w lesie pod Bristolem. „Noc mojego dnia, zima mojego lata”, powiedziała wtedy dziewczyna. Lustrzane odbicie tej samej, potężnej siły.

Wciąż na nią patrząc, Cernunnos wyprostował się.

— Mieszka w tobie jedna z twarzy Zieleni, a inna w jednym z twoich towarzyszy. Jego oczy, podobnie jak twoje, otworzą się, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Jesteś Siostrą Smoków, więc twoja ścieżka nie będzie łatwa, ale pozostanę przy tobie, by wskazać ci drogę, dopóki sama nie rozkwitniesz. A kiedy nadejdzie najgorszy czas, wolno ci wezwać mnie na pomoc. Oto znak, dzięki któremu zostaniesz rozpoznana.

Bóg wyciągnął ku niej rękę. Ruth zadrżała, gdy poczuła jej dotknięcie; palce wydawały się nie być z ciała. W chwilę później przyszyło ją ukłucie bólu. Krzyknęła, ale ból ustał równie szybko, jak się pojawił. Ruth spojrzała na wnętrze swojej dłoni i ujrzała na niej wypalone koło, a w nim dwa splecione ze sobą liście.

Odwracał się już od niej, kiedy powiedział: – Szukaj mnie w moim Zielonym Domu.

Uśmiechnął się i wskazał na sowę kołującą majestatycznie ponad nimi.

— Co teraz uczynisz? – zapytała Ruth nabożnie.

— Dzika Pogoń nie ustanie, dopóki nie zdobędzie czyjejs

duszy. Ruth przeszły dreszcz, kiedy zrozumiała, co znaczą te słowa.

Chciała coś powiedzieć, ale jego spojrzenie było tak okropne, że głos uwiązł jej w gardle.

Uniósł głowę i wyczuł coś w wietrze, po czym wielkimi susami pobiegł w ciemność, szybciej niżby można było oczekiwać po istocie jego rozmiarów; Ruth nie liczyła się już, zapomniał o niej. W chwilę później deszcz i wiatr ustały, a kiedy spojrzała na niebo, ujrzała nienaturalnie szybko rozstępujące się chmury, a potem czyste, rozgwieżdżone niebo. Opuściła głowę na piersi, starając się dojść do siebie po tym niezwykłym spotkaniu, które zmieniło całe jej życie. Jednak kiedy zamknęła oczy, wciąż widziała przed sobą jego twarz, a kiedy zasłoniła dłońmi uszy, słyszała jego głos. Obawiała się, że tak już będzie zawsze.

ROZDZIAŁ 18

UŚMIECH REKINA

Kiedy Ruth i Król Olch znikli za murem, Church był pewien, że za chwilę zginie razem z resztą obrońców. Na ślepo zadawał mieczem ciosy, kolejne psy rozpadały się i znikwały, ale na ich miejsce bez przerwy pojawiały się nowe. Walczący przy nim Veitch i Laura byli już bliscy załamania. Jednak w chwili, gdy magiczna włócznia przebita pierś Króla Olch, atakujący znieruchomieli na chwilę, a potem z trudem powściągnęli rozszalałe nagle konie i wycofali się za mur cmentarza. Ich psy rozbiegły się na wszystkie strony.

— Udało się jej – wydyszał Church, ledwie wierząc w to, co powiedział.

Oczy Laury pełne były łez strachu i zmęczenia, a z jej licznych ran kapała krew.

— Myślałam, że już po nas – jęknęła.

Veitch, który odniósł równie wiele ran, wciąż trzymał w pogotowiu swoją broń.

— Uważajcie! Być może tylko przygotowują się do nowego ataku! – komenderował.

Church przyznał mu rację i stanął w gotowości do dalszego boju, jednocześnie zaczął jednak wołać Ruth. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jego serce sparaliżowała rozpacz.

Pozostali na stanowiskach, czekając na atak Myśliwych przez

następne kilka godzin, byli jednak coraz bardziej wyczerpani i z trudem trzymali się na nogach. Potem, jakby ktoś wydał im niesłyszalny rozkaz, jeźdźcy jak jeden mąż obrócili wierzchowce i galopem odjechali, a za nimi pociągnęła sfera. Church spojrział na miejsce, gdzie na murze siedział Czarny Kieł, ale również on umknął z pola bitwy.

Wkrótce potem usłyszeli jakiś szelest wśród paproci i z ciemności wynurzyła się blada i roztrzęsiona Ruth. Kiedy przełaziła niezdarnie przez mur, Church podbiegł do niej i wziął ją w ramiona.

— Udało ci się! – zawołał, nie mogąc się opanować. – Chcę cię pocałować!

— No to całuj, zanim zemdleję – odrzekła Ruth. I zemdląca.



Ponownie rozłożywszy przewrócony namiot, rozpalili na skraju plaży ognisko i odpoczywali w ciszy. Shavi, który nie doszedł jeszcze w pełni do siebie, mógł już rozmawiać, co podniosło wszystkich na duchu. Korzystając z zabranej z furgonetki apteczki opatrzyli mu rany, a kiedy wszyscy ogrzali się trochę przy ognisku, Ruth mogła wreszcie opowiedzieć im o tym, co się jej przydarzyło.

Kiedy zakończyła swą opowieść, słuchacze w zadumie wpatrywali się przez chwilę w ogień, starając się przetrawić to, co usłyszeli.

— No więc – podsumowała Ruth – ja widzę to tak: z nieznanych nam powodów otworzyły się bramy pomiędzy naszym światem i Zaświatami. Danann przygotowywali się do

powrotu, ale Fomorianie uruchomili coś, co nazywają Urokiem Życzeń, co w ich języku oznacza chyba jakąś cudowną broń, jakby bombę atomową. To coś wybuchło i siła eksplozji wyrzuciła większość Danann do miejsca, skąd nie są w stanie samodzielnie powrócić. Część plemienia została jednak jakby skażona wybuchem tego Uroku i zaczęła, wbrew swojej naturze, działać pod dyktando Fomorian. Ten Król Olch – albo Cernunnos – był jednym z nich. Ale to zaszkodziło również innym istotom z Zaświatów, na przykład tej Cudownej Bestii, która zaatakowała mnie i Churcha pod Stonehenge. Oczywiście wszystkie one są powiązane z duchem ziemi, więc nie spełniałyby poleceń Fomorian i nie atakowałyby nas, gdyby oni ich do tego nie zmusili.

— A nieliczni Danann zdołali umknąć – dodał Church – tak jak ta kobieta w Strażnicy. Ale ona nie powiedziała mi, że bramy pomiędzy dwoma światami były już wcześniej otwarte i że Danann planowali przez nie przejść. Według niej wszystko stało się dlatego, że Fomorianie złamali jakieś Przymierze.

— Może cię bajerowała – powiedział Veitch.

Church poczuł się nieswojo. Czy mógł ufać istotom tak potężnym, że powody ich postępowania były dla ludzi zupełnie niezrozumiałe? Kobieta ze Strażnicy obiecała mu, że w nagrodę za uwolnienie jej plemienia powie mu, co stało się z Marianną. Co była warta taka obietnica? Przypomniał sobie nagle o cynicznych i przebiegłych kolonizatorach, którzy płacąc bezwartościowymi paciorkami potrafili kupować od tubylców ziemię i cenne towary.

— To było uderzenie z zaskoczenia – mówił dalej Veitch. – Fomorianie chcieli za jednym zamachem zniszczyć wszystkich swoich przeciwników, żeby nikt nie przeszkadzał im w tych

świętstwach, którymi chcą się zająć w naszym świecie.

— Powiedz mi, jaki on był? – zapytał drżącym głosem Shavi, którzy leżał w śpiworze podparty dwoma plecakami. – Czy miałaś poczucie, że rozmawiasz z jakimś bóstwem?

Ruth zauważyła podniecenie w jego oczach, ale nie chciała odpowiadać na to pytanie.

— Nie wierzę w Boga – odrzekła. Głos jej jednak zadrżał i nie mogła na tym skończyć. – Wiem, muszę trochę dopasować swoje poglądy do tego, co się teraz dzieje. Nie można uratować humanistycznego światopoglądu w obliczu takich wydarzeń. Istnieje coś, co wykracza poza nasze rozumienie, ale czy jest to istota boska? Można go określić jako boga. Inni woleliby go nazwać nieznaną, wyższą istotą. – Ruth nie była pewna, co irytuje ją bardziej: uśmiech Shaviego, czy jej własna niepewność. Przez całe życie w nic nie wierzyła, a teraz nie była pewna swojej racji.

— Czy ty tego nie rozumiesz? Przecież to właśnie o to chodzi. Właśnie tego poszukujemy przez całe życie...

— Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym – ucięła Ruth. Przerwał im Church: — Słuchajcie, to nie czas na zażartą dysputę teologiczną...

— Nie! Teraz mamy się bawić – zawołał Veitch, unosząc triumfalnie ramiona. – Zwyciężyliśmy!

— Bzdury gadasz – prychnęła Laura. Wyglądało na to, że dochodzi już do siebie po niedawnym starciu, podczas którego opanował ją szaleńczy strach.

— O co ci chodzi? – zapytał Veitch, rzucając w nią paczką plastrów, nieco zbyt silnie, żeby było to zabawne. – Znaleźliśmy wszystkie insygnia. Dzika Pogoń zakończyła się na dobre. I wszyscy żyjemy!

— Ale nie wiadomo, jak długo jeszcze pożyjemy – chłodnym tonem odparła Laura.

— I nie wiemy, co zrobić z tymi talizmanami. – Ruth zwróciła się do Toma. – Kiedy nam wreszcie powiesz?

— Jak będziemy tam, gdzie mamy się z nimi znaleźć – burknął tamten.

— Przynajmniej mamy jeszcze dużo czasu – powiedział Church. – Trzy tygodnie przed terminem. Nigdy nie myślałem, że uda się nam je znaleźć tak szybko.



Choć przeczuwali, że mają przed sobą jeszcze wiele niebezpiecznych prób, tej nocy spali lepiej niż kiedykolwiek w czasie ostatnich tygodni. Kiedy obudził ich krzyk mew, słońce było już nad horyzontem, a ognisko dawno wygasło. Wszyscy roześmiali się, kiedy jakiś mężczyzna wyprowadzający psa ominął ich z daleka, zobaczywszy zmięte ubrania i rozczochrane włosy. Wziął ich pewnie za grupę brudnych włóczęgów.

Poranna bryza odświeżyła ich i wkrótce, około ósmej rano, poczuli się w pełni wypoczęci i głodni jak wilki. Nie mieli dużych zapasów żywności, więc Veitch na ochotnika poszedł do pobliskiej wsi, żeby znaleźć coś na śniadanie. Church, Shavi i Tom też chcieli iść, żeby wyprostować nogi, a kiedy Ruth zorientowała się, że zostanie sama z Laurą, postanowiła, że do nich dołączy.

— Wy wszyscy macie nierówno pod sufitem – kpiła Laura. – Wybieracie się na spacer, kiedy można się wylegiwać i wyluzować?

Tom przekonał Laurę, żeby została w furgonetce i pilnowała insygniów, tak że w razie kłopotów mogła od razu odjechać. Church pożyczył od niej mały plecak i włożył do niego Latarnię Drogi.

— Nie wypuszczę jej już nigdy z rąk, nawet jeśli nie jest już potrzebna – powiedział, uśmiechając się.



Wielkimi krokami ruszyli zarośniętą ścieżką do wsi, nie czując już prawie zmęczenia po nocnej walce.

— Wiesz co? – powiedział Veitch do Churcha, kiedy obaj wyprzedzili nieco resztę grupy. – Nigdy nie czułem takiej pełni życia jak teraz.

Church rozumiał go.

— Tak, chyba nie można w pełni docenić życia, dopóki nie stanie się oko w oko ze śmiercią. Wiem, że to frazes – cały czas tak mówią fanatycy sportów ekstremalnych, uzależnieni od adrenaliny. Nigdy nie myślałem, że to prawda.

— Dopiero teraz można zrozumieć, jak bardzo nie umiemy żyć – wszyscy ci ludzie z posadką w biurze i nędznym domkiem na przedmieściu.

— Nie rozumiem.

— Walczymy o to, żeby wszystko zostało po staremu, no nie? A może to wcale nie jest najlepszy sposób na życie? Może to właśnie ta cała magia będzie lepsza?

Church przypomniał sobie podobną rozmowę z Ruth, kiedy narzekali na brak magii w swoim życiu.

— A ci wszyscy ludzie, którzy cierpią i umierają? Przecież bez

techniki medycznej zginą tysiące.

— Może to konieczne, żeby życie było lepsze. Co jest lepsze – życie krótkie i szybkie, czy długie i nudne?

Church uśmiechnął się.

— Nie myślałem, że taki z ciebie filozof, Ryan. Mówisz zupełnie jak Nietzsche.

— Jak co?

W tym momencie dołączyli do nich Tom i Shavi, którzy prowadzili zażarty spór teologiczny. Veitch słuchał ich przez chwilę, a potem pozostał w tyle, idąc tuż przed Ruth, która rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie.

— Nawet nie próbuj ze mną rozmawiać.

— Chciałem tylko powiedzieć, że wczoraj zrobiłaś naprawdę wielką rzecz. Uratowałaś nam wszystkim życie.

— Naprawdę sądzisz, że zależy mi na twoim uznaniu?

Veitch zobaczył, że jej twarz wyraża tylko zimną wściekłość. Nie odpowiedział. Cofnął się jeszcze bardziej i szedł ostatni.

Sklep we wsi właśnie otwarto. Church i Shavi wzięli koszyki i napełnili je najpotrzebniejszymi rzeczami. Kiedy podchodzili do kasy, jakiś niski, czerwony na twarzy, starszy mężczyzna wpadł do sklepu, nie zamykając za sobą drzwi.

— A drzwi kto zamknie, Rhys? – zapytała sprzedawczyni.

Ruth, która stała najbliżej niego, zauważyła, że mężczyzna nie jest w nastroju na przekomarzenie się. Dyszał ze zmęczenia, jakby biegi całą drogę.

— Słyszałaś o Dermocie? – wykrztusił. Kobieta potrząsnęła głową, nagle zaciekawiona.

— Chłopaka nigdzie nie ma. Przy starej Latarni Piratów znaleźli jego rower i jednego buta. Edith umiera ze strachu. Myślała, że wrócił z nocki i się położył do łóżka, a jak go nie

znalazła, to zadzwoniła na policję.

Sprzedawczyni i mężczyzna zaczęli gorączkowo wymieniać przerażające domysły na temat losu ich znajomego, ale Ruth nie słuchała ich już, bo wiedziała dobrze, co się stało z tym człowiekiem. Dzikie Zastępy znalazły ofiarę potrzebną, by zakończyć Pogoń. Nagle poczuła mdłości, wybiegła ze sklepu i usiadła przy krawężniku, chowając głowę w ramionach. Ilu musiało zginąć niewinnych ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się na ich drodze?

Pozostali wyszli ze sklepu wkrótce potem, śmiejąc się i żartując, jednak nie potrafiła się cieszyć razem z nimi. Nawet zwycięstwo miało swoją straszną cenę.



Laura rozparła się w ładowni furgonetki, zastanawiając się, czy zakochała się w Churchu, czy nie. Była zła na siebie. Nagle rozległo się pukanie do szyby, krótkie i przyjazne, zupełnie pozbawione natarczywości. Laura stwierdziła, że to albo jakieś dzieci, albo strażnik parkingu, więc postanowiła nie otwierać. Ale kiedy pukanie po dłuższej chwili rozległo się ponownie, westchnęła niecierpliwie i przelazła przez oparcie przedniego siedzenia. Zaskoczona zobaczyła za drzwiami mężczyznę w starym, czarnym garniturze, wyglądającego na włóczęgę. Szkarłatna, brokatowa kamizelka dodawała jego ubiorowi pewnej ekstrawagancji, a grzywa siwych włosów i błysk w oczach świadczyły o dużym temperamencie i poczuciu humoru. Mężczyzna miał suchą, opaloną cerę kogoś, kto większość życia spędził na włóczędztwie, ale uśmiechał się przyjaźnie i wzbudzał

zaufanie.

Laura opuściła szybę.

— Niestety nie mam pieniędzy. Zwykle, jak mam jakieś drobne, to ostrzę brzegi monet i rzucam nimi w policjantów.

— Cóż za wspaniałe zajęcie, moja droga – odpowiedział melodyjny, teatralny głos. – Nie szukam pomocy finansowej. Choć przyznaję, że aktualnie nie powodzi mi się najlepiej w tej materii. Długie podróże potrafią poważnie nadszarpnąć finanse każdego z nas! Ale to tak na marginesie. Tak naprawdę przyszedłem tutaj, gdyż szukam młodzieńca o nazwisku Churchill. Czy nie ma go przypadkiem gdzieś w pobliżu?

Laura zaśmiała się zaskoczona.

— Zna pan Churcha?

— Spędziliśmy razem wspaniałą wieczór w pewnym hotelu w Salisbury. Było bardzo wesoło, opowiedzieliśmy wiele fantastycznych anegdot i, co wyznaję pani w tajemnicy, upiliśmy się po prostu na umór. Niech mnie, pani szczodry przyjaciel pozwolił mi nawet wypić swoje zdrowie na swój rachunek w hotelu! Cudowny mężczyzna, bez dwóch zdań.

Laura śmiała się w duchu z jego udawanych manier i pseudoliterackiej wymowy, której zapewne nauczył się ze starych filmów i jeszcze starszych powieści, ale natychmiast uległa jego czarowi.

— Jako osoba niezwykle przyjazna i towarzyska, pani przyjaciel poprosił mnie, bym spotkał się z nim, gdyby akurat był w pobliżu, więc oto jestem! – Mężczyzna złożył nagle dłonie w błagalnym geście i ukrył w nich twarz. – Ach! Przepraszam! Zapomniałem o podstawie dobrych manier – nie przedstawiłem się! Droga pani, nazywam się Callow.

Wyciągnął przyjaźnie dłoń, którą Laura, po chwili wahania,

uścisnęła.

— Laura DuSantiago – przedstawiła się, naśladowując teatralną wymowę nieznajomego.

— Moja droga, czy pozwolisz mi odpocząć chwilkę w swoim wspaniałym samochodzie, zanim ten młodzieniec wróci? Obawiam się, że jestem bardzo zmęczony.

Laura już zaczęła otwierać drzwi, kiedy uderzyła ją pewna myśl: Church nie jeździł przecież furgonetką, kiedy spotkał tego człowieka w Salisbury. Skąd więc Callow wiedział, że to samochód Churcha? Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

Callow uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Uścisnął tylko mocniej jej dłoń.

— Puść – powiedziała nagle lodowatym i surowym tonem.

Próbowała wyrwać się mu, ale był silniejszy, niż można by wywnioskować z jego wyglądu. Z twarzy Callowa nie znikał fałszywy uśmiech. Wepchnął głowę przez okno samochodu i Laura poczuła dochodzący z jego ust obrzydliwy smród. Zrozumiała, że on nie chce, by ktokolwiek z zewnątrz zobaczył, co się dzieje w samochodzie.

— Ty sukinsynu!

Zanim zdążyła więcej powiedzieć, Callow delikatnie przejechał wolną ręką po jej ramieniu. Nie mogła zrozumieć, po co to uczynił, dopóki nie zauważyła cienkiej, krwawej linii w miejscu, gdzie przesunął palcami. Wydawało się niemal, że zrobił jakąś sztuczkę magiczną. Laura patrzyła na ranę na ramieniu, nie mogąc zrozumieć, w jaki sposób Callow ją zadał. Nagłe ukłucie bólu przywróciło jej przytomność i Laura chwyciła napastnika za nadgarstek, uniosła jego dłoń i dostrzegła ukrytą między palcami żyletkę. Zanim zdążyła zrozumieć, co zobaczyła, Callow wyrwał się i uderzył ją pięścią w twarz. Laura zobaczyła wszystkie

gwiazdy, poczuła ogromny ból i w oszołomieniu opadła na siedzenie. Kiedy przyszła do siebie, Callow zdążył już otworzyć drzwi i gramolił się ponad nią do środka.

Z wściekłością kopnęła go, celując w krocze, ale jej stopa trafiła w udo. Skrzywił się z bólu, ale wciąż się uśmiechał. Oczy, w których nie było już błysku, utkwili w twarzy Laury.

Zaczęła krzyczeć i wyrywać się, a Callow kolejnym płynnym ruchem rozciął miękką część jej łokcia, omal nie trafiając w żyły na nadgarstku. Zanim zdążyła zareagować, kilka razy przejechał żyłką po jej twarzy. Uniosła ramiona, żeby się zasłonić, ale czuła już rozstępującą się na twarzy skórę i krew ciekącą po ramionach. Wydała z siebie kolejny okrzyk. Strach i ból potęgowało wspomnienie matki, która dwa lata wcześniej trzymała jej przed oczami zakrwawioną brzytwę. Tylko nie to, wykrzyknęła w myśli.

Nagle zdała sobie sprawę, jak beznadziejna jest jej sytuacja: nikt nie przyjdzie jej z pomocą; Callow zmusił ją do przyjęcia pozycji, w której nie mogła się bronić; a kiedy doszła do wniosku, że jedyne co może zrobić, to krzyczeć i czekać na pomoc, Callow uderzył ją znowu w twarz i przerzucił przez oparcie foteli na tył furgonetki.

W oszołomieniu zobaczyła, jak opuszcza się na nią, jakby był wielkim pajakiem, a potem z szaleńczym uporem tnie jej skórę żyłką trzymaną pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Ostatnia rzecz, jaką Laura ujrzała przed utratą przytomności, była tak okropna, że dziewczyna nie wiedziała, czy to halucynacja spowodowana bólem i wstrząsem przed zbliżającą się śmiercią: oczy Callowa zalane były krwią, jakby pękły w nich wszystkie naczynia krwionośne, i pulsowały w oczodołach, jakby toczyło je robactwo.



Church pierwszy zauważył, że drzwi furgonetki są uchylone. Wyglądało to niewinnie – Laura mogła je otworzyć, żeby wpuścić trochę powietrza – ale intuicja podpowiadała mu, że stało się coś złego. Ruszył biegiem ku furgonetce, zostawiając w tyle resztę przyjaciół, którzy nic nie zauważyli i wesoło rozmawiali. Gnany niepokojem, nie myślał już racjonalnie, a kiedy dotarł do drzwi i zajrzał do środka, zebrało mu się na mdłości.

Wnętrze samochodu wyglądało jak rzeźnia. Ściany pokryte były krwią, podobnie jak podłoga, na której leżało blade, nieruchome ciało Laury. Jej pocięty na strzępy podkoszulek odsłaniał okropny, zabliźniony napis *JEZUS ZBAWIA*, który teraz wyglądał tak, jakby ktoś chciał go zamazać. A potem Church zauważył coś jeszcze.

Z furgonetki znikła skrzynia z insygniami.



Droga do Tenby zlała się w jedno wspomnienie wyjącego klaksonu, szaleńczo wyprzedzanych samochodów i niebezpiecznie szybko branych zakrętów. Krzycząc wpadli na pogotowie w szpitalu na Trafalgar Road. Church biegł, trzymając Laurę na rękach, podczas gdy z jej porozcinanego ciała kapłała krew, pozostawiając na podłodze szpitalnego korytarza ślad, jakby trop ranionego zwierzęcia. Mimo najgorszych obaw, które

Church miał na początku, okazało się, że Laura żyje, choć jest w szoku. Nie wiedzieli, jak poważny jest jej stan, ale wyraz twarzy lekarzy i pielęgniarek, które się nią zajęły, kazał przypuszczać, że jest bardzo źle. Kiedy Laurę zabrano za drzwi oddziału, zostali sami w pustej poczekalni.

— Ale przecież to my wygraliśmy! – skarżył się Veitch jak zepsute dziecko. Widać było, że jest wstrząśnięty, podobnie jak reszta grupy. – To nie *fair!* – Brzmiało to żałośnie, ale tylko tyle potrafił powiedzieć.

Ruth w zdenerwowaniu gryzła pięść.

— Boże, mam nadzieję, że wyjdzie z tego. – Church zauważył na jej twarzy żal i wyrzuty sumienia.

— Ale my wygraliśmy – powtórzył Veitch, jakby wystarczyło to powtórzyć, by stało się prawdą.

— Wybrali odpowiedni moment, żeby zaatakować – zauważył Shavi. – Nie byliśmy czujni. Lepiej nie mogli trafić.

— Zaatakowano ją nożem albo brzytwą – widzieliście cięcia. To niepodobne do Fomorian – powiedział Church. – Może to przypadkowe nieszczęście. Jakiś szaleniec, który przypadkiem natrafił na Laurę w samochodzie. To się cały czas zdarza, do cholery – dodał z goryczą w głosie.

— Szaleniec, który wie, że ma zabrać insygnia? – Tom wydawał się bardziej poruszony, niżby można się po nim spodziewać. Kiedy zobaczył nieprzytomną Laurę, oczy zaszkły mu łzami i nie mógł wykrztusić słowa. Od czasu do czasu przechodziły go dreszcze, jakby miał gorączkę.

— Tyle się, cholera, namęczyliśmy i wszystko na nic! – Veitch ukrył twarz w dłoniach.

— To chyba nie najlepszy moment – zaczął Tom – ale musimy odzyskać insygnia. Stawką jest...

— Nie! – przerwał mu Church gniewnie. Przed oczami stanął mu obraz Marianny. – Nic nie jest ważniejsze od ludzi. Jednostek. Najbliższych nam osób. To im musimy poświęcać czas, wysiłek, pasję. Na co nam świat, w którym nikt się nikim nie przejmuje.

Tom chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko odwrócił wzrok.

— Nie będę się teraz przejmował żadną misją. Chcę tylko, by Laura przeżyła. Jeśli nie będziemy mieli przyjaciół, jeśli nikogo nie będziemy kochać, to nie warto dalej żyć.

Veitch spojrzał na Churcha, jakby go pierwszy raz zobaczył, a potem skinął głową w zamyśleniu.

Tom natomiast ukrył twarz w dłoniach i zaczął cicho łkać. Pozostali patrzyli na to z niedowierzaniem. Ruth podeszła do niego i otoczyła ramieniem, ale nie była w stanie go pocieszyć.

Veitch skulił ramiona, jakby spoczywał na nich ogromny ciężar.

— Co my, do cholery, teraz zrobimy?



Około południa pozwolono im ją zobaczyć. W szpitalnym łóżku wyglądała jak chorowite dziecko, z trudem ją rozpoznali. Jej blond włosy leżały na poduszce splątane i nieuczesane, skóra była blada, a sylwetka szczuplejsza i bardziej koścista, niż pamiętali. Całą lewą stronę jej twarzy przykrywał opatrunek. Wokół rąk wiły się wężyki kilku kroplówek. Laura była nieprzytomna.

— Daliśmy jej środki uspokajające – wyjaśnił lekarz. – Tak jest najlepiej, biorąc pod uwagę wstrząs, jaki przeżyła.

— Wyjdzie z tego? – zapytał Church.

Lekarz nie wiedział, jak odpowiedzieć.

— Fizycznie – raczej tak. Zrobiliśmy jej transfuzję, zaszyliśmy najgłębsze nacięcia, resztę opatrzyliśmy. Ale... – lekarz wzruszył ramionami – wie pan, to był atak żyletką. Jakiś szalenciec, zboczeniec. Nie potrafię sobie wyobrazić, kto mógłby coś takiego zrobić. – Lekarz umilkł i przełknął ślinę. – A jej twarz... będzie miała z jednej strony okropne blizny. Widział pan jej plecy i ramiona. Wygląda jakby ktoś ją kroił nożem. Ale najgorsze są rany w jej psychice. Zauważyłem stare blizny... – Spojrzał po nich, mając nadzieję na jakieś wyjaśnienia.

— Wcześniej już przeszła przez coś podobnego – powiedział tylko Church.

Lekarz skinął głową, jakby to wystarczyło za całą odpowiedź.

— To jeszcze gorzej. Dwa razy spotkało ją to samo nieszczęście.

— Kiedy będziemy mogli ją stąd zabrać? – niepewnym głosem zapytał Tom. Udawał, że nie widzi poirytowanych spojrzeń pozostałych.

— No, co najmniej za kilka dni. Potrzebuje odpoczynku, spokoju. Chciałbym ją też skierować do poradni psychologicznej.

Podziękowali lekarzowi za pomoc i milczeli, dopóki nie wyszli z pokoju. Potem Church zwrócił się do Toma: – Cholera jasna, gdyby zginęła, to byś nam kazał ją zostawić w rowie!

Tom nie wydawał się zbyt wstrząśnięty tym oskarżeniem, co jeszcze bardziej poirytowało Churcha.

— Jak zobaczysz, co się będzie działo za kilka miesięcy, to inaczej zaśpiewasz. – W głosie Toma słychać było wysiłek, jakby musiał wymawiać każde słowo osobno, ale usłyszeli również jego dawną oschłość. – Jeśli nie rozpoczniecie pogoni za insygniami, wasza decyzja pogrąży cały świat, cywilizację, wszystko. Czy jesteście gotowi to zrobić?

Church odwrócił wzrok, zły na Toma, za to że stawia go przed takim wyborem. Mógł jednak myśleć tylko o Laurze.

— Ona wyzdrowieje – kontynuował Tom. – Słyszałeś, co powiedział lekarz. A my nie mamy czasu do stracenia. Jutro może być już za późno, żeby odnaleźć trop.

W poczekalni zapadła długa, grobowa cisza. W końcu odezwał się Veitch: – Chciałbym wiedzieć, kto jej to zrobił.

— Lekarz powiedział, że nie wolno jej niepokoić – zaprotestował Church. – A jak się zacznie rzucać? Rozdrapie sobie ranę i dostanie infekcji. To zbyt ryzykowne.

— Musicie teraz podjąć decyzję.

Wszyscy spojrzeli na Churcha.

— Dlaczego tak patrzycie? – zawołał.

Odwrócili wzrok, ale odpowiedź na to pytanie była oczywista. Czekali, aż to on coś powie.

Tom podszedł do Churcha i położył mu rękę na ramieniu; w jego twarzy było widać szczerą troskę.

— Decyzja należy do ciebie – powiedział cicho.

Church z przerażeniem stwierdził, że cokolwiek zrobi, będzie przeklęty.



Veitch znalazł wózek inwalidzki, na którym posadzili Laurę po dłuższej kłótni o to, co znajduje się w kroplówkach i czy wolno im je usunąć. Jedna zawierała chyba sól fizjologiczną, a druga środek uspokajający podawany co jakiś czas za pomocą elektronicznego regulatora. Postanowili nie usuwać kroplówek i wieźć je na stojakach za wózkiem. Nogi Laury przykryli kocem,

by ukryć fakt, że jest w samej koszuli nocnej i w ogóle nie powinna być ruszana z łóżka. Gdyby zostali wykryci, nikt nie pozwoliłby im opuścić szpitala i najprawdopodobniej zostaliby aresztowani za próbę porwania pacjenta. Przemykali się więc korytarzami, starając się unikać bardziej uczęszczanych miejsc. Zauważyła ich dopiero pielęgniarka przy wejściu, kiedy szli już w kierunku furgonetki.

W ładowni urządzili prowizoryczne legowisko ze śpiworów. Choć stojaki kroplówek zabezpieczyli ubraniami i torbami, z hukiem przewróciły się one już na pierwszym zakręcie.

Zapomnieli o radosnym nastroju, jaki przepełniał ich rano. Znów mieli wrażenie, że wszystko zmierza ku najgorszemu, a im samym nic się nie udaje. Church siedział na podłodze obok Laury, wyczekując na jej twarzy oznak wracającej przytomności albo pogorszenia stanu. Był na siebie zły za decyzję, jaką podjął, oraz za to, że nie miał wyboru. Chciał krzyknąć do reszty grupy, że nie jest w stanie podjąć roli przywódcy i nie chce podejmować za nich tragicznych decyzji, od których zależy życie wielu ludzi. Był kiedyś tak zapatrzony w siebie, że pozwolił umrzeć swojej ukochanej i nie zauważył nawet, że została zamordowana. Czasami zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby dla nich, gdyby ich opuścił, żeby sami mogli dokończyć misji.

Latarnie Drogi nakazała im wyjechać z Tenby w kierunku północno-wschodnim. Shavi jechał z maksymalną prędkością, zwalniając tylko w miejscach, gdzie mogli natrafić na patrole policyjne. Gdyby podążali dokładnie za promieniem latarni, musieliby jechać trasą prowadzącą przez pustkowia Walii, ale pamiętając o doświadczeniach w Builth Wells postanowili trzymać się głównych dróg. Koło Carmarthen wjechali na ruchliwą trasę A40 i dotarli nią do Ross-on-Wye, a potem do

autostrady. Tutaj Latarnia Drogi zaczęła wskazywać kierunek północny.

— Ktokolwiek ukradł insygnia, bardzo szybko się teraz przemieszcza – zauważył Shavi. – I najwyraźniej wie, dokąd zmierza.

— Słuchaj, a może zrób znów tę twoją sztukę, co? Wiesz, te grzybki i trans. Moglibyśmy się dowiedzieć, dokąd jadą i dotrzeć tam przed nimi – zaproponował Veitch.

Shavi utkwiał wzrok w drodze, nie okazując żadnych emocji.

— Nie – powiedział w końcu.



Niebo pokryło się złowrogą czerwienią, potem różnymi odcieniami fioletu, podczas gdy pędzili na północ poprzez miasta konurbacji wokół Birmingham, równiny Staffordshire i Cheshire, a potem ponad kanałem żeglownym pomiędzy Liverpoolem i Manchesterem, gdzie na autostradzie panował ruch jak zwykle, jakby życie toczyło się normalnie. Było już ciemno, gdy dotarli do Lancaster i niezliczone kierunkowskazy zaczęły kierować ich ku Lake District – Krainie Jezior.

Z tyłu furgonetki Church, Ruth i Tom siedzieli, milcząc, wokół nieprzytomnej wciąż Laury, podczas gdy na przednich siedzeniach Veitch i Shavi dodawali sobie otuchy rozmową o rzeczach obojętnych, przerywaną długimi chwilami ciszy.

— Nigdy dużo nie podróżowałem po Anglii – zamyślonym głosem zwierzył się Veitch. – W ogóle prawie nie wyjeżdżałem z Londynu. Parę razy do Southend, do babci. A na północ nigdy nie trafiłem dalej niż Watford.

— Pięknie tu, prawda? – odrzekł Shavi. – Wszędzie. I to nie tylko w miejscach, które uznaje się za ładne, na przykład na wzgórzach albo wrzosowiskach. Nawet kominy wyglądają w odpowiednim świetle pięknie, jakby były ze złota. Kiedyś jechałem pociągiem z Derby i przejeżdżaliśmy przez okropny, zdewastowany teren, na którym po rekultywacji miało chyba powstać nowe osiedle mieszkaniowe. Nic tam nie było, tylko kępy chwastów i kałuże brudnej wody. I wtedy, w jednej chwili, padło takie światło, że w kałużach zaczęły odbijać się szare chmury i cały krajobraz stało się nagle srebrny. To było tak cudowne, że zaparło mi dech w piersiach. Przedtem byliśmy zbyt zajęci i nie zauważyliśmy tego cudu.

— Tak, musiało to być piękne. – Veitch namyślał się chwilę, a potem spojrzał na Shaviego podejrzliwie. – Powiedz, czy byłeś kiedyś w Becton? Nie wyglądasz na pedała.

Shavi odwzajemnił spojrzenie, uśmiechając się blado.

— Nie lubię szufladkować ludzi.

— Ale jesteś, prawda? Pedziem?

— Wolę się określać jako polimorficzny odmieniec.

— Co to za gównno?

— To znaczy, że czerpię przyjemność z różnych źródeł. Nasz czas na tym świecie jest ograniczony. Więc dlaczego miałbym się ograniczać do jednej płci?

Veitch prychnął i odwrócił wzrok ku oknu.

Shavi zdusił w sobie śmiech z pruderyjnych uprzedzeń Veitcha.

— Co ja takiego powiedziałem?

— Niedobrze mi się robi, jak sobie pomyślę, co ludzie robią.

— To nie myśl. Przecież nikt cię nie zmusza.

— Tylko nie próbuj tego ze mną.

— Nie jesteś w moim typie.

Veitch spojrział na Shaviego obruszony.

— Czemu?

— Nie jesteś i już.

Veitch znów odwrócił się z powrotem ku oknu, mruczając coś pod nosem.

Właśnie wtedy Laura zaczęła odzyskiwać przytomność. Church pochylił się nad nią troskliwie i na chwilę w furgonetcie zapanowała nieznośna cisza. Oczy Laury powoli otworzyły się, zobaczyli w nich strach, bo nie wiedziała, gdzie jest. Potem uspokoiła się, kiedy zobaczyła nad sobą Churcha.

— Cholera, boli – odezwała się słabym głosem.

— Spokojnie, spokojnie – wyszeptał Church. – Jesteś poważnie ranna.

Z bólem serca zauważył w jej oczach powracające nagle okropne wspomnienia. Ręka Laury gwałtownie uniosła się ku opatrunkom.

— Moja twarz... – powiedziała ponurym głosem.

Jej oczy wypełniły się łzami, które wylewały się na policzki. Zacisnęła powieki, jakby chciała ukryć swą słabość.

Church wziął ją za rękę, oczekując, że odtrąci go, ale Laura trzymała się kurczowo jego dłoni.

— Jesteśmy przy tobie – powiedział delikatnym głosem.

— Boże, teraz nikt nawet na mnie nie spojrzy. – W jej głosie było słycać tak okropną mękę, że Churchowi ścisnęło się serce. Była tak zrozpaczona, że nawet nie próbowała ukryć swoich uczuć. Ta szczerość była nie do zniesienia dla Churcha, który poczuł się tak, jakby ktoś otworzył duszę Laury i skierował na nią światło potężnego reflektora.

— Nie wygłupiaj się. Przecież jesteś wśród przyjaciół.

Laura roześmiała się gorzko.

— Przyjaciele? Przecież wy mnie wszyscy nienawidzicie. – Church usłyszał w jej głosie irracjonalną rozpacz wywołaną środkami przeciwbólowymi.

— Będziemy przy tobie na dobre i na złe – rozległ się nagle głos Ruth, która pochyliła się nad Laurą obok Churcha.

— O, pani frygida – słabym głosem powiedziała Laura. – Co tak czuć, to smród litości?

— Nie, to Tom.

Laura uniosła nieco głowę i opuściła ją na poduszki, jak tylko zobaczyła jego jak zwykle nieprzyjemną minę.

— Stary dziadu, dobrze że jesteś. Założę się, że się zastanawiałeś, czy ktoś tu nie umrze przed tobą, co?

— Musisz teraz odpoczywać – lodowatym tonem odrzekł Tom. – Przez tydzień, dwa. Możemy ci teraz podkręcić kroplówkę.

— Powiedz, jak się czujesz? – zapytał Church. Spojrzał jej w oczy i ujrzał w nich błysk, jakby niewypowiedziane pożądanie. Na twarzy Laury pojawił się cień uśmiechu. Church poczuł elektryczny dreszcz i wiedział, że ona czuje to samo; uśmiechnęła się do niego, a potem magiczna chwila ustąpiła miejsca skrępowaniu, jakby nie potrafili jeszcze zrozumieć rodzącego się pomiędzy nimi uczucia.

— Jakby mnie puścili przez kralnicę.

— Rzeczywiście, nieźle cię pokroili. Kto to był?

Laura zmarszczyła brwi, starając się sobie przypomnieć.

— Jakiś włóczęga. Powiedział, że go znasz. – Zamilkła na dłuższą chwilę, a potem przypomniała sobie. – Callow.

— Callow? – Church i Ruth zawołali jednocześnie.

— Przecież to tylko bezdomny wydrwigrosz! – zawołał Church i spojrział na Ruth, jakby oczekiwał od niej jakiegoś

wytłumaczenia. – Spotkaliśmy go w Salisbury. Co on tutaj robił?

— Wiedział, że tu jesteście – powiedziała Laura. – To nie mógł być przypadek.

— Cholera. Co się dzieje? – Church poczuł nagle wybuch bezsilnego gniewu. – Znajdziemy sukinsyna. Zabiję go.

— Jest jeszcze coś... – głos Laury załamywał się od zmęczenia. – Pamiętam... Jego oczy zrobiły się czerwone, jakby wypełniały się krwią. I coś poruszało się mu pod skórą. Nie wyglądał jak człowiek...

Głos Laury zamarł i w furgonetce zapadła cisza, którą przerwał dopiero siedzący z przodu Veitch: – Musimy zatrzymać się na następnej stacji i zatankować.

Opuścili autostradę stromym ślimakiem zjazdu na stację Teby Services, mijając ciemną i ponurą gęstwinę drzew, po których restauracja na parkingu wyglądała jak oaza światła w nieprzyjaznej i groźnej ciemności. Ogromne okna widokowe wychodziły na przygnębiające wzgórza północnej Anglii. Ostre światło ze środka padało na zimny staw z kaczkami i wychłostane wiatrem zarośla. Church spojrzął na zapierający dech w piersiach widok i pomyślał, że jeszcze poprzedniego lata zachwyciłby się nim; teraz jednak obawiał się bliskości niebezpiecznego, bezludnego kraju.

— Muszę rozprostować nogi – powiedział. – Kupcie sobie herbaty. Będziemy wychodzić z samochodu w parach, co dziesięć minut. Kto idzie ze mną?

Zgłosiła się Ruth, ale Tom, który z latarką studiował jakieś mapy, niegrzecznie zajął jej miejsce.

W restauracji usiedli przy oknie, za którym panowała nieprzenikniona ciemność. Oprócz nich przy stolikach było jeszcze kilka osób, siedzących z dala od siebie, jakby bali się do

kogokolwiek zbliżyć.

— Wszystko się teraz szybko zmienia, prawda? – zapytał Church, ponuro wpatrując się w ciemność za oknem. – Ciekawe, ile czasu minie, zanim nasz świat się rozpadnie.

— Już niedługo. – Tom w zamyśleniu sącył czekoladę. – Ale wy macie jeszcze czas, żeby coś zmienić.

— Chcesz być ironiczny? Straciliśmy wszystko, o co walczyliśmy i Laura... Boże, wierzyć mi się w to nie chce.

Tom odwrócił wzrok na dłuższą chwilę. Kiedy Church przyjrzał mu się, zaniepokojony przedłużającym się milczeniem, dostrzegł na jego czole krople potu i targające nim dreszcze, jakby ktoś trząsł nim, trzymając za ramiona.

— Co ci jest? – zapytał Church beznamiętnie, czego od razu pożałował. – Może jesteś chory i boisz się nam o tym powiedzieć?

Po chwili Tom doszedł do siebie i odrzekł ochryłym głosem: – Nie twoja sprawa. – Pociągnął łyk ze swojej szklanki z czekoladą, jakby nic się nie stało. – Callow oczywiście pracuje dla jednego z plemion Fomorian – albo dla Calatina, na wypadek gdyby zawiodła Dzika Pogoń, albo dla Mollechta, który pewnie liczył na to, że uda się wykraść insygnia w zamieszaniu podczas jednego ze starć z najemnikami Calatina.

— W Salisbury wydawał się nieszkodliwy.

Tom wzruszył ramionami.

— Być może zwerbowali go później. To nie ma znaczenia. Musimy go dogonić, zanim przekaże insygnia swoim mocodawcom. A ja chyba wiem, jak tego dokonać.

— Jak?

— Lake District jest teraz jednym z najniebezpieczniejszych miejsc w całym kraju. Jeziora to przejścia pomiędzy światami. Każde pojezierze jest teraz pełne potworów z Zaświatów. Na

pewno będzie tam w nocy niebezpiecznie.

Church słuchał tego, pijąc herbatę i krzywiąc się na samą myśl o tym, co ich czeka.

— Mów dalej.

— To będzie dla Fomorian idealne miejsce, żeby odebrać od Callowa insygnia, więc na pewno właśnie tam jedzie. Gdybyśmy wiedzieli, dokąd dokładnie, moglibyśmy go przechwycić.

— Ale przecież tego nie wiemy.

— Nad jeziorem Ullswater jest miejsce zwane Loadpot Hill. Zawsze było ono ważne dla Fomorian. Właśnie tam się spotkają z Callowem.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem.

Church spojrzał Tomowi w oczy. Jak zwykle, można było się domyślać, że nie powiedział wszystkiego. Nauczył się już tolerować tajemniczość Toma, a nawet był mu za nią wdzięczny.

— Poza Fomorianami będzie tam wiele innych istot, więc Callow najprawdopodobniej będzie się bał jechać przez pojezierze w nocy. Myślę, że wybierze najlepiej oświetloną, a nie najkrótszą trasę. Być może uda nam się dotrzeć do Loadpot Hill przed nim i urządzić zasadzkę.

— Ale musimy pojechać niebezpieczną, najkrótszą trasą? Jak mam to sprzedać reszcie grupy?

— Sytuacja jest taka, że musimy zaryzykować.

Tom poszedł do toalety, a Church dokończył herbatę. Od kilku dni nie czuł się najlepiej i cały czas było mu zimno, mimo że miał na sobie koszulę, sweter i zapiętą pod szyję kurtkę. Obawiał się, że dopadła go choroba.

Mimo obaw Toma, kiedy zjechali z autostrady i skierowali się ku sercu Lake District, przez pierwsze mile nic się takiego nie

stało. Droga była co prawda pusta, ale w oknach domów widać było światło, a z niektórych kominów unosił się dym. Potem jednak wydało im się, że przejechali jakąś niewidzialną granicę. Na majestatycznych wzgórzach wokół jezior pobłyskiwały dziwne światła, a kiedy zjechali ku dolinom pojezierza, w gęstwinie drzew po obu stronach drogi wciąż tańczyły błędne ogniki. Kątem oka dostrzegali kształty jakichś istot, które natychmiast znikwały, kiedy odwracali ku nim wzrok, ale instynktownie wyczuwali, że nie są to istoty ludzkie. W pewnej chwili przed samochodem przeleciało coś, co przypominało nietoperza o ciele małego dziecka, i uderzyło z hukiem o karoserię, wydając przy tym obrzydliwy, dziecięcy okrzyk.

— Nie zatrzymuj się, cokolwiek by się działo – powiedział Tom, choć żadne z nich nie miało takiego zamiaru. – Trzymaj gaz do dechy.

Nikt nic nie mówił, wszyscy oprócz Laury wpatrywali się w groźną scenerię za oknami. Obserwując, jak Laura na przemian traci i odzyskuje przytomność, zaczął się bać, że dziewczyna nie przeżyje tej podróży.

Na szczęście okazało się, że Tom miał rację, kiedy kazał jechać wybranym przez siebie skrótem, bo według Latarni Drogi insygnia znajdowały się teraz za nimi. Tom nakazał w końcu Shaviemu zatrzymać się w niewielkiej mijance na szosie samotnie wijącej się ku szczytowi jakiegoś wzgórza.

— Pewien jesteś? – zapytał Veitch, patrząc na gęsty las po obu stronach drogi. – Skąd wiesz, że tu jest bezpieczniej niż gdzie indziej?

Tom wzruszył ramionami.

— Nie powiedziałem wcale, że tu jest bezpieczniej. Ale to najlepsze miejsce, żeby przechwycić insygnia. – Wskazał na

zachód. – Loadpot Hill jest tam. Tą szosą można dojechać najbliżej do szczytu. Kończy się niedaleko stąd.

Veitcha wcale to nie przekonało.

— Stąd nie będziemy nic widzieli, jeśli ktoś będzie chciał się do nas podkraść.

— Jeśli nie wyjdziemy z samochodu, to w każdej chwili możemy odjechać – z nadzieją w głosie zauważyła Ruth.

Tom potrząsnął głową.

— Ktoś musi obserwować szosę za zakrętem. Wtedy w ostatniej chwili, zanim nas zobaczy, będziemy mogli zająć mu drogę.

— I co, myślisz, że ktoś się teraz zgłosi na ochotnika? – zapytał Veitch.

— Powinniśmy pójść wszyscy – stwierdził Church. – Razem będziemy bezpieczniejsi.

— A ja zostanę w samochodzie, żeby móc w każdej chwili wyjechać na drogę – dodał Shavi.

— Nie, będziesz miał dużo czasu, żeby wrócić do furgonetki, kiedy zobaczymy jego światła.

— A Laura? – Ruth odgarnęła włosy z czoła.

— Jeśli zamkniemy drzwi na klucz, to nic jej nie będzie. – Church zwrócił się do Toma. – Jak rozpoznamy jego samochód?

— O tej porze będzie tędy jechał tylko on.

— Jak zwykle znasz odpowiedzi na wszystkie pytania.

Dopiero kiedy zgasł silnik furgonetki, Church zauważył, jak jest zimno. Żałował, że nie ma ze sobą miecza. Otworzył tylne drzwi i wyskoczył na szosę, gdzie poczuł się bezbronny, jakby ktoś związał mu ręce.

Pozostali podążyli za nim w milczeniu. Pochód zamykał Veitch, rzucający czujne spojrzenia w ciemność. Przyczaili się na

zakręcie, jednak nie zdołali siedzieć tam nieruchomo. Wciąż mieli nieodparte wrażenie, że ktoś stoi w ciemności za ich plecami. Co jakiś czas któreś z nich spoglądało przestraszone za siebie.

Tom miał rację; z tego punktu obserwacyjnego mogli z daleka dostrzec każdy zbliżający się samochód. Veitch co jakiś czas narzekał, że są zbyt daleko od furgonetki, aż w końcu Ruth zagroziła mu, że jeśli się nie zamknie, to wepchnie go pod samochód Callowa, kiedy ten się pojawi.

Mimo czającego się wokół niebezpieczeństwa, Church poczuł cień zachwytu, kiedy otworzył się na piękno otaczającego ich krajobrazu. Noc była niezwykle cicha – bez szumu samochodów i przelatujących w oddali samolotów – a w powietrzu unosił się świeży, ostry aromat sosen, jakby usunięto z niego wszystkie zanieczyszczenia przemysłowe. Było tak pięknie, że zakrawało to na czary – Church zauważył, że brzmi to ironicznie – i zastanawiał się, czy to nie jeden z rezultatów zachodzących na świecie zmian.

Szybko stracili ochotę na rozmowy i ciszę przerywało od czasu do czasu jedynie tupanie, którym próbowali się rozgrzać. Cały czas trzymali się na baczności, choć czuwali już od prawie godziny. Zamiast jednak przyzwyczaić się do otaczających ich ciemności, odczuwali coraz większy, niemal klaustrofobiczny niepokój. Ruth stwierdziła, że zbiera się jej na wymioty.

— Słuchajcie, a może mu strzelić w szybę, jak nadjedzie. Trafilibym – zaproponował Veitch. Z tonu jego głosu Church wywnioskował, że mówi tylko po to, by przerwać nieznośną ciszę.

— Broń palna jest ucieleśnieniem wszystkiego, co najgorsze w odchodzących czasach – powiedział Shavi. – Nie ma dla niej

miejsca w przyszłości. Czuję, że im bardziej polegamy na dawnych zwyczajach, tym gorsze rzeczy się nam mogą przydarzyć.

— Może być jeszcze gorzej niż teraz? – zdziwił się Church.

— Rzygać mi się chce, jak ktoś narzeka na broń – powiedział Veitch. – Co, mamy się zacząć znowu bić na miecze? Czy wy w ogóle wiecie, jak takim mieczem kogoś uszkodzić?

— A ty niby wiesz? – odcięła się Ruth. Po chwili milczenia Veitch odparł: – Nie, ale mogę sobie wyobrazić.

Ruth chciała już się odgryźć, kiedy nagle zauważyła coś niepokojącego i uważnie przyjrzała się twarzy Toma.

— Ty krwawisz.

Z obu nozdrzy leciała mu krew. Tom dotknął ust i spojrzał ze zdziwieniem na pokryte czerwienią palce.

— Czekaście, słyszycie coś? – Veitch zaczął z niepokojem rozglądać się, ale żadne z nich niczego nie usłyszało.

Church zauważył dziwny wyraz twarzy Toma. Wydawało się, że to wcale nie reakcja na krwawienie z nosa, tylko zmaganie z jakąś okropną myślą.

— Wszystko w porządku? – zapytał. – Czy to znowu ta choroba?

Tom spojrzał na niego z niewytłumaczalnym lękiem, tak silnym, że Church od razu zamilkł.

— Słuchajcie – nalegał Veitch. – Coś słyhać.

— Zamknij się! – warknęła Ruth. – Nic tam nie ma, tylko wszystkich straszysz.

Tom zakrztusił się i zasłonił usta dłońmi. Church z przerażeniem zauważył, że z kącików oczu cieknie mu krew, której stróżka wyleciała również z lewego ucha.

— Jezu! – zawołał. – Co ci jest?

— Zaczekajcie – odezwał się Shavi. – Ryan ma rację, coś słyhać. – Teraz już i Veitch, i Shavi zaczęli zaniepokojeni się rozglądać.

Ruth rzuciła im piorunujące spojrzenie i zwróciła się do Churcha: – Czy oni wszyscy poszaleli?

Church obejrzał się w kierunku furgonetki, martwiąc się o Laureę. Stwierdził, że chyba rzeczywiście są zbyt daleko.

— Może cofnijmy się trochę? – zaproponował.

Tom padł na kolana, trzymając się za głowę, z której na asfalt kapąły krople krwi. Pochyliwszy się, jak wymiotujący pies, wił się i krztusił, jakby coś ugrzęzło mu w gardle.

Veitch wyglądał na poważnie przestraszonego. Nie zwracając uwagi na Toma, złapał Churcha za ramię.

— Słuchaj, lepiej wynośmy się stąd. Tu się zaraz stanie coś złego.

— Tak, zgadzam się – dodał Shavi.

Church jednak ukląkł obok Toma i otoczył go ramieniem.

— Musimy mu jakoś pomóc. To wygląda poważnie.

— Church? – Głos Ruth, w którym słyhać było zaciekawienie i lekki niepokój, zrobił na nim większe wrażenie niż zapewnienia pozostałych przyjaciół. Spojrzał na jej twarz; była blada i zaniepokojona.

— Ja też coś słyżę – powiedziała nerwowym głosem.

Wtedy usłyszał i on. Głos, piskliwy, niemal poza granicą słyszalności, ale uderzająco silny. Church poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Dziwny dźwięk przypominał krzyk ptaków morskich, ale trwał nieprzerwanie i było w nim coś niewytłumaczalnie ludzkiego, co jeszcze bardziej go niepokoiło.

— Co to jest? – zapytał, zrywając się na równe nogi. Zapomniał na razie o Tomie.

— Patrzcie. – Shavi wyszedł kilka kroków przed nich, wpatrując się w drzewa na wznoszącym się stoku. – Tam w górze chyba coś widać.

— Powiedziałem, wynośmy się stąd – warknął Veitch.

Shavi miał rację; wśród drzew przemykały jakieś cienie, w dziwny sposób jaśniejsze od otaczającego je mroku.

Targany wymiotami Tom wydał z siebie kolejny krztuszący się dźwięk. Jego usta ociekały krwią.

— Boże, czy on nie może się zamknąć? – zapytała Ruth bezlitosnym tonem. Na jej twarzy widać było przerażenie.

Powinniśmy już uciekać, pomyślał Church, ale dziwne poruszenia cieni w koronach drzew i wydawany przez nie piskliwy krzyk miały hipnotyczną siłę, która nie pozwalała mu ruszyć się z miejsca.

Cienie zbliżały się do nich szerokim łukiem. Z mniejszej odległości wydawały się szare i dziwnie półprzeźroczyste, jakby składały się z dymu i kształt nadawał im tylko wzrok patrzącego. Church wstrzymał oddech, kiedy zdał sobie sprawę, że są ich całe dziesiątki. Poruszały się nierówno i szybko, jakby tańczyły wśród gałęzi drzew, wyginając się i wydając przy tym szeleszczące dźwięki. Przypominały unoszące się na wietrze strzępy papieru. Wydawały się jednocześnie materialne i bezcielesne; Church nie potrafił tego zrozumieć.

Kiedy zbliżyły się jeszcze bardziej, zauważył ich szare twarze; były to kobiety, na swój sposób piękne, ale o zapadłych policzkach i nieruchomych oczach. Z szeroko otwartych ust zjawcały cały czas wydostawał się ledwie dosłyszalny krzyk. Miały długie, ciągnące się za nimi włosy. Ich ciała przykrywały czarne, falujące całuny. Church, podobnie jak pozostali, znieruchomiał z przerażenia.

— Kim one są? – wykrztusiła Ruth.

— To Baobhan Sith.

Church drgnął, usłyszawszy ochrypły głos Toma, który leżał teraz na plecach i wpatrywał się w niebo.

— Baobhan Sith? – Church przypomniał sobie ukłucie strachu, które poczuł leżąc pod kołdrą w hotelu w Salisbury, kiedy niewidzialne istoty przeszukiwały pokój. Potem zdał sobie sprawę, że Tom wypowiedział ich nazwę, nie patrząc na nie. W jego umyśle pojawiło się okropne podejrzenie.

— Ty wiedziałeś, że tak się stanie! Specjalnie nas tutaj przyprowadziłeś! – krzyknął do Toma z przerażeniem w głosie.

Tamten nie odpowiedział, a z jego ust chlusnęła tylko krew. W tym momencie jakby prysł czar, dokładnie w chwili kiedy Baobhan Sith miały już wybiec spośród drzew. Church, Veitch i Shavi jak jeden mąż rzucili się w kierunku furgonetki.

Ruth, którą wciąż paraliżowało przerażenie, cofnęła się tylko na drugą stronę drogi. Na chwilę czas jakby zawisł w powietrzu, a potem wszystko zaczęło się dziać z oszalamiającą szybkością. Baobhan Sith wybiegły na szosę, podobne teraz do polującej sfory psów. Rozległ się suchy trzask wystrzału – to Veitch bezskutecznie starał się je powstrzymać. Większość cieni podążyła za uciekającymi sylwetkami Churcha, Veitcha i Shaviego, skrzecząc przy tym ze zwierzęcą zaciekłością. Choć wciąż wydawały się bezcielesne, Ruth zauważyła, że ich palce jak szpony zacisnęły się na nogach uciekinierów. Potem uniosły się, jak balony, odsłaniając jeszcze szerzej otwarte usta i rzędy ostrych jak igły zębów. Zanim odwróciła wzrok, zobaczyła jeszcze głowy potworów opuszczające się ku szyjom jej przyjaciół, by wbić w nie kły.

Pozostałe Baobhan Sith rzuciły się w jej kierunku. Minęły

Toma, jakby go tam nie było i tanecznymi ruchami przecięły szosę. Ruth pośpiesznie cofała się w las, schodząc po stoku wzgórza. Musiała uciec, by uratować jakoś pozostałych. Nagle poczuła, że stromizna ucieka jej spod stóp, desperacko szarpnęła się, próbując zachować równowagę, a potem, słysząc ogłuszający krzyk goniących ją zjaw, zaczęła się staczać jak kamień. Czując, jak rozdzierają jej skórę gałęzie i ciernie, toczyła się coraz szybciej i szybciej, aż cały świat zamienił się w wir bólu i strachu.

ROZDZIAŁ 19

UCIECZKA

Ruth wpadła na jakiś kamienny mur i zatrzymała się. Uderzenie pozbawiło ją oddechu i na chwilę oszołomiło. W ustach i nosie miała ziemię i kawałki liści, a twarz i ramiona poorane zadrapaniami. Krztusząc się i parszcząc, podniosła się na nogi. Wciąż przerażona, oczami wyobraźni widziała przed sobą sfory Baobhan Sith. Na stoku, z którego się stoczyła, nie było ich jeszcze, ale Ruth słyszała ich niesamowite okrzyki pośród gałęzi. Nie miało minąć dużo czasu, zanim uda się im ją znaleźć.

Z lękiem pomyślała, że będzie musiała uciekać przez dziką okolicę. Najlepiej byłoby znaleźć bezpieczne schronienie, ale gdzie go szukać? Rozejrzawszy się, Ruth stwierdziła, że stoi oparta o mur ogrodu przy niewielkim domku. Wyglądał na bardzo stary. Pokryty strzechą spadzisty dach zwisał ponad niewielkimi, umieszczonymi tuż ponad ziemią oknami. Ściany były grube na głębokość ramienia, zapewne po to, by chronić domowników przed zimowymi wichurami. Dom otoczony był starannie utrzymanym ogrodem, w którym rosło kilka drzew owocowych, tak sękatych i poskręcanych ze starości, że wyglądały jak gromada starców gwarzących przy wiejskiej drodze. Ruth z ulgą zauważyła za zasłonami ciepłe światło i wyczuła dochodzący z wielkiego kamiennego komina zapach palących się drewnien.

Krzyk Baobhan Sith słyhać było coraz bliżej – Ruth nie miała

czasu do namysłu. Ocierając sobie golenie i kostki przelazła przez mur, zwała się na grządkę ziół i dobiegła do frontowych drzwi. Były zrobione z dębowego drewna i podniszczone, jakby nikt ich nie wymieniał od czasu zbudowania domu. Obok nich stała żelazna skrobaczka do butów i miotła z brzoźowych witek.

Choć wydawało się jej, że oszaleje ze strachu, zapukała do drzwi najspokojniej, jak mogła, by nie przestraszyć domowników. Ktoś musiał usłyszeć, jak biegnie przez ogród, bo zasłona w oknie poruszyła się nieznacznie. Zanim opadła, Ruth zauważyła w oknie błyszczące oczy i twarz kobiety.

Nikt nie otwierał jednak drzwi. Przerazające okrzyki Baobhan Sith dochodziły już zza muru ogrodu po drugiej stronie domu. Nie było czasu, by uciekać gdzie indziej.

Ruth z całą siłą zaczęła walić w drzwi, które tym razem otworzyły się. Stała w nich kobieta po pięćdziesiątce, o długich, siwych włosach przewiązanych z tyłu czarną wstążką. Jej policzki pokrywała czerwona pajęczyna pękniętych naczynek, znak że spędziła dużo czasu w wietrznym i zimnym klimacie północnej Anglii. Była od Ruth o pół głowy niższa, miała jednak równie szczupłą i elegancką figurę. Przez chwilę mierzyła Ruth wzrokiem, a kiedy uznała ją za mile widzianego gościa, chwyciła za rękę i wciągnęła do środka, po czym zatrzasnęła drzwi. W chwilę później zamknęła je na stalową zasuwę.

Ruth odetchnęła głęboko.

— Tam coś jest...

— Wiem, że tam coś jest! – warknęła nieznajoma. – Cofnij się!

Znalazły się w spartańsko urządzonej salonie ogrzewanej przez szeroki, kamienny kominek, na którym trzaskały wielkie polana. Pod jedną ze ścian stał stary, popękany kredens, a pod drugą, równie stary stół kuchenny, na którym ustawione były

różne słoje. Na stole leżała rozsypana zawartość niektórych z nich – suszone zioła i nasiona. Inne zioła zawieszane były w pęczkach na krokwiach i cały pokój był wypełniony ich odurzającym zapachem. Kamienną podłogę przy palenisku przykrywała mata z sitowia. Stał tam też ciężki, drewniany fotel z poduszką w kwiatki. Na fotelu leżał zwinięty w kłębek rudy kot.

— Mogłybyśmy się zabarykadować na górze. Do świtu trzymać je... – zaczęła Ruth.

— Nawet nie zauważą, że tu jesteśmy, jeśli nie będziemy zwracać na siebie uwagi. – Kobieta patrzyła na Ruth podejrzliwie. Jej oczy błyszczały w świetle dochodzącym z paleniska. – Co robisz w tym miejscu o takiej porze? Ostatnio lepiej nie podróżować w nocy, zresztą w dzień też nie jest bezpiecznie.

— Nie miałam wyboru – odrzekła Ruth. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, w jak poważnych znaleźli się kłopotach i oparła się ciężko o fotel. Zakryła oczy dłonią, stając się odegnąć stojący przed nimi obraz Baobhan Sith atakujących Veitcha, Churcha i Shaviego. Chwilę później musiała zacisnąć powieki, by powstrzymać łzy. Opuściła dłoń i zauważyła, że nieznajoma przygląda się jej uważnie.

Gospodyni podeszła do niej nagle i złapała za nadgarstek, po czym zbliżyła dłoń Ruth do oczu. W migotliwym świetle widać było wypalony na niej znak Cernunnosa.

— Bogini! – Podejrzliwość znikła z oczu kobiety, która patrzyła teraz z nabożną czcią. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się przyjaźnie. – Co za dziwne czasy. Siadaj! Zrobię ci herbaty.

— Nie ma na to czasu! – zaprotestowała Ruth.

— Zawsze jest czas. Rzuciłam na ten dom ochronny urok. Jest niewidzialny dla tych obrzydliwych potworów, które od

pewnego czasu pełzają po okolicy. Nie możemy jednak wychodzić, dopóki nie odejdą te, które cię goniły, inaczej od razu nas dostaną. Korzystaj z chwili odpoczynku, bo rzadko się teraz zdarzają!

Ruth niechętnie pozwoliła posadzić się na fotelu, choć wciąż czuła zamęt w głowie i chciała uciekać, mimo że nie było dokąd. Ciepło kominka działało uspokajająco, ale Ruth wciąż chciało się płakać. Wszystko poszło źle, a w dodatku zdradził ich Tom, co ostatecznie ją załamało.

— To wszystko jest straszne! – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie, muszę im pomóc! – Zerwała się na nogi i podbiegła do okna. Na zewnątrz okolicę przemierzały sfory Baobhan Sith, rozglądając się uważnie. Ruth wiedziała, że nie zdoła przebiec nawet kilku metrów od drzwi. Zniechęcona, powlokła się z powrotem do fotela.

— Rozchmurz się, kochana. – Kobieta zawiesiła nad ogniem okopcony czajnik, a na stole postawiła filiżanki, sitko, puszkę z herbatą, cukier i mleko. – A tak w ogóle, to jestem Nina.

Ruth przedstawiła się, położyła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy.

— Co to za obronny urok? – zapytała zmęczonym głosem. – Ostatnio wydaje mi się, że wszyscy zajmują się jakimiś dziwnymi rzeczami.

Nina roześmiała się.

— Masz rację. Dziesięć lat uczyłam się sztuki czarodziejskiej, pracując nad urokami i obrzędami. Czasami działały albo wydawało mi się, że działały, ale bardzo rzadko. Myślałam nieraz, że biorę tylko swoje pobożne życzenia za prawdę. Ale niedawno, zaraz po Bożym Narodzeniu, nagle wszystko zaczęło działać, jakbym była naładowana prądem elektrycznym! Robię

rzeczy, o których wcześniej nie mogłam nawet pomarzyć. To były... – zaśmiała się – no właśnie, czary!

— Wszystko się teraz zmienia – ponuro odrzekła Ruth.

— Tak, rzeczywiście. Najpierw myślałam, że to tylko ja, że po tych wszystkich latach okryłam w sobie wreszcie talent. Ale potem zobaczyłam, że wszędzie dzieją się dziwne rzeczy. To świat się zmienia. – Nina zauważyła zaszępiiony wyraz twarzy Ruth. – Nie jest tak źle – tylko inaczej. Wróciła magia. Taka, jak przed wiekami. Tym można się cieszyć.

— Naprawdę umiesz rzucać czary?

— Nic wielkiego, nie potrafiłabym zmienić świata. Ale umiem to, co podobno zawsze umiałyśmy. Zmieniam pogodę, rozmawiam ze zwierzętami, przygotowuję mikstury, które działają. Rozumiesz, chodzi o związek z przyrodą. Teraz jest bardzo silny. – Wskazała na dłoń Ruth. – Jesteś jedną z nas. Na pewno jesteś potężniejsza ode mnie. To znak Rogatego Myśliwego, małżonka Bogini Matki.

Ruth potrząsnęła głową.

— Nie wiem, o czym mówisz. Nigdy się takimi rzeczami nie zajmowałam.

W głosie Ruth słychać było lekceważącą nutę, ale Nina nie wydawała się obrażona.

— Być może twój mózg o tym nie wie, ale to w tobie tkwi. Inaczej nie zostałabyś naznaczona. Jesteś wieszczką, nie mam co do tego wątpliwości. Musisz się tylko nauczyć wykorzystywać swoje zdolności.

— Z całym szacunkiem, nie wyobrażam sobie, jak mogłabym się zajmować tym, co ty. Ja jestem prawniczką.

Nina roześmiała się.

— Co, myślisz, że czarami zajmują się tylko stare wiedźmy,

takie jak ja?

— Nie chciałam...

Nina uciszyła ją dobrodusznym machnięciem ręki.

— Jedyne wymaganie to płeć żeńska. I prawdopodobnie jakieś uzdolnienie, by móc zdobyć potrzebne umiejętności. Na przykład ja – nie zawsze byłam taka jak teraz. Po prostu okazało się, że wolę tradycyjny styl życia. – Gestem wskazała na pokój. – Kiedyś zajmowałam się zaopatrzeniem szpitali. Pracowałam całe dni, żeby rozbudować firmę. Potem mój Ralf nagle też trafił do szpitala. Guz mózgu. Nie cierpiał długo. – Zamilkła na chwilę, przygnieciona wspomnieniami, które dodały jej nagle lat. – Potem praca już nie wydawała się tak ważna. Nic w moim życiu nie było już ważne. – Uśmiechnęła się smutno. – To okropne, prawda? Dopiero, kiedy przeżyłam tragedię, zrozumiałam, że całe życie oszukujemy się, wierząc w rzeczy, które nie nadają żadnego sensu naszemu istnieniu. Ludziom potrzebne jest coś, w co można wierzyć – tacy już są. Ale kiedy zabraknie pracy i rodziny, zaczynamy się zastanawiać, w co wierzymy tak naprawdę. Zakochałam się w pogańskiej religii, bo poprawiała mi nastrój. Potem poczułam, że jest prawdziwa. A teraz nie wyobrażam sobie bez niej życia.

Ruth patrzyła na gospodynię, która przez obrusik chwyciła gorący czajnik i zdjęła go z ognia. Nagrzała imbryk i wsypała do niego herbaty, do której dodała jeszcze szczyptę jakiejś przyprawy ze stojącego obok talerzyka.

— Moja własna recepta – powiedziała konspiracyjnym tonem. – Dodaje herbacie kopa. Tak się ją pije na Bliskim Wschodzie.

— Jak to jest, kiedy się umie robić takie rzeczy? – zapytała Ruth, kiedy dostała swój kubek. – Wszystkie dzieci przecież o czymś takim marzą.

— No, to nie przypomina wcale opowieści z książeczek dla dzieci – odparta Nina nieco szorstkim tonem. – Nie można sobie czegoś po prostu zażyczyć i potem to zrobić. Chodzi raczej o kierowanie energią – niewidzialną energią świata. Zawsze uważałam, że to rodzaj nauki, której jeszcze nie zdołała wytłumaczyć fizyka. – Nina uśmiechnęła się, widząc zaciekawienie na twarzy Ruth.

Przy płonącym kominku, sącząc doprawioną korzeniami herbatę, Nina opowiadała o sztuce czarów, podczas gdy Ruth starała się uporać z rozpaczą i niepokojem; chciała coś zrobić, a nie tylko słuchać starych historii. Kiedy jednak Nina wspomniała o potrójnej bogini, matce, dziewicy i wiedźmie, Ruth z drżeniem serca przypomniała sobie o tajemniczej dziewczynie–zjawie, którą widziała w Salisbury.

Opowiedziała Ninie o tym spotkaniu, a ta uśmiechnęła się i rzekła: — Widzisz? Zostałaś wezwana na długo, zanim zdałaś sobie z tego sprawę. A pewnie i jeszcze wcześniej.

— I jeszcze ta sowa...

Nina skinęła głową w kierunku swojego kota.

— Wszystkie mamy swoich przyjaciół.

Ruth utkwiała wzrok w kubku, starając się zgłębić swą reakcję na wyjaśnienia Niny. Uparty sceptycyzm wszczepiony Ruth w dzieciństwie przez ojca wciąż tkwił w jej sercu, coraz częściej jednak dochodził do głosu instynkt.

— Wiesz co, nie mam teraz głowy do takich rozmów. Nie mogę tutaj zostać. Musi być jakiś...

Już chciała wstać, ale Nina zatrzymała ją dłonią położoną na udzie.

— Mogę ci pomóc.

— Jak?

Zastanawiała się przez chwilę, a potem zaczęła wyjaśniać: — Możemy przelecieć ponad nimi, zobaczyć, co stało się z twoimi przyjaciółmi, rozejrzeć się. Potem, jak już się dowiemy, jak sprawy stoją, będziesz mogła zdecydować, jak postąpić.

— Polecieć? – zapytała Ruth z niedowierzaniem. – Jak? Na miotłach?

— Nie, nie – ostrym tonem przerwała jej Nina. – Przestań myśleć starymi stereotypami. Pokażę ci, jak to naprawdę wygląda. – Zamilkła i uśmiechnęła się. – Rzeczywiście, na miotłach, ale nie tak jak myślisz!

Ruth opadła na fotel i zasłoniła na chwilę oczy dłońmi, gotowa w każdej chwili się rozplakać. Starła się nie myśleć o sytuacji, w której się znalazła.

— Prawdopodobnie jesteś jedyną osobą w okolicy, która może mi pomóc. A ja trafiłam tu przypadkiem. Nie lubię takich przypadków.

— Nie ma przypadków. Zrozumiesz to, kiedy zdasz sobie sprawę, że istnieje niewidzialny świat. – Nina znów wzięła Ruth za rękę i podniosła ją na nogi. – Jeśli tego chcesz, musisz robić dokładnie to, co każe.

— Zrobię wszystko, żeby uratować moich przyjaciół.

Nina pokiwała głową ze zrozumieniem.

— W takim razie rozbieraj się.

Kiedy Ruth zawahała się, Nina ponagliła ją gestem, po czym zwróciła się do stołu i poszukała czegoś wśród słoików. Ruth rozebrała się powoli, natomiast Nina zdjęła przez głowę suknię, pod którą była zupełnie naga. Jej piersi już dawno utraciły jędrność, miała wygolone krocze, ale chodziła po pokoju zupełnie się nie wstydząc. Otworzyła szafkę w jednym z kątów pokoju i wyjęła stamtąd miotłę podobną do tej, którą Ruth widziała przed

drzwiami domu.

Kiedy Ruth zdejmowała majtki, z przerażeniem zauważyła jakby małego człowieczka powoli opuszczającego się głową w dół kominem i przypatrującego się jej ciekawie. Ruth wskazała palcem, krzyżąc: — Co to jest?!

Człowieczek, usłyszawszy krzyk, skrzywił się i cofnął tam, skąd przyszedł.

Nina nie przejęła się wcale, jakby zobaczyła wchodzącego do domu kota.

— To jeden ze skrzatów – powiedziała w roztargnieniu. – Chyba się tutaj zadomowiły. Często sprzątają mi w nocy dom.

Ruth niepewnie patrzyła w kierunku kominka, a Nina delikatnie pchnęła ją na fotel i usiadła przed nią na macie, stawiając obok miotłę i słoik.

— Podobnie jak we wszystkich takich rzeczach, musisz mi ufać i robić dokładnie to, co każę – podkreśliła Nina.

Ruth skinęła głową.

Nina otworzyła słoik i zanurzyła w nim dwa palce. Kiedy je wyjęła, były pokryte zielonym kremem, który rozsmarowała na końcu kija od miotły.

— Trochę cykuty, trochę tojadu – świętego zioła Hekate – trochę bielunia i wilczej jagody. – Potem Nina położyła się na plecach i przyłożyła kij do swojej pochwy. – Byłoby łatwiej, gdybyś mi pomogła – powiedziała – jeśli potrafisz pokonać skrępowanie.

— Nie wsadzę sobie tego czegoś! – z przerażeniem zawołała Ruth. Nina westchnęła i podniosła się.

— Ten balsam ma właściwości antyseptyczne, jeśli martwisz się o higienę.

— Nie chodzi mi o higienę! To jest obrzydliwe!

— Nie bądźmy pruderyjne – Nina odezwała się głosem szkolnej wychowawczynie. – Tak to się tradycyjnie robi. Kiedy niewtajemniczeni ludzie usłyszeli o tym, co robimy, przeinaczyli fakty i, że tak powiem, pomylili końce miotły. Ściany pochwy znacznie lepiej wchłaniają zawarte w balsamie substancje. Jeśli chcesz, mogę ci go wsadzić do odbytnicy – dodała ironicznym głosem.

— Niepotrzebne mi twoje narkotyki! Potrzebna mi pomoc!

— Właśnie staram się ci jej udzielić! – z irytacją odparła Nina. – To nie jest tylko narkotyk. Umysł i ciało istnieją oddzielnie. Substancja zawarta w balsamie uwalnia nasze duchowe ja, by mogło latać ponad ziemią, widzieć i słyszeć, zdobywać wiedzę, a potem powrócić do ciała. Wszyscy szamani i szamanki od wieków wykorzystują tę sztukę. – Nina roześmiała się protekcjonalnie. – Naukowcy określili te przeżycia jako halucynacje, bo nie potrafili zrozumieć, jak mogły się naprawdę wydarzyć. Szkoda, że nie zabrałam kilku z nich ze sobą!

Ruth potrząsnęła głową, wciąż przerażona. Nie zrobię tego, pomyślała.

Nina jakby czytała w jej myślach.

— Chcesz ich uratować, czy nie? – zapytała zdecydowanym głosem.

Przez dłuższą chwilę Ruth z obrzydzeniem patrzyła na kij od miotły, a potem zapytała: — Jesteś pewna, że to coś da?

— Kilka miesięcy wcześniej powiedziałabym, że nie. Ale teraz... oczywiście!

Ruth skrzywiła się.

— No dobrze. Powiedzmy. Co mam zrobić?

— Trzymaj miotłę. – Nina otworzyła się palcami. – Teraz włóż ją delikatnie.

Ruth zebrała się w sobie, natomiast Nina była absolutnie spokojna. Rozluźniła się i zamknęła oczy, a po chwili ruchem ręki dała znać, żeby Ruth wyjęła kij.

— Teraz twoja kolej.

Nina ponownie nałożyła balsam na kij i umieściła go pomiędzy nogami Ruth, której mięśnie były jednak zbyt napięte, by można ją było nim penetrować. Umieszczona na nim mikstura zaczynała jednak działać od samego dotknięcia. Ruth stopniowo rozluźniała się, pozwalając Ninie na włożenie kija. Najpierw poczuła nieprzyjemne pieczenie, które po chwili zmieniło się w przyjemne ciepło i słodycz rozchodzącą się z krocza po całym ciele. Przyjemność ta miała w sobie wyraźnie coś seksualnego; łechtaczka Ruth nabiegła krwią i dziewczyna poczuła nagle nieodparte pragnienie, by doprowadzić się do orgazmu. Kiedy jednak Nina wyjęła kij, pożądanie osłabło i Ruth mogła rozejrzeć się po pokoju, który wyglądał jakoś inaczej. Zmieniła się barwa światła, było złociste i bardziej rozproszone, jakby przepuszczone przez kryształ. Brzegi sprzętów iskrzyły się i błyszczały, a trzaskanie ognia cichło i wzmagало się jak szum morza.

Potem poczuła coś dziwnego, jakby zanurzała się we własnym ciele i patrzyła na świat przez jakiś długi tunel.

— Uważaj – usłyszała z daleka głos Niny. – Zaczyna się!

I wtedy wyleciała z siebie samej, jakby wystrzelono ją z armaty. Uniosła się pod sufit, skąd przez chwilę popatrzyła na swoje nagie ciało i szklane oczy patrzące tępo w jej kierunku. Obok leżała Nina, trzymając dłoń na jej udzie. Potem poczuła, jakby ktoś złapał ją za szyję na łąso i pociągnął w kierunku ognia, którego dotyk wcale nie parzył, i dalej, kominem do góry.

W chwilę później leciała już przez nocne niebo, wirując i

falując jak smuga dymu na wietrze. Dopiero po pewnym czasie zdołała się zorientować i odkryła, że przy pewnym wysiłku, jest w stanie kontrolować swój lot. Ruth zatoczyła krąg, by nabrać wprawy i zauważyła Ninę, która czekała na nią, unosząc się ponad dachem. Wyglądała pięknie, jakby lot ujął jej lat. Jej ciało było jędrne i krągłe. Uśmiechnęła się i skinęła na nią palcem.

— Dokąd lecimy? – zapytała Ruth, ale nie usłyszała swojego głosu. Mimo to, Nina najwyraźniej usłyszała ją i wskazała palcem w dół doliny, w kierunku przeciwnym od tego, z którego nadeszły Baobhan Sith. Ruth spojrzała na nią z zaciekawieniem, ale Nina najwyraźniej chciała jej tam pokazać coś ważnego.

Zaraz potem odleciała, a Ruth podążyła za nią, ogarnięta dziką ekstazą lotu. Czuta na skórze dotyk wiatru i falujące za jej głową włosy, ale, choć była naga, nie było jej wcale zimno. Lot wprowadził ją w doskonały nastrój i, nurkując i unosząc się, przypomniała sobie kilka swoich snów o lataniu. Było to tak cudowne, że nie chciała wracać do swojego ciała i miała nadzieję, że lot będzie trwał wiecznie; radość była tak ogromna, że Ruth chciało się płakać.

Pod nimi przesuwiał się czarny dywan drzew, z których unosił się słodki, sosnowy aromat. Ruth ostrożnie obniżyła lot, tak że mogła przejechać dłonią po delikatnych gałązkach na szczytach drzew. Z wysokości dopiero doceniła prawdziwe piękno krajobrazu: ziemia jakby ożyła, zbocza wzgórz falowały, migotały wszystkie odcienie kolorów traw i drzew, wiły się rzeki, błyszczały jeziora, tworząc razem ogromny organizm, w którym każda część wpływała na swoich sąsiadów. Dopiero patrząc z wysoka, Ruth zdołała to zrozumieć.

Usłyszawszy przeciągłe hukanie, Ruth rozejrzała się i zauważyła kołującą wokół swoją sowę-towarzyszkę. Pomachała

jej ręką, ale ptak dalej zataczał majestatyczne koła, nie dając po sobie poznać, że coś go z nią łączy.

Nina wytraciła szaleńczy pęd dopiero w pobliżu Loadpot Hill. Ruth zauważyła w ruchach towarzyszki ostrożność, sama więc zaczęła się za czubkiem jednego z drzew. Nina zatrzymała się w końcu i wskazała na coś przed nimi. Na jej twarzy widać było strach, który zastąpił poprzednią dobroduszość.

Ruth spojrzała we wskazanym przez Ninę kierunku i od razu zrozumiała. Na zboczu stojącego w pustkowiu wzgórza wznosiła się budowla przypominająca ogromną termitierę; była to najniższa część budowanej tam wieży, zajmująca przestrzeń kilku boisk piłkarskich. Choć kolor całej budowli był czarny, Ruth mogła dostrzec, że budowano ją z różnych przedmiotów: wraków samochodów, ciężarówek, pralek, lodówek, kawałów plastiku, oraz wielkich bloków cegieł, jakby do budowy użyto wszelkich skradzionych w okolicy materiałów. Ponad wieżą z setek jarzących się bursztynowo ognii, widocznych w oknach wieży, unosił się czarny, zasłaniający gwiazdy dym. U stóp budowli widać było ożywiony ruch, podobnie jak na ścianach i szczycie; to kłębiło się budujące ją mrowie.

Pokonując lęk, zaciekawiona Ruth podleciała nieco bliżej, ale pożałowała, bo do jej uszu dotarły krzyki i szaleńcze, demoniczne śmiechy. Poczowała jakąś potężną siłę, jakby z wieży padł na nią strumień czarnego światła; ogarnęło ją też paraliżujące zimno i zaczęła się cała trząść. Nieznośna i przemożna rozpacz zaczęła kęsać ją od środka jak fizyczny ból.

Z oszołomienia wyrwała ją dopiero Nina, która jak oszalała trzęsła nią za ramię. Widząc przerażenie na jej twarzy, Ruth nie miała wątpliwości, że zostały wykryte. Ruth, zarażona strachem, poleciała za Niną, która z niewiarygodną szybkością oddalała się

od wieży. Instynktownie wyczuwała, że po ukończeniu budowla ta będzie miała jakieś przerażające, niewyobrażalne przeznaczenie.

Nina przestała się panicznie bać dopiero wtedy, kiedy oddaliły się o kilka mil od czarnej wieży. Korzystając z punktów orientacyjnych powróciły do domu, a potem Nina poleciała w kierunku, w którym chciała od początku lecieć Ruth, czyli w górę zbocza ku drodze, na której stała furgonetka Shaviego. Kiedy dotarły do samochodu, obniżyły lot i zaczęły ostrożnie przemykać się między gałęziami, gdzie znalazły orle gniazdo, z którego mogły obserwować drogę jak dwa ptaki-widma.

Furgonetka wciąż stała w zatoczce, dobrze widoczna w świetle księżyca dzięki białej karoserii. Otaczał ją kordon Baobhan Sith, które teraz nie krzyczały, tylko podrygiwały bezgłośnie wokół swojej zdobyczy. Trochę dalej na drodze siedział Tom, trzymając głowę opuszczoną między kolanami. Church, Shavi i Veitch leżeli przy samochodzie. Nie poruszali się, a ich ubrania poplamione były krwią. Na szyi Veitcha widać było szczególnie dużą ranę, w miejscu gdzie ugryzł go jeden z upiorów. Ruth pomyślała najpierw, że jej przyjaciele nie żyją. Poczowała bolesny skurcz w żołądku i łzy napływające do oczu, coś jednak mówiło jej, że nieszczęśnicy jednak nie umarli. Wysiłkiem woli uspokoiła się i czekała.

Niedługo potem ciszę przerwał warkot silnika i na drzewach pojawiły się światła nadjeżdżającego samochodu. Drogą jechało BMW, prawie nowe, choć karoseria była głęboko porysowana z jednej strony. Samochód zatrzymał się koło furgonetki. Za kierownicą siedział Callow, szeroko uśmiechnięty, a na tylnym siedzeniu leżał pod kocem kształt przypominający postać ludzką. Ruth domyślała się, że to poprzedni właściciel samochodu.

Callow wysiadł zamaszystym ruchem, pozostawiwszy włączone światła, by lepiej widzieć Churcha i pozostałych mężczyzn.

— Pan Churchill! Jak miło znów pana widzieć! – powiedział, uśmiechając się wyniośle.

Usłyszawszy jego głos, Church poruszył się i rozejrzał. Gdy zobaczył Callowa, skrzywił się gniewnie i z wysiłkiem podniósł się. W chwilę później otoczyły go Baobhan Sith, krzycząc i kłusując, dopóki nie padł z powrotem na asfalt.

— Dobre pieski, dobre! – pozdrowił je Callow.

— Ty sukinsynu! – krzyknął Church.

Callow pogroził mu palcem i mlasnął z dezaprobatą, nie wydawał się jednak zainteresowany dalszą rozmową. Zamiast tego obszedł swój samochód i otworzył bagażnik. Baobhan Sith spojrzęły w jego stronę i wszystkie wydały z siebie przeciągłe syczenie, cofnęły się z lękiem, po czym znów zaczęły podrygiwać.

Jakby w odpowiedzi na ruch Callowa, w oddali rozległ się dziwny hałas, jakby ktoś szorował metalem po żwirze, oraz zwierzęce okrzyki podobne do tych, które Ruth usłyszała ponad czarną wieżą. Callow spojrział w kierunku, z którego dochodziły te dźwięki, i spoważniał nagle.

Ruth instynktownie wyczuwała, że zbliża się do nich coś niedobrego – czuła mrowienie na całym ciele, mimo że nie miała w tej chwili ciała, a we wnętrzościach jakby wiły się węże. Baobhan Sith również to wyczuły, gdyż znieruchomiały nagle i spojrzęły w tym samym kierunku co Callow. Zapanowała atmosfera gorączkowego oczekiwania.

W napięciu patrzyła na cienie, które gromadziły się za zakrętem szosy. W ciągu kilku minut noc jakby wypełniła się jeszcze większą ciemnością, z której wypełzło mrowie potworów

zmierzających w kierunku furgonetki. Choć widziała kształty poszczególnych istot, wydawało się jej, że to zbliża się jedno, wielkie, czarne cielsko wydzielające z siebie moc zła, która przyprawiała Ruth o mdłości. Kształty nadciągających potworów trudno było rozróżnić, ale Ruth wiedziała, że to Fomorianie. Ich tłum otoczył w końcu furgonetkę, Churcha i pozostałych więźniów, Callowa i jego samochód. Wyglądali jak czarna, pulsująca rzeka.

Boże!, pomyślała Ruth. Nie wiedziałam, że tylu ich jest!

Jeden z kształtów oddzielił się od pozostałych i wszedł w oślepiające światło rzucane przez reflektory samochodu Callowa. Był to mężczyzna o złocistej skórze, długich włosach i delikatnym, wiotkim ciele. Otaczała go aura zepsucia i rozkładu, a jego szaty, mimo że wytworne, wydawały się brudne. Ruth rozpoznała w nim Fomorianina, choć jednocześnie odpowiadała jej wyobrażeniom o Tuatha Dé Danann. Pamiętając o opowiadaniach Churcha o niewoli na Dartmoor, Ruth zgadła, że to Calatin.

Veitch i Shavi odzyskali tymczasem przytomność, a Church mówił do nich cicho coś, czego Ruth nie mogła usłyszeć.

— Daliście się nabrać, jelenie! – krzyknął Calatin głosem przypominającym tłuczone szkło. – Zrobiliście wszystko dokładnie tak, jak zaplanowałem. Nie wiem tylko, jak udało się wam wydostać z waszej celi, ale prędzej czy później sami zostawilibyśmy uchylone drzwi. Od tamtej chwili wszystko poszło zgodnie z moim planem. Odzyskaliście Quadrillax – to niezwykle osiągnięcie. Myślałem, że to przekracza wasze możliwości, mimo że jesteście Braćmi i Siostrami Smoków. Odegnaliście również Dzikie Zastępy, choć to udało się wam przypadkiem. Ale ta wątła istota – wskazał na Callowa – również

spełniła swoje zadanie. I teraz, po teraz pierwszy w historii, Quadrillax jest w rękach Fomorian. Sądziliśmy, że jesteście zbyt słabi, by unieść ciężącą na was odpowiedzialność, i mieliśmy rację.

Ruth skrzywiła się z bólu, słuchając przemowy Calatina. Widać było, że cierpi również Church.

— Tom – słabym głosem zaczął Church.

Lodowaty uśmiech Calatina sprawił, że dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Wódz Fomorian odwrócił się i wezwał coś lub kogoś spośród czarnego tłumu; w chwilę później coś srebrnego, przypominającego pająka, wybiegło stamtąd i po nodze wbiegło Calatinowi na dłoń, gdzie zamieniło się w sztylet. Ruth przypomniała sobie, że coś takiego widziała już na stacji benzynowej w Heston, gdzie Fomorianie po raz pierwszy chcieli ją porwać.

— Caraprix – powiedział Calatin, wpatrując się w sztylet, który na chwilę przybrał nieokreślony, obrzydliwy kształt, a potem znów przybrał formę sztyletu. Calatin pokazał go Churchowi, jakby to wystarczało za całe wytłumaczenie, ale kiedy zauważył jego nierozumiejące spojrzenie, zaczął mówić dalej: — Ich płynność i zmienność sprawia, że są nam bardzo użyteczne.

— Czy one żyją? – zapytał Shavi.

Calatin spojrział na niego tak, jakby nie zrozumiał pytania.

— Wykonują nasze rozkazy na wiele różnych sposobów. Czasami – zastanowił się – czasami są prawie naszymi przyjaciółmi.

— A co to ma wspólnego z Tomem? – spytał Church, patrząc na towarzysza, który wciąż leżał nieprzytomny na drodze.

Calatin spojrział na niego przebiegłym wzrokiem.

— Co? Ból zdrady.

Church wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

— Kiedy ten włóczęga trafił w moje ręce, wykorzystałem okazję, by móc wami pokierować. – Calatin uniósł Caraprix, który wił się w świetle rzucanym przez reflektory. – Wystarczy jedno głębokie nacięcie. Bardzo cierpiał, ale zachował świadomość do końca. Caraprix wślizgnął się do jego rany i zagnieździł tutaj. – Popukał się w skroń. – Wciąż tam jest i dręczy go, spełnia nasze rozkazy.

Church nie mógł najpierw zrozumieć, co Calatin mówi, a potem przypomniał sobie rany na czole Toma, kiedy spotkali go w kopalni. Poczul wzbierający w nim strach.

— On ma jednego z was w swojej głowie? – zapytał z obrzydzeniem.

— O, to wcale nie jest takie bolesne – Callow przesunął się ukradkiem w kierunku Calatina, aż stanął u jego boku.

— Ty też?

— Ja się na to zgodziłem. Mam wyjątkową zdolność do wykorzystywania okazji.

— Ty to nazywasz okazją? Przecież to coś wyżera ci mózg.

— Można to usunąć w każdej chwili, mogę również żyć z tym dalej. Jeśli myślisz, że to źle, to pomyśl, jak trudno jest żyć, mając wszy.

— Po co to zrobiłeś? – zapytał Church.

— Powiedziałem ci. Okazja. Dzięki temu, że wcześniej zadeklarowałem posłuszeństwo, będę miał dostęp do wszystkich tych cudów i niezwykłości, które na nas wkrótce spadną.

— Sprzedałeś nas! – krzyknął Veitch z taką nienawiścią, że Church omal się go nie przestraszył.

— No, no – zaprotestował Callow. – Musicie przyznać, że również trochę zawiniliście. Gdyby pan Churchill nie był tak

wylewny w czasie naszego spotkania, nie wiedziałbym, jak zareagować na moich nowych przyjaciół i sprzymierzeńców. – Callow westchnął teatralnie. – Ach, jakże dziwny jest los. Wiedziałem, że prędzej czy później wplątacie się w coś, z czego będę mógł skorzystać, więc po naszej suto zakrapianej biesiadzie postanowiłem was śledzić. Muszę tu przyznać, że kiedy wysadziliście w powietrze magazyn pod Salisbury, pomyślałem, że robi się zbyt gorąco, nawet jak dla mnie. Na szczęście to właśnie wtedy spotkałem swoich wspaniałych przyjaciół! – Callow chciał już poklepać Calatina po ramieniu, ale w porę się zreflektował. – Znacznie mi ułatwili pogoń za wami. Z daleka, przyznaję, trudno było sprawdzić, jak wam idą poszukiwania, więc musiałem, że tak powiem, użyć swoich zdolności detektywistycznych. Zapewne zastanawialiście się, kto włamał się do waszego samochodu i namiotów?

— Zabiję cię, masz to jak w banku. – Głos Veitcha był cichy i spokojny, ale słychać było, że nie rzuca słów na wiatr.

— Nie sądzę – kpiącym tonem odparł Callow, jednak w jego oczach widać było błysk niepokoju.

Calatin zrobił gwałtowny, choć chwiejny krok naprzód, odtrącając przy tym Callowa z drogi; wyglądał na jeszcze bardziej chorego, niż kiedy torturował Churcha w kopalni.

— Ty chyba wciąż nie rozumiesz, co się stało. Utraciwszy Quadrillax nie tylko zaprzepaściliście szansę na powstrzymanie nas. Moc insygniów rozciąga się przez całą przestrzeń i czas: nigdy nawet nie marzyliśmy, że w naszych rękach znajdą się przedmioty o takiej sile. Dzięki nim spełni się nasze największe marzenie – wypalenie całego światła z wszechświata. Nasze zwycięstwa zawsze były częściowe. Zgadaliśmy się na kompromisy, pewni, że jeśli posuniemy się za daleko, spadnie na

nas potężny odwet. Teraz natomiast wszystko jest możliwe.

W miarę, jak Calatin zbliżał się do niego, Church czuł coraz większe mdłości od jego obrzydliwego smrodu. Wódz Fomorian pochylił się nad nim i powoli zbliżył żyjący sztylet do jego prawego oka. Church starał się nie okazywać strachu ani nie myśleć o tym, co Calatin zaraz zrobi. W izbie tortur na Dartmoor Fomorianin pokazał już, jak potrafi być okrutny. Zastanawiał się przez chwilę, po czym opuścił sztylet na policzek Churcha i zrobił proste, płytkie nacięcie w miękkim ciele. Church wzdrygnął się, patrząc na wypływającą z rany krew.

— Kiedy Quadrillax znalazł się w naszych rękach, przegraliście wszystko. I to ty jesteś za to odpowiedzialny. – Calatin odsłonił rząd czarnych zębów i owionął Churcha smrodliwym oddechem.

— Zniszczycie insygnia? – zapytał Church, kiedy doszedł do siebie. Calatin spojrzał na niego tak, jakby oszalał, a potem podniósł się i odszedł kulejącym krokiem.

— Zostaną stąd zabrane do naszej najbliższej kryjówki, gdzie zalejemy je roztopionym żelazem i pogrzebiemy gdzieś na końcu świata, żeby nikt ich nigdy więcej nie odnalazł.

— A Balor? – przerwał mu Shavi.

Calatin obrócił się raptownie i spojrzał na niego z błyskiem w oku, po chwili jednak na jego twarzy znów pojawił się beznamiętny uśmiezek.

— Wielki Ojciec wróci już wkrótce – odrzekł tonem, od którego Churchowi ciarki przeszły po plecach. – Wtedy okryję się chwałą.

Potem odwrócił się, gardłowym językiem Fomorian wykrzyknął jakiś rozkaz i odszedł kulejąc. W chwilę później czarna masa ciał pochwyciła Churcha, Veitcha i Shaviego, a potem odpłynęła.



Siedząca na szczycie drzewa Ruth patrzyła na tę scenę z przerażeniem. Spojrzała na Ninę, która gestem pokazała, że powinny już wracać. Krótka podróż z powrotem do domu nie był już tak przyjemna i zachwycająca jak pierwszy lot. Ruth przepełniało tylko poczucie bezradności i świadomość zbliżającej się katastrofy. Nina pierwsza wleciała do komina, a kiedy obie znalazły się w pokoju, Ruth wniknęła w swoje bezwładne ciało, ponownie czując się tak, jakby była pociskiem wystrzeliwanym z armaty. W chwilę później odzyskała przytomność. Czuła się oszołomiona i niezdarna, a jej myśli nie miały już tej szybkości co w czasie lotu. W ustach zalegał nieprzyjemny posmak, jak po hucznie spędzonej nocy, bolały ją też mięśnie. Z rozpaczą pomyślała o utraconej przyjemności lotu.

— Mogłabym tak latać już do końca życia – powiedziała.

— Właśnie to jest niebezpieczne – odrzekła Nina, podnosząc się niezdarnie na nogi. – Jeśli się spędzi zbyt dużo czasu w tamtej formie, nasza istota zaczyna się rozpraszać i rozwiewać jak dym, żeby nieodwracalnie zjednoczyć się z wszechświatem.

Ruth wstała i ubrała się niechętnie, starając się wytłumaczyć sobie, że smutek jest tylko efektem ubocznym działania narkotyku. Kiedy jednak początkowa radość z latania rozmyśla się, Ruth przypominała sobie o zagrożeniu, o którym się dowiedziały.

— Nie mogę im pozwolić wziąć Churcha i innych do tej okropnej czarnej wieży. Nie mogą też dostać insygniów. Ale co zrobić?

Nina skinęła głową ze zrozumieniem.

— Jest ich zbyt wielu...

— Mają bardzo daleko do tej wieży. Mogłybyśmy dotrzeć tam przed nimi!

— Mówisz jak John Wayne w westernie. – Ponury żart Niny podkreślał beznadziejność tego pomysłu. Ruth jednak nie dawała za wygraną.

— Pójdiesz ze mną?

Nina potrząsnęła głową.

— Zbyt kocham swoje życie. Jeśli jest szansa...

— W takim razie spróbuję sama. Nie wolno mi się poddać. – Ruth założyła kurtkę i odważnie ruszyła ku wyjściu.

— Zaczekaj! – Nina podbiegła do kredensu i wróciła z jakimś korzeniem owiniętym w trawę i liście. – Dużo nad tym pracowałam. Weź to do kieszeni. Nie będziesz dla nich niewidzialna, ale trudniej będzie ci zauważyć. Dzięki temu łatwiej będzie ci podróżować w nocy po tej okolicy.

Ruth podziękowała, myślami wybiegając już w przyszłość. Kiedy otworzyła drzwi i wyszła, Nina pożegnała ją jeszcze tymi słowami: — Bądź wierna swojemu przeznaczeniu. Bądź błogosławiona.

Potem drzwi zatrzasnęły się i Ruth została sama w nocy.



Wspinaczka z powrotem stromym zboczem pośród drzew wymagała dużego wysiłku, jednak Ruth po krótkim czasie znalazła się na pustej teraz szosie. Po Fomorianach nie został nawet ślad, odjechał również samochód Callowa, który zapewne

transportował insygnia, których tamci nie mogli nawet dotknąć.

Podbiegła do furgonetki i zaklęła, zdawszy sobie sprawę, że nie ma kluczyków.

— Laura! – zawołała. – To ja, Ruth!

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi i Ruth obawiała się najgorszego, potem jednak z wnętrza samochodu doszedł ją stek obelg wypowiedzianych słabym głosem.

— Dobra, dobra. Otwórz drzwi!

Musiała czekać nieznośnie długo, ale w końcu drzwi otworzyły się. Laura trzymała się klamki, wijąc się z bólu, z trudnością utrzymując się w pozycji siedzącej.

— Jezu, jak zimno – powiedziała Laura ochryplym głosem. – Myślałam, że tu wykituję.

— Jeszcze masz szansę. – Ruth wgramoliła się do samochodu obok niej. – Boże, mam nadzieję, że twoja szemrana przeszłość nauczyła cię też kraść samochody.

— Tak, ale jeśli myślisz, że wczolgam się pod kierownicę...

— Nie, tylko mi powiedz, co mam robić. – Ruth przewaliła się przez oparcia przednich foteli. – Nigdy bym nie pomyślała, że się czymś takim zajmę. To dobrze, że jesteś tutaj ty, a nie ktoś kto zawsze przestrzegał prawa. – Ruth zamilkła na chwilę. – Jak to się stało, że cię tutaj zostawili?

— Chyba pomyśleli, że nie żyję po tym, co mi zrobił ten sukinsyn. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zajrzeć do furgonetki.

Laura powiedziała Ruth dokładnie, co ma zrobić, śmiejąc się z jej krzyków, gdy ta poparzyła sobie palce przeskakującą pomiędzy przewodami iskrą. Kiedy silnik zapalił, Ruth pośpiesznie wrzuciła pierwszy bieg i wyjechała na szosę. Podczas zmieniania biegów, Laura opowiedziała jej o tym co usłyszała w

czasie ataku Baobhan Sith i o tym, co działo się później. Przez cały czas, leżąc w furgonetce, starała się wtedy zachować ciszę, by uniknąć wykrycia.

— Jak się czujesz? – zapytała Ruth.

— A jak się mam czuć? Jakby mnie ktoś pociął żyletką.

— Tak tylko pytałam.

Po chwili milczenia Laura powiedziała: — Chyba potrzebny mi środek przeciwbólowy.

— Boli?

— Jak cholera. Myślę, że niektóre rany znów się otworzyły. – Ruth usłyszała, jak Laura porusza się pod stosem śpiworów, które miały trzymać ją w cieple. – Przepraszam, ale chyba nie na wiele się zdam.

— Nawet, gdybyś dostała szalu bojowego, nic by to nie dało.

— Co, nie masz żadnego planu?

Ruth nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co zrobić. Z przerażeniem pomyślała o spotkaniu z tłumem Fomorian. Uniknąć paralizującego lęku mogła jedynie podążając za instynktem, nie zważając na głos rozsądku, który starał się przekonać ją, że jej starania są bezcelowe i doprowadzą tylko do śmierci.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, pokonywała ostre zakręty z maksymalną szybkością, wypatrując jednocześnie jakichś oznak obecności Fomorian. Wiedziała, że nie mogli zająć daleko od czasu, jak opuściła dom Niny, wyłączyła więc reflektory i jechała przy świetle księżyca, starając się trzymać białej linii na środku szosy. Opuściła też nieco szybę, nasłuchując kakofonii pomruków i krzyków, jednak niesamowitą ciszę nocy przerywał tylko szum drzew i pisk opon furgonetki.

Nagle, po kolejnym zakręcie, ujrzała przed sobą pulsującą

masę Fomorian, poruszającą się w całkowitej ciszy – co było jeszcze bardziej przerażające niż obrzydliwe dźwięki, które normalnie z siebie wydawali. Gwałtownie nacisnęła na hamulce, furgonetka wpadła w poślizg i zatrzymała się, a Ruth wyłączyła natychmiast silnik, modląc się, żeby Fomorianie nie okazali się dość ostrożni, by oglądać się za siebie. Na czele pochodu widać było światła wolno jadącego samochodu Callowa.

Ruth odwróciła się do Laury, której blond czupryna świeciła w księżycowej poświacie w miejscu, gdzie wystawała spod śpiworów.

— Trzymaj się – powiedziała cicho.



Choć Church czuł uścisk niosących go ramion, w oszołomieniu wydawało mu się, że kołysze się w pustce. Tylko w takim stanie mógł zachować resztki rozumu pośród zalewających go czarnych, gęstych fal zła. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest niesiony, czuł również obrzydliwy smród i słyszał nieludzkie oddechy. Nie miał pojęcia, dokąd zostanie zabrany on i jego przyjaciele, wiedział jednak, że nie pożyją długo i bał się bardziej niż kiedykolwiek przedtem tortur, jakie Calatin zada mu przed śmiercią.

Potem, poprzez otaczający go zgiełk, usłyszał odległy szum, zbliżający się powoli jak fala przyplywu. W miarę, jak szum przybierał na sile, Church starał się zasłonić uszy i nie dopuścić go do siebie; poczuł nagle skurcze żołądka, mdłości, i obawiał się, że za chwilę znów straci przytomność. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, co słyszy: taki dźwięk wydawał tłum przerażonych

Fomorian.

Wtedy rozpętał się chaos. Noc rozdarły dzikie krzyki idących w rozsypkę Fomorian. Ci, którzy nieśli Churcha, rzucili go brutalnie na ziemię, na której uciekające we wszystkich kierunkach bestie kopały go jak piłkę, kalecząc i obijając ciało. Teraz jednak, kiedy klaustrofobiczna atmosfera zła została zaburzona przez panikę, Church mógł zacząć jaśniej myśleć. Po pewnym czasie udało mu się podnieść na nogi i zaczął rozglądać się za Shavim i Veitchem. Zamiast przyjaciół zobaczył jedynie coś, co wyglądało jak wir w czarnej masie Fomorian, którzy szaleńczo biegali wokół jednego miejsca. Początkowo nie potrafił zrozumieć, na co patrzy, potem jednak zaczął niewyraźnie dostrzegać coś w środku tej kipieli. Ponad przerażonymi okrzykami usłyszał ciosy jakiejś broni siecznej, a potem czarny wir rozstał się i Church zobaczył dokładnie, co znajduje się w jego sercu. Walczył tam oddział niewysokich istot o zgniłozielonej, częściowo pokrytej łuskami skórze, długich, czarnych włosach i obrzydliwych twarzach. Szli przez tłum Fomorian, tnąc ich bronią, której Church nie mógł dokładnie zobaczyć. Dobrze widać było natomiast skutki jej działania: wyprute wnętrzości, odcięte członki, rozłupane czaszki. Na trawie wokół szosy płynęła już krew i zalegały stosy ciał. Głowy stworzeń miały jakiś dziwny kształt, ale dopiero kiedy się zbliżyły, Church dostrzegł, że nosiły na nich okrwawione ludzkie szczątki – tułowia, skalpy, twarze. Ściekająca z nich posoka zasychała na włosach i skórze wojowników.

Church osłupiał patrząc na ten dziki i zaciekły atak. Wojownicy wycinali sobie drogę przez tłum Fomorian z niemal hipnotyczną metodycznością. Z osłupienia wyrwał go dopiero dotyk czyjejś ręki na ramieniu. Church odwrócił się gwałtownie

gotowy zadać cios, ale powstrzymał się, gdy zobaczył, że to Tom. Odepchnął zdrajcę z obrzydzeniem.

— Słuchaj, oni nie kontrolują mnie cały czas – starał się go przekonać Tom.

— Nie wierzę ci. – Church znów zaczął się rozglądać za Veitchem i Shavim.

— To nie wierz, ale posłuchaj. Nie pozwól, żeby Czerwonogłowi cię zobaczyli! Teraz ktoś nimi kieruje, żeby atakowali Fomorian, ale ich naturalnym wrogiem jest człowiek.

W tej samej chwili, jedno ze stworzeń przestało masakrować jakiegoś Fomorianina i spojrzało w kierunku Churcha. W chwilę później oderwało się od sfory i zaczęło biec w ich kierunku, wykrzywiając gniewnie twarz.

Church, pokonując ból, rzucił się natychmiast do ucieczki, ale Czerwonogłowy zaciekle podążał za nim. Wokół Churcha było również pełno Fomorian, ale większość patrzyła w kierunku atakujących wojowników i sama przygotowywała się do walki. Church biegł zygzakiem pomiędzy Fomorianami, którzy nie zwracali na niego uwagi, jednak Czerwonogłowy wciąż deptał mu po piętach. Dopiero teraz usłyszał dźwięk, jaki wydawał z siebie goniący go potwór: ryk, jakby lwa, od którego włosy jeżyły się na głowie, a po plecach przechodziły ciarki.

Po chwili Church dostrzegł w ogarniętym paniką tłumie Shaviego, który stał dziwnie wysoko i machał do niego ręką, zaczął więc biec w jego kierunku.

Przedarłszy się przez sforę Fomorian, Church zobaczył, że Shavi stoi na dachu samochodu Callowa. Wokół nich wrzała bitwa. Z tyłu, przy otwartym bagażniku, Veitch raz za razem walił pięścią w twarz Callowa, która zamieniła się teraz w krwawą miazgę. Najbardziej przerażający był wyraz twarzy

Veitcha, zatracającego się zupełnie w gniewie i okrucieństwie. Church przepchnął się obok niego, omal nie wpadając do bagażnika, i chwycił skrzynkę z insygniami, które jarzyły się w środku błękitnym światłem. Gdy sięgał po miecz, z osłupieniem poczuł, że Excalibur sam wsuwa się mu do ręki. Odwrócił się z uniesionym mieczem w porę, by stawić czoła Czerwonogłowemu, który, rycząc dziko, biegł już do niego z uniesionym toporem.

Gdy topór opadł, Church odparował cios, spodziewając się, że miecz pęknie. Excalibur wytrzymał, choć siła uderzenia potrząsnęła wszystkimi kośćmi Churcha. Zatoczył się i oparł plecami o samochód, z trudnością odzyskując równowagę. Gdy Czerwonogłowy zamierzył się do kolejnego ciosu, Church na ślepo pchnął mieczem, który przeszedł przez twarz potwora jak nóż przez masło. Trysnęła zielona krew, parząc skórę Churcha jak kwas, a Czerwonogłowy padł martwy.

Church z wysiłkiem wyjął miecz. Zwrócił się do Veitcha i złapał go za ramię, gotowe do kolejnego ciosu.

— Zostaw go! Zwiewamy stąd.

Nie czekając na odpowiedź, wdrapał się na dach samochodu i stanął obok Shavięgo, żeby się rozejrzeć.

— Widać jakąś drogę ucieczki?

— Nie – odrzekł Shavi.

Church ze zdziwieniem stwierdził, że nie może się dokładnie przyjrzeć walczącym Fomorianom. Widział ruch, strugi krwi, lecące w powietrzu ręce i nogi, słyszał również okropne odgłosy walki, wszystko to jednak stapiało się ze sobą w jedno morze ciemności, falujące pod wściekłymi ciosami burzy.

Widział jednak, że pozostali przy życiu Czerwonogłowi wycinali sobie drogę w kierunku ich samochodu.

— Oni też chcą zdobyć insygnia – stwierdził nagle.

Potem zrozumiał, co się dzieje. Omiótł wzrokiem horyzont i w świetle księżyca dostrzegł znajomy, zmieniający się wciąż czarny kształt na tle pobliskiego pola. Mollecht, otoczony niewielkim oddziałem Fomorian, stał tam i czekał na wynik bitwy.

— Ktokolwiek zdobędzie insygnia, będzie miał władzę – mruknął do siebie. – Walki wewnętrzne. To bardzo dobrze. A teraz, jak...

Przerwał mu piskliwy okrzyk w obrzydliwym narzeczu Fomorian. To Calatin dostrzegł ich i starał się odciągnąć swoje oddziały od walki z Czerwonogłowymi, żeby odzyskać insygnia. Church poczuł wzbierający w nim strach, jak uderzenie zimna, kiedy zobaczył szeregi Fomorian i Czerwonogłowych, którzy wspólnie ruszyli teraz prosto na niego.



Ruth, która patrzyła na bitwę z daleka, nie widziała dokładnie, co dzieje się w tłumie Fomorian. Niepewna, co zrobić, wpatrywała się z niepokojem w odległą kotłowaninę, nerwowo zbywając pytania Laury. W końcu dostrzegła krótki błysk błękitnego światła w miejscu, gdzie stali Veitch, Church i Shavi, których zauważyła na dachu samochodu Callowa.

— Trzymaj się! – powiedziała i zawróciła.

— Nie możesz ich zostawić! – krzyknęła gniewnie Laura.

— Wcale nie zamierzam! Chcę ich – wzięła głęboki oddech i wrzuciła wsteczny bieg – staranować!

Potem ruszyła do tyłu z takim impetem, że Laura krzyknęła z bólu.

— Mówiłam, żebyś się trzymała! – powtórzyła Ruth,

przekrzykując ryk silnika.

Wpadły w tłum Fomorian jak w las, przewracając całe ich szeregi. Z każdym uderzeniem wykrzywiała się jakaś część samochodu; drzwi obok Ruth wgniotły się tak głęboko, jakby zaraz miały odpaść. Z tyłu pękły oba okna, zasypując Laurę odłamkami szkła, otworzyły się drzwi, a wymieniona w Glastonbury kłapa znów się oderwała. Ruth nie zdejmowała nogi z gazu, wpatrzona we wsteczne lusterko, choć cała się trzęsła ze strachu i podniecenia. Zaczęła się bać, że nawet jeśli dotrze do Churcha, to furgonetka nie będzie już w stanie ich wydostać.

W tym momencie w lusterku pojawiły się reflektory BMW Callowa i Ruth nacisnęła hamulce, zatrzymując samochód tuż przy jego zderzaku. Kiedy zmieniała bieg, przez tylne drzwi wskoczył Veitch, dźwigający pod pachą skrzynię z insygniami, a za nim dali nurka Shavi i Church.

Fomorianie ustawiali się już, żeby zagrodzić im drogę ucieczki. Ruth nacisnęła gaz do dechy i już miała ruszyć, kiedy Church krzyknął: — Czekaj! – Cofnął się do drzwi i pomógł komuś wdrapać się do środka. Rozpoznali niechlujne ubrania Toma.

— Zostaw go! – krzyknął Veitch. – Pieprzony zdrajca!

Church wciągnął Toma do furgonetki i krzyknął do Ruth, żeby jechała. Ruszyli w momencie, gdy jeden z Fomorian zaczął dziurawić karoserię od strony kierowcy. Inni zbliżali się już do tylnych drzwi. Ruth zakręciła gwałtownie w lewo i w prawo, żeby strząsnąć tych, którym udało się uczepić samochodu, a potem ruszyła taranem przez tłum. Furgonetka obracała się i dygotała, jakby jechali w czasie trzęsienia ziemi, stracili boczne lusterko, trzasnął jeden z reflektorów, a z silnika zaczął dochodzić okropny pisk.

Jechali jednak dalej. Kiedy powalili na ziemię ostatniego

Fomorianina i wydostali się na wolną drogę, Ruth poczuła taką ulgę, że do oczu napłynęły jej łzy. Wytarła je, zanim inni zdążyli cokolwiek dostrzec, a potem zaczęła szybko wrzucać coraz wyższe biegi. W chwilę potem pędzili przez noc, zostawiając w tyle niebezpieczną okolicę i zmierzając w kierunku autostrady.

ROZDZIAŁ 20

PRAWDA WYCHODZI NA JAW

— Mówię wam, powinniśmy go wyrzucić – przekonywał Veitch, kucając niebezpiecznie blisko wyrwanych drzwi i starając się opatrzyć ranę na szyi za pomocą pozostałości samochodowej apteczki.

— Ma swoje wady, ale był w porządku, zanim te sukinsyny umieściły w jego głowie pasożyta. – Church ukradkiem spojrzął na Toma, który siedział tyłem do siedzenia kierowcy związany liną holowniczą. Wyglądał jak stuletni starzec; jego cera była teraz ziemista, siwe włosy splątane, a jedno ze szkieł drucianych okularów pękło.

— Walczyłem z tym – powiedział Tom. – Za każdym razem, kiedy zmuszało mnie do działania wbrew mojej woli, walczyłem.

Church przypomniał sobie krew, która ciekła z nosa i uszu Toma przed atakiem Baobhan Sith i zdał sobie sprawę z tego, jak ciężka musiała to być walka.

— To nic nie znaczy – nie dawał za wygraną Veitch. – Jest dla nas wciąż obciążeniem. Nawet jeśli chce nam pomóc, to z tą rzeczą w głowie może się w każdej chwili zwrócić przeciwko nam. Jeśli nie chcecie go wyrzucić teraz, to może zostawmy go gdzieś na poboczu.

— Jeśli mnie zostawicie, nigdy nie dowiedzie się, co macie zrobić z insygniami, by wezwać Tuatha Dé Danann –

stanowczym tonem odparł Tom.

Veitch najeżył się i ruszył na Toma.

— Co, szantażujesz nas?

— Zostaw go, Ryan. – powiedział Church i zwrócił się do Toma.

– Czy to kolejna sztuczka, czy tym razem jest choć trochę prawdy w tym, co mówisz?

— Wiem, co mówię. Jestem wam potrzebny.

— Być może to stworzenie w twojej głowie można usunąć? – zasugerował Shavi.

— Co? Teraz mamy jeszcze porwać chirurga mózgowego? – sarkastycznie zapytał Veitch.

— Chyba jest na to sposób – odpowiedział Tom.

Church spojrział na niego podejrzliwie.

— Kto umiałby coś takiego zrobić?

— Nikt na tym świecie. – Tom zaniósł się spazmatycznym kaszlem. – Musicie mnie zawieźć do domu.



Telepiąc się uszkodzoną furgonetką w kierunku autostrady, dyskutowali nad prośbą Toma. Veitch uparcie ostrzegał, że nie powinni słuchać żadnej jego rady, bo mogą wpaść w następną pułapkę. Natomiast Church czuł, że tym razem ich towarzysz mówi prawdę. Udało mu się w końcu zmusić Toma do obietnicy, że jeśli otrzyma pomoc, to wszystko im powie. To wystarczyło, by zdobyć zaufanie pozostałych. Poza tym, bez jego informacji i tak by się zgubili.

Dom Toma znajdował się w pobliżu Melrose na szkockim pograniczu. Niedaleko stąd, jednak w ich sytuacji równie dobrze

mogłoby się znajdować o tysiące mil dalej. Nieprzerwany pisk silnika świadczył o tym, że wkrótce przestanie on działać, a nawet jeśli uda się go naprawić, to uszkodzenia karoserii były tak wielkie, że po wjechaniu na autostradę od razu zostaliby zatrzymani przez policję.

Gdy nadszedł świt, który zamienił obcą okolicę w dobrze znane im miejsce, zatrzymali się przy farmie niedaleko autostrady M6. Właściciel gospodarstwa był przyjaźnie nastawiony, co kazało się domyślać, że koszmar ogarniający serce Lake District nie dotarł jeszcze do jego obrzeży. Mimo to, nawet o tak wczesnej porze farmer okazał się ostrożnym negocjatorem i zgodził się wymienić swojego starego Transita na ich furgonetkę, dopiero kiedy dorzucili komputer Laury. Był to jego drugi samochód, miał co najmniej dziesięć lat i wydawało się, że ledwie zipie. I tak jednak wyglądał lepiej niż ich własna furgonetka i, choć jego rura wydechowa głośno grzechotała, mogli dzięki niemu kontynuować podróż.

Dzień zapowiadał się pogodnie, na nieskazitelnie czystym niebie widać było tylko kilka zwiewnych chmur tuż ponad horyzontem, jednak w furgonetce panowała ponura atmosfera. Co prawda udało im się odzyskać insygnia, zapłacili jednak za to wysoką cenę. Laura wyglądała gorzej niż przedtem i obawiali się, że w niektórych ranach rozwinęło się zakażenie. Church z niepokojem pomyślał, że jeśli nie zawiozą jej do lekarza, to wkrótce zapadnie na śmiertelną chorobę. Veitch, Shavi i sam Church byli osłabieni po nocnej bitwie, liczne rany zadały im też Baobhan Sith. Najgorsza była ta na szyi Veitcha. Church był pewien, że upiory chciały ich zabić, a uratował ich jedynie fakt, że pozostawały pod kontrolą Calatina. Tylko Ruth miała jeszcze dość sił, by kierować samochodem. Church wyczuwał, że jego

przyjaciółka zmieniła się w jakiś niezrozumiały sposób; wydawała się kimś zupełnie innym niż kobieta, którą po raz pierwszy spotkał pod mostem Alberta.

Podróż autostradą upłynęła bez niespodzianek, wciąż zachowywali jednak czujność. Wiedzieli, że Calatin lub Mollecht wkrótce podążą ich tropem. Na razie udało się rozwiązać wszelkie trudności, a wiedząc o zdolnościach Fomorian do zmiany kształtu, postanowili uważać na wszystkich napotkanych pod drodze nieznajomych.

Tom, gdy tylko zobaczył, że reszta grupy go popiera, zaczął mówić swobodniej, choć Veitch wciąż nie był w stanie mu wybaczyć. Kiedy dokładnie omawiali wydarzenia w Lake District, Tom od czasu do czasu wtrącał się z informacjami na temat Baobhan Sith, oraz Czerwonogłowych, których według niego można było napotkać na pograniczu Szkocji jeszcze w czasach pierwszych ludzkich osad w Wielkiej Brytanii. Między osadnikami i Czerwonogłowymi dochodziło wtedy do krwawych bitew, potwory poniosły jednak klęskę i zostały wygnane z ludzkich siedzib, a z czasem wycofały się w zaświaty. Tom nie chciał powiedzieć, skąd się dowiedział o tych rzeczach.

Jadąc autostradą, minęli Carlisle, a potem przekroczyli granicę Szkocji i skierowali do Galashiels. Patrząc na duży ruch na autostradzie, można było pomyśleć, że życie toczy się normalnie, co kłóciło się z ich doświadczeniami w Lake District. Tom kazał im się cieszyć tą fasadą normalności, póki trwała, gdyż wkrótce cały świat miał się zmienić.



Dotarli do Melrose, małego miasteczka u stóp wzgórz Eildon, na południowym brzegu rzeki Tweed. Nad miastem dominowało dwunastowieczne opactwo. Zaparkowali furgonetkę w pobliżu pola golfowego i rozprostowali zmęczone nogi. Wydawało im się, że nie spali od wielu tygodni. Tom twierdził, że jego pierwszy dom znajdował się w pobliskiej wsi Earlston, ale po rozpoczęciu swoich wędrówek znalazł nową siedzibę w bliżej nieokreślonym domu wśród wzgórz.

Church przyjrzał się trzem wzgórzom, pozostałościom wulkanów, które wznosiły się na co najmniej trzysta metrów ponad miastem.

— Mamy się tam wspinać? – zapytał z niedowierzaniem. – Spójrz na nas – jesteśmy na ostatnich nogach. Laura ledwie może wstać.

— Church, ty możesz mnie zawsze ponieść w swoich wielkich, męskich ramionach!

— Moglibyśmy iść z Tomem we dwóch – zaproponował Shavi, ale Church kategorycznie odmówił.

— Po tym, co stało się w Lake District nie powinniśmy się rozdzielać. Musimy trzymać się razem i nie rozstawać z insygniami, inaczej nie będziemy mieli szans ich użyć.

Laura uniosła się i usiadła. Była tak blada, że jej skóra wydawała się półprzezroczysta, poplątane włosy zasłaniały jej oczy.

— Czuć od was testosteron! Słuchajcie, ja nie jestem ze szkła, nie trzeba mnie owijać w watę. Pójdziecie trochę wolniej, to powinnam za wami nadążyć.

Kiedy Church zaczął protestować, rzuciła w niego taśmą mierniczą, którą wyjęła ze skrzynki z narzędziami. W ostatniej chwili uskoczył, ale kiedy zobaczył, że dziewczyna dalej szuka

amunicji, zrozumiał, że musi ulec.



Ruszyli ścieżką wzdłuż granicy pola golfowego. Choć świeciło słońce, było trochę chłodno. Powoli pokonali łagodną stromiznę pól, na których leniwie pasły się krowy, i dotarli do podnóża porośniętych lasem wzgórz. Zgodnie z obietnicą, Laura dotrzymywała kroku, choć Church zauważał widoczny na jej twarzy grymas wysiłku i bólu. Mimo to, nie skarżyła się ani nie prosiła o pomoc. Wszyscy obawiali się jednak, widząc w czasie postojów, jak bardzo męczy ją marsz; wydawało się, że Laura marnieje w oczach.

W miarę, jak zbliżało się popołudnie, z północnego wschodu zaczęły nadciągać szare chmury, robiło się coraz chłodniej. Wszyscy zaczęli się obawiać, że pośród wzgórz złapie ich burza albo że nie zdążą wrócić przed zmrokiem.

— Nie widać żadnego domu – z irytacją powiedziała zdyszana Ruth, kiedy nagle weszli na jeszcze większą stromiznę. – Jeśli nas nie oszukujesz, to gdzie mamy tutaj otrzymać pomoc?

— Już prawie jesteśmy – odparł Tom, nie patrząc jej w oczy. Omiótł wzrokiem okolicę i wskazał na rosnący kilka metrów od nich krzak głogu. – Stare drzewo już uschło, ale głóg wciąż rośnie w tym miejscu.

Kiedy podeszli do krzaka, Tom podbiegł doń i padł na kolana, gdzie pochylił się i pocałował ziemię.

— To chyba już mu wyjadło mózg – powiedział Veitch.

— Zaczekaj, on coś mówi do siebie – z niepokojem przerwała mu Ruth. – Może znów nas oszukuje.

Zanim zdążyli się poruszyć, z głębi wzgórza rozległo się dudnienie i w pobliżu głogu otworzyła się ziemia. Tracąc równowagę od wstrząsów, padli na kolana, a kiedy spojrzeli w stronę krzaka, zobaczyli przy nim szczelinę dość szeroką, by przez nią przejść.

— To tak jak w Glastonbury! – z zachwytem powiedział Shavi.
– Przejdźcie do Zaświatów!

— Nie podoba mi się to. – Ruth wyjęła ze skrzynki włócznię i uniosła ją, gotowa do obrony. – Nie wiadomo, dokąd prowadzi.

— Zaczekajcie. Patrzcie na Toma. – Church podbiegi do towarzysza, który rzucił się na ziemię i starał wyczołgać z przejścia. Widać było, że walczy ze swoim ciałem; twarz wykrzywiał mu grymas wysiłku, a z uszu i nosa znów ciekła krew. – To coś chce go zatrzymać!

— Może to podwójny blef – ostrzegł Veitch.

— Pamiętasz, co się stało w Glastonbury? – dodała Ruth. – Tam inaczej płynie czas. Może się okazać, że kiedy wyjdziemy, minie już termin.

Church podbiegł do skrzynki i wyjął z niej miecz, który zadrżał, dotknąwszy jego skóry.

— Myślę, że nie mamy wyboru. Wciągnijmy go do środka. Złapał Toma za jedno ramię, Veitch za drugie, po czym zaczęli nieść go w głąb rozpadliny. Ze środka wydobywał się świszczący powiew, a wraz z nim tajemniczy aromat, od którego przechodziły im po plecach ciarki strachu. Spojrzeli jeden na drugiego, starając się dodać sobie uwagi, a potem bez słowa ruszyli w ciemność.

Church oczekiwał letniego krajobrazu, tak jak pod wzgórzem w Glastonbury. Zamiast tego znaleźli się pod nocnym niebem, w górzystej okolicy, pośród głazów oraz ciernistych, wychłostanych

wiatrem drzew i kęp kolcolistu. Uderzył w nich przenikliwy wiatr, a niebo raz po raz przecinały błyskawice, choć nie było deszczu. Dla bezpieczeństwa zbili się w gromadę, rozglądając się wokoło, niepewni, w którym kierunku się udać.

— Cholera! Nie to samo co w Glastonbury – niepewnym głosem odezwał się Veitch.

— Zaświaty mogą wyglądać bardzo różnie. Mają wiele twarzy. – Tom podniósł się na nogi i rozejrzał z bladym uśmiechem na twarzy. Wydawał się odmieniony, rozluźniony. – Wszystko jest tutaj płynne. Za każdym progiem inny świat.

— Jak się czujesz? – zapytał Church.

— Tak jak oczekiwałem. Mój Caraprix nie czuje się najlepiej w tej części Zaświatów – właśnie dlatego chciał mnie zatrzymać u wejścia. Teraz zapadł w odrętwienie, które potrwa, dopóki nie wyjdziemy.

— Dokąd idziemy? – zapytała Ruth. Zbocza gór wokół nich ginęły w ciemności i nie było widać, co kryje się dalej.

Tom wypatrywał czegoś w ciemności, po czym wskazał na jakiś punkt tuż ponad wielkim głazem, który częściowo osłaniał ich od wiatru. W oddali dostrzegli tam migotliwe światło.

— Miałem nadzieję, że znajdziemy tu kogoś, kto umknął Urokowi Życzeń – powiedział Tom. – Tylko tutaj mogłoby się to udać. Chodźcie. – Ruszył w dół zboczem góry, utrzymując równowagę na zdradliwych, śliskich kamieniach i skałach.

Zanim zdążyli pójść za nim, Laura nagle zaczęła się osuwać na ziemię; Church rzucił się ku niej, zanim uderzyła o twardą skałę, i otoczył ją ramionami. Jej oddech był płytki, a pod przymkniętymi powiekami widać był białka wywróconych oczu.

Shavi dotknął jej szyi, żeby zbadać puls.

— Musimy ją jak najszybciej zanieść do lekarza – powiedział

ponurym głosem.

Church rozglądał się gorączkowo, mając nadzieję, że kto inny weźmie na siebie odpowiedzialność. Irytowała go jego własna nieudolność jako przywódcy.

— Musimy zanieść ją z powrotem do Melrose! Znaleźć tam lekarza!

— To daleka droga – Veitch odparł z powątpiewaniem w głosie. Tom podszedł do Churcha z niezwykłym jak na siebie wyrazem zatroskania na twarzy.

— Musimy iść dalej, to nasza jedyna nadzieja. Inaczej ona umrze.

— Nie! – Church chwycił Laurę mocniej i ruszył w kierunku przejścia między światami.

Tom delikatnie złapał go za łokieć.

— Uwierz mi. Ja wiem, że ona umrze, jeśli zabierzesz ją z powrotem. – W jego głosie zabrzmiała niepokojąca pewność.

Church poczuł ogarniającą go nagle falę rozpacz.

— Jeśli kłamiesz i ona umrze, to ja cię zabiję – powiedział cicho. Veitch pomógł Churchowi nieść Laurę. Wszyscy mieli nadzieję, że dostrzeżone wcześniej światło znajduje się bliżej, niż im się wydawało, i modlili się, żeby podjęta przez Churcha decyzja okazała się słuszna, a nocna wędrówka nie zakończyła w kolejnej zastawionej przez Toma pułapce.

Przez cały czas ponad ich głowami przybierała na sile dziwna, elektryczna burza bez deszczu.



Okazało się, że z daleka patrzyli na pochodnię, która płonęła

przed drzwiami wspaniałego gmachu przypominającego średniowieczne opactwo. Kamienna budowla była częściowo ukryta w skalistym zboczu góry. Ponad kruchtą górowała przysadzista, trzypiętrowa wieża zwieńczona piorunochronem i chorągiewką w kształcie smoka. Za wieżą wznosił się pokryty łupkiem dach i ściany przyozdobione witrażami w ostrołukowych oknach, a dalej budowla wnikała w skałę, jakby stanowiła jedność z otaczającą ją górą. Trzy stopnie wiodły do wielkich, dębowych drzwi nabitych żelaznymi ćwiekami.

— Co to za miejsce? – zapytał podejrzliwie Church.

Tom przesunął palcami po kamiennej kolumnie obok drzwi.

— Jeśli mam użyć zrozumiałej dla was nazwy, jest to Biblioteka Ogmy, najmądrzejszego ze Starożytnych.

Church starał się sobie przypomnieć na wpół zapomniane lektury z czasów studiów.

— Według mitologii to właśnie on wynalazł pismo ogamiczne.

— To pismo na mojej włóczni – powiedziała Ruth.

— Tak, to rodzaj alfabetu. Nie zachowało się wiele inskrypcji, ale jest to najwcześniejszy rodzaj pisma odkryty w Irlandii. – Church spojrzał na zatopionego w myślach Toma. – Czy on jest jednym z Tuatha Dé Danann?

— Przechowuje ogromną wiedzę. Komnaty wypełniają całą tę górę. Jeśli znajdował się w samym środku, kiedy uderzył Urok Życzeń, mógł się uchronić. – Tom ostrożnie wszedł po schodach i zaczął walić w drzwi.

— Czyli gościeu zna się na słowach. I co on nam pomoże? – zapytał Veitch.

— Okazujcie mu szacunek – przestrzegł ich Tom stanowczo. – Jest związany z Etain, córką wielkiego uzdrowiciela Dian Cechta. Niezłomnie poszukując mądrości, posiadał również całą ich

wiedzę.

— To nie wszystko – odezwał się Church, któremu przypominały się kolejne wyczytane kiedyś informacje. – Był również przewoźnikiem zabierającym dusze zmarłych w Zaświaty, gdzie odpoczywały przed ponownym narodzeniem w naszym świecie. – Jego słowa brzmiały niemal jak modlitwa. – Czy tutaj odpoczywają dusze?

— Tak mówią.

— Ty nie wiesz? – Church chciał potrząsnąć Tomem, aby zmusić go wreszcie do mówienia. Interesował się duszą tylko jednej, konkretnej osoby.

— Jestem tylko człowiekiem, tak jak ty, Jack – odparł Tom nieco rozdrażnionym tonem. – Nie zostałem wtajemniczony w wielki plan. Obserwuję, myślę, ale nie zawsze mam rację. Bogowie niechętnie dzielą się swoją wiedzą, a szczególnie tą najważniejszą.

— Typowi szefowie – mruknął Veitch. – Nic nie mówią ludziom na dole.

— Nie, oni raczej zakładają, że nie damy sobie rady z prawdą. I mają rację.

— To bardzo miło z ich strony – zgryźliwie odrzekła Ruth.

Przerwał im odgłos zbliżających się do drzwi ciężkich kroków. Kiedy po dłuższej chwili otworzyły się cicho, wszyscy wstrzymali oddech, gdyż zobaczyli w nich przerażającą postać o zmieniających się bez przerwy twarzach, z których niektóre były zbyt straszne dla ludzkich oczu. Po chwili jednak jedna z twarzy, uśmiechnięta i zamyślona, pojawiła się na stałe. Churchowi przypominała ona Oscara Wilde'a; Ruth – Einsteina, a Veitchowi pewnego nauczyciela, który zawsze starał się mu pomóc. Nieznajomy miał na sobie długie, powłóczyste szaty mieniące się

różnymi odcieniami metalicznej szarości.

Zmierzył wzrokiem wszystkich gości, ale uśmiechnął się dopiero wtedy, kiedy jego spojrzenie spoczęło na Tomie.

— Tomasz! – powiedział ciepłym głosem, który jakby nie wydobywał się z jego ust.

Tom z uniżeniem pochylił głowę.

— Mędrco! Przyszliśmy, by prosić cię o pomoc w tych trudnych czasach.

— Istotnie, to trudne czasy. Czy słyszeliście, że moi bracia i siostry błakają się, wydani na pastwę wichrów?

Tom skinął poważnie głową.

— To Nocni Wędrowcy. – Z gardła Ogmy wydobył się pomruk nienawiści. – Tylko kilkorgu z nas udało się umknąć Urokowi Życzeń. Słyszałem jednak niedawno plotki o próbie wytropienia ich i sprowadzenia tutaj.

Tom wskazał na pozostałych.

— Oto poszukiwacze, mędrce. Trzeba przywrócić im siły, jeśli mają dokończyć dzieła.

— Tobie też, Tomaszu. Widzę dobrze, że potrzebujesz mojej pomocy.

Tom skinął głową i, czując się nieswojo, odwrócił wzrok.

Ogma zwrócił się do Laury, której nieruchome, zimne ciało spoczywało w ramionach Churcha. Jej oddech był ledwie wyczuwalny. Delikatnie przesunął palcami po jej twarzy i spoważniał nieco.

— Jej światło jest słabe. Nie wiem, czy będę umiał cokolwiek dla niej uczynić.

— Proszę, spróbuj! – odezwał się Church.

— Wszyscy zawsze mówili, że Dian Cecht potrafi nawet zmarłych przywrócić do życia – skwapliwie dodał Tom.

— Ale ja nie jestem Dian Cechtem. Uzdrawianie to nie tylko wiedza. – Ogma milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się, jak postąpić. – Wnieście ją do środka. Zobaczą, co da się zrobić.

Wnętrze biblioteki pachniało pszczelim woskiem i cytryną. Powlekli się za Ogma, który poprowadził ich niekończącym się labiryntem komnat wypełnionych od podłogi po sufit oprawionymi w skórę księgami. Niektóre z nich dorównywały wysokością Churchowi i były tak grube jak jego udo, inne składały się z arkuszy papirusu związanych czerwoną taśmą jak akta sądowe. Kiedy Shavi pozostał na chwilę w tyle, by zajrzeć do jednej z książek, okazało się, że tomy zawierają tylko oślepiająco białe światło.

Wydawało się, że dopiero po godzinie dotarli do kilku komnat, w których zamiast półek z książkami stały proste, drewniane meble. Church zgadł, że były to osobiste pokoje Ogmy. Gospodarz położył Laurę na niskim łóżku i odgarnął jej włosy z czoła.

Kiedy dotknął ciała, jej oczy otworzyły się nagle i rzuciły na niego krótkie spojrzenie.

— Nie chcę umierać – powiedziała słabym głosem. W jej spojrzeniu widać było paniczny strach.

— Zrób coś – Church zwrócił się błagalnym tonem do Ogmy.

Z twarzy boga nie można się było dowiedzieć, czy wysłuchał tego błagania. Otworzył stojącą w kącie wielką szafę, pełną słoików i fiolek wypełnionych proszkami, płynami i suszonymi ziołami. Wybrał kilka z nich i zaczął mieszać je tłuczkiem w moździerzu stojącym na ciężkim, dębowym stole. Kiedy w naczyniu powstał czerwono-brązowy balsam, Ogma przyjrzał mu się dokładnie i z wyrazem zadowolenia na twarzy nałożył na usta Laury. Mikstura błyskawicznie znikła, wchłonięta przez skórę chorej.

— Czy to pomoże? – z niepokojem w głosie zapytał Church. Ogma utkwiał przenikliwe spojrzenie w Churchu, jakby był dorosłym spoglądającym na dziecko.

— Poczekajmy. Jeśli ma w sobie siłę, jej światło ponownie rozbłyśnie.

Church musiał odwrócić się od Laury, nie mogąc poradzić sobie z zalewającą go falą bolesnych uczuć, nieznanym mu po tylu miesiącach otępienia.

Ogma wyglądał tak, jakby dobrze wiedział, co dzieje się w głowie Churcha. Rzucił przelotne spojrzenia Veitchowi i Shaviemu, po czym rzekł: — Wasze własne światło też słabnie. Musicie wszyscy odpocząć. Czujcie się tu jak u siebie w domu. Jest tu jedzenie i coś do picia...

Tom poruszył się niespokojnie, a Ogma dostrzegł jego zakłopotanie i dodał: — Dzielę się z wami jadłem i napojami, niczego w zamian nie żądając.

To wystarczyło, by uspokoić Toma. Kiedy Ogma wyszedł na kolejny obchód komnat z książkami, Veitch zapytał: — O co poszło?

— Nigdy nie jedzcie i nie pijcie w Zaświatach, nawet jeśli was częstują, chyba że otrzymacie obietnicę, że nie zażądają niczego w zamian. Inaczej, w chwili gdy pierwszy okruch dotknie waszych ust, dostaniecie się pod władzę tego, kto was obdarował.

Veitch spojrzał niepewnie na pozostałych towarzyszy.

— To prawda? Może on znowu coś pieprzy.

— W dawnych podaniach – zaczął Shavi – każdy, kto wszedł do Krainy Wrózek musiał powstrzymać się od jedzenia, żeby nie dostać się pod władzę ich Królowej.

— To gdzie my jesteśmy? W jakiejś cholernej krainie bajek? – z niedowierzaniem zapytał Veitch.

— Uspokój się, Ryan – zmęczonym głosem przerwał mu Church. – Idziemy spać.



W komnacie obok znaleźli posłania ze wspaniałych, wielkich puf i poduszek. Kamienne ściany były tutaj zakryte pięknymi gobelinami. Na stoliku pośrodku stały miski z jabłkami, pomarańczami i jakimiś jagodami. Były też pomidory i różne suszone, ostro przyprawione mięsa. Poza jedzeniem na stole znajdował się jeszcze dzban wina i cztery kubki.

Rozkoszując się możliwością odpoczynku, legli na poduszkach, tak ciepłych i miękkich, jakby nie leżeli na nich, tylko unosili się w powietrzu. Trudno było zdecydować, czy zasnąć, czy nasycić najpierw dręczący głód; zwyciężył w końcu delikatny aromat potraw. Kiedy jednak jedli i pili, wyczuwali, jak opuszcza ich zmęczenie, a kiedy zakończyli posiłek, byli całkowicie wypoczęci, jakby po wielogodzinnym śnie. Z ożywieniem rozmawiali o tym przez jakiś czas, potem jednak Church stwierdził, że ma na głowie ważniejsze rzeczy.

— Przywieźliśmy cię tutaj – powiedział do Toma. – Teraz musisz odpowiedzieć nam na kilka pytań.

— Co chcecie wiedzieć?

— Zacznijmy do tego, skąd wiesz to, co wiesz? Dlaczego nazwałeś to miejsce domem? Dlaczego Ogma zachowuje się tak, jakby cię dobrze znał?

— I nie kłam – dodał Veitch.

Tom rzucił mu płomienne, gniewne spojrzenie.

— Nigdy nie kłamałem. Czasem nie mówiłem całej prawdy, ale

z moich ust nigdy nie wyszła nieprawda. Nie umiem kłamać.

— Nie rozumiem.

— Zawsze to powtarzam. Fizycznie nie jestem w stanie kłamać. Jest to jeden z darów, które otrzymałem podczas pobytu w Zaświatach. – W jego głosie słychać było nutę goryczy.

Church podejrzliwie zmrużył oczy.

— Kim ty jesteś?

— Powiedziałem wam, jak się nazywam. Thomas Learmont. Jestem również znany jako Tomasz Rymopis.

Veitch zdezorientowany spojrział na Churcha i innych.

— Słuchajcie, tłumaczcie, bo ja nic nie rozumiem.

— Tomasz Rymopis – zaczął ostrożnie Church – to postać historyczna, która trafiła do mitu. Był to szkocki patriota z czasów wojen z Anglią. W pewnym sensie jest to szkocka odpowiedź na króla Artura – mityczny bohater, który podobno spoczywa we śnie pod jakimś wzgórzem...

— Pod tym wzgórzem – przerwał mu Tom.

— ...żeby powrócić w trudnych czasach. Tak głosiły dawne proroctwa. Tylko że on żył w trzynastym wieku.

Veitch spojrział na Toma.

— Niech mnie! Dobrze zakonserwowany staruszek!

— Mieszkałem w Earlston, niedaleko Melrose – powiedział Tom. – Należałem do starego rodu, dość zamożnego. Posiadaliśmy ziemię w tej okolicy, ale mój syn przekazał cały majątek Kościołowi. – Smutek, przywołany na twarz Toma przez to wspomnienie, podkreślało jeszcze migotliwe światło pochodni. – W przeciwieństwie do ojca, który ciężko pracował, zawsze byłem trochę marzycielem. Jako wzięty pieśniarz wiele godzin spędziłem leniuchując poza domem, układając kolejną pieśń, zwykle na temat znanych mi ludzi i kochanych przeze mnie

kobiet. Jedna z nich była mi szczególnie droga. W poszukiwaniu prawdziwego natchnienia, by ułożyć o niej pieśń, udałem się na wzgórze Eidolon, gdzie usiadłem pod jakimś głógiem. Roztaczał się przede mną widok na cały świat, przynajmniej tak mi się wydawało. Postanowiłem nie zwracać uwagi na opowieści staruszek ze wsi, według których ten głóg oznaczał śmierć, a jego kwitnienie – ponowne narodziny. – Tom westchnął. – Było to wybrane drzewo Królowej Wrózek. Nie miałem jednak wtedy pojęcia, że pod tym wzgórzem kryje się inny świat, a opowieści o mieszkających pod wzgórzami wrózkach miałem za brednie głupców. Jednak to ja okazałem się prawdziwym głupcem. W tych opowieściach była zawarta dawna mądrość, a ja je zignorowałem.

Tom zdjął z nosa stłuczone okulary, aby je przetrzeć. Church szukał na jego twarzy jakichkolwiek oznak, że coś ukrywa, jednak malowała się na niej tylko szczerość.

— I co, ta Królowa cię złapała? – zapytał Veitch. Wciąż nie docierał do niego sens ich niedawnych przygód. W licznych rozmowach doprowadzał już Shaviego do furii swoją niezdolnością do zrozumienia, co kryje się pod dosłowną treścią mitów i legend.

— Królowa Wrózek albo Wielka Bogini. To tylko nazwy, które pomagają zrozumieć niepoznawalne. Jej wygląd wzbudzał strach. Kiedy spojrzałem w jej twarz, byłem przekonany, że patrzę w twarz Boga. Kochałem ją i nienawidziłem. Nie mogłem jej zrozumieć. Pozwoliłem rozłożyć się na części i złożyć z powrotem. Pozwoliłem się torturować na różne niewyobrażalne sposoby, tylko po to, by choć przez chwilę doświadczyć jej cudownej obecności. Był to czas niezwykłych przeżyć, bólu i przyjemności, czas, kiedy mogłem zgłębić tajemnice istnienia. –

Tom zacisnął powieki, by ukryć łzy. Churchowi zdawało się przez chwilę, że w oczach Toma widać coś, co niepokojąco przypominało szaleństwo. – Byłem jak pies patrzący na swoją panią – dodał tęsknym głosem. – Byłem też więźniem, który zaczął kochać swoje więzienie.

— To okropne. – Ruth współczująco wzięła go za rękę. – Czy oni tak na nas patrzą? Jak na zabawki?

Tom skinął głową.

— Większość tak na nas patrzy. Niektórzy są nam bliżsi, dzięki stuleciom wspólnego życia. Inni potrafiliby obedrzyć nas ze skóry i zostawić bez mrugnięcia okiem. Uważają się za bezpostaciową energię, prawdziwą część wszechświata. My jesteśmy dla nich jak bakterie, pozbawione umiejętności i mądrości.

— W takim razie, jak udało ci się stąd wydostać? – zapytała Ruth. Tom uśmiechnął się zimno.

— Królowa polubiła swoją zabawkę. Czasami czułem się tak, jakbym przybywał w Zaświatach jedną noc, kiedy indziej wydawało mi się, że minęły całe stulecia. W rzeczywistości minęło siedem lat, zanim pozwolono mi powrócić do świata. Oszołomiony, bełkocąc niezrozumiale, zszedłem ze wzgórz i trafiłem w końcu do domu, gdzie zacząłem dochodzić do siebie. Dopiero później odkryłem, jak bardzo zmienił mnie pobyt w zaświatach.

— Co ona ci zrobiła? – cichym głosem zapytała Ruth; pozostali wpatrywali się w Toma wyczekująco.

— W czasie tych tortur otrzymałem dar przepowiadania przyszłości i Język, Który Nigdy Nie Kłamie. – Zaśmiał się tak, że ciarki przeszły im po plecach. – W świecie, który zbudowano na kłamstwach, trudno z takim darem żyć. A do tego jeszcze

możliwość spojrzenia w przyszłość... – Tom potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

— Wiesz o wszystkim, co się ma wydarzyć? – zapytał Church.

— Nie o wszystkim. Widzę przebłyski, nieruchome obrazy, jakbym patrzył przez okno pędzącego samochodu. Właśnie tak widzą czas oni. Wiedzą, że nie płynie w raz ustalonym kierunku.

— Musiało ci być trudno się do tego przyzwyczaić – powiedziała Ruth.

Tom uśmiechnął się smutno, słysząc jej pełen zrozumienia komentarz.

— Po tym, przez co przeszedłem, jak miałem się znaleźć wśród dawnych przyjaciół, sąsiadów, rodziny? Próbowałem. Ożeniłem się i moja żona urodziła syna, Tomasza. Czułem jednak, że nie należę już do rodzaju ludzkiego. Nikt nie mógł zrozumieć dręczących mnie myśli. Widziałem wokół siebie prostych ludzi wiodących proste życie, nie wiedzących nic o wszechświecie. Dzikusów. Byłem ponad nimi, a jednocześnie nie należałem do Zaświatów. Wtedy z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że zawsze będę sam.

W głosie Toma słysząc było to samo przerażenie, które nie straciło na sile od tamtego czasu. Church nigdy nie żywił sympatii do tego człowieka ani mu nie ufał, jednak poczuł teraz do niego głęboki szacunek; niewielu byłoby w stanie przetrwać doświadczenia, które były jego udziałem.

— Nazwali mnie Wiernym Tomaszem! – zaśmiał się. Pozostali ledwie mogli patrzeć na jego udrękę. – Ale starałem się, jak mogłem.

Zająłem się polityką, razem z innymi Szkotami walczyłem przeciw Anglikom, ale polityka to nie jest zajęcie dla człowieka, który nie umie kłamać. Łagodnie rzecz ujmując, nie powiodło mi

się, ponosiłem kolejne porażki, aż w końcu dowiedziałem się, że Hrabia March knuje zamach na moje życie.

Tom pogrzebał w swoim chlebaku i wyjął puszkę z haszyszem. Przygotował sobie jointa skrupulatnie i powoli, jakby chciał na chwilę otrząsnąć się z dręczących go wspomnień. Wszyscy czekali cierpliwie, aż zaciągnie się aromatycznym dymem i znów zacznie mówić.

— Na krótki czas uciekłem w wyżyny Szkocji, gdzie spotkałem jednego ze strażników starożytnych miejsc i mądrości sięgającej korzeniami do czasów Celtów.

— Kogoś od Strażnika Kości? Tom skinął głową.

— Wydawało mi się, że mamy wiele wspólnego. On wiedział o prawdziwym znaczeniu tego krzaka głogu. Po wielu prośbach, wzruszony moim niezwykłym losem, zgodził się wtajemniczyć mnie w starożytną wiedzę o przyrodzie, praktykowaną przez podobnych mu ludzi w świętych gajach, dopóki Rzymianie nie przepędzili ich i skazali na tułaczę życie, z dala od tych, którym byli potrzebni.

Tom westchnął i zaciągnął się głęboko.

— Jednak nawet to nie odeгнаło dręczącej mnie samotności. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca na świecie i z czasem, tak jak w głębi serca od początku przewidywałem, powróciłem do Zaświatów. Wtedy, jak łatwo się domyślić, moja bogini już nie interesowała się mną, byłem jednak szanowany, ponieważ to ona mnie ukształtowała. Szanowano mnie również za mój śpiew i poezję.

— Ale nie czułeś się jednym z nich? – zapytała Ruth. Tom skinął głową.

— Staralem się znaleźć dla siebie miejsce w Zaświatach. Wydawało mi się, że trwało to ledwie kilka lat, a tymczasem na

naszym świecie upłynęło ich czterysta. W końcu zatęskniłem za domem i zdałem sobie sprawę, że dzięki moim cierpieniom zyskałem jedną rzecz – wolność. Mogłem robić, co mi się podobało. Co jakiś czas wracałem do naszego świata, a kiedy się nim nudziłem, odchodziłem w zaświaty.

— Miałeś wszystko, co najlepsze w obu światach.

— Nie. Wszystko, co najgorsze.

— To dlatego wyglądasz, jakbyś był hipisem z lat sześćdziesiątych? – zapytał Veitch, patrząc z pogardą na jego długie włosy i charakterystyczny ubiór.

— Wtedy właśnie najdłużej przebywałem w naszym świecie. Myśli i życie ludzi najbardziej odpowiadały wtedy moim przekonaniom. Cieszyłem się wtedy każdą spędzoną tutaj chwilą.

Ruth otoczyła go ramieniem.

— Tom, ty stary hipisie! Pokój, miłość i dogadzanie sobie!

— Mogłeś nam przecież powiedzieć o tym wszystkim wcześniej – powiedział Church.

— Musiałem się upewnić, że mogę wam ufać, zanim powiedziałem wam cokolwiek ważnego. W czasach, kiedy byłem szpiegiem, nauczyłem się, że wiedza to potęga. Nie chciałem, by prawda o mnie wyszła na jaw zbyt wcześnie. Mogłaby zostać użyta przeciwko mnie.

— A teraz już możesz nam ufać? – szorstkim tonem zapytał Veitch. – Ach, jaka ulga.

— A Fomorianie i Balor? – zapytał Church. – Czy dowiedziałeś się, co zrobią?

Tom potrząsnął głową, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

— To coś w mojej głowie nie pozwala mi o nich mówić. – Z irytacją zaczął przesuwać dłonią po twarzy. – Może później, jeśli Ogmie się uda.



Teraz, kiedy wreszcie porozmawiali szczerze, wszyscy poczuli się bardziej bliscy Tomowi. Być może to dzięki cudownemu jadłu i napojom, oraz poczuciu bezpieczeństwa w bibliotece Ogmy, byli gotowi stawić czoła czekającym ich próbom mimo braku zaufania i jątrzących się wśród nich waśni. Porażki nie wydawały się tak wielkie, natomiast zwycięstwa napawały dumą, szczególnie kiedy przypomnieli sobie, jak nikłe mieli szanse. Church w przyływie optymizmu powiedział nawet, że być może uda im się wypełnić powierzona im misję.

Kiedy Tom palił kolejnego jointa, a Veitch dopijał wino, Shavi postanowił jeszcze raz przyjrzeć się książkom, choć to, co zobaczył w nich wcześniej, najwyraźniej go zaniepokoiło. Church wymknął się po cichu z pokoju i, choć nie powiedział, dokąd idzie, wszyscy wiedzieli, że chce sprawdzić, jak czuje się Laura. Ruth była w głębi serca pewna, że miała z nim więcej wspólnego niż Laura i że jeśli pozwoliliby sobie na to, mogliby żyć razem w takim związku, o jakim oboje marzyli.

Dręczona tymi myślami snuła się po komnatach biblioteki, aż przypadkiem natrafiła na pokój, gdzie Ogma siedział za stołem pochylony nad ogromnym tomem. Była tak zatopiona w myślach, że zauważyła go dopiero, kiedy znalazła się już na środku pokoju i za późno było, by się wycofać. Ogma podniósł głowę i utkwiał w niej swój nieprzenikniony wzrok.

— Nosisz na sobie znak jednego ze Złocistych – powiedział, choć była pewna, że nie widział nigdy wnętrza jej dłoni.

Opowiedziała mu więc o swoim spotkaniu z Cernunnosem, a

on słuchał, kiwając głową w zamyśleniu.

— Urok Życzeń zadał nam wszystkim wiele cierpień.

— Czy ty ich nienawidzisz? – zapytała. – Fomorian?

Uniósł brwi, jakby nie zrozumiał pytania.

— Fomorianie, to choroba, którą trzeba wyplenić – odrzekł, jakby to wystarczyło za całą odpowiedź.

— Nie wiem, czy mogę tak do ciebie mówić, ale wydajesz się zupełnie inny niż Cernunnos, czy jak on się tak naprawdę nazywa. Bliższy nam, ludziom.

„Ale nie bardzo bliski”, pomyślała jeszcze.

Ogma zastanowił się, a potem powiedział: — Nie jesteśmy tacy sami. Niektórzy z nas są wam bardzo bliscy, dzieli ich od was ledwie ślad różnicy. Inni są tak oddaleni, że świecą jak dalekie słońca w odmętach wszechświata. My też mamy swoje mitologie, swoje prawa i hierarchie. Są wśród nas istoty niższe i takie, które nad nami górują.

— Macie normy społeczne, tak jak my? Przecież jesteście bogami, przynajmniej tak sądzili kiedyś ludzie w naszym świecie.

Uśmiechnął się.

— Nawet bogowie mają bogów. Zawsze jest coś wyższego.

— A wy, jesteście bogami?

Ogma rozłożył ręce, ale nic nie powiedział.



Church patrzył przez chwilę na Laurę, ale nic nie mógł wyczytać z jej twarzy. Jedyłą pociechą był fakt, że wreszcie miał trochę czasu, by uporządkować trochę zamęt, jaki miał w głowie. Czuł się tak, jakby w chwili, gdy dotknął jej pleców w Manorbier,

coś w nim pękło jak dojrzały owoc. Nie wiedział, jak sobie poradzić z zalewem uczuć, trudno było mu znieść każdą kolejną myśl, każde wrażenie. Z niepokojem sięgnął do kieszeni po medalion Marianny, który jednak stracił magiczną moc. Churcha nic nie mogło uspokoić.

Co gorsza, całe jego ciało ogarniał od pewnego czasu przenikliwy chłód, któremu nie można było w żaden sposób zaradzić. Czarną Różę pokrywała cienka warstwa szronu, którą Church cały czas usuwał i która wracała za każdym razem, kiedy w tajemnicy oglądał kwiat. Zastanawiał się, czy to nie róża jest przyczyną jego choroby, nigdy nie potrafił jednak skupić się zbyt głęboko na tym pytaniu. Na pewno nie potrafiłby również jej wyrzucić.



Jakąś godzinę później Ogma był już gotowy, by zająć się Tomem. Zebrali się w pustej komnacie, której jedynym umeblowaniem był dębowy stół operacyjny i szafka, na której leżało pełno błyszczących przyrządów o nieokreślonym przeznaczeniu; Church od razu przypomniał sobie izbę tortur Calatina. Tom wdrapał się na stół, jakby zupełnie nie obawiał się tego, co go czeka, podczas gdy reszta zebrała się w kącie i obserwowała.

— Co z Laurą? – szeptem zapytała Ruth.

Church ponuro pokręcił głową, co wystarczyło za całą odpowiedź. Ruth nie zadawała dalszych pytań, jednak w głębi serca zaczęła się zastanawiać, jak piątka Sióstr i Braci Smoków da sobie radę, gdy jednego z nich już nie będzie.

Ogma nałożył na usta Toma jakąś gęstą, białą maść, od której pacjent nie utracił przytomności, tylko przestał cokolwiek czuć, gdyż w chwilę później bóg mógł nacinać jego skroń długim, przerażająco wyglądającym nożem. Tom nawet się nie skrzywił, jednak Ruth zamknęła oczy.

Maść musiała mieć jakiś wpływ na układ krążenia, ponieważ, mimo głębokości nacięcia, Tom prawie w ogóle nie krwawił. Ogma wziął ręczny świder, którym powoli zaczął wwiercać się w czaszkę Toma. Błyszczące beznamiętnie oczy pacjenta wpatrzone były cały czas w kamienne sklepienie komnaty.

Później jednak, gdy ręka Ogmy zadrżała na znak, że przewiercił się przez czaszkę, twarz Toma zmieniła się: oczy wypełniły się krwią, twarz wykrzywił pierwotny grymas gniewu, który uczynił go zupełnie niepodobnym do siebie. Maść musiała działać również na jego mięśnie, gdyż widać było, że nie jest w stanie poruszać rękami ani nogami. Tylko usta Toma otworzyły się i popłynęły z nich przekleństwa wykrzyczane w ohydny język Fomorian. Ogma nie zwracał na nie uwagi, było to jednak tak straszne, że wszyscy odwrócili wzrok, a Veitch zbladł.

Kiedy znowu spojrzeli na operację, ujrzeli rzecz zadziwiającą. Dziura, jaką wywiercił Ogma, nie była szersza niż średnica ołówka, bóg zdołał jednak wetknąć do środka dwa palce, potem trzy, cztery, aż w końcu cała jego ręka wsuwała się i wysuwała ze skroni Toma. Pacjent krzyczał i klął, wijąc się bezsilnie, jednak Ogmie wystarczyło tylko przytrzymać jego głowę drugą ręką. Sięgnął w końcu aż po łokieć w głąb czaszki Toma i powoli zaczął z niej coś wyciągać.

Church skrzywił się z obrzydzenia, a Ruth zebrało się na wymioty, zasłoniła usta. Veitch i Shavi zamarli z przerażenia.

Potem Ogma obrócił dłoń i wydobył ją wreszcie z głowy Toma.

W zakrwawionych palcach ścisnął teraz pulsujący i wijący się kawałek ciała, przypominający ludzki organ wewnętrzny. Najgorsze było jednak to, że krzyk, który wcześniej wydobywał się z ust Toma, wydawał teraz Caraprix. Wrzask przybierał na sile i stawał się coraz bardziej piskliwy, aż musieli zasłonić uszy, by nie utracić słuchu. Kiedy natężenie tego dźwięku sięgnęło szczytu, Caraprix zaczął zmieniać kształt. Najpierw przybrał formę sztyletu, potem stał się futerkowym zwierzątkiem o paszczy pełnej ostrych zębów, ale zanim zdążył się w pełni ukształtować, Ogma położył go na stole i uderzył weń swą potężną pięścią. Caraprix pękł jak wypełniony krwią pęcherz.

W ciszy, która nastąpiła, gdy urwał się szaleńczy krzyk potworka, wydawało im się, że wszystko w pokoju znieruchomiało. Ciszę przerwała Ruth, która odwróciła się, by wymiotować. Pozostali cichym głosem dawali upust swojemu przerażeniu i obrzydzeniu.

Ogma zwrócił się do nich: — Skończone. Wierny Tomasz szybko dojdzie do siebie. Caraprix jest pasożytem, ale nie powoduje trwałych obrażeń u swojej ofiary.

— One są obrzydliwe! – powiedziała Ruth, bojąc się nawet spojrzeć na rozrzucone po stole resztki.

Ogma nie wydawał się zadowolony, kiedy to usłyszał.

— Tuatha Dé Danann też używają takich stworzeń – wyjaśnił Tom. Z niewiarygodną lekkością uniósł się i zeskoczył ze stołu, jakby nie przeszedł właśnie operacji. Dziura w jego czaszce już się zabiźniła.

Ogma zdjął z pól swojej szaty kłamrę, która przybrała kształt jaja z owadzimi czułkami oraz zaczęła świecić jasnym blaskiem.

— To nasze narzędzia, broń i wierni towarzysze – powiedział. Church spojrzał podejrzliwie na jajo, po czym pomógł Tomowi

stanąć na nogi, choć ten najwyraźniej wcale nie potrzebował pomocy.

— Mamy jeszcze dużo do roboty – powiedział Tom tym samym energicznym tonem, który Church pamiętał z czasów ich pierwszego spotkania. – Teraz odpoczynek, potem omówimy plany na najbliższą chwilę, i w drogę. Zbliża się dzień Beltane i nie możemy sobie pozwolić na dalsze opóźnienia.



Po operacji Ogma oddalił się do komnat z książkami, a oni mogli pod jego nieobecność swobodnie rozmawiać i planować następne posunięcia. Zebrali się w ciemnej, dudniącej echem komnacie przypominającej główną salę arystokratycznego pałacu. U jednego jej końca drewniana płonęła w kominku tak wielkim, że Church mógłby z łatwością do niego wejść. W pobliżu stały solidne, drewniane krzesła z nabijanymi ćwiekami siedzeniami i oparciami ze skóry. Z jakiegoś powodu nie było tutaj pochodni, ustawili więc krzesła w półokręgu bliżej ognia.

Tom znalazł się w centrum uwagi. Jego okulary, świeżo naprawione, lśniły w świetle dochodzącym z kominka, za to oczu nie było w ogóle widać w cieniu.

— Odpowiem na wszystkie wasze pytania najlepiej, jak potrafię – powiedział – ale ostrzegam was, że nie wiem wszystkiego. – Upił nieco wina, którego resztki zostały jeszcze w jadalni.

— Powiedz nam, co wiesz o tych sukinsynach – powiedział Veitch. Tak określał Fomorian.

Tom skinął głową.

— Niektórzy twierdzą, że ich praojcem był Ham, przeklęty przez Noego. Klątwa ta sprawiła, że wszyscy jego potomkowie byli zniekształconymi potworami. Według innych, Fomorianie narodzili się we wszechogarniającej ciemności przed początkiem wszechświata. – Wszyscy wzdrygnęli się, kiedy płonące głównie trzasnęły i sypnęły iskrami w głąb komina. Cienie na ścianach za ich plecami majaczyły tajemniczo i groźnie. – Ich wodzem był Balor, jednooki bóg śmierci. – Głos Toma zadrżał na chwilę. Church rozejrzał się nagle; miał niepokojące uczucie, że ktoś stoi za jego krzesłem.

— Balor – Shavi poruszył się niespokojnie. – To imię usłyszałem w transie.

— Wcielenie zła – mówił dalej Tom. – Zrodzony z plugastwa i zepsucia. Tak ohydny, że jego spojrzenie zabijało.

W pokoju zapadła cisza. Nawet trzaskanie ognia ucichło.

— U zarania dziejów Balor poprowadził Nocnych Wędrowców przez kraj. Zabijali każdego, kto stawiał im czoła. To, co stało się potem, możemy zrozumieć tylko dzięki mitom. Przed inwazją Fomorian, wodzem Tuatha Dé Danann był Nudd, znany jako Nuada Airgetlamh – Nuada Srebrnoręki – gdyż w pierwszej bitwie pod Mag Tuiredh utracił rękę i Dian Cecht zrobił mu srebrną protezę. Danann uznali jednak, że okaleczony władca nie może poprowadzić ich do dalszego boju z Fomorianami, i jego miejsce zajął znany z niezwyklej urody Breas.

Breas był jednak półkrwi Fomorianinem i pozwolił Nocnym Wędrowcom spustoszyć kraj, a plemię Danu zniewolić. Dian Cecht sprawił więc, że Nuadzie wyrosła nowa ręka, dzięki czemu znów mógł zostać królem. Było jednak zbyt późno – nie mógł obalić tyranii Fomorian.

Wszystko wydawało się stracone, dopóki Nuada nie spotkał

Lugha, boga słońca, znanego jako Lleu, Lug albo Lugos. Był to młody, piękny wojownik, również półkrwi Fomorianin. Co więcej, jego dziadem był sam Balor. Pomiędzy Fomorianami i Tuatha Dé Danann trwał rozejm, dopóki nie doszło do drugiej bitwy pod Mag Tuiredh. Wydawało się, że bitwa ponownie zakończy się zwycięstwem Wędrowców. Wtedy jednak Lugh, używając włóczni, którą odnaleźliście w Walii, wywalczył sobie drogę przez szeregi Fomorian i wykolił Balorowi oko. Bóg Ciemności od razu zginął, a Fomorianie poszli w rozsypkę. – Tom zamyślił się i pociągnął kolejny łyk wina. – Tak, Balor to straszliwe zagrożenie. Ale plemię Danu, które go zwyciężyło, wciąż żyje, jest tylko uwięzione w miejscu, do którego przepędził je Urok Życzeń.

— W takim razie jest nadzieja – powiedział Church.

— Czy tak naprawdę wyglądała ta ich pierwsza wojna? – zapytała Ruth.

Tom wzruszył ramionami.

— Danann nie chcą więcej mówić o tamtych czasach. To był dla nich bardzo burzliwy okres. Teraz przynajmniej wiemy, co zamierzają zrobić Fomorianie. – Veitch patrzył na Toma, nic nie rozumiejąc. – Prawdę poznaliśmy dzięki wizji Shaviego, a Calatin tylko potwierdził nasze domysły. Starają się z powrotem sprowadzić Balora.

— Jak mogą go sprowadzić, skoro został zabity? – z lękiem w głosie zapytała Ruth.

— Kluczem są te żółte beczki, które widzieliście w magazynie w Salisbury, a potem w kopalni w Kornwalii.

Ruth wróciła myślami do wypadków w Salisbury.

— Ta czarna maź w środku...

— Obrzydliwa mikstura przygotowana w jednej z warowni

Fomorian, takiej jak wieża, którą widziałaś w Lake District. Dzięki niej Bóg Ciemności będzie mógł narodzić się ponownie.

— To dlatego jeszcze nie wkroczyli do miast. Czekają, aż poprowadzi ich Balor – zrozumiał Veitch.

Zatopieni w czarnych myślach ledwie słyszeli głośny trzask płonących drewnion.

— Tylko Tuatha Dé Danann mogliby stawić czoła komuś takiemu jak Balor – odezwał się w końcu Church.

— Musimy jednak uważać. Danann nie są nam otwarcie wrody, nie zrobią nam również krzywdy, jeśli ich nie sprowokujemy. Mają jednak swoje własne plany i jeśli staniemy im na drodze, to bez namysłu zniszczą rodzaj ludzki – ostrzegł Tom.

— A ja myślałam, że to anioły – głos Ruth zabrzmiał smutno.

— Czasami wyglądają jak anioły. Być może to oni stoją za ludzkimi mitami o aniołach. Ich myśli i działania są tak skomplikowane, pod każdym względem niepoznawalne, że dobro jest dla nich zbyt prostym pojęciem.

Nagle wzdrygnęli się przestraszeni, bo coś poruszyło się w ciemnościach za ich plecami. Veitch zerwał się, gotowy do obrony, a pozostali tylko patrzyli zaniepokojeni na dwie wynurzające się z cienia postacie.

— Tak nie leczą w państwowej służbie zdrowia – usłyszeli głos Laury, która nie zdradzała prawie żadnych oznak niedawnej choroby. Na jej twarzy malował się blady i niepewny uśmiech, a mowa ciała wskazywała na to, że Laura jest przestraszona. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby zrozumieć, dlaczego: jej twarzy nie zasłaniały już bandaże i widać było straszliwe spustoszenie, jakie pozostawił na niej Callow. Choć rany w cudowny sposób już się zagoiły, na bladej skórze w widoczny

sposób odcinały się różowe krechy blizn. Ogma położył jej ciężko rękę na ramieniu.

— Jest silna duchem. Moje wysiłki dały jej tylko chwilę wytchnienia, dzięki której sama zaczęła walczyć o życie.

Laura dotknęła blizn.

— No, daj mi znać, jak będziesz otwierał oddział chirurgii plastycznej.

Najwyraźniej obawiała się podejść do światła, więc to oni zbliżyli się do niej. Shavi objął ją czule, ale kiedy to samo chciał uczynić Veitch, Laura wyciągnęła ramię i powstrzymała ten wylew przyjaznych uczuć. Jak zwykle powściągliwy Tom skinął tylko głową, nie miała jednak wątpliwości co do jego dobrych chęci. Ruth bała się podejść do Laury, aż w końcu przełamała się i poklepała ją po ramieniu.

Potem rekonwalescentka podeszła do Church, wypatrując na jego twarzy jakiegokolwiek reakcji na jej blizny. Wyglądało na to, że była zadowolona z tego, co zobaczyła.

— Baliśmy się, że nie będziesz mogła z nami pojechać, kiedy wyruszymy na ostatni etap tej podróży – powiedział Church z uśmiechem.

— Ktoś musi mieć na ciebie oko. Żebyś nie popadł znowu w użalanie się nad sobą i melancholię.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, ale byli zbyt skrepowani, żeby się dotknąć. Potem Laura odsunęła się od Churcha.

Ogma poprowadził ich do połączonych ze sobą komnat, gdzie znaleźli przygotowane dla siebie łóżka. Po rozmowie z Tomem nie mieli najmniejszej ochoty na sen, jednak po dziesięciu minutach większość z nich głęboko spała.

Church, przepełniony burzliwymi myślami i emocjami, leżał na plecach z dłońmi splecionymi pod głową i wpatrywał się w

sufit, starając się uporządkować mętlik w swojej głowie. Wszystko to natychmiast minęło, kiedy usłyszał w drzwiach komnaty szept Laury.

— Nie mogę spać. – Prychnęła z pogardą. – Co za frazes, jak z taniego romansu. Jestem w nich coraz lepsza. – To porównanie jakby ją zaskoczyło i wprowadziło w zakłopotanie, potem jednak usiadła na brzegu jego łóżka. Zastanawiała się przez chwilę i położyła mu rękę na piersi. Church przykrył jej dłoń swoją, a Laura bez namysłu przywarła do niego całym ciałem, wtulając głowę w jego ramię. – Nie bój nic, nie powiem już nic żalosego.

— W takim razie teraz moja kolej – w ciemności zabrzmiał głos Churcha. – Jestem taki szczęśliwy, że przyszedłaś.

Przytulali się przez pewien czas, a potem odnaleźli w ciemności swoje usta i zaczęli całować. W ich sercach kłębiło się tyle skomplikowanych emocji – czułości i namiętności, poczucia winy i straty, samotności i strachu – oboje obawiali się, czy im podołają. Potem rozpacz, w której pogrążeni byli tak długo, minęła nagle, pozostawiając proste zadowolenie. Byli pewni, że już nigdy więcej go nie poczną.



Obudzili się przytuleni w kilka godzin później, choć w bibliotece Ogmy niemal niemożliwe było określenie, jak wiele upłynęło czasu. Laura pośpiesznie wróciła do swojej komnaty, żeby inni nie odkryli ich razem, ale spojrzenie, jakie posiadała mu w drzwiach wystarczyło, by pokazać, jak wiele ich teraz łączy.

W jadalni oczekiwało na nich śniadanie złożone z chleba, owoców i mleka. Wszyscy znów byli zaskoczeni tym, jak bardzo

zdołali wypocząć.

— Obiecałeś nam, że dowiemy się, co robić dalej – przypomniał Church Tomowi, kiedy skończyli jeść.

Tom otarł z ust mleko i odpowiedział: — Moc insygniów będzie dla Danann jak latarnia morska, kiedy połączą się z innym świętym przedmiotem, który od wielu pokoleń służył do komunikacji z bogami.

— Aha, czyli mamy szukać wielkiego reflektora dla bogów, a może jakiegoś telefonu bezpośrednio połączonego z zaświatami? – kpiła Laura.

— W zamku Dunvegan na wyspie Skye znajduje się Bratach Sith, Flaga Wieszczek – przerwał jej Tom. – To ona ma potrzebną nam moc.

— Jeśli się pośpieszymy, to dojedziemy tam w jeden dzień – powiedział Shavi.

Veitch klasnął.

— Skończymy robotę i zdążymy jeszcze się spać, zanim zamkną puby!

— Myślisz, że Fomorianie nic będą próbowali nas zatrzymać? – suchym tonem zapytała Ruth. – Niby dlaczego teraz wszystko miałyby pójść gładko? Prawdopodobnie wszyscy Fomorianie, oprócz dzieci i obłożnie chorych, będą się starali nas zatrzymać.

— Ruth ma rację – powiedział Church. – Dotychczas było trudno, ale teraz zaczyna się najgorsze.



Zebraли swoje skromne bagaże i Ogma poprowadził ich labiryntem komnat do wyjścia. Gorąco podziękowali mu za

gościńę oraz za pomoc, jakiej udzielił Laurze i Tomowi. Widząc kamienną twarz gospodarza, poczuli się jednak nieswojo i szybko opuścili jego siedzibę. Znaleźli się z powrotem na stromej ścieżce prowadzącej w górę po kamienistym zboczu.

Tom pozostał nieco dłużej przed drzwiami biblioteki, by złożyć Ogmie osobiste podziękowania. Obaj obserwowali pozostałych, którzy, rozmawiając wesoło, maszerowali ścieżką.

Na niebie pojawiła się nagle sowa Ruth, która zanurkowała ku nim i kołowała tuż ponad ich głowami.

— Co to za ptak?

— Przyjaciółka. Pomaga wam w waszej misji.

Sowa przeleciała jeszcze raz ponad nimi, a potem wystrzeliła w górę. Ogma patrzył, jak znika pośród chmur, a potem znów spojrzał na idących ścieżką ludzi.

— Wciąż widzisz przyszłość, Wierny Tomaszu? – zapytał. Tom skinął głową. Na jego twarzy widać było powagę i smutek.

— Wszyscy znajdziemy się wkrótce w piekle, ale nie wszyscy stamtąd wrócimy, jak mam im to powiedzieć?

— Jak zwykle, nie mówisz całej prawdy, Tomaszu. – Przez chwilę w oczach boga zapłonął ogień, a potem Ogma odwrócił się bez słowa i powrócił do ksiąg.

Tom jeszcze chwilę postął na stopniach, z wysiłkiem starając się uspokoić targające nim uczucia, a gdy odzyskał równowagę, ruszył pośpiesznie za swoimi towarzyszami. Gorzko żałował, że jego życie nie skończyło się tego dnia, kiedy przypadkiem zasnął pod nieszczęsnym krzakiem głogu.

ROZDZIAŁ 21

OSTAŃNIA LINIA OBRONY

Właśnie świtało, kiedy przez szczelinę w ziemi wrócili do świata, a kiedy zeszli szlakiem do Melrose, widać było, że zapowiada się pogodny, wiosenny dzień. Z bezchmurnego nieba przygrzewało słońce, a jednocześnie w powietrzu wisiał delikatny, odświeżający chłód, zawsze obecny na północy o tej porze roku. Nawet wspaniała pogoda nie odwróciła ich uwagi od pytania, które wszyscy gorączkowo sobie zadawali.

Doszli do furgonetki, którą udali się do czynnej całą dobę stacji benzynowej.

— Wszystko wygląda normalnie – powiedział Church – ale musimy się przygotować na chwilę prawdy.

Z niepokojem patrzyli na Ruth, która wbiegła do sklepu, by kupić gazetę. Wybrała jeden z dzienników, spojrzała na datę, ale z jej twarzy nie dało się odczytać żadnych uczuć. Kiedy wsiadła z powrotem do samochodu, pozostali nie mogli już wytrzymać z ciekawości.

— No?! – niemal krzyknął Veitch. Ruth pokazała im gazetę.

— Pierwszy maja. Dziś mija termin.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, aż w końcu Church powiedział: — Czy zdążymy dojechać do Dunvegan?

— To mniej niż jeden dzień jazdy – odrzekł Shavi. – Chyba, że coś nas zatrzyma.

Jego słowa zawisły na chwilę w ciszy, a potem wszyscy rzucili

się do przygotowań do podróży. Veitch pobiegł do sklepu, gdzie kupił kanapki i chipsy. Church nabył tam tanie, przenośne radio, by zastąpić stare, które utracili wraz z poprzednią furgonetką.

Kiedy już wyruszyli, zaczął przeszukiwać fale i z rozczarowaniem stwierdził, że nadaje tylko kilka stacji. Na jednej grała muzyka poważna, inna raczyła słuchaczy rozluźniającym jazzem, jeszcze inna nadawała stare przeboje przerywane od czasu do czasu dzinglami, ale nigdy głosem prezentera. W pewnym momencie usłyszeli beztroskie nuty piosenki *So Happy Together* zespołu The Turtles.

— Oszczędź nam tej słodyczy, bo mi się niedobrze robi – jęknęła Larua. – Wolałabym jakieś techno albo jungle, albo cokolwiek z szybkim rytmem, żeby wyczyścić głowę z myśli.

— Ciesz się, że nie puszczają Sinatry – odezwała się Ruth.

— To dziwny przypadek, że wyszliśmy z Zaświatów dokładnie w ostatniej chwili – zauważył Church. Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, Church rzucił mu ukradkowe spojrzenie i bezgłośnie dopowiedział: „Nic nie jest przypadkiem”, zanim tego samego nie powiedział, jak zwykle, Tom. Wszyscy roześmieli się, kiedy zobaczyli jego poirytowaną minę.

— Więc co to jest to Beltane? – chciał się dowiedzieć Veitch.

— Wielkie święto światła w świecie celtyckim – ponuro odrzekł Tom. – Wypada dokładnie w połowie roku według celtyckiego kalendarza. W dawnych czasach składano wtedy ofiary Belenusowi, bogowi słońca, światła i ciepła, by uczcić początek lata, powrót słonecznego ciepła i płodności ziemi.

— Ale dlaczego dzisiaj wypada ten termin? Przecież to dzień jak co dzień.

Tom otworzył paczkę chipsów i zaczął żuć je z drażniącym wszystkich spokojem. Kątem oka Church dostrzegł, że Laura

szuka już czegoś, czym mogłaby w niego rzucić.

— Imbolg, Beltane, Lughnasad i Samhain – cztery najważniejsze święta celtyckie – nie wypadały w przypadkowe dni – Tom zaczął wreszcie mówić z pełnymi ustami. – Były to dni bardzo ważne dla bogów, kiedy cały wszechświat miał tak harmonijnie ustawienie, że moc mogła przepływać jak rzeka pomiędzy naszym światem i Zaświatami. Wszystko napełniało się wtedy ładunkiem energii. Były to dni, kiedy wszystko mogło się zdarzyć.

— Czyli jeśli dziś się nam nie uda, będziemy musieli czekać na następne święto? – zapytał Veitch.

Tom skinął głową.

— A wtedy będzie za późno.

Mimo wagi czekających ich wydarzeń, Church ze zdziwieniem stwierdził, że czuje radość. Łatwo było zgadnąć, dlaczego: zaledwie kilka krótkich godzin dzieliło go od chwili, kiedy wreszcie usłyszy odpowiedź, którą rozpaczliwie chciał poznać przez wszystkie te wypełnione goryczą miesiące, kiedy jego życie wydawało się już skończone. Teraz jednak pytanie „dlaczego”, zostało zastąpione przez „kto”. Z trudnością powstrzymywał wybuch radości, jednocześnie jednak głęboko w sercu czuł również ukłucie chłodu – wiedział, że jest to czekające na swoją kolej pragnienie zemsty. Zamknął oczy i starał się odprężyć, słuchając Beach Boysów śpiewających *Wouldn't it be nice*. Gdyby tylko mógł się rozgrzać i zapomnieć o tym chłodzie.



Drogą A72 wyjechali z Galashiels, a potem skierowali się na

północ, w kierunku Edynburga, i przejechali mostem nad zatoką Firth of Forth, by dotrzeć do dwupasmowej M90. Trzymali się głównych dróg ze względu na szybkość oraz po to, by omijać odludne okolice. Kiedy jednak minęli Perth, na mapie widniało coraz mniej siedzib ludzkich i jasne było, że wjeżdżają na niebezpieczne terytorium.

Minąwszy Dalwhinnie, zebrali się na odwagę i ruszyli przez rzadziej zaludnione obszary. Kryształowo czyste powietrze wzgórz Szkocji przepełnione było aromatem sosny. Na drogach prawie nie było ruchu, a nieliczne napotkane samochody należały do miejscowych: rolnicy w zdezelowanych, starych gratach, starsze panie na irytująco powolnych przejażdżkach. Ponad okolicą zalegała niesamowita cisza.

W miarę, jak coraz dalej zapuszczali się w wyżyny Szkocji, chłód w piersiach Churcha przybierał na sile, jakby ktoś wbijał mu w serce sopel lodu, a na czoło wyszły mu kropelki potu. Kiedy wsunął dłoń do kieszeni i dotknął *Roisin Dubh*, kwiat był lodowato zimny. Unikając spojrzeń towarzyszy, wyciągnął różę z kieszeni i okazało się, że jest pokryta grubą warstwą szronu, który natychmiast zaczął topnieć w promieniach słońca; była tak zimna, że trudno było ją utrzymać w palcach. Chłód przenikał w głąb jego ciała i wydawało się mu, że zamrozi go całkowicie. Wiedział, że powinien o tym powiedzieć reszcie, ale zimno odbierało siły i wolę, by to zrobić. Church sięgnął po medalion Marianny, w nadziei że dzięki jego dotykowi poczuje się lepiej, a potem wsunął różę z powrotem do kieszeni. Starał się nie zwracać uwagi na sygnał alarmowy, który coraz głośniejszy zaczynał brzmieć w jego głowie.

Wyżyny przejechali bez przeszkód, a po krótkiej jeździe wzdłuż malowniczego brzegu jeziora Loch Lochy, ruszyli drogą

A87 zdążającą bezpośrednio do Kyle of Lochalsh, gdzie znajdowała się przeprawa na wyspę Skye.

Kiedy jechali wzdłuż brzegu jeziora Loch Cluanie, Shavi zauważył słup czarnego dymu wznoszący się z za stromej skarpy po prawej stronie drogi. Choć bali się zatrzymać, po pewnym czasie powietrze wypełniał tak ostry odór, że zaniepokojeni postanowili sprawdzić, co się stało. Veitch wysiadł i zaczął wspinać się na skarpe, podczas gdy pozostali patrzyli na niego z samochodu. Kiedy dotarł do szczytu, zobaczył coś i nagle znieruchomiał, wiedzieli więc, że potwierdziły się ich najgorsze obawy. Veitch patrzył przez chwilę, a potem, nie odwracając się, dał im znak ręką, żeby przyszedli. Na zewnątrz samochodu w powietrzu unosił się duszący smród tłustego dymu, słychać było również głośne krzyki ptaków. Ostrożnie wspięli się na skarpe.

Po drugiej stronie rozpościerało się szerokie pole pokryte pozostałościami krwawej bitwy. Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały porzucane ciała setek żołnierzy, niektóre potwornie okaleczone. Po rozdeptanej trawie na całym polu płynęła krew. Padlinożerne ptaki rozpoczęły już ucztę, przerywaną od czasu do czasu żarłocznym krakaniem i walkami o lupy. Dym, który widzieli z drogi, unosił się z wraków ciężarówek i transporterów opancerzonych.

— Nie mieli szans – drżącym z emocji głosem stwierdził Veitch. Kiedy w milczeniu wracali do furgonetki, Veitch wyjął pistolet, przyglądał się mu przez chwilę, a potem wyrzucił do rowu.



Dopiero po kilkunastu milach uspokoili się na tyle, by

porozmawiać o tym, co zobaczyli.

— Przynajmniej możemy być pewni, że władze o wszystkim wiedzą. Starają się stawiać opór – zaczęła Ruth.

— Chyba nie na wiele się zda taki opór – odparł Church, który obejmował się ramionami, by zwalczyć dręczący go chłód. – Mieli nowoczesne uzbrojenie, umieli walczyć, i co? Nie zrobili im najmniejszej krzywdy. Nie widziałem tam ani jednego martwego Fomorianina.

— Skoro taka masa zawodowych morderców nie dała im rady, to jaką my mamy szansę? – zapytała Laura. Znów zasłoniła oczy okularami przeciwsłonecznymi, ukrywając przed nimi swoje prawdziwe uczucia.

— Wiecie, co jest najgorsze? – cicho odezwał się Veitch. – Że oni są teraz gdzieś pomiędzy nami i miejscem, do którego chcemy się dostać. Na pewno czekają na nas na jakiejś dogodnej pozycji.

— Musimy jechać dalej – powiedziała Ruth. – Co innego mielibyśmy zrobić?

Nikt nie odpowiedział i w samochodzie znów zapadła cisza.



Następny słup dymu zobaczyli z bardzo daleka, z około dwudziestu kilometrów. Musieli widzieć go już przedtem, ale zapewne wzięli go wtedy za chmurę burzową, tak wielkie były jego rozmiary. Gęste kłęby unosiły się wysoko i zasłaniały słońce. Kiedy zbliżyli się do pożaru na kilkanaście kilometrów, Shavi musiał włączyć wycieraczki i spryskiwać szybę, na którą bez przerwy spadały niesione wiatrem osmalone strzępki.

— Czarny śnieg – powiedziała Ruth roztargnionym głosem. – Dziwne.

W miarę, jak zbliżali się do wybrzeża, dym był coraz gęstszy i nawet we wnętrzu samochodu przeszkadzał oddychać; zaczęli kaszleć i zasłaniać usta dłońmi. W końcu, kiedy przejechali grzbiet wznoszący się nad wybrzeżem, zobaczyli, skąd brał się dym. Płonęło zabytkowe miasto Kyle of Lochalsh, gdzie znajdowała się przeprawa na wyspę Skye. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli, że płomienie ogarnęły niemal wszystkie budynki w mieście, odbijając się żółcią i brudną czerwienią na spokojnej powierzchni morza. Szum pożaru był ogłuszający: ogień, pękające szyby, przewracające się mury, od czasu do czasu wybuch paliwa w zbiorniku jakiegoś samochodu. W całym mieście nie było widać żywej duszy.

Wygramolili się z furgonetki jak pijani, oszołomieni rozmiarami katastrofy. Kiedy wiatr odegnał najgęstszy dym w kierunku lądu, mogli przynajmniej odetchnąć, powietrze cały czas cuchnęło jednak spalenizną, płonąłą gumą i plastikiem.

— Boże – powiedziała Ruth głosem tak słabym, że niemal niesłyszalnym na tle szumu płomieni. – Czy teraz świat tak będzie wyglądał?

Mimo oszołomienia, szybko zaczęli zdawać sobie sprawę z ogromu i beznadziejności wyzwania, jakie przed nimi stało.

— Nikt nas przecież nie zmusza – powiedziała w końcu Laura. – Moglibyśmy zawrócić i korzystać z życia przez ten czas, jaki nam jeszcze pozostał... – zawiesiła głos z nadzieją.

— Jak moglibyśmy potem spojrzeć sobie w oczy? – Church rzucił jej krótkie spojrzenie. – Nikt z nas nie chce tu być, ale odpowiedzialność jest zbyt wielka, żeby ją odrzucić. Przecież zostaliśmy wybrani do tej misji.

— Być może jest ona powodem, dla którego w ogóle żyjemy – dodał Shavi.

— Musimy doprowadzić to do końca – Laura skinęła niechętnie głową, słysząc zdecydowany głos Churcha. W głębi serca też wiedziała, że nie ma innego wyboru.

— Może powinniśmy sprawdzić, czy ktoś przeżył? – zaproponował Shavi.

Church potrząsnął głową.

— To chyba nie ma sensu. Wygląda na to, że systematycznie zniszczyli całe miasto.

— Patrzcie! – Veitch wskazał na wyłaniającą się zza płomieni cieśninę dzielącą stały ląd od wyspy Skye. Zbudowany ogromnym kosztem most leżał teraz w gruzach. Pierwsze przeszło ktoś jakby uciął nożem, a spod wody wystawały dalej wielkie kawały stali i betonu. W pobliskiej przystani widać było promy, które świetnie prosperowały przed powstaniem mostu – wszystkie zostały zatopione.

— Co teraz? – zapytał Veitch. – Mamy tam popłynąć wpław?

— Raczej nie – odparł Shavi, który stał obok Veitcha i uważnie wpatrywał się w powierzchnię morza na środku cieśniny. Początkowo Veitch nie dostrzegł tam nic oprócz małych wirów i dziwnie falującej wody, potem jednak zauważył niezwykle, podłużny kształt poruszający się pod powierzchnią. Kształt, który przypominał wielką czarną rurę, pływał w tę i z powrotem pomiędzy stałym lądem i wyspą.

Veitch chciał już zapytać Shaviego, co to mogło być, kiedy nagle woda zakotłowała się i spod powierzchni wychynął ociekający pianą wielki łeb. Czarna skóra potwora połyskiwała czerwienią pożaru. Głowa uniosła się na kilka metrów ponad powierzchnię morza, by po krótkiej chwili zanurzyć się z

powrotem.

— Co to, cholera, było? – zdumionym głosem zawołał Veitch.

— Węże morskie zawsze były sojusznikami Fomorian. Nie trzeba ich do niczego zmuszać, tak jak Bestii. – Tom stanął przed nimi, żeby dokładniej przyjrzeć się pokrytemu pianą morzu. – Nawet w czasach, kiedy bramy między światami były zamknięte, węże przepływały z jednego do drugiego i nigdzie nie zamieszkiwały na stałe, tylko przebywały przez większość czasu gdzieś pośrodku.

— Czy one są niebezpieczne? – Veitch przebiegle zmrużył oczy, rozważając możliwe sposoby przedostania się na wyspę.

— Mają zęby rekinów, a splotami swojego ciała potrafią miażdżyć łodzie i pływaków.

— Pilnuje tu jak pies łańcuchowy – powiedziała Ruth.

— No to jak, do cholery, mamy się przedostać na drugą stronę? – zapytał Veitch w bezsilnym gniewie.

Podczas gdy inni wymieniali się uwagami na ten temat, Laura patrzyła z boku i jako jedyna zauważyła cień, jaki pojawił się na twarzy Shaviego. Nie zwracając niczyjej uwagi, pociągnęła go za rękaw i odciągnęła na bok.

— Co jest? – zapytała szeptem.

Shavi spojrzał na nią i zdał sobie sprawę, że jest przestraszona.

— Nie potrafię zapanować nad tymi zmianami we mnie...

— No to witaj w klubie. Ja tak miałam w wieku dojrzewania.

— Tymi nowymi umiejętnościami... – Shavi z trudem szukał właściwych słów.

— Wiem, że to straszne. Ale teraz wszystko wymyka się spod kontroli.

Shavi westchnął i spuścił wzrok.

— Na początku wydawało mi się to cudowne, otwierały się

zupełnie nowe możliwości. Te transy i sny. Ale wtedy, w Manorbier, wywołałem wizję zupełnie bez trudu i była tak potężna, jakbym tam naprawdę był. Czułem zapach krwi niesiony wiatrem... – Shavi z obrzydzeniem zasłonił dłonią nos. – Teraz się boję. Nie wiem, do czego mnie to doprowadzi.

Laura ukradkiem chwyciła go za dłoń; jego palce były zimne i miękkie. Ten dotyk wystarczył, by przywołać uśmiech na jego twarzy.

— Nie powinniśmy cofać się przed nowymi doświadczeniami, prawda?

— Co nowego możesz teraz zrobić?

— Kiedy po raz pierwszy poczułem w sobie tę zmianę, czułem, jakbym niemal rozumiał śpiew ptaków. Potem odkryłem jeszcze ciekawsze rzeczy: mogłem znaleźć się w ich głowach, słuchać ich myśli. Nie tylko ptaków, również innych zwierząt. – Shavi zamilkł na dłuższą chwilę, ważąc słowa. – Chyba mógłbym dostać się do mózgu tego stworzenia i wywrzeć nań jakiś wpływ. Być może to wystarczy, by ten wąż nie zaatakował łodzi.

— Ale?

— Ale boję się, że jeśli naprawdę znajdę się w jego głowie, to nie będę już w stanie się wydostać. – Shavi obserwował twarz Laury, czekając na jej reakcję, ale nic na niej nie zobaczył. – Czekam, aż powiesz mi, żebym się nie wygłupiał, tylko spełnił swój obowiązek.

— Mówisz tak, jakbym to ja była dzielna i odpowiedzialna. To twoja decyzja – cokolwiek zrobisz, ja nie pomyślę o tobie źle.

Shavi uśmiechnął się szeroko.

— Jesteś bardzo dojrzałą osobą. Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś nią nie była?

— Dobrze wiesz, co dzieje się z serem, jak dojrzewa.

Stali tak przytuleni, kiedy nagle dostrzegł ich Veitch.

— Hej! Co tam knujecie?

Shavi namyślał się jeszcze przez chwilę, a potem pewnym siebie krokiem ruszył ku reszcie grupy.



Cofnęli się kilka mil, aż znaleźli drogę omijającą miasto, nieprzejezdne teraz z powodu pożaru. Na północ od Kyle of Lochalsh w głąb wybrzeża wcinały się liczne zatoczki, a w jednej z nich dostrzegli przycumowaną do prywatnego pomostu łódź. Nawet jeśli właściciel przetrwał atak Fomorian, nie było go teraz w pobliżu. Niechętnie porzucili furgonetkę i przenieśli na łódź swój dobytek, w tym niezbędne zapasy i skrzynkę z insygniami.

— Może to zabrzmie głupio – powiedział Church, kiedy wszyscy znaleźli się już na pokładzie – ale czy ktoś z was potrafi żeglować?

Veitch zrobił głupią minę.

— Ja raz płynąłem promem przez Tamizę. Wcale mi się tam nie podobało. I jeszcze na tym statku w Walii.

— W młodości miałem łódkę, na której łowiłem ryby w zatoce – powiedział Tom. – Czasami nawet wypływałem na otwarte morze, więc będę potrafił wyprowadzić łódź do cieśniny, ale tam są podobno silne prądy i jeśli wąż się rozgniewa, to wzburzone przez niego fale mogą nas przewrócić. Ale wszyscy umiemy pływać, prawda?

Wszyscy skinęli głowami, oprócz Veitcha, który ze skrępowaniem odwrócił wzrok.

— Nie ma mowy – powiedział Church. – Co zrobimy, jeśli

insygnia znajdą się na dnie cieśniny? Musisz nas przewieźć w tej łodzi na drugą stronę i dopilnować, żeby nie kiwało. Shavi musi mieć spokój, żeby mógł zrobić swoje.

— Spróbować, nie zrobić – z naciskiem wtrącił Shavi.

Odbili od brzegu i, choć morze wydawało się spokojne, wkrótce zaczęli odczuwać przyprawiającą o mdłości chwiejbę. Potem zmienił się kierunek wiatru, przynosząc z nad miasta cuchnący dym, który zawisł jak gęsta mgła pomiędzy nimi a wyspą.

— Jeśli uda się nam ominąć węża, możemy opłynąć Skye od północy i wylądować w Dunvegan. Zamek stoi nad zatoką, więc możemy podpłynąć pod same mury.

Church stał na dziobie, zlizując z warg słoń, niesioną przez wiatr mgiełkę. Starał się nie zwracać uwagi na przeszywający całe ciało chłód. Shavi oparł się obok niego o reling i patrzył w błękitnozieloną toń.

— Jak ci idzie? – zapytał Church.

— Myślę, że wszystkim nam świetnie idzie, tym bardziej że jesteśmy bandą neurotyków – czyli zwykłych ludzi – od których oczekuje się bohaterskich czynów.

Church wzruszył ramionami.

— A kto to jest bohater? Jakiś wielki siłacz z mieczem? A może normalny człowiek, który wbrew wszystkiemu poświęca się dla większego dobra?

Shavi spojrzał na niego z zaciekawieniem i słuchał dalej.

— Chcę tylko powiedzieć, że robimy, co możemy w tych okolicznościach. Być może kiedyś wyretuszują to historycy i zrobią z nas bohaterów.

— Bohaterem jest tylko ten, kto zwycięża – odparł Shavi, unosząc wzrok i uśmiechając się, co odebrało nieco goryczy jego

słowom. – W Valhalli nie ma miejsca dla tych, którzy tylko się starali.

Owionął ich kłęb duszącego dymu, od którego zaczęli łzawić i krztusić się. Wszyscy usiedli na dnie łodzi, gdzie powietrze było najczystsze i wsłuchali się w przejmujące lękiem echa uderzeń fal i odgłosów pożaru, które tłumił otaczający ich dym. W czarnej mgłę wydawało im się, że błakają się setki mil od brzegu, na środku Atlantyku.

Wzdrygnęli się nagle, gdy usłyszeli głośny i zdenerwowany głos Shaviego: – Płynie prosto na nas.

Początkowo nic nie słyszeli. Kilka sekund później wśród kłębow dymu rozległ się rytmiczny, niemal mechaniczny dźwięk coraz bliższych uderzeń płetw. Church z niepokojem spojrzał na napiętą twarz Shaviego, który zamknął oczy i koncentrował się. Rytmiczny plusk zbliżał się nieubłagane. Shavi zmarszczył brwi i rozchylił zaciśnięte usta.

Church zdał sobie w końcu sprawę, że Shavi nie da rady i krzyknął do pozostałych, żeby się czegoś złapali. Wąż przemknął z ogromną szybkością przed dziobem łodzi, która niebezpiecznie przechyliła się na wzbudzonej fali. Church zacisnął powieki. Ktoś krzyknął. Był pewien, że zaraz utoną, zginą straszliwą śmiercią, wciągnięci pod wodę przez wir. Łódź jednak chybotwała się przez kilka sekund na grzbiecie fali, jak wagonik jakiejś okropnej kolejki w wesołym miasteczku, a potem runęła dziobem w ciągnącą się za wężem kapiel. Przewaliły się ponad nimi fale. Church zachłysnął się słoną wodą, ale nie dał się zmyć z łodzi, która wyprostowała się po serii wstrząsów, jakby nie płynęli w wodzie, tylko ślizgali się po wydmach. Church rozejrzał się. Z zaskoczeniem stwierdził, że nikogo nie zmyło z łodzi.

— Jeśli uderzy od rufy, rozwali łódź – krzyknął do Shaviego.

Twarz tamtego wykrzywił gniew. Podniósł się, oparł o reling i ponownie spróbował wdrzeć się do umysłu węża.

— Tutaj! – krzyknął. – Do mnie!

— Połóż się! – zawołał Church. – Jeśli znów zaatakuje, wypadniesz za burtę!

Shavi zignorował ostrzeżenie. W chwilę później Churcha przeszył dreszcz, gdy ponownie usłyszał zbliżającego się węża. Odgłos przypominał tym razem nadjeżdżający pociąg. Church wstrzymał oddech. W piersiach poczuł padający kamieniem strach. Złapał się czegoś i czekał, nieznośnie długo, na kolejne uderzenie.

Rozległ się plusk, jakby ktoś wrzucił do wody wielki głaz, a potem spadł na nich słony deszcz kropelek wody i nagle znaleźli się w cieniu – słońce zasłoniła szyja potwora, wznosząca się obok łodzi jak komin fabryczny. Wąż kołysał ponad nimi swą spłaszczoną głową jak kobra, jego skóra miała błyszczący czarny kolor, zupełnie jak foki. Po obu stronach paszczy wyrastały, jak u suma, długie wąsy. Oczy, płonące ciemną żółcią, wpatrywały się w Shaviego.

Church chciał już ostrzec przyjaciela, kiedy zauważył, że ten stoi sztywno wyprostowany, z napiętą twarzą i szklanym wzrokiem, jakby był w śpiączce i otworzył oczy. Wąż i człowiek wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę jak dwaj pijacy ponad barem. Potem potwór powoli zanurzył się w falach i ociężale odpłynął od łodzi.

Church usłyszał szept Laury:

— Dobry piesek.

Pozostali uczcili sukces Shaviego klaskaniem i okrzykami, ten jednak wciąż stał przy relingu obok Churcha i nie odwracał się. Church spojrzał w jego szklane oczy i ogarnęła go panika; nie

było w nich widać Shaviego. Podszedł do przyjaciela i zaczął go szarpać za ramiona.

Owacje ucichły, kiedy reszta grupy zobaczyła paniczne zachowanie Churcha.

— Shavi! – zawołał. – Wracaj do nas!

— Zostaw go – warknął Tom. – Jeśli będziesz mu przeszkadzał, to może już nigdy do nas nie wrócić!

— A jeśli już nie może wrócić? – Church jeszcze raz spojrzął w nieprzytomne oczy Shaviego, ledwie panując nad wzbierającą w nim rozpaczą. Cena, jaką przychodziło im zapłacić za zwycięstwo cały czas rosła. Church zastanawiał się, czym to się skończy.

— Zostaw go! – krzyknął tym razem Tom.

Po chwili wahania Church cofnął się – a w następnej sekundzie zapomnieli o Shavim. Nagły podmuch wiatru przegnał kłębiący się wokół nich dym i na chwilę ujrzeli przed sobą, jak za uniesioną kurtyną, przerażającą panoramę wyspy Skye. Przez chwilę Churchowi wydawało się, że widok jest zamazany i musiał mrugnąć kilka razy, by zrozumieć, co widzi. Okazało się, że wybrzeże nie było wyraźnie widoczne z powodu panującego na nim ciągłego ruchu. Wzdłuż plaży na całej wyspie roiło się od Fomorian: jak okiem sięgnąć rozciągała się przeraźliwa masa ruchliwej czerni wyglądająca jak mrówki obłazące martwego szczura.

— Boże! Ilu ich tam jest? – Ruth zapytała stojąc obok, położywszy mu rękę na ramieniu.

Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w rozpościerającą się przed nimi potęgę, której paraliżująca energia wydawała się sięgać ponad wodą aż do ich łodzi. Dopiero teraz dotarło do nich, że świat kończy się i nic nie mogą na to poradzić.

Church zwrócił się do Veitcha, Laury i Toma, którzy nic nie

zauważyli i dalej wesoło rozmawiali na rufie.

— Płyniemy dalej – rozkazał. – Musimy się śpieszyć, jeśli mamy tam dotrzeć przed zachodem słońca.



Podróż przez cieśninę Raasay była długa i wyczerpująca tym bardziej że, tak jak się obawiali, musieli walczyć z wirami i silnym prądem. Tom z trudem utrzymywał łódź na kursie, aż w końcu wczesnym popołudniem udało im się opłynąć wyspę Skye od północy. Wszyscy z rozpaczą liczyli uciekające godziny, lecz nikt nie wyraził głośno obawy, że zabraknie czasu. Na razie udało się ominąć czekające na plaży masy Fomorian, co obudziło w Churchu iskrę nadziei na zwycięstwo. Przynajmniej tyle zyskali dzięki ofierze Shaviego.

W świetle zachodzącego słońca wzgórza na wyspie po ich lewej stronie z wolna zmieniały kolor na szary i fioletowy, pokrywając się jednocześnie ponurym całunem wieczornej mgły. Tom skierował łódź na zachód i doprowadził ją w końcu do zatoki, nad którą górował zamek Dunvegan. Im dalej wpływali w głąb zatoki, tym spokojniejsze robiło się morze, aż w końcu powierzchnia wody zaczęła przypominać gładką tafłę czarnego szkła. Wszędzie panowała cisza: nie śpiewał ani jeden ptak, umilkł wiatr, a jedynym dźwiękiem był delikatny plusk wody o burty łodzi. W końcu zza skał wyłonił się zamek, uczepiony stromego cypla wznoszącego się wysoko nad zatoką. Nie dostrzegli wokół niego żadnych oznak życia.

Church i Veitch przeszukiwali wzrokiem strome brzegi zatoki porośnięte kępami niskich, poskręcanych drzew.

— Myślisz, że przyczaili się na nas? – zapytał Veitch.

— Możliwe. – Instynkt podpowiadał jednak Churchowi, że jest inaczej. – Może się okaże, że mamy szczęście. Oni chyba nie oczekiwali, że dopłyniemy tak daleko.

— Po tym całym młynie, przez który przyszedliśmy, to by było dopiero śmiesznie, gdybyśmy tak po prostu weszli sobie do zamku, znaleźli tę flagę i skończyli z tym, o tak – Veitch strzelił palcami.

— Lubisz kusić los, Ryan.

Przybili do skalistego brzegu w pobliżu zamku, w miejscu gdzie ku murom wiodła łatwa ścieżka. Veitch i Church nieśli razem skrzynkę z talizmanami, rozglądając się bez przerwy i napinając wszystkie mięśnie. Z wielką niechęcią zostawili Shaviego w łodzi, mieli jednak za mało czasu, żeby go nieść. Słońce wisiało już bardzo nisko nad horyzontem, a Church obawiał się, że zamek jest zamknięty i będą musieli się do niego włamywać.

Kiedy jednak oddalili się o kilkadziesiąt kroków od łodzi, dogoniło ich wołanie Shaviego. Pobiegli z powrotem i zobaczyli, że ich towarzysz majaczy, tocząc pianę z ust i wywracając niewidzącymi oczami.

— Most Wrózek! – wołał do kogoś, kogo nie widzieli. – Idą przez Most Wrózek!

— Co on bredzi? – zapytał lekceważącym tonem Veitch. Już się odwrócił, kiedy Tom zatrzymał go, kładąc dłoń na ramieniu.

— Most Wrózek jest niedaleko stąd, nad potokiem. To jedno z przejść pomiędzy światami. Część Fomorian mogła przejść przez Zaświaty, by pojawić się tutaj szybciej, niż gdyby poszli normalną drogą.

Veitch spojrzał na niego zdziwiony.

— Dobra, ale przecież tam wszystko idzie wolniej, no nie?

— Czas jest zmienny. Wolniej, szybciej, tam nie ma żadnych reguł. Jeśli była możliwość, by dostać się tu szybciej, Fomorianie na pewno ją wykorzystali.

Church namyślał się przez chwilę, gryząc paznokiec.

— Ryan i ja pójdziemy tam i spróbujemy ich jakoś opóźnić, a wy biegnijcie do zamku.

Miał nadzieję, że dla innych nie brzmi to tak beznadziejnie jak dla niego samego. Veitch skinął głową. Obaj nie mieli wątpliwości, że udają się na samobójczą misję.

Pozostawiwszy Shaviego samego w łodzi, wszyscy ruszyli biegiem ścieżką ku bramie zamku. Była otwarta, choć na dziedzińcu i w budce z biletami nie widać było żywej duszy.

Podczas gdy Veitch rozglądał się za jakąś bronią, Church otworzył skrzynkę, by po raz ostatni przyjrzeć się mieczowi, który dodawał mu otuchy i wydawał się promieniować poczuciem siły i bezpieczeństwa. Żałował, że nie może zabrać go ze sobą, ale oręż był potrzebny do rytuału wzywającego Tuatha Dé Danann. Kiedy sięgnął do skrzynki, by dotknąć wytartej główki, pomiędzy mieczem a dłonią przeskoczyła potężna błękitna iskra, która odrzuciła go do tyłu. Palce przeszył stłumiony ból, jakby się poparzył. Wrażenie spotęgował jeszcze chłód paralizujący resztę jego ciała.

— Co się stało? – zapytała Ruth. – Wyglądało to tak, jakby on nie chciał, żebyś go dotykał.

Church ze zdziwieniem potrząsnął głową, natrętny głos mówił mu jednak, że wie, dlaczego tak się stało. Koło serca czuł pulsujący chłód *Roisin Dubh*.

Veitch wkrótce wrócił z dwoma mieczami, które ukradł z wystawy w hallu muzeum. Church spojrział na nie bez

entuzjazmu; przeciw Fomorianom zdadzą się na tyle, co para noży kuchennych. Nie warto było jednak mówić czegoś, co i tak było oczywiste.

Tom wyjaśnił im, jak dostać się do mostu, a potem ruszyli ku bramie, kiedy nagle Churcha zatrzymało wołanie Ruth. Podbiegła do niego i objęła z niespotykaną przedtem czułością.

— Nie rób nic głupiego – powiedziała. – Nie chcę stracić najlepszego przyjaciela.

— A ja? Nie dostanę całusa? – zapytał Veitch Laury, która starała się unikać spojrzenia Churcha. Teatralnym gestem posłała mu pocałunek.

— Rzuć się na nich! Może zyskamy minutę.

Veitch wymamrotał coś w odpowiedzi, a potem odwrócił się, przebiegł mostem ponad fosą i znalazł się na krętej drodze prowadzącej ku Mostowi Wrózek.



— To gdzie jest ta flaga? – zapytała Laura, kiedy zaczęli przeszukiwać liczne komnaty zamku. Ich kroki dudniły ponuro w pustych wnętrzach.

— Zawsze trzymali ją w sali audiencji – odrzekł Tom. – Ale nie wiem, gdzie to jest.

— Nie rozumiem, dlaczego tak przerażające istoty jak plemię Danu trafiły w końcu do bajek jako wróżki – powiedziała Ruth. – Wiecie, takie milusie, trochę złośliwe ludziki ze skrzydełkami, które siedzą sobie na muchomorach.

— W dawnych czasach wróżki naprawdę były przerażające. Ale ten strach z biegiem czasu słabł. – Tom zatrzymał się na

skrzyżowaniu korytarzy, poirytowany skomplikowaniem labiryntu komnat. – Ludzie nie zbliżali się do Sidr – kopców wrózek – w nocy, nie wzywali również ich imienia nadaremnie, tak się ich bali. Wspomnienie o pobycie plemienia Danu na naszym świecie były wciąż świeże. – Tom wybrał kierunek na chybił trafił i ruszył korytarzem, nie sprawdzając, czy pozostali idą za nim. – Gdy nadszedł wiek rozumu, w nowym wspaniałym świecie ludzie nie mogli znieść strachu przed dawnymi bogami i zaczęli ich umniejszać, nie tylko rozmiarami – aby mniej zagrażali nowemu stylowi życia.

Ruth zastanawiała się, czy inni też zdawali sobie sprawę, że rozmawia tylko po to, by nie myśleć o losie Churcha.

— A Most Wrózek zawdzięcza swoją nazwę niewyraźnym wspomnieniom o czasach, kiedy w pobliżu znajdowało się przejście do Zaświatów?

— Te wspomnienia wcale nie były takie niewyraźne. Danann utrzymywali z Celtami kontakty jeszcze długo po tym, jak opuścili inne części kraju. W Szkocji, Walii, Kornwalii i Irlandii zawsze przebywali blisko ludzi. Wiemy, że nie potrafimy zgłębić rozumem ich działań, ale najwyraźniej odczuwają oni coś na kształt lojalności do rasy ludzkiej, która kiedyś ich zaakceptowała. – Zaklął, kiedy znów natrafili na ślepo zakończony korytarz, po czym obrócił się na pięcie i kontynuował pośpieszny marsz. – Most Wrózek zawdzięcza swoją nazwę legendzie o naczelniku klanu MacLeod, który ożenił się z kobietą z plemienia Danu...

— Co? Miłość między gatunkami? – zdziwiła się Ruth. Tom westchnął.

— Wiecie dobrze, że niektórzy z nich nie różnią się zbyt od nas. A najbardziej podobni najwyraźniej czują do nas sympatię,

której brakuje wyższym bogom. Czy mogę mówić dalej?

Ruth skinęła głową.

— Po dwudziestu latach małżeństwa żona musiała powrócić do Zaświatów – nie potrafiła dłużej znieść rozłąki ze swoim plemieniem. Dla jej męża był to cios, ale jako dowód wdzięczności za długotrwałą – jak na ludzkie życie – miłość, podarowała mu Bratach Sith, czyli Flagę Wrózek, by mógł wezwać jej lud, gdyby klanowi MacLeod kiedykolwiek groziła klęska w bitwie. Most Wrózek był miejscem, gdzie przekazała mu ten dar i gdzie się rozstali.

— Co za smutna historia.

— Patrzcie! Tam! – Laura stała w jakichś drzwiach, wzywając ich skinieniem dłoni.

Kiedy weszli do komnaty, Ruth nie miała wątpliwości, że była przeznaczona do audiencji na dworze. Nigdzie nie był jednak widać flagi.

— Gdzie ona jest?

Tom wskazał na wiszącą na ścianie ramę.

— Tylko tyle z niej zostało.

Za szkłem widać było pozostałości wspaniałego kiedyś sztandaru z brązowego jedwabiu pokryte fantastycznymi wzorami wyszytymi czerwoną nicią.

— Wygląda tak, jakby miała się rozpaść w proch od pierwszego dotknięcia – powiedziała Ruth niepewnym głosem.

— Ona nie jest tym, czym się wydaje.

Tom położył skrzynkę na podłodze, a Laura ostrożnie wyjęła insygnia, podczas gdy on zdejmował ze ściany flagę. Drżącymi rękoma podważył deskę z tyłu ramy i oparł ją o ścianę. Po wyjęciu flagi cofnął się o krok i złożył jej głęboki ukłon. Potem, skrupulatnie pilnując kątów i odległości, ustawił insygnia wokół

flagi, tak że znajdowały się w pięciu ramionach gwiazdy.

Obserwując jego oddech i mowę ciała, Ruth dostrzegła u Toma niepokój i oczekiwanie. Chwila nie wydawała się jednak odpowiednia, by pytać o wyjaśnienia.

— Teraz – powiedział drżącym głosem – czas rozpocząć rytuał wezwania.

Tom stanął przed insygniami, pochylił głowę i zaczął wygłaszać bezgłośnie jakieś zakęcie. Błyskawicznie zmieniła się wtedy panująca w komnacie atmosfera; Ruth i Laura cofnęły się z niepokojem pod ścianę.

Ponad insygniami zabłysnęło wydobywające się znikąd światło, jakby ktoś przeciskał przez jakąś dziurę białą tkaninę. Rozległ się syczący dźwięk, poczuli zapach kardamonu, a potem powietrze rozdarło się i zobaczyli, że z ogromną szybkością zbliża się do nich coś przerażającego.

Ruth poczuła zawroty głowy i wyszeptała: – O Boże!



Kiedy zostawili za sobą porośnięte drzewami brzegi zatoki, krajobraz stał się ponury i monotony. Droga wiodła przez wysmagane wiatrem połacie trawy, z których od czasu do czasu wyrastały skały. Dziękowali Bogu, że przynajmniej świeciło słońce, dzięki któremu pustkowie pokryło się bladym nalotem kolorów.

Nie mówili zbyt wiele; przytłaczająca świadomość tego, co ich czekało, sprawiała, że każda rozmowa wydawała się błaha. Chłód ogarniający Churca stał się nie do zniesienia. Coś mówiło mu, że powinien natychmiast wyrzucić Czarną Różę i o wszystkim

powiedzieć Veitchowi, jednak inny, niepokojąco silny głos z łatwością uciszał te wątpliwości. Co gorsza, wewnętrzne zimno psuło mu wzrok: pole widzenia zasłaniał jakby rosnący na brzegach szron, który iskrzył się w słońcu.

Ale przecież róża była darem od Marianny, uspokajał go ten silniejszy głos. Jak mogłaby ci wyrządzić szkodę?

Po pewnym czasie usłyszeli szemranie wody, nigdzie nie było jednak mostu. Dopiero, kiedy pokonali łagodną pochyłość terenu, ich oczom ukazał się jego kamienny łuk, zbudowany jeszcze w średniowieczu. Church zamarł, przyjrzawszy się dokładnie mostowi, otaczającym go skałom i pokrytym trawą brzegom strumienia. Dokładnie ten sam obraz zapowiadał jego własną śmierć.

Na jego twarzy najwyraźniej widać było blady strach, bo Veitch odwrócił się i zapytał z niepokojem: – Co ci jest?

— Nic – odpowiedział Church, był jednak tak przerażony, że nie mógł zrobić ani kroku naprzód.

Z oszołomienia wyrwał go dopiero Veitch, który dodającym otuchy gestem poklepał go po ramieniu.

— Wiem, ja też się boję. Ale musimy dać z siebie wszystko. I tak nie wiemy, co z nami będzie, więc nie ma się co martwić.

Church odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

— Wiem, masz rację.

Zanim uciszył fatalistyczne myśli, przez krótką chwilę poczuł ogromny żal, że nie miał czasu serdeczniej pożegnać się z Laurą, a potem ogarnęła go niepokojąca pewność, że wkrótce będzie razem z Marianną.



Stanęli na drodze przed mostem, gotując się do swojego ostatniego starcia. Miecz w ręku Churcha wydawał się ciężki i niewygodny, zupełnie niepodobny do broni z Zaświatów. Zastanawiał się, jak długo będą stawiać opór. Minutę? Dwie?

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Ciszę zakłócał tylko szum wody w strumieniu, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnej murawy. Subtelne zmiany, które później zauważyli, były jeszcze bardziej dostrzegalne na tle tej monotonii. Najpierw poczuli ostry zapach, jakby gorącego silnika i płonącej ropy, a potem rozległ się dźwięk, który Churchowi przypominał skrzypienie długo nieotwieranych drzwi. Potem, kiedy Church mrugnął, dosłownie w mgnieniu oka wszystko wokół zamieniło się w koszmar.

Fomorianie wyrastali z ziemi pośród trawy i wrzosów, jak poskręcane krzaki tarniny pokazane na filmie w przyśpieszonym tempie. Na drodze i brzegach strumienia nagle zaroilo się od wojowników, patrzących na Churcha i Veitcha płonącymi nienawiścią oczami. Ich czarna skóra zdawała się pochłaniać i niszczyć światło słoneczne, a twarze były zbyt przerażające, by na nie patrzeć. Fomorianie przez chwilę stali w upiornej ciszy, jak fala, która za chwilę miała się na nich zwalić.

Veitch stłumił jęk. Churcha przejęło takie zimno, że prawie nic nie czuł, jednak nawet paralizujący go chłód nie mógł całkowicie stłumić szaleńczego strachu.

— Jak to jest, spojrzeć śmierci w oczy? – usłyszeli nagle głos dochodzący zza zwartych szeregów. Church od razu go rozpoznał. W chwilę później z tłumu Fomorian wyłonił się Calatin, na którego twarzy malował się złośliwy, nieludzki uśmiech. W ręku trzymał pordzewiały miecz, którego zębate z jednej strony ostrze pokrywały ciemne plamy.

Church zacisnął rękojeść miecza, choć dłoń niemal całkowicie mu zdrętwiała. Veitch coś mówił do niego, jednak jego słowa rwały się, jakby dochodziły ze źle nastrojonego radia. Odwrócił się i przez gruby kozuch szronu zobaczył przerażoną twarz Veitcha. Zrozumiał, że paraliżujący go chłód dociera teraz do mózgu.

Calatin stał po drugiej stronie mostu, uśmiechając się złośliwie, jakby dokładnie wiedział, co dzieje się w głowie Churcha. Za nim stał czarny, nieprzenikniony mur Fomorian. Church, który prawie nic teraz nie słyszał, ze zdziwieniem stwierdził, że głos Calatina słyszy bardzo dobrze.

— Czujesz te kolce w swoim sercu. – Jego śmiech zabrzmiał jak tłuczone szkło. – Ona jest w naszych rękach, a przynajmniej to, co z niej zostało. Uwielbiam słuchać, kiedy krzyczy.

Marianna, pomyślał Church. Serce biło mu jak oszalałe, częściowo pokonując paraliżujący chłód.

— Gdybyś nie pozwolił usidlić się śmierci i przeszłości, być może udałoby się wam jakimś cudem nas zwyciężyć.

— Miecz... – wychrypiał Church.

— Moc nie znajduje się w mieczu, Bracie Smoków, tylko w tobie. Jesteś naczyniem Ducha Pendragona, ale okazałeś się być zdrajcą jego tradycji. Jesteś zbyt słaby, zbyt opętany poczuciem winy i zwątpienia. Nie zdołalibyśmy przekazać ci Pocałunku Mrozu, gdybyś sam nam na to nie pozwolił.

Przez lodowe głębie jego umysłu powoli przebijała przerażająca prawda. Fomorianie nie pozostawili nic przypadkowi: wysłali na nich Cudowną Bestię i Dzikie Zastępy, a Churcha zaatakowali od środka, docierając do duszy i serca. *Roisin Dubh* – Pocałunek Mrozu – już na samym początku znalazł się blisko jego serca, gdzie leżał w uśpieniu, by zmrozić je w

odpowiedniej chwili, gdy wszystkie inne środki zawiodły. Najgorsze było to, że Calatin miał rację: Church sam to sobie zrobił. W głębi serca wiedział, że powinien był wyrzucić Różę, był jednak tak opętany obsesją na punkcie Marianny i jej śmierci, że sam sprowadził na siebie klęskę. Naprawdę był słaby i żaloszny, co przypieczętowało los wszystkich Sióstr i Braci Smoków.

— Jaki to ból! – kpił Calatin. – To straszne, spojrzeć na swoją twarz w zwierciadle życia. Biedny, chory, mały chłopczyk.

Church uniósł miecz, jednak ciepło targających nim emocji nie wystarczyło, by pokonać paraliż. Broń chwiała się niepewnie w jego dłoni. Veitch najwyraźniej wyczuwał, że Church nie jest w stanie walczyć, więc sam, wykrzykując jakieś przekleństwa, rzucił się naprzód. Jego desperacki atak był jednak zbyt niezdarny, by zagrozić Calatinowi, który z łatwością odparował cios Veitcha, sam uderzył go z boku w skroń i powalił, nieprzytomnego, na ziemię.

Potem spojrział na Churcha i na jego twarzy znów pojawił przebiegły, szaleńczy uśmiech.

— Przychodzimy z nocą – wysyczał – i wszystko przed nami pada. Niesiemy prawdę o istnieniu. Wszystko rozkłada się i powoli odchodzi w ciemność. Po co walczyć z naturalnym porządkiem rzeczy? Pogódźcie się z nim, przyjmijcie do swojego życia. Pozwólcie przeniknąć się cieniom, zatrzymajcie czas, otwórzcie serca na pustkę.

Church z trudnością pokręcił głową.

— A teraz – sarkastycznym tonem odrzekł Calatin – zobaczymy, co potrafisz.

Niespodziewanie, myśląc o Mariannie i jej mękach, Church poczuł, że łatwiej mu się poruszać, choć wciąż nie był w stanie

stawić czoła swojemu przeciwnikowi. Calatin podszedł do niego leniwym krokiem, machając mieczem jak dorosły bawiący się z dzieckiem. Church odparował pierwszy cios, omal nie wypuścił miecza z ręki, a potem Calatin nagłym pchnięciem dosięgnął jego ramienia, po którym przejechało zębate ostrze. Church poczuł parzący dotyk krwi na pokrytej szronem skórze.

Wtedy stało się coś dziwnego. Church poczuł przenikający promień białego światła; trwało to przez ułamek sekundy i natychmiast się skończyło. Instynktownie wyczuwał, że światło pochodziło z medalionu małej Marianny, który trzymał w tej samej kieszeni, co Czarną Różę.

Niezależnie od tego, skąd pochodził, błysk tego światła spowodował u Churcha nagły przypływ energii i pozwolił walczyć. Wprawnie, jakby ktoś inny kierował jego ruchami, znów uniósł miecz i zadał cios, którym zdołał zranić Calatina w policzek. Przestraszony Fomorianin odrzucił głowę do tyłu, a kiedy znów spojrzął na Churcha, jego oczy otworzyły się, odsłaniając oślepiająco żółte tęczówki niehumanoidalnych oczu. Na nowej twarzy Calatina widniała niekłamana furia. Ruszył naprzód, wymachując wściekle mieczem. Pierwszym ciosem rozplatał Churchowi pierś, potem zanurzył miecz głęboko w jego szyi. Trysnęła krew.

Church zatoczył się w bok i spadł z mostu na brzeg strumienia. Znów widział wszystko przez zasłonę szronu. Wiedział, że umiera. Gdy Calatin jeszcze raz rzucił się na niego z opływającym krwią mieczem, Church pomyślał o Mariannie i poczuł falę żalu, która wreszcie pokonała dręczący go chłód. Potem pomyślał o Laurze, Ruth i wszystkich pozostałych.

Calatin zadał ostatni, bezlitosny cios i Churchowi zdało się przez chwilę, że unosi się ponad sobą i patrzy na ten sam obraz,

który zobaczył kiedyś w Strażnicy. Potem była już tylko ciemność.



Wszystko mieniło się złotym światłem, jak rzeka światła słonecznego, a Ruth płynęła niesiona nurtem tej rzeki. Zapomniała już o przerażeniu, które ogarnęło ją tuż po otwarciu się bram Zaświatów, kiedy przed jej oczami roztoczyła się przerażająca panorama miejsca, do którego zostało zesłane plemię Danu. Kiedy jednak Złociści wybiegli stamtąd, wyglądali jak jutrzienka przeganiająca ciemności z nocnego nieba, a nurt ich światła porwał ze sobą Ruth, Laureę i Toma. Nie wiedzieli dokładnie, co się wokół nich działo, choć ich oczom ukazały się jedynie niewyraźne obrazy wierzchowców i rydwanów. Serce Ruth przepełniał zachwyt i nabożna cześć. Niektóre z otaczających ją postaci były podobne ludziom, miały piękne twarze, złocistą skórę i falujące włosy. Inne jednak zmieniały bez przerwy kształt, a niektóre były tylko plamami światła – niektóre z tych światel były zbyt oślepiające, by dojrzeć, jaki kształt przybrały.

Udało się!, pomyślała z przemożnym uczuciem ulgi i tak szaleńczej radości, że do oczu napłynęły jej łzy. Sprowadziliśmy na ziemię anioły.

W ciągu kilku sekund tłum Danann otoczył zamek i wyległ na drogę do Mostu Wrózek. Przed oczami Ruth co chwila pojawiała się niebo jaśniejsze niż cokolwiek, co potrafiłaby sobie wyobrazić albo trawa tak soczysta i zielona, że chciało się na nią rzucić ze śmiechem i turlać po niej. Słysząc było również muzykę, choć nie

wiadomo było, skąd dochodzą głosy i dźwięki trąb, skrzypiec, stapiające się w jeden harmonijny dźwięk. Ruth zamknęła oczy i rozkoszowała się tą wspaniałością.

Nie trwało to jednak długo. Dźwięki złocistego pochodu zagłuszył wstrętny i niepokojący hałas, który wywołał u Ruth mdłości. Otworzyła oczy i zobaczyła mur czarnych szeregów, potwornych oczu i zniekształconych twarzy Fomorian, którzy wydawali z siebie ogłuszające, gniewne okrzyki. Kiedy Danann zbiegali ku nim z zamkowego wzgórza, czarne szeregi zwinęły się i zaczęły rozpływać w trawie.

W ciszy, która potem zapadła, Ruth usłyszała jeszcze inny dźwięk, czyjś słaby i piskliwy głos. Zobaczyła Veitcha, klęczącego na brzegu strumienia przy moście i krzyczącego do nich. Na jego twarzy malowała się tak wielka rozpacz, że Ruth zapomniała o wspaniałościach Danann i z ogromnym wysiłkiem wyrwała się ze świetlistego pochodu, żeby pobiec w kierunku Veitcha.

Po skroni spływała mu krew, jednak to nie dlatego krzyczał. Wskazał tylko na coś na brzegu i odwrócił wzrok. Ruth wiedziała, co tam zobaczy, i choć nie chciała patrzeć na coś, co prześladowałoby ją do końca życia, wiedziała, że nie może zachować się tchórzliwie. Czując napływające do oczu łzy, spojrzała na ciało Churcha, na wpół zanurzone w strumieniu, który unosił uchodzącą z niego krew. Nie zaczęła płakać ani krzyczeć, tylko poczuła przerażającą pustkę, która wysssała z niej wszystkie uczucia.

Kiedy dobiegła po śliskiej trawie do brzegu, z oczu płynęły jej już potoki łez, a z gardła wydobywał się ochrypły szloch. Uklękła obok ciała Churcha i wzięła go za rękę. Dlaczego miałaby czuć taką rozpacz po stracie kogoś, kogo znała zaledwie od kilku tygodni?

Zobaczyła czyjś cień i spojrzała na stojącą przy niej Laurę, której postać zasłoniła zachodzące słońce. Ruth przechyliła głowę, żeby zobaczyć jej twarz, która zgodnie z oczekiwaniami nie wyrażała żadnych uczuć.

— Czy ty cokolwiek czujesz? – zapytała łamiącym się głosem.

Laura jednak jakby jej nie usłyszała. Szklanym wzrokiem wpatrywała się w martwe oczy Churca, przechylając nieco głowę, jakby podziwiała dzieło sztuki.

— Wiedziałam, że mi to zrobisz, sukinsynu – powiedziała cicho. Veitch opadł ciężko na ziemię pod przyczółkiem mostu.

— Przynajmniej wygraliśmy – powiedział zmęczonym głosem. – Przegoniliśmy ich, mimo że, wiecie... Mimo, że jesteśmy bandą frajerów. Udało się nam.

Stali tak przez chwilę, pogrążeni w bólu, nie wiedząc, czy coś ich jeszcze łączy, ledwie rozpoznając swoje twarze. Potem usłyszeli czyjeś kroki na żwirze i zobaczyli Toma idącego ku nim z jednym z Danann. Z całej postaci boga biła władcza moc, a jego migdałowe oczy wyrażały coś, czego żadne z nich nie potrafiło zrozumieć.

Zatrzymał się przed nimi, po kolei utkwiał w każdym z nich długie spojrzenie, cały czas uśmiechając się niepokojąco.

— Kim jesteś? – słabym głosem zapytała Ruth.

Cień uśmiechu na twarzy boga stał się nieco mniej zagadkowy.

— Kiedyś moje imiona były znane każdemu na tej ziemi. Tak szybko o mnie zapomnieliście? To się zmieni, już wkrótce. Kim jestem? Jestem Nuada, znany jako Nuada Airgetlamh, znany jako Nudd, znany jako Lludd, znany jako Lud, założyciel Londinium, dzierżący Caledfwlch. – W jego pozie znać było przytłaczającą ich butę. – Tuatha Dé Danann składają wam podziękowanie za uwolnienie nas z miejsca wygnania. W nagrodę, Wielki Ojciec

pozwała wam użyć świętego kotła.

Tom podniósł w rękach misę, którą znaleźli pod wzgórzem w Glastonbury. Ruth patrzyła nań bez entuzjazmu.

— Kocioł Dagdy jest rogiem obfitości – Nuada odezwał się cicho. – Jest Świętym Graalem, źródłem duchowego odrodzenia. On daje i odbiera życie. Jest tygłem ponownych narodzin. – Uśmiechnął się. – Weźcie go.

Ręce Ruth drżały, gdy przejmowała dar, ledwie zdolna uwierzyć w to, co usłyszała. Gdy zacisnęła dłonie wokół misy, od razu poczuła w żołądku delikatne ciepło rozchodzące się po całym ciele, poprzez ręce aż do dłoni. W chwili, gdy ciepło dotarło do misy, ta zaczęła się wypełniać złocistymi kropelkami, które zbierały się na dnie. Gdy napełniła się do połowy, Tom wskazał gestem na Churcha.

Choć nie rozumiał do końca, co się dzieje, Veitch podbiegł do martwego przyjaciela i wyciągnął go z wody, kładąc go sobie na kolanach i opierając głowę o swoje ramię. Spojrzał na Ruth z ufnością, jak dziecko.

Dziewczyna niepewnie spojrzała na złocistą ciecz, która jakby pulsowała w misie własnym życiem. Jakiś głos w duszy Ruth nie zgadzał się na to, co jakoby miała za chwilę zrobić: śmierć to przecież śmierć, maszyna ludzkiego ciała została wyłączona i nie można jej z powrotem włączyć. Nie istniał przecież żaden niewidzialny duch, nie było nic poza rzeczywistością, żadnej spokojnej przystani z marzeń naiwnych, religijnych głupców. Nic, co ostatnio widziała, nie potrafiło uciszyć tego głosu. Inna część jej duszy umiała jednak zaakceptować zachwyty i nadzieję, wierzyła w świat, w którym wszystko jest możliwe. Minął czas cynizmu i lekcji dorosłej powściągliwości, a teraz nadszedł czas, by znowu stać się dzieckiem. Uklękła i przytknęła misę do ust

Churcha, a Veitch otworzył je, by otworzyć drogę złocistemu płynowi. A potem na chwilę zatrzymał się czas.



Była ciemność, ciepło i przyprawiające o zawrót głowy poczucie spadania w jakąś obrzydliwą otchłań. A potem Church otworzył oczy. Veitch i Tom musieli przez chwilę przytrzymać jego wstrząsane konwulsjami ciało; przed oczami przewijały się obrazy pojedynku z Calatinem, powrócił ból rozcinanego zębatym ostrzem ramienia, zapach strachu. Nieprzyjemne wspomnienia znikły jednak, kiedy poczuł zachodzącą w jego ciele niezrozumiałą zmianę: złocisty płyn wypełniał całe jego wnętrze, docierając do najmniejszych zakamarków, zamieniając ciało Churcha w coś innego, choć nie wiedział, w co. Wyczuwał również opór stawiany przez utkwione w nim kolce Czarnej Róży: ciepło i zimno, światło i ciemność walczyły o władanie nad jego ciałem.

— Przeszedłeś ponowne narodziny.

Church spojrział na twarz stojącego nad nim Nuady, jednak dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, kim jest i co się z nim stało. Rozejrzał się po otaczających go złocistych zastępach, podziwiając nieludzko piękne twarze, boskie postacie, cudowną wspaniałość, która przepełniała go nabożnym zachwytem. Poczuł nieopisaną ulgę, a do oczu napływały mu łzy.

— Danann! – wychrypiał z trudem. – Udało im się was uwolnić... przepędziliście Fomorian...

— Nocni Wędrowcy woleli uciec, niż stawić czoła naszemu gniewowi za to, że złamali Przymierze.

Church z ulgą zamknął oczy i oparł głowę o ramię Veitcha.

— Ale udało się wam przyjść. Wygraliśmy. Teraz ich dopadniecie... zabierzecie z powrotem do swojego świata...

Zapadła dłuższa cisza i Church zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Otworzył oczy i ujrzał dziwny uśmiech na twarzy Nuady.

— Teraz, kiedy udało się nam tutaj dostać – powiedział – nie wrócimy już do naszego świata.

— Nie rozumiem. – Church podniósł się i poczuł nagle strach.

— Zawsze chcieliśmy tutaj wrócić. Przywłaszczaliśmy sobie ten świat, zanim nadszedł wasz czas. Nie mogliśmy jednak wrócić, bo zabraniało tego Przymierze. Teraz, kiedy Nocni Wędrowcy je złamali, nic nas nie powstrzymuje.

— Ale Fomorianie to wasi wrogowie!

— Owoce tej ziemi są zbyt soczyste, by z nich zrezygnować i zająć się wojną, która nie jest konieczna. Kiedyś umieliśmy żyć z nimi w pokoju. Nie zawsze było to łatwe, ale mamy ważniejsze plany niż walka z Fomorianami.

— Przecież oni chcą ponownie sprowadzić Balora! – przypomniała Ruth ze Izami rozpacz w oczach.

— Dobrze o tym wiem. I chyba im się to uda – wyniosłym tonem odparł Nuada.

Tom ukląkł przed nim i pochylił głowę pokornie.

— Panie! Bracia i Siostry Smoków poświęcili bardzo wiele, by uwolnić was z wygnania.

— Jesteśmy im za to wdzięczni, Wierny Tomaszu. Ale ich czyny nie zawsze były tym, czym się wydawały.

Tom spojrział na Nuadę ze zdziwieniem.

— Umiemy przecież spoglądać w przyszłość. Oczekiwaliśmy zdrady Fomorian, jest w końcu zgodna z ich naturą.

Poczyniliśmy odpowiednie przygotowania. Od początku aż do tej chwili kierowaliśmy każdym krokiem Braci i Sióstr Smoków.

— Jak? – Church poczuł zawroty głowy. Powoli docierał do niego sens wszystkich jego przygód i nieszczęść, bał się jednak do końca go zrozumieć.

— By was zmienić, potrzebna była alchemia śmierci. Tylko ona mogła ożywić Ducha Pendragona i poprowadzić was drogą, która zakończyła się tutaj i teraz.

Patrzyli na Nuadę, nie rozumiejąc jego słów. Tom zwrócił się do nich niepewnym, pełnym troski głosem: – W waszym życiu ktoś musiał umrzeć...

— Zabiliście Mariannę! – krzyknął nagle Church.

Nuada spojrział na niego z taką surowością, że głos uwiązł mu w gardle.

— Sami do niczego nie przyłożyliśmy ręki. My tylko prowokujemy pewne wydarzenia. Usunęliśmy pewne przeszkody, tu i tam naruszyliśmy równowagę. – Wskazał na Veitcha. – On, na przykład, w odpowiedniej chwili odwrócił się i użył swojej broni, choć wbrew swojej woli. Kierowaliśmy również innymi wątlymi istotami...

— Więc kto ją zabił? – z rozpaczą w głosie zapytał Church. Nuada odwrócił od niego wzrok. Uśmiech na twarzy boga był jednocześnie przerażający i pobłażliwy.

— Z tym światem można prowadzić wiele gier. – Tom zbladł, gdy usłyszał te słowa. – Ale te gry są warte świeczki.

Ruszył z powrotem ku złocistej hordzie, która tłoczyła się za mostem. Church chciał podnieść się, musiał mu jednak pomóc Veitch. Stłumił przepelniający go szloch i powiedział tak głośno i stanowczo, jak tylko mógł: – Przynajmniej pomożecie nam walczyć z Fomorianami. Przydacie się nam.

Nuada odwrócił się i rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Twój głos mógłby mieć większą wagę, gdyby twego serca nie skaził pocałunek Nocnych Wędrowców. W lepszych czasach Duch Pendragona nie musiałby zajmować tak słabego naczynia.

Potem dołączył do reszty Tuatha Dé Danann, a Church, Veitch, Tom i Ruth patrzyli tylko bezsilnie na złociste szeregi, które ruszyły naprzód z przerażającą, nieludzką siłą, niczym fala przypływu.

ROZDZIAŁ 22

BALTANE

Noc zapadła szybko. Być może powodem były fatalne nastroje albo wydarzenia ostatniego dnia, ale tak wczesne zapadnięcie ciemności wydało im się dziwniejsze, niż przerażające i niesamowite wydarzenia, których byli świadkami. Rozpalili ognisko pod osłoną zagajnika na szczycie wzgórza, z którego widać było całą wyspę i rozpościerający się ponad nią baldachim gwiaździstego nieba. Ruth zauważyła, że wszystko wygląda tak, jakby cofnęli się do czasów neolitu. Church odparł, że w pewnym sensie rzeczywiście się cofnęli.

Jeszcze przed zachodem słońca wrócili do łodzi po Shaviego, który częściowo odzyskał równowagę, jednak mimo że nadrabiał miną, wszyscy widzieli, że stało się z nim coś niedobrego. Kiedy z jego twarzy znikł sztuczny uśmiech, widać było, że jest zmieniony i jakby nieobecny. Shavi nie chciał rozmawiać o tym, co stało się, kiedy połączył się z umysłem morskiego węża, ale doświadczenie to najwyraźniej pozostawiło w nim głęboki uraz.

Każde z nich wyszło z niedawnych przygód w jakiś sposób zranione, wewnątrz czy zewnątrz, ale kiedy siedząc wokół ogniska przestali o tym rozmawiać, ku ich zdziwieniu okazało się, że łączą ich również więzy wielkiej przyjaźni, której nie udałoby się zacieśnić w żadnych innych okolicznościach. Church, patrząc na ich twarze, poczuł nową nadzieję. Mimo, że przyjaźń wydawała się bezsilna wobec zachodzących w ich świecie zmian,

pozostawała jednak czymś ważnym.

Bez niej, pomyślał Church, nie przetrwaliby chwili, kiedy dowiedzieli się, że ich życie zostało odmienione i zniszczone przez wyższe potęgi. Mimo to, każde z nich, na swój sposób, żałowało tego, co się z nimi stało. Veitch, ponieważ cały czas trawiło go poczucie winy za popełnione morderstwo. Ruth, bo straciła wuja i ojca. Shavi, który stracił ukochanego chłopaka. Laura, której matka umarła przy niej, kiedy leżała nieprzytomna. Wreszcie on sam dwa lata życia strawił cierpiąc po stracie najważniejszej osoby. Zabrano mu ją i zniszczono całe jego życie: Marianna była dla niego tak ważna, była dla niego wszystkim, a potraktowano ją jak chwast w ogrodzie. Całe jego cierpienie miało posłużyć tylko zaspokojeniu zachcianki rasy, dla której ludzkość nie liczyła się, nie była nawet godna ich pogardy. Gdyby nie było to tak okropne, Churcha ogarnąłby gniew, zamiast którego czuł jedynie rozpacz na bezsensie wszystkich swoich cierpień.

Po zapadnięciu zmroku siedzieli razem z Laurą w milczeniu, zatopieni w swoich myślach.

— Cóż, mogło być przecież gorzej, prawda? – powiedziała wreszcie. – Gdyby Danann nie powrócili, nie siedzielibyśmy sobie tak teraz, a Fomorianie wyrznęliby wszystkich ludzi. Udało ci się.

— Nam się udało – poprawił ją Church.

— No i przeżyliśmy, żeby dalej walczyć. Nie poddamy się, prawda? Nie poddamy się? – Laura nie zamierzała dać za wygraną, dopóki Church nie skinął głową, a wtedy pocałowała go delikatnie w policzek. – Sinatra byłby z ciebie dumny, mój chłopczyku.

Laura odsunęła się od Churcha, przesuwając jeszcze dłonią po jego ramionach i szyi. To dotknięcie dodało mu sił.



Rola Tuatha Dé Danann w ich tragediach pomogła przynajmniej Ruth pogodzić się z tragiczną śmiercią wuja. Trudno jej było przebaczyć Veitchowi, ale przynajmniej zaczęła z nim rozmawiać. Kiedy ognisko przygasło, poszła razem z nim oraz z Shavim i Laurą, poszukać drewna na opał. Tom i Church zostali sami i wpatrywali się w dogasający żar.

— Niby jesteście bohaterami – ponurym głosem zaczęła Church. – Obrońcami ludzkości, nawet całego świata. To przecież śmieszne! Oszukujemy się tylko. Byliśmy tak mało ważni dla Danann, że potraktowali nas jak szczury w labiryncie. Zrobiliśmy za nich całą brudną robotę i dużo się przy tym nacierpieliśmy. A co dostaliśmy w zamian? Nic.

— Nie chcesz zobaczyć, jak wiele udało się wam osiągnąć? – Tom zrobił jointa i zapalił. – Danann mogą nam jednak pomóc. Musimy ich tylko sobie zjednać. Gdyby nie udało się wam uwolnić ich w dzień Bekane, wszystko naprawdę byłoby stracone. Fomorianie nie mieliby godnego siebie przeciwnika. – Church chciał coś powiedzieć, ale Tom uciszył go ruchem ręki. – Nie. Rzeczywiście ludzkość doznała dziś niepowodzenia, ale sprowadzenie plemienia Danu było również zwycięstwem, które da nam trochę czasu. Poza tym, odnalezienie insygniów było wielkim wyczynem – nikomu nie udało się tego dokonać od czasu, gdy Danann je ukryli.

Church potrząsnął głową bez entuzjazmu.

— Wiesz, co jest najgorsze? Że stało się właśnie to, czemu staraliśmy się zapobiec. Jeśli Danann są rzeczywiście tak

niebezpieczni i nieprzewidywalni... obcy nam... jak to opisywałeś, jeśli są w stanie niszczyć ludziom życie, tak jak zniszczyli je nam, to bardzo się boję o przyszłość naszego świata.

Tom milczał, co tylko potwierdzało obawy Churcha.

— Gdybym miał wnuki, to mógłbym im o tym opowiadać – zaśmiał się gorzko. – Jestem człowiekiem, który pomógł spowodować koniec świata.

Przez gwiazdziste niebo, nieskażone łuną sztucznych świateł, przeleciała wspaniała spadająca gwiazda. Tom patrzył na nią, zaciągając ją głęboko.

— Kiedy to się zaczęło, myślałem, że nie ma już dla nas nadziei – zaczął cicho. – Wybacz, ale kiedy was po raz pierwszy zobaczyłem, chciałem machnąć ręką. Potem jednak poznałem się na was. Zahartowały was trudy i Duch Pedragona obudził się w was wszystkich, naprawdę w każdym z was. Nosicie w sobie ucieleśnienie wszystkiego, co dobre w ludzkości, siłę, prawdziwą, może najwyższą moc. – Tom skinął głową zamyślony. – Musimy mieć wiarę.

— Wiarę, jasne. Powiem ci, w co wierzę: że kiedyś dowiem się, kogo albo czego użyli Danann, żeby zabić Mariannę i innych ludzi. I zemszczę się. Gdybym miał w sobie dość sił, zemściłbym się też na Danann.

Tom nic nie powiedział.

Church patrzył na powracających przyjaciół, którzy wbrew wszystkiemu śmiali się i żartowali. W głębi serca poczuł dumę ze zwycięstw, które przed chwilą wychwalał Tom. Church co prawda czuł się winny, bo nie oparł się słabości, potem zdołał się jednak zmienić. Łatwo byłoby się poddać, nie był jednak człowiekiem, który się poddaje. Musiał teraz spojrzeć w głąb własnej duszy i wyciągnąć naukę z tej porażki, a potem żyć dalej.

Miał nadzieję, że niedługo będzie musiał czekać na okazję, by odkupić swą winę.

— Co zrobiłeś z *Roisin Dubh*? – zapytał Tom.

Church sięgnął do kieszeni i wyjął różę, która była przyczyną tylu nieszczęść. Kwiat zupełnie teraz usechł i zwiędł. Wokół łądygi owinięty był łańcuszek medalionu malej Marianny.

— Co za dziwne czasy – powiedział Church. – Popatrz tylko – to przecież tani, plastikowy medalion dla dzieci. A teraz jest magicznym przedmiotem. – Ostrożnie odwijając łańcuszek, opowiedział Tomowi o białym świetle, które pomogło mu walczyć w czasie pojedynku z Calatinem. – Widzieliśmy wiele okropności, ale to... to napędza mnie nadzieją. Wciąż nie wiem, jakie jest znaczenie tego przedmiotu, ale wiem, jakiego znaczenia bym dla niego chciał. – Otworzył medalion i spojrzał na fotografię w środku. – Czas cudów – szepnął do siebie. Gdy ucichły jego słowa, Czarna Róża zamieniła się na jego dłoni w proch, który uleciał z wiatrem.

— Nie ma jej – powiedział Tom.

— Coś jednak zostało. Wciąż czuję jej ukłucie w sercu. Nie wiem, co to znaczy.

— Danann nie będą cię słuchać, póki nosisz to w sobie.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a potem Tom powiedział: – Chyba musisz się z tego wytłumaczyć pozostałym.

— Wiem. Jestem im to winien. Mam nadzieję, że mi wybaczą. Powiem im później, jak zjemy. – Church westchnął. – Jeszcze kilka tygodni temu myślałem, że nie ma we mnie już żadnych uczuć. Teraz wydaje mi się, że czuję zbyt wiele. – Zaśmiał się gorzko. – Można by pomyśleć, że wiele stracimy w tym Wieku Ciemności – wygodne życie, technologię, logikę. Może jednak wcale tak wiele nie straciliśmy? Wciąż mamy to, co

najważniejsze. Może to frazes, ale życiu nadają sens zwykłe rzeczy – przyjaźń, miłość, zaufanie, wiara w lepszy świat. Jeśli mamy stawić czoła tym nieludzkim hordom, to może właśnie te rzeczy będą nam najbardziej potrzebne.

Church ze zdziwieniem usłyszał, że Tom się śmieje.

— A ty mnie nazywasz hipisem!

Church spojrział na twarz Toma, na której malowało się cierpienie, a jednocześnie widać było kojącą, wewnętrzną siłę.

— To się jeszcze nie skończyło. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, wiem o tym.

— Ale masz rację. Dokonaliśmy wielkich rzeczy. Niezwykłych. Może nie wyglądamy zbyt groźnie, ale... – Church spojrział na resztę przyjaciół. – Popatrz na nich tylko. Nie chciałbym mieć u swojego boku nikogo innego. Będziemy walczyć. Znajdziemy jakiś sposób, żeby poprawić los ludzi. I uda się nam. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, wiem o tym.

— A o czym jeszcze wiesz?

— O tym – odrzekł Tom – opowiem wam jutro.



Dołożyli dREW do ogniska, zjedli ostatnie chipsy i kanapki. Później, kiedy wszyscy siedzieli zatopieni w swoich myślach, Laura wyjęła radio zakupione przez Churcha w Melrose i odeszła od ogniska, żeby posłuchać muzyki. Po chwili jednak pośpiesznie wróciła.

— Ej, słuchajcie tego! – zawołała. – Przeszukałam fale, żeby posłuchać jakiejś fajnej muzy, ale wszystkie stacje nadają tylko to

– zaraz zacznie się jakiś komunikat rządowy.

Postawiła radio na ziemi i wszyscy stłoczyli się wokół. Po chwili zabrzmiała jakaś ponura muzyka i suchym głosem odezwał się spiker.

— Mówi rozgłośnia BBC z Londynu do słuchaczy z całego kraju. Nadajemy orędzie premiera, które będzie powtarzane co trzydzieści minut.

Potem rozpoczęło się nagrane wcześniej przemówienie. Premier mówił pewnym, wyczerpanym z wszelkich emocji głosem: – Od dziś, pierwszego maja, od godziny dwudziestej drugiej w całym Zjednoczonym Królestwie obowiązuje stan wyjątkowy. Do odwołania zostały zawieszony obrady parlamentu. Tę trudną decyzję podyktowały względy bezpieczeństwa naszego kraju. W chwili obecnej nie mogę udzielić żadnych dalszych wyjaśnień. Działalność wszystkich środków masowego przekazu została zawieszona, a kiedy sytuacja zostanie wyjaśniona, w radiu BBC i telewizji zostaną nadane oficjalne komunikaty. W tej trudnej sytuacji wszyscy musimy przede wszystkim zachować spokój. Wprowadzenie stanu wyjątkowego jest decyzją, którą podjęliśmy niechętnie, było to jednak absolutnie konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa wszystkich obywateli. Od zmroku do świtu obowiązuje więc godzina policyjna. Należy za wszelką cenę unikać obszarów słabo zaludnionych, szczególnie na wsi, i gromadzić się w miastach lub innych skupiskach ludności. Unikać rzek i jezior. Do odwołania obowiązuje zakaz wstępu do parków narodowych. Należy unikać wszelkich miejsc uznawanych za odludne lub leżących na uboczu. Po zmroku przebywać w miejscach dobrze oświetlonych. Nie podróżować samemu. Ze względów bezpieczeństwa, ludność na obszarach wiejskich od dziś zostaje zwolniona z obowiązku zezwolenia na

posiadanie broni palnej.

— Rodacy! Nigdy nie zapomniałem o sile charakteru, jaka zawsze cechowała nasz wspaniały naród. W czekających nas trudnych miesiącach, wszyscy musimy przypomnieć sobie o odwadze, której dowody nasz naród dawał nie raz w swojej pełnej chlubnych zwycięstw historii. Również teraz, jeśli razem stawimy czoła niebezpieczeństwu, zwyciężymy.

Na chwilę zapadła cisza, a potem znów odezwał się spiker: – To wszystko. Mówi rozgłośnia BBC z Londynu do słuchaczy z całego kraju...

Laura wyłączyła radio. Milczeli przez dłuższą chwilę, aż w końcu Veitch powiedział: – Zaczęło się.

Jakby w odpowiedzi, na pobliskim wzgórzu zapalił się jakiś płomień, u którego podstawy nie widać było żadnego ogniska. Mimo jego rozmiarów i jasności, trawa wokół płomienia pozostawała nietknięta. Potem, jak chmara światełek, kolejne płomienie zaczęły się pojawiać na wszystkich wzgórzach wokół nich, aż po horyzont.

— Ognie Beltane – cicho powiedział Tom. – Zaczyna się nowa pora roku.

Stali tak, wpatrzeni w migocące daleko i blisko płomienie, samotni i bezbronni pod ogromnym, rozgwieżdżonym nieboskłonem. Świat nie należał już do nich. Minął Wiek Rozumu, rozpoczynał się Wiek Ciemności.



MARK CHADBOURN

KONIEC ŚWIATA

MARK CHADBOURN

KONIEC ŚWIATA

Wiek złych rządów, tom I

... i zaczyna się Czas Cierności

Wydawnictwo Dolnośląskie

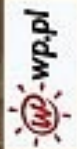


Jack Charchilli myślał, że w jego życiu nie wydarzy się już nic ciekawego. Złamany po samobójczej śmierci narzeczonej, był przekonany, że jego świat się skończył. Miał rację.

Świat, który znał, właśnie odszedł w przeszłość... Okazuje się, że smoki, czarownice i demony istniały naprawdę i kiedyś wiodły ziemią. Zostały wyparte. Teraz wracają po swoje. Przez Anglię przetacza się fala tajemniczych wypadków, a Jack znajduje się w centrum tych niezwykłych wydarzeń. Im głębiej wchodzi w świat przedchrześcijańskich wierzeń, tym lepiej rozumie, że losy ludzkości zależą od niego. Trzako on może powstrzymać powrót pradawnych demonów.

Mark Chadboorn debiutował powieścią *Underground* (1992), ale sławy przysiodła mu trylogia *Wiek złych rządów*. Książkę *Koniec świata* jest pierwszą odsłoną. Dłsi Chadboorna należy do czołwki światowej fantastyki, a sprawnosć językowa, rzetelność w doborze źródeł, niezachwiała bobolatorowo wrzacał w strumień wartkiej akcji stanowią jego wizyjowką. Nim odgasał międzyrodowowy sukces, pracował jako wolny strzelec w brytyjskiej prasie i telewizji BBC. W swoich powieściach łączy elementy fantasy, romanse i horroru. Jest laureatem m.in. nagrody „Fear Magazine”. W *Koncu świata* i następnym księzkach cyklu stworzył fascynującą opowieść o liście epickim romansze. Nikt przed nim nie zdołał w tak barwny i zaskakujący sposób wykorzystać celtyckiej mitologii w służbie fantastyki przygodowej.

PATRONAT MEDIALNY



PORTAL KSIĘGARÓDKI
www.ksiarka.net.pl



Wydawnictwo Dolnośląskie
www.wd.wroc.pl



ISBN 978-83-7384-506-0
ISBN 83-7384-506-2



Cena 34,90 zł